

OSTATNI ROZKAZ TIMOTHY ZAHN

*Wszystkim, dzięki którym te książki powstały, a szczególnie:
Annie Zahn, Betsy Mitchell,
Lucy Autrey Wilson i naturalnie temu,
od którego wizji wszystko się zaczęło,
George 'owi Lucasowi*

ROZDZIAŁ I

Szybujący w ciemnościach kosmicznej pustki imperialny niszczyciel gwiazdny „Chimera” obrócił się swym spiczastym dziobem w stronę odległej o trzy tysięczne roku świetlnego bladej gwiazdy. Statek szykował się do bitwy.

- Wszystkie systemy wykazują pełną gotowość, panie admirale - zameldował oficer łącznościowy ze swego stanowiska po lewej stronie mostka. - Zaczęły się zgłaszać jednostki wchodzące w skład zespołu uderzeniowego.

- To dobrze, poruczniku. - Wielki admirał Thrawn skinął głową w kierunku oficera. - Proszę mnie poinformować, kiedy już wszystkie się zameldują. Kapitanie Pellaeon?

- Słucham, panie admirale? - Pellaeon studiował twarz zwierzchnika, szukając w niej oznak niepokoju, który sam w tej chwili odczuwał. To nie było po prostu jeszcze jedno taktyczne uderzenie na pozycje Rebeliantów - zwykły rajd na konwój z zaopatrzeniem czy nawet trudny do koordynacji, ale poza tym niezbyt skomplikowany atak nękający, wy mierzony w jakąś pozbawioną większego znaczenia bazę planetarną. Oto po blisko miesiącu gorączkowych przygotowań miała się właśnie rozpocząć precyzyjnie przez Thrawna zaplanowana kampania, której celem było ostateczne zgniecenie Rebelii. Ale jeśli nawet admirał odczuwał niepokój, to starannie go ukrywał.

- Rozpocząć odliczanie - polecił Pellaeonowi. Jego głos był tak spokojny, jakby Thrawn zamawiał obiad.

- Tak jest. - Kapitan odwrócił się do tylnego ekranu holograficznego, na którym widniały pomniejszone czterokrotnie wizerunki blisko dziesięciu mężczyzn. - Panowie: czasy startu. „Wojownik”: trzy minuty.

- Przyjąłem. - Kapitan Aban skinął głową. Pod maską regulaminowego zachowania nie udało mu się ukryć radości z perspektywy zadania potężnego ciosu Rebeliantom. - Pomyślnych łowów, „Chimero”. W chwili, gdy na „Wojowniku” włączono pola ochronne, odcinając łączność dalekiego zasięgu, hologram zamigotał i znikł.

- „Niezlomny”: cztery i pół minuty.

- Przyjąłem. - Kapitan Dorja stuknął pięścią w otwartą dłoń w starodawnym mirsafijskim geście zwycięstwa. W chwilę później on także zniknął z ekranu. Pellaeon zerknął na notes elektroniczny.

- „Mściciel”: sześć minut.

- Jesteśmy gotowi, „Chimero” - odparł cicho kapitan Brandei. W jego głosie zabrzmiała jakaś niepokojąca nuta... Pellaeon podniósł wzrok. Na pomniejszonych czterokrotnie w stosunku do rzeczywistości obrazach holograficznych trudno było dojrzeć jakiegokolwiek szczegóły, ale wyraz twarzy dowódcy „Mściciela” nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Mężczyzna pałał żądzą zemsty.

- To jest wojna, kapitanie Brandei - wtrącił Thrawn, który wyrósł nagle obok Pellaeona - a nie okazja do załatwiania osobistych porachunków.

- Znam moje obowiązki, panie admirale - stwierdził oschle Brandei.

- Czyżby na pewno, kapitanie? Zacięta twarz dowódcy „Mściciela” powoli łagodniała.

- Tak, panie admirale. Jestem odpowiedzialny wobec Imperium i pana osobiście, a także wobec statków i ludzi pod moim dowództwem.

- Właśnie. Innymi słowy, ma pan obowiązki wobec żywych, a nie wobec umarłych.

- Tak jest, panie admirale - odparł regulaminowo Brandei, choć w jego oczach nadal płonął ogień.

- Niech pan o tym nigdy nie zapomina, kapitanie - ostrzegł go Thrawn. - Na wojnie zdarzają się różne chwile, ale może być pan pewien, że Rebelianci zapłacą z nawiązką za zniszczenie „Tyra” w czasie potyczki koło Floty Katańskiej. Nastąpi to jednak w ramach naszej ogólnej strategii, a nie w wyniku czyjejś prywatnej zemsty. - Jego jarzące się oczy zwężyli się nieco. - A już na pewno nie w wyniku prywatnych działań jednego z kapitanów, który jest moim podwładnym. Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno. W twarzy Brandei drgnął jakiś mięsień. Pellaeon nigdy nie uważał

dowódcy „Mściciela” za człowieka specjalnie błyskotliwego, ale nawet Brandei potrafił zrozumieć skierowaną doń groźbę.

- Tak, panie admirale, całkiem jasno.

- To dobrze. - Thrawn spoglądał na niego jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową. - Podano już panu czas startu, prawda?

- Tak jest, panie admirale. „Mściciel” się odmeldowuje. Thrawn przeniósł wzrok na Pellaeona.

- Proszę kontynuować, kapitanie - rzucił i odwrócił się do niego plecami.

- Tak jest. - Pellaeon ponownie zerknął na notes elektroniczny. - „Nemezis”... Już bez żadnych kłopotów dotarł do końca listy. Nim zniknął ostatni hologram, zdążyły się też zgłosić wszystkie statki wchodzące w skład zespołu uderzeniowego „Chimery”.

- Jak dotąd wszystko przebiega bez żadnych opóźnień – oznajmił Thrawn, gdy kapitan wrócił na swój e stanowisko. - „Jastrząb” zameldował, że transportowce prowadzące wystartowały zgodnie z planem; liny holownicze spisują się bez zarzutu. A przed chwilą przechwyciliśmy wysłany z układu Ando sygnał z prośbą o pomoc. „Wojownik” wraz ze swoim zespołem uderzeniowym stawiał się na czas, pomyślał Pellaeon.

- Czy ktoś odpowiedział na ich prośbę, panie admirale?

- Rebeliancka baza na Ord Pardron. Ciekawe, jaką pomoc im wyślą. Kapitan pokiwał głową. Rebelianci już tyle razy doświadczyli na własnej skórze taktyki stosowanej przez Thrawna, że z pewnością potraktują atak na Ando jako pozorowany i odpowiednio do tego zareagują. Jednak z drugiej strony, nie mogą tak po prostu zlekceważyć zespołu uderzeniowego złożonego z niszczyciela gwiazdowego i ośmiu pancerników z Floty Katańskiej. Zresztą to i tak nie miało większego znaczenia. Wyślą parę statków na Ando przeciw „Wojownikowi”, parę kolejnych na Filve przeciw „Mścicielowi”, kilka dalszych na Krondr przeciw „Nemezis” i tak dalej, i tak dalej... w chwili gdy „Strzała Śmierci” zaatakuje samą bazę, na Ord Pardron pozostaną jedynie resztki osłony, a w przestrzeń pobiegnie stamtąd rozpaczliwe wołanie o posiłki. I właśnie tam skierują się wszystkie statki, które tylko Rebelianci zdołają zebrać. A wtedy Imperium będzie mogło bez problemu osiągnąć swój prawdziwy cel. Pellaeon spojrzął przez przedni iluminator na widoczną w oddali centralną gwiazdę układu Ukio. Gdy po raz kolejny uświadomił sobie skalę podstępu, na którym opierał się cały plan, niepokój ścisnął mu gardło. Zgodnie z powszechnym mniemaniem, jedynym sposobem na opanowanie zaawansowanej cywilizacyjnie planety wyposażonej w naziemne generatory pól ochronnych - zdolnych wytrzymać nawet najbardziej zmasowany atak prowadzony przy użyciu dział turbolaserowych i torped protonowych - było wysadzenie na krańcach takiej planety oddziałów desantowych, które posuwając się w głąb lądu, dotarłyby w końcu do generatorów i uszkodziły je. Jednak na tak zdobywanych planetach zniszczenia spowodowane działaniem sił naziemnych, a następnie atakiem z kosmosu, były zawsze ogromne. Alternatywa - polegająca na użyciu setek tysięcy żołnierzy w konwencjonalnej ofensywie lądowej, która mogła się przeciągnąć na całe miesiące, a nawet lata - też nie była lepsza. A opanowanie planety przy względnie niewielkich zniszczeniach i z nietkniętymi generatorami uważano z wojskowego punktu widzenia za absolutnie niemożliwe. Jednak dzisiaj - wraz z upadkiem Ukio - miała upaść i ta teoria.

- Przechwyciliśmy rozpaczliwą prośbę o pomoc z Filve, panie admirale - zameldował oficer łącznościowy. - Ord Pardron znów wysyła posiłki.

- Świetnie. - Thrawn spojrzął na zegar. - Jeszcze jakieś siedem minut i możemy ruszać. - Jego usta zacisnęły się w ledwo dostrzegalnym wyrazie irytacji. - Lepiej sprawdźmy, czy nasz egzaltowany mistrz Jedi jest gotów, by wykonać swoją część zadania. Pellaeon ukrył grymas niezadowolenia na wspomnienie Joruusa C'baotha - nieźrównoważonego kłona zmarłego wiele lat temu mistrza Jedi, który przed miesiącem ogłosił się jedynym prawdziwym dziedzicem Imperium. Podobnie jak Thrawn, także kapitan nie miał najmniejszej ochoty z nim rozmawiać. Nie pozostawało mu jednak nic

innego, jak zgłosić się na ochotnika - inaczej za chwilę i tak otrzymałby odpowiedni rozkaz.

- Pójdę do niego, panie admirale - powiedział, podnosząc się z miejsca.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Thrawn; tak jakby Pellaeon miał jakiś wybór... Gdy kapitan wyszedł z kręgu oddziaływania ustawionych na mostku isalamirów, natychmiast usłyszał w umyśle niecierpliwe wezwanie. Mistrz C'baoth nie mógł się doczekać rozpoczęcia operacji. Zebrawszy się sobie, Pellaeon ruszył w stronę kabiny dowodzenia admirała Thrawna. Idąc na dół, zmagał się z presją psychiczną wywieraną nań przez przynaglającego go do pośpiechu C'baotha. Pomieszczenie, w którym zwykle panował półmrok, teraz było zalane jasnym światłem.

- Proszę wejść, kapitanie - przywołał Pellaeona mistrz Jedi. Starzec siedział pośrodku podwójnego kręgu monitorów. - Czekałem na pana.

- Całkowicie pochłonęły mnie sprawy związane z pozostałymi Elementami operacji - odparł chłodno oficer. Usiłował ukryć niechęć do starca, choć doskonale wiedział, że jego wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie.

- Naturalnie. - Uśmiezek, który pojawił się na twarzy C'baotha, świadczył dobitniej niż jakiegokolwiek słowa, że starca bardzo bawi niepewność Pellaeona. - Zresztą to nieważne. Rozumiem, że wielki admirał Thrawn jest już wreszcie gotowy?

- Prawie. Nim ruszymy, chcemy odciągnąć jak najwięcej sił z Ord Pardron.

- A więc nadal zakłada pan, że Nowa Republika będzie tańczyć tak, jak jej zagra admirał Thrawn? - prychnął mistrz Jedi.

- Tak się stanie. Wielki admirał dokładnie przestudiował psychikę naszych przeciwników.

- Przustudiował ich sztukę - odparował C'baoth z kolejnym prychnięciem. - Może się to okazać wielce użyteczne w chwili, gdy Nowej Republice pozostaną do walki już tylko artyści. W kręgu monitorów odezwał się brzęczyk, wybawiając Pellaeona od konieczności udzielenia odpowiedzi.

- Ruszamy - wyjaśnił starcowi i zaczął odliczać w myślach siedemdziesiąt sześć sekund, które miał potrwać lot w kierunku Ukio. Starał się nie dopuścić do tego, aby słowa mistrza Jedi zasiały w jego umyśle wątpliwości. On też nie rozumiał, jak Thrawn tylko na podstawie dzieł sztuki potrafi tak zgłębiać tajniki psychiki poszczególnych ras, ale w przeciwieństwie do C'baotha tyle razy był świadkiem tego, jak przewidywania admirała sprawdzały się co do joty, że nabrał zaufania do jego wyczucia w tych sprawach. Zresztą tak naprawdę mistrz Jedi nie był zainteresowany poważną wymianą zdań na ten temat. Od miesiąca, czyli od momentu, kiedy ogłosił się jedynym spadkobiercą Imperatora, toczył swą prywatną wojnę z Thrawn'em, próbując podkopać jego autorytet i zasugerować, że prawdziwe wniknięcie w psychikę innych jest możliwe tylko dzięki Mocy - a tym samym, dokonać tego może tylko on, C'baoth. Jeśli chodzi o Pellaeona, to nie dał się starcowi przekonać. W końcu Imperator też potrafił w ogromnym stopniu korzystać z Mocy, a nie zdołał przewidzieć swojej śmierci pod Endorem. Jednak uwagi rzucane nieustannie przez mistrza Jedi sprawiły, że w umysłach oficerów Thrawna, szczególnie tych mniej doświadczonych, zaczynały kiełkować wątpliwości. Był to dla kapitana jeszcze jeden powód, dla którego dzisiejszy atak po prostu musiał się powieść. Cały plan opierał się bowiem w równym stopniu na klasycznych zasadach taktyki, co na dokonanej przez wielkiego admirała interpretacji ukiańskiego etosu kulturowego - na niezachwianym przekonaniu Thrawna, że w najniższej warstwie psychiki Ukianie śmiertelnie boją się wszystkiego, co niemożliwe.

- Któregoś dnia się pomyli - przerwał rozmyślenia Pellaeona C'baoth. Kapitan zacisnął usta. Kiedy uświadomił sobie, że starzec potrafi tak bez wysiłku przeniknąć jego myśli, ścierpła mu skóra na plecach.

- Widzę, że nie rozumie pan, co to znaczy poszanowanie czyjejś intymności - warknął.

- Imperium to ja, kapitanie Pellaeon. -W oczach C'baotha pojawiły się fanatyczne błyski. - Pańskie myśli są częścią pańskiej służby dla mnie.

- Służę tylko wielkiemu admirałowi Thrawn'owi - odparł Pellaeon.
- Jeśli pan chce, może pan sobie w to wierzyć. - Mistrz Jedi się uśmiechnął. - Ale teraz do rzeczy. Zajmijmy się poważnymi sprawami, sprawami naprawdę istotnymi dla Imperium. Chcę, żeby po skończonej bitwie przesłał pan pewną wiadomość na Wayland.
- Zawierającą naturalnie informację o pańskim niezwłocznym tam przybyciu - wtrącił kapitan ironicznie. Starzec już od blisko miesiąca zapowiadał, że wkrótce wróci do swego dawnego domu na Waylandzie i przejmie nadzór nad urządzeniami do klonowania, pozostawionymi przez Imperatora w skarbcu w górze Tantiss. Jak na razie był zbyt zajęty podkopywaniem pozycji Thrawna, by uczynić coś więcej w tym celu.
- Niech się pan nie martwi, kapitanie Pellaeon - powiedział C'baoth z niejakim rozbawieniem. - Kiedy przyjdzie na to czas, rzeczywiście wrócę na Wayland. I właśnie, dlatego po bitwie prześle pan tam rozkaz, by stworzono dla mnie kłona. To będzie bardzo specjalny klon. Wcześniej będzie musiał to zaaprobować wielki admirał Thrawn - pomyślał natychmiast Pellaeon, ale niewiadomo, dlaczego głośno spytał:
- Jaki to ma być model? - Kapitan, zdziwiony swoim pytaniem, zamrugnął powiekami. Powtórzył w myślach ostatnie słowa; tak, rzeczywiście je wypowiedział. Starzec ponownie się uśmiechnął; bawiło go zmieszanie Pellaeona.
- Po prostu chcę mieć służącego - oznajmił. - Kogoś, kto będzie tam czekał na mój powrót. Stworzonego z jednej z pamiątkowych zdobyczy Imperatora - o ile się nie mylę, próbka ta nosi numer B-2332-54. Naturalnie zobowiąże pan dowódcę garnizonu do zachowania całkowitej dyskrecji. Nie zrobię tego.
- Dobrze - usłyszał swój głos Pellaeon. Dźwięk tego słowa zupełnie go zaskoczył: przecież wcale tak nie myślał. Wręcz przeciwnie:, gdy tylko bitwa dobiegnie końca, osobiście poinformuje Thrawna o tym drobnym incydencie.
- I niech ta rozmowa pozostanie między nami - rzucił leniwie mistrz Jedi. - Kiedy pan wypełni mój rozkaz, natychmiast zapomni pan o całej sprawie.
- Oczywiście - pokiwał głową kapitan. Chciał, żeby starzec dał mu wreszcie spokój. O, z całą pewnością zawiadomi o wszystkim Thrawna. Wielki admirał już będzie wiedział, co z tym zrobić. Odliczanie doszło do zera i na głównym monitorze ściennym pojawiła się planeta Ukio.
- Powinniśmy włączyć monitor taktyczny, mistrzu C'baoth.
- Jak pan sobie życzy - machnął ręką starzec. Pellaeon sięgnął ponad podwójnym kręgiem monitorów, nacisnął odpowiedni klawisz i na środku pokoju pojawił się hologram taktyczny. „Chimera” mknęła ponad równikiem po słonecznej stronie planety w kierunku wysokiej orbity; dziesięć pancerników z Floty Katańskiej, wchodzących w skład grupy operacyjnej, rozdzielało się właśnie, by zająć zewnętrzne i wewnętrzne pozycje obronne; od ciemnej strony planety nadlatywał „Jastrząb”, mający pełnić funkcję ubezpieczającą. Pozostałe statki, głównie transportowce i inne jednostki handlowe, zniknęły właśnie w niewielkich lukach, jakie na krótko czyniła dla nich w polu ochronnym Stacja Kontroli Naziemnej. W odległości jakichś pięćdziesięciu kilometrów od powierzchni Ukio unosiła się mglista niebieskawa skorupa. Na hologramie rozbłysły czerwono dwa punkty świetlne - to transportowce prowadzące z „Jastrzębia”; wyglądały tak samo niewinnie jak reszta statków, które na gwałt szukały jakiegoś schronienia. Transportowce wraz z holowanymi przez nie czterema niewidzialnymi towarzyszami.
- Niewidzialnymi tylko dla tych, którzy nie mają oczu, by ich zobaczyć - mruknął C'baoth.
- A zatem teraz jesteś już w stanie dostrzec nawet te statki? – rzucił szyderczo Pellaeon. - Twoje umiejętności Jedi rzeczywiście rozwijają się w oszałamiającym tempie. Miał nadzieję, że zirytuje starca - choćby troszeczkę. Jego wysiłki okazały się jednak jałowe.
- Umiem zobaczyć ludzi, którzy są w środku tych waszych cennych pól maskujących - stwierdził łagodnie C'baoth. - Widzę ich myśli i kieruję ich pragnieniami. Jakież znaczenie ma przy tym sam metal. Kapitan skrzywił się nieznacznie.

- Podejrzewam, iż jest wiele rzeczy, które nie mają dla ciebie znaczenia - zauważył. Kątem oka dostrzegł, że starzec się uśmiecha.

- To, co nie ma znaczenia dla mistrza Jedi, nie jest także istotne dla świata. Transportowce i zamaskowane krążowniki były już blisko pola ochronnego planety.

- Gdy tylko przejdą przez pole, natychmiast odrzucają liny holownicze - przypomniał C'baoth'owi Pellaeon. - Czy jesteś gotowy? Mistrz Jedi wyprostował się na krześle i zmrużył oczy.

- Czekam na rozkazy wielkiego admirała - rzucił ironicznie. Kapitan popatrzył na opanowaną twarz starca i przeszedł go dreszcz. Stała mu przed oczami scena, kiedy to C'baoth po raz pierwszy zastosował kierowanie na odległość umysłami innych ludzi. Przypomniał sobie ból, jaki odmalował się wtedy na twarzy starca; ten wyraz niemal agonalnego napięcia, kiedy wszystkimi siłami walczył o to, by nie stracić kontaktu z członkami załóg. Nie minęły jeszcze dwa miesiące od chwili, gdy Thrawn stwierdził z przekonaniem, iż C'baoth nigdy nie będzie stanowił zagrożenia dla Imperium, ponieważ nie jest w stanie przez dłuższy okres utrzymać koncentracji. Ale najwyraźniej od tego czasu starzec opanował tę umiejętność. A zatem stanowił dla Imperium zagrożenie, i to bardzo poważne. Rozważania Pellaeona przerwał brzęczyk interkomu.

- Kapitanie Pellaeon? Starając się odsunąć od siebie niepokój związany z mistrzem Jedi, mężczyzna sięgnął ponad rzędem monitorów i nacisnął jakiś guzik. Przynajmniej w tej chwili Flota Imperialna potrzebowała C'baotha. A jemu, na szczęście, ona też była potrzebna.

- Jesteśmy gotowi, admirał - powiedział.

- Czekajcie w pogotowiu - polecił Thrawn. - Za chwilę transportowce odrzucają liny holownicze.

- Już je odrzuciły - rzekł starzec. - Krążowniki nabrały rozpędu... i poruszają się w kierunku wyznaczonych pozycji.

- Sprawdź, czy są już poniżej pola planetarnego - rozkazał admirał. Po raz pierwszy na twarzy C'baotha pojawił się dawny wyraz napięcia. Zresztą nic dziwnego; od krążowników oddzielało „Chimerę” pole maskujące, które blokowało też pracę czujników na tych statkach. Aby się dowiedzieć, gdzie te jednostki dokładnie są, mistrz Jedi musiał precyzyjnie zlokalizować umysł, z którymi nawiązał kontakt.

- Wszystkie cztery statki znajdują się już poniżej pola planetarne go - poinformował.

- Dokładnie się upewnij. Jeśli się mylisz, mistrzu C'baoth...

- Nie myślę się, wielki admirał Thrawn - przerwał mu ostro sta rzecz. - Zrobię w tej bitwie to, co do mnie należy. A pan niech się zajmie swoją działką. Przez chwilę interkom milczał. Pellaeon skrzywił się, wyobrażając sobie, jaką minę musi mieć teraz admirał.

- A więc dobrze, mistrzu C'baoth - rozległ się w końcu z nadajnika spokojny głos Thrawna. - Przygotuj się do wypełnienia swojego zadania. Dało się słyszeć ciche szcęknięcie: admirał uruchomił kanał łączności.

- Tu imperialny niszczyciel gwiazdny „Chimera” do starszyny Ukio – powiedział Thrawn. - W imieniu Imperium obwieszczam, że układ Ukio ponownie znajduje się we władaniu Imperium, podlega jego prawu i jest chroniony przez siły zbrojne. Wyłączcie wasze pole ochronne, wezwijcie do baz wszystkie jednostki militarne i przygotujcie się do przekazania władzy. Nie było żadnej odpowiedzi.

- Wiem, że odbieracie tę wiadomość - ciągnął wielki admirał. - Jeśli nie udzielicie odpowiedzi, uznam, iż odrzucacie prośbę Imperium. A wtedy będę zmuszony użyć siły. Znowu cisza.

- Wysyłają kolejną wiadomość - Pellaeon usłyszał głos oficera łącznościowego. - Zdają się bardziej podenerwowani niż przy pierwszej.

- Przy trzeciej z pewnością całkiem stracą głowę - rzucił Thrawn. - Przygotujcie się do pierwszej fazy ostrzału. Mistrzu C'baoth?

- Krążowniki są gotowe, admirał - odparł starzec. - Ja także.

- Oby rzeczywiście tak było -rzekł Thrawn z ukrytą groźbą w głosie. - Jeśli nastąpi jakieś przesunięcie w czasie, to całe widowisko okaże się zupełnie bezużyteczne. Działo turbolaserowe numer trzy: na mój sygnał rozpocząć pierwszą serię strzałów. Trzy... dwa... jeden... ognia! Na hologramie taktycznym widać było, jak z umieszczonych na burcie „Chimery” dział turbolaserowych wystrzeliła podwójna smuga zielonego ognia i pomknęła w stronę planety. Salwy uderzyły w niebieskawą powierzchnię pola planetarnego. Gdy energia wiązki turbolaserowej uległa rozproszeniu, smugi rozbryzły się nieco i - odbite od pola ochronnego - ponownie poszybowały w kierunku przestrzeni kosmicznej... Dokładnie w tym samym momencie dwa zamaskowane krążowniki, które uprzednio dostały się poniżej pola planetarnego i teraz unosiły się na silnikach manewrowych, oddały strzały. Turbolaserowe wiązki z sykiem pomknęły przez atmosferę w stronę dwóch największych powietrznych baz obronnych Ukio. Taką właśnie sekwencję zdarzeń obserwował Pellaeon. Ukianom, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu zamaskowanych krążowników, musiało się wydawać, iż oddane przez „Chimerę” salwy bez problemu pokonały nieprzenikliwe dotąd pole ochronne planety.

- Nadawana przez nich trzecia wiadomość została nagle przerwana - zameldował oficer łącznościowy z wyraźną ironią. - Chyba zdołaliśmy ich zaskoczyć.

- Utwierdźmy ich w przekonaniu, że to nie był dla nas jedynie łut szczęścia - powiedział Thrawn. -Przygotujcie się do drugiej serii strzałów. Mistrzu C’baoth?

- Krążowniki są gotowe.

- Działo turbolaserowe numer dwa: na mój sygnał rozpocząć drugą serię strzałów. Trzy... dwa... jeden... ognia! Ponownie wystrzeliły z „Chimery” zielone smugi i znów zamaskowane krążowniki z wielką precyzją oddały swoje salwy.

- Dobra robota- pochwalił Thrawn. - Mistrzu C’baoth, przesun krążowniki na pozycje wyznaczone do oddania trzeciej i czwartej serii strzałów.

- Jak pan każe, admirale. Pellaeon bezwiednie skulił się w sobie. Czwarta seria strzałów miała zostać wycelowana w dwa z trzydziestu zachodzących na siebie generatorów ukiańskiego pola planetarnego. Przypuszczenie tego ataku oznaczałoby, iż Thrawn porzucił swój główny zamiar, jakim miało być przejęcie systemu obronnego planety bez uszkodzenia go.

- Halo, imperialny niszczyciel gwiazdny „Chimera”. Tu Tol dosLla ze starszyny Ukio - doleciał z głośnika interkomu nieco drżący głos. - Prosimy, byście zaprzestali bombardowania Ukio. Chcemy uzgodnić warunki kapitulacji.

- Moje warunki są bardzo proste - rzekł Thrawn. - Zaczniecie od wyłączenia pola ochronnego planety i pozwolicie wylądować moim oddziałom. Następnie przekazacie im kontrolę nad generatorami pola i nad całą bronią typu ziemia-przestrzeń. Wszystkie pojazdy zbrojne większe od śmigaczy zostaną skierowane do wydzielonych baz wojskowych, gdzie nadzór nad nimi będzie sprawować Imperium. Choć, naturalnie, zasadniczo nadal będziecie suwerenni - w waszych rękach pozostanie cały system polityczny i społeczny. O ile, oczywiście, wasi ludzie będą się należycie sprawować.

- A kiedy już te zmiany zostaną wprowadzone w życie?

- Wtedy staniecie się częścią Imperium i będziecie zobligowani do przestrzegania wynikających z tego faktu praw i obowiązków.

- Nie zostaniemy obarczeni zwiększonym podatkiem wojennym? - spytał podejrzliwie dosLla. - Nie będzie przymusowego poboru do wojska naszej młodzieży? Pellaeon wyobraził sobie złowieszczy uśmiech, który niewątpliwie zagościł teraz na twarzy wielkiego admirała. Nie, Imperium już nigdy więcej nie będzie się musiało kłopotać przymusową rekrutacją. Zapewnia mu to zgromadzona przez Imperatora kolekcja komór do klonowania spaarti, którą ma obecnie w swoim posiadaniu.

- Odpowiedź na pańskie drugie pytanie brzmi: nie. A co się tyczy pierwszego, będzie to zależało od okoliczności - oznajmił Ukianinowi Thrawn. - Niewątpliwie zdajecie sobie sprawę z tego, że większość kontrolowanych przez Imperium planet płaci w tej chwili zwiększony podatek wojenny. Niemniej jednak istnieją pewne wyjątki i

jest wysoce prawdopodobne, że wasz wkład w wojnę ograniczy się jedynie do zwiększenia produkcji żywności i pełniejszego wykorzystania waszych zakładów przetwórczych. Rozmówca wielkiego admirała przez dłuższą chwilę milczał. Pellaeon uświadomił sobie, że dosLla nie jest głupcem i doskonale rozumie, jakie plany wiąże z jego planetą Thrawn. Najpierw Imperium przejmie bezpośrednią kontrolę nad systemem obronnym Ziemia-Przestrzeń; następnie zacznie nadzorować sposób rozdziału żywności, zakłady przetwórstwa spożywczego, a wreszcie farmy i rozległe pastwiska; i w bardzo krótkim czasie cała planeta zostanie zepchnięta do roli zaplecza żywnościowego dla imperialnej maszyny wojennej. Ukianin wiedział jednak, iż alternatywą jest stać bezradnie z boku i patrzeć, jak jego planeta jest bezlitośnie i doszczętnie niszczona.

- Halo, „Chimera”, w geście dobrej woli wyłączymy planetarne pole ochronne - rzekł w końcu prowokacyjnie dosLla, choć w jego głosie dało się też wyczuć nutę rezygnacji.
- Ale zanim przekażemy generatory i broń Ziemia-Przestrzeń imperialnym siłom zbrojnym, chcemy uzyskać jakąś gwarancję bezpieczeństwa dla mieszkańców Ukio i ich ziem.

- Naturalnie - rzucił Thrawn bez cienia satysfakcji, którą niechybnie zdradziłoby w takiej chwili większość imperialnych dowódców. Pellaeon nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, iż był to zabieg kurtuazyjny, zaplanowany równie starannie jak cały atak. Stworzenie starszyźnie ukiańskiej okazji do tego, by mogła się poddać z godnością, bez wątpienia osłabi jej opór wobec zwierzchnictwa Imperium aż do czasu, gdy na jakikolwiek sprzeciw będzie już za późno. - Zaraz wyślę swoje go przedstawiciela, który przedyskutuje z waszym rządem szczegółowe warunki - ciągnął admirał. - Zakładam, iż nie macie nic przeciwko temu, by nasze siły zajęły tymczasem wstępne pozycje obronne? - Ostatni rozkaz

- Nie zgłaszamy sprzeciwu - powiedział dosLla z ociąganiem, wzdychając przy rym nieznacznie. - Wyłączamy pole ochronne. Widoczna uprzednio na monitorze niebieskawa mgiełka teraz się rozplynęła.

- Mistrzu C'baoth, niech krążowniki przesuną się gdzieś dalej - rozkazał Thrawn. - Nie chcemy, by wpadły na nie jakieś statki desantowe. Generale Covell, może pan przystąpić do przetransportowania pańskich ludzi na powierzchnię Ukio. Niech zajmą rutynowe pozycje obronne wokół wszystkich celów.

- Zrozumiałem, panie admirał - zameldował Covell nieco urażonym tonem. Pellaeon uśmiechnął się pod nosem. Dopiero dwa tygodnie temu najwyżsi dowódcy armii i floty zostali wtajemniczeni w związany z górą Tantiss projekt produkcji klonów; Covell był jednym z tych, którzy nie zdołali się jeszcze w pełni oswoić z tą nowiną. Jego sceptyczne nastawienie mogło mieć także związek z tym, że spośród kompanii, które miał właśnie sprowadzić na planetę, trzy składały się wyłącznie z klonów. Na hologramie taktycznym pojawiła się pierwsza fala statków desantowych i stanowiących ich eskortę myśliwców, które właśnie opuściły hangary „Chimery” i „Jastrzębia”. Wszystkie ruszyły w stronę obranych uprzednio celów. Załogi statków desantowych, które miały niebawem przystąpić do wykonania imperialnych rozkazów, składały się wyłącznie z klonów. Parę minut temu doskonale wywiązały się ze swojego zadania na spowitych polem maskującym krążownikach. Pellaeon zmarszczył brwi, gdyż nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. Czyżby C'baoth był w stanie tak sprawnie kierować ogromną załogą dlatego, że składała się ona jedynie z wariantów około dwudziestu różnych umysłów? Czy też dlatego - co wydawało się jeszcze bardziej niebezpieczne - iż Joruss C'baoth tak naprawdę sam był klonem? Tak czy inaczej, czy nie oznaczało to przypadkiem, że projekt Tantiss daje starcowi konkretne atuty w jego walce o władzę? Takie niebezpieczeństwo wydawało się całkiem realne. Kolejna sprawa, na którą będzie musiał zwrócić uwagę Thrawn'owi. Kapitan zerknął na starca, ponieważ przypominając sobie, że w obecności mistrza Jedi niczyje myśli nie są jego prywatną własnością. Ale C'baoth, umyślnie czy też nie, nawet na niego nie spojrział. Z zamglonymi oczami i ściągniętą twarzą wpatrywał się nieruchomo przed siebie. Na jego ustach zaczął igrzać lekki uśmiech.

- Mistrzu C'baoth?
- Oni tam są - wyszeptał starzec ochryplym głosem. - Są tam - powtórzył już nieco głośniej. Pellaeon obrzucił zdumionym spojrzeniem hologram taktyczny.
- Kto i gdzie? - spytał.
- Są na Filve - oznajmił C'baoth i z szaleńczym błyskiem w oku spojrzął na kapitana.
- Moi Jedi są na Filve.
- Mistrzu C'baoth, upewnij się, że krążowniki zajęły skrajne pozycje - rozległ się surowy głos Thrawna. - A potem zdaj mi raport z przebiegu ataków pozorujących...
- Moi Jedi są na Filve - przerwał mu starzec. - Co mnie obchodzą twoje ataki?
- C'baoth... Mistrz Jedi wyłączył interkom machnięciem ręki.
- No, Leio Organo Solo - wyszeptał łagodnie - teraz jesteś moja. „Sokół Milenium” skręcił gwałtownie w prawo, w ostatniej chwili umykając imperialnemu myśliwcowi; ogień wrogich dział laserowych raził wściekle pustą przestrzeń, nie mogąc osiągnąć republikańskiego transportowca. W wyniku raptownego manewru statkiem porządnie zatrzęsło; zacisnąwszy mocno zęby Leia Organo Solo patrzyła, jak jeden z eskortujących „Sokoła” pojazdów celnym strzałem zamienił imperialny myśliwiec w chmurę ognistego pyłu. Widoczne przez klapę kabiny niebo zawirowało, gdy republikański transportowiec powrócił na właściwy kurs.
- Uwaga! - jęknął siedzący za plecami księżniczki Threepio, gdy z warkotem silników zaczął się ku nim zbliżać kolejny myśliwiec Imperium. Ostrzeżenie było zbyt późne: z pozoru niezgrabny „Sokół” już ustawiał się tak, by stworzyć odpowiednią pozycję strzelecką dla umieszczonego pod kadłubem dział laserowego. Mimo iż drzwi kabiny pilota były zamknięte, Leia usłyszała słaby odgłos potężnego okrzyku wojennego Wookiech i parę sekund później imperialny pojazd podzielił los swego poprzednika.
- Dobry strzał, Chewie - zawołał do interkomu Han Solo, ponownie wyrównując lot maszyny. - Wedge?
- Ciągle jestem z wami - rozległ się natychmiast głos Antilles'a. - Na razie mamy spokój, ale już leci w naszym kierunku kolejna fala myśliwców Imperium.
- Tak. - Han zerknął na żonę. - No, kochanie, decyzja należy do ciebie. W dalszym ciągu masz zamiar tu wylądować? Threepio wydał z siebie krótkie, elektroniczne westchnienie.
- Ależ kapitanie Solo, nie sugeruje pan chyba...
- Zamknij się, Złota Tyczko - przerwał mu Han bez ogródek. - Leia. Księżniczka popatrzyła przez klapę kabiny na imperialny niszczyciel gwiazdny i osiem pancerników widocznych na tle obleganej przez nie planety. Wrogie statki stłoczyły się wokół Filve jak minoki dokoła nieosłoniętego generatora mocy. To miała być jej ostatnia misja dyplomatyczna przed narodzeniem bliźniąt: krótki wypad, mający na celu ułagodzenie zaniepokojonych władz Filve i przekonanie planet w tym sektorze, że Nowa Republika jest zdecydowana ich bronić. Chyba nie bardzo się to powiodło...
- Nie ma szans, byśmy zdołali się tam dostać - stwierdziła niechętnie. - A nawet gdyby się to udało, wątpię, żeby Filvianie odważyli się na wyłączenie pola planetarnego, by nas tam wpuścić. Lepiej się stąd zabierajmy.
- Świetny pomysł - mruknął Han. - Wedge? Wycofujemy się. Trzy macie się blisko nas.
- Zrozumiałem. Musicie nam dać kilka minut na skalkulowanie skoku w nadprzestrzeń.
- Nie zawracajcie sobie głowy - rzucił Solo, odwracając się do komputera nawigacyjnego. - Podamy wam odpowiednie współrzędne.
- Dobra - rzekł Antilles. - Żelazny Dywizjon: szyk osłonowy.
- Wiesz, zaczynam już mieć dosyć tego wszystkiego - oznajmił żonie Han, znów siadając twarzą do przyrządów. - O ile się nie mylę, mówiłaś, że ci twoi Noghri mieli cię wreszcie zostawić w spokoju.
- To nie ma nic wspólnego z Noghrimi - potrząsnęła głową Leia, czując nagle jakiś niesprecyzowany niepokój. Czyżby się jej wydawało, czy też oblegające Filve

imperialne statki rzeczywiście zaczęły zmieniać szyk? - To wielki admirał Thrawn urządził sobie zabawę przy pomocy pancerników z Ciemnej Floty.

- Tak - przyznał cicho Solo i księżniczka aż się skuliła, słysząc, jak wielka gorycz zabrzmiała w jego głosie. Mimo iż wszyscy gorąco przekonywali Han, że jest inaczej, on w dalszym ciągu uważał, iż jest osobiście odpowiedzialny za to, że bezpańskie statki z Floty Katakumby – zwanej Ciemną Flotyllą – trafiły w ręce Thrawna, a nie Nowej Republiki. – Nie sądziłem, że zdoła je tak szybko doprowadzić do użytku - dodał po chwili, ustawiając „Sokoła” tyłem do Filve, a przodem do pustki kosmosu. Leia z trudem przełknęła ślinę. Dziwny niepokój nadal nie ustępował.

- Może ma dostatecznie dużo komórek klonujących spaarti, by oprócz żołnierzy wyprodukować też inżynierów i techników.

- To rzeczywiście zabawna myśl - rzucił Han. Księżniczka wyczuła, że jego także coś zastanowiło. - Wedge - zawołał do nadajnika - zerknij w stronę Filve i powiedz, czyja mam jakieś przywidzenia. Z głośnika rozległo się zdumione westchnienie Antilles'a.

- Chodzi ci o to, że cała Flota Imperium przerwała atak i rusza w naszą stronę?

- Właśnie.

- To chyba nie jest przywidzenie - stwierdził Wedge. - Najwyższy czas stąd zmykać.

- Tak - wycedził Solo. - Możliwe. Leia obrzuciła męża zdziwionym spojrzeniem. Coś w głosie Hana ją zastanowiło...

- Han?

- Filvianie na pewno wezwaliby pomoc przed podniesieniem pola planetarnego, prawda? - zwrócił się Solo do księżniczki. Miał zamysłony wyraz twarzy.

- Tak - rzekła ostrożnie Leia.

- A najbliższa baza Nowej Republiki to Ord Pardron, tak?

- To prawda.

- Dobra. Żelazny Dywizjon: zmieniamy kurs nieco w prawo. Trzy mającie się blisko mnie. Han nacisnął jakiś klawisz na tablicy przyrządów i „Sokół” wszedł w ostry skręt.

- Uważaj! - rzucił ostrzegawczo Wedge. - W ten sposób kieruje się znowu ku grupie imperialnych myśliwców.

- Nie zalecimy aż tak daleko - zapewnił go Solo. - A oto nasz nowy kurs. - Wyrównał lot maszyny w nowo obranym kierunku i zerknął na tylny monitor kontrolny. - Dobrze: wciąż nas ścigają. Ze stojącego za jego plecami komputera nawigacyjnego rozległo się piknięcie informujące o tym, że współrzędne do skoku w nadprzestrzeń są już gotowe.

- Wedge, mamy dla ciebie te współrzędne - oznajmiła Leia, sięgając do nadajnika.

- Poczekajcie chwilę - przerwał jej Antilles. - Mamy towarzystwo z prawej. Księżniczka spojrzała we wskazanym kierunku i poczuła nagły ucisk w gardle. Nadciągające myśliwce Imperium zbliżały się bardzo szybko i były już na tyle blisko, że mogły przechwycić ewentualną wiadomość skierowaną przez „Sokoła” do jego eskorty. Podanie teraz Wedge'owi współrzędnych skoku w nadprzestrzeń byłoby otwartym zaproszeniem do tego, by po drugiej stronie czekał na nich imperialny komitet powitalny.

- Może ja mógłbym pomóc, Wasza Wysokość - zaofiarował się natychmiast Threepio. - Jak pani wiadomo, umiem się biegle komunikować na ponad sześć milionów sposobów. Mógłbym na przykład przesłać kapitanowi Antilles'owi te współrzędne w handlowym języku burdist lub vaathkree...

- A potem przesłałbyś mu tłumaczenie? - ostudził go Han.

- Naturalnie... - Android urwał nagle. - O rety - powiedział z za kłopotaniem.

- No, nic się nie martw - rzucił Solo. - Wedge, dwa lata temu byłeś na Xyquine, prawda?

- Tak. Rozumiem. Manewr Krakena?

- Właśnie. Zaczynamy na dwa: raz, dwa. Przez kłapę w kabinie pilota Leia zobaczyła, że republikańskie myśliwce ustawiają się wokół „Sokoła” w jakimś skomplikowanym szyku.

- Co nam to da? - Spytała.
- Możliwość ucieczki - odparł Han, ponownie zerkając na tylny monitor kontrolny. - Weź te współrzędne, dodaj dwa do ostatniej cyfry każdej liczby i prześlij wynik Wedge'owi.
- Rozumiem - pokiwała głową księżniczka i zabrała się do pracy. Zmiana drugiej cyfry nie wpłynie znacząco na zmianę kierunku ich ucieczki, a w związku z tym Imperium bez wątpienia nabierze się na tę sztuczkę; jednocześnie ta drobna korekta sprawi, że ewentualna oblawa będzie czekała dobre kilka lat świetlnych od faktycznego celu. - Sprytne. A ten manewr myśliciów był jedynie przykrywką dla całej operacji?
- Dokładnie. Postronnemu obserwatorowi wydaje się, że tylko o to chodziło. To taka mała sztuczka, którą wymyślił Pash Kraken po nieudanej akcji w okolicach Xyquine. - Solo jeszcze raz spojrział na tylny monitor. - Chyba mamy dostateczną przewagę, by się z nimi jeszcze trochę pobawić.
- To nie skaczemy w nadprzestrzeń? - Zaniepokoiła się Leia. Natychmiast stanęła jej przed oczami pewna niemiła historia: szalona ucieczka z Hoth, kiedy to siedział im na karku Darth Vader i cała jego flota, a w krytycznym momencie okazało się, że układ napędu nadprzestrzennego jest zepsuty...
- Nie martw się, kochanie - rzucił Han, zerkając na nią spod oka. - Dzisiaj napęd nadprzestrzenny działa doskonale.
- Miejmy nadzieję - mruknęła bez przekonania.
- Dopóki nas ścigają, nie stanowią zagrożenia dla Filve - ciągnął Solo. - I im dalej ich stąd odciągniemy, tym więcej mamy czasu posiłkom, które mają nadejść z Ord Pardron. Księżniczka już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, ale przeszkodził jej oślepiąco zielony błysk salwy, która dosłownie o milimetry minęła kadłub „Sokoła”.
- Wiesz co, myślę, że daliśmy im już dostatecznie dużo czasu - oznajmiła mężowi. Poczwała, jak ukryte w jej wnętrzu dzieci drżą z nie pokoju. - Czy możemy się stąd wreszcie wynieść? Kolejny strzał odbił się od górnej powłoki ochronnej statku.
- Tak, chyba masz rację - przyznał Solo. - Wedge? Jesteś gotów, by opuścić to przyjęcie?
- W każdej chwili - zameldował Antilles. - Ruszajcie. Polecimy za wami, gdy tylko trochę oczyścimy teren.
- Dobra. - Han ujął dźwignie napędu nadprzestrzennego i pociągnął je delikatnie do siebie. Widoczne przez kłapę kabiny gwiazdy ustąpiły miejsca świetlnym smugom. Byli już bezpieczni. Leia nabrała głęboko w płuca powietrza i powoli je wypuściła. Czwała, że bliźnięta w dalszym ciągu są podenerwowane i postanowiła sięgnąć do nich umysłem, by je uspokoić. Często przychodziło jej do głowy, że to zupełnie niepowtarzalne doznanie dotykać umysłów istot, które zamiast słów i obrazów posługują się jedynie uczuciami i doznaniem. Było to coś zupełnie innego niż kontakt z umysłami Hana, Luke'a czy innych przyjaciół. A także coś skrajnie różnego od dotyku tajemniczego umysłu, który z daleka koordynował atak imperialnych sił zbrojnych. Drzwi za plecami Leii rozsunęły się i do kabiny wszedł Chewbacca.
- Nieźle strzelałeś, Chewie - pochwalił Wookiego Solo, gdy potężny futrzak opadł na miejsce pasażera po lewej stronie kabiny, obok Threepia. - Miałeś jakieś kłopoty z dźwignią poruszającą działą w poziomie? Chewbacca zaprzeczył burkliwie. Na chwilę utkwiał w księżniczce badawcze spojrzenie ciemnych oczu, po czym wymruczał jakieś pytanie.
- Nic mi nie jest - zapewniła Chewiego Leia, tłumiąc łzy, które niewiedomo dlaczego napłynęły jej nagle do oczu. -Naprawdę. Zerknęła na męża, który także patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.
- Coś cię zaniepokoiło? - spytał. - To był tylko zwykły atak Imperium. Nie ma się czym przejmować.
- Nie o to chodzi, Han - potrząsnęła głową księżniczka. - Tam było coś jeszcze. Jakby... - Znow pokręciła głową. - Sama nie wiem.

- Może to było coś podobnego do niemocy, jaką odczuła pani pod Endorem - podsunął skwapliwie Threepio. - No, wtedy jak pani zasłała, gdy ja i Chewbacca naprawialiśmy... Wookie warknął ostrzegawczo i android urwał raptownie, ale było już za późno.
- Nie, pozwól mu mówić - odezwał się Solo, spoglądając na żonę z podejrzliwością i niepokojem. - Co to była za niemoc?
- Han, to naprawdę nic takiego - zapewniła Leia, biorąc go za rękę. - Na orbicie, którą początkowo obraliśmy nad Endorem, w pewnym momencie znaleźliśmy się w miejscu, gdzie eksplodowała Gwiazda Śmierci. Przez kilka sekund odczuwałam blisko siebie obecność Imperatora. To wszystko.
- Ach, to wszystko - powtórzył Solo ironicznie, gromiąc Chewbackę wzrokiem. - Martwy Imperator usiłuje cię złapać w swoje sidła, a ty nawet nie uważasz za stosowne mi o tym powiedzieć?
- Nie gadaj głupstw - zbeształa go księżniczka. - Naprawdę nie było powodu do niepokoju: wszystko szybko się skończyło i nie miałam już dalszych sensacji. Mówię serio. Zresztą w okolicach Filve odczuwałam coś zupełnie innego.
- Miło mi to słyszeć - rzucił Han, nie dając za wygraną. - A czy po powrocie dałaś się przebadać lekarzom?
- No, w zasadzie nie miałam ani chwili wolnej...
- Doskonale. W takim razie zrobisz to zaraz, jak wrócimy na Coruscant. Leia z westchnieniem pokiwała głową. Znała ten ton; a poza tym sama nie była pewna, co w tej sytuacji należy zrobić.
- Dobrze, o ile znajdę na to czas.
- Postarasz się o to, kochanie - oznajmił rozkazująco Solo. - A jak nie, to każę Luke'owi, gdy tylko wróci, zamknąć cię w centrum medycznym. Mówię poważnie. Księżniczka ścisnęła męża za rękę, w tej samej chwili czując ucisk w sercu. Lukę, sam gdzieś daleko na terytorium Imperium... Ale z nim wszystko było w porządku. Nie mogło być inaczej.
- Dobrze - zwróciła się do męża. - Dam się przebadać. Obiecuję.
- Doskonale - powiedział, przyglądając się jej badawczo. - A co takiego odczułaś tam, na Filve?
- Nie wiem. - Zawahała się na chwilę. - Może to było uczucie podobne do tego, jakiego Lukę doświadczył na „Katanie”. Wiesz, kiedy na statku wylądowała grupa imperialnych klonów.
- Tak - rzucił Han z powątpiewaniem. - Możliwe. Chociaż te pancerniki były bardzo daleko.
- Ale na pewno było na nich dużo więcej klonów.
- Tak, możliwe - powtórzył Solo. - No cóż... Chyba zabierzemy się z Chewiem do reperowania tego jonowego stabilizatora topnikowego, nim całkiem wysiądzie. Kochanie, poradzisz sobie tutaj sama? - Oczywiście - zapewniła Leia, ciesząc się, że ta niepokojąca rozmowa dobiegła wreszcie końca. - Możecie spokojnie iść. O innej ewentualności wołała w tej chwili nie myśleć. Od dawna krążyły plotki, że Imperator był w stanie używać Mocy do sprawowania bezpośredniej kontroli nad swoimi siłami zbrojnymi. Jeśli ów mistrz Jedi, którego Lukę spotkał na Jomarku, posiadał tę samą umiejętność... Księżniczka pogładziła ręką brzuch, koncentrując się na drzemiających w jej wnętrzu maleńkich umysłach. Nie, teraz zdecydowanie nie miała ochoty się nad tym zastanawiać.
- Zakładam - powiedział Thrawn z właściwym sobie spokojem - że zechcesz się jakoś wytłumaczyć. C'baoth powoli, z namaszczeniem podniósł głowę znad podwójnego rzędu monitorów w kabinie dowodzenia i spojrział na wielkiego admirała. Na wielkiego admirała, a także - z nieskrywaną pogardą - na isalamira rozciągniętego na stelażu przewieszonym przez ramię Thrawna.
- A czy ty, admirale, także masz coś na swoje wytłumaczenie? - spytał hardo.

- Przerwałeś atak pozorujący na Filve - rzekł Thrawn, ignorując pytanie starca. - A następnie posłałeś całą flotę w bezsensowny pościg donikąd.

- A ty, wielki admirale, nie zdołałeś sprowadzić do mnie moich Jedi - odparował C'baoth. Pellaeon z niepokojem zauważył, że mistrz Jedi stopniowo podnosi głos. - Ty, twoi ograniczeni Noghri, całe Imperium: wszyscy zawiedliście.

- Czyżby?- rzucił Thrawn, mrużąc swoje czerwone, gorejące oczy. - A czy to także nasza wina, że nie udało ci się zatrzymać Luka Skywalkerera, kiedy dostarczyliśmy ci go na Jomark?

- To nie wy go dostarczyliście - zaprzeczył żywo starzec. - Sprowadziłem go tam dzięki Mocy...

- To wywiad Imperium rozpuścił pogłoskę, że powrócił Jorus C'baoth i że widziano go na Jomarku - przerwał mu admirał lodowatym tonem. - Zawiózł cię tam statek Imperium; to nasi ludzie zbudowali i wyposażyli dla ciebie dom; to imperialni inżynierowie skonstruowali zamaskowaną wyspę, która służyła ci za lądowisko. My jako Imperium zrobiliśmy to, co do nas należało, by Skywalker wpadł w twoje ręce. To ty nie potrafiłeś go przy sobie zatrzymać.

- Nie! - warknął C'baoth. - Skywalker opuścił Jomark dlatego, że Mara Jade wymknęła się wam spod kontroli i zwróciła jego umysł przeciwko mnie. I zapłaci mi za to. Słyszysz? Słono mi za to zapłaci. Thrawn przez chwilę milczał.

- Całą flotę skierowaną do ataku na Filve rzuciłeś w pościg za „Sokołem Milenium” - powiedział w końcu, odzyskawszy panowanie nad sobą. - Czy udało ci się schwycić Leię Organę Solo?

- Nie - mruknął starzec. - Ale to nie dlatego, że ona nie chce do mnie przyjść. Chce. Tak samo zresztą jak Skywalker. Admirał wymienił szybkie spojrzenia z Pellaeon'em.

- Ona chce do ciebie przyjść? - spytał.

- Bardzo - odparł C'baoth z błogim uśmiechem. Jego głos stracił nagle stanowczość, stał się prawie marzycielski... - Chce, abym uczył jej dzieci - ciągnął, omiatając wzrokiem kabinę dowodzenia - bym przekazał im tajniki nauki Jedi. Bym je ukształtował na swój własny obraz. Ponieważ to ja jestem jedynym mistrzem. - Ponownie spojrzał na Thrawna. - Musisz ją do mnie przyprowadzić, wielki admirale - rzekł z powagą i błaganiem w głosie. - Musimy ją uwolnić od ograniczeń, jakich doświadcza wśród ludzi, którzy boją się jej Mocy. Jeśli tego nie zrobimy, zniszczą ją.

- Naturalnie, że to zrobimy - powiedział Thrawn łagodnie. - Ale musisz zostawić to zadanie mnie. Potrzebuję jeszcze trochę czasu. C'baoth w zamyśleniu zmarszczył brwi, odruchowo sięgając po ukryty pod długą brodą medalion. Patrząc na niego, Pellaeon poczuł nagły dreszcz. Wielokrotnie był już świadkiem podobnych scen, ale jakoś nie mógł się przyzwyczaić do nagłych zmian nastroju tego szalonego kłona. Wiedział, że problem ten dotyczy wszystkich wczesnych eksperymentów z klonami: trwałe rozchwianie uczuciowe i emocjonalne, odwrotnie proporcjonalne do długości cyklu produkcji danego duplikatu. Nie ocalało zbyt wiele prac naukowych z czasów wojen klonowych, ale kapitan natknął się na jakąś rozprawkę, której autor dowodził, iż żaden klon, wyhodowany w okresie krótszym niż rok, nie będzie dostatecznie zrównoważony, by przeżyć poza ściśle kontrolowanym środowiskiem. Biorąc pod uwagę zniszczenia, jakie spowodowali w całej galaktyce, Pellaeon zawsze zakładał, że mistrzowie klonowania znaleźli w końcu choćby częściowe rozwiązanie tego problemu. A czy udało im się ustalić właściwą przyczynę szaleństwa - to już zupełnie inna kwestia. Bardzo możliwe, iż dopiero Thrawn będzie tym, który to zrozumie.

- A, więc dobrze, admirale - odezwał się nagle C'baoth. - Dam panu jeszcze jedną szansę. Ale ostrzegam: ta będzie już naprawdę ostatnia. Potem wezmę sprawy w swoje ręce. - Patrząc pod krzaczaste brwi oczy błysnęły złowieszczo. Jeszcze jedno:, jeśli nie jest pan w stanie wypełnić tak prostego zadania, to być może dojdę do przekonania, że nie zasługuje pan na to, by dowodzić siłami zbrojnymi Imperium. W oczach Thrawna zapłonął gniew, ale admirał jedynie skłonił nieznacznie głowę.

- Przyjmuję twoje wyzwanie, mistrzu C'baoth.

- To dobrze. - Starzec ostentacyjnie rozparł się na swoim krześle i zamknął oczy. - A teraz może pan odejść, admirale. Chciałbym trochę pomedytować i zaplanować przyszłość dla moich Jedi. Przez dłuższą chwilę Thrawn patrzył na starca nie widzącymi oczyma. W końcu przeniósł wzrok na Pellaeona.

- Kapitanie, pójdzie pan ze mną na mostek - rozkazał. - Chcę, by pan dopilnował prac dotyczących systemu obronnego na Ukio.

- Tak jest, panie admirale - rzucił Pellaeon, rad z tego, że nie bę dzie już musiał dotrzymywać towarzystwa mistrzowi Jedi. Przystanął na chwilę, gdyż nagle uderzyła go pewna myśl. Chyba była jakaś sprawa, o której zamierzał porozmawiać z Thrawnem? Był niemal pewien, że tak. To miało jakiś związek z C'baothem, klonami i operacją Góra Tantiss...

Ale teraz wypadło mu to z głowy. Odsunął od siebie tę kwestię, wzruszając ramionami. We właściwym czasie na pewno wszystko sobie przypomni. Obszedł krąg monitorów i ruszył za swoim dowódcą w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ II

Miejsce to nazywało się Kalius saj Leeloo, Miasto Błyszczącego Kryształu z Berchest, i już od początku istnienia Starej Republiki było uważane za jeden z najwspanialszych cudów galaktyki. Całe miasto było ni mniej, ni więcej, tylko jednym gigantycznym kryształem; powstało na przestrzeni eonów ze słonych kropli ciemnoczerwonych wód morza Leefari, które podmywało brzegi niewysokiego urwiska. Istnienie miasta zapoczątkowali miejscowi rzemieślnicy berchestiańscy, którzy przez dziesiątki lat z mozołem wyciosywali je z bryły kryształu; później kontrolę nad powolnym rozrastaniem się osady przejęli ich potomkowie. W czasach świetności Starej Republiki Kalius stanowiło jedną z największych atrakcji turystycznych. Miliony istot, które się tamtędy przewijały, by podziwiać oszałamiające piękno miasta i całej galaktyki, zapewniały jego mieszkańcom dostatnie życie. Ale zamęt, jaki zapanował podczas wojen klonowych, a następnie - po ich zakończeniu - powstanie Imperium, niemal całkowicie zahamowały ruch turystyczny. W związku z tym Kalius było zmuszone szukać innych źródeł utrzymania. Na szczęście, przemysł turystyczny zostawił w spadku utarte szlaki handlowe pomiędzy Berchestem a większością liczących się układów w galaktyce. Było, więc zupełnie oczywiste, że Berchestianie postanowili przekształcić swoje miasto w centrum handlowe; i mimo iż Kalius nie dorównywało poziomem Svivrenowi czy Ketaris, w dużej mierze im się to udało. Jedyne problemy polegały na tym, że owo centrum handlowe leżało w części galaktyki kontrolowanej przez Imperium. Na zatłoczonej ulicy pojawił się oddział szturmowców; w otoczeniu kanciastych, ciemnoczerwonych budynków ich białe zbroje przybrały czerwony odcień. Lukę Skywalker skrzętnie usunął im się z drogi i mocniej naciągnął kaptur na oczy. Nie wyczuwał w szturmowcach jakiegś wzmożonej czujności, ale na terenie Imperium nie było sensu ryzykować. Żołnierze przeszli obok, obdarzając go zaledwie przelotnymi spojrzzeniami. Z cichym westchnieniem ulgi Lukę powrócił do kontemplowania uroków miasta. Ponura obecność szturmowców i członków załóg Floty Imperialnej, którzy mieli akurat przerwę przed następnym lotem, a także przemysłowców, którzy kręcąc się w poszukiwaniu pracy nadawali osadzie pseudohandlowy charakter, dziwnie kontrastowała z sielankowym pięknem miasta. Gdzieś pośród tego spokojnego piękna czaiło się znacznie większe niebezpieczeństwo niż szturmowcy. Grupa klonów. W każdym razie tak przynajmniej uważał wywiad Nowej Republiki. Pracowite badania nad tysiącami imperialnych komunikatów, które udało mu się przechwycić, pozwoliły wyciągnąć wniosek, że Kalius i układ Berchestu to jeden z punktów przerzutu nowej fali ludzkich duplikatów, którymi zaczęto obsadzać statki i wojskowe promy transportowe, wchodzące w skład floty wojennej wielkiego admirała Thrawna. Tę falę należało powstrzymać, i to jak najszybciej. A to oznaczało konieczność odnalezienia komór do klonowania i zniszczenia ich. W związku z tym najpierw trzeba było - znając punkt

przerzutu - ustalić, skąd owe klony przybywają, a przede wszystkim upewnić się, czy istotnie trafiają do Kalius. Dwie przecznice dalej, zza rogu wyłoniła się grupka mężczyzn ubranych w szaty handlarzy svivreńskich; tak jak to czynił już wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni, Lukę sięgnął ku nim Mocą. Wystarczyła zaledwie chwila, by stwierdzić, że handlarzy nie otacza owa dziwna aura, jaką wyczuł wokół klonów, które zaatakowały ich na pokładzie „Katany”. Ale jednocześnie jego uwagę przykuło coś innego; coś, czego omal nie przegapił w powodzi myśli i emocji ludzi i obcych, które wirowały wokół niego niczym ziarenka piasku w czasie pustynnej burzy. Skywalker wyczuł trzeźwy, chłodno kalkulujący umysł, z którym - był tego pewien - miał już wcześniej do czynienia, ale z powodu unoszącej się między nimi mgiełki psychicznych zakłóceń nie umiał go teraz zidentyfikować. Za to posiadacz tego umysłu był w pełni świadomy obecności Luka w Kalius. Co więcej, właśnie go obserwował. Na twarzy Skywalkera pojawił się grymas niepokoju. Był sam na terytorium wroga. Swoją statek zostawił dwa kilometry dalej, na miejskim lądowisku, a jego jedyną broń stanowił miecz świetlny, który - w razie konieczności jego użycia - natychmiast zdradziłby tożsamość jego właściciela. Wszystko to sprawiało, że Lukę nie czuł się tutaj zbyt pewnie. Ale miał do dyspozycji Moc... I wiedział, że ktoś go śledzi. A zatem nie był tak całkiem bez szans. Parę metrów na lewo od niego znajdowało się wejście do długiego, półkolistego sklepionego tunelu, który stanowił część mostu przeznaczoną dla pieszych. Lukę skręcił w tunel i przyspieszył kroku. Wcześniej przeglądał mapy miasta i teraz starał się sobie przypomnieć, dokąd prowadzi ten most. W końcu doszedł do wniosku, że na drugą stronę lodowatej rzeki, ku wyżej położonej części miasta, gdzie mieszkali lepiej sytuowani obywatele i skąd roztaczał się widok na morze. Wyczuł, że śledzący go osobnik także wszedł za nim do tunelu; a kiedy Skywalker odsunął od siebie zaciemniający jego umysł zgiełk zatłoczonych rejonów targowych, udało mu się wreszcie zidentyfikować tajemniczego człowieka. Okazało się, że nie jest aż tak źle, jak się obawiał. Ale nie było też tak całkiem różowo. Lukę z westchnieniem zatrzymał się. Postanowił zaczekać. Sklepienie przejście przez rzekę, delikatnie zakrzywione tak, że nie było widać jego początku ani końca, nadawało się na konfrontację równie dobrze jak każde inne miejsce. Podążający za Skywalker'em osobnik dotarł właśnie do zakrętu i, jakby spodziewając się, że jego ofiara będzie tam na niego czekać, zatrzymał się w takim miejscu, by nie być widocznym. Jedi sięgnął umysłem na zewnątrz i wyłowił odgłos wyciąganego blastera...

- Wszystko w porządku - zawołał cicho. - Jesteśmy sami. Możesz wyjść. Tajemniczy osobnik wahał się przez ułamek sekundy; Lukę wyczuł u niego lekkie zdziwienie. Po chwili zza rogu wyłonił się Talon Karrde.

- Widzę, że świat nie wyczerpał jeszcze wszystkich sposobów, by mnie zadziwić - stwierdził przemytnik. Lekko skinął Luke'owi głową na powitanie i schował blaster do kabury. - Z twojego zachowania wy wnioskowałem, że jesteś szpiegiem Nowej Republiki. Choć muszę przyznać, iż zupełnie się nie spodziewałem, że to właśnie ciebie tutaj przyślą. Skywalker przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy, starając się określić jego nastawienie. Kiedy ostatnio widział Karrde'a tuż po bitwie o Flotę Katańską, przemytnik zaznaczył, że on i jego ludzie chcą zachować w tej wojnie neutralność.

- I co zamierzałeś zrobić, gdy się już upewnisz?

- Nie miałem zamiaru cię zdradzić, jeśli o to pytasz - odparł Karrde, zerkając w głąb tunelu. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to może stąd pójdziemy. Berchestianie nie zwykli prowadzić długich rozmów na mostach, a poza tym w tunelu głos się niesamowicie niesie. A jeśli u wylotu tunelu czeka zasadzka? To nieważne: zanim tam dotrą, Lukę zdoła to wyczuć.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy. - Skywalker odsunął się nieco i puścił Karrde'a przodem. Przemytnik posłał mu ironiczny uśmiech.

- Nie ufasz mi, co? - zauważył. Minął Luke'a i ruszył w głąb tunelu.

- To pewnie wpływ Hana - rzucił przepraszająco Jedi i dołączył do Karrde'a. - Jego albo twój. Albo może Mary. Wyczuł nagłą zmianę w umyśle przemytnika, jakby pospiesznie stłumiony przejaw troski i niepokoju.

- Skoro już mowa o Marze, to jak ona się czuje?

- Już prawie wydobrzała - oznajmił Skywalker. - Lekarze twierdzą, że leczenie takich lekkich obrażeń układu nerwowego nie jest trudne, ale wymaga czasu. Nie patrząc na Luke'a, Karrde pokiwał głową.

- Dziękuję, że się tak nią zajęliście - powiedział z nutą zazdrości. - Nasz szpital nie byłby w stanie sprostać temu zadaniu. Jedi zbyt podziękowania machnięciem ręki.

- Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić w zamian za pomoc, której nam udzieliliście przy Flocie Katańskiej.

- Może i tak. Dotarli właśnie do końca tunelu i znaleźli się na ulicy mniej zatłoczonej od tej, którą niedawno opuścili. Przed sobą widzieli wystające zza okolicznych budynków bogato rzeźbione wieże siedziby rządu. Lukę sięgnął Mocą ku umysłom przechodniów, ale nie wyczuł nic podejrzanego.

- Idziesz w jakieś konkretne miejsce? - zwrócił się do Karrde'a.

- Włóczę się trochę po mieście - rzucił wymijająco przemytnik. - A ty?

- Tak samo - stwierdził Skywalker równie niedbałym tonem.

- I masz nadzieję zobaczyć jakąś znajomą twarz? Albo dwie, a raczej trzy, cztery, pięć...? A zatem Karrde wiedział albo się domyślał, po co Lukę tutaj przybył. Właściwie Skywalker nie czuł się nawet zdziwiony.

- Jeśli tu są, to ich znajdę - odparł. - Masz może jakieś informacje, które mogłyby mi w tym pomóc?

- Możliwe, że tak. A ty masz dosyć pieniędzy, by za nie zapłacić?

- Biorąc pod uwagę twoje stawki, to pewnie nie - rzekł Jedi. - Ale mógłbym otworzyć dla ciebie kredyt, kiedy wrócę.

- Jeśli w ogóle wrócisz - odparował przemytnik. - Zważywszy na to, ile oddziałów imperialnych dzieli cię od bezpiecznego terytorium, w tej chwili nie nazwałbym cię bezpieczną inwestycją.

- W przeciwieństwie do przemytnika, który na liście ściganych przez Imperium osób zajmuje pierwsze miejsce? - zauważył Skywalker, unosząc brwi.

- Tak się składa, że Kalius jest jednym z nielicznych miejsc w imperialnej części galaktyki, gdzie jestem bezpieczny - odparł z uśmiechem Karrde. - Gubernator Berchestu jest moim dobrym znajomym, a co ważniejsze, już od lat zaopatruję go w pewne niezbędne towary, których tylko ja mogę mu dostarczyć.

- Broń?

- Nie biorę udziału w waszej wojnie, Skywalker - przypomniał mu chłodno przemytnik. - Jestem neutralny i chcę, by tak pozostało. Sądziłem, że jasno dałem to do zrozumienia tobie i twojej siostrze, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- O tak, wyraziłeś się bardzo jasno - przyznał Lukę. - Miałem jedynie nadzieję, że wydarzenia ostatniego miesiąca skłoniły cię do zmiany zdania. Twarz Karrde'a nawet nie drgnęła, ale Jedi wyczuł w mężczyźnie niemal mimowolną zmianę nastawienia.

- Nie bardzo podoba mi się to, że wielki admirał Thrawn ma dostęp do urządzeń klonujących - przyznał. - To może spowodować, iż w przyszłości będzie miał jeszcze większą władzę, a tego żaden z nas by nie chciał. Ale wydaje mi się, że wasza strona reaguje na tę sytuację zbyt nerwowo.

- Zupełnie nie rozumiem, jak możesz to nazywać „nerwową reakcją” - oburzył się Skywalker. - Imperium ma w swoim posiadaniu większość z dwustu pancerników Floty Katańskiej, a teraz dodatkowo dysponuje nieograniczoną liczbą klonów, aby obsadzić je załogami.

- „Nieograniczona” to nie jest zbyt adekwatne określenie - zaproponował Karrde. - Jeśli klony mają być na tyle zrównoważone psychicznie, by można im było powierzyć statki wojenne, to nie da się ich hodować zbyt szybko. O ile dobrze pamiętam starą zasadę, to proces klonowania nie może być krótszy niż jeden rok. Przed nimi przeszło

przez ulicę pięciu Vaathkrich. Jak dotąd Imperium klonowało wyłącznie ludzi, ale na wszelki wypadek Lukę postanowił sprawdzić i tę grupkę. Nie wyczuł jednak nic podejrzanego.

- Twierdzisz, że na wyhodowanie jednego klona potrzeba roku?

- To jest absolutne minimum - przytaknął przemytnik. – Przeglądałem dokumenty sprzed wojen klonowych. Sugerują one, że lepiej, aby był to okres od trzech do pięciu lat. Oczywiście, proces ten trwa krócej niż normalny cykl rozwojowy człowieka, ale nie ma powodów do paniki. Skywalker podniósł wzrok na oświetlone słońcem, rzeźbione wieże; ich ciemnoczerwone kontury odcinały się ostro na tle napływających od strony morza skłębionych białych chmur.

- A co byś powiedział, gdybym cię poinformował, że klony, które nas zaatakowały na „Katanie”, zostały wyhodowane w okresie krótszym niż rok?

- To zależy na ile krótszym - wzruszył ramionami Karrde.

- Pełny cykl wynosił piętnaście do dwudziestu dni. Szef przemytników zatrzymał się raptownie.

- Co takiego?! - zwrócił się do Luke'a, wlepiając w niego zdumione spojrzenie.

- Piętnaście do dwudziestu dni - powtórzył Jedi, przystając obok Karrde'a. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Potem przemytnik odwrócił głowę i ruszył przed siebie.

- To niemożliwe - stwierdził. - Musieliście popełnić jakiś błąd.

- Mogę ci dostarczyć kopię wyników badań. Karrde pokiwał głową w zadumie, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- To by przynajmniej tłumaczyło Ukio.

- Ukio? - zainteresował się Lukę.

- Tak. Pewnie ostatnio nie otrzymywałeś żadnych wiadomości. Dwa dni temu Imperium przypuściło równoczesne ataki na cele w sektorach Abrion i Dufilvian. Poważnemu uszkodzeniu uległa baza wojskowa w Ord Pardron; Imperium zdołało też przechwycić układ Ukio. Jedi poczuł nerwowy skurcz w żołądku. Ukio było jednym z pięciu największych producentów żywności w całej Nowej Republice. Skutki ataku dla samego sektora Abrion...

- Czy w układzie Ukio zanotowano duże zniszczenia?

- Wygląda na to, że żadnych - odparł Karrde. - Moi informatorzy twierdzą, że pola ochronne i broń ziemia-przestrzeń pozostały nietknięte. Niepokój Skywalkera jeszcze się pogłębił.

- Sądziłem, iż taki wyczyn jest niemożliwy.

- Umiejętność dokonywania rzeczy niemożliwych była jedną z cech, dzięki którym otrzymywało się tytuł wielkiego admirała - zauważył cierpko szef przemytników. - Szczegóły ataku są jeszcze dosyć niejasne; dobrze byłoby zobaczyć, jak mu się to właściwie udało. A zatem Thrawn zagarnął pancerniki z Floty Katańskiej; ma też klony, którymi może je obsadzić; a teraz znalazł także sposób, by zapewnić tym klonom żywność.

- To nie jest jedynie przygotowanie do kolejnej serii ataków – powiedział wolno Luke. - Imperium szykuje się do rozpoczęcia walnej ofensywy.

- Rzeczywiście tak to wygląda - przyznał Karrde. -I zdaje mi się, że będziesz miał pełne ręce roboty. Jedi przyjrzał mu się uważnie. Głos i wyraz twarzy przemytnika nadal były bardzo spokojne, ale chłopak wyczuł, że u jego rozmówcy pojawił się teraz cień niepewności.

- I to wszystko nie zmieniło twojego nastawienia? - spróbował go sprowokować.

- Nie zamierzam się przyłączyć do Nowej Republiki, Skywalker - stwierdził Karrde, potrząsając głową. - I to z wielu powodów. Niemalże znaczenie ma tu fakt, że nie ufam niektórym osobnikom z waszego rządu.

- Wydaje mi się, że Fey'lya został dostatecznie skompromitowany...

- Miałem na myśli nie tylko Fey'lyę - przerwał mu szef przemytników. - Wiesz równie dobrze jak ja, jaki stosunek mają do przemytników Kalamarianie. Teraz, kiedy

Ackbara przywrócono do funkcji radnego i głównego dowódcy sił zbrojnych, wszyscy w moim fachu znów będą musieli mieć się na baczności.

- Och, daj spokój! - zniecierpliwiał się Luke. - Chyba nie sądzisz, że Ackbar ma teraz czas, by sobie zawracać głowę przemytnikami?

- Pewnie nie - uśmiechnął się krzywo Karrde. - Niemniej jednak nie zamierzam ryzykować. Znowu znaleźli się w martwym punkcie.

- A więc dobrze - rzucił Jedi. - Spójrzmy na tę sprawę wyłącznie pod kątem interesów. Chcielibyśmy znać posunięcia i plany Imperium, a podejrzewam, że ty pilnie je obserwujesz. Czy możemy kupić od ciebie te informacje? Szef przemytników rozważał przez chwilę propozycję.

- To dałoby się załatwić - powiedział ostrożnie. - Ale tylko pod warunkiem, że do mnie będzie należała ostateczna decyzja co do tego, jakie informacje wam przekazuję. Nie zgadzam się na przekształcenie mojej grupy w oficjalną gałąź wywiadu Nowej Republiki.

- W porządku - odparł Skywalker. Spodziewał się osiągnąć coś więcej, ale to i tak było lepsze niż nic. - Kiedy tylko wrócę, otworzę dla was kredyt.

- Może powinniśmy zacząć od bezpośredniej wymiany informacji? - zaproponował Karrde, rozglądając się po otaczających ich kryształowych budynkach. - Co właściwie skłoniło waszych ludzi do bliższego przyjrzenia się Kalius?

- Mam lepszy pomysł - stwierdził Luke. Odczuł dochodzący z oddali słaby, ale wyraźny sygnał. - Może najpierw spróbuję się upewnić, że klony rzeczywiście tu są.

- Gdzie? - spytał ostro szef przemytników.

- Gdzieś tam - odparł Jedi, wskazując ręką na wprost i nieco w prawo. - Jakies pół kilometra stąd... Zresztą trudno dokładnie powiedzieć.

- Wewnątrz tych wież - doszedł do wniosku Karrde. - Bezpiecznie ukryte przed wzrokiem ciekawskich. Zastanawiam się, jak można by się tam dostać, żeby to sprawdzić?

- Chwileczkę... One są w ruchu - oznajmił Skywalker. Zmarszczył czoło z wysiłku, starając się nie stracić z nimi kontaktu. - Kierują się... w naszą stronę, ale niezupełnie.

- Pewnie wiozą je na lądowisko - podsunął szef przemytników. Rozejrzał się dokoła i wskazał rękaw prawo. - Prowadzi tam ulica Mavrille; to dwie przecznice stąd. Idąc umiarkowanie szybko tak, aby nie rzucać się w oczy, przemierzili tę odległość w trzy minuty.

- Zapewne korzystają z jakiegoś pojazdu do przewozu towarów albo z lekkiego transportowca - podjął Karrde, kiedy znaleźli już bezpieczne miejsce. Mogli stamtąd spokojnie obserwować ulicę, nie narażając się na to, że będą ich potraçać spieszący poboczem piesi. - Każdy pojazd już z wyglądu świadczący o tym, że należy do wojska, zwracałby zbyt dużą uwagę. Luke pokiwał głową. Pamiętał z mapy, że Mavrille była jedną z niewielu ulic w Kalius, którą wyrzeźbiono na tyle szeroko, że mogły z niej korzystać pojazdy. Dlatego nieustannie panował na niej wzmożony ruch.

- Szkoda, że nie mam przy sobie lornetki - westchnął.

- Możesz mi wierzyć: już i tak dostatecznie rzucasz się w oczy - zauważył szef przemytników. Wyciągnął szyję, starając się coś dojrzeć przez tłum przechodniów. -1 co tam słyhać?

- Z całą pewnością tu zmiierzają- odparł Jedi. Sięgnął Mocą na zewnątrz, próbując wyłowić umysły klonów z całej rzeszy otaczających go istnień. - Przypuszczam, że jest ich dwadzieścia, może trzydzieści.

- W takim razie to musi być pojazd do przewozu towarów - do szedł do wniosku Karrde. - O, właśnie taki nadlatuje, tuż za tą ciężarówką powietrzną marki Trast.

- Widzę go. - Skywalker wziął głęboki oddech, starając się zebrać w sobie wszystkie umiejętności Jedi. - To one - szepnął. Poczul, że przeszedł go dreszcz.

- Dobra - mruknął przemytnik. - Patrz uważnie: może zostawili coś otwarte dla wentylacji. Pojazd do przewozu towarów zbliżał się ku nim na silnikach manewrowych. Naraz zatrzymał się raptownie przy najbliższej przecznicy, ponieważ kierowca jadącej

przed nim ciężarówka powietrznej przypomniał sobie nagle, że właśnie tu musi skręcić. Ciężarówka zaczęła ostrożnie skręcać w poprzeczną ulicę, tamując cały ruch.

- Zaczekaj tu - rzucił Karrde i zniknął w tłumie przechodniów zdrażających w tamtym kierunku. Lukę bacznie obserwował okolicę, czujny na najmniejszą choćby oznakę tego, że zostali zauważeni i rozpoznani. Jeśli cała ta sytuacja była misternie zastawioną pułapką na szpiegów spoza planety, to teraz powinno się to wyjaśnić. Ciężarówka zdołała w końcu wykonać skręt i pojazd do przewozu towarów ciężko ruszył naprzód. Minął Skywalkera i po kilku sekundach zniknął za jednym z ciemnoczerwonych budynków. Lukę wycofał się w boczną uliczkę i czekał; po chwili wrócił Karrde.

- Dwa przewody wentylacyjne były otwarte, ale niewiele przez nie widziałem - poinformował towarzysza, dysząc ciężko. - A ty?

- Ja też nic nie zobaczyłem - potrząsnął głową Jedi. - Ale to były klony. Jestem tego pewien. Przez moment przemytnik przyglądał mu się uważnie, po czym nieznacznie skinął głową.

- No dobrze. I co teraz?

- Wróć na statek i spróbuję wystartować z planety przed nimi. Jeśli zdołam ustalić ich wektor w nadprzestrzeni, to może się dowiemy dokąd się udają. - Uniósł wymownie brwi. - Choć oczywiście dwa współpracujące ze sobą statki miałyby większe szansę, by je wyśledzić.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, iż odrzucę twoją propozycję - uśmiechnął się lekko Karrde. - Latanie w duecie z agentem Nowej Republiki bardzo trudno byłoby nazwać postawą neutralną. - Zerknął sponad ramienia Luke'a na ulicę za jego plecami. - Zresztą i tak chcę najpierw sprawdzić, skąd przybywają. Może udami się ustalić, gdzie je hodoją.

- Dobry pomysł - przyznał Skywalker. - Lepiej już pójdę na lądowisko i przygotuję mój pojazd do startu.

- Będziemy w kontakcie - obiecał szef przemytników. - Dopilnuj, żeby ten kredyt dla nas był w miarę hojny. Gubernator Staffa, stojący przy szczytowym oknie centralnej wieży rządowej numer dwa, opuścił lornetkę i parsknął z satysfakcją.

- Fingal, to z całą pewnością był on - zwrócił się do małego człowieczka, który stał obok niego. - Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. To był Lukę Skywalker we własnej osobie.

- Sądzi pan, że widział transport specjalny? - spytał Fingal, nerwowo postukując w swoją lornetkę.

- Oczywiście, że tak - burknął Staffa. - Uważasz, że kręcił się koło ulicy Mavrille dla przyjemności?

- Ja tylko myślałem...

- Lepiej nie myśl, Fingal - przerwał mu ostro gubernator. - Nie masz do tego odpowiednich predyspozycji. Niespiesznie podszedł do biurka, schował lornetkę do szuflady i odszukał w notesie elektronicznym wytyczne wielkiego admirała Thraw'na. W skrytości ducha uważał, że są to dosyć osobliwe wskazówki; jeszcze dziwniejsze niż tajemnicze, prowadzone przez najwyższe dowództwo Imperium przerzuty oddziałów wojskowych przez Kalius. Ale w obecnych warunkach nie było wyboru. Gubernator mógł tylko mieć nadzieję, że Thrawn wie, co robi. A nawet jeśli nie wiedział, była to jego, a nie Staffy sprawa i tylko to się liczyło.

- Wyślij wiadomość na imperialny niszczyciel gwiazdny „Chimera” - polecił Fingalowi. Usadowił się na krześle i pchnął notes elektroniczny w drugi koniec biurka. - Zakoduj ją według podanych tu wskazówek. Poinformuj wielkiego admirała Thrawna, że Skywalker był w Kalius i że osobiście widziałem go w pobliżu transportu specjalnego. Dodaj też, że zgodnie z wytycznymi wielkiego admirała pozwolono mu spokojnie opuścić Berchest.

- Tak jest, panie gubernatorze - odparł Fingal, wpisując rozkaz do swojego notesu elektronicznego. Jeśli nawet fakt, że rebeliancki szpieg mógł się swobodnie poruszać po terytorium Imperium, wydał się małemu człowieczkowi dziwny, to nie dał on tego po

sobie poznać. - A co z tym drugim mężczyzną, panie gubernatorze? Z tym, który towarzyszył Skywalker'owi? Staffa wydał wargi. Cena za głowę Talona Karrde'a wynosiła obecnie niemal pięćdziesiąt tysięcy - mnóstwo pieniędzy nawet dla człowieka, który otrzymywał pensję gubernatora planety i miał dodatkowe, związane z tą funkcją, wpływy. Od samego początku wiedział, że przyjdzie taki dzień, gdy w jego najlepszym interesie będzie leżało to, by zerwać łączące go z Karrde'em potajemne stosunki handlowe. I może to był właśnie ten moment. Ale nie, nie teraz, gdy galaktyka wciąż była objęta wojną. Może później, kiedy zwycięstwo stanie się bardziej oczywiste i będzie można polegać na prywatnych źródłach dostaw. Ale jeszcze nie teraz.

- Ten drugi mężczyzna jest bez znaczenia - oznajmił Fingalowi. - To specjalny agent, którego wysłałem, by pomógł nam wystawić tego szpiega Rebeliantów. Nie zwracaj sobie nim głowy. A teraz do roboty: zakoduj i wyślij tę wiadomość. - Tak jest, panie gubernatorze - rzekł podwładny i ruszył w stronę wyjścia. Drzwi się rozsunęły... A kiedy Fingal w nich zniknął, Staffie wydało się, że w oczach małego człowieczka pojawił się na ułamek sekundy dziwny błysk. Ale to musiał być efekt padającego z sekretariatu światła. Oprócz niezłomnej lojalności wobec swego gubernatora, najważniejszą zaletą Fingala był całkowity brak wyobraźni. Staffa wziął głęboki oddech, starając się zapomnieć o Fingalu, rebelianckich szpiegach, a nawet wielkich admirałach. Rozparł się wygodnie na krześle i zaczął planować, jak wykorzysta nową partię towaru, którą ludzie Karrde'a właśnie rozładowywali na lądowisku.

ROZDZIAŁ III

Powoli, jakby wspinając się po długich, ciemnych schodach, Mara Jade obudziła się z głębokiego snu. Otworzyła oczy, rozejrzała się po łagodnie oświetlonym pokoju i zaczęła się zastanawiać, gdzie się, u licha, znajduje. Było to niewątpliwie pomieszczenie szpitalne: świadczyły o tym monitory informujące o aktualnym stanie chorego, składane przepierzenia i inne łóżka wielofunkcyjne, stojące wokół tego, na którym sama leżała. Ale to nie był szpital Karrde'a - a przynajmniej nie ten, który znała. Jednakże wystrój pomieszczenia wydał jej się dziwnie znajomy. Była to standardowa imperialna sala rehabilitacyjna. Wyglądało na to, że w tej chwili jest sama, ale wiedziała, że to nie potrwa długo. Po cichu zsunęła się z łóżka i uklękła na podłodze, starając się jednocześnie ocenić swój stan fizyczny. Nie odczuwała żadnego bólu ani zawrotów głowy. Nie dostrzegła też wyraźnych śladów obrażeń. Nałożywszy kaptur i leżący przy łóżku szlafrok, ruszyła w stronę drzwi. Przygotowała się psychicznie na to, że uciszy albo obezwładni ewentualną straż, która mogłaby się za nimi czaić. Dotknęła automatycznej blokady i kiedy drzwi się rozsunęły, jednym skokiem znalazła się w przedpokoju... Zatrzymała się raptownie, nieco zdezorientowana.

- O, cześć, Mara - powitał ją z roztargnieniem Ghent, na chwilę odrywając wzrok od końcówki komputera, przy której siedział. - Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle - odparła. Utkwiła w chłopaku zdumione spojrzenie, nerwowo przebiegając w myślach gąszcz mglistych wspomnień. Ghent: jeden z pracowników Karrde'a i najprawdopodobniej najlepszy specjalista od łamania szyfrów w całej galaktyce. Fakt, że siedział przy końcówce komputera, wskazywał na to, że nie są więźniami; no chyba, że ten, kto ich pojmał, był tak bezgranicznie głupi, że nie wiedział, iż człowiekowi, który zna się na łamaniu szyfrów, nie należy pozwalać zbliżać się do komputera, nawet na odległość metra. Ale czy nie wysłała Ghent'a do siedziby Nowej Republiki na Coruscant? Tak, oczywiście. Zrobiła to z polecenia Karrde'a, a potem zebrała część jego ludzi i poleciała z nimi na tę bitwę o Flotę Katańską. Tam zaś walczyła na swoim Z-95 przeciwko imperialnemu niszczycielowi gwiazdnemu... I musiała się katapultować... I tak sprytnie pokierowała swoim fotelem katapultowym, że znalazła się na linii rażenia dział jonowego, co spowodowało przepalenie się układów potrzebnych do podtrzymywania życia - pozostała w przestrzeni kosmicznej, skazana

na dryfowanie bez końca. Rozejrzała się wokół. Wyglądało na to, że owo „bez końca” nie trwało tak długo, jak się obawiała.

- Gdzie jesteśmy? - spytała, choć właściwie domyślała się odpowiedzi. Ghent natychmiast potwierdził jej domysł.

- W dawnym Pałacu Imperialnym na Coruscant - oznajmił, marszcząc lekko brwi. - W skrzydle szpitalnym. Musieli ci odbudować część włókien nerwowych. Nie pamiętasz?

- Nie bardzo - wyznała Mara. Ale kiedy ostatecznie rozwiła się spowijająca jej umysł mgiełka, powoli wszystko zaczęło do siebie pasować. Jej fotel katapultowy ze zniszczonym układem do regulacji składu powietrza; i ta dziwna, mglista nieświadomość, kiedy zapadała w sen w ciemnościach kosmosu. Musiało jej zabraknąć tlenu, nim ją znaleźli i odstawili na statek. Nie. Nie znaleźli, tylko znalazł. Istniał tylko jeden człowiek, który byłby w stanie odnaleźć w pustce kosmosu, pomiędzy pozostałościami po bitwie, dryfujący samotnie uszkodzony fotel katapultowy. Luke Skywalker, ostatni z rycerzy Jedi. Człowiek, którego zamierzała zabić.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Mara zatoczyła się raptownie w tył i oparła o framugę drzwi. Nogi się pod nią ugięły, gdy przebrzmiały jej w głowie słowa Imperatora. Kiedy jej mistrz zginął pod Endorem, znajdowała się tutaj, na tej planecie, w tym budynku. Łącząc się z umysłem Imperatora, widziała, jak Luke Skywalker go pokonał, co sprawiło, że całe jej życie legło w gruzach.

- Widzę, że już się pani obudziła - odezwał się jakiś nowy głos. Mara otworzyła oczy. Z przeciwległego końca pomieszczenia zbliżała się do niej kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch lekarski. Tuż za nią dreptał robot medyczny typu Emde. - Jak się pani czuje?

- Dobrze - odparła dziewczyna. Nagle ogarnęła ją przemożna chęć, żeby się rzucić na tę kobietę. Ci ludzie - ci wrogowie Imperium - nie mieli prawa przebywać w pałacu Imperatora... Odetchnęła spokojnie, starając się zapanować nad uczuciem nienawiści. Lekarka umilkła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zawodowej troski. Ghent także oderwał się na chwilę od swe go komputera i utkwiał w Marze zdziwione spojrzenie. - Przepraszam - szepnęła. - Chyba ciągle jeszcze jestem nieco zdezorientowana.

- To rozumiałe - pokiwała głową lekarka. - W końcu przez miesiąc leżała pani w łóżku.

- Miesiąc?! - zdumiała się dziewczyna.

- No, prawie miesiąc - poprawiła się kobieta. - Przez jakiś czas przebywała pani także w komorze bakta. Proszę się nie martwić: w przypadku odbudowy układu nerwowego kłopoty z krótkotrwałą pamięcią są rzeczą normalną, ale niemal zawsze ustępują po zakończeniu leczenia.

- Rozumiem - rzuciła Mara machinalnie. Miesiąc. Straciła tutaj cały miesiąc. A w tym czasie...

- Kiedy tylko poczuje się pani na siłach, może się pani przenieść do apartamentu gościnnego na górze, który specjalnie dla pani przygotowaliśmy - ciągnęła lekarka. - Chce pani może, żebym sprawdziła, czy jest gotowy?

- Byłabym pani wdzięczna - rzekła dziewczyna, spoglądając na swoją rozmówczynię. Kobieta wyjęła i uruchomiła komunikator; kiedy rozpoczęła rozmowę, Mara podeszła do Ghent'a. - Jak tam wojna w czasie tego ostatniego miesiąca? - spytała.

- No, Imperium jak zwykle przysporzyło Republice trochę kłopotów - odparł chłopak, wskazując rękaw stronę nieba. - W każdym razie ludzie tutaj są bardzo poruszeni. Ackbar, Madine i cała reszta biegają jak szaleni. Starają się odeprzeć czy też przerwać akcje przeciwnika... Coś w tym rodzaju. Dziewczyna wiedziała, że nic więcej nie zdoła z Ghent'a wydobyć na temat najświeższych wydarzeń. Oprócz fascynacji przemysłowym trybem życia, chłopak miał tylko jedną pasję - łamanie kodów komputerowych. Zmarszczyła brwi, dopiero teraz przypominając sobie, po co w ogóle Karrde kazał jej przysłać tutaj Ghent'a.

- Chwileczkę - rzuciła. - Ackbar jest z powrotem u władzy? To znaczy, że już zdołałeś go oczyścić z zarzutów?

- Jasne. Ten tajemniczy bankowy depozyt, z powodu którego Fey'lya narobił tyle hałasu, to było jedno wielkie oszustwo. Ci faceci, którzy włamali się do systemu bankowego, jednocześnie dokonali przelewu. Zresztą byli to pewnie ludzie z wywiadu imperialnego - w całym oprogramowaniu znalazłem ślady ich szperania; udowodniłem to w dwa dni po przybyciu na Coruscant.

- Domyślam się, że byli zadowoleni. A dlaczego jeszcze tu siedzisz?

- No... - Przez chwilę Ghent nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. - Po pierwsze, nikt się tu jeszcze po mnie nie zjawił. - Jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech. - A poza tym jest tu jeszcze taki sprytny szyfr, którego ktoś używa do przesyłania informacji Imperium. Generał Bel Iblis twierdzi, że Imperium nazywa swego informatora Źródłem Delta i że wiadomości pochodzą z samego pałacu.

- I poprosił cię, żebyś złamał ten szyfr - pokiwała głową Mara, a jej usta wykrzywił dziwny grymas. - Przypuszczam, że nie zaproponowali ci żadnej zapłaty, co?

- No... - Ghent wzruszył ramionami. - Może i coś tam proponowali, ale naprawdę nie pamiętam. Lekarka z powrotem przypięła komunikator do pasa.

- Za chwilę zjawi się tu pani przewodniczka - zwróciła się do Mary.

- Dziękuję - rzuciła dziewczyna. Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć kobiecie, iż zapewne umiałaby się lepiej poruszać po Pałacu Imperialnym po omacku niż jakikolwiek ich przewodnik za dnia. Jednakże wiedziała, że tylko uprzejmością zdoła wydębic od nich statek; a wtedy razem z Ghent'em będą mogli się stąd wynieść i odżegnać od prowadzonej przez Rebeliantów wojny. Za plecami lekarki otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się wysoka kobieta o białych włosach.

- Witaj, Maro - powiedziała, uśmiechając się oficjalnie. - Nazywam się Winter i jestem osobistą asystentką księżniczki Leii Organy Solo. Cieszę się, że już odzyskała pani siły.

- Ja także się cieszę - stwierdziła Mara, starając się, by zabrzmiało to uprzejmie. Znowu ktoś z kręgu Skywalkerów. Tylko tego jej brakowało. - Zgaduję, że to pani jest moją przewodniczką?

- Pani przewodniczką, asystentką i kto tam jeszcze będzie pani potrzebny przez kilka następnych dni - rzekła Winter. - Księżniczka Leia prosiła mnie, bym zaopiekowałam się panią do czasu, gdy ona i kapitan Solo wrócą z Filve.

- Nie potrzebuję asystentki ani opiekunki - oznajmiła Mara. - Jest mi potrzebny jedynie statek.

- Już się tym zajęłam poinformowałam ją Winter. - Mam nadzieję, że wkrótce uda mi się coś dla pani znaleźć. A tymczasem pozwól pani, że zaprowadzę panią do jej apartamentu. Dziewczyna powstrzymała grymas. Uzurpatorzy z Nowej Republiki łaskawie oferują jej gościnę w miejscu, które niegdyś było jej domem.

- To bardzo miło z pani strony - powiedziała, pilnując się, by nie zabrzmiało to ironicznie. - Ghent, idziesz z nami?

- Idźcie same - odparł chłopak z roztargnieniem, nie spuszczać oczu z ekranu komputera. - Chcę jeszcze coś tutaj skończyć.

- Może tu spokojnie zostać - zapewniła ją Winter. - Tędy, proszę. - Wyszły z pokoiku i kobieta skierowała się w głąb pałacu. - Ghent ma swoją kwaterę tuż obok pani apartamentu - oznajmiła, kiedy szły korytarzem. - Ale zdaję mi się, że w ciągu całego miesiąca był tam może ze dwa razy. Zorganizował sobie czasową pracownię w poczekalni przed salą rehabilitacyjną, żeby mieć panią na oku. Mara uśmiechnęła się mimo woli. Ghent, który przez dziewięćdziesiąt procent czasu błądzi gdzieś myślami i nie wie o bożym świecie, nie wydawał jej się idealnym typem pielęgniarza czy ochroniarza. Ale w końcu liczyły się intencje.

- Dziękuję, że się o mnie tak troszczycie - zwróciła się do Winter.

- Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić w dowód wdzięczności za to, że pomogła nam pani w bitwie o Flotę Katańską.

- To był pomysł Karrde'a - rzuciła krótko dziewczyna. - Dziękujcie jemu, a nie mnie.
- Już to zrobiliśmy. Ale pani także ryzykowała życie i nie zapomni my o tym. Mara spojrzała spod oka na białowłosą kobietę. Czytała zapiski Imperatora na temat wszystkich przywódców Rebelii, łącznie z Leią Organa, ale imię Winter nic jej nie mówiło.

- Od jak dawna towarzyszy pani Organie Solo? - spytała.

- Wychowałam się razem z nią na dworze królewskim na Alderaan'ie - wyjaśniła Winter, a na jej ustach pojawił się gorzki grymas. - W dzieciństwie byliśmy przyjaciółkami i kiedy Leia zaczęła stawiać pierwsze kroki na arenie politycznej, ojciec księżniczki przydzielił jej do pomocy właśnie mnie. Od tej pory nieustannie jej towarzyszę.

- Nie przypominam sobie, bym cokolwiek o pani słyszała w szczytowej fazie rebelii - drażyla ostrożnie Mara.

- Większą część wojny przepracowałam w dziale zaopatrzenia, przenosząc się z planety na planetę. Jeśli moim kolegom udało się pod jakimś pretekstem wprowadzić mnie do wybranego magazynu czy składu, to potem byłam w stanie sporządzić dla nich mapę przedstawiającą rozmieszczenie towarów, które ich interesowały. Następujące po naszej wizycie naloty były dzięki temu szybsze i łatwiejsze. Jadę pokiwała głową ze zrozumieniem.

- A więc to pani była owym Namierzaczem, tajemniczym szpiegiem o doskonałej pamięci.

- Istotnie, tak brzmiał jeden z moich pseudonimów - potwierdziła Winter, marszcząc nieznacznie czoło. - W ciągu lat miałam ich jednak więcej.

- Rozumiem - rzuciła dziewczyna. Przypomniała sobie, że przed bitwą pod Yavinem w raportach wywiadu często pojawiały się wzmianki na temat tajemniczego Rebelianta zwanego Namierzaczem. Pamiętała zagorzałe dyskusje dotyczące jego czy też jej tożsamości. Zastanawiała się, czy ludzie zajmujący się tą sprawą byli kiedykolwiek blisko prawdy. Dotarli właśnie do kilku wind sieciowych, znajdujących się na tyłach Pałacu Imperialnego. Było to jedno z większych unowocześnień, jakie Imperator wprowadził w starannie stylizowanej, antycznej budowli, kiedy ją przejął. Oszczędzało licznych wędrowek w górę i w dół po szerokich schodach w bardziej uczęszczanej części pałacu... A ponadto maskowało szereg innych, poczynionych przez Imperatora udoskonaleń.

- To na czym właściwie polega problem ze zdobyciem dla mnie statku? - spytała Mara, gdy jej przewodniczka nacisnęła guzik przywołujący windę.

- Problem stanowi Imperium. Przypuściło na nas zmasowany ataki byliśmy zmuszeni wykorzystać dosłownie wszystkie statki, zarówno lekkie transportowce, jak i największe jednostki. Na twarzy Jadę pojawił się grymas niepokoju. Zmasowane ataki przeciwko większym siłom wroga nie były w stylu wielkiego admirała Thrawna.

- Jest aż tak źle?

- Rzeczywiście sytuacja nie przedstawia się zbyt różowo – odparła Winter. - Nie wiem, czy pani już słyszała, ale uprzedzili nas w przejściu Floty Katańskiej. Kiedy przybyliśmy na miejsce, zdążyli już ściągnąć niemal sto osiemdziesiąt pancerników. Jeśli się do tego doda ich nowe, niewyczerpane źródło żołnierzy i członków załóg, to łatwo zauważyć, że szala zwycięstwa niepokojąco przechyliła się na ich stronę. Dziewczyna pokiwała głową, czując nieprzyjemny smak w ustach. A więc posunięcia Imperium były jednak realizacją starannego planu Thrawna.

- A zatem omal nie straciłam życia na próżno?

- Jeśli to panią pocieszy, wielu ludzi właśnie tak je straciło – rzekła Winter, uśmiechając się skąpo. Przybyła kabina windy. Weszły do środka i kobieta nacisnęła odpowiedni guzik, by mogły się dostać do mieszkalnej części pałacu.

- Ghent wspominał mi coś o kłopotach sprawianych przez Imperium - stwierdziła Mara, gdy winda ruszyła w górę. - Powinnam się była domyślić, że jeśli coś dotarło do niego przez mgiełkę, w której się nieustannie porusza, to sprawa musi być poważna.

- „Poważna” to niezbyt adekwatne określenie - zauważyła Inter ponuro. - W ciągu ostatnich pięciu dni właściwie straciliśmy kontrolę nad czterema sektorami, a los kolejnych trzynastu wisi na włosku. Największym ciosem była strata fabryk żywności na Ukio. Dokładnie niewiadomo, jak to się stało, ale zdołali przejąć układ z nienaruszonym systemem obronnym.

- Czyżby ktoś z dowództwa zaspał? - skrzywiła się dziewczyna.

- Ze wstępnych raportów wynika, że nie. - Kobieta zawahała się na chwilę. - Krążą słuchy, że Imperium użyło nowej superbroni, która się przebiła przez pole ochronne planety Ukio. Wciąż staramy się uzyskać jakieś konkretne dane. Mara nerwowo przełknęła ślinę. Stała jej przed oczami wizja osłon widmowych ze starej Gwiazdy Śmierci. Podobna broń w rękach genialnego stratega, jakim był wielki admirał Thrawn... Odpędziła od siebie tę myśl. To nie była jej wojna. Karrde obiecał, że będą się trzymać z dala od tego wszystkiego.

- W takim razie spróbuję się skontaktować z Karrde'em - zdecydowała. - Może on zdoła kogoś przysłać, by nas stąd zabrał.

- To pewnie szybszy sposób niż czekanie na to, aż zwolni się któryś z naszych statków - przyznała Winter. - Pani szef zostawił kartę danych z nazwiskiem człowieka, przez którego może pani przesłać wiadomość. Powiedział, że pani będzie wiedziała, jakiego szyfru użyć. Winda zatrzymała się na piętrze przeznaczonym dla gości rządowych. Była to jedna z nielicznych części pałacu, w której Imperator w okresie sprawowania przez siebie władzy nie dokonał żadnych zmian. Ze względu na staromodne drzwi na zawiasach i ręcznie rzeźbione, egzotyczne drewniane sprzęty, spacerując po tym piętrze miało się wrażenie, jakby nagle czas się cofnął o tysiąc lat. Imperator zazwyczaj rezerwował te apartamenty dla wysłanników, których wspomnienie owych minionych dni napełniało sentymentem, a także dla tych, na których starannie podtrzymywana więź z przeszłością mogła zrobić wrażenie.

- Po bitwie o Flotę Katańską kapitan Karrde zostawił dla pani trochę ubrań i rzeczy osobistych - oznajmiła Winter. Przekręciła klucz w rzeźbionych drzwiach i otworzyła je. - Jeśli o czymś zapomniał, proszę mi dać znać, a postaram się to załatwić. A oto karta danych, o której wspominałam - dodała, wyjmując płaski przedmiot z kieszeni tuniki.

- Dziękuję - odparła Mara. Biorąc kartę do ręki, westchnęła głęboko. Apartament, w którym się znalazła, był niemal w całości wykonany z drzewa fijisi sprowadzonego z Kardooine; owionął ją delikatny zapach i natychmiast przeniosła się myślami do świetlnych dni Imperium, kiedy cieszyła się szacunkiem i uznaniem...

- Czy mogę pani jeszcze w czymś pomóc? Wizja wspomnień się rozplynęła. Przed nią stała Winter... a Imperium dawno już utraciło swoją świetność.

- Nie, dziękuję.

- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zawiadomić oficera dyżurnego - rzekła kobieta, wskazując ręką biurko. - Później będę do pani dyspozycji; teraz jednak ma się odbyć posiedzenie Rady, w którym muszę wziąć udział.

- Naturalnie. Proszę sobie nie przeszkadzać. Bardzo pani dziękuję. Winter posłała Marze krótki uśmiech i wyszła. Dziewczyna jeszcze raz wciągnęła głęboko zapach drzewa fijisi i definitywnie odpędziła od siebie myśli o przeszłości. Była tu i teraz; a jej imperialni nauczyciele często jej powtarzali, że przede wszystkim należy się wtopić w otoczenie. A to oznaczało, że nie powinna wyglądać jak uciekinierka z bloku szpitalnego. Karrde wybrał dla niej całkiem niezły zestaw ubrań: quasi-wizytową sukienkę, dwa zestawy nierzucających się w oczy ubrań, jakie z powodzeniem mogła nosić na tysiącu planet, nie zwracając przy tym na siebie uwagi, i cztery wygodne kombinezony, które zazwyczaj zakładała na pokładzie statku. Sięgnęła właśnie po jeden z nich, ubrała się i zaczęła przeglądać pozostałe rzeczy, które zostawił jej szef. Przy odrobinie szczęścia... I zakładając, że Karrde był przewidujący... Znalazła to, czego szukała: przypinaną do przedramienia kaburę na jej mały blaster. Naturalnie samego blastera nie miała - zabrał go kapitan „Łowcy” i Imperium wcale nie miało zamiaru szybko go zwrócić. Przetrażanie arsenału Nowej Republiki w poszukiwaniu podobnego też nie

przyniosłoby zapewne rezultatu. Mara miała jednak ochotę poprosić o to Winter tylko po to, żeby zobaczyć jej reakcję. Na szczęście istniało inne wyjście. Każde mieszkalne piętro Pałacu Imperialnego było wyposażone w sporych rozmiarów bibliotekę. W każdej z tych bibliotek znajdował się zestaw kilku kasetek opatrzonych tytułem: „Szczegółowa historia Corvis Minor”. Zważywszy na to, jak nieciekawa była historia Corvis Minor, szansę na to, że ktoś wyciągnie z półki właśnie tę kasetkę, były naprawdę niewielkie. Zresztą doskonale się składało, gdyż wcale nie było w niej kart danych. Blaster różnił się nieco od tego, który zabrało Marze Imperium. Ale był naładowany i zmieścił się w małej kaburze - a to było najważniejsze. Teraz bez względu na to, jak potoczą się losy wojny czy wewnętrzne rozgrywki Nowej Republiki, przynajmniej będzie mogła walczyć. Nagle zastygła w bezruchu, z pustą kasetką katalogową w ręku. Dopiero teraz przyszło jej do głowy niepokojące pytanie: co Winter miała na myśli, mówiąc o niewyczerpanym źródle żołnierzy i członków załóg? Czyżby któryś z układów Nowej Republiki przeszedł na stronę Imperium? Czy też może Thrawn odkrył jakąś nieznaną dotąd planetę, z której powołuje nowych rekrutów? Przy okazji będzie musiała kogoś o to spytać. Najpierw jednak powinna zaszyfrować wiadomość dla Karrde'a i przesłać ją wskazanemu przez niego człowiekowi. Im szybciej zdoła się stąd wydostać, tym lepiej. Odstawiła na miejsce pustą kasetkę na karty danych i czując na lewym przedramieniu pocrzepiający ciężar blastera, skierowała się z powrotem do swojego apartamentu. Thrawn oderwał swe gorejące, czerwone oczy od dosyć ohydnie wyglądających dzieł sztuki jakiejś obcej rasy. Ekspozyty były umieszczone na podwójnym kręgu monitorów otaczających jego fotel w kabinie dowodzenia.

- Nie - powiedział. - To całkowicie wykluczone. C'baoth powoli odwrócił się od holograficznej statuetki wostroidzkiej, której się właśnie przyglądał.

- Nie? - powtórzył pytająco, a jego głos odbił się w pomieszczeniu gromkim echem.
- Co to znaczy: nie?

- To słowo jest całkowicie jednoznaczne - odparł Thrawn lodowatym tonem. - Zresztą wystarczy tylko popatrzeć na sytuację w wojsku. Nie mamy wystarczającej liczby statków i żołnierzy, by przypuścić frontalny atak na Coruscant; brakuje nam także linii dostawczych i baz niezbędnych do tego, żeby przeprowadzić tradycyjne oblężenie. W takich warunkach uderzenie byłoby bezcelowe i przyniosłoby jedynie straty. I dlatego nie zaatakujemy. Twarz mistrza Jedi pociemniała z gniewu.

- Miej się na baczności, wielki admirał Thrawn - rzekł z groźbą w głosie. - Ja rządę Imperium, a nie ty.

- Czyżby? - odparował admirał. Sięgnął rękaw tył i pogładził isalamira, który wisiał na stelażu ustawionym za jego plecami. Starzec wyprężył się dumnie, a jego oczy zabłyśły z nagłej wściekłości.

- Ja rządę Imperium! - zawołał donośnym głosem. - Będziecie mnie słuchać albo zginiecie! Pellaeon dyskretnie wsunął się nieco głębiej w bezpieczną strefę wokół isalamira, gdzie nie docierała Moc. W chwilach, kiedy C'baoth się kontrolował, wydawał się znacznie bardziej pewny siebie i bardziej opanowany niż kiedykolwiek przedtem; jednak gwałtowne wybuchy właściwego klonom szaleństwa stawały się coraz częstsze i coraz groźniejsze. Jego zachowanie przypominało wahadło, które przy każdym kolejnym ruchu coraz bardziej się odchyła, aż wreszcie zbyt duża siła odśrodkowa powoduje jego zniszczenie. Jak dotąd mistrz Jedi nikogo jeszcze nie zabił ani nic nie zniszczył. Ale Pellaeon był pewien, że do tego dojdzie - była to tylko kwestia czasu. Bardzo możliwe, że Thrawn pomyślał o tym samym.

- Jeśli mnie zabijesz, to przegrasz wojnę - przypomniał C'baothowi. - A jeżeli przegrasz wojnę, to Leia Organa Solo i jej bliźnięta nigdy nie będą twoje. Starzec zrobił krok w stronę fotela admirała, a w jego oczach zapłonął jeszcze większy gniew... Nagle C'baoth jakby skulił się w sobie.

- Nigdy nie ośmieliłby się pan zwracać w ten sposób do Imperatora - powiedział z rozdrażnieniem.

- Wręcz przeciwnie - rzekł admirał. - Aż cztery razy oznajmiałem Imperatorowi, że nie zamierzam tracić żołnierzy i statków na walkę z wrogiem, którego jeszcze nie jestem w stanie pokonać.

- Tylko głupcy zwracali się w ten sposób do Imperatora - zaśmiał się szyderczo C'baoth. - Głupcy albo ci, którym obrzydło już życie.

- Imperator też tak sądził - przyznał wielki admirał. - Kiedy pierwszy raz odmówiłem wykonania jego rozkazu, nazwał mnie zdrajcą i powierzył dowództwo nad moimi siłami zbrojnymi komu innemu. - Thrawn pogładził dłonią swego isalamira. - Ale kiedy ta armia uległa zniszczeniu, zmienił zdanie i potem brał sobie do serca moje uwagi. C'baoth przez dłuższą chwilę wpatrywał się badawczo w admirała; w tym czasie wyraz twarzy starca zmieniał się kilkakrotnie -jakby mistrz nie był w stanie kontrolować swoich myśli i uczuć.

- Mógłby pan przynajmniej powtórzyć to posunięcie z Ukio - ode zwał się wreszcie.

- Tę sztuczkę z osłoniętymi polem maskującym krążownikami i zsynchronizowanymi salwami z dział turbolaserowych. Mógłbym panu w tym pomóc.

- To bardzo miło z twojej strony, mistrzu C'baoth- odparł Thrawn. - Ale takie działania byłoby, niestety, stratą czasu. Przywódcy Rebeliantów na Coruscant nie poddali się tak łatwo jak wieśniacy z Ukio. Nawet gdybyśmy zdołali idealnie zgrać w czasie naszą operację, zauważyliby w końcu, że uderzające w ziemię wiązki turbolaserowe to nie są salwy z „Chimery” i wyciągnęliby właściwe wnioski. - Wskazał ręką wypełniające pokój holograficzne statuetki. - Za to z mieszkańcami i przywódcami Wostri sprawa ma się zupełnie inaczej. Podobnie jak Ukianie bardzo boją się tego, co nieznanne i w ich pojęciu niemożliwe. Ważne jest także to, że mają skłonność do wyolbrzymiania plotek o grożącym im niebezpieczeństwie. Fortel z zamaskowanymi krążownikami tam powinien się powieść. Twarz mistrza Jedi znów poczerwieniała.

- Wielki admirał Thrawn...

- Ale jeśli chodzi o Organę Solo i jej bliźnięta - wpadł mu w słowo Thrawn - to mogę ich panu dostarczyć w każdej chwili. Złość, która zaczęła ogarniać starca, nagle gdzieś wyparowała.

- Jak mam to rozumieć? - spytał niepewnie.

- Uważam, że zaatakowanie Coruscant i uprowadzenie stamtąd Organy Solo siłą jest niewykonalne -wyjaśnił admirał. -Ale można tam wysłać małą grupę, której z pewnością uda się ją porwać. Już poleciłem wywiadowi, aby zebrał w tym celu drużynę komandosów. Przygotowania nie powinny potrwać dłużej niż jeden dzień.

- Drużyna komandosów - skrzywił się C'baoth. - Chyba nie muszę panu przypominać, że Noghri wielokrotnie już pana zawiedli w tej kwestii.

- To prawda - przyznał Thrawn z dziwną zawziętością w głosie. - I dlatego Noghri nie będą brali udziału w tej akcji. Pellaeon posłał admirałowi zdumione spojrzenie, a następnie odruchowo zerknął w stronę drzwi prowadzących do pomieszczenia przed kabiną dowodzenia, gdzie czekał milczący goryl Thrawn'a, Rukh. Od kiedy lord Darth Vader podstępnie wciągnął naiwnych Noghri do wiecznej służby na rzecz Imperium, szaroskórzy obcy zawsze stawiali sobie za punkt honoru osobiste uczestnictwo w każdej misji. Jeśli zostaną wyłączeni z zadania - zwłaszcza z zadania o takiej randze - mogą to odebrać jako policzek albo jeszcze coś gorszego.

- Panie admirał? - szepnął. - Nie jestem pewien...

- Później o tym porozmawiamy, kapitanie - przerwał mu przełożony. - Teraz chciałbym się jedynie dowiedzieć, czy mistrz C'baoth jest naprawdę przygotowany na to, by otrzymać swoich młodych Jedi? - Uniósł nieznacznie granatowoczarne brwi. - Czy też może woli tę sprawę przedyskutować?

- Czy mam to potraktować jak wyzwanie, admirał? - uśmiechnął się skąpo starzec.

- Możesz to rozumieć, jak chcesz - oznajmił Thrawn. - Ja chcę jedynie zwrócić uwagę na to, że mądry taktyk rozważa koszty danej operacji, zanim przystąpi do jej rozpoczęcia. Bliźnięta Organy Solo mogą się narodzić lada dzień, a to znaczy, że będziesz się musiał zająć równocześnie dwójką noworodków oraz samą Organą Solo.

Jeśli nie jesteś pewien, że zdołasz sobie ze wszystkim poradzić, to lepiej będzie odłożyć tę operację na później. Pellaeon skulił się sobie, spodziewając się kolejnego wybuchu klonowego szaleństwa. Ale –ku jego zaskoczeniu -nic takiego nie nastąpiło.

- Jedyne problem leży w tym, admirale - odezwał się cicho C'baoth - czy imperialni komandosi zdołają się uporać z dwójką nowo narodzonych dzieci.

- A więc dobrze - skinął głową Thrawn. - Za trzydzieści minut mamy się spotkać z resztą floty; wtedy przesiądziesz się na „Strzałę Śmierci”, by pomóc w ataku na Wostri. A kiedy wrócisz na „Chimerę” - ponownie uniósł brwi - twoi Jedi już powinni tu na ciebie czekać.

- Doskonale, admirale Thrawn - rzekł starzec. Znów się wyprostował i przyglądał swoją długą białą brodę. - Ale ostrzegam pana:, jeśli tym Razem mnie pan zawiedzie, to konsekwencje nie będą dla pana przyjemne. - Odwrócił się, spokojnym krokiem przemierzył pokój i zniknął za drzwiami.

- To zawsze taka ulga - mruknął pod nosem Thrawn, kiedy drzwi się zamknęły. Pellaeon zwilżył nieco spierzchnięte usta.

- Z całym szacunkiem, panie admirale...

- Martwi się pan o to, że obiecałem wydostać Organę Solo z najlepiej strzeżonego miejsca na terenie opanowanym przez Rebeliantów? - podsunął admirał.

- Mówiąc prawdę, tak - przyznał kapitan. - Pałac Imperialny uchodzi za fortecę nie do zdobycia.

- Istotnie - potwierdził Thrawn. - Ale to Imperator takim go stworzył ... I podobnie jak w innych sprawach, kilka sekretów na temat pałacu zachował dla siebie. Dla siebie i dla grupki swoich wybranych. Pellaeon obrzucił przełożonego zdumionym spojrzeniem. Sekrety...

- Jak, na przykład, informacje o tajemnych przejściach? - odważył się zasugerować.

- Właśnie - obdarzył go uśmiechem Thrawn. -I teraz, kiedy wreszcie mamy pewność, że Organa Solo przez jakiś czas nie ruszy się nigdzie z pałacu, warto spróbować posłać tam drużynę komandosów.

- Ale nie Noghrich? Admirał utkwiał wzrok w otaczających ich holograficznych rzeźbach.

- Coś jest nie w porządku z Noghrimi, kapitanie - powiedział cicho. - Jeszcze nie wiem co, ale wiem, że coś jest nie tak. Wyczuwam to w każdej rozmowie z naczelnikami Honoghr. Pellaeon cofnął się myślami do tej dziwnej sceny, która miała miejsce miesiąc temu: wówczas przybył na pokład „Chimery” skruszony wysłannik noghryjskich naczelników i żalonym tonem poinformował o tym, że podejrzany o zdradę Khabarakh zdołał im uciec. I jak dotąd, mimo podjętych starań, nie udało im się go ująć.

- Może ciągle się niepokoją z powodu tej historii z Khabarakhiem - podsunął.

- I powinni - rzekł chłodno Thrawn. - Ale tu chodzi o coś więcej. I dopóki się nie dowiem, co to dokładnie jest, będę traktował Noghrich podejrzliwie. - Pochylił się i nacisnął dwa guziki na swoim stanowisku. Holograficzne rzeźby zniknęły, ustępując miejsca mapie taktycznej, na której były zaznaczone tereny, gdzie obecnie toczono bitwy. - Teraz jednak musimy rozważyć dwie bardziej palące kwestie - podjął, opadając z powrotem na fotel. - Po pierwsze, musimy czymś zająć naszego coraz bar dziej aroganckiego mistrza Jedi, który mylnie mniema, że ma prawo rządzić moim Imperium. I temu właśnie ma służyć Organa Solo i jej bliźnięta. Pellaeon pomyślał o wszystkich nieudanych próbach schwywania Organy Solo.

- A jeśli i ta drużyna zawiedzie?

- No cóż, wypadki się zdarzają. Ale mimo iż mistrz C'baoth ma dużą władzę, a do tego jest nieobliczalny, możemy nim jednak manipulować. - Wskazał ręką mapę taktyczną. - W tej chwili najważniejsze jest jednak to, by nasz plan bitewny nie uległ spowolnieniu. Jak dotąd kampania jest prowadzona mniej więcej zgodnie z planem. Rebelianci stawili opór większy, niż się spodziewaliśmy, w sektorach Farrfin i Dolomar, ale inne zaatakowane przez nas układy uznały zwierzchnictwo Imperium.

- Nie wydaj e mi się, aby te zdobycze były trwałe - zauważył Pellaeon.
- Słusznie - przytaknął Thrawn. - Wszystko zależy od tego, czy nasze wojska będą w tych rejonach dość silne i widoczne. A w tym celu musimy zadbać o to, by nasze zasoby klonów wciąż się nie zakłócenie pomnażały. Admirał umilkł. Pellaeon utkwiał wzrok w mapie taktycznej, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś stwierdzenia, którego Thrawn wyraźnie od niego oczekiwał. Komorom klonującym spaarti, które od dziesięcioleci pozostawały w ukryciu w prywatnym skarbcu Imperatora na Waylandzie, nic chyba nie zagrażało. Były zakopane u podnóża góry, strzegł ich imperialny garnizon i otaczali nastawieni wrogo wobec obcych tubylcy. Ponadto o ich istnieniu nie wiedział nikt oprócz najwyższych dowódców Imperium. Nagle zamarł. Najwyżsi dowódcy Imperium; a wśród nich...

- Mara Jadę - powiedział. - Wraca do zdrowia na Coruscant. Czy ona może coś wiedzieć na temat skarbcza?

- To dobre pytanie - przyznał admirał. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie; ja znałem wiele sekretów Imperatora, a przecież odnalezienie Waylandu kosztowało mnie sporo wysiłku. Nie możemy jednak ryzykować. Pellaeon skinął głową, z trudem opanowując drżenie. Dziwił się, że admirał wybrał do tej misji ludzi z wywiadu. W przeciwieństwie do typowych drużyn komandosów oddziały wywiadu były szkolone w zakresie tak niewojskowych posunięć jak zabójstwa...

- Czy jedna drużyna otrzyma rozkaz wykonania obu zadań, panie admirale, czy też pośle pan tam dwie grupy?

- Jedna drużyna powinna wystarczyć - odparł Thrawn. - Oba zadania są ze sobą w dużym stopniu powiązane, więc taka decyzja wydaj e mi się rozsądna. Poza tym unieszkodliwienie Jadę wcale nie oznacza, że musimy ją zabić. - Na twarzy Pellaeona pojawił się wyraz zdziwienia, ale nim kapitan zdążył otworzyć usta, by spytać admirała, co właściwie przez to rozumie, Thrawn nacisnął jakiś guzik na swojej tablicy kontrolnej i w miejsce holograficznej mapy taktycznej pojawiła się mapa sektora Orus. - Myślę, że tymczasem warto utwierdzić naszych wrogów w przekonaniu co do szczególnego znaczenia Kaliussaj Leeloo. Czy otrzymaliśmy już kolejny raport od gubernatora Staffy?

- Tak, panie admirale - rzekł Pellaeon i wyjął swój notes elektroniczny. - Skywalker opuścił planetę w tym samym czasie, co podstawiony przez nas transport i najprawdopodobniej podążył jego śladem. Jeśli to się potwierdzi, to dotrze do układu Poderis za jakieś trzydzieści godzin.

- Doskonale - ucieszył się Thrawn. - Zanim znajdzie się na Poderis, niewątpliwie prześle meldunek na Coruscant. Jego późniejsze zniknięcie na pewno przekona Rebeliantów, że trafili na szlak przerzutu naszych klonów.

- Tak, panie admirale - rzucił kapitan. Postanowił zachować dla siebie wszelkie wątpliwości dotyczące realnych szans na to, by Skywalker naprawdę zniknął. Thrawn zapewne wiedział, co robi. - Jeszcze jedno, panie admirale. Oprócz raportu nadesłanego przez Staffę otrzymaliśmy jeszcze inną wiadomość, zaszyfrowaną według klucza, jakiego używa wywiad.

- Tak, od pomocnika gubernatora, Fingala - pokiwał głową Thrawn. - Człowiek tak niepewny jak Staffa aż się prosi o to, by mu przydzielić jakiegoś cichego obserwatora. Czy były jakieś rozbieżności pomiędzy tymi dwoma raportami?

- Tak, w jednej kwestii. W drugim meldunku znalazł się szczegółowy opis człowieka, z którym spotkał się Skywalker. Staffa twierdził, że był to wysłany przez niego agent; tymczasem Fingal utrzymuje, że tym człowiekiem był w istocie Talon Karrde.

- Ciekawe. - Thrawn westchnął w zadumie. - Czy Fingal próbo wał jakoś wytłumaczyć obecność Karrde'a w Kalius?

- Jego zdaniem istnieją dowody na to, że gubernator Staffa od kil ku lat prowadzi z nim nielegalne interesy handlowe - zakomunikował Pellaeon. - Fingal donosi, że miał zamiar zatrzymać Karrde'a celem przesłuchania go, ale nie mógł tego zrobić, by nie spłoszyć Skywalkera.

- Tak... -mruknął admirał. -No cóż, zrobił, co mógł. I jeśli rzeczywiście chodziło tylko o przemyt, to nic wielkiego się nie stało. Niemniej jednak nie możemy pozwolić na to, by jacyś przemytnicy kręcili się koło naszych spraw i być może przypadkowo odkryli nasze tajemnice. A Karrde już zdążył udowodnić, że może przysporzyć nie lada kłopotu. - Przez chwilę Thrawn spoglądał w milczeniu na mapę sektora Orus. Potem prze niósł wzrok na Pellaeona. - Teraz jednak musimy zająć się czym innym. Kapitanie, proszę obrać kurs na układ Poderis; chcę, by „Chimera” znalazła się tam za czterdzieści godzin. - Uśmiechnął się krzywo. - I proszę poinformować dowódcę tamtejszego garnizonu, iż oczekuję należytego przyjęcia, gdy się tam zjawimy. Może za dwa lub trzy dni będziemy mieli niespodziewany upominek dla naszego kochanego mistrza Jedi.

- Tak jest. - Pellaeon zawahał się na chwilę. - Panie admirale... Co się stanie, jeśli uda nam się dostarczyć C’baoth’owi Organę Solo i jej bliźnięta, a on zdoła je ukształtować tak, jak tego pragnie? Wtedy będziemy się musieli zmagać z czworgiem Jedi, a nie z jednym, jak dotychczas. A może nawet z pięciorgiem, jeśli uda nam się schwytać na Poderis Skywalkera.

- Nie ma powodu do obaw - potrząsnął głową Thrawn. - Ukształtowanie Organy Solo czy Skywalkera będzie kosztować C’baotha wiele czasu i wysiłku. Jeszcze dłużej potrwa, nim dzieci dorosną na tyle, by stanowić dla nas jakiegokolwiek zagrożenie, bez względu na to, co będzie z nimi robił. A nim do tego wszystkiego dojdzie - w oczach admirała pojawiły się złowrogie błyski - zawrzemy z naszym mistrzem Jedi stosowny układ, co do tego, jak ma wyglądać podział władzy w Imperium.

- Zrozumiałem, panie admirale - wydusił Pellaeon, z trudem prze łykając ślinę.

- To dobrze. W takim razie jest pan wolny, kapitanie. Proszę wrócić na mostek.

- Tak jest, panie admirale. - Pellaeon odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Czuł, że ma ściśnięte gardło. Doskonale rozumiał intencje Thrawna. Admirał zawrze z C’baothem układ albo... zabije go. O ile mu się to uda. Kapitan nie chciałby się zakładać, co do wyniku tej konfrontacji. Zresztą, mówiąc prawdę, w ogóle nie chciałby być w pobliżu, kiedy do niej dojdzie.

ROZDZIAŁ 4

Poderis było jedną z planet, które w spisach określano mianem „marginalne”. Planety te skolonizowano nie z powodu cennych zasobów naturalnych czy dogodnej lokalizacji, ale wyłącznie dlatego, że koloniści postawili to sobie za punkt honoru. Z dziesięciogodzinnym, wywołującym dezorientację cyklem obrotowym; z nizinym ukształtowaniem bagnistego terenu, co spowodowało skupienie osadników na rozległym archipelagu wysokich płaskowyżów; z pionowym nachyleniem osiowym planety, sprawiającym, że każdej wiosny i jesieni szalały tam silne wiatry - Poderis z pewnością nie należało do miejsc, gdzie mógłby się zapaść przygodny wędrowiec. Tamtejsi mieszkańcy byli uparci i niezależni; tolerowali przybyszów, ale nigdy nie przejawiali zainteresowania rozgrywkami politycznymi toczącymi się poza ich planetą. Wszystkie te okoliczności czyniły Poderis idealnym miejscem do przerzutu nowej fali imperialnych klonów. A jednocześnie wymarzoną punktem, gdzie Imperium mogło zastawić pułapkę. Człowiek, który śledził Luke’a, był niski i nijaki; z powodzeniem mógłby się wtopić niemal w każde otoczenie. Dobrze też wykonywał swoją pracę, co świadczyło o wieloletnim doświadczeniu w imperialnym wywiadzie. Ale naturalnie jego umiejętności nie obejmowały śledzenia rycerzy Jedi. Lukę wyczuł jego obecność niemal w tej samej chwili, gdy nieznamy zaczął go obserwować, a po minucie był już w stanie wyłowić go z tłumu. Pozostawał jednak problem, co z nim zrobić. - Artoo? - powiedział cicho Skywalker do komunikatora, który dyskretnie przypiął do szerokiego kołnierza swej zakończonej kapturem szaty. - Mamy towarzystwo. To chyba Imperium. Z komunikatora rozległo się ciche piknięcie wyraźnie zmartwionego Artoo, po czym robot gwizdnął pytająco.

- Nie, w niczym nie możesz pomóc - odparł Lukę, domyślając się treści pytania. Jednocześnie pożałował, że nie ma z nim Threepia, który mógłby tłumaczyć wypowiedzi swego kolegi. Zawsze mniej więcej się domyślał, co mówi Artoo, ale w tej sytuacji domysły mogły się okazać niewystarczające. - Czy ktoś kręci się koło transportowca? Albo wogóle w pobliżu lądowiska? Robot zaprzeczył zdecydowanymi piskami.

- Cóż, wkrótce się tam zjawia - ostrzegł go Jedi. Przystanął na chwilę, by obejrzeć witrynę jakiegoś sklepu. Zauważył, że śledzący go osobnik zrobił jeszcze parę kroków, po czym, znalazłszy jakiś pretekst, także się zatrzymał. Fachowiec w każdym calu. - Przygotuj maszynę do lotu na tyle, na ile to możliwe bez zwracania niczyjej uwagi. Chciałbym wystartować natychmiast, jak się tam znajdę. Artoo zaszczebiotał na znak, że wszystko zrozumiał. Lukę uniósł rękę do szyi, wyłączył komunikator i omiół okolicę szybkim spojrzeniem. Przede wszystkim musi zgubić depczącego mu po piętach szpicla, nim Imperium podejmie przeciwko niemu bardziej otwarte działania. A w tym celu musi jakoś odwrócić uwagę nieznanego... Pięćdziesiąt metrów z przodu dostrzegł w tłumie mężczyznę ubranego w szatę podobną krojem i kolorem do jego stroju; doszedł do wniosku, że jest to doskonała okazja. Spokojnie zaczął iść w jego stronę, starając się nie dać po sobie poznać, że się spieszy. Mężczyzna dotarł do skrzyżowania w kształcie litery T i skręcił w prawo. Skywalker przyspieszył nieco kroku, czując jednocześnie, że śledzący go osobnik zaczyna podejrzewać, iż został zauważony. Powstrzymując się, żeby nie zacząć biec, Jedi skręcił spokojnie za róg. Ulica, na której się znalazł, niczym się nie różniła od innych w tym mieście: była szeroka, wyłożona kamieniami, dosyć zatłoczona, a po jej obu stronach biegł rząd budynków z szarego kamienia. Skywalker odruchowo sięgnął Mocą na zewnątrz, sprawdzając najbliższą okolicę i dalszy teren... Nagle wstrzymał oddech. W znacznej odległości przed sobą, ale za to bardzo wyraźnie, wyczuł niewielkie plamy ciemności, gdzie nie docierały jego zmysły Jedi. Zupełnie jakby Moc, która dostarczała mu informacji, w niewyjaśniony sposób, przestawała istnieć... Albo może coś blokowało jej działanie. A to oznaczało, że nie była to zwyczajna zasadzka na zwyczajnego szpiega Nowej Republiki. Ludzie z Imperium doskonale wiedzieli, że on tu jest, i przybyli na Poderis wyposażeni w isalamiry I jeśli czegoś szybko nie wymyśli, to go schwytają. Jeszcze raz zerknął na otaczające go budynki: niewysokie, w większości dwupiętrowe budowle, ze zdobionymi fasadami i strojnymi parapetami dachowymi. Domy na prawo od niego tworzyły zwarty szereg, natomiast pierwszy budynek zaraz za skrzyżowaniem po przeciwnej stronie ulicy miał zniekształconą fasadę, co sprawiało, że między nim a sąsiednią budowlą istniała wąska szczelina. Nie była to może wymarzona kryjówka - i dzieliła go od niej spora odległość - ale nie miał wyboru. Pędem przebiegł na drugą stronę ulicy, podświadomie obawiając się, że nim dotrze do kryjówki, wpadnie w ręce Imperium. Wślizgnął się jednak szczęśliwie w szczelinę. Przykucnął, pozwalając, by Moc wypełniła jego mięśnie, i skoczył. Ucieczka na dach nie była jednak taka prosta. Parapet okazał się gładki i pochyły, i na ułamek sekundy Lukę dosłownie zawisł w powietrzu, starając się namacać dłońmi jakiś punkt zaczepienia. W ostatniej chwili znalazł odpowiednie miejsce, z wysiłkiem podciągnął się do góry i wylądował płasko na dachu. Zdążył w ostatnim momencie. Kiedy ostrożnie wyjrzał sponad krawędzi dachu, zobaczył wybiegającego zza rogu śledzącego go mężczyznę, rozpychającego przechodniów, którzy akurat znaleźli się na jego drodze. Najwyraźniej dalsze maskowanie się uznał za zbędne. W jego rękę pojawił się komunikator i nieznanomy powiedział do niego coś, czego Skywalker nie zdołał usłyszeć... Z pobliskiej przecznicy wyłonił się szereg ubranych w białe pancerze szturmowców. Każdy z nich trzymał na wysokości piersi blaster, a na ramionach stelaż z rozciągniętym na nim ciemnym isalamirem. Żołnierze utworzyli kordon na końcu ulicy. Była to starannie zaplanowana i dobrze zrealizowana pułapka; i Skywalker miał zaledwie jakieś trzy minuty, by się przenieść na drugą stronę dachu i zejść na dół, nim Imperium się zorientuje, że zdołał im się wymknąć. Odsunął się powoli od krawędzi i odwrócił głowę, by zobaczyć, co się znajduje po drugiej stronie domu. Ale po drugiej stronie domu nie było nic. Jakieś sześćdziesiąt centymetrów od niego dach

się raptownie urywał nad stromą ścianą, która biegła sto metrów w dół i ginęła w mgłach unoszących się nad rozciągającym się poniżej trzęsawiskiem. Lukę popatrzył w lewo i w prawo, ale wszystkie okoliczne budynki miały tę samą konstrukcję. Popełnił błąd, który mógł się okazać fatalny w skutkach. Zaprzątnięty śledzącym go mężczyzną zupełnie zapomniał o tym, że zawędrował na obrzeża płaskowyżu. Stroma, wysoka ściana była jedną z masywnych barier ochronnych, które zaprojektowano po to, by szalejące nad planetą silne sezonowe wiatry przelatywały ponad miastem, nie czyniąc żadnych szkód. Skywalker zdołał się wymknąć z zarzuconej przez Imperium sieci... by się przekonać, że nie ma, dokąd pójść. - Świetnie - mruknął pod nosem. Z powrotem przesunął się do występu dachu i wyrzął na ulicę. Do pierwszego oddziału szturmowców dołączyli właśnie kolejni żołnierze i wszyscy razem zaczęli przeszukiwać złapanych w obławie ludzi. Od strony skrzyżowania w kształcie litery T nadeszły dwa nowe oddziały szturmowców, którzy zamknęli drugi koniec ulicy. Śledzący uprzednio Skywalkera szpicel wyciągnął blaster i zaczął się przepychać w kierunku mężczyzny ubranego w szatę z kapturem, podobną do tej, którą nosił Lukę. Mężczyzna w szacie z kapturem... Jedi zagryzł wargi. Sztuczka, którą zamierzał wykonać, nie będzie niczym miłym dla zupełnie niewinnego przechodnia. Ale z drugiej strony Imperium dokładnie wiedziało, kogo szuka, i chciało go dostać żywym. Lukę wiedział, że wystawienie Bogu ducha winnego człowieka na śmiertelne niebezpieczeństwo byłoby zachowaniem nie do przyjęcia dla rycerza Jedi. Miał jednak nadzieję, że postawienie go w sytuacji trudnej, ale niezagrażającej życiu, nie jest już tak wielkim wykroczeniem. Zaciśnął zęby, sięgnął Mocą na zewnątrz i wyrwał blaster z ręki szpicla. Przeniósł go tuż ponad głowami przechodniów i umieścił w dłoni mężczyzny w szacie z kapturem. Imperialny szpieg krzyknął coś w stronę szturmowców; początkowo triumfalny okrzyk szybko j jednak przerodził się w ostrzegawczy pisk. Koncentrując w sobie całą Moc, Skywalker obrócił lufę blastera w kierunku jego właściciela i wypalił. Strzał poszybował ponad tłumem, nie raniąc nikogo - Lukę nie był w stanie wycelować dokładnie w szpicla. Ale i ten niecelny strzał dostatecznie poruszył szturmowców. Ci, którzy porównywali twarze przechodniów ze zdjęciami w identyfikatorach, natychmiast porzucili swoje zajęcie i zaczęli się przeciskać przez tłum w stronę mężczyzny z blasterem. Natomiast żołnierze, którzy blokowali oba wyloty ulicy, posunęli się naprzód, by osłaniać swoich kolegów. Dla mimowolnego sprawcy całego zamieszania tego już było za wiele - zresztą trudno mu się dziwić. Cisnął na ziemię blaster, który nie wiadomo skąd znalazł się w jego dłoni, prześlizgnął się między osłupiałymi gapiami i zniknął w wąskiej uliczce. Skywalker postanowił dłużej nie czekać. Kiedy szturmowcy przyjrzą się uważniej twarzy uciekającego mężczyzny, zrozumieją, że zaszła pomyłka. A do tego czasu Lukę musi już zejść z dachu i czym prędzej pobiec na lądowisko. Podsunął się do krawędzi swojej wąskiej kryjówki i spojrzął w dół. Widok, który ukazał się jego oczom, nie był zbyt obiecujący. Ściana zbudowana po to, by wytrzymać wiejące z prędkością dwustu kilometrów na godzinę wiatry, była idealnie gładka. Istnienie choćby najmniejszych wypukłości było wykluczone, bo mogłyby one spowodować niebezpieczeństwo powstania wirów powietrznych. Nie dostrzegł też żadnych okien, drzwi dla zaopatrzenia ani innych otworów. To jednak nie stanowiło dla niego problemu:, jeśli zaistnieje taka potrzeba, to wytnie sobie dziurę w ścianie za pomocą miecza świetlnego. Za wszelką cenę musiał się wymknąć imperialnej obławie, nim szturmowcy złączą go szukać na dobre. Obejrzał się za siebie. Nie miał ani chwili do stracenia. W drugim końcu miasta, gdzie leżało oficjalne lądowisko, pojawiły się na niebie skutery powietrzne, które niebawem złączą pewnie krążyć nad niewysokimi budynkami miejskimi. Nie mógł niepostrzeżenie ześlizgnąć się z powrotem z dachu na ulicę. Nie był w stanie czołgać się wzdłuż krawędzi ściany ochronnej na tyle szybko, by umknąć przed skuterami. Pozostawała mu więc tylko jedna droga ucieczki: w dół. Ale niekoniecznie prosto w dół. Zerknął na niebo. Słońce planety Poderis zbliżało się już do linii horyzontu, szybko dokonując swojego cyklicznego, dziesięciogodzinnego okrążenia. W chwili obecnej świeciło prosto w oczy pilotów nadlatujących skuterów powietrznych, ale za pięć minut

całkowicie schowa się za widnokrzem. Ludziom Imperium nic już nie będzie utrudniało prowadzenia poszukiwań, za to w mroku, jaki niebawem zapadnie, ostrze miecza świetlnego natychmiast będzie się rzucało w oczy. Teraz albo nigdy. Skywalker wyciągnął swój miecz świetlny i zapalił go, pilnując przy tym, by z nadlatujących pojazdów nie było widać zielonego ostrza. Samym jego końcem wykonał w stromej ścianie płytkie, biegnące prawo-skośnie nacięcie. Jako że szata Luka była wykonana z dosyć lichego materiału, oderwanie jednego rękawa, w który następnie owinął lewą dłoń, zajęło mu dosłownie chwilę. Ostronę palce z łatwością zmieściły się w wyżłobieniu, które wcześniej zrobił; ponadto rowek był na tyle szeroki, że dłoń mogła się swobodnie przesuwając wzdłuż jego krawędzi. Mocno chwyciwszy się ściany, Jedi przyłożył koniuszek miecza świetlnego do końca rowka i ześlizgnął się z dachu. Przytrzymując się koniuszkami palców lewej dłoni krawędzi szczeliny i żłobiąc sobie drogę mieczem świetlnym, który dzierżył w wyciągniętej daleko prawej ręce, Skywalker zgrabnie posuwał się w dół masywnej ściany. Było to przeżycie uskrzydlające i przerażające zarazem. Cofnął się myślami w przeszłość: przypomniał sobie wiatr, który go smagał, gdy wpadł w sam środek Miasta w Chmurach na Bepinie; i to, jak zaledwie parę minut później zawisł pod miastem, trzymając się dosłownie na samych koniuszkach palców; a potem stanęła mu przed oczami scena, kiedy to kompletnie wyczerpany leżał na podłodze drugiej Gwiazdy Śmierci, pomimo bólu wyczuwając bezsilną wściekłość Imperatora, którego Vader cisnął w czeluść kosmosu, skazując tym samym na śmierć. Lukę szybko przesuwając się po gładkiej powierzchni bariery ochronnej, zbliżając się do jej krawędzi i rozciągającej się za nią pustej przestrzeni... Uniósł głowę, mrużąc przy tym oczy przed smagającym mu twarz wiatrem i obejrzał się za siebie. Widział teraz wyraźnie śmiertelne trzęsawisko, które zbliżało się ku niemu w zawrotnym tempie. Zsuwał się coraz niżej i niżej... aż w końcu w ostatnim momencie zmienił nieco położenie swego miecza świetlnego. Biegnąca w dół koleina przybrała nagle kierunek poziomy i kilka sekund później Lukę zatrzymał się łagodnie. Przez chwilę, zwisając niebezpiecznie na jednej ręce, starał się złapać oddech i uspokoić walące serce. Zerknął w górę i w ostatnich promieniach zachodzącego słońca zobaczył wyżłobiony przez siebie rowek, biegnący ukośnie w lewo. Jedi ocenił, że znajduje się teraz ponad sto metrów w prawo od miejsca, gdzie rozpoczął swoją ucieczkę. Miał nadzieję, że jest to wystarczający dystans, by się znaleźć poza zasięgiem imperialnej oblawy. Zresztą wkrótce będzie miał okazję się o tym przekonać. Słońce już całkowicie zniknęło za linią horyzontu, kryjąc w ciemnościach drogę, którą uciekł Skywalker. Poruszając się ostrożnie, aby nie nadwerężyć palców, które już ostatkiem sił trzymały się skalnego wyżłobienia, Lukę przystąpił do wycinania otworu w barierze ochronnej.

- Nadszedł raport od dowódcy szturmowców, panie admirale - oznajmił Pellaeon. Skrzywił się, czytając wiadomość, która pojawiła się na ekranie jego komputera. - Wygląda na to, że Skywalkera nie ma w rejonie otoczonym przez kordon żołnierzy.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Thrawn ponuro, zerkając na swoje monitory. - Wielokrotnie przestrzegałem wywiad, aby nie lekceważył doskonale rozwiniętych zmysłów i intuicji Skywalkera. Jak widać, nie wzięli sobie tego do serca.

- Tak, panie admirale. - Kapitan nerwowo przełknął ślinę. - Ale wiemy, że on tam był i nie mógł zejść zbyt daleko. Szturmowcy utworzyli drugi kordon i przeszukują dom po domu. Thrawn nabrał głęboko powietrza w płuca, po czym spokojnie je wypuścił.

- Nie - powiedział opanowanym tonem. - Skywalker nie ukrył się w żadnym z budynków. To nie w jego stylu. Ta sztuczka z wystawionym na wabia mężczyzną i z blasterem... -Spojrzał na Pellaeona. -On wszedł na górę, kapitanie. Na dachy domów.

- Wywiadowcy już to sprawdzają - poinformował Pellaeon. - Jeśli jest gdzieś na dachu, to na pewno go zauważą.

- Doskonale. -Wielki admirał nacisnął jakiś przełącznik na konsoli dowodzenia, przywołując holograficzną mapę tej części płaskowyżu. - A co z tą barierą ochronną na zachodniej krawędzi miasta? Czy można po niej zejść?

- Nasi ludzie twierdzą, że nie - potrząsnął głową Pellaeon. - Jest zbyt gładka i zbyt stroma, a na dole nie ma żadnego występu ani poprzecznej ściany. Jeśli Skywalker wspiął się na dachy domów po tamtej stronie ulicy, to wciąż tam musi być. Albo u podnóża płaskowyżu.
- Być może. Proszę rozkazać jednemu ze zwiadowców, by prze szukał ten teren. A co ze statkiem Skywalkera?
- Wywiad wciąż próbuje ustalić, który statek należy do niego - wyznał kapitan. - Mają jakieś problemy z zapisem danych. Powinniśmy otrzymać tę informację za kilka minut.
- Tyle, że z powodu nieuwagi ich agenta nie mamy już czasu dłużej czekać - wycedził admirał. - Zostanie zdegradowany o jeden stopień.
- Tak jest - rzucił Pellaeon i zapisał rozkaz w swym notesie elektronicznym. Dostyc ciężka kara, chociaż mogło być dużo gorzej. Lord Vader z pewnością udusiłby nieszczęśnika. - Samo lądowisko jest naturalnie otoczone. Thrawn potarł w zadumie brodę.
- To zapewne strata czasu - powiedział z namysłem. - Chociaż z drugiej strony... - Odwrócił głowę i spojrzał przez iluminator w dół, na obracającą się wolno planetę. - Proszę odwołać żołnierzy, kapitanie. Wszystkich oprócz klonów: ci niech zajmą pozycje w pobliżu statków, które wywiad wytypował jako mogące należeć do Skywalkera.
- Nie bardzo rozumiem, panie admirale - zamrugnął oczami Pellaeon. Thrawn spojrzał na podwładnego z dziwnym błyskiem w oku.
- Żołnierze tworzący kordon wokół lądowiska nie mają dostatecznie dużo isalamirów, by powstrzymać rycerza Jedi, kapitanie. A zatem nie będziemy nawet próbować. Pozwolimy mu wystartować, a potem „Chimera” przechwyci jego statek.
- Tak jest, panie admirale - rzekł Pellaeon, marszcząc brwi. - Ale w takim razie...
- Po co zostawiamy klony? - dokończył za niego Thrawn. - Bo pod czas, gdy Skywalker przedstawia dla nas dużą wartość, nie możemy po wiedzieć tego samego o jego astrorobocie. - Uśmiechnął się skąpo. - Chyba, że heroiczne wysiłki Skywalkera, by uciec z Poderis, utwierdzą go w prze konaniu, że naprawdę tędy wiedzie szlak przerzutu naszych klonów.
- Aha - zrozumiał wreszcie Pellaeon. - I wtedy znajdziemy jakiś sposób, by pozwolić robotowi wrócić do Rebeliantów?
- Właśnie - przytaknął Thrawn, a wskazując ręką stanowisko swe go podwładnego, dodał: - Rozkazy czekają, kapitanie.
- Tak jest, panie admirale. - Pellaeon odwrócił się do swego komputera i kiedy zaczął przekazywać rozkazy wielkiego admirała, ogarnęło go dziwne podniecenie. Może tym razem naprawdę zdołają wreszcie pojmać Skywalkera. Kiedy Lukę wpadł do swego małego transportowca i zaplombował za sobą drzwi, Artoo świergotał niespokojnie.
- Czy wszystko gotowe do lotu? - Zawołał Jedi przez ramię, pędząc do kabiny pilota. Robot zapikał twierdząco. Skywalker opadł na fotel pilota i zapinając pasy, szybkim spojrzeniem obrzucił przyrzady.
- Dobra. W takim razie lecimy. Włączył silniki manewrowe i poderwał maszynę z ziemi, ostro skręcając w prawo. Natychmiast wystartowały za nim dwa ścigacze i pospieszyły jego śladem w stronę krawędzi płaskowyżu.
- Artoo, uważaj na te ścigacze - rzucił Lukę. Sam skupił uwagę na szybko zbliżającej się krawędzi miasta i na znajdującej się ponad nią przestrzeni powietrznej. Walka z klonami, które strzegły lotniska, była zacięta, ale zastanawiająco krótka. Albo Imperium powierzyło dowodzenie jakiejś zupełnie niekompetentnej osobie, albo też celowo pozwolono mu odlecieć. Dyskretnie kierując go ku prawdziwej pułapce... W dole mignęła krawędź płaskowyżu. Skywalker zerknął na wsteczny monitor kontrolny, aby się upewnić, że miasto jest już za nim, po czym włączył główny napęd podświetlony. Transportowiec pomknął w górę jak oparzony mynok, zostawiając ścigacze daleko w

tyle. Dobiegające z konsoli oficjalne wezwanie do zatrzymania się przerodziło się w zdumiony skowyt, gdy Jedi wyłączył komunikator.

- Artoo? Czy tam z tyłu wszystko w porządku? Robot zaszczębiotał twierdząco, a po chwili na ekranie komputera Luka wyświetliło się pytanie.

- Tak, to z całą pewnością były klony - potwierdził Skywalker grobowym tonem, czując, że przeszywa go niemiły dreszcz. Aura, jaka otaczała produkowane przez Imperium duplikaty ludzkie, była tajemnicza i pełna grozy. - Powiem ci coś jeszcze, Artoo - dodał. - Ludzie Imperium wiedzieli, że to właśnie mnie ścigają. Szturmowcy mieli na plecach isalamiry. Robot gwizdnął przeciągle, po czym zagruchał pytająco.

- Tak, to całe Źródło Delta - przytaknął, czytając uwagę swego towarzysza. - Leia powiedziała mi, że jeśli nie uda się szybko zlikwidować tego przecieku, to zaproponuje przeniesienie siedziby rządu z Pałacu Imperialnego, a może nawet w ogóle z Coruscant, w inne miejsce. Chociaż jeśli mianem Źródła Delta Imperium określało jakiegoś człowieka albo obcego, a nie na przykład szalenie trudny do wykrycia system podsłuchu w samym pałacu, to przeprowadzka i tak nic tu nie da. Z wymownego milczenia robota Lukę wywnioskował, że Artoo pomyślał o tym samym. Mająca w oddali linia horyzontu, ledwie widoczna na tle nocnego, ale rozjaśnionego gwiazdami nieba, wyraźnie przybrała teraz postać krzywej.

- Artoo, lepiej zacznij obliczać współrzędne naszego skoku w nad przestrzeń - rzucił przez ramię Skywalker. - Pewnie będziemy musieli zmykać stąd w pośpiechu. Zaczekał na szczębiotliwe potwierdzenie przyjęcia rozkazu ze stanowiska robota, po czym znowu skupił swoją uwagę na widnokręgu. Zdawał sobie sprawę z tego, że za linią horyzontu może się czaić cała flotyła niszczycieli gwiazdnych, których nie są w stanie wykryć przyrządy na jego myśliwcu, a które tylko czekają na to, by w stosownej chwili przypuścić na niego atak. Być może nie są w stanie wykryć ich przyrządy myśliwca, ale przecież istnieje szansa, że uda się to dzięki jego zmysłom Jedi. Przymknął oczy, starając się uspokoić swój umysł i sięgnął Mocą na zewnątrz... Wyczuł niebezpieczeństwo ułamek sekundy wcześniej, niż poinformowało go o tym przeraźliwe popiskiwanie Artoo. Zobaczył imperialny niszczyciel gwiazdny, ale bynajmniej nie zbliżał się on z tej strony, z której Lukę się go spodziewał. Nadlatywał z tyłu, poruszając się po orbicie tuż na granicy atmosfery, co pozwalało na rozwijanie dużej prędkości, a jednocześnie zapewniało osłonę w postaci planety.

- Trzymaj się! - krzyknął Skywalker, włączając awaryjną moc silników. Ale był to zabieg zupełnie bezcelowy, z czego zarówno on, jak i przeciwnik zdawali sobie sprawę. Niszczyciel gwiazdny zbliżał się bardzo szybko, a promienie ściągające już próbowały namierzyć statek Luke'a. I za kilka sekund niechybnie go dostaną. Jego albo przynajmniej transportowiec... Jedi błyskawicznie odpiął pasy, otwierając jednocześnie zamaskowaną tablicę rozdzielczą i naciskając ukryte tam trzy guziki. Pierwszy przełącznik uruchomił autopilota o ograniczonym działaniu. Drugi odblokował umieszczoną na tyle statku wyrzutnię torped protonowych, która rozpoczęła kanonadę w kierunku niszczyciela gwiazdnego. Trzeci włączył mechanizm samozniszczenia transportowca. Myśliwiec Luke'a czekał, ustawiony dziobem naprzód, w znajdującej się tuż za kabiną pilota części statku przeznaczonej do przewozu towarów. Wyglądał zupełnie jak jakieś dziwaczne metalowe zwierzę, ciekawie wystawiające łeb ze swej kryjówki. Skywalker jednym skokiem znalazł się w kabinie myśliwca, omal nie zawadzając przy tym głową o niski sufit transportowca. Artoo już zdążył umościć się w swoim gniazdku i teraz, pogwizdując sobie cichutko, przełączał układy maszyny ze stanu spoczynku na pełną gotowość. Jedi ledwie zdołał zapiąć pasy i nałożyć hełm kosmiczny, gdy robot oznajmił, że myśliwiec jest gotowy do lotu.

- Dobra - stwierdził Lukę. Lewą rękę położył na specjalnym przełączniku, wmontowanym w tablicę rozdzielczą. - Jeśli ma nam się udać, to musimy ten manewr wykonać w odpowiednim momencie. Bądź w pogotowiu. Ponownie przymknął oczy, pozwalając, by przepłynęła przez niego Moc. Już raz brał udział w podobnej konfrontacji z Imperium: myśliwiec przeciwko niszczycielowi gwiazdnemu. Było to wtedy, gdy

próbował odszukać mistrza Jedi C'baotha. Wówczas także zastawiono na niego pułapkę, z czego jednak nie zdawał sobie sprawy aż do czasu, gdy wyszła na jaw szatańska zмова C'baotha z Imperium. W tamtej bitwie ocaliły go umiejętności, odrobina szczęścia i Moc. Tym razem, jeśli specjaliści na Coruscant dobrze wykonali swoją pracę, szczęście było już wbudowane w myśliwiec. Pograżony głęboko w Mocy, wyczuł zamknięcie się promienia ściągniętego pół sekundy wcześniej, niż to faktycznie nastąpiło. Pociągnął za przełącznik i kiedy transportowiec podskoczył w potężnym uścisku promienia ściągniętego, jego przednia część wyleciała w powietrze, pozostawiając po sobie jedynie chmurę metalicznych okruchów. Moment później, wyrzucony przez wmontowaną w pokład wyrzutnię pomiędzy błyszczących resztek, wyłonił się republikański myśliwiec. Przez dłuższą chwilę wydawało się, że mimo zaciemniającej wszystko mgiełki utworzonej z cząstek transportowca, promień ściągnięty będzie w stanie zatrzymać także myśliwiec... Ale uścisk zaraz zelżał, a w końcu ustąpił całkowicie. - Jesteśmy wolni! - krzyknął Lukę do Artoo. Obrócił myśliwiec i z ogromną prędkością pognął ku przestrzeni kosmosu. - Zrobię unik: trzymaj się. Ponownie obrócił maszynę. W tej samej sekundzie tuż obok klapy z przezroczystej stali przemknęły dwie smugi jaskrawozielonego światła. W sytuacji, kiedy promienie ściągnięte nie miały już żadnych szans, Imperium najwyraźniej postanowiło go po prostu zestrzelić. Obok myśliwca mignęła kolejna wiązka zielonych płomieni; Artoo jęknął żałośnie, gdy strzały przepaliły pole ochronne i uderzyły w spód myśliwca. Jedi znów sięgnął Mocą na zewnątrz, pozwalając, by prowadziła jego ręce spoczywające na tablicy kontrolnej... Gdy nadszedł odpowiedni moment, Lukę ujął dźwignię napędu nadprzestrzennego i pociągnął ją do siebie. Myśliwiec przyspieszył do pseudoruchu i zniknął bezpiecznie w nadprzestrzeni. Przez chwilę działa turbolaserowe „Chimery” strzelały jeszcze bezcelowo w miejsce, gdzie się przed chwilą znajdował. W końcu umilkły. Pellaeon wypuścił wstrzymywane dotąd powietrze, bojąc się spojrzeć w kierunku stanowiska dowodzenia Thrawna. Już drugi raz Skywalker zdołał umknąć z podobnej pułapki... Poprzednio jeden z żołnierzy przyplacił swój błąd życiem. Pozostała część załogi także o tym pamiętała. W grobowej ciszy, jaka teraz zapadła na mostku, wyraźnie dał się słyszeć szelest munduru wstającego z krzesła admirała.

- No cóż - odezwał się Thrawn podejrzanie spokojnym tonem. - Trzeba przyznać, że Rebelianci są nad wyraz pomysłowi. Widziałem już niegdyś podobną sztuczkę, ale nie była aż tak skuteczna.

- Tak, panie admirał - powiedział Pellaeon, bezskutecznie usiłując ukryć swoje zdenerwowanie. Kątem oka zauważył, że Thrawn mu się przygląda.

- Niech się pan uspokoi, kapitanie - przemówił łagodnie wielki admirał. - Skywalker stanowiłby miły upominek dla naszego mistrza C'baotha, ale jego ucieczka nie jest żadną tragedią. Głównym celem tego przedsięwzięcia było utwierdzenie Rebeliantów w przekonaniu, że istotnie odkryli szlak przerzutu klonów. I ten cel został osiągnięty. Nieznośny ucisk w piersiach Pellaeona nieco zelżał. Jeśli wielki admirał nie był zły z tego powodu...

- To jednak nie oznacza bynajmniej - podjął Thrawn - że zamierzam przejść do porządku dziennego nad działaniami załogi „Chimery”. Proszę ze mną, kapitanie. Pellaeon podniósł się z miejsca, czując, że znów przytłacza go niemiły ciężar.

- Tak jest, panie admirał. Thrawn podążył ku schodom znajdującym się w tylnej części mostka i zszedł do pomieszczenia dla załogi w prawej części statku. Minął żołnierzy siedzących przy swoich konsolach i sztywno stojących za ich plecami oficerów, aż wreszcie zatrzymał się przy stanowisku do obsługi promienia ściągniętego na prawej burcie.

- Pańskie nazwisko - powiedział cicho do mężczyzny, który stał tam wyprostowany służbiście.

- Chorąży Mithel. - Twarz nieszczęśnika była blada, ale opanowana, zupełnie jak u człowieka, który szykuje się na śmierć.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

- Panie admirale, właśnie udało mi się zamknąć transportowiec w uścisku promienia ściąającego, gdy statek eksplodował, rozpadając się na setki obojętnych na działanie promienia ściąającego cząsteczek. - Mężczyzna nerwowo przetknął ślinę. - System namierzania próbował objąć je wszystkie jednocześnie i się pogubił.
- I co pan wtedy zrobił?
- Ja... panie admirale, zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli będę czekał, aż cząsteczki rozproszą się samoistnie, to myśliwiec, o który nam chodziło, już dawno znajdzie się poza naszym zasięgiem. I dlatego sam postanowiłem je rozproszyć, przestawiając promień ściąający na opcję „powierzchnia przezroczysta”.
- Ale to nie zdało egzaminu. Z ust Mithela wyrwało się ciche westchnienie.
- Nie, panie admirale. Układ blokowania promienia ściąającego na konkretnym celu nie był w stanie sobie z tym poradzić i całkiem prze stał działać.
- Tak. - Thrawn nieznacznie przechylił głowę na bok. - Miał pan teraz trochę czasu, żeby przemyśleć swój e działanie. Czy wpadł pan może na jakieś rozwiązanie, które byłoby lepsze w tej sytuacji?
- Nie, panie admirale. - Wargi młodego człowieka zadrżały. - Bardzo mi przykro, ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Nie przypominam sobie także, by w podręczniku była jakakolwiek wzmianka na ten temat.
- To prawda - zgodził się Thrawn. - Nic tam nie ma. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat proponowano kilka metod radzenia sobie z chmurą odpornych na działanie promienia ściąającego cząstek, ale wszystkie okazały się niepraktyczne. Pańska propozycja była jedną z ciekawszych, szczególnie, jeśli się zważy na fakt, że miał pan bardzo niewiele czasu na podjęcie decyzji. To, że manewr ten sienie powiodł, w żadnym razie nie umniejsza pana dokonania. Na twarzy Mithela pojawił się wyraz nieśmiałego niedowierzania.
- Panie admirale... ?
- Imperium potrzebuje szybkich i twórczych umysłów, chorąży - oznajmił Thrawn. - Dlatego awansuję pana do stopnia porucznika... Pańskie pierwsze zadanie będzie polegało na znalezieniu skutecznego sposobu radzenia sobie z chmurą odpornych na działanie promienia ściąającego cząstek. Ponieważ raz im się powiodło, Rebelianci mogą próbować tej sztuczki po raz drugi.
- Tak jest, panie admirale. - Mithel odetchnął ciężko i jego twarz nabrała nieco rumieńców. - Bardzo panu dziękuję.
- Moje gratulacje, poruczniku Mithel - powiedział Thrawn i od wrócił się do Pellaeona. - Przekazuję panu dowodzenie na mostku, kapitanie. Niech „Chimera” powróci na pierwotny kurs. Gdyby mnie pan potrzebował, będę w swojej kabinie.
- Tak jest, panie admirale - wydusił Pellaeon. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo obok świeżo upieczonego porucznika, patrząc za odchodzącym Thrawn'em. Wiedział, że wszyscy żołnierze na mostku odczuli lęk, ale i podziw zarazem. Wczoraj załoga „Chimery” szanowała wielkiego admirała i ufała mu. Od dziś żołnierze będą gotowi oddać za niego życie. I po raz pierwszy od pięciu lat kapitan naprawdę uświadomił sobie, że stare Imperium przeminęło. Teraz narodziło się nowe, z wielkim admirałem Thrawn'em na czele. Republikański myśliwiec tkwił zawieszony w czerni kosmosu, całe lata świetlne od jakiejś masy większej niż ziarenko pyłu. Lukę miał wrażenie, że jest to powtórka sytuacji po pierwszej potyczce z niszczycielem gwiazdowym, kiedy to zawisł bezradnie w przestrzeni, a w końcu został znaleziony przez Talona Karrde'a i Marę Jadę, i wylądował na planecie Myrkr. Na szczęście te dwa zdarzenia były do siebie podobne, ale nie identyczne. Ze znajdującego się za plecami Skywalkera stanowiska robota doleciało nerwowe świergotanie.
- Daj spokój, Artoo -uspokajał go Jedi. -Nie jest tak źle. I tak nie zdołalibyśmy dolecieć na Coruscant bez tankowania. Po prostu zrobimy to nieco wcześniej. Robot mruknął coś w odpowiedzi, wyraźnie oburzony.
- Ależ Artoo. Przecież traktuj ę cię poważnie - zapewniał go cierpliwie Lukę. Od znajdującego się nad robotem komputera nawigacyjnego zażądał jakiejś informacji. -

Zobacz: to jest lista miejsc, do których możemy się dostać choćby z połową ogniw mocy, którymi jeszcze dysponujemy. Widzisz? Przez chwilę robot zastanawiał się nad przedstawioną mu listą i Skywalker skorzystał z okazji, by samemu lepiej się jej przyjrzeć. Ewentualnych miejsc lądowania rzeczywiście było sporo, ale problem polegał na tym, że nie wszystkie były bezpieczne dla samotnego myśliwca Nowej Republiki. Połowa z nich znajdowała się pod bezpośrednim zwierzchnictwem Imperium, a większość pozostałych albo skłaniała się w jego stronę, albo starała się zachować polityczną neutralność. Ale przecież nawet na planetach kontrolowanych przez Imperium w systemie czujników musiały istnieć luki, przez które samotny myśliwiec mógłby się prześlizgnąć. Lukę chciał wylądować w jakimś odosobnionym miejscu, pieszo udać się do portu kosmicznego i za resztę imperialnych pieniędzy, które mu jeszcze zostały, zakupić potrzebne ogniwa paliwowe. Pewien problem stanowiłoby przetransportowanie ich na myśliwiec, ale i z tym na pewno by sobie poradził przy pomocy Artoo. Robot wysunął piskliwie jakąś propozycję.

- Tak, Kessel to nie jest złe miejsce - przyznał Jedi. - Chociaż sam nie wiem... Ostatnio słyszałem, że na czele rządu wciąż stoi tam Moruth Dole, a Han nigdy mu zbyt nie ufał. Może lepiej polecimy na Fillsving albo nawet... Urwał, gdyż nagle wpadła mu w oko nazwa planety, której współrzędne Leia wprowadziła do jego komputera pokładowego dosłownie w ostatniej chwili, nim Lukę wyruszył na tę misję. Honoghr.

- Mam lepszy pomysł, Artoo - powiedział wolno Skywalker. - Odwiedzimy Noghrich. Za jego plecami rozległ się pełen zdumienia i niedowierzania pisk.

- Och, daj spokój - upomniał go Lukę. - Leia i Chewie byli tam i wrócili cali i zdrowi, prawda? Zresztą Threepio także - dodał. - Nie chciałbyś chyba, żeby Threepio mówił, iż bałeś się polecieć w miejsce, gdzie nawet on się odważył. Robot mruknął coś w odpowiedzi.

- To nie ma znaczenia, że nie miał wyboru - stwierdził stanowczo Jedi. - Liczy się to, że tam był. Artoo jęknął żałośnie i zagruchał z rezygnacją.

- Jesteś bardzo odważny - próbował dodać mu otuchy Skywalker. Na komputerze nawigacyjnym zaczął obliczać kurs na Honoghr. Zresztą Leia i tak chciała, żebym ich odwiedził. Tym sposobem zabijemy dwie jaszczurki wydmowe jednym ciosem. Artoo wydał z siebie jeszcze jeden niepewny pisk i umilkł... I nawet Lukę, który w pełni ufał opiniom siostry, przyznał w duchu, że to porównanie nie było chyba najszcześniejsze.

ROZDZIAŁ V

Na monitorku notesu elektronicznego pojawiły się ostatnie słowa raportu z bitwy w układzie Wostri.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - pokręciła głową Leia, odkładając notes na stół. - Gdyby Imperium miało superbroń, która mogłaby się prze drzeć przez pole ochronne planety, to używałoby jej w każdym atakowanym przez siebie układzie. To musi być jakaś sztuczka czy złudzenie optyczne.

- Zgadzam się - powiedziała cicho Mon Mothma. - Problem polega na tym, jak przekonać o tym pozostałych członków Rady i całe Zgromadzenie, nie wspominając już o rządach innych układów.

- Musimy rozwikłać zagadkę tajemniczych ataków na Ukio i Wostri - stwierdził Ackbar jeszcze bardziej chropawym głosem niż zwykle. - I to szybko. Leia ponownie schyliła się po swój notes elektroniczny, zerkając przy tym na admirała. Powieki przykrywające ogromne oczy Kalamarianina były nienaturalnie ciężkie, a jej łososiowa twarz wyraźnie przybladła. Ackbar był zmęczony, wręcz wycieńczony... A że przez galaktykę przewalała się potężna ofensywa Imperium, nie zanosilo się na to, by miał wkrótce odpocząć. Zresztą na każdego z nich czekało wiele pracy.

- Wiemy już, że wielki admirał Thrawn ma zdolność rozumienia mentalności swoich przeciwników -przypomniała księżniczka -Czy był w stanie przewidzieć, jak szybko się poddadzą Ukianie i mieszkańcy Wostri?

- Na przykład w porównaniu z FiManami? - Mon Mothma pokiwała w zadumie głową. - Ciekawa uwaga. To może wskazywać na fakt, że tego złudzenia nie można utrzymywać zbyt długo.

- Albo, że jest to operacja wysoko energochłonna - dodał Ackbar. - Jeśli Imperium znalazło sposób na to, by skutecznie skupiać na polu ochronnym niewidzialną energię, to zabieg ten mógłby osłabić jakiś fragment pola na okres wystarczająco długi, żeby przez powstałą szczelinę przedostał się strzał z działła turbolaserowego. Jednakże taka operacja wymagałaby ogromnej mocy.

- Powinna by się także zaznaczyć jako zachwianie energetyczne pola ochronnego - zauważyła Mon Mothma. - W informacjach, które otrzymaliśmy, nie pojawia się jednak żadna wzmianka na ten temat.

- Nasze informacje mogą być nieścisłe - odparował admirał. - Mogło też manipulować nimi Imperium - dodał, spoglądając znacząco na radnego Borska Fey'lyę. - Takie rzeczy już się zdarzały. Leia także zerknęła na Fey'lyę, zastanawiając się, czy niemal jawne obrażanie jego ludzi nie sprawi, że Botańczyk przerwie wreszcie milczenie, które sam sobie narzucił. Ale Fey'lya siedział bez ruchu, wlepiwszy wzrok w stół. Nie odzywał się, na nic nie reagował, być może nawet nie myślał. Księżniczka przypuszczała, że Botańczyk nabierze w końcu na tyle odwagi, by się swobodnie wypowiadać i że choć częściowo odbuduje swą dawną pozycję na arenie politycznej. Teraz jednak, kiedy jeszcze wszyscy mieli świeżo w pamięci fałszywe oskarżenia, jakie wysuwał przeciwko Ackbarowi, Fey'lya odbywał swoistą, właściwą Botańczykom pokutę. Leię ogarnęła bezsilność i poczuła skurcz w żołądku. Po raz kolejny nieustępliwość Botańczyków w sprawach polityki, wyrażająca się dewizą: „wszystko albo nic”, odbijała się negatywnie na całej Nowej Republice. Kilka miesięcy wcześniej zarzuty Fey'lyi przeciwko Ackbarowi kosztowały wszystkich wiele czasu i energii; teraz, kiedy Rada powinna wykazać maksimum przenikliwości i zaradności, w czym i Fey'lya także mógłby mieć swój udział, Botańczyk grał rolę milczącego męczennika. Zdarzały się dni - a także długie ciemne noce - kiedy księżniczka skrycie rozpaczała, że nigdy nie zdoła utrzymać Nowej Republiki w całości.

- Naturalnie ma pan rację, admirale - stwierdziła Mon Mothma z westchnieniem. - Potrzebujemy więcej informacji, i to jak najszybciej.

- W dalszym ciągu naszą największą szansą jest organizacja Talona Karrde'a - zauważyła Leia. - Przemysłowcy mają kontakty zarówno po naszej, jak i po imperialnej stronie. A z ostatniego meldunku Luke'a wynika, że Karrde jest zainteresowany współpracą z nami.

- Nie możemy się zdawać na widzimisię jakiegoś przemysłowca - burknął Ackbar i wydał wargi w wyrazie dezaprobaty. - A co z generałem Belem Iblisem? Przecież w końcu przez kilka lat prowadził indywidualną wojnę przeciwko Imperium.

- Generał już przekazał nam swoich agentów - odparła Mon Mothma, a jej twarz lekko drgnęła. - Ale jeszcze nie zostali w pełni zintegrowani z naszą siatką wywiadowczą.

- Nie chodzi mi o jego agentów - rzekł admirał. - Miałem na myśli samego generała. Dlaczego go tutaj nie ma? Księżniczka zerknęła na przewodniczącą Rady i poczuła kolejny skurcz w żołądku. Garm Bel Iblis był jednym z tych ludzi, którzy przyczynili się do połączenia pojedynczych grup oporu w Sojusz Rebeliantów. Przez szereg lat wraz z Mon Mothmą i przyrodnim ojcem Leii, Balem Organa, tworzył tajemnicze trio przywódców. Ale kiedy Organa i jego ludzie zginęli na Alderaan'ie w wyniku ataku Gwiazdy Śmierci -i w miarę jak Mon Mothma zaczęła zagarniać dla siebie coraz większą władzę - Bel Iblis wystąpił z Sojuszu i zaczął działać na własną rękę. Od tego czasu prowadził prywatną wojnę z Imperium... aż do chwili, gdy właściwie przez przypadek spotkał się ze swoim rodakiem, Koreliańczykiem Hanem Solo. To właśnie na

usilną prośbę Hana Bel Iblisa, wraz ze swymi sześcioma pancernikami, przybył na pomoc Nowej Republice podczas bitwy o Flotę Katańską. Mon Mothma, witając go po latach, mówiła o konieczności pogrzebienia dawnego urazu, po czym szybko wysłała generała na obrzeża Nowej Republiki do pracy nad umocnieniem systemów obronnych w odległych układach. Tak daleko od Coruscant, jak to tylko było możliwe. Leia nie dojrzała jeszcze do tego, aby posadzać przewodniczącą Rady o mściwość; ale we władzach Nowej Republiki byli tacy, którzy pamiętali Bena Iblisa i jego geniusz taktyczny... I część z nich nie miała bynajmniej złudzeń, co do pobudek kierujących działaniem Mon Mothmy

- Doświadczenie generała jest potrzebne na froncie - stwierdziła spokojnie kobieta.

- Jego doświadczenie jest potrzebne także tutaj - odparował Ackbar, ale księżniczka wyczuła w jego głosie rezygnację. Admirał sam dopiero co wrócił z inspekcji systemów obronnych w układach Farrin 1 Dolomar, a rano miał wyruszyć na Dantoine. W sytuacji, kiedy machina wojenna Imperium została wprawiona w ruch, Nowa Republika nie mogła sobie pozwolić na to, by najlepszych dowódców liniowych zastrzymać w biurach, na tyłach frontu.

- Rozumiem pański niepokój - powiedziała nieco łagodniej Mon Mothma. - Kiedy sytuacja na tamtych obszarach się ustabilizuje, zamierzam sprowadzić generała z powrotem i powierzyć mu kierownictwo nad planowaniem taktycznym naszych posunięć. Jeśli w ogóle zdołamy ustabilizować tę sytuację - dodała w duchu księżniczka, ponownie czując skurcz w żołądku. Jak dotąd ofensywa posuwała się dokładnie tak, jak to sobie Imperium zaplanowało... Nagle Leia przerwała swoje rozmyślenia, bo uświadomiła sobie, że to, co od jakiegoś czasu odczuwała, to nie były skurcze żołądka... Teraz znowu Ackbar zabrał głos.

- Przepraszam - przerwała mu księżniczka, ostrożnie podnosząc się z krzesła. - Przykro mi, że panu przeszkadzam, ale muszę zejść na oddział medyczny.

- Bliźnięta? - spytała Mon Mothma, szeroko otwierając oczy.

- Myślę, że już nie czas - skinęła głową Leia. Sala porodowa była pomalowana na ciepły beżowy kolor. Oświetlał ją szereg nakładających się na siebie, przesuwających się świateł. Ich ruch został uprzednio zsynchronizowany z tempem przepływu fal w mózgu Leii. W teorii miało to pomóc jej się odprężyć i skoncentrować, ale po dziesięciu godzinach nieustannego wpatrywania się w ową plejadę świateł, Leia stwierdziła, że cały ten zabieg przestał odnosić zamierzony skutek. Pojawił się kolejny skurcz, jeszcze silniejszy od poprzedniego. Księżniczka odruchowo użyła Mocy, starając się zastosować metody powstrzymywania bólu, jakich uczył ją Luke. Proces rodzenia stwarzał jej okazję do wypróbowania umiejętności Jedi. I było to coś więcej niż tylko zapanowanie nad bólem. Wszystko dobrze, pomyślała uspokajająco, sięgając myślą do maleńkich umysłów w jej wnętrzu. Wszystko dobrze. Mama jest z wami. Niewiele to pomogło. Dzieci były przerażone: nie rozumiały, dlaczego nagle jakies tajemnicze siły ściskają ich drobniutkie ciała i popychają ku nieznanemu; ich nierozwinięte jeszcze umysły drżały niespokojnie. Zresztą uczciwie trzeba stwierdzić, że ich ojciec był w niewiele lepszym stanie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Han, chyba po raz setny od chwili, kiedy tu przyszli. Mocniej ścisnął żonę za rękę - także po raz setny chcąc jej dodać otuchy, kiedy znów skuliła ramiona.

- Na razie tak - zapewniła go Leia. Kiedy skurcz ustąpił, rozluźniła ramiona i odwzajemniła uścisk męża. - Za to ty nie wyglądasz zbyt dobrze.

- O tej porze zwykle już śpię - zażartował Han, robiąc do niej minę.

- Tak, to pewnie o to chodzi - zgodziła się księżniczka. Od kiedy poród rozpoczął się na dobre, Han był niezmiernie podenerwowany, ale za wszelką cenę starał się tego nie okazywać. Leia podejrzewała, że robił to ze względu na nią, a nie z obawy o to, iż ucierpi na tym jego reputacja. - Bardzo mi przykro.

- Nic się nie martw. - Solo zerknął ku tyłowi łóżka, gdzie kręcił się lekarz i dwa roboty medyczne. - Wygląda na to, że zbliżamy się do finiszu, kochanie.

- Mam nadzieję - wyznała Leia, z trudem wypowiadając ostatnie słowo, gdyż właśnie zaczęła się kolejny skurcz. - Och...

- Dobrze się czujesz? - spytał natychmiast Han, z coraz większym trudem starając się ukryć zdenerwowanie. Księżniczka skinęła głową: przez chwilę miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła z siebie wydusić ani słowa.

- Obejmij mnie, Han - szepnęła, kiedy udało jej się wreszcie ode zwać. - Po prostu mnie obejmij.

- Jestem przy tobie - rzekł cicho, wsuwając rękę pod jej ramiona. Ledwie go słyszała. Ukryte w jej ciele małe istotki, które razem z Hanem powołali do życia, zaczęły się poruszać... i nagle ich drżący niepokój przerodził się w bezgraniczny strach. Nie bójcie się, zwróciła się do nich w myślach. Nie bójcie się. Wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj. Już niedługo będziecie tu, przy mnie. Właściwie nie spodziewała się żadnej reakcji - umysły dzieci były jeszcze zbyt słabo rozwinięte, by zrozumieć coś tak abstrakcyjnego jak słowa czy pojęcia odnoszące się do przyszłości. Ale i tak dalej przemawiała do nich uspokajająco, starając się otoczyć przestraszone maleństwa swoją miłością i spokojem. Nastąpił kolejny skurcz - wędrówka ku światu zewnętrznemu była nieodwołalna... I nagle, ku bezgranicznej radości Leii, jeden z maleńkich umysłów sięgnął ku niej w sposób, w jaki żadne z bliźniąt nie odpowiedziało dotąd na jej milczące czułości. Strach dziecka nieco osłabł i księżniczka wyobraziła sobie, że maleństwo ściska drobną rączyną jej palec. Tak, zwróciła się do dziecka. Jestem twoją mamą i jestem przy tobie. Filigranowy umysł jakby zaczął rozważać to oświadczenie. Leia w dalszym ciągu przemawiała do niego łagodnie w myślach i w pewnym momencie poczuła, że uwaga dziecka skierowała się ku czemuś innemu. Doszła do wniosku, że to dobry znak: jeśli istotka zdołała się na chwilę oderwać od tego, co się z nią działo... Nagle ze zdziwieniem stwierdziła, iż przerażenie w umyśle drugiego maleństwa także zaczęło słabnąć. W umyśle, który-jak sądziła-nawet nie zauważył jeszcze jej obecności... Kiedy się później nad tym spokojnie zastanowiła, uznała, że sprawa była zupełnie oczywista, a nawet w pewnym sensie nieunikniona. Ale w tamtej chwili to odkrycie ją zadziwiło i wzburzyło na tyle, że przeszył ją dreszcz. Bliźnięta, które rozwijały się w niej obok siebie, jednocześnie razem wzrastały w Mocy, były ze sobą niejako zespolone - i to w sposób, jakiego Leia nigdy nie będzie w stanie w pełni zrozumieć. Była to najbardziej napawająca dumą, a zarazem najboleśniejsza chwila w jej życiu. Było jej dane przez moment ujrzeć przyszłość - zobaczyć, jak jej dzieci razem wzrastają i umacniają się w Mocy... a jednocześnie zdać sobie sprawę, że jest taki obszar w ich życiu, do którego nigdy nie będzie miała dostępu. Skurcz ustąpił i wspaniała, a zarazem zaprawiona goryczą wizja przyszłości zniknęła, pozostawiając jedynie gdzieś na dnie umysłu bolesną plamkę. Znak ten był tym boleśniejszy, że nagle Leia ze wstydem uświadomiła sobie, iż ogarnięta samolubnym uczuciem ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że Han będzie uczestniczył w życiu swych dzieci w jeszcze mniejszym stopniu niż ona. Raptownie ocknęła się z zadumy - jej oczy poraziło jasne światło. Odruchowo ścisnęła męża mocniej za rękę.

- Co się...?

- To już - rzucił cicho Solo, odwzajemniając uścisk żony. - Pierwsze maleństwo już widać. Księżniczka zamrugała powiekami i częściowo wyobrażone światło zniknęło, gdy jej psychiczny kontakt z dziećmi został przerwany. Jej dzieci, których oczy dotychczas miały do czynienia jedynie z przyćmioną, słabą poświatą...

- Zgaście to światło - wydyszała. - Jest zbyt jasne. Oczy dzieci...

- Wszystko w porządku - uspokoił ją lekarz. - Ich oczy się przyzwyczajają. No dobrze: jeszcze jedno parcie. Po chwili pierwsze dziecko opuściło łono matki.

- Mam jedno - oznajmił Han zdławionym głosem. - To jest... - wyciągnął szyję - to jest nasza córka. - Spojrzał na żonę i na jego napiętej twarzy pojawił się krzywy uśmiech, który Leia tak dobrze знаła. - Jaina. Księżniczka skinęła głową.

- Jaina- powtórzyła. Wydało jej się, że imiona, które wcześniej wybrali dla swoich dzieci, nigdy jeszcze nie brzmiały tak, jak w tej chwili. - A co z Jacenem?

- No, wygląda na to, że bardzo mu spieszno do siostry - zażarto wał lekarz. - Proszę się przygotować do parcia... Mały sprawia wrażenie, jakby sam chciał się wyczołgać. No dobrze: przyj! Leia wzięła głęboki oddech. Wreszcie - po dziesięciu godzinach porodu i dziewięciu miesiącach ciąży - zbliżała się do końca. Nie. Nie do końca. To był dopiero początek. Kilka minut później położyli jej na piersiach bliźnięta... i kiedy popatrzyła na nie, a potem na męża, spłynął na nią niezwykły spokój. Wiedziała, że gdzieś tam wśród gwiazd toczy się wojna; ale dla niej w tej chwili świat przedstawiał się zupełnie normalnie.

- Uważaj, dowódco - rozległ się w słuchawkach głos Dziesiątego. - Coś ci siedzi na ogonie.

- Widzę - powiedział Wedge, rzucając swój myśliwiec ostro w bok. Imperialny pojazd przemknął obok, plując przy tym wściekle ogniem dział laserowych. Spróbował powtórzyć manewr Wedge'a, ale lecący tuż za nim myśliwiec republikański celnym strzałem rozwalił go na kawałki.

- Dzięki, Ósmy - rzekł Antilles. Otarł pot z czoła i zerknął na przyrządy. Wyglądało na to, że przynajmniej w tej chwili w ich rejonie było spokojnie - nie. Wolno obrócić maszynę i szybkim spojrzeniem ogarnął pole bitwy. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż się spodziewał. Gorzej nawet, niż pięć minut temu. Z nadprzestrzeni wyłoniły się dwa kolejne niszczyciele gwiazdnej klasy A i ustawiły się niedaleko jednego z trzech ocalałych kalamariańskich krążowników gwiazdnych Nowej Republiki pod takim kątem, by znaleźć się poza jego polem rażenia. A jednocześnie w odległości umożliwiającej spokojne strzelanie do bezbronnego krążownika...

- Żelazny Dywizjon: zmienić kurs na dwa-zero-dwa przecinek osiem - rozkazał. Skierował swój myśliwiec w stronę zagrożonego statku Nowej Republiki, zastanawiając się jednocześnie, jak, u licha, Imperium zdołało czegoś takiego dokonać. Wykonanie tak dokładnego skoku było trudne nawet w najbardziej dogodnych warunkach; podobny manewr podczas zamieszania bitewnego wydawał się właściwie niemożliwy. Był to kolejny dowód na to, że Imperium posiadało umiejętność doskonałej koordynacji swoich sił. Z gniazda robota astronawigacyjnego rozległo się ostrzegawcze pikanie: czujniki wskazywały na to, że myśliwiec znajduje się obecnie zbyt blisko dużej masy, by wykonać skok w nadprzestrzeń. Wedge rozejrzał się ze zdziwieniem i w końcu dostrzegł krążownik przechwytyjący, trzymający się z dala od właściwego pola bitwy. Wyglądało na to, że Imperium nie chce, by jakimkolwiek statkowi Nowej Republiki udało się umknąć przedwcześnie z miejsca starcia. Antilles zauważył nadlatujące z przodu myśliwce imperialne z niszczyciela gwiazdnej klasy V.

- Utworzyć szyk Porkinsa - zarządził. - Uważajcie na tych z flanki. Krążownik gwiazdny „Orthavan”. Tu Żelazny Dywizjon; lecimy wam na pomoc.

- Zostań na miejscu, dowódco Żelaznych - odpowiedział Wedge'owi chropawy głos Kalamarianina. - Mają nad nami zbyt dużą przegagę. Nie możecie nam pomóc. Antilles zgrzytnął zębami. Kalamarianin najprawdopodobniej miał rację.

- Mimo wszystko spróbujemy - rzekł twardo. Zbliżające się do nich myśliwce imperialne znajdowały się już niemal w polu rażenia. - Trzy macie się.

- Żelazny Dywizjon: tu Bel Iblis - włączył się do rozmowy nowy głos. - Wstrzymajcie atak. Na mój znak odsuniecie się trzydzieści stopni w lewo. Wedge z trudem się pohamował, by nie powiedzieć czegoś, za co pewnie postawiono by go pod sąd wojenny. Osobiście wyznawał zasadę, że jeśli statek się jeszcze nie rozpadł, to ciągle istnieje szansa na to, by go uratować. Jednak Bel Iblis był najwyraźniej innego zdania.

- Tak jest, generale - odparł z ciężkim westchnieniem Antilles. - Żelazny Dywizjon: przygotować się.

- Żelazny Dywizjon: ...teraz! Posłusznie, choć niechętnie, Wedge przesunął w bok swój myśliwiec typu X. Pojazdy imperialne także zmieniły kurs i podążyły za nimi... Nagle piloci Imperium zupełnie stracili głowy... Z potężnym rykiem, który było wyraźnie słychać nawet w wypełnionej rozrzedzonymi gazami przestrzeni kosmicznej, w miejscu, które przed chwilą zwolnił dywizjon Wedge'a, przemknęła ustawiona w szyk bojowy

grupa republikańskich myśliciów typu A. Imperialne pojazdy, które nadal jeszcze wykonywały poprzedni manewr, były zupełnie bezradne. Nim zdążyły z powrotem sformować zaporę, republikańskie myślicie minęły je i pełną parą leciały w kierunku krążownika gwiazdowego.

- W porządku, dowódco Żelaznych - odezwał się Bel Iblis. - Te raz wasza kolej. Oczyszczenie im tyły. Na ustach Antilles'a pojawił się nieznaczny uśmiech. Powinien był się spodziewać czegoś takiego po tak wytrawnym dowódcy.

- Zrozumiałem, panie generale. Żelazny Dywizjon: ruszamy na wroga!

- A kiedy już się z nimi rozprawicie, przygotujcie się do odwrotu - dodał ponuro Bel Iblis. Wedge zamrugał powiekami i uśmiech znikł z jego twarzy. Do odwrotu? Zwrócił swoją maszynę w stronę myśliciów Imperium i omiół wzrokiem teren, gdzie toczyła się główna bitwa. Kilka minut wcześniej uświadomił sobie, że sytuacja wygląda źle. Teraz widział wyraźnie, że zanoszą się na katastrofę. Siły Bela Iblisa zostały uszczuplone o pięć spośród piętnastu dużych statków, którymi dysponował na początku bitwy; a i te pozostałe okrążone przez ponad dwadzieścia nieustannie je nękających niszczycieli gwiazdowych i pancerników - w większości broniły się ostatkiem sił. Wedge przeniósł wzrok na nadciągające w ich kierunku myślicie imperialne i kątem oka zauważył majaczący za nimi krążownik przechwytyjący. Krążownik przechwytyjący, który wytwarzał stożek pola grawitacyjnego, uniemożliwiający okrążonym wykonanie skoku w nadprzestrzeń... Za chwilę Żelazny Dywizjon siedział już na ogonach imperialnych pojazdów; Antilles nie miał więc czasu na dalsze rozmyślenia. Starcie było gwałtowne, ale krótkie - najwyraźniej nagle pojawienie się myśliciów typu A wytrąciło imperialnych pilotów z równowagi. Po upływie trzech, a może czterech minut Żelazny Dywizjon znów był wolny.

- Co teraz, dowódco Żelaznych? - spytał Drugi, kiedy dywizjon, oddalwszy się od szczątków rozbitych statków, ponownie sformował szyk. Wedge z niepokojem zerknął w stronę „Orthavana”. Jeśli sztuczka Bela Iblisa się nie powiodła... Na szczęście obawy Antilles'a okazały się płonne. Niespodziewana szarża myśliciów typu A zajęła uwagę niszczycieli gwiazdowych klasy V na tyle, że kalamariański krążownik zyskał nieco swobody i zdołał przyjąć pozycję umożliwiającą atak. Zarówno potężne działa turbolaserowe, jak też działa jonowe „Orthavana” pracowały pełną parą, niszcząc systemy obronne imperialnych statków i waląc w ich kadłuby. Na oczach Wedge'a ze środkowej części kadłuba pobliskiego niszczyciela gwiazdowego wytrysnął gejzer rozgrzanego gazu i statek, nagle wprawiony w ruch rotacyjny, zaczął się oddalać. Kryjąc się pod kadłubem uszkodzonego i niegroźnego już niszczyciela, krążownik gwiazdowy wycofał się z pola bitwy i skierował się ku krążownikowi przechwytyjącemu.

- Kurs na „Orthavana” - rozkazał Antilles. - Może mu być potrzebna osłona. Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy tuż obok „Orthavana” z nadprzestrzeni wyłoniły się niespodziewanie dwa pancerniki. Wedge na moment wstrzymał oddech, ale na szczęście krążownik gwiazdowy poruszał się na tyle szybko, że pancerniki zdążyły jedynie oddać w jego kierunku kilka bezładnych salw. Republikański statek minął jednostki wroga, nie zatrzymując się; a kiedy pancerniki rzuciły się w pogoń za nim, dywizjon myśliciów typu A powtórzył wypróbowany już wcześniej manewr ofensywny. Po raz kolejny, dzięki elementowi zaskoczenia, ich działania przyniosły nieproporcjonalnie duże efekty. Nim Imperium pchnęło do boju swoje myślicie, „Orthavan” znajdował się już tak daleko, że pancerniki nie miały szans go doścignąć. Imperium w pełni zdawało sobie z tego sprawę. Wedge usłyszał dobiegające z tyłu popiskiwanie robota astronawigacyjnego: przygotowując się do skoku w nadprzestrzeń, odległy krążownik przechwytyjący wyłączył generatory tworzące studnię grawitacyjną i sztuczne pole grawitacyjne zaczęło znikać. Krążownik przechwytyjący... Dopiero teraz Wedge zrozumiał, na czym tak naprawdę polegała jego rola. Mylił się - te niszczyciele gwiazdowe klasy V wcale nie musiały się uciekać do jakichś tajemniczych metod koordynacyjnych, aby się wyłonić z nadprzestrzeni tak blisko krążownika gwiazdowego. Po prostu leciały zgodnie z podanym im przez krążownik przechwytyjący wektorem i w

momencie, gdy docierały do krawędzi stożka pola grawitacyjnego były ściągane z nadprzestrzeni. To odkrycie wywołało grymas na twarzy Antilles'a. Dawno temu wpajano mu, że przecenianie umiejętności wroga może być równie niebezpieczne, co ich niedocenywanie. Na przyszłość będzie musiał o tym pamiętać.

- Blokujące możliwość skoku nadprzestrzennego pole grawitacyjne zostało wyłączone - rozległ się w słuchawkach głos Bela Iblisa. - Wszystkie jednostki: potwierdzić odbiór i przygotować się do odwrotu.

- Tu Żelazny Dywizjon: potwierdzam przyjęcie rozkazu- oznajmił Antilles. Skierował maszynę na obrany już wcześniej kurs odwrotu i z bolesnym grymasem przyjrzał się temu, co pozostało z głównej grupy, która brała udział w bitwie. Nie było najmniejszych wątpliwości, co do tego, że Republikanie przegrali, i to z kretesem. A legendarny geniusz taktyczny Bela Iblisa zdołał ich jedynie uchronić przed druzgocącą klęską. Porażka ta będzie zapewne kosztować Republikę utratę kolejnego układu.

- Żelazny Dywizjon: ruszajcie!

- Tak jest - westchnął Wedge. Pociągnął za dźwignię napędu nad przestrzennego.. . A kiedy gwiazdy zamieniły się w świetne smugi, przy szła mu do głowy pocieszająca myśl: niedocenywanie Imperium - przynajmniej w najbliższej przyszłości - nie powinno stanowić dla niego problemu.

ROZDZIAŁ VI

Światne smugi ponownie zamieniły się w gwiazdy i „Szalony Karrde” wyszedł z nadprzestrzeni. Dokładnie przed nim znajdowało się małe białe słońce układu Chazwy, niezbyt wyróżniające się na jasnym tle otaczających je gwiazd. Nieco z boku widniała sama Chazwa - ciemna kula w cieniutkiej, jasnej otoczce. W ciemnościach kosmosu tu i ówdzie można było dostrzec światła odlatujących z planety i przylatujących na nią statków. Znakomitą większość stanowiły transportowce i krążowniki transportowe, dla których Chazwa była wygodnym punktem tranzytowym. Oprócz nich dało się też zauważyć kilka imperialnych statków wojennych.

- No, to jesteśmy na miejscu - zagał rozmowę siedzący w fotelu drugiego pilota Aves. - A tak nawiasem mówiąc, Karrde, to uważam ten pomysł za poroniony.

- Być może - stwierdził szef przemysłowców. Obrął kurs wprost na planetę i sprawdził monitory kontrolne. Wszystko w porządku: reszta grupy też udało się tu dotrzeć. - Ale jeśli imperialny szlak przelotu klonów naprawdę wiedzie przez sektor Orus, to w garnizonie na Chazwie powinna się znajdować jakaś wzmianka na ten temat. A jeżeli ktoś przypadkiem nie zachował należytej ostrożności, to może jest tam również informacja o miejscu, z którego klony pochodzą.

- Nie miałem na myśli szczegółów tej akcji - rzekł Aves. - Chodzi mi o to, że głupota było w ogóle się w to wszystko pakować. To jest wojna Nowej Republiki, a nie nasza, niech więc Republikanie sami pro wadzą poszukiwania.

- Gdybym miał pewność, że sobie z tym poradzą, na pewno bym się w to nie mieszał - odparł Karrde. Wyjrzał przez prawy iluminator: w stronę „Szalonego Karrde'a” zbliżał się kolejny transportowiec. - Ale wcale nie jestem pewien, czy im się to uda.

- Wciąż nie bardzo chce mi się wierzyć w podane przez Skywalkera liczby - burknął Aves. - Wydaje mi się, że gdyby naprawdę można było tak szybko hodować klony, to dawni mistrzowie klonowania na pewno by z tego skorzystali.

- Możliwe, że to zrobili - zauważył Karrde. - O ile mi wiadomo, nie zachowały się z tego okresu żadne informacje na temat technik klonowania. Wszystkie zapiski, które widziałem, dotyczą o wiele wcześniejszych eksperymentów, jeszcze sprzed wojny.

- No tak... - Aves pokręcił głową. - Ale i tak wolalbym nie mieć z tym do czynienia.

- Może się okazać, że nie mamy w tej kwestii wielkiego wyboru. - Karrde wskazał ręką zbliżający się do nich transportowiec. - Chyba ktoś chce nam złożyć wizytę. Możesz mi podać jego numer identyfikacyjny?

- Jasne. - Aves obrzucił transportowiec szybkim spojrzeniem, po czym odwrócił się do swoich przyrządów. - Nie mam tu o nim żadnej wzmianki. Chwileczkę... Tak, zmienili swój kod identyfikacyjny. To wygląda na prosty zabieg nakładkowy. Zobaczmy, czy magiczny deko der Ghent'a sobie z tym poradzi. Wzmianka na temat Ghent'a sprawiła, że Karrde powędrował myślami na drugi koniec galaktyki, na Coruscant, gdzie pod opieką Nowej Republiki zostawił dwójkę swoich współpracowników. Jeśli przewidywania tamtejszych lekarzy się sprawdziły, to Mara powinna już powrócić do zdrowia. Zapewne niebawem spróbuje się z nim skontaktować. Postanowił, że gdy tylko załatwi to, po co tu przyjechali, sprawdzi, czy nie ma dla niego jakiejś wiadomości.

- Mam - oznajmił triumfalnie Aves. -No, no, Karrde, to chyba twój stary znajomy. „Dumny Kerm” i jego niezbyt szacowny właściciel, Samuel Tomas Gillespi.

- Coś podobnego! - zdziwił się szef przemysłowców i przyjrzał się uważnie statkowi, który znajdował się teraz zaledwie sto metrów od nich. - Lepiej się dowiedzmy, czego on chce. - Ustawił nadajnik na połączenie kierunkowe o krótkim zasięgu. - Tu Talon Karrde do „Dumne go Kerma” - powiedział. - Gillespi, nie siedź tak. Przywitaj się.

- Cześć, Karrde - odezwał się znajomy głos. - Chyba się nie gniewasz, że nim się przywitałem, chciałem się najpierw dowiedzieć, z kim mam do czynienia, co?

- Skądże znowu - zapewnił go szef przemysłowców. - A tak przy okazji, masz ładną nakładkę na swoim kodzie identyfikacyjnym.

- Jak widać, mogłaby być lepsza-zauważył cierpko mężczyzna.-Nam było jeszcze daleko do rozpracowania twojego kodu. Co ty tu robisz?

- Właśnie miałem cię spytać o to samo. Wydawało mi się, że zamierzałeś się wycofać?

- I zrobiłem to - potwierdził Gillespi ponuro. - Całkowicie zaniechałem prowadzenia interesów. Kupiłem sobie spory kawałek ziemi na cichej planecie, gdzie mogłem sobie patrzeć, jak rosną drzewa i trzymać się z dala od wszelkiego zamieszania. To miejsce nazywało się Ukio. Mówi ci coś ta nazwa? Siedzący obok Karrde'a Aves pokręcił głową, mrużąc coś pod nosem.

- Tak, słyszałem coś ostatnio na temat tej planety - przyznał szef przemysłowców. - Byłeś tam podczas ataku Imperium?

- Byłem tam w czasie ataku, w czasie kapitulacji i jeszcze przez pewien okres znosiłem okupację - mruknął Gillespi. - Mówiąc prawdę, miałem doskonały widok na pole bitwy. Mogę cię zapewnić, że bombardowanie wyglądało naprawdę imponująco.

- Może mógłbyś coś na tym zarobić - rzucił Karrde, myśląc nad czymś intensywnie. Wiedział, że Nowa Republika nie uzyskała jeszcze szczegółowych informacji na temat tego, co naprawdę zaszło na Ukio. Dokładny zapis ataku mógł się okazać bezcenny dla republikańskich taktyków. Mógł też przynieść sporą sumkę zarówno naoczniemu świadkowi, jak i temu, kto do niego dotarł. - Czy robiłeś może jakieś zapiski w czasie ataku?

- Zarejestrowałem krótki fragment bombardowania na karcie danych z mojej lornetki. A dlaczego pytasz?

- Bardzo prawdopodobne, że mógłbym znaleźć na to kupca - oznajmił Karrde. - Może to zrekompensuje ci nieco poniesione straty.

- Wątpię, by twój kupiec był w stanie zapłacić za to odpowiednią kwotę - prychnął Gillespi. - Karrde, wprost trudno w to uwierzyć, na prawdę. Już nie mówię o Svivrenie, ale nawet zdobycie Ukio powinno im zająć nieco więcej czasu.

- Imperium ma spore doświadczenie w podbijaniu planet - przy pomnił mu szef przemysłowców. - Masz szczęście, że w ogóle udało ci się wyjść z tego cało.

- Co do tego masz rację - przyznał mężczyzna. - Dzięki Faughnowi i Rappaporowi w ostatniej chwili umknąłem przed szturmowcami. Ale wcześniej pojawili się robotnicy, których wysłano po to, by zmienili moją ziemię w pola uprawne. Mówię ci, te ich nowe klony mogą przyprawić człowieka o gęsią skórę.

- Jak to? - spytał Karrde, posyłając Aves'owi szybkie spojrzenie.
- Co to znaczy: jak to? - oburzył się Gillespi. - Nie jestem zwolennikiem tego, by ludzie schodzili z taśmy produkcyjnej. Wielkie dzięki. A jeśli już tak musi być, to na pewno nie podoba mi się, że tą fabryką zarządza Imperium. Trzeba było widzieć tych facetów, którzy ustawiali zapory na drogach - mówię ci, od razu przechodził człowieka dreszcz.

- Nie wątpię. Co masz zamiar robić po opuszczeniu Chazwy?

- Mówiąc prawdę, jeszcze nie bardzo wiem, po co w ogóle tam jadę - odparł gorzko Gillespi. - Miałem zamiar skontaktować się za pośrednictwem informatora z Braskiem i zapytać, czy nie zechciałby nas do siebie przyjąć. A co, masz jakąś lepszą propozycję?

- Kto wie? Możemy zacząć od wysłania do mojego kupca tej karty danych z twojej lornetki. Zapłacę ci z kredytu, który dla mnie otworzył. A potem... Mam pewien pomysł, który mógłby cię zainteresować i...

- Mamy towarzystwo - wtrącił Aves. - Dwa statki imperialne, lecą w tę stronę. Zdaje się, że to fregaty klasy lansier.

- Oho! - mruknął Gillespi. - Może wcale nie wydostaliśmy się z Ukio tak niepostrzeżenie, jak mi się wydawało.

- Podejrzewam, że polują raczej na nas - stwierdził Karrde. Zacisnąwszy usta, zmienił kurs tak, aby uniknąć spotkania z przybyszami. - Miło się z tobą gawędziło, Gillespi. Jeśli masz ochotę dokończyć tę rozmowę, to spotkajmy się za osiem dni w układzie Trogana. Wiesz, gdzie to jest.

- Będę tam na pewno, ale nie wiem, czy ty dasz radę tam dotrzeć. Jeśli nie, to nie daj im się zbyt łatwo. Karrde przerwał połączenie.

- Nie ma mowy - mruknął pod nosem. - No dobra, tylko spokojnie... Skierował statek nieco w lewo, starając się przy tym stwarzać wrażenie, że zamierza ominąć planetę i obrać nowy wektor nadprzestrzenny

- Czy mam zaalarmować pozostałych? - spytał Aves.

- Jeszcze nie - odparł szef przemytników. Szybkim spojrzeniem obrzucił monitory kontrolne i zaczął obliczać na komputerze nawigacyjnym współrzędne skoku w nadprzestrzeń. - Wolę odłożyć tę misję na później, niż wdawać się w bitwę z dwoma wojowniczo nastawionymi imperialnymi fregatami klasy lansier.

- Tak... - powiedział wolno Aves. - Karrde... Oni nie zmieniają kursu. Szef przemytników podniósł głowę. Aves miał rację: żaden ze statków imperialnych nawet nie drgnął. Oba w dalszym ciągu leciały według pierwotnie obranego kursu. Wprost na „Dumnego Kerma"... Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia.

- Co robimy? - spytał Aves. Jego szef popatrzył na imperialne jednostki. „Szalony Karrde" dysponował sporymi możliwościami bitewnymi, a ludzie Karrde'a należeli do najzdolniejszych. Jednak statki, które przyleciały z nim na Chazwę, były wyposażone w uzbrojenie przydatne w walce z nieprzyjacielskimi myśliwcami. Dwie fregaty klasy lansier były dla nich zbyt silnym przeciwnikiem. Nagle „Dumny Kerm" zrobił gwałtowny ruch. Raptownym zrywem wykonał coś na kształt kojograńskiego manewru unikowego i przy dużej prędkości zmienił kurs, ustawiając się pod ostrym kątem do dotychczasowego kierunku lotu. Jednak imperialne fregaty nie dały się zmylić i momentalnie znalazły się tuż za nim. Dzięki temu Karrde miał zupełnie wolną drogę. Mógł swobodnie polecieć na Chazwę, wydostać dane z komputera garnizonowego i opuścić układ, nim wrogie fregaty zdążyłyby wrócić. Szybko i bez problemu, a i władze Nowej Republiki z pewnością byłyby zadowolone.

Ale Gillespi był starym znajomym... A w hierarchii wartości Karrde[^] kolega po fachu stał wyżej niż jakiś galaktyczny rząd, z którym zresztą nie miał nic wspólnego.

- Wygląda na to, że Gillespiemu nie udało się wydostać z Ukio tak niepostrzeżenie, jak sądził - stwierdził szef przemytników. Obrócił „Szalonego Karrde'a" i włączył interkom. - Lachton, Czini, Korvis: naładujcie działa turbolaserowe. Wkraczamy do akcji.

- A co z innymi statkami? - zainteresował się Aves, który przed chwilą włączył pola ochronne i uruchomił monitor taktyczny.

- Najpierw musimy zwrócić na siebie uwagę wroga - oznajmił Karrde. Trzej mężczyźni przy działach zameldowali gotowość bojową. Szef przemytników wciągnął głęboki oddech i włączył pełną moc silników. Dowódcy fregat nie dali się zaskoczyć. Kiedy „Szalony Karrde” ruszył w ich kierunku, jeden ze statków momentalnie przerwał pościg za „Dumnym Kermem” i odwrócił się w stronę nadciągającego nieprzyjaciela.

- Chyba nas zauważyli - rzekł Aves zduszonym głosem. - Czy te raz mogą już wezwać pozostałych?

- Dobra - rzucił Karrde. Nastawił swój nadajnik na połączenie kierunkowe o krótkim zasięgu. - Gillespi, tu Karrde.

- Tak, widzę cię - dobiegł go głos kolegi. - Co ty właściwie robisz?

- Chcę ci pomóc. - Jedna z fregat uruchomiła dwadzieścia poczwórnych dział laserowych i na „Szalonego Karrde'a” posypał się grad zielonych błysków. Przemycnicy odpowiedzieli ogniem z dział turbolaserowych, ale ich trzy salwy wyglądały dość żałośnie w porównaniu z kanonadą wroga. - No dobra, tego już związaliśmy ogniem. Lepiej się stąd zabieraj, nim ten drugi zdoła cię namierzyć.

- To wy związaliście go ogniem? - prychnął ironicznie Gillespi. - Słuchaj, Karrde...

- Powiedziałem, wynoś się stąd! - zdenerwował się Karrde. - Nie zdołamy go blokować zbyt długo. Nie martw się o mnie, nie jestem tu sam.

- Już nadchodzą posiłki - poinformował go Aves. Szef przemytników zerknął na wsteczny monitor kontrolny: istotnie, zbliżała się grupa piętnastu transportowców. Wszystkie skierowały swe działa na imperialną fregatę, która niespodziewanie znalazła się w opałach. Z nadajnika rozległo się pełne podziwu gwizdnięcie.

- Rzeczywiście nie żartowałeś - zauważył Gillespi.

- Nie, nie żartowałem - rzucił szef przemytników. - A teraz już zabieraj się stąd, dobrze?

- Zdradzę ci pewien sekret, Karrde - zaśmiał się głośno Gillespi. - Ja też nie jestem tu sam. Poprzez bijący w „Szalonego Karrde'a” ogień dział laserowych szef przemytników dostrzegł światła około dwudziestu statków, które, zboczywszy z poprzednich kursów, zebrały się w gromadę, by jak głodne barabele rzucić się na drugą fregatę imperialną.

- No, Karrde - podjął znowu Gillespi - coś mi się wydaje, że tym razem żaden z nas nie robi interesu na Chazwie. A zatem może dokończymy tę rozmowę gdzie indziej? Powiedzmy, za osiem dni?

- Z przyjemnością - uśmiechnął się Karrde. Z powrotem skierował wzrok na przeciwnika i uśmiech znikł z jego twarzy. Standardowa załoga fregaty liczyła ośmiuset pięćdziesięciu członków; a wnosząc z tego, jak sprawnie statek powstrzymywał nieprzyjaciela, domyślał się, że była kompletna. Przemknęło mu przez myśl pytanie, ilu z tych ludzi zostało wyprodukowanych w fabryce klonów wielkiego admirała Thrawna. - Atak przy okazji, Gillespi - dodał - jeśli po drodze spotkasz naszych chłopaków, to zaprosz ich na to spotkanie. Myślę, że może ich zainteresować to, co mam im do powiedzenia.

- Nie ma sprawy. Do zobaczenia za osiem dni. Karrde wyłączył komunikator. A więc załatwione: Gillespi przekaże tę wiadomość wszystkim większym grupom przemytniczym; a w jego ustach to luźne zaproszenie przybierze niebawem formę niemal rozkazu stawienia się na to spotkanie. A zatem na Troganie znajdą się wszyscy - albo prawie wszyscy. Teraz musi się jedynie zastanowić, co właściwie zamierza im powiedzieć. Wielki admirał Thrawn opadł na oparcie swojego fotela.

- No dobrze, panowie - powiedział. Jego wzrok przesunął się kolejno po czternastu mężczyznach, którzy luźnym półkolem otaczali jego stanowisko dowodzenia. - Czy są jakieś pytania? Zamykający z jednej strony półkole, niedbale wyglądający mężczyźni zerknęli na pozostałych.

- Nie ma pytań, panie admirale - oznajmił zdecydowanym tonem wojskowego, który zabrzmiał dziwnie w ustach niechlujnego cywila. - Kiedy mamy wyruszyć?

- Trwają właśnie przygotowania waszego transportowca - odparł Thrawn. - Wyruszyście od razu, kiedy tylko będzie gotowy. Jak pan sądzi, kiedy zdołacie przeszukać Pałac Imperialny?

- Licząc od dzisiaj, nie wcześniej niż za sześć dni - rzekł mężczyzna. - Nim wylądujemy na Coruscant, chciałbym jeszcze zahaczyć o kilka innych portów; rebeliancka służba bezpieczeństwa będzie na nas patrzeć przychylniej, jeśli damy jej możliwość sprawdzenia, skąd lecimy. Chyba że pan chce, abyśmy dotarli tam szybciej. Gorejące oczy Thrawna nieco się zwężyły i Pellaeon bez trudu odgadł, o czym myśli admirał: Mara Jadę tkwi sobie bezpiecznie w głównej siedzibie Rebeliantów i może nawet w tej właśnie chwili wyjawia im lokalizację skarbcza Imperatora na Waylandzie...

- Czas odgrywa kluczową rolę w tej operacji - zwrócił się Thrawn do dowódcy komandosów. - Ale sam pośpiech na nic się nie zda, jeśli zostaniecie zdemaskowani jeszcze przed dostaniem się do pałacu. Pan prowadzi tę akcję, majorze Himron. Panu więc pozostawiam podjęcie decyzji.

- Tak jest, panie admirale - mężczyzna skinął głową. - Bardzo dziękuję za zaufanie. Nie zawieziemy pana.

- Wiem o tym, majorze - uśmiechnął się nieznacznie Thrawn. - Możecie odejść. - Czternastu mężczyzn odwróciło się i w milczeniu opuściło pokój. - Wydawał się pan zaskoczony, kapitanie, niektórymi z moich poleceń - zauważył admirał, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

- Tak, rzeczywiście, panie admirale - przyznał Pellaeon. - Naturalnie wszystko to brzmiało bardzo rozsądnie - dodał pośpiesznie. - Ja po prostu nie brałem pod uwagę takiego zakończenia tej operacji.

- Musimy być przygotowani na każdą ewentualność - oznajmił Thrawn, naciskając jakiś guzik na swojej konsoli. Światła przygasły i na ścianach kabiny dowodzenia pojawiły się holograficzne malowidła i szkice. - To sztuka ludu Mrisst - wyjaśnił Pellaeonowi. - Jeden z najbardziej intrygujących przypadków na całym cywilizowanym obszarze galaktyki. W ich kulturze nie można znaleźć ani jednego, pochodzącego z okresu przed wizytą dziesiątej ekspedycji alderaańskiej, trójwymiarowego dzieła sztuki.

- Ciekawe - zainteresował się szczerze Pellaeon. - Czyżby to wynikało z jakichś braków w ich percepcji?

- Wielu ekspertów wciąż jest tego zdania - rzekł admirał. - Ja jednak uważam, że to efekt pewnych czarnych plam w kulturze, połączonych z niezwykle subtelną, ale silną harmonijnością społeczeństwa. Będziemy mogli wykorzystać ten splot cech. Pellaeon spojrział na hologramy i poczuł skurcz w żołądku.

- Będziemy atakować Mrisst?

- Niewątpliwie już dojrzelismy do tego - zauważył Thrawn. - A mając tam swoją bazę, będziemy mogli uderzać w samo serce Rebelii.

- Tyle że Rebelianci z pewnością zdają sobie z tego sprawę - zauważył ostrożnie kapitan. Jeśli natarczywe żądania C'baotha, by zaatakować Coruscant, dotarły wreszcie do uszu wielkiego admirała... - Gdy tylko wykonamy choćby najmniejszy ruch w stronę Mrisst, przeprowadzą zmasowany kontratak, panie admirale.

- Właśnie - rzucił Thrawn, uśmiechając się z ponurą satysfakcją. - Co oznacza, że gdy będziemy wreszcie gotowi, by wciągnąć w zasadzkę flotę z sektora Coruscant, Mrisst z powodzeniem posłuży nam za przynętę. Jeśli wyjdą nam na spotkanie, to z miejsca ich rozbijemy. A jeżeli jakimś cudem zwęszą podstęp, to zyskamy bazę blisko ich siedziby. Tak czy inaczej, będzie to triumf Imperium. - Ponownie sięgnął do swojej tablicy i miejsce holograficznych dzieł sztuki zajęła taktyczna mapa gwiezdna. - Jednakże ta bitwa jest jeszcze sprawą przyszłości - powie dział. - Teraz naszym głównym celem jest stworzenie silnej armii, która zapewni nam ostateczne zwycięstwo. A jednocześnie cały czas powinniśmy podcinać korzenie Rebelii.

- I atak na Ord Mantell ma temu właśnie służyć - pokiwał głową Pellaeon.

- Z pewnością zasieje pewien niepokój w okolicznych układach - przyznał Thrawn. - A poza tym ograniczy nieco nacisk statków rebelianckich na linie zaopatrzeniowe naszych stoczni.

- Bardzo by się to przydało - stwierdził kapitan z ponurą miną. - Z ostatniego raportu z Bilbringi wynika, że zapasy gazu tibańskiego w tamtejszej stoczni skurczyły się drastycznie. Podobnie zresztą ma się sprawa z hfredium i kammriss.

- Wydałem już rozkaz, aby garnizon na Bepinie zwiększył tempo produkcji gazu tibańskiego - oznajmił admirał i nacisnął jakiś guzik na swoim komputerze. - A co się tyczy metali, to wywiad poinformował mnie ostatnio, że namierzył dogodnie położone magazyny. Na ekranie komputera pojawił się wspomniany raport i Pellaeon pochylił się, by go przeczytać. Dotarł właśnie do miejsca lokalizacji tych zapasów...

- I to mają być według wywiadu dogodnie położone magazyny?!

- Rozumiem, że jest pan innego zdania - rzekł łagodnie Thrawn. Pellaeon ponownie zerknął na raport i na jego twarzy pojawił się grymas niepokoju. Kiedy Thrawn potrzebował wgłębiarek do operacji w stoczni na Sluis Van, Imperium zaatakowało pracujący na supergorącej planecie Nikllon, kroczący zespół kopalniany Landa Calrissiana. Tamten nalot kosztował Imperium ponad milion godzin ludzkiej pracy. Najpierw trzeba było uodpornić niszczyciel gwiazdny „Mściciel” na wysoką temperaturę, panującą na położonej niedaleko słońca tej planety orbicie Nkllonu; potem wiele zachodu pochłonęła reperacja powstałych uszkodzeń.

- Myślę, że to zależy od tego, panie admirale - zaczął - na jak długo trzeba będzie wyeliminować z walki niszczyciel gwiazdny, który zostanie wyznaczony do tej akcji.

- To słuszna uwaga - przyznał Thrawn. - Ale na szczęście tym razem nie będziemy musieli angażować żadnych niszczycieli gwiazdnych. Trzy z naszych nowo pozyskanych pancerników powinny w zupełności wystarczyć do zneutralizowania sił obrony na Nkllonie.

- Ale przecież pancernik nie zdoła... Aha... - Pellaeon urwał nagle, zrozumiał, na czym polega cały plan. - Nie musi być na tyle duży, by się oprzeć działaniu słońca. Jeśli nasi ludzie zdołają przejąć jeden ze statków-tarcz, które eskortują na planetę przylatujące i odlatujące jednostki, to pancernik zmieści się pod parasolem ochronnym.

- Właśnie - potwierdził Thrawn. - A przechwycenie takiego statku nie powinno stanowić większego problemu. Pomimo swych imponujących rozmiarów statek-tarcza to w końcu tylko parasol ochronny, układy chłodzące i niewielka kabina sterująca, w której mieści się cała załoga. Sześć jednostek bojowych z pełną załogą powinno sobie z nim szybko poradzić. Pellaeon pokiwał głową, nie odrywając wzroku od raportu.

- A co się stanie, jeżeli Calrissian sprzeda swoje zapasy, nim dotrą tam nasze siły?

- Nie sprzeda - zapewnił go admirał. - Na rynku cena metali dopiero co zaczęła rosnąć, a ludzie pokroju Calrissiana zawsze czekają, licząc na to, że może będzie jeszcze wyższa. Chyba, że Calrissiana ogarnęło nagle poczucie obywatelskiego obowiązku i postanowił sprzedać towar przyjacielom z rządu Nowej Republiki, nawet po niższej cenie.

- Radziłbym jednak, panie admirale, aby tę akcję przeprowadzono jak najszybciej.

- Dziękuję za radę, kapitanie - rzekł Thrawn, uśmiechając się nieznacznie. - Tak się złożyło, że została ona już rozpoczęta. Do ataku przy stąpiono jakieś dziesięć minut temu. Pellaeon uśmiechnął się z przymusem. Miał nadzieję, że któregoś dnia zrozumie ostatecznie, iż nie ma spraw, których by wielki admirał nie wziął pod uwagę.

- Tak jest, panie admirale. Thrawn rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Proszę wrócić na mostek, kapitanie, i przygotować statek do skoku w nadprzestrzeń. Czekają na nas Ord Mantell.

ROZDZIAŁ VII

Dochodzące z tablicy kontrolnej pikanie wyrwało Luke'a z lekkiej drzemki. Strząsnąwszy sen z powiek, obrzucił szybkim spojrzeniem przyrządy.

- Artoo? - zawołał, przeciągając się przy tym na tyle, na ile mu po zwała ciasna kabina. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Przygotuj się. W odpowiedzi usłyszał nerwowe świergotanie.

- Co ty, Artoo, nie denerwuj się. - Skywalker starał się uspokoić robota. Zaciśnął palce na dźwigni napędu nadprzestrzennego myśliwca i pozwolił, by przepłynęła przez niego Moc. Już niemal czas... Teraz! Pociągnął za dźwignię i świetlne smugi zaraz ustąpiły miejsca gwiazdom. Dokładnie przed sobą ujrzeli planetę Noghrich, Honoghr. Artoo gwizdnął cichutko.

- Wiem - rzucił Lukę, ale i jemu zrobiło się trochę słabo. Leia uprzedziła go, czego może się spodziewać, ale mimo tego ostrzeżenia widok planety, która właśnie ukazała się jego oczom, był dla niego szokiem. Spod cienkiej warstwy białych chmur przebijała płaska, jednostajnie brązowa powierzchnia. Leia powiedziała, że ten kolor nadaje jej trawa kholm lokalna roślina honoghryjska, w której Imperium dokonało genetycznych zmian, by doprowadzić do zniszczenia roślinności planety. Ów podstęp, w połączeniu ze starannie limitowaną pomocą, której udzielał tubylcom najpierw Vader, a potem Thrawn, zapewnił Imperium cztery dekady oddanej służby Noghrich. Jeszcze nawet w tej chwili w różnych zakątkach galaktyki noghryjskie Komanda Śmierci walczyły i umierały za tych, których cyniczna perfidia i udawana litość uczyniły ich lud niewolnikami. Świergotanie Artoo kazało Skywalker'owi oderwać wzrok od niemego pomnika bezwzględności Imperium.

- Nie wiem - wyznał, gdy na ekranie komputera pojawiło się tłumaczenie pytania robota. - Żeby to stwierdzić, musielibyśmy wysłać tam najpierw grupę specjalistów od ekologii i ochrony środowiska. Chociaż nie wygląda to zbyt obiecująco, co? Robot gwizdnął przeciągle - ale elektroniczny wyraz zakłopotania przerodził się nagle w pełen przerażenia pisk. Jedi poderwał głowę dokładnie w momencie, gdy szybki bojowy statek patrolowy przelatywał nad jego myśliwcem.

- Chyba nas zauważyli - stwierdził, siląc się na spokój. - Miejmy nadzieję, że to Noghri, a nie Impe...

- Halo, myśliwiec gwiazdny: podaj swój kod identyfikacyjny - odezwał się z komunikatora niski, miaukliwy głos. Lukę włączył nadajnik, jednocześnie sięgając Mocą na zewnątrz, do patrolowca, który właśnie zawrócił i przyjął pozycję bojową. Nawet z tej odległości powinien wyczuć, czy w kabine obcego statku znajduje się człowiek. Jego zmysły nie sygnalizowały obecności istoty ludzkiej, doszedł więc do wniosku, że za sterami najprawdopodobniej siedzi Noghri. I miał nadzieję, że się nie myli.

- Tu Lukę Skywalker - powiedział. - Syn Dartha Vadera, brat Leii Organy Solo. Przez dłuższą chwilę nie było żadnej odpowiedzi.

- Po co tu przybyłeś? Zwykła ostrożność podpowiadała Luke'owi, że nie powinien mówić o braku ogniw paliwowych w myśliwcu, nim się nie dowie, jaki stosunek mają do niego i do Nowej Republiki przywódca Noghrich. Ale Leia kilkakrotnie mówiła o tym, jak wielkie wrażenie zrobiło na niej poczucie honoru i prostolinijna uczciwość tutejszego ludu.

- Podstawowe źródło zasilania w moim statku uległo zniszczeniu - wyznał otwarcie. - Sądzę, że będziecie mogli mi pomóc.

- Narażasz nas na wielkie niebezpieczeństwo, synu Vadera - syknął cicho Noghri. - Statki imperialne przylatują na Honoghr o najróżniejszych porach dnia i nocy. Jeśli cię zauważą, wszyscy na tym ucierpimy.

- Rozumiem - rzekł Skywalker i zrobiło mu się nieco lżej na sercu. Skoro Noghri obawiali się, że zostanie zauważony przez statki imperialne, to widocznie nie odrzucili definitywnie prośby Leii o to, by wystąpili przeciwko Imperium. - Jeżeli chcecie, to mogę zaraz wyjechać. Wstrzymał na chwilę oddech, słysząc za plecami żałosny jęk Artoo. Jeśli Noghri przyjmą jego deklarację, to nie jest pewne, czy przy obecnym poziomie zasilania zdołają dotrzeć w jakieś inne miejsce. Najwyraźniej tok rozumowania noghryjskiego pilota był bardzo podobny. Lady Vader wiele ryzykowała dla dobra mego ludu - oznajmił. - Nie możemy pozwolić na to, byś narażał swoje życie. Leć za mną, synu

Vadera. W miarę naszych skromnych możliwości postaramy się zapewnić ci bezpieczeństwo. Z tego, co mówiła Leia, wynikało, że na Honoghr istniał tylko jeden niewielki obszar, na którym mogło rosnąć coś oprócz spreparowanej przez Imperium trawy kholm. Khabarakh i matrah z klanu Khim'bar umieścili księżniczkę, Chewbacę i Threepia w jednej z tamtejszych wiosek, i dzięki sprytowi oraz odrobinie szczęścia udało im się ukryć przybyszów przed wnikliwym wzrokiem Imperium. Leia podała Luke'owi lokalizację Czystego Łądu wraz ze współrzędnymi samego układu... Podążając za statkiem patrolowym w stronę powierzchni planety, Skywalker rychło uświadomił sobie, że kierują się gdzieś indziej.

- Dokąd lecimy? - spytał noghryjskiego pilota, gdy zeszli poniżej poziomu chmur.

- W stronę rejonu, który jest przyszłością naszej planety - odparł obcy.

- Aha - mruknął Luke pod nosem. Daleko z przodu rysowały się postrzępione łańcuchy górskie, które wyglądały jak pręgi grzbietowe dwóch stojących naprzeciwko siebie, jadowitych smoków z Tatooine. - Czy wasza przyszłość jest w tych górach?

- Podobnie jak lady Vader, a jeszcze wcześniej lord Vader - ponownie syknął obcy - ty także umiesz czytać w duszach Noghrich. Jedi wzruszył ramionami. W tym wypadku był to właściwie tylko celny strzał.

- Dokąd się teraz kierujemy?

- Inni zaprowadzą cię na miejsce - rzekł pilot. - Ja muszę cię tu opuścić. Żegnaj, synu Vadera. Moja rodzina na długo zachowa w pamięci zaszczyt dzisiejszego dnia. - Patrolowiec gwałtownie poderwał się w górę i z powrotem skierował się na obrzeża układu... Dokładnie w tej samej chwili, zupełnie nie wiadomo skąd, wyłoniły się dwa pojazdy podniebne w pełnym rynsztunku bojowym i zajęły miejsca po bokach myśliwca Luka.

- Witamy cię, synu lorda Vadera - odezwał się z komunikatora nowy głos. - Jesteśmy zaszczytzeni, że możemy cię eskortować. Proszę za nami. Jeden z pojazdów podniebnych wysunął się naprzód, by wskazywać drogę; drugi zaś przesunął się na koniec konwoju, by ubezpieczać tyły. Skywalker trzymał się w środku, starając się dojrzeć, dokąd zmierzają. Z miejsca, z którego patrzył, zbocza gór wydawały się równie nieurodzajne jak reszta planety. Artoo zaszczebotał z ożywieniem i na ekranie komputera pojawiła się wiadomość.

- Rzeka? - zdziwił się Luke i wyjrzał przez osłonę myśliwca. - Gdzie...? Aha, już widzę. Wyływa spomiędzy dwóch łańcuchów górskich, tak? Robot zapikał twierdząco. Kiedy się nieco zbliżyli do tego miejsca, Skywalker zauważył, że rzeka płynie bardzo wartko; widoczne w wielu miejscach białe spienione bałwany wskazywały na obecność podwodnych skał. To zapewne z ich powodu przełom pomiędzy dwoma stokami skalnymi był tak ostry i głęboki. Kilka minut później znaleźli się po drugiej stronie górskiego łańcucha. Prowadzący cały orszak pojazd podniebny skręcił w lewo, uniósł się lekko ponad podgórze i zniknął za jedną z wyższych turni. Jedi podążył za nim, uśmiechając się lekko na wspomnienie pewnej sytuacji sprzed lat. „Masz lecieć dokładnie wzdłuż tego rowu...” Przeprowadził myśliwiec na drugą stronę wzgórz i znalazł się w cieniu górskich szczytów. A jednocześnie w zupełnie innym świecie. Teren wzdłuż brzegów rzeki pokryty był świeżą zielenią. Artoo gwizdnął przeciągle, dając wyraz swemu zdumieniu.

- To są rośliny - stwierdził Luke, uświadamiając sobie natychmiast, jak bezsensownie zabrzmiały jego słowa. Oczywiście, że to były rośliny; ale znaleźć taką oazę roślinności na Honoghr...

- To jest przyszłość naszej planety - oznajmił j eden z towarzyszących Skywalker'owi pilotów z odcieniem dumy w głosie. - Przyszłość, którą zapewniła nam lady Vader. Proszę dalej, synu lorda Vadera. Lądowisko znajduje się przed nami. Okazało się, że za lądowisko służył ogromny płaski występ skalny, wystający częściowo ponad spienione wody rzeki, która na długości jakichś dwóch kilometrów płynęła wartkim nurtem po dnie wąwozu. Baczenie obserwując groźne bałwany w dole, Luke posadził myśliwiec na skalnej półce. Na szczęście lądowisko okazało się większe, niż

się wydawało z wysokości pięćdziesięciu metrów. Pojazdy podniebne zaczęły, aż Skywalker wylądował, po czym zawróciły i poleciały w głąb wąwozu. Jedi przełączył wszystkie układy pojazdu w stan spoczynku i rozejrzał się dokoła. Zauważył, że roślinność nie jest tak jednobarwna, jak wcześniej sądził. Można było rozróżnić conajmniej cztery odcienie zieleni tworzące równomierny wzór, który z całą pewnością nie był przypadkowy. W jednym miejscu do rzeki schodziła rura, której drugi koniec wędrował do góry i ginął pośród roślinności. Skywalker domyślił się, że ta rura służy do nawadniania pola. Kiedy spojrzął w dół rzeki, zobaczył w odległości kilku metrów od lądowiska małą, ukrytą pod wiszącą skałą, chatkę. Tuż przed jej drzwiami stali dwaj Noghri: jeden miał skórę stalowoszarą, drugi znacznie ciemniejszą. Po chwili obaj ruszyli w stronę Luke'a.

- To chyba komitet powitalny - rzucił Jedi do Artoo, otwierając osłonę kabiny myśliwca. - Ty się stąd nie ruszaj, słyszysz? Masz się stąd nie ruszać. Jeszcze wpadniesz do wody, jak w czasie tej pierwszej wizyty na Dagobah, i będziesz miał szczęście, jeśli uda nam się znaleźć wszystkie twoje części. Nie musiał powtarzać tego polecenia dwa razy. Robot nerwowym pikaniem potwierdził przyjęcie rozkazu, po czym, zaniepokojony, zadał jakieś pytanie.

- Tak, jestem pewien, że są do nas nastawieni przyjaźnie - uspokoił go Skywalker. Zdjął hełm i podniósł się z fotela. - Nie martw się, nie będę daleko odchodził. - Zeskoczył z myśliwca i skierował się w stronę gospodarzy. Dwaj Noghri dotarli już do krawędzi półki-lądowiska i zatrzymawszy się, obserwowali Luke'a w milczeniu. Zbliżając się do nich, Jedi skrzywił się w duchu; sięgnął Mocą na zewnątrz w nadziei, że uda mu się cokolwiek wyczytać z umysłów obcych.

- Witam was w imieniu Nowej Republiki - powiedział, kiedy znalazł się już na tyle blisko, że Noghri mogli go usłyszeć mimo szumu płynącej w dole wody. - Jestem Luke Skywalker, syn Dartha Vadera i brat Leii Organy Solo. Tak jak mu poleciła Leia, wyciągnął przed siebie lewą rękę dłonią do góry. Starszy Noghri wysunął się do przodu i pochylał nad nią głowę. Jego nozdrza dotknęły skóry Skywalkera i Jedi z trudem się powstrzymał, by nie cofnąć ręki przed delikatnym łaskotaniem.

- Witam cię, synu Vadera - rzekł obcy, prostując się. Obaj Noghri padli jednocześnie na kolana, rozkładając ramiona na boki w geście uszanowania, który opisywała Leia. - Jestem Okhevam z klanu Bakh'tor. Służę naszemu ludowi tutaj, w miejscu gdzie zbudujemy przyszłość naszej planety. Twoja wizyta to dla nas zaszczyt.

- Jestem prawdziwie ujęty waszą gościnnością - powiedział Skywalker, kiedy obaj Noghri podnieśli się z ziemi. - A twój towarzysz to... ?

- Jestem Khabarakh z klanu Khim'bar - oznajmił młodszy z obcych. - Klan Vaderów zaszczycił mnie teraz swą obecnością po raz drugi.

- Khabarakh z klanu Khim'bar - powtórzył cicho Jedi, ciekawie przyglądając się swemu rozmówcy. A więc to był ten młody noghryjskie komandos, który najpierw się narażał, przywożąc Leię na Honoghr, a potem ofiarnie bronił jej przed wielkim admirałem Thrawn'em. - Dziękuję ci za pomoc, jaką okazałeś mojej siostrze Leii. Ja i moja rodzina jesteśmy twoimi dłużnikami.

- Nie macie wobec nas żadnego długu, synu Vadera - rzekł Okhevam. - To raczej lud Noghrich pozostaje waszym dłużnikiem. Postawa Khabarakha z klanu Khim'bar jedynie zapoczątkowała spłacanie tego długu. Luke pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Nazwał to miejsce przyszłością waszej planety? - rzucił pytająco, chcąc zmienić temat.

- To jest przyszłość, którą podarowała ludowi Noghrich lady Vader - stwierdził Okhevam, szerokim gestem ręki wskazując całą dolinę. - Dzięki jej wspaniałemu darowi oczyściliśmy tę ziemię z trujących roślin Imperium. Pewnego dnia będziemy tu mieli dosyć jedzenia, by wyżywić cały nasz lud.

- To wygląda naprawdę imponująco - powiedział Skywalker z prze konaniem. Na otwartej przestrzeni cała ta zieloność na tle brązowej trawy kholm od razu rzucały się

w oczy jak słoń pośród mrówek. Ale jako, że tutaj była ukryta pomiędzy dwoma łańcuchami górskimi i można ją było zobaczyć jedynie bezpośrednio z góry, istniała duża szansa, że przylatujące na planetę statki imperialne nigdy nawet nie domyśla się jej istnienia. Rzeka dostarczała wody w obfitości, a nieco niższa szerokość geograficzna sprawiała, iż sezon wegetacji roślin był tu trochę dłuższy niż na obszarze Czystego Łądu. Gdyby jednak sprawy przybrały bardzo zły obrót, pewna liczba odpowiednio rozmieszczonych ładunków wybuchowych mogła uczynić zaporę na rzece albo zburzyć fragment skalnych stoków, grzebiąc w ten sposób wszelkie ślady istnienia tej cichej rebelii przeciwko Imperium. Trzeba dodać, że na zaprojektowanie i zbudowanie tego kompleksu Noghri mieli zaledwie miesiąc. Nic więc dziwnego, że Thrawn, a jeszcze wcześniej Vader, uznali tę rasę za użytecznych poddanych.

- To lady Vader sprawiła, że stało się to możliwe - powiedział Okhevam. - Nie bardzo mamy cię czym ugościć, synu Vadera. Ale to, co po siadamy, jest także twoje.

- Dziękuję - skinął głową Skywalker. - Ale jak już nadmienił pilot statku patrolowego, moja obecność na Honoghr stawia was w niebezpiecznym położeniu. Jeśli dostarczycie mi zapasowych ogniw paliwowych do mojego statku, od razu stąd odleczę. Naturalnie zapłacę za nie.

- Nie przyjmujemy żadnej zapłaty od syna lorda Vadera - oznajmił Okhevam, oburzony tą propozycją. - Będzie to jedynie spłata skromnej części długu, jaki ciąży na naszym ludzie.

- Rozumiem - rzucił Jedi, tłumiąc westchnienie. Oczywiście Noghri mieli dobre intencje, ale w końcu będą się musieli wyzbyć tego po czucia winy z powodu służby na rzecz Imperium. Ludy i istoty znacznie bardziej doświadczone niż oni także dawały się zwięść jego podstępom. - Chyba musimy się najpierw zorientować, czy macie części, które będą pasowały do mojego statku. Jak to zrobimy?

- To już zostało załatwione - powiedział Khabarakh. - Pojazdy podniebne zaniosą wiadomość o tym, czego ci potrzeba, do portu kosmicznego w Nystao. Ogniwa mocy i mechanicy, którzy je zainstalują, dotrą tu przed zapadnięciem nocy.

- A do tego czasu służymy ci gościna- dodał Okhevam, zerkając przy tym spod oka na Khabarakha. Może uważał, że to on, jako starszy, powinien prowadzić rozmowę.

- To dla mnie zaszczyt - odparł Lukę. - Prowadźcie. Chata pod wiszącą skałą była naprawdę bardzo mała. Większość miejsca zajmowały dwa wąskie łóżka, niski stół i wymontowane z małego statku urządzenia do przechowywania i przygotowywania jedzenia. Ale przynajmniej było tu ciszej niż na zewnątrz.

- W czasie pobytu na Honoghr to będzie twój dom - zwrócił się do gościa starszy Noghri. - My z Khabarakhem będziemy trzymali straż przed drzwiami, własnym życiem broniąc twojego bezpieczeństwa.

- To nie będzie konieczne - zapewnił ich Skywalker. Rozejrzał się po izbie: urządzono ją tak, by mogła służyć za stałe mieszkanie. - Jeśli wolno spytać:, co wy tutaj robicie?

- Ja opiekuję się tym miejscem - wyjaśnił Okhevam. - Obchodzę tę ziemię, żeby sprawdzić, czy rośliny dobrze rosną. A Khabarakh z klanu Khim'bar... - Zerknął na młodszego rodaka i Lukę odniósł wraże nie, że w spojrzeniu czai się odrobina ponurej wesołości. - Khabarakh z klanu Khim'bar jest uciekinierem. Do dziś szuka go wiele statków.

- Naturalnie - rzucił Skywalker z wymownym uśmiechem. W obliczu groźby wielkiego admirała, że Khabarakh zostanie poddany przez Imperium wnikliwemu przesłuchaniu, najważniejsze było to, by młody komandos „uciekł” z aresztu i na jakiś czas zniknął z oczu. Równie ważne było to, by wieść o oszustwie Imperium dotarła do wszystkich, rozrzuconych po całej galaktyce oddziałów noghryjskich komandosów. Oba te cele łatwo dawały się połączyć.

- Czy chcesz może coś zjeść albo trochę odpocząć? - zatroszczył się Okhevam.

- Nie, dziękuję. Niczego mi nie potrzeba - odparł Jedi. - Myślę, że najlepiej zrobię, jeśli wrócę na statek i zacznę wymontowywać te zużyte ogniwa.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zaofiarował się Khabarakh.
- Tak, bardzo proszę - zgodził się Skywalker. Wprawdzie żadnej pomocy nie potrzebował, ale doszedł do wniosku, że im szybciej Noghri spłacą ten swój wydumany dług, tym lepiej. - W takim razie chodźmy. Zestaw z narzędziami jest na statku.
- Nadeszła kolejna wiadomość z Nystao - zakomunikował Khabarakh. Zupełnie niezauważony, podszedł w ciemnościach do Luke'a, który siedział oparty plecami o swój myśliwiec. - Kapitan imperialnego statku postanowił dokonać tam pomniejszych napraw. Szacuje, że prace potrwać dwa dni. - Zawahał się na chwilę. - Naczelnicy klanów przesyłają ci, synu Vadera, swoje przeprosiny.
- Nie macie mnie za co przepraszać - rzekł Jedi. Uniósł głowę i po patrzył na widoczną spod skrzydła myśliwca część nieba, którego ciemność rozjaśniały nieliczne gwiazdy. A zatem będzie tu musiał tkwić przez dwa dni. - Przyjeżdżając tu wiedziałem, że coś takiego może się zda rzyć. I bardzo mi przykro, że jeszcze dłużej będę dla was ciężarem.
- Twoja obecność nie jest dla nas ciężarem.
- Dziękuję za waszą gościnność. - Skywalker skinął głową. - Jak sądzę, nie ma żadnych przesłanek, by podejrzewać, że zauważyli mój statek?
- A czy syn Vadera nie wiedziałby, gdyby tak się stało? - rzucił Noghri. Luke uśmiechnął się w ciemności.
- Nawet rycerze Jedi mają swoje ograniczenia, Khabarakhu. Bardzo trudno jest wyczuć niebezpieczeństwo na odległość. Jednak zaraz pomyślał, że z całą pewnością jest z nim Moc. Przecież ten krążownik mógł się pojawić w znacznie bardziej niefortunnym momencie: mógł na przykład zastać noghryjskich mechaników w drodze do lub z doliny albo zaskoczyć Luke'a w chwili, gdy będzie wzbijał się w przestrzeń kosmosu. Czujny kapitan z pewnością by się tym zainteresował i wtedy ta dolina byłaby stracona. Skywalker bardziej wyczuł, niż usłyszał niewielkie poruszenie i po chwili Khabarakh usiadł obok niego.
- To nie wystarczy, prawda? - spytał cicho Noghri. To miejsce. Naczelnicy klanów nazywają je naszą przyszłością. Ale ono nią nie jest.
- To prawda - przyznał niechętnie Luke. - Wykonaliście tu wspaniałą pracę i z pewnością miejsce to pomoże wam wyżywić wasz lud. Ale przyszłość samego Honoghru... Nie znam się na tym, Khabarakhu, ale to, co widziałem, każe mi obawiać się, że tej planety nie da się uratować.

97 7 - Ostatni rozkaz

Noghri syknął cicho przez zęby, ale odgłos ten niemal zupełnie utonął w szumie rzeki.

- Wypowiedziałeś głośno niepokoje wielu Noghrich. Możliwe, iż nikt tak naprawdę nie wierzył, że może być inaczej.
- Pomożemy wam znaleźć nowy dom - obiecał Jedi. - W całej galaktyce jest wiele planet. Znajdziemy dla was miejsce, gdzie będziecie mogli zacząć wszystko od początku.
- Ale to nie będzie Honoghr - syknął ponownie Khabarakh.
- Nie - szepnął Skywalker zdławionym głosem. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Luke nasłuchiwał odgłosów rzeki i serce mu się ścisnęło z litości dla Noghrich. Ale nie był w stanie zmienić tego, co się stało z ich planetą. Istotnie, nawet Jedi mieli swoje ograniczenia. Powietrze zafalowało nieznacznie i Khabarakh podniósł się z ziemi.
- Czy jesteś głodny? - zwrócił się do Skywalkera. - Jeśli tak, to mogę przynieść coś do jedzenia.
- Tak, bardzo proszę. Noghri się oddalił. Tłumiąc westchnienie, Luke oparł się wygodniej o płożę myśliwca. Już sam fakt, że wie o istnieniu problemu, którego nie potrafi rozwiązać, był dla niego trudny. A w dodatku ugrzązł tu na dwa dni i przez ten czas wszystko dokoła będzie mu przypominać o jego niemocy. Podniósł wzrok na nieliczne gwiazdy widoczne na niebie. Był ciekaw, co o tej całej sytuacji myśli Leia. Czy

ona także uświadamia sobie, że sprawy na Honoghr zaszły już na tyle daleko, że planety nie da się uratować? Czy też może miała jakiś pomysł, jak ją ocalić? Albo może tak była zaprzątnięta koniecznością doraźnej pomocy, że nie wybiegała myślą tak daleko w przyszłość? Nagle ponownie ogarnęło go poczucie winy, wywołując bolesny grymas na jego twarzy. Daleko stąd, na Coruscant, Leia miała niebawem urodzić bliźnięta. Być może nawet już się to stało. Naturalnie był z nią Han, ale on, brat, także chciał być przy tym. Skoro jednak nie mógł towarzyszyć jej osobiście... Odetchnął głęboko i postarał się rozluźnić wszystkie mięśnie. Kiedyś, na Dagobah, już raz udało mu się sięgnąć Mocą w przyszłość. Zobaczył swoich przyjaciół i ich losy. Wtedy miał za przewodnika Yodę... Gdyby jednak udało mu się znaleźć odpowiedni sposób, mógłby ujrzeć swą siostrzenicę i siostrzeńca. Powoli, maksymalnie koncentrując swoje myśli i wolę, sięgnął Mocą ku przyszłości... Leia klęczała w ciemnościach, ściskając w dłoniach swój blaster i miecz świetlny. Jej serce tłukło się z przerażenia i rozpacz. Tuż za nią stała Winter, kurczowo przyciskając do piersi dwie kruche i bezbronne istotki. Czyjś głos - to był chyba głos Hana - przepełniony złością i pełen rozpacz. Gdzieś w pobliżu znajdował się Chewbacca - zdawało mu się, że gdzieś w górze - a przy nim Lando. Wokół nich krążyły jakieś mroczne postacie; w ich umysłach czaiła się groźba i zimne, mordercze pragnienia. Rozległ się strzał z blastera... Potem kolejny... I drzwi otworzyły się gwałtownie...

- Leia! - wymamrotał Lukę. Jego ciało drgnęło nagle, gdy wizja przysła jak bańka mydlana. Jeszcze raz mignęła mu przed oczami cała scena i znów otoczyła go ciemna, honoghryjska noc. Postać bez twarzy, która - wyłoniwszy się z mrocznego zła - zaczęła się zbliżać do jego siostry i jej dzieci... Postać, której towarzyszyła Moc...

- Co się stało? - odezwał się tuż obok niego podenerwowany głos. Skywalker otworzył oczy i zobaczył klęczących przed nim Khabarakha i Okhevama. Ich twarze rodem z koszmaru oświetlała niska smuga światła z małej latarki.

- Widziałem Leię - oznajmił drżącym głosem. - Ona i jej dzieci były w niebezpieczeństwie. - Wziął głęboki oddech, starając się nieco rozładować przytłaczające go napięcie. - Muszę wracać na Coruscant. Dwaj Noghri wymienili szybkie spojrzenia.

- Ale jeśli niebezpieczeństwo zagraża im teraz... ? - rzucił pytająco Okhevam.

- Nie - potrząsnął głową Jedi. - Ta wizja odnosiła się do przyszłości. Ale nie wiem dokładnie, kiedy to się stanie. Khabarakh dotknął ramienia towarzysza i przez chwilę obcy rozmawiali cicho w swoim języku. Wszystko w porządku - powtarzał sobie Lukę, przebiegając w myślach ćwiczenia uspokajające rycerzy Jedi. - Wszystko w porządku. W tej wizji był Lando; dokładnie pamiętał, że widział Landa. A jeśli sienie mylił, to Calrissian w dalszym ciągu przebywał na Nklonie i doglądał swojej kopalni w Mieście Nomadów. To zaś oznaczało, że Skywalker zdaży wrócić na Coruscant, nim nastąpi atak na Leię. A może już się to stało? Czyjego wizja była prawdziwym obrazem przyszłości? Czy też rozwój wydarzeń może zniekształcić to, co widział? „Trudno coś zobaczyć - powiedział mistrz Yoda o wizji Luke'a na Dagobah. - Przyszłość jest w ciągłym ruchu". A jeśli ktoś z tak głęboką znajomością Mocy jak Yoda nie był w stanie rozwiązać wątpliwości...

- Jeśli chcesz, synu Vadera, to nasi komandosi przechwycą ten imperialny statek - zaproponował Okhevam. - Jeśli załoga zostanie szybko zgładzona, to nie zdaży przesłać wiadomości, która by obarczała winą Noghri.

- Nie mogę wam na to pozwolić - potrząsnął głową Skywalker. - To jest zbyt niebezpieczne. Nie sposób zagwarantować, że nie zdołają przesłać meldunku. Okhevam wyprężył się dumnie.

- Jeśli lady Vader jest w niebezpieczeństwie, Noghri zdecydują się podjąć to ryzyko. Lukę spojrział na nich i ogarnęło go dziwne uczucie. Wyraz twarzy obcych sienie zmienił; ale w ułamku sekundy zmienił się stosunek Skywalkera do nich. Noghri nie byli już dla niego jedynie kolejną obcą rasą - nagle stali się jego przyjaciółmi.

- Kiedy po raz ostatni miałem taką wizję, bez zastanowienia ruszyłem na pomoc moim przyjaciółom - powiedział cicho. - Ale nie dość, że im nic nie pomogłem, to jeszcze omal nie zniweczyłem ich szans na ucieczkę. - Zerknął na swoją sztuczną dłoń i ponownie ogarnęło go upiorne wspomnienie przeszywającego mu nadgarstek miecza Vadera... - Straciłem też znacznie więcej. - Ponownie podniósł wzrok na swoich rozmówców. - Nie chcę drugi raz popełnić tego samego błędu. Nie za mierzę ryzykować życia ludu Noghrich. Poczekam, aż statek imperialny sam stąd odleci. Khabarakh wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jego ramienia.

- Nie martw się o bezpieczeństwo twoich bliskich, synu Vadera. Lady Vader nie da się łatwo pokonać. Przecież jest przy niej Wookie Chewbacca. Skywalker popatrzył na gwiazdy nad ich głowami. Rzeczywiście, mając do obrony Hana, Chewiego i całą Straż Pałacową, Leia powinna sobie poradzić z każdym normalnym intruzem. Ale w wizji Luke'a pojawiła się ta niewyraźna postać. Osoba, w której wyczuwał Moc... Na Jomarku mistrz Jedi, C'baoth, aż nazbyt wyraźnie dał mu do zrozumienia, że chce dostać Leię i jej dzieci. Czy pragnął ich tak bardzo, by zdecydować się osobiście polecieć po nich na Coruscant?

- Na pewno zwyciężą - powtórzył Khabarakh. Skywalker z ociąganiem skinął głową.

- Wiem - rzucił, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. Nie było sensu, by wszyscy się tym zamartwiali. Ugaszono ostatnie ognie, załatano ostatnie mikropęknięcia, ostatni chorzy zostali odwiezieni do szpitala... Lando Calrissian, o władnięty jednocześnie uczuciem wściekłości i rezygnacji, stał przy oknie w swojej prywatnej kabinie dowodzenia. Miał świadomość tego, że to już koniec. Najpierw Miasto w Chmurach na Bepinie, a teraz Miasto Nomadów na Nklonie. Po raz drugi Imperium odebrało mu coś, co stworzył własnym trudem: projektował, konstruował w pocie czoła, współuczestnicząc w budowie - a teraz wszystko to zamieniło się w proch. Na jego biurku odezwał się brzęczyk. Lando podszedł do konsoli, pochylił się nad nią i nacisnął guzik komunikatora.

- Calrissian, słucham - powiedział, pocierając dłonią czoło.

- Panie Calrissian, tu Bagitt z maszynowni - odezwał się zmęczony głos. - Właśnie wysiadł ostatni układ napędowy. Na twarzy Landa pojawił się bolesny grymas; ale po stratach, jakie myśliwce imperialne zadały jego kroczącej kopalni, wiadomość ta nie była w zasadzie zaskoczeniem.

- Czy jest jakaś szansa, żeby zreperować tyle silników, byśmy znowu mogli ruszyć? - spytał.

- Wcześniej musielibyśmy otrzymać cały transportowiec części zamiennych - odparł Bagitt. - Bardzo mi przykro, ale po prostu jest zbyt wiele zepsutych lub przepalonych elementów.

- Rozumiem. W takim razie niech pan skieruje swoich ludzi do pilnowania urządzeń wytwarzających sztuczną atmosferę.

- Tak jest, proszę pana. Jeszcze słówko... Bardzo pana przepraszam, ale krążą plotki, że została zerwana wszelka łączność z innymi układami.

- To tylko chwilowe kłopoty - uspokoił go Lando. - Właśnie trwa ją prace naprawcze. Mamy też wystarczająco dużo części zapasowych, by zbudować dwa nowe nadajniki.

- Tak, proszę pana - rzekł Bagitt nieco bardziej optymistycznym tonem. - Cóż, w takim razie pójdę chyba do urządzeń wytwarzających sztuczną atmosferę.

- Proszę mnie o wszystkim na bieżąco informować - polecił mu Calrissian. Wyłączył komunikator i z powrotem podszedł do okna. Mieli dwadzieścia dni, jedynie dwadzieścia dni do czasu, gdy Nklon wykona powolny obrót, a oni znajdą się w pełnym świetle słonecznym. A wtedy to, czy działają silniki, stacja łączności czy nawet urządzenie wytwarzające sztuczną atmosferę, zupełnie straci znaczenie. Kiedy słońce zacznie się powoli wyłaniać zza widnokręgu, wszystkich, którzy pozostaną do tego czasu w Mieście Nomadów, spotka bardzo szybka i bardzo gorąca śmierć. Dwadzieścia dni. Lando spojrzął przez iluminator na nocne niebo. Omiótł wzrokiem konstelacje gwiazdne, które podziwiał w wolnych chwilach. Jeśli tutejsi mechanicy zdołają w ciągu najbliższych dni

zreperować nadajnik dalekiego zasięgu, to będą mogli wezwać pomoc z Coruscant. Bez względu na to, na ile atak Floty Imperialnej uszkodził statki-tarcze na obrzeżach układu, technicy z Nowej Republiki powinni dać sobie radę z naprawieniem przynajmniej jednego z nich na tyle, by mógł odbyć ostatnią podróż do środka układu. Sprawa nie będzie łatwa, ale przy odrobinie szczęścia... Nagle rozmyślenia Calrissiana przerwały jaskrawe światła statku-tarczy, który niespodziewanie pojawił się niemal dokładnie nad jego głową. Mężczyzna odruchowo zrobił krok w stronę biurka, by zaalarmować stanowiska ogniowe. Jeśli to znowu Imperium, które wróciło, by się z nimi ostatecznie rozprawić... Zatrzymał się raptownie. Nie. Nawet jeśli to było Imperium, to trudno. Nie miał już myśliców, by je posłać przeciwko wrogowi. W całym mieście nie ocalało też żadne stanowisko obronne. Nie było sensu niepokoić innych, skoro i tak nic już nie mogli zrobić.

Nagle z nadajnika odezwały się jakieś trzaski.

- Miasto Nomadów, tu generał Bel Iblis - zagrział znajomy głos. - Czy mnie słyszycie? Lando rzucił się do konsoli.

- Generale, tu Lando Calrissian - rzekł z wymuszoną swobodą. - Czy to pan jest za tym statkiem-tarczą?

- Tak, to my - potwierdził Bel Iblis. - Byliśmy właśnie na Qat Chrystak, kiedy odebraliśmy wasz sygnał alarmowy. Bardzo mi przykro, że nie zdążyliśmy tu dotrzeć na czas.

- Ja również żałuję - powiedział Calrissian. - Jak się przedstawia sprawa statków-tarcz na obrzeżach układu?

- Obawiam się, że to jedna wielka ruina - wyznał generał. - Te pańskie statki-tarcze są zbyt duże, by je można było doszczętnie zniszczyć, ale Imperium wyrządziło wiele szkód. Mam wrażenie, iż w chwili obecnej jedynie ta jednostka nadaje się do lotu.

- Cóż, to i tak rozważania czysto akademickie - zauważył Lando. - Miasto Nomadów i tak jest stracone.

- Nie ma żadnych szans, by je ponownie uruchomić?

- Nie zdążymy tego zrobić w ciągu dwudziestu dni, a po tym czasie znajdziemy się w pełnym słońcu - wyjaśnił ponuro Calrissian. - Może zdołalibyśmy je wkopać na tyle głęboko w ziemię, by przetrwało okres, kiedy Nkllon będzie zwrócony do słońca, ale do tego celu byłby nam potrzebny ciężki sprzęt, którego nie mamy.

- A może spróbujemy je całkowicie ewakuować z Nkllonu i prze prowadzić naprawę w jakimś innym układzie? - zaproponował Bel Iblis. - Fregata szturmowa i kilka solidnych podnośników powinno sobie z tym poradzić. Oczywiście pod warunkiem, że zdołamy uruchomić drugi sta-tek-tarczę.

- I uda nam się przekonać admirała Ackbara, by wycofał z walk jedną fregatę - przypomniał Lando.

- Racja-przyznał generał. -No, pora chyba, bym usłyszał najgorsze wieści. Co wpadło w ręce Imperium?

- Wszystko - odparł Calrissian z ciężkim westchnieniem. - Całe nasze zapasy. Hfredium, kammris, dolovit - sam pan wie. Zabrali wszystko, co zdołaliśmy wydobyć.

- Dużo tego było?

- Urobek czterech miesięcy ciężkiej pracy. Według obecnych cen rynkowych nieco ponad trzy miliony.

- Nie miałem pojęcia, że to miejsce jest tak wydajne - stwierdził Bel Iblis po chwili milczenia. - Tym bardziej musimy spróbować nakłonić Coruscant do pomocy, żebyście mogli znowu podjąć pracę. Ilu ludzi ma pan w mieście?

- Niespełna pięć tysięcy - rzekł Lando. - Ale niektórzy są poważnie ranni.

- Mam spore doświadczenie w transporcie rannych - rzucił ponuro generał. - Proszę się nie martwić, weźmiemy ich na pokład. Chciałbym, żeby pan wyznaczył grupę, która tu zostanie i zajmie się uruchomieniem statków-tarcz. Wszystkich pozostałych przewieziemy na Qat Chrystak. Stamtąd będzie pan mógł spokojnie nawiązać łączność z Coruscant i oficjalnie poprosić o pomoc.

- Nie sądziłem, że są jeszcze jakieś spokojne miejsca, z których można nadawać prośby o pomoc - mruknął Calrissian.
- To prawda, że ci na Coruscant mają mnóstwo spraw na głowie - przyznał Bel Iblis.
- Ale śmiem twierdzić, że istnieją spore szanse, iż pańska prośba nie zginie gdzieś z powodu bałaganu. Lando zagryzł wargi.
- A może w ogóle ominiemy ten bałagan. Niech mnie pan zawiezie na Coruscant, bym mógł z nimi porozmawiać osobiście.
- Ale to dodatkowo opóźni pana prośbę o pięć dni potrzebnych na podróż - zauważył Bel Iblis. - Czy może pan sobie na to pozwolić?
- Lepiej przeznaczyć pięć dni na podróż, niż siedzieć beczynn timer na Qat Chrystak i zastanawiać się, czy moja wiadomość w ogóle opuściła już centrum łączności - odparował Calrissian. - Potrzebujemy pięciu dni na dostanie się na Coruscant; ze dwa dni trzeba poświęcić na przekonanie Leii, by pożyczyła mi statek i podnośniki; a potem jeszcze dziesięć dni na to, by tu wrócić i zrobić, co trzeba.
- W sumie siedemnaście dni. Ledwie zmieści się pan w czasie.
- Nie mam lepszego pomysłu. A pan?
- Cóż - prychnął cicho Bel Iblis. - I tak miałem zamiar polecieć wkrótce na Coruscant, więc równie dobrze mogę to zrobić teraz.
- Dziękuję, generale.
- Nie ma za co. Lepiej niech pan zacznie przygotowywać swoich ludzi: kiedy tylko znajdziemy się w cieniu planety, wyślemy po was nasze wahadłowce.
- Dobrze. Do zobaczenia. Lando wyłączył nadajnik. Zdawał sobie sprawę z tego, że to będzie trudne przedsięwzięcie, ale realnie rzecz biorąc, nie miał innego wyboru. Zresztą nawet jeśli odmówią mu pomocy, to i tak warto pojechać teraz na Coruscant. Zobaczy Leię, Hana i ich nowo narodzone bliźnięta. Może nawet uda mu się spotkać z Lukiem albo Wedge'em. Wyrzwał przez iluminator i skrzywił usta w bolesnym grymasie. Na Coruscant przynajmniej nie będzie musiał się obawiać imperialnych ataków. Włączył interkom i przystąpił do wydawania rozkazów związanych z ewakuacją.

ROZDZIAŁ VIII

Jacen zasnął w połowie obiadu, ale Jaina wciąż jeszcze jadła. Leżąc na boku, ostrożnie, by nie oderwać córeczki od piersi, Leia przesunęła się na łóżku i ponownie sięgnęła po swój notes elektroniczny. O ile się nie myliła, już co najmniej cztery razy zaczęła czytać tę samą stronę.

- Za piątym razem będzie lepiej - rzuciła ironicznie, wolną ręką głaszcząc główkę dziewczynki. Jaina - pochłonięta o wiele pilniejszymi sprawami - nie odpowiedziała. Przez chwilę Leia wpatrywała się w córkę. Pomimo zmęczenia na nowo poczuła zachwyt nad tymi maleńkimi rączkami, które delikatnie przebierały po jej ciele; nad pokrytą krótkimi czarnymi włosami główką; nad filigranową twarzyczką, która w czasie jedzenia przybierała taki skupiony wyraz. Nad tym nowym życiem, które było tak kruche, a jednocześnie tak zdumiewająco prężne. I to ona i Han powołali je do istnienia. Han stworzył te dwie maleńkie istotki. W przeciwległym końcu pokoju otworzyły się prowadzące do salonu drzwi.

- Witaj, kochanie - powiedział cicho Solo. - Wszystko w porządku?

- Tak - szepnęła. - Tylko znowu mamy obiad.

- Te dzieci są żarłoczne jak wygłodniały Wookie - zauważył Han. Podeszedł do łóżka i szybkim spojrzeniem ogarnął sytuację. - Jacen już skończył?

- Pewnie miał ochotę tylko coś przekąsić - stwierdziła księżniczka. Odwróciła głowę, by popatrzeć na leżące za jej plecami dziecko. - Najprawdopodobniej za godzinę znów będzie głodny.

- Mogłyby jeść w tym samym czasie - rzucił Solo. Usiadł ostrożnie na brzegu łóżka i delikatnie wsunął koniuszek palca wskazującego w dłoń Jacena. Maleńka rączka odruchowo zacisnęła się na jego palcu. Leia zerknęła na męża dokładnie w momencie,

gdy na jego twarzy pojawił się tak charakterystyczny, krzywy uśmiech. - Będzie z niego silny chłopak.

- Powinieneś poczuć uścisk także z tej strony - rzekła księżniczka, spoglądając na Jainę. - Czy Lando jest jeszcze na dole?

- Tak, on i Bel Iblis wciąż rozmawiają z admirałem Draysonem - potwierdził Han. Wolną rękę położył na ramieniu żony. Miło było czuć jego dotyk przez cienką koszulę nocną; było to niemal tak miłe jak świadomość, że mąż nieustannie o niej myśli. - W dalszym ciągu usiłują go nakłonić do tego, by wysłał na Nkllon kilka statków.

- I jak im idzie? Solo delikatnie poruszył uwięzionym w rączce Jacena palcem, cmokając przy tym cichutko.

- Nie najlepiej - wyznał. - Żeby podnieść z ziemi Miasto Nomadów, potrzeba statku wielkości fregaty szturmowej. A Drayson nie jest zbyt skory do tego, by odwołać z frontu tak dużą jednostkę.

- Czy zwróciłeś mu uwagę na to, jak bardzo są nam potrzebne me tale, które Lando tam wydobywa?

- Wspomniałem o tym, ale ten argument nie zrobił na nim większe go wrażenia.

- Draysona trzeba umieć odpowiednio podejść. - Leia zerknęła na Jainę. Dziewczynka jeszcze jadła, ale powieki już jej zaczęły opadać. - Może kiedy Jaina zaśnie, zejść na dół i spróbuję jakoś pomóc Landowi.

- Jasne - rzucił Han ironicznie. - Kochanie, nie obraż się, ale zasypiając na stole, nic nie wskórasz.

- Miło, że się o mnie troszczysz, ale nie jestem aż tak zmęczona - odparła księżniczka, robiąc obrażoną minę. - A poza tym śpię tyle samo co ty.

- Na pewno nie - zaprzeczył Solo. Zdjął rękę z ramienia żony i po gładził po policzku Jainę. - Ja zawsze ucinam sobie krótką drzemkę podczas tych nocnych karmień.

- W ogóle niepotrzebnie wtedy wstajesz - stwierdziła Leia. - Rów nie dobrze Winter albo ja możemy wyjąć dzieci z kołyski.

- No, ładnie - rzucił Solo z udawanym oburzeniem. - Byłem potrzebny, dopóki dzieci się nie urodziły, a teraz idę w odstawkę, tak? Dla czego mnie po prostu nie rzucisz?

- Ależ Han! Przecież ja ciebie bardzo potrzebuję - próbowała go uspokoić Leia. - Dopóki większość robotów pełni służbę na stanowiskach obronnych i mamy dwójkę małych dzieci, które trzeba przewijać, zawsze będziesz tu potrzebny.

- Och, świetnie - burknął mężczyzna. - A już myślałem, że mnie po prostu rzucisz.

- Na to jest już o wiele za późno - zapewniła z uśmiechem księżniczka, gładząc rękę męża. - Wiem, że chcesz mi pomóc - dodała, z powrotem przybierając poważny ton. - I naprawdę to doceniam. Ale po prostu czuję się winna.

- Nie powinnaś - powiedział Han, ściskając żonę za rękę. - Pamiętaj, że jako były przemytnik jestem przyzwyczajony do funkcjonowania o dziwnych porach dnia i nocy. - Jego spojrzenie powędrowało ku drzwiom prowadzącym do pokoju Winter. - Winter poszła już spać?

- Nie, jeszcze nie wróciła - odparła Leia, sięgając umysłem w stronę sąsiedniego pomieszczenia. O ile się nie myliła, pokój ciągle był pusty. - Coś tam robi na dole, ale nawet nie wiem co.

- Ale ja wiem - rzekł Solo w zamyśleniu. - Siedzi w bibliotece i szpera w starych archiwach Sojuszu. Księżniczka odwróciła głowę i spojrzała badawczo na męża.

- Jakies kłopoty? - spytała.

- Nie wiem. Winter raczej się nie zwierza ze swoich myśli. Przy najmniej nie mnie. Ale coś ją gnębi. Leia wyczuła za drzwiami czyjaś obecność.

- O, już wróciła - zakomunikowała Hanowi. - Może ze mną ze chce porozmawiać na ten temat.

- Powodzenia - mruknął Solo. Ostatni raz ścisnął rękę żony i wstał. - Chyba zejść na dół. Może zdołam jakoś wspomóc Landa w rozmowie z Draysonem.

- Powinniście mu raczej zaproponować partyjkę sabaka - podsunęła księżniczka. - Zagrajcie o statki, jak kiedyś ty i Lando o „Sokoła”. Może uda wam się wygrać fregatę szturmową.

- Co, grać z Draysonem? - prychnął Han. - Dzięki, ale nie wiedzielibyśmy, co zrobić z wygraną flotą. Pa, kochanie. Zobaczymy się później.

- Dobrze. Kocham cię, Han.

- Wiem - oznajmił z szelmowskim uśmiechem i wyszedł. Leia z westchnieniem poprawiła się na poduszce, odwracając się lekko w stronę pokoju swej towarzyszki.

- Winter? - zawołała cicho. Przez chwilę nic sienie działo, po czym drzwi otworzyły się bezgłośnie.

- Słucham, Wasza wysokość? - powiedziała Winter, wchodząc do sypialni.

- Jeśli masz wolną chwilkę, to chciałabym z tobą porozmawiać.

- Naturalnie - zgodziła się kobieta i weszła do pokoju wdzięcznym krokiem, którego Leia zawsze tak jej zazdrościła. - Zdaje mi się, że Ja- cen śpi. Czy mam go przenieść do kołyski?

- Tak, proszę - skinęła głową księżniczka. - Han wspominał mi, że prowadzisz jakieś poszukiwania w starych archiwach Sojuszu? Wyraz twarzy Winter się nie zmienił, ale Leia wyczuła nieznaczną zmianę w jej ruchach i umyśle.

- Tak, rzeczywiście.

- Mogę spytać, czego tam szukasz? Kobieta delikatnie wzięła z łóżka Jacena i zaniósła go do kołyski.

- Mam wrażenie, że odkryłam w pałacu agenta Imperium - stwierdziła. - I próbowałam to potwierdzić. Księżniczka poczuła, że włosy stają jej dęba.

- Kto to taki?!

- Nie chciałabym nikogo oskarżać, dopóki nie zdobędę więcej informacji - odparła Winter. - Mogę się przecież mylić.

- Rozumiem twoje skrupuły, ale jeśli żywisz jakieś podejrzenia, które pomogłyby nam rozszyfrować Źródło Delta, to musimy natychmiast o tym wiedzieć.

- To nie ma nic wspólnego ze Źródłem Delta - potrząsnęła głową kobieta. - A przynajmniej nie bezpośrednio. Ona jest tu zbyt krótko. Leia zmierzyła swą towarzyszkę badawczym spojrzeniem, starając się rozszyfrować jej myśli. Umysł Winter wypełniał niepokój, a jednocześnie usilne pragnienie, by nie rzucać pochopnych oskarżeń.

- Czy chodzi o Marę Jadę? - spytała księżniczka. Kobieta wyraźnie się zawahała.

- Tak, ale jak już wspomniałam, nie mam na to żadnych dowodów.

- A co właściwie masz?

- Niewiele - wyznała Winter, otulając Jacena kocem. - W zasadzie moje podejrzenia wzbudziła jedynie krótka rozmowa, którą odbyłam z Jadę, odprowadzając ją ze szpitala do apartamentów na górze. Zapytała mnie, co robiłam w szczytowym okresie Rebelii, więc opowiedziałam jej o współpracy z działem zaopatrzenia. Wtedy zidentyfikowała mnie jako Namierzacza. Leia sięgnęła pamięcią wstecz - w owym czasie Winter miała tyle pseudonimów...

- Czy się myliła?

- Nie, rzeczywiście przez krótki czas używałam tego pseudonimu. I o to właśnie chodzi. Znano mnie jako Namierzacza jedynie przez kilka tygodni na Averamie. Zanim wywiad imperialny rozbił tamtejszą komórkę.

- Rozumiem - powiedziała wolno księżniczka. - A Mara nie współ pracowała z Averystami?

- Tego nie wiem. Poznałam zaledwie kilka osób z tej grupy. Dlatego właśnie szperałam w archiwach: miałam nadzieję, że znajdę gdzieś pełną listę.

- Wątpię. Lokalne komórki tego typu prawie nigdy nie sporządzały list członków. Gdyby taka informacja wpadła w ręce Imperium, byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci na wszystkich działaczy.

- Wiem. - Winter uniosła głowę znad kołyski. - A zatem znajduje my się w martwym punkcie.

- Możliwe - stwierdziła Leia w zamyśleniu, starając się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat Mary. Z tego, co słyszała, Jadę nigdy nie wspominała o swojej wcześniejszej współpracy z Sojuszem, co mogłoby potwierdzać tezę Winter. Ale z drugiej strony niespełna dwa miesiące temu prosiła Luke'a o to, by pomógł jej wydostać Karrde'a z więzienia na okręcie flagowym wielkiego admirała. W związku z tym było mało prawdopodobne, aby sama pracowała jako agentka Imperium. - Sądzę, że bez względu na to, po czyjej stronie Mara stała w przeszłości - powiedziała wolno księżniczka, zwracając się do swej towarzyszki - to obecnie sprawy przedstawiają się inaczej. Teraz służy jedynie Karrde'owi i jego organizacji.

- Czy to przenikliwość Jedi, Wasza Wysokość? - uśmiechnęła się skąpo Winter. - Czy też opiera pani swoją opinię jedynie na doświadczeniu dyplomatycznym?

- I jedno, i drugie. Myślę, że z jej strony nic nam nie grozi.

- Oby miała pani rację. - Winter wskazała ręką dziewczynkę. - Czy przenieść Jainę do łóżeczka? Leia spojrzała na córkę. Oczy dziewczynki były mocno zamknięte, a maleńkie usteczka w dalszym ciągu poruszały się tak, jakby coś ssaly.

- Tak, bardzo proszę - odparła, gładząc delikatnie policzek córki. - Czy na dole wciąż jeszcze trwa to przyjęcie z okazji przyjazdu delegacji z Sarkan? - spytała, wyciągając się na łóżku, by nieco rozprostować za stałe mięśnie.

- Kiedy tamtędy przechodziłam, było jeszcze w toku - oznajmiła kobieta. Wzięła Jainę na ręce i ułożyła ją w kołysce obok Jacena. - Mon Mothma prosiła, by -jeśli to możliwe - pokazała się tam pani chociaż na chwilę.

- Nie wątpię, że jej na tym zależy - stwierdziła księżniczka. Wstała z łóżka i podeszła do szafy. Jedną z ważniejszych zalet faktu, iż miała pod opieką nowo narodzone bliźnięta, było to, że zawsze mogła się skutecznie wymówić od udziału w jakichś nudnych, reprezentacyjnych spotkaniach rządowych, które -jak zawsze uważała - były w dużej mierze stratą czasu. A teraz Mon Mothma na nowo próbowała ją wciągnąć w ten zwariowany kołowrót. - Ale będę musiała ją zawieść - dodała głośno. - Mam w tej chwili ważniejsze sprawy do załatwienia. Czy możesz popilnować dzieci?

- Oczywiście. A gdzie pani będzie, jeśli to nie tajemnica? Księżniczka wybrała z szafy jakiś strój, który bardziej niż jej koszula nocna nadawał się do tego, by się pokazać między ludźmi, i zaczęła się przebierać.

- Postaram się czegoś dowiedzieć o przeszłości Mary Jadę - odparła.

- A jak zamierza się pani do tego zabrać? - zdumiała się jej towarzyszka.

- Spytam o to ją samą - wyjaśniła Leia, uśmiechając się leciutko. Stał przed nią z twarzą częściowo ukrytą pod kapturem. Mimo dzielącej ich nieskończenie wielkiej odległości jego żółte oczy świdrowały ją aż do bólu. Poruszał wargami, ale jego słowa ginęły w ochrypłym wyciu alarmów, które napełniało Marę przerażeniem. Pomiędzy nią a Imperatorem pojawiły się dwie postacie: ciemny, wysoki Darth Vader i niższy, odziany w czarną tunikę Luke Skywalker. Zwróceni twarzami do siebie, stanęli przed Imperatorem i zapalili miecze świetlne. Ostrza mieczy skrzyżowały się ze sobą: oślepiająco czerwone spotkało się z oślepiająco zielonym. Mężczyźni przygotowywali się do walki. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ostrza się rozdzieliły... Obaj niedoszli przeciwnicy wydali wspólny, pełen nienawiści okrzyk, który na moment zagłuszył nawet wycie syren, i rzucili się z mieczami na Imperatora. Mara usłyszała swój krzyk, kiedy próbowała pospieszyć na pomoc mistrzowi. Ale dzieliła ich zbyt wielka odległość, a jej ciało było dziwnie niemrawe. Krzyknęła jeszcze raz, próbując choćby odwrócić uwagę napastników, ale ani Vader, ani Skywalker zdawali się jej nie słyszeć. Podbiegli do Imperatora z dwóch stron... Kiedy unieśli w górę miecze, dostrzegła, że jej mistrz patrzy na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie; za wszelką cenę pragnęła się odwrócić, by nie patrzeć na zbliżającą się tragedię, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. W spojrzeniu jej pana jak w kalejdoskopie kłębiły się uczucia - ból, strach i gniew; ale uczucia te zmieniały się zbyt szybko, by mogła je w siebie wchłonać. Imperator uniósł ręce i posłał w swoich wrogów kaskady niebieskobiełego ognia. Obaj mężczyźni zachwiali się nieco i w Marze zrodziła się nadzieja, że tym razem finał będzie inny. Ale

nie. Vader i Skywalker wyprostowali się i, ponownie wydawszy okrzyk wściekłości, unieśli wysoko miecze świetlne... Nagle z oddali doszedł ją odległy odgłos grzmotu... Mara raptownie ocknęła się z drzemki, omal nie spadając przy tym z krzesła. Odetchnęła głęboko, starając się odpędzić wywołane snem emocje: ból, gniew i poczucie osamotnienia. Tym razem nie dane jej było jednak dojść do siebie w samotności. Niejasno czuła za drzwiami czyjąś obecność; i kiedy bezszelestnie zsunęła się z krzesła i przyjęła pozycję bojową, powtórnie rozległ się odgłos grzmotu z jej snu - w rzeczywistości ciche pukanie. Przez dłuższą chwilę rozważała, czy będzie lepiej udać, że jej tu nie ma, i poczekać, aż stojąca za drzwiami osoba odejdzie. Uświadomiła sobie jednak, że przez szparę w staromodnych, zawieszonych na zawiasach drzwiach na pewno przebija na korytarz światło z jej pokoju. Zresztą, jeśli trafnie wyczuwała, kto stoi za drzwiami, to na nic sienie zdadzą takie sztuczki.

- Wejź - zawołała. Drzwi się otworzyły... ale osobą, która się w nich ukazała, nie był Luke Skywalker.

- Witaj, Maro - skinęła głową Leia Organa Solo. - Czy nie przeszkadzam?

- Nie, skądże - odparła uprzejmie dziewczyna, powstrzymując grymas niezadowolenia. W tej chwili nie miała najmniejszej ochoty na towarzystwo, a już szczególnie na odwiedzinę ze strony kogoś, kto był w jakikolwiek sposób związany ze Skywalkerem. Ale dopóki razem z Ghent'em byli zmuszeni tu tkwić, nie powinna jawnie ignorować osoby tak wpływowej jak Organa Solo. - Przeglądałam właśnie najświeższe raporty z frontu. Proszę, niech pani wejdzie.

- Dziękuję - rzekła Leia, wchodząc do pokoju. - Parę minut temu też przeglądałam te raporty. Działania wielkiego admirała niewątpliwie dowodzą, że Imperator słusznie postąpił, pokładając zaufanie w jego umiejętnościach. Dziewczyna obrzuciła księżniczkę badawczym spojrzeniem, zastanawiając się, na ile Skywalker wtajemniczył swoją siostrę w jej sprawy. Ale oczy Organa Solo były zwrócone za okno, ku światłom leżącej w dole stolicy. Mara nie wyczuła w tonie Leii sarkazmu czy ironii.

- Tak, Thrawn był jednym z najlepszych - stwierdziła. - Błyskotliwy i pomysłowy, a przy tym żądny sukcesów.

- Może chciał w ten sposób udowodnić, że w niczym nie ustępuje innym wielkim admirałom - podsunęła Leia. - Wszyscy wiemy, jakie uczucia żywił Imperator do obcych, a przecież Thrawn legitymuje się mieszanym pochodzeniem.

- Niewątpliwie miało to jakiś wpływ na jego postawę - przyznała dziewczyna. Organa Solo zrobiła jeszcze jeden krok w stronę okna, wciąż odwrócona do Mary plecami.

- Czy dobrze pani znała wielkiego admirała? - spytała.

- Właściwie nie - rzuciła ostrożnie Jadę. - Kilkrotnie byłam przy tym, jak Karrde rozmawiał z nim przez nadajnik, a raz osobiście odwiedził naszą bazę na Myrkrze. Przez jakiś czas bardzo się interesował żyjącymi na tej planecie isalamirami. Karrde szacuje, że w sumie statki imperialne wywiozły stamtąd pięć czy sześć tysięcy tych zwierząt.

- Chciałabym wiedzieć, czy znała go pani w czasie wojny - powie działa Leia, odwracając się w końcu do Mary. Dziewczyna wytrzymała jej spojrzenie. Jeśli Skywalker opowiedział siostrze o wszystkim... Ale jeżeli tak było, to dlaczego nie zamknięto jej jeszcze w celi? Nie: Organa Solo najwyraźniej chciała ją wybadać.

- Skąd miałabym go znać w czasie wojny? - odparowała. Leia nie znacznie wzruszyła ramionami.

- Ktoś zasugerował, że niegdyś być może służyła pani Imperium.

- A pani chciała się co do tego upewnić, nim mnie wtrąci do więzienia?

- Chciałam się dowiedzieć, czy nie dysponuje pani jakimiś informacjami, które mogłyby się okazać pomocne w walce z wielkim admirałem - sprostowała księżniczka.

- Nic takiego nie ma - prychnęła Mara. - Nie w przypadku Thrawn'a. On nie działa według utartych schematów; nie ma też żadnych ulubionych strategii ani dostrzegalnych słabości. Przygląda się wnikliwie swoim wrogom i opracowuje ataki, wykorzystując ich

słabe punkty. Nie naraża niepotrzebnie swego wojska i umie się wycofać, kiedy staje się jasne, że przegrywa. Co zresztą zdarza się nader rzadko, o czym sami mogliście się przekonać. - Uniosła wymownie brwi. - Czy to coś pani pomogło? - zakończyła ironicznie.

- Mówiąc prawdę, tak - rzekła Leia. - Jeśli uda nam się wykryć słabości, które Thrawn zamierza wykorzystać, to być może będziemy w stanie przewidywać jego posunięcia.

- To nie jest takie proste - zauważyła Mara.

- Nie, ale przynajmniej wiemy, od czego zacząć - uśmiechnęła się lekko Organa Solo. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparła odruchowo dziewczyna. - Czy miała pani do mnie jeszcze jakąś sprawę?

- Nie, raczej nie - stwierdziła księżniczka, kierując się ku drzwiom. - Muszę się trochę przespać, nim bliźnięta znów się obudzą. Zresztą pani też pewnie będzie chciała pójść niebawem do łóżka.

- A zatem w dalszym ciągu mogę się swobodnie poruszać po pałacu?

- Naturalnie - uśmiechnęła się ponownie Leia. - Bez względu na to, co pani dawniej robiła, jest dla mnie jasne, że obecnie nie współpracuje pani z Imperium. Dobranoc. - Odwróciła się w stronę drzwi i ujęła ręką za klamkę...

- Mam zamiar zabić pani brata - oznajmiła dziewczyna. - Czy mówił pani o tym? Organa Solo na ułamek sekundy znieruchomiała. Mara wyczuła, że pod pozornym spokojem Leii, wypracowanym przy pomocy technik Jedi, czai się przerażenie. Ręką, którą księżniczka uprzednio położyła na klamce, teraz opadła bezwładnie.

- Nie, nic mi nie mówił - powiedziała, wciąż stojąc do dziewczyny plecami. - A czy mogę spytać dlaczego?

- Zrujnował moje życie - oznajmiła Mara, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego w ogóle o tym mówi Organie Solo. Wspomnienie dawnych lat boleśnie odżyło w jej pamięci. - Nic pani o mnie nie wie: służyłam Imperium i, co więcej, byłam nawet osobistą agentką samego Imperatora. Sprowadził mnie tu, na Coruscant, do Pałacu Imperialnego, i nauczył wypełniać jego wolę w całej galaktyce. Byłam w stanie usłyszeć wołanie w każdym zakątku Imperium i umiałam przekazywać jego rozkazy wszystkim, począwszy od oddziału szturmowców, a skończywszy na wielkim moffie. Miałam władzę, pozycję, i wiedziałam, po co żyję. Znano mnie jako Rękę Imperatora i otaczano takim samym szacunkiem jak jego. A pani brat mnie tego wszystkiego pozbawił.

- Bardzo mi przykro - rzuciła Leia, odwracając się do swej rozmówczyni. - Ale nie było innego wyjścia. Życie i wolność milionów istnień...

- Nie zamierzam z panią na ten temat dyskutować - przerwała jej Mara. -1 tak pani nie zrozumie, przez co przeszłam. Wzmianka o tragicznych przejściach wywołała na twarzy księżniczki bolesny grymas.

- Myli się pani - szepnęła. - Rozumiem to doskonale. - Dziewczyna utkwiała w niej wzrok, ale w jej spojrzeniu nie było nienawiści. Leia Organa Solo z Alderaanu, której kazano patrzeć, jak pierwsza Gwiazda Śmierci zamienia jej planetę w pył...

- Pani miała przynajmniej dokąd pójść - mruknęła w końcu Jade. - Miała pani tę całą Rebelię oraz niezliczoną rzeszę przyjaciół i sprzymierzeńców. A ja nie miałam nikogo.

- To musiało być trudne.

- Jakoś to przeżyłam - skwitowała krótko Mara. - Czy teraz każe mnie pani zamknąć w więzieniu?

- Z uporem pani powtarza, że powinnam panią zamknąć w więzieniu - stwierdziła Leia, lekko unosząc brwi. - Czy tego właśnie pani chce?

- Już pani mówiłam, że chcę zabić pani brata.

- Czyżby? - rzuciła Organa Solo. - Czy naprawdę pani tego chce? Wargi dziewczyny wykrzywił ironiczny uśmiešek.

- Proszę go tu sprowadzić, to tego dowiodę. Księżniczka przyjrzała jej się badawczo i Mara odczuła delikatny dotyk słabo jeszcze rozwiniętych zmysłów Jedi.

- Z tego, co mówił Lukę, wynika, że już kilkakrotnie miała pani okazję go zabić - zauważyła Leia. - Ale nigdy z niej pani nie skorzystała.

- To nie wynikało z niezdecydowania - odparła dziewczyna, ale i jej samej ta myśl nie dawała spokoju. - Po prostu zawsze były to sytuacje, w których potrzebowałam go żywego. Ale to się zmieni.

- Być może - rzekła Organa Solo, w dalszym ciągu nie spuszczać oczu z twarzy swej rozmówczyni. - A może tak naprawdę to nie pani pragnie jego śmierci?

- Jak mam to rozumieć? - zaniepokoiła się Mara. Wzrok Leii powędrował za okno; księżniczka zamyśliła się głęboko.

- Parę miesięcy temu byłam na Endorze - oznajmiła. Marę przeszedł zimny dreszcz. Ona także była na Endorze - zawiózł ją tam wielki admirał Thrawn... - i dokładnie pamiętała, jaka atmosfera panuje w miejscu, gdzie zginął Imperator.

- I...? - rzuciła nagłaco, a w jej głosie dało się wyczuć napięcie.

- Przecież pani wie, o czym mówię - stwierdziła Organa Solo, nie przestając się wpatrywać w światła imperialnej stolicy. - Nad tym miejscem w dalszym ciągu krąży cień Imperatora, jego wściekłość i nienawiść. Niczym... ach, sama nie wiem.

- Niczym niewidoczna, ale wciąż nie zmazana krwawa plama, która znaczy miejsce jego śmierci - powiedziała cicho Jadę, a przed oczami stanęła jej sugestywna wizja. Przeniosła wzrok na Leię; spojrzenia obu kobiet się spotkały.

- Tak - potwierdziła księżniczka. - Takie właśnie odniosłam wrażenie. Mara odetchnęła głęboko, starając się odpędzić od siebie mroczne myśli.

- A co to ma wspólnego ze mną? Organa Solo zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem.

- Myślę, że pani wie.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

- Nie - rzuciła Mara, czując, że nagle zaschło jej w ustach. - Pani się myli.

- Czy aby na pewno? - spytała łagodnie Leia. - Sama pani mówiła, że była pani w stanie usłyszeć wołanie Imperatora z każdego zakątka galaktyki.

- Słyszałam jego głos - odparowała dziewczyna. - Nic poza tym.

- Pani oczywiście wie najlepiej - wruszyła ramionami Organa Solo. - Ale myślę, że warto się nad tym zastanowić.

- Z pewnością to zrobię - stwierdziła sztywno Jadę. - Jeśli to już wszystko, może pani odejść. Leia skinęła głową, nie okazując irytacji tym, że odprawiono ją jak służącą.

- Dziękuję pani za pomoc. Później jeszcze porozmawiamy. - Uśmiechnęła się na pożegnanie, otworzyła drzwi i wyszła.

- Nie licz na to zbyt - mruknęła Mara pod nosem. Z powrotem odwróciła się do biurka i opadła na krzesło. To trwa już zbyt długo. Jeśli Karrde nie ma czasu skontaktować się ze swoim pośrednikiem, to ten pośrednik sam będzie musiał wydostać stąd ją i Ghent'a. Wyciągnęła kartę danych z kodem i poleciła komputerowi, by ją podłączył do nadajnika dalekiego zasięgu. Na ekranie natychmiast wyświetliła się odpowiedź: POŁĄCZENIE NIEMOŻLIWE DO ZREALIZOWANIA. SYSTEM ŁĄCZNOŚCI DALEKIEGO ZASIĘGU CHWILOWO NIECZYNNY.

- No, pięknie - burknęła. - A kiedy go znowu uruchomią? NIE SPOSÓB STWIERDZIĆ. POWTARZAM: SYSTEM ŁĄCZNOŚCI DALEKIEGO ZASIĘGU CHWILOWO NIECZYNNY. Klnąc pod nosem, dziewczyna wyłączyła końcówkę komputera. Wyglądało na to, że tego wieczora wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Wzięła do ręki elektroniczny notes, który wcześniej przeglądała; po chwili odłożyła go z powrotem i wstała z miejsca. Było bardzo późno, już raz zasnęła na biurku i jeśli miała choć trochę oleju w głowie, to powinna dać sobie z tym spokój i położyć się do łóżka. Podeszła do okna, oparła się o rzeźbioną drewnianą framugę i spojrzała na rozciągające się aż po widnokrąg światła miasta. Spróbowała zebrać myśli. Nie. To niemożliwe. Niemożliwe, absurdalne i nie do pomyślenia. Organa Solo mogła sobie do

woli snuć te swoje mądre spekulacje. Po pięciu latach życia z tym ciężarem Mara była chyba w stanie określić własne myśli i uczucia. Chyba umiała odróżnić fikcję od rzeczywistości. Chociaż... Stała jej przed oczami wizja ze snu. Imperator wpatrujący się w nią z goryczą i zawziętością, gdy Vader i Skywalker zwrócili się przeciwko niemu. W jego żółtych oczach widać było nieme, ale wyraźne oskarżenie: to jej nieudolność w kryjówece Jabby Hutta, gdzie nie udało jej się zgładzić Skywalkera, była przyczyną nieszczęścia. Ten wybuch bezsilnej wściekłości mistrza, gdy zawisły nad nim ostrza dwóch mieczów świetlnych... I ostatni krzyk, który nieustannie dzwonił jej w uszach. **MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!** - Przestań! - warknęła, z całej siły uderzając głową o framugę okienną. Wizja natychmiast prysła, ustępując miejsca chwilowemu bólowi. Przez parę sekund Mara stała nieruchomo, wsłuchując się w przyspieszone bicie własnego serca. W jej głowie kłębiły się najróżniejsze myśli i uczucia. Imperator niewątpliwie pragnąłby śmierci Skywalkera... Ale Organa Solo nie miała racji. Po prostu musiała się mylić. To sama Mara chciała zabić Luke'a, a nie jakiś duch z przeszłości. Gdzieś na drugim końcu miasta rozbłysło wielobarwne światło, rzucając kolorowe blaski na okoliczne domy i chmury w górze. Nagła feeria barw wybiła dziewczynę z zamyślenia. Zegar w starej Sali Zgromadzeń zaczął wybijać godzinę, tak jak to robił przez ostatnie trzysta lat. Światło ponownie zamigotało, teraz nieco inaczej, i zgasło. Było w pół do pierwszej. Pogrążona w rozmyślaniach, Mara nawet sobie nie uświadamiała, że zrobiło się tak późno. A w gruncie rzeczy nie doszła przez ten czas do żadnych konstruktywnych wniosków. Równie dobrze mogła pójść spać i postarać się przynajmniej na jakiś czas zapomnieć o wszystkim. Z głębokim westchnieniem odwróciła się od okna... I zamarła. Na dnie umysłu właśnie odezwał się dzwonek alarmowy. Gdzieś w pobliżu czaiło się jakieś niebezpieczeństwo. Wyciągnęła z kabury swój maleńki blaster i nadstawiła uszu. Nie było jednak słycać nic podejrzanego. Zerknęła w stronę okna, zastanawiając się, czy ktoś jej przypadkiem nie obserwuje z ukrycia, i zaczęła się bezszelestnie posuwać w stronę drzwi. Przyłożyła do nich ucho i znów zaczęła nasłuchiwać. Przez chwilę nic sienie działo; ale niebawem doszedł ją odgłos zbliżających się kroków, ledwie słyszalny przez grube drewno. Był to ten rodzaj chodu, który niezmiennie kojarzył jej się z zawodowymi żołnierzami: cichy, a zarazem zdecydowany. Zastygła w pełnym napięcia oczekiwaniu; ale nieznani osobnicy minęli jej drzwi, nawet nie zwalniając kroku i oddalili się w głąb korytarza. W myślach policzyła do dziesięciu, czekając, aż nieznajomi znajdą się dostatecznie daleko. Potem ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Dostrzegła czterech mężczyzn ubranych w mundury Straży Pałacowej, którzy posuwali się naprzód w szyku rombowym. Dotarli właśnie do poprzecznego korytarza i zwolnili kroku. Mężczyzna idący na czele grupki rozejrzał się badawczo dokoła, po czym nieznacznie skinął ręką na pozostałych i wszyscy zniknęli za rogiem. Poszli w kierunku klatki schodowej, którą można się było dostać na dół, do centralnej części pałacu, albo też na górę, gdzie znajdowała się wieża i apartamenty stałych mieszkańców. Wpatrując się w głąb korytarza, Mara poczuła, że zmęczenie zupełnie ją opuściło. Szyk rombowy, ewidentna ostrożność, charakterystyczny gest ręki i jej przecucie niebezpieczeństwa - wszystko to dowodziło jednego: do pałacu przeniknął wywiad imperialny. Odwróciła się w stronę biurka, ale zaraz się zatrzymała, klnąc pod nosem. Z pewnością członkowie grupy specjalnej w pierwszym rzędzie zajęli się komputerem pałacowym i systemem łączności. Jeśli spróbuje wszczać alarm, spłoszy intruzów. Jeśli chce ich powstrzymać, musi to zrobić osobiście. Mocno zacisnęła rękę na blasterze, wymknęła się z pokoju i cicho podążyła za mężczyznami. Dotarła do rogu i właśnie zamierzała dyskretnie sprawdzić teren, gdy tuż za plecami usłyszała cichy szcęk odbezpieczonego blastera. - No dobra, Jadę - rzucił jej ktoś prosto do ucha. - Tylko spokojnie. Zabawa skończona.

ROZDZIAŁ IX

Admirał Drayson opadł na oparcie fotela i pokręcił przecząco głową.

- Bardzo mi przykro, panowie - powtórzył chyba po raz dziesiąty zwracając się do Calrissiana i Bela Iblisa. - Po prostu nie możemy ryzykować. Lando wziął głęboki oddech, starając się wykrzesać z siebie resztki cierpliwości. Drayson obojętnym tonem skazywał na zatracenie owoc jego ciężkiej pracy.
- Admirale...
- Ryzyko nie jest aż tak wielkie, admirale -wpadł mu w słowo Bel Iblis z kurtuazją, na którą Calrissiana nie było już stać. - Wskazałem panu conajmniej osiem miejsc, z których moglibyśmy bezpiecznie odwołać fregatę. Byłaby wyłączona ze służby przez niespełna dziesięć dni.
- Jeśli wielki admirał Thrawn dalej będzie działał w takim tempie, to w ciągu dziesięciu dni zdoła opanować kolejne trzy sektory - prychnął Drayson. - Czy chce mu pan ułatwić przejście czwartego?
- Mówimy o jednej fregacie, admirale, a nie o tuzinie krążowników czy orbitalnej stacji bojowej - zauważył Calrissian. - Do jakich zabiegów musiałby się uciec Thrawn, by obecność lub nieobecność jednej fregaty szturmowej miała decydować o wygranej lub porażce?
- A czego zdołał dokonać przy użyciu jednego transportowca z układem podporządkowania w silnie bronionej stoczni? - odparował Drayson. - Panowie, spójrzmy prawdzie w oczy:, kiedy ma się do czynienia z kimś takim jak Thrawn, normalne zasady postępowania tracą rację bytu. Bardzo możliwe, że cała ta historia jest misternie utknaną intrygą, którą dostrzeżemy dopiero wtedy, gdy już będzie za późno. Takie rzeczy już się zdarzały. Na twarzy Calrissiana pojawił się grymas rozczarowania; chociaż w zasadzie nawet nie bardzo mógł winić Draysona za takie rozumowanie. Kilka miesięcy temu, kiedy razem z Hanem trafili do zakonspirowanej bazy wojskowej Bela Iblisa, sam był niemal przekonany, iż całe to przedsięwzięcie jest jedynie przewrotnym planem Thrawna, stworzonym wyłącznie z myślą o nich. I dopiero po bitwie o Flotę Katańską zyskał całkowitą pewność, że jest inaczej. Całe to zdarzenie było dla niego cenną lekcją.
- Panie admirale, wszyscy zgadzamy się co do tego, że Thrawn jest genialnym taktykiem - powiedział, starannie dobierając słowa. - Ale nie możemy wychodzić z założenia, że wszystko, co dzieje się w galaktyce, jest częścią uknutej przez niego gigantycznej intrygi. Zagarnął moje za pasy metali i wyłączył z użytku Miasto Nomadów. Najprawdopodobniej to wszystko, co chciał osiągnąć.
- Obawiam się, panie Calrissian, że w tym wypadku stwierdzenie „najprawdopodobniej” nie wystarczy - pokręcił głową Drayson. - Jeśli zdoła mi pan udowodnić, że Imperium nie wykorzysta braku jednej fregaty szturmowej, to rozważę, czyjej panu nie pożyczyć.
- Ależ admirale...
- I na pana miejscu starałbym się nie eksponować zbyt wiele powiązań z kopalnią na Nkllonie - dodał Drayson, zbierając swoje notatki. - Wielu z nas wciąż pamięta o tym, że to pańskich wgłębiarek użył Thrawn podczas ataku na stocznię Sluis Van.
- Ale to właśnie dzięki Calrissianowi i jego wiedzy na temat wgłębiarek atak się nie powiódł - przypomniał spokojnie Bel Iblis. - Znalazłoby się wielu takich, którzy pamiętają także o tym.
- Sugeruje pan, że Thrawn tak naprawdę zamierzał ukraść te statki? - odparował Drayson, wstając z miejsca. - Osobiście uważam, że wyłączenie ich z walki w zupełności go zadowoliło. A teraz panowie wybaczą, ale muszę się zająć dowodzeniem. Kiedy admirał wyszedł, Lando westchnął z rezygnacją.
- No to koniec - rzucił, zbierając swoje notatki.
- Proszę się nie martwić - próbował go pocieszyć Bel Iblis. Wstał z krzesła i przeciągnął się. - Tu chodzi nie tyle o pana i Miasto Nomadów, co o mnie. Drayson zawsze uważał, że przeciwstawienie się Mon Mothmie to niemal tyle samo, co kolaboracja z Imperium. I najwyraźniej w dalszym ciągu jest tego zdania.

- Zdawało mi się, że pan i Mon Mothma doszliście jakoś do porozumienia - stwierdził Lando, podnosząc się z miejsca.

- W zasadzie tak - wzruszył ramionami senator. Okrążył stół i skierował się do drzwi.
- Prawie tak. Zaproponowała mi powrót do Nowej Republiki, ja przyjąłem to zaproszenie i pozornie wszystko jest dobrze. Ale wspomnienia nie umarły. - Nieznacznie skrzywił usta. - I muszę przyznać, że moje odejście z Sojuszu po zniszczeniu Alderaanu mogło zostać przyjęte nieco bardziej dyplomatycznie. Mieszka pan na piętrze dla gości rządowych?

- Tak, a pan?

- Ja również. Chodźmy, odprowadzę pana. Wyszli z sali konferencyjnej i skierowali się łukowato sklepionym korytarzem w stronę wind sieciowych.

- Myśli pan, że on zmieni zdanie? - zagadnął Lando.

- Drayson? - Bel Iblis pokręcił głową. - Nie sądzę. Jeśli nie uda nam się wydostać z centrum dowodzenia Mon Mothmy i nakłonić jej do wy słuchania pana, to pozostaje tylko mieć nadzieję, że w ciągu najbliższych dni wróci na Coruscant Ackbar. Pomijając już znaczenie Miasta Nomadów, uważam, że admirał ma wobec pana pewien dług wdzięczności. Calrissianowi stanęła przed oczami ta nieprzyjemna scena, kiedy oznajmił Ackbarowi, że rezygnuje ze stopnia generała.

- Wdzięczność nic tu nie pomoże, jeśli Ackbar dojdzie do wniosku, że Thrawn szykuje jakiś podstęp - powiedział głośno. - Już raz się sparzył, przy okazji Sluis Van.

- To prawda - przyznał generał. Zerknął w głąb poprzecznego korytarza, który właśnie mijali, a kiedy się z powrotem odwrócił, Lando dostrzegł na jego twarzy cień niepokoju. - A wszystko jeszcze dodatkowo komplikuje obecność tego Źródła Delta, które Imperium zainstalowało w pałacu. To, że Thrawn nie wiąże obecnie z Nkllonem żadnych konkretnych planów, nie oznacza bynajmniej, iż dowiedziawszy się, co zamierzamy zrobić, naprędce czegoś nie wymyśli.

- Nie musi się dowiedzieć - stwierdził Calrissian. - Wie pan, to Źródło Delta nie jest wszechwiedzące. Mimo jego działalności Han i Leia zdołali przeprowadzić kilka ważnych misji.

- Co po raz kolejny dowodzi wyjątkowej prężności małych grup. Niemniej jednak dobrze byłoby jak najszybciej zlokalizować i wyeliminować ten przeciek. Kiedy mijali następny korytarz, Bel Iblis omiół go badawczym spojrzeniem. Tym razem na jego twarzy wyraźnie pojawił się wyraz niepokoju.

- Coś nie w porządku? - spytał cicho Lando.

- Nie jestem pewien. Ale nie sądzi pan, że w tej części pałacu po winni być jacyś strażnicy? Calrissian rozejrzał się niespokojnie. Rzeczywiście, oprócz nich nie było tu żywej duszy.

- A może tego wieczora z uwagi na przyjęcie dla gości z Sarkan wszystkich oddelegowano na dół?

- Wcześniej ich tu widziałem - stwierdził generał. - Po wyjściu z mego apartamentu natknąłem się, co najmniej na dwóch strażników. Lando obejrzał się za siebie i poczuł nieprzyjemny dreszcz.

- W takim razie co się z nimi stało?

- Nie mam pojęcia. - Bel Iblis wziął głęboki oddech. - Podejrzewam, że nie jest pan uzbrojony? Calrissian pokręcił przecząco głową.

- Blaster zostawiłem w pokoju. Nie sądziłem, że może mi być tutaj potrzebny.

- I pewnie nie będzie - rzekł uspokajająco senator. Rozglądając się dokoła, wsunął prawą dłoń pod kurtkę. - Wyjaśnienie tej sytuacji jest zapewne proste i zupełnie niewinne.

- Na pewno - rzucił Calrissian, wyjmując komunikator. - Zadzwonimy do centrali i dowiemy się, o co chodzi. - Włączył nadajnik... i natychmiast go wyłączył, gdyż z głośnika rozległ się cichy pisk świadczący o tym, że rozmowy są zakłócone. - Obawiam się, że wyjaśnienie tej zagadki nie jest jednak takie proste - stwierdził ponuro. Pożałował, że nie ma w ręku blastera. - 1 co teraz?

- Musimy znaleźć jakiś sposób, by zaalarmować Straż Pałacową - zdecydował Bel Iblis, rozglądając się wokół. - No dobrze. Windy sieciowe na nic się nam w tej chwili nie zdadzą, obsługują jedynie piętra mieszkalne. Ale na końcu korytarza znajdują się schody, które prowadzą do centralnej części pałacu. Spróbujemy się tam dostać.

- W porządku. Ale najpierw wstąpmy może do mojego pokoju po blaster.

- Dobry pomysł - zgodził się generał. - Miniemy windy sieciowe... Schody są tam. Załatwimy to szybko i po cichu. Na schodach, podobnie jak w korytarzu, nie było żywego ducha. Ale wychodząc z klatki schodowej, senator zatrzymał się raptownie i ostrzegawczo uniósł dłoń. Lando przysunął się do niego i wyjrzał zza rogu. Przed nimi, posuwając się ostrożnie w głąb korytarza, szła samotna, szczupła kobieta o ognistorudych włosach, z małym blasterem gotowym do strzału. Była to Mara Jadę. Bel Iblis niemal bezszelestnie wyjął swój blaster i ruszając za nią, gestem ręki nakazał Calrissianowi, by szedł za nim. Nim dziewczyna dotarła do końca korytarza, znaleźli się tuż za nią. Mara zatrzymała się i ostrożnie wyjrzała zza rogu...

- No dobra, Jadę - powiedział cicho generał, unosząc blaster. - Tylko spokojnie. Zabawa skończona. Przez ułamek sekundy Lando był pewien, że Mara spróbuje im się jakoś przeciwstawić. Odwróciła głowę i spojrzała przez ramię na swoich oponentów...

- Calrissian! - zawołała; w jej głosie zabrzmiała wyraźna ulga, a jednocześnie skrywany niepokój. - W pałacu są szpiedzy Imperium przebrani za Straż Pałacową. Właśnie widziałam czterech z nich.

- Ciekawe - mruknął Bel Iblis, przyglądając jej się badawczo. - A dokąd pani szła?

- Pomyślałam, że warto by się dowiedzieć, co knują - odparła z sarkazmem. - Chcecie mi pomóc, czy nie? Senator ostrożnie wyjrzał zza rogu.

- Nikogo tu nie widzę. Pewnie już zeszli na dół. Stawiam na centrum dowodzenia albo na to przyjęcie dla gości z Sarkan.

- Nie - zaprzeczył energicznie Lando, który zdążył już pojąć całą sytuację. - Oni nie zeszli na dół: poszli na górę. Chcą dostać bliźnięta Leii. Mara zakłęta pod nosem.

- Masz rację. Thrawn obiecał je temu szalonemu C'baoth'owi. Na pewno to o nie im chodzi.

- Możliwe - stwierdził Bel Iblis. - Panie Calrissian, gdzie jest pański pokój?

- Za tamtymi drzwiami - oznajmił Lando i wskazał głową do tyłu.

- Niech pan weźmie swój blaster - rozkazał generał, ponownie wychylając się dyskretnie zza rogu. - Wy oboje pójdziecie tym korytarzem do głównych schodów. Sprawdźcie, czy dotarli już na górę. Może uda wam się ostrzec Leię i jej męża. Ja zejść na dół i spróbuję ściągnąć jakieś posiłki.

- Niech pan uważa: u podnóża schodów mogli zostawić tylną straż - rzuciła ostrzegawczo Jadę.

- Wy na pewno natraficie na kogoś na górze - stwierdził Bel Iblis. - Uważajcie na siebie. - Senator znowu wyjrzał zza rogu i po chwili już go nie było.

- Zaczekaj tu - zwrócił się Lando do Mary. - Zaraz wrócę.

- Tylko się pospiesz.

- Jasne. Calrissian pobiegł w stronę swego pokoju. Otwierając drzwi, zerknął na Jadę. Dziewczyna stała tam, gdzie ją przed chwilą zostawił i ukradkiem spoglądała w głąb poprzecznego korytarza. Na jej twarzy malowało się napięcie, ale jednocześnie wyraz jakiejś dziwnej pustki. Ta twarz... Jakoś dziwnie znajoma. Lando był pewien, że już ją kiedyś widział, ale nie mógł przywołać z pamięci czasu ani miejsca tego spotkania. Odpędził od siebie te myśli. Bez względu na to, kim Mara była w przeszłości, nie miał teraz czasu, by to roztrząsać. Hanowi, Leii i ich dzieciom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo... I to właśnie on i Jadę mieli ich przed tym uchronić. Odwrócił się i pospiesznie wszedł do pokoju. Leio Organo Solo! Leio Organo Solo! Obudź się. Jesteś w niebezpieczeństwie. Obudź się. Leio Organo Solo, obudź się... Księżniczka obudziła się raptownie. Po głowie wciąż jeszcze kołatało jej się echo tego uporczywego wołania. Zaspana, przez parę sekund nie mogła sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest. W napięciu badała oczami i zmysłami Jedi ciemny pokój, starając się dociec, gdzie się

znajduje. Kiedy opuściły ją resztki snu, w pełni zdała sobie sprawę z tego, że jest w swoim apartamencie w Pałacu Imperialnym. Śpiący obok niej Han mruknął coś cicho, przewracając się z boku na bok; w drugim końcu pokoju spały w kołysce przytulone do siebie bliźnięta; w sąsiednim pomieszczeniu spała Winter - niewątpliwie przewijały jej się teraz w sennych marzeniach perfekcyjnie wyraźne obrazy zapisane w jej pamięci. Zaś przed drzwiami apartamentu... Zmarszczyła brwi. Wyczuwała na zewnątrz czyjąś obecność: przed drzwiami stała grupka co najmniej pięciu czy sześciu osób. Zsunęła się z łóżka, machinalnie chwytając z podłogi blaster i miecz świetlny. To pewnie nic poważnego - może po prostu kilku strażników pałacowych zatrzymało się na chwilę, by uciąć sobie krótką pogawędkę przed dalszym obchodem. Ale jeśli tak było, to łamali kilka podstawowych zasad regulujących zachowanie personelu na służbie. Będzie musiała jakoś dyplomatycznie, a zarazem surowo ich upomnieć. Stąpając cicho po grubym dywanie, wymknęła się z sypialni i przemierzając pokój gościnny, skierowała się w stronę drzwi wyjściowych. Jednocześnie przebiegała w myślach techniki Jedi, mające na celu wyostrenie zmysłów. Jeśli nie wychodząc z pokoju, zdoła rozpoznać głosy poszczególnych strażników, to rano będzie mogła porozmawiać z każdym z nich z osobna. Nie dotarła jednak do drzwi. Znajdowała się właśnie w połowie salonu, gdy dzięki wyostrzonemu słuchowi zarejestrowała dochodzące z przodu ciche buczenie. Nadstawiła uszu, starając się nie zwracać uwagi na łomotanie własnego serca. Odgłos był cichy, ale bardzo wyraźny i Leia miała pełną świadomość tego, że już kiedyś słyszała coś podobnego. Po chwili udało jej się zidentyfikować ten niepokojący dźwięk: było to buczenie elektronicznego urządzenia do otwierania zamków. Ktoś chciał się włamać do ich apartamentu. Księżniczka stała jak sparaliżowana. Nagle, ku jej przerażeniu, zamek w drzwiach ustąpił ze szczękiem. Było już za późno na ucieczkę. Zresztą nie miała dokąd uciekać. Na szczęście budowniczowie wieży pomyśleli o tego rodzaju niebezpieczeństwach. Leia uniosła blaster i, mając nadzieję, że mechanizm wciąż jeszcze działa, dwukrotnie strzeliła w drzwi. Drewno, które posłużyło za ich budulec, należało do najtwardszych i najbardziej wytrzymałych w całej galaktyce, i jej strzały zapewne utknęły gdzieś w jednej czwartej grubości. Ale to wystarczyło: umieszczone w nich czujniki zarejestrowały atak. Odgłos strzałów nie zdążył jeszcze przebrzmieć w uszach księżniczki, gdy po wewnętrznej stronie pokoju opadły z łoskotem wykonane z grubego metalu drzwi zabezpieczające.

- Leia? - dobiegł ją z tyłu podenerwowany głos Hana.

- Ktoś próbuje się tutaj włamać - poinformowała męża. Odwróciła się błyskawicznie i podbiegła do Hana, który stał w drzwiach sypialni z blasterem gotowym do strzału. - Udało mi się w porę zamknąć drzwi zabezpieczające, ale to ich nie powstrzyma.

- W każdym razie nie na długo - przyznał Solo, obrzucając żonę przenikliwym spojrzeniem. - Idź do sypialni i zawiadom pałacowe służby specjalne; ja spróbuję ich tu jakoś zatrzymać.

- Dobrze. Ale bądź ostrożny: to na pewno coś poważnego. Ledwie wypowiedziała te słowa, gdy cały pokój zadrżał. Napastnicy najwyraźniej zrezygnowali z dyskrecji i postanowili rozwalić zewnętrzne drzwi na kawałki.

- Tak, to rzeczywiście coś poważnego. - Han pokiwał ponuro głową. - Zaalarmuj Winter i Threepia i weźcie bliźnięta. Musimy coś szybko postanowić. Pierwszy odgłos, który odbił się głuchym echem w łukowato sklepionej klatce schodowej, mógł być odgłosem strzału z blastera - Mara nie umiała tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Ale dźwięk, który rozległ się kilka sekund później, nie pozostawiał już najmniejszych wątpliwości. - No, no - mruknął Calrissian. - Robi się wesoło. Na schodach rozległo się echo kolejnego strzału.

- To mi wygląda na blaster ciężkiego kalibru - stwierdziła Jade, uważnie nasłuchując. - Pewnie nie udało im się cichaczem otworzyć drzwi.

- Albo rzeczywiście chodzi im jedynie o bliźnięta - zauważył Lando grobowym tonem i odsunął się od rogu, przy którym się zatrzymali. - Chodźmy.

- Poczekaj - rzuciła dziewczyna, chwytając go za rękę. Badawczym spojrzeniem obrzuciła przestrzeń przed sobą. Szerokie schody kończyły się na półpiętrze ciosaną z kamienia balustradą. Te, które biegiły dalej w górę po obu stronach półpiętra, były spiralnie skręcone i znacznie węższe. - Ten taras to wymarzone miejsce dla tylnej straży, a nie chciałabym służyć za tarczę strzelniczą. Calrissian burknął coś pod nosem z dezaprobatą, ale nie ruszył się z miejsca. Chwilę później ucieszył się ze swojej decyzji.

- Masz rację, na lewo od schodów ktoś stoi - szepnął.

- To znaczy, że po prawej stronie też ktoś powinien być - stwierdziła Mara. Usłyszeli echo kolejnego strzału z blastera. Dziewczyna omiotła badawczym spojrzeniem zakamarki kamiennej balustrady; wie działa, że ludzie ze służb specjalnych lubią trzymać się w cieniu... - Rozstawili też po jednym strażniku po obu stronach schodów głównych - dodała. - Jakies dwa metry od krawędzi.

- Tak, widzę ich. Nie pozbedziemy się ich łatwo. - Lando obejrzał się za siebie, na biegnące w górę schody. - No, Belgu Ibisie, przyjdź wreszcie.

- Tak, lepiej, żeby się pospieszył - zawtórowała mu dziewczyna. Zerkając ostrożnie na czterech szpiegów imperialnych, starała się od tworzyć w pamięci szczegóły konstrukcyjne wieży. - Drzwi Organy Solo nie wytrzymają zbyt długo.

- A tylna straż z pewnością zdoła nas przez ten czas powstrzymać - przytaknął Calrissian. - Chwileczkę... - syknął cicho przez zęby. - Za czekaj tu, mam pewien pomysł.

- Dokąd idziesz? - spytała Jadę, gdy Lando odsunął się od rogu.

- Do głównego hangaru - odparł, kierując się ku schodom. - Jakiś czas temu Chewie naprawiał tam „Sokoła”. Jeśli wciąż tam jest, to możemy spróbować wyciągnąć ich na zewnątrz wieży.

- Niby jak? - dociekała dziewczyna. - Wieża ma okna z pancerne go szkła; próbując je rozwalić, pozabijasz tych, którzy są w środku.

- Nie będę musiał rozwalać okien - uśmiechnął się chytrze Calrissian. - Leia ma miecz świetlny. Zajmij się tymi facetami, dobra? Pędem zbiegł po schodach i zniknął Marze z oczu.

- Dobra - mruknęła za nim i z powrotem skupiła swoją uwagę na czających się przy schodach agentach. Czy już zauważyli ją i Landa? Pewnie tak. Ale w takim razie facet stojący na lewo od schodów był najwyraźniej zbyt odsłonięty, by po prostu otworzyć do niej ogień. Cóż, w takim razie chętnie się do tego dostosuje. Przełożyła blaster do lewej ręki, oparła nadgarstek o kant ściany i wycelowała... Nagły strzał z przeciwległej klatki schodowej trafił w ścianę tuż nad jej blasterem; na dłoń Mary posypały się rozgrzane kawałeczki kamiennego muru.

- Psiakrew! - warknęła, cofając rękę i strząsając odłamki. A zatem chcieli ją wziąć sposobem? Dobrze: ona też ma na nich sposób. Poprawiła uchwyt na blasterze i ostrożnie podsunęła się do rogu... Ocaliło jej życie nagłe przecucie niebezpieczeństwa. Upadła na jedno kolano i niemal w tej samej chwili miejsce, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się jej głowa, przecięty oddane prosto z przodu dwa strzały z blastera. Natychmiast padła na podłogę i, leżąc na boku, odtworzyła tor lotu pocisku. Korytarzem biegnącym naprzeciwko schodów bezszelestnie zbliżało się do niej dwóch mężczyzn. Przekręcając się z boku na brzuch, oddała dwa szybkie, ale niecelne strzały. Ujęła blaster w obie ręce i, starając się nie zwracać uwagi na padające coraz bliżej strzały, wycelowała w napastnika po prawej stronie i dwukrotnie strzeliła. Mężczyzna drgnął i zwałił się na podłogę; odruchowo zacisnął rękę na spuście blastera i przez chwilę chaotyczne strzały raziły sufit. Dziewczyna nakierowała lufę blastera na drugiego napastnika. Tuż obok ucha Mary rozległ się świst strzału, a po chwili kolejny - jeszcze bliżej, gdy nieprzyjacielowi udało się lepiej namierzyć jej pozycję... Niespodziewanie przestrzeń nad głową dziewczyny wypełnił deszcz ognia z blasterów. Posuwający się w jej stronę agent Imperium natychmiast runął ciężko na ziemię. Odwróciwszy głowę, Jadę zobaczyła, że z dołu biegnie po schodach sześciu strażników pałacowych z blasterami gotowymi do strzału. Za nimi podążał Bel Iblis.

- Nic pani nie jest?! - zawołał z niepokojem.
- Nie, wszystko w porządku - mruknęła, odsuwając się nieco od rogu. A był już po temu najwyższy czas, gdyż czający się na półpiętrze ludzie Imperium, zauważywszy, że ich atak z zaskoczenia spalił na panewce, otworzyli gwałtowny ogień. Mara podniosła się z podłogi, starając się kryć przed strzałami. - Calrissian zszedł na dół, do hangaru - poinformowała generała, przekrzykując huk kanonady.

- Tak, wiem. Spotkaliśmy go na schodach. - Senator skinął głową na strażników. - A co się tutaj dzieje?

- Dwóch gości trochę się spóźniło na przyjęcie - odparła dziewczyna, wskazując korytarz. - Pewnie wracali z działu łączności. Ich przyjaciele na półpiętrze starali się odwrócić moją uwagę, by tamci mogli mnie podejść. I prawie im się to udało.

- Cieszę się, że wszystko zakończyło się pomyślnie - stwierdził Bel Iblis. - Poruczniku? - zwrócił się do mężczyzny stojącego za plecami Mary.

- Sprawa jest poważna - oznajmił podniesionym głosem oficer Straży Pałacowej. - Już rozkazaliśmy sprowadzić ze zbrojowni działko blasterowe; kiedy tylko tu dotrze, wykurzymy ich z półpiętra. Ale do tego czasu możemy ich jedynie wiązać ogniem i mieć nadzieję, że popełnią jakiś błąd. Bel Iblis pokiwał w zadumie głową i zacisnął usta. W jego oczach malowało się napięcie. Mara dobrze знаła ten wyraz twarzy, chociaż widywała go niezwykle rzadko, i to jedynie u najwytrawniejszych dowódców wojskowych - było to skupienie wodza, który ma posłać swoich ludzi na śmierć.

- Nie możemy czekać - oznajmił stanowczo, choć z wyraźnym na pięciem w głosie. - Ci na górze z pewnością otworzą do tego czasu drzwi pokoju Leii. Musimy się z nimi rozprawić od razu. Dowódca oddziału straży wziął głęboki oddech.

- Tak jest. No dobra, chłopaki, słyszeliście, co powiedział pan generał. Spróbujemy znaleźć jakąś osłonę i ruszajmy.

- Nie zdążą ich w porę załatwić - rzuciła cicho Jadę, podchodząc do Bela Iblisa.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł senator zdławionym głosem. - Ale im więcej ich teraz sprzątniemy, tym łatwiej poradzimy sobie z tymi, którzy zejda z góry. - Spojrzał w głąb korytarza i niemal szeptem dodał:

- Kiedy będą mieli zakładników. Umilkły ostatnie strzały z blasterów, rozległ się jakiś metaliczny łoskot i po chwili zapadła cisza.

- O rety! - jęknął Threepio ze swojego kąta, gdzie się zaszył, aby jak najmniej rzucać się w oczy. - Zdaje mi się, że puściły drzwi bezpieczeństwa.

- Dobrze, że tu jesteś, by nam o tym powiedzieć - stwierdził Han poirytowanym tonem. Gorączkowym spojrzeniem obrzucił pokój Winter. Leia wiedziała, że nic już nie wymyśli: wszystko, co mogłoby stanowić jakąś osłonę, zostało wykorzystane. Łóżko i komodę Winter przysunęli do dwojga drzwi wychodzących z pokoju; szafę zaciągnęli pod okno i ułożyli na boku, aby służyła za prowizoryczną barykadę. I to już było wszystko. Pozostawało im jedynie beczynnienie czekać, aż napastnicy wedrą się do środka przez jedne lub drugie drzwi. Księżniczka odetchnęła głęboko, starając się uspokoić łomotanie serca. Od czasu pierwszego ataku na Bimmisaari zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Imperium poluje na nią, by ją porwać - nie była to może miła świadomość, ale po tylu latach toczącej się nieustannie wojny jakoś się z tym oswoiła. Tym razem jednak było inaczej. Tym razem Imperium nie polowało na nią i jej nienarodzone dzieci, ale chciało porwać jej niemowlęta. Ludzie Thrawna zamierzali odebrać jej te maleństwa i ukryć tak, by już nigdy nie zdołała ich odnaleźć. Zacisnęła rękę na mieczu świetlnym. Nie. Tak się nie stanie. Nie dopuści do tego. Z zewnątrz doleciał dźwięk pękającego drewna.

- No, to już po kanapie - mruknął Han. Usłyszeli kolejny trzask... - A teraz poszło krzesło. Zresztą i tak nie sądziłem, że te meble ich po wstrzymają.

- W każdym razie warto było spróbować - zauważyła księżniczka.

- Tak - prychnął Solo. - Pamiętasz? Już dawno ci mówiłem, że powinniśmy sobie kupić więcej mebli. Leia uśmiechnęła się blado i ścisnęła męża za rękę. W trudnych sytuacjach Han zawsze potrafił rozładować napięcie.

- Nic takiego nie mówiłeś. Poza tym i tak wiecznie j jesteś poza domem. - Spojrzała na Winter, która siedziała na podłodze pod oknem z pancernego szkła. Na rękach trzymała przytulone do niej bliźnięta. - Co z nimi?

- Chyba się budzą - poinformowała szeptem kobieta.

- Tak, rzeczywiście - potwierdziła księżniczka. Jednocześnie sięgnęła do nich umysłem, starając się dodać im otuchy.

- Postaraj się, żeby były cicho - rzucił półgłosem Han. - Nie chcielibyśmy ułatwiać zadania tym facetom za drzwiami. Leia skinęła głową i poczuła, że na nowo ogarnia ją strach. Z obu sypialni - ich i Winter - można było wyjść jedynie do salonu; a zatem szansę na to, że napastnicy od razu wybiorą drzwi, za którymi kryją się ich ofiary, były jak jeden do dwóch. Gdyby się pomylili i zdecydowali rozwalić drzwi do sąsiedniej sypialni, oblężeni zyskaliby trochę czasu. Nie było to może wiele, ale te dodatkowe kilka minut mogło zadecydować o ich życiu lub śmierci. Od strony ich pokoju dobiegł odgłos strzału z ciężkiego blastera; księżniczka odetchnęła swobodniej. Ale tylko na chwilę. Ułamek sekundy później dźwięk się powtórzył; tym razem dochodził jednak zza drzwi sypialni, w której się znajdowali. Stanąwszy przed dylematem, które drzwi wybrać, napastnicy postanowili rozwalić jedno i drugie. Leia skierowała wzrok na męża; ich spojrzenia się spotkały.

- To i tak nieco spowolni ich działania - próbował uspokoić Leię Han, choć sam czuł się raczej niepewnie. Muszą podzielić siłę ognia. Mamy jeszcze trochę czasu.

- Gdybyśmy chociaż wiedzieli, jak go wykorzystać - westchnęła księżniczka, rozglądając się bezradnie po pokoju. Lata przemieszczania się po całej galaktyce z rebeliancką Sekcją Zaopatrzenia i Zdobywania Informacji nauczyły Winter podróżowania bez zbędnego bagażu i w sypialni nie było już dosłownie nic, co mogliby wykorzystać. Na zewnątrz posypał się kolejny grad strzałów, a potem rozległ się cichy trzask. Drewniane drzwi sypialni długo nie wytrzymają tej kanonady, a potem napastnikom pozostaną już do sforsowania jedynie wewnętrzne drzwi bezpieczeństwa. Leia z rosnącą paniką po raz kolejny omiotła wzrokiem pokój. Szafa, łóżko, komoda - nic więcej. Pozostały jedynie drzwi bezpieczeństwa, okna z pancernego szkła i gołe ściany. Gołe ściany... Nagle przypomniała sobie o mieczu świetlnym, który kurczowo ściskała w dłoni.

- Han, a może po prostu wyjdziemy stąd? - zaproponowała, czując nagły przypływ nadziei. - Za pomocą miecza świetlnego mogę wyciąć w ścianie przejście do następnego apartamentu. I wcale nie musimy na tym poprzestać: nim rozwalą te drzwi, my będziemy już w drugiej części pałacu.

- Tak, mnie to też przyszło do głowy - odparł Solo zdławionym głosem. - Szkopuł w tym, że oni pewnie również o tym pomyśleli. Leia z trudem przełknęła ślinę. Tak, wysłannicy Imperium z pewnością są przygotowani na taki manewr.

- To może w takim razie zejdziemy na dół? - nie dawała za wygraną. - Albo pójdziemy na górę? Sądziś, że przyszło im do głowy, iż moglibyśmy uciec przez sufit?

- Widziałas przecież Thrawna w akcji - ostudził jej zamiary Han. Księżniczka westchnęła ciężko i poczuła, że opuszczają ją resztki nadziei. Han miał rację. Jeśli wielki admirał osobiście zaplanował ten atak, to równie dobrze mogli od razu otworzyć drzwi bezpieczeństwa i się poddać. Bez względu na to, co teraz wymyślą, każdy ich ruch został już zawczasu przewidziany i na każdą okazję wróg miał opracowany odpowiedni plan działania.

129 9 - Ostatni rozkaz

- Nie - powiedziała głośno, kręcąc energicznie głową. - On nie jest nieomylny. Już zdarzało nam się go przechytryć i teraz też możemy tego dokonać. - Spojrzała na Winter i dzieci wciąż śpiące pod oknem w jej ramionach. Okno... - Dobrze - dodała w zamyśleniu. - A jeśli wyjdziemy stąd przez okno?

- Przez okno, ale dokąd?! - zdumiał się Solo.

- Wszystko jedno. - Blastery na zewnątrz łomotały teraz w drzwi bezpieczeństwa. - Na górę, na dół, w bok - wszystko jedno. Han w dalszym ciągu nie był przekonany.

- Kochanie, chyba wiesz, że te ściany to gładki kamienny mur. Na wet Chewie nie mógłby się po nich wspiąć bez specjalnego sprzętu.

- Dlatego właśnie nie przyjdzie im do głowy, że moglibyśmy tam tędy uciec - stwierdziła Leia, ponownie zerkając na okno. - Może uda mi się wyciąć mieczem świetlnym jakieś oparcie dla rąk i nóg... -Urwała i utkwiała czujny wzrok w oknie. To nie była gra świateł: rzeczywiście dostrzegła na zewnątrz reflektory zbliżającego się statku.

- Han... Solo odwrócił się we wskazanym kierunku.

- No, no - mruknął. - Towarzystwo się powiększa. Świetnie, nie maco.

- A może to pomoc? - podsunęła niepewnie księżniczka.

- Wątpię - pokręcił głową Han, wpatrując się w zbliżające się światła. - Zaczęli strzelać dopiero kilka minut temu. Zaraz, zaraz... Leia spojrzała przez okno. Światła statku zaczęły wyraźnie mrugać i księżniczka bezskutecznie starała się dopasować nadawaną wiadomość do kodu, który znała...

- Kapitanie Solo! - odezwał się Threepio, wyraźnie podekscytowany. - Jak panu wiadomo, umiem się biegle porozumiewać w ponad sześciu milionach różnych form komunikacji...

- To Chewie - przerwał mu Han. Podniósł się z ziemi i stanąwszy przed oknem, zaczął machać obiema rękami.

- ..i ten sygnał przypomina szyfr, jakiego zawodowi gracze w sabaka używają w sytuacji, gdy... - ciągnął Threepio.

- Musimy rozwalić to okno - oznajmił Solo, zerkając szybko na drzwi. - Leia?

- Jasne. - Księżniczka odłożyła blaster i ściskając w ręku miecz świetlny, wstała z podłogi.

- ... gdy przeciwnicy oszukują w grze...

- Zamknij się, Złota Tyczko - warknął Solo, prędko pomagając Win ter z bliźniętami w ramionach odsunąć się od okna. Reflektory statku zbliżały się szybko i w słabej poświacie miasta Leia mogła już teraz rozpoznać sylwetkę „Sokoła”. Nagle przypomniała jej się zasadzka na Bpfassh, kiedy Noghri - aby ją porwać - użyli na przynętę fałszywego „Sokoła”. Ale przecież Imperium nie wpadłoby chyba na pomysł, by posłużyć się szyfrem stosowanym przez graczy w sabaka... ? Chyba, że... Jednak w tej chwili to i tak nie miało większego znaczenia. Woląta stawić czoło nieprzyjaciółom na pokładzie ich statku, niż siedzieć tu z założonymi rękami i czekać, aż sami po nią przyjdą. A poza tym nim wejdą na pokład, powinna wyczuć, czy na statku jest Chewbacca, czy też nie. Podeszła do okna, zapaliła miecz świetlny i uniosła go do góry... W tej samej chwili usłyszała za plecami potężny huk i drzwi bezpieczeństwa ustąpiły z łoskotem. Leia odwróciła się raptownie. Poprzez kłęby dymu dostrzegła dwóch mężczyzn, którzy odsunęli komodę i przypadli do ziemi. W tej samej chwili Han złapał ją za rękę i ściągnął na podłogę. Rzęsisty deszcz ognia zaporowego spadł na ścianę i na okno. Księżniczka pospiesznie zgasila miecz świetlny i chwyciła blaster. Skulony za szafą Han, nie zważając na niebezpieczeństwo, zaczął się ostrzeliwać. W drzwiach pojawiło się czterech kolejnych napastników i gwałtowny atak na szafę jeszcze przybrał na sile. Leia zacisnęła zęby i, korzystając z wieloletniej praktyki i Mocy, także otworzyła ogień. Jednocześnie ani na chwilę nie opuszczała jej świadomość, że ich obrona jest najzupełniej daremna. Im dłużej trwała ta strzelanina, tym większe były szanse na to, że jakaś zbląkana seria zrani któreś z dzieci... Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, poczuła w swoim umyśle czyjaś obecność - jakby ktoś próbował jej coś zasugerować; była to swoista prośba czy raczej żądanie, aby... Leia wzięła głęboki oddech. - Przestańcie! -zawołała, przekrzykując bitewny hałas.-Przerwać ogień. Poddajemy się. Kanonada nieco osłabła, a po chwili blastery umilkły na dobre. Księżniczka położyła broń na wierzchu pogruchothanej szafy i uniosła ręce do góry. Dwaj napastnicy podnieśli się ostrożnie z podłogi i ruszyli w jej kierunku. Leia starała się nie

patrzyć na męża, na którego twarzy malowało się zdumienie i niedowierzanie. Na skutek skoncentrowanego ognia Straży Pałacowej balustrada w pobliżu prawej części schodów w jednej chwili zamieniła się w chmurę kurzu i kupę kamieni. Czający się na półpiętrze wysłannicy Imperium także odpowiedzieli ogniem, raniąc jednego ze strażników. Mara wyjrzała ostrożnie zza rogu, próbując coś dojrzeć poprzez stos ruin i oślepiające błyski blasterów. Chciała sprawdzić, czy w tym całym zamieszaniu udało im się sprzątnąć żołnierza Imperium, na którego polowali. Okazało się, że tak. Z tumanu dymu wyłowiła zarys jego osmalonego ciała.

- Jednego już załatwili-poinformowała Bela Iblisa. -Zostało jeszcze trzech.

- No i ci wszyscy tam na górze - przypomniał mężczyzna z ponurą miną. - Miejmy nadzieję, że legendarne szczęście Hana obejmie także Leię, dzieci i wszystkich, których porywacze wezmą jako zakładników.

- Już po raz drugi wspomina pan o zakładnikach - zauważyła dziewczyna.

- Tarcza z zakładników to dla nich jedyna szansa na to, by się stąd wydostać - stwierdził senator, wruszając ramionami. - Jestem pewien, że zdają sobie z tego sprawę. Ewentualnie mogą jeszcze próbować uciec w górę, ale już poleciłem Calrissianowi, by zebrał garstkę myśliwców, które zamkną przestrzeń powietrzną nad pałacem. W sytuacji kiedy za blokowaliśmy windy, pozostają im jedynie te schody. Wpatrując się w generała, Mara nagle poczuła, że przeszył ją zimny dreszcz. Z powodu pośpiechu i ogólnego zamieszania, jakie zapanowały w związku z całą sprawą, nie miała nawet czasu, by głębiej rozważyć to, co zaszło. Ale teraz słowa Bela Iblisa i jej własne, odległe wspomnienia sprawiły, że ujrzała wszystko w innym świetle. Przez dłuższą chwilę trwała w zamyśleniu, rozważając, czy to, co przyszło jej do głowy, jest prawdą, czy tylko jej wymysłem. Ale wszystko do siebie pasowało i jawiło się jej jako logiczna, błyskotliwie zaplanowana akcja, nosząca wyraźne znamiona ingerencji wielkiego admirała Thrawn. Tak to należało rozumieć. I wszystko by się udało... gdyby nie jedno drobne przeoczenie. Thrawn najwyraźniej nie wiedział, że ona tu jest. Albo po prostu nie wierzył, że naprawdę była Ręką Imperatora.

- Niedługo wrócę - rzuciła do Bela Iblisa i pognała w głąb korytarza. Skręciła w jego boczną odnogę i zaczęła się bacznie przyglądać biegnącemu pod sufitem rzeźbionemu fryzowi. Gdzieś tu powinien się znajdować dyskretny znak, którego szukała. Tak. Zatrzymała się w miejscu, które dla postronnego obserwatora niczym nie różniło się od innych. Rozejrzała się bacznie po korytarzu. Nawet jeśli Skywalker i Organa Solo tak gładko zaakceptowali jej przeszłość, to nie miała wątpliwości, co do tego, że inni nie potraktowaliby tej wiadomości tak bez troski. Ale na korytarzu nie było żywego ducha. Sięgnęła ręką do fryzu i wsunęła dwa palce w odpowiednie zagłębienia, czekając, aż ciepło jej dłoni przeniknie do umieszczonych tam czujników. Po chwili fragment ściany otworzył się z cichym szcękaniem. Dziewczyna wślizgnęła się do środka, zasunęła za sobą płytę ścienną i rozejrzała się dokoła. Tajne przejścia Imperatora, zbudowane mniej więcej równoległe do szybów wind sieciowych, z konieczności wąskie i ciasne. Ale wyposażono je w odpowiednie oświetlenie, wentylatory pochłaniające kurz i ściany dźwiękochłonne. A co ważniejsze, idąc tędy mogła ominąć przyczajonych na półpiętrze agentów Imperium. W ciągu dwóch minut przebyła trzy kondygnacje i znalazła się przy zamaskowanych drzwiach, które wychodziły na piętro Organy Solo. Chcąc się przygotować do walki, kilka razy odetchnęła głęboko, po czym wymknęła się na korytarz. Jako że trzy piętra niżej toczyła się zażarta walka, Mara podejrzewała, że w pobliżu apartamentu Leii zastanie dodatkową tylną straż. I rzeczywiście, nie myliła się: odwróceniem plecami do niej, pod ścianą klęczeli dwaj mężczyźni w uniformach Straży Pałacowej, jakie wcześniej widziała u ich kompanów. Całą uwagę skupili na obserwowaniu końca korytarza. Dochodzący z przeciwnej strony huk ognia z ciężkich blasterów całkowicie zagłuszał odgłos jej cichych kroków i mężczyźni najprawdopodobniej w ogóle nie zdawali sobie sprawy z obecności osoby, z której ręki parę sekund później ponieśli śmierć. Mara błyskawicznie sprawdziła, czy przeciwnicy istotnie zostali całkowicie wyeliminowani z walki, i pospieszyła korytarzem w kierunku

apartamentu Organy Solo. Dotarła tam i właśnie zaczęła się przedzierać przez resztki rozłupanych zewnętrznych drzwi, gdy dochodzący ze środka łoskot strzałów z blastera zagłuszyła potężna eksplozja. Zacisnęła zęby, słysząc, że kanonadzie napastników odpowiedziały blastery obrońców. Jeżeli nie szukając żadnej osłony, wpadnie teraz do apartamentu, czeka ją niechybna śmierć. Jeśli z kolei będzie się poruszać zbyt ostrożnie, to ktoś w środku może zginąć, nim Mara zdąży oddać strzał. Chyba że... Leio Organo Solo, zawołała w myślach, sięgając Mocą na zewnątrz jak wtedy, gdy Calrissian poszedł do swojego pokoju po blaster. Nie była jednak przekonana, czy księżniczka ją usłyszy. To ja, Mara. Zachodzę ich od tyłu. Poddajcie się. Czy pani mnie słyszy? Poddajcie się. Poddajcie się. Poddajcie się. Przystając przy zewnętrznych drzwiach, usłyszała wołanie Leii, która starała się przekrzyknąć huk broni. - Przestańcie! Przerwać ogień. Poddajemy się. Jade ostrożnie wsunęła głowę do pokoju i zobaczyła napastników: czterech stało lub klęczało przy osmalonych framugach drzwi sypialni, z blasterami skierowanymi na obrońców. Dwóch pozostałych, nieco bardziej w środku, właśnie podnosiło się z podłogi. Żaden z imperialnych agentów nawet nie patrzył w jej kierunku. Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo, starannie wycelowwała broń i otworzyła ogień. Zdołała powalić dwóch mężczyzn, nim pozostali w ogóle zdali sobie sprawę z jej obecności. Trzeci padł, próbując się odwrócić w jej stronę. Czwarty już prawie składał się do strzału, gdy salwa z sypialni pozbawiła go życia. Pięć sekund później było już po wszystkim. Z całej grupy napastników ocalał tylko jeden, ale jego stan był bardzo ciężki.

- Sądźmy, że to dowódca - poinformował Hana Bel Iblis, gdy szli korytarzem w stronę skrzydła szpitalnego. - Wstępnie ustaliliśmy, że jest to niejaki major Himron. Ale będziemy to mogli potwierdzić dopiero wtedy, gdy odzyska przytomność. O ile w ogóle ją odzyska. Solo pokiwał głową i rzucił szybkie spojrzenie dwóm rozglądającym się badawczo strażnikom, których właśnie mijali. Jeśli nawet ten wypadek nie zaowocuje żadnymi konkretnymi posunięciami, to przynajmniej przyczyni się niewątpliwie do zwiększenia czujności Straży Pałacowej. Zresztą był już po temu najwyższy czas.

- Czy wie pan może, jak dostali się do środka?

- O to właśnie zamierzam go zapytać w pierwszej kolejności. Ten mężczyzna leży na oddziale intensywnej terapii. Tędy, proszę. Kiedy Han i Bel Iblis dotarli do drzwi pokoju chorego, zastali tam Landa i jednego z lekarzy.

- Wszyscy cali i zdrowi? - zainteresował się Calrissian, lustrując przyjaciela wzrokiem. - Wysłałem na górę Chewiego; mnie kazali zostać tu z więźniem.

- Wszyscy czują się dobrze - uspokoił go Solo. - Spotkałem Chewbaccę na górze; właśnie pomaga Leii i Winter zainstalować się w innym apartamencie. A tak w ogóle dziękuję, że przysłiście nam z pomocą.

- Nie ma za co - mruknął Lando. - Zwłaszcza, że mogliśmy się je dynie wszystkiemu beczynnemu przyglądać. Szkoda, że nie przeciągnęliśmy tej strzelaniny jeszcze ze dwie minuty dłużej.

- Możesz mieć pretensje do Mary - rzucił Han. - To ona zakończyła przedstawienie, a nie ja.

- Właśnie, Mara - rzucił Calrissian i twarz mu spochmurniała.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Solo.

- Sam nie wiem - potrząsnął głową Lando. - Jest w niej coś, co nie daje mi spokoju. Pamiętasz tę sytuację w bazie Karrde'a na Myrkrze, tuż przed tym, jak musieliśmy ukryć się w lesie z powodu pojawienia się Thrawna?

- Powiedziałeś wtedy, iż zdaje ci się, że skądś ją znasz - stwierdził Han. Ta uwaga i jemu głęboko zapadła w pamięć. - Przypomniałeś sobie skąd?

- Jeszcze nie - mruknął Calrissian. - Ale wiem, że już jestem blisko. Solo popatrzył na Bela Iblisa i na lekarza, przypominając sobie jednocześnie, co kilka dni później usłyszał od Luke'a. Kiedy opuszczali Myrkr, Skywalker powiedział, że Mara bez ogródek oznajmiła mu, iż chce go zabić.

- Bez względu na to, gdzie ją kiedyś widziałeś, teraz ona jest po naszej stronie.

- Tak - rzucił Lando z ponurą miną. - Możliwe. Generał przywołał ich gestem ręki.

- Chodźcie, spróbujemy go obudzić. Weszli na oddział intensywnej terapii. Łóżko, na którym leżał ranny, otaczało pół tuzina lekarzy i robotów medycznych, a ponadto trzech najlepszych oficerów ze służb specjalnych Ackbara. Na znak Bela Iblisa jeden z lekarzy pochylił się i zaczął coś robić przy opatrunku na ramieniu imperialnego żołnierza; kiedy Han i Lando stanęli przy łóżku, ranny zakasłał nagle i otworzył oczy.

- Majorze Himron? - odezwał się jeden z oficerów. - Czy pan mnie słyszy?

- Tak - wydyszał agent Imperium i kilkakrotnie zamrugał powiekami. Omiótł spojrzeniem otaczających go ludzi... Solo odniósł wrażenie, że nagle stał się bardziej czujny. - Tak - powtórzył głośniej.

- Wasz atak się nie powiódł - poinformował go oficer. - Wszyscy pańscy ludzie zginęli i nadal nie mamy pewności, czy pan będzie żył. Himron westchnął i przymknął oczy, ale jego twarz w dalszym ciągu była napięta.

- Cóż, to jest wojna - stwierdził.

- Majorze, jak dostaliście się do pałacu? - spytał Bel Iblis, pochylając się nad rannym.

- To już chyba... nie może nikomu zaszkodzić - wyszeptał Himron. Oddychał teraz z wyraźnym wysiłkiem. - Tylne drzwi... zrobione... w tym samym czasie... co system tajnych przejść. Zamykane od wewnątrz. Ona nas wpuściła.

- Ktoś was wpuścił do środka? - ożywił się generał. - Kto? Himron otworzył oczy.

- Nasz człowiek w pałacu... Nazywa się... ■ Jadę. Bel Iblis posłał Hanowi zdumione spojrzenie.

- Mara Jadę?

- Tak. - Himron ponownie zamknął oczy i odetchnął głęboko. - To specjalna... agentka Imperium. Kiedyś nazywano ją... Ręką Imperatora. Umilkł i jakby głębiej zapadł się w łóżko.

- Generale, to na razie wszystko, na co mogę pozwolić - oznajmił lekarz prowadzący. - Chory potrzebuje spokoju i musimy go doprowadzić do równowagi. Może za parę dni nabierze sił, by odpowiedzieć na dalsze pytania.

- Nic nie szkodzi - rzucił jeden z oficerów i ruszył w stronę drzwi. - I tak powiedział nam tyle, że wiemy, od czego zacząć.

- Chwileczkę - zawołał Han, podążając za nim. - Dokąd pan idzie?

- A jak pan myśli? - odparował oficer. - Mam zamiar aresztować Marę Jadę.

- Na jakiej podstawie? Opierając się na słowach agenta Imperium?

- On nie ma innego wyboru, Solo - rzekł cicho Bel Iblis, kładąc rękę na ramieniu Hana. - W przypadku tak poważnego oskarżenia trzeba zastosować areszt tymczasowy. Proszę się nie martwić, wyjaśnimy tę sprawę.

- Mam nadzieję - rzucił ostro Solo. - Agentka Imperium! Na moje oko to tam na górze zastrzeliła, conajmniej trzech napastników... - Urwał, dostrzegłszy minę Calrissiana. - Lando? Przyjaciół powoli przeniósł na niego wzrok.

- Mam - powiedział cicho. - Już wiem, gdzie ją widziałem. Była jedną z nowych tancerek u Jabby Hutta na Tatooine, kiedy szycowaliśmy się, żeby cię stamtąd odbić.

- U Jabby? - powtórzył Han, marszcząc brwi.

- Tak. I nie jestem pewien... ale zdaje mi się, że podczas tego całego zamieszania przed wyruszeniem do wielkiej groty Karkoona prosiła Jabbę, by mogła z nami jechać na jego statku wycieczkowym. A w zasadzie nie tyle była to prośba, co usilne błaganie. Solo zerknął na nieprzytomnego majora Himrona. Ręką Imperatora? Lukę też mówił, że chciała go zabić... Odpędził od siebie tę myśl.

- Nie obchodzi mnie, gdzie kiedyś była. Dzisiaj zastrzeliła tych żołnierzy imperialnych, którzy wdarli się do naszego apartamentu. Chodź, pomożemy się rozłokować Leii i bliźniętom. A potem spróbujemy się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

ROZDZIAŁ

Kawiarnia, „Szemrzący Wir” na Troganie była dla Karrde' a jednym z najlepszych przykładów na to, jak można zmarnować dobry pomysł, jeśli się go do końca nie przemyśli. Położona na wybrzeżu jednego z najgęściej zaludnionych zakątków Troganu kawiarnia została zbudowana wokół skały zwanej Kielichem. Był to fragment skalnego, podmywanego przez morze, urwiska w kształcie misy. Sześć razy dziennie potężne przypyły i odpływy na Troganie sprawiały, że woda wewnątrz skalnej misy albo się podnosiła, albo opadała gwałtownie, tworząc przy tym spieniony wir. Jako że stoliki kawiarniane rozmieszczono równomiernie wokół krawędzi misy, rozpościerał się z nich widok zapierający dech w piersiach - a zatem luksus wizyty w kawiarni wiązał się równocześnie z możliwością obserwowania wspaniałego, choć groźnego żywiołu. Niewątpliwie to swoiste połączenie trafiało w gusta milionów ludzi i obcych, którzy się tamtędy przewijali. Tak przynajmniej sądzili projektanci „Szemrzącego Wiru” i ci, którzy ich popierali. Niestety, inicjatorzy powstania kawiarni przeoczyli w swoich planach trzy kwestie: po pierwsze fakt, że takie miejsce już z założenia stanowi atrakcję turystyczną i jest zależne od koniunktury na tym rynku; po drugie, jeśli odwiedzającym opatry się już widok samego wiru, otwarte urwisko w środku kawiarni w zasadzie uniemożliwia przekształcenie tego miejsca w jakiś inny lokal rozrywkowy; a po trzecie, jeśli nawet doszłoby do przebudowy kawiarni, to łoskot fal wokół Kielicha i tak zagłuszyłby ewentualne występy. Mieszkańcy Kaliussaj Leeloo na planecie Berchest przekształcili swoją niewykorzystaną atrakcję turystyczną w centrum handlowe. Mieszkańcy Troganu po prostu porzucili „Szemrzący Wir”. - Ciągle czekam na to, że ktoś wreszcie kupi i przebuduje to miejsce - stwierdził Karrde, spoglądając na puste stoły i krzesła. Razem z Avesem lawirowali między stołami, zmierzając w stronę Kielicha i czekającej tam na nich osoby. Wygląd kawiarni świadczył o tym, że już od kilku lat nikt o nią nie dba, ale miejsce nie było jeszcze bardzo zrujnowane.

- Ja też lubiłem tu przychodzić - wyznał Aves. - Trochę tu było głośno, ale obecnie niemal wszędzie jest głośno.

- No, to przynajmniej utrudniało podsłuchiwanie toczącej się przy sąsiednim stoliku rozmowy - zauważył Karrde. -1 już chociażby z tego powodu była to dobra kawiarnia. Witaj, Gillespi.

- Czołem, Karrde. - Gillespi powitał kolegę skinieniem głowy, po czym wstał od stolika i podał mu rękę. - Już zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle się zjawisz.

- Przecież zebranie ma się rozpocząć dopiero za dwie godziny - przypomniał mu Aves.

- Daj spokój - rzucił Gillespi, uśmiechając się chytrze. - Od kiedy to Talon Karrde przybywa na umówione spotkanie w ostatniej chwili? Choć mogliście sobie oszczędzić kłopotu: moi ludzie już wszystko tu sprawdzili.

- Miło mi to słyszeć - odparł Karrde. To jednak wcale nie oznaczało, żeby zamierzał zwolnić swoich ludzi z wykonania tej samej roboty. W sytuacji, kiedy ścigało go Imperium i niecałe dwadzieścia kilometrów stąd mieścił się imperialny garnizon, więcej czujności nie zaszkodzi. - Masz listę gości?

- Tak, proszę. - Gillespi wręczył koledze elektroniczny notes. - Niestety, nie jest tak długa, jak się spodziewałem.

- Nic nie szkodzi - zapewnił go Karrde, przebiegając wzrokiem nazwiska zaproszonych. Rzeczywiście, nie było ich wiele, ale za to znalazły się wśród nich największe osobistości świata przemysłowego. Brask, Par'tah, Ellor, Dravis - to grupa Billeya; sam Billey ostatnimi czasy się nie pokazywał. Dalej Mazzic, Clyngunn ZeHetbra, Ferrier... Karrde spojrzał ostro na Gillespiego. - Ferrier? - rzucił pytająco. - Niles Ferrier, ten złodziej statków kosmicznych?

- Tak, ten sam. On też zajmuje się przemysłem.

- Ale jednocześnie pracuje dla Imperium.

- Podobnie jak my wszyscy - wzruszył ramionami Gillespi. - A z te go, co ostatnio słyszałem, ty również.

- Nie mówię o przemyśle towarów na planety kontrolowane przez Imperium. Mam na myśli bezpośrednią współpracę z wielkim admirałem Thrawn'em, jak na przykład sprowadzenie na jego rozkaz człowieka, który wskazał mu miejsce postoju Floty Katańskiej. Twarz Gillespiego nieco spochmurniała. Może przypomniał sobie swoją szaloną ucieczkę z Ukio tuż przed atakiem, do którego Imperium użyło właśnie pancerników z Floty Katańskiej.

- To sprawka Ferriera?

- Tak, i zdaje się, że zrobił to z wielką satysfakcją- rzekł Karrde, po czym włączył komunikator. - Lachton?

- Na posterunku - natychmiast rozległ się z nadajnika głos Lachtona.

- Jak przedstawiają się sprawy w garnizonie?

- Zupełnie jakby mieli w tej kostnicy wolny dzień - zażartował informator. - Od co najmniej trzech godzin nikt stamtąd nie wyjeżdżał ani nikt nie wjeżdżał.

- Coś takiego! Ciekawe... - skomentował Karrde, unosząc brwi w wyrazie zdziwienia. - A ruch powietrzny? Może coś się działo w samym garnizonie?

- Żadnych lotów ani najmniejszego poruszenia na terenie obozu - zapewnił Lachton.

- Karrde, ja nie żartuję. To miejsce wygląda jak wymarłe. Musieli im przywieźć jakieś nowe hologramy dydaktyczne czy coś w tym stylu.

- Tak, na pewno o to chodzi - stwierdził szef przemytników, uśmiechając się nieznacznie. - No dobra, nie spuszczaaj oka z garnizonu. Gdy by tylko coś się zaczęło dziać, natychmiast mnie zawiadom.

- Zrozumiałem. Przerywam połączenie. Karrde wyłączył komunikator i z powrotem przypiął go do pasa.

- Żołnierze Imperium twardo siedzą w swoich koszarach - poinformował towarzyszy.

- Wygląda na to, że nawet nie wyściubiają stamtąd nosów.

- Przecież chyba o to właśnie nam chodzi - zauważył Gillespi. - Nie mogą nam przeszkodzić w spotkaniu, jeśli tkwią w swoich barakach.

- To prawda - skinął głową Karrde. - Ale z drugiej strony, nigdy nie słyszałem, by imperialny garnizon po prostu miał dzień wolny.

- Racja - przyznał Gillespi. - Chyba, że na skutek wielkiej kampanii Thrawna te wszystkie trzeciorzędne garnizony mają za mało ludzi.

- Tym bardziej powinni codziennie patrolować okolicę, by zamanifestować swoją siłę. Ktoś taki jak Thrawn na pewno starałby się o to, by faktyczne braki nadrobić mydleniem oczu przeciwnikowi.

- Może powinniśmy odwołać to spotkanie - podsunął Aves, zerkając niespokojnie w stronę wejścia. - Może coś tu na nas szykują. Karrde spojrzał sponad ramienia Gillespiego na podmywającą ściany Kielicha spienioną wodę. Za niespełna dwie godziny woda się uspokoi i opadnie do najniższego poziomu - dlatego właśnie na tę porę wyznaczył zebranie. Jeśli teraz wszystko odwoła i przyzna się przed grubymi rybami ze światka przemytniczego, że z powodu Imperium Talon Karrde boi się nawet cieni...

- Nie - wycedził przez zęby. - Zostajemy. W końcu gdyby do czegoś doszło, nasi goście też nie będą siedzieć z założonymi rękami. A po za tym, w razie jakichś oficjalnych posunięć Imperium powinniśmy zostać natychmiast ostrzeżeni. - Uśmiechnął się skąpo. - W zasadzie to nawet warto podjąć pewne ryzyko, by się przekonać, co oni knują.

- Może w ogóle nic nie knują- wzruszył ramionami Gillespi. - Może udało nam się tak skutecznie wyprowadzić w pole wywiad imperialny, że nawet się nie dowiedzieli o naszym spotkaniu.

- To trochę niepodobne do naszego kochanego wywiadu imperialne go -zauważył Karrde, rozglądając się dokoła. -No, do spotkania zostały nam jeszcze dwie godziny. Zobaczmy, co da się tutaj zrobić, dobra? Wysłuchali jego przemówienia w milczeniu, siedząc przy stołach pojedynczo lub w małych grupkach... Skończywszy, Karrde

rozejrzał się dokoła. Zrozumiał, że ich nie przekonał. Brask podsumował wprost jego wystąpienie:

- Mówisz dobrze, Karrde - stwierdził, mlaskając cienkim językiem. - Nawet z przejęciem, jeśli to słowo w ogóle do ciebie pasuje. Ale nieprzekonująco.

- Czyżby, Brask? - odparował szef przemysłowców. - Naprawdę cię nie przekonałem, czy też może jedynie nie zdołałem pokonać twoich oporów co do wystąpienia przeciwko Imperium? Brask nie chciał dać po sobie poznać, że to stwierdzenie wywarło na nim jakieś wrażenie, ale jego dziobata, szarozielona twarz - jedyna widoczna spod pancerza część ciała - stała się jeszcze bardziej szara.

- Imperium dobrze płaci za przemycane towary - oznajmił.

- Czy za niewolników również? - spytała ostro Par'Tah w śpiewnym języku Ho'Din. Gdy wykrzywiła usta w charakterystycznym dla ludu Ho'Din wyrazie pogardy, jej głowa z wężowatymi wypustkami zakołysała się lekko. - A za ofiary porwania? Jesteś taki sam jak Jabba Hutt. Jeden z ochroniarzy Braska poruszył się niespokojnie na krześle. Karrde wiedział, że ten człowiek razem z Braskiem uciekł od przymusowej służby u Jabby Hutta, kiedy Lukę Skywalker i jego sprzymierzeńcy rozprawili się z głową tej organizacji.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś znała Hutta - burknął ochroniarz, nerwowo stukając palcem w stół.

- Nie przybyliśmy tutaj, żeby się kłócić - wtrącił pospiesznie Karrde, nim Par'Tah i jej towarzysze zdążyli zabrać głos.

- A właściwie po co tu przybyliśmy? - odezwał się Mazzic. Wygodnie rozparty, siedział między Gotalem o głowie zakończonej rogami a elegancką, ale pozbawioną wyrazu kobietą z włosami zaplecionymi w misterne warkoczyki owinięte wokół sześciu wielkich, lakierowanych igieł. - Wy bacz, Karrde, ale to brzmi jak mowa agitacyjna w stylu Nowej Republiki.

- Właśnie, i Han Solo także mówił coś podobnego - dodał Dravis, kładąc nogi na stół. - Billey już powiedział, że nie jest zainteresowany transportowaniem towarów Nowej Republiki.

- To zbyt niebezpieczne - stwierdził Clyngunn, potrząsając swoją długą brodą w czarno-białe pasy. - Bardzo niebezpieczne.

- Tak? - rzucił Karrde z udawanym zdziwieniem. - A dlaczego niby miałyby to być niebezpieczne?

- Chyba sobie stroisz żarty - warknął ZeHetbra, ponownie potrząsając brodą. - Imperium atakuje obecnie statki Nowej Republiki z taką zaciekłością, że, startując, za każdym razem narażasz się na to, iż wpadniesz w jego szpony.

- A zatem twierdzicie, że potęga Imperium staje się coraz większym zagrożeniem dla naszych interesów?

- O nie - odezwał się Brask, machając palcem tuż przed nosem Karrde'a. - Nie przekonasz nas do swojego projektu, obracając nasze słowa przeciwko nam.

- Ależ Brask, przecież ja nie przedstawiłem tu żadnego projektu - zaprotestował Karrde. - Zaproponowałem jedynie, byśmy przekazali Nowej Republice wszelkie pożyteczne informacje, na jakie natkniemy się w trakcie naszej normalnej pracy.

- I nie sądzisz, że Imperium uzna, iż takie działania sanie do przyjęcia? - spytał Brask.

- A od kiedy to liczymy się ze zdaniem Imperium? - odparowała Par'Tah.

- Od czasu, kiedy dowództwo objął wielki admirał Thrawn - odciął się natychmiast Brask. - Słyszałem różne opowieści o tym strategu, Par'Tah. To on sprawił, że moja planeta znalazła się pod jarzmem Imperium.

- W takim razie masz wystarczające powody po temu, by mu się przeciwstawić - zauważył Gillespi. - Jeśli teraz się obawiasz tego, co może ci zrobić Thrawn, to pomyśl tylko, co się stanie, gdy cała galaktyka znów znajdzie się pod panowaniem Imperium.

- Jeśli nie będziemy występować przeciwko niemu, to nic nam się nie stanie - upierał się Brask. - Za bardzo zależy mu na naszych usługach.

- Ciekawa teoria - odezwał się za ich plecami jakiś nowy głos. - Ale od razu mogę ci powiedzieć, że nie warta nawet funta kłaków. Karrde skierował wzrok na mówiącego. Był nim wysoki, dobrze zbudowany, brodaty mężczyzna o ciemnych włosach. W zębach trzymał niezapalone cygaro.
- A ty jesteś...? - rzucił pytająco, choć właściwie był pewien, że zna odpowiedź.
- Niles Ferrier - odparł mężczyzna. - I z miejsca mogę was zapewnić, że pilnowanie jedynie własnego nosa na nic sienie zda. Jeżeli Thrawn zechce skorzystać z waszych usług, to i tak będziecie musieli uczynić zadość jego żądaniom.
- Ale on przynajmniej dobrze płaci - wtrącił Mazzic, delikatnie głaszcząc rękę swej towarzyszki. - Tak przynajmniej słyszałem.
- Tak słyszałeś? - warknął Ferrier. - A czy słyszałeś także, że po rwał mnie z Nowej Kowii i skonfiskował mój statek? A potem wyprawił mnie z paskudną misją na zaminowanym statku wywiadu imperialnego? Aha, i spróbuj zgadnąć, jaka kara mi groziła za ewentualne niewypełnienie jego poleceń. Karrde w milczeniu rozejrzał się dokoła, wsłuchując się w delikatny szum wody w Kielichu. Solo zupełnie inaczej przedstawił udział Ferriera w tej akcji; a szef przemytników bardziej ufał relacji Hana niż tego złodzieja statków. Chociaż, oczywiście, istniała możliwość, że Solo opacznie zinterpretował tamte zdarzenia. A poza tym, jeśli historyjka Ferriera miała mu pomóc w przekonaniu pozostałych przemytników, że należy się przeciwstawić Imperium...
- Czy zapłacono ci za twoje usługi? - chciał wiedzieć Mazzic.
- Oczywiście, że tak - prychnął Ferrier. - Ale nie o to chodzi.
- A mnie właśnie o to chodzi - stwierdził Mazzic, ponownie zwracając się do Karrde'a. - Przykro mi, Karrde, ale jeszcze nie usłyszałem sensownego argumentu, który by mnie przekonał, że powinienem nad stawiać karku.
- A co z nowymi klonami Imperium? - przypomniał mu szef przemytników. - Czy to cię nie martwi?
- Nie jestem zbyt szczęśliwy z tego powodu, to prawda - przyznał Mazzic. - Ale wydaje mi się, że to problem Nowej Republiki, a nie nasz.
- A kiedy się to stanie także naszym problemem? - odezwała się Par'Tah. - Kiedy Imperium zastąpi wszystkich przemytników swoimi klonami?
- Nikt nas nie zastąpi żadnymi klonami - rzekł Dravis. - Wiesz, Karrde, Brask ma rację. Imperium za bardzo zależy na naszych usługach, by miało nas niepokoić... O ile, oczywiście, nie opowiemy się po żadnej ze stron.
- Właśnie - zawtórował mu Mazzic. - Jesteśmy ludźmi interesu i na tym koniec; i chciałbym, żeby tak zostało. Jeśli Nowa Republika będzie w stanie zapłacić za informacje więcej niż Imperium, to chętnie jej je sprzedam. A jeśli nie... - wzruszył ramionami. Karrde pokiwał głową, godząc się już w duchu z porażką. Później spróbuje porozmawiać z Par'Tah i może jeszcze z którymś z pozostałych przemytników. Myślał o Ellorze - Duryjczyk jak dotąd nie brał udziału w rozmowie, co w systemie porozumiewania się jego rasy często oznaczało zgodę. Ale reszta zebranych nie była przekonana, a naciskanie na nich w tym momencie mogłoby ich jedynie zirytować. Może później zdadzą sobie sprawę z realnej groźby, jaką niesie ze sobą ekspansja Imperium.
- No dobrze - powiedział. - Myślę, że teraz stało się już jasne, jakie jest wasze zdanie w tej kwestii. Dziękuję, że zechcieliście mi poświęcić swój czas. Może spotkamy się jeszcze raz, kiedy... Nagle, zupełnie niespodziewanie, cały tył Kielicha wyleciał w powietrze.
- Nie ruszać się! - zawołał ktoś przez tubę. - Padnijcie twarzą do ziemi i niech nikt się nie rusza! Wszyscy jesteście aresztowani przez Imperium. Karrde popatrzył ponad głowami swego nagle zamartego w bezruchu audytorium w kierunku tylnej części budynku. Poprzez unoszący się dym i kurz dostrzegł około trzydziestu żołnierzy imperialnych, którzy w dwóch szeregach przedzierali się przez resztki dopiero, co zburzonej tylnej ściany kawiarni. Oba skrzydła osłaniało po dwóch szturmowców w

białych pancerzach. Za nimi, ledwie widoczne w zamglonym powietrzu, zawisły w pozycji bojowej dwa rydwany dowodzenia.

- A więc jednak zjawili się na spotkanie - szepnął.

- I to z całym orszakiem - dodał zdławionym głosem siedzący tuż obok Gillespi. - Chyba miałeś rację w kwestii tego Ferriera.

- Możliwe. - Karrde zerknął na domniemanego winowajcę, pod świadomie spodziewając się, że zobaczy na jego twarzy triumfalny uśmiech. Ale mężczyzna nie patrzył w jego stronę. Jego wzrok był zwrócony nieco w bok, nie na zbliżających się żołnierzy, ale na pozostałą z prawej strony część muru. Karrde podążył za jego spojrzeniem... Zobaczył, że od ściany odrywa się jakiś czarny cień i stara się dyskretnie zająć od tyłu strzegących skrzydła formacji szturmowców.

- A może wcale nie - zwrócił się do Gillespiego, wskazując głową cień. - Spójrz... Tuż ponad ramieniem Ellora. Gillespi odetchnął gwałtownie.

- A cóż to jest, u licha?

- Myślę, że Defel, nieodłączny towarzysz Ferriera. Solo mi o nim opowiadał. To na pewno on - stwierdził szef przemytników. - Niektórzy nazywają podobne do niego istoty upiorami. Wszyscy gotowi?

- Tak - rzekł Gillespi, a pozostali zawtórowali mu cichymi mruknięciami. Karrde powiódł wzrokiem po zebranych przemytnikach i ich współpracownikach, starając się uchwycić spojrzenia każdego z nich, choć na ułamek sekundy. Zauważył, że zaskoczenie przemytników szybko przeradza się w złość... i że w nich także budzi się wola walki. Upiór dotarł właśnie do szeregu zbliżających się żołnierzy imperialnych i nagle jeden ze szturmowców zwałił się z nóg, padając na swego towarzysza. Idący najbliżej żołnierze natychmiast zwrócili w tym kierunku swój e karabiny, wypatrując niewidocznego przeciwnika.

- Teraz - rzucił cicho Karrde. Kątem oka dostrzegł, że znad krawędzi Kielicha wyłoniły się długie lufy dwóch dział blasterowych BlasTech A 280. Za chwilę posypał się z nich grad ognia. Pierwsza salwa złamała środek szyku imperialnego, kładąc pokotem kilku żołnierzy, podczas gdy reszta rozpaczliwie szukała jakiejś osłony wśród pustych stołów i krzeseł. Karrde zrobił krok naprzód, przewrócił na bok najbliższy stół i przyklęknął za nim. Był to właściwie zbyteczny środek bezpieczeństwa. Żołnierze imperialni zwrócili na chwilę uwagę w stronę przeciwną niż ta, w której znajdowali się ich niedoszli więźniowie... Nim Karrde zdążył wyciągnąć broń, cała kawiarnia rozjarzyła się ogniem blasterów. Brask i jego ochroniarze w ciągu zaledwie pięciu sekund rozprawili się z jedną drużyną, rażąc żołnierzy zmasowanym ogniem. Niewątpliwie świadczyło to o tym, iż Brask nie zapomniał, że sam był kiedyś najemnikiem. Grupa Par'Tah skoncentrowała się na drugim końcu imperialnego szeregu; jej członkowie mieli broń mniejszą i nie tak groźną jak posługujący się ciężkimi karabinami blasterowymi ludzie Braska, ale i taka w zupełności wystarczyła, by sparaliżować wroga. Dravis, Ellor i Clyngunn, korzystając z zasłony ogniowej, rozprawili się po kolei z pozostałymi żołnierzami. A Mazzic, nie zważając na grożące mu ze strony imperialnych żołnierzy niebezpieczeństwo, zajął się unoszącymi się ponad krawędzią Kielicha rydwanami dowódców. Karrde uznał, że to doskonały pomysł.

- Aves! Fein! - zawołał, starając się przekrzyczeć huk strzelaniny. - Skupić ogień na rydwanach! Ze skały za jego plecami doszły go krzyki potwierdzające odbiór rozkazu i działa blasterowe z krawędzi Kielicha obrały nowy cel. Wysunąwszy nieco głowę ze swojej kryjówki, szef przemytników dostrzegł kątem oka towarzyszkę Mazzica... Jej włosy, uprzednio zaplecione w warkoczyki, opadały teraz bezładnie na ramiona, a bezbarwna przedtem twarz była obecnie pełna napięcia. Z niezwykłą dokładnością kobieta rzucała właśnie w jednego z żołnierzy imperialnych ostatnią ze swych ogromnych, lakierowanych igieł. Któryś z towarzyszy zabitego wychylił się z ukrycia i wycelował w kobietę broń, ale za chwilę runął martwy, gdy jego pierś przeszła seria z blastera Karrde'a. Nagle w stół, za którym przycupnął szef przemytników, trafiły dwa strzały, zmuszając mężczyznę, by przyłgął do ziemi. Karrde usłyszał dochodzący

spoza Kielicha potężny odgłos eksplozji, a zaraz po nim kolejny... Za chwilę było już po wszystkim. Mężczyzna ostrożnie wychylił się zza swojej osłony. Pozostali zrobili to samo, trzymając broń w pogotowiu i rozglądając się uważnie po otaczającym ich pobojowisku. Clyngunn zwiesił rękę w nienaturalnej pozycji; drugą usiłował wyciągnąć zza pasa bandaż. Tunika Braska była w kilku miejscach przepalona, a widniejący pod nią pancerz osmalony i popękany.

- Wszyscy cali i zdrowi?! - zawołał Karrde. Mazzic wyprostował się sztywno i nawet z tej odległości było widać, że gorączkowo zaciska rękę na blasterze.

- Trafili Liszmę - oznajmił grobowym tonem. - On nawet nie strzelał. Karrde przeniósł wzrok na leżące u stóp Mazzica, przywalone szczątkami stołu, nieruchome ciało Gotala.

- Bardzo mi przykro - powiedział szczerze. Zawsze czuł sympatię do ludu Gotalów.

- Mnie również - stwierdził Mazzic. Schował blaster do kabury i skierował na szefa przemytników rozpalony wzrok. - Ale Imperium będzie żałować jeszcze bardziej. No dobra, Karrde: miałaś rację. Gdzie mogę rozpocząć swoją działalność?

- Podejrzewam, że gdzieś daleko stąd - odparł Karrde, wyciągając komunikator. Spojrzał na płonące rydwany: nie dostrzegł tam żadnego poruszenia, ale niechybnie była to tylko kwestia czasu. - Na pewno we zwali posiłki. Lachton, Torve, jesteście tam?

- Na posterunku - natychmiast rozległ się z głośnika głos Torve'a. - Co to była za awantura?

145 10 - Ostatni rozkaz

- Imperium doszło do wniosku, że chce jednak wziąć udział w zabawie - rzekł ponuro szef przemytników. - Przysłało tutaj dwa rydwany. Widać jakieś poruszenie w waszym rejonie?

- U mnie nie - zakomunikował Torve. - Nie wiem, skąd przyszli, ale na pewno nie od strony portu kosmicznego.

- U mnie też nie - włączył się do rozmowy Lachton. - W garnizonie w dalszym ciągu jest cicho jak w grobie.

- Miejmy nadzieję, że to się nie zmieni przez kilka najbliższych minut. Zawiadomcie pozostałych. Wracamy na statek. Karrde wyłączył komunikator i rozejrzał się dokoła. Gillespi właśnie pomagał Avesowi i Feinowi zejść z krawędzi Kielicha; za nimi widać było płataninę lin, dzięki którym utrzymywali się tuż poniżej krawędzi skały.

- Dobra robota, chłopaki-pochwalił podwładnych Karrde. -Dziękuję.

- Cała przyjemność po naszej stronie -mruknął Aves. Wyplątał się z upręży i odebrał od Gillespiego swój blaster. Mimo iż woda opadła akurat do najniższego poziomu, fale sprawiły, że obaj mężczyźni byli przemoczeni aż do kolan. - Chyba powinniśmy się stąd zbierać, co?

- Tak, i to jak najprędzej - potwierdził szef przemytników i zwracając się do reszty zebranych, dodał:

- No, panowie, do zobaczenia w przestrzeni kosmicznej. W pobliżu „Szalonego Karrde'a" nie czekała na nich żadna zasadzka; nikt nie rzucił się za nimi w pościg; na orbicie nie czaił się żaden imperialny niszczyciel gwiazdny. Mogłoby się wydawać, że incydent w „Szemrzącym Wirze" był jedynie zbiorową halucynacją. Oczywiście, jeśli by się pominęło niemal całkowite zniszczenie kawiarni, spalone rydwany i bardzo namacalne oparzenia. A także śmierć Gotala.

- To jakie mamy plany? - spytał Dravis. - Chcesz, żebyśmy ci po mogli dowiedzieć się, skąd pochodzą te klony, tak?

- Tak - potwierdził Karrde. - Wiemy, że linia przerzutu biegnie przez Poderis, a zatem powinniśmy najpierw sprawdzić sektor Orus.

- Kiedyś biegła przez Poderis - sprostował Clyngunn. - Thrawn mógł już zmienić szlak.

- Ale zapewne pozostawił jakieś ślady, które mogą nas doprowadzić do źródła - odparł Karrde. - To co, umowa stoi?

- Moja grupa jest z tobą- wtrącił pospiesznie Ferrier. - I jeśli chcesz, Karrde, to mogę się postarać o jakieś dobre statki dla twoich ludzi.

- Kto wie, może skorzystam z twojej propozycji. Co z tobą, Par'Tah?

- Pomożemy ci w poszukiwaniach - oznajmiła gniewnie Par'Tah. Karrde nigdy jeszcze nie widział jej tak wzburzonej. Śmierć Gotala dotknęła ją niemal tak mocno jak Mazzica. - Imperium musi dostać nauczkę.

- Dziękuję. A ty, Mazzic?

- Zgadzam się z Par'Tah - rzekł chłodno mężczyzna. - Ale uważam, że ta nauuczka powinna być nieco bardziej spektakularna. Wy zajmijcie się tropieniem klonów; my z Ellorem planujemy coś innego. Karrde zerknął na Avesa, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

- Jeśli chce oberwać po łapach, to chyba nie mamy prawa go za trzymywać - mruknął.

- No dobra - rzucił Karrde do nadajnika, także wzruszając ramionami. - Powodzenia. Tylko nie porywajcie się z motyką na słońce.

- Nie martw się - odparł Mazzic. - No, zabieramy się stąd. Do zobaczenia później. Widoczne w rogu prawego iluminatora dwa statki drgnęły w pseu-doruchu i zniknęły w nadprzestrzeni.

- No, Brask, pozostajesz już tylko ty - zauważył Karrde. - Jaka jest twoja decyzja? Z głośnika rozległo się przeciągłe, głośne westchnienie -jeden z nieprzetłumaczalnych pomruków Brubbyjczyków.

- Nie mogę wystąpić przeciwko wielkiemu admirałowi Thrawn'owi - powiedział wreszcie Brask. - Przekazując informacje Nowej Re publice, ściągnąłbym na siebie jego gniew i nienawiść. - Ponownie dało się słyszeć głębokie westchnienie. - Ale nie będę wam przeszkadzał w waszych poczynaniach ani też nie wydam was Imperium.

- Uczciwie postawiłeś sprawę - stwierdził Karrde, kiwając głową. Mówiąc prawdę, nawet tego się po Brasku nie spodziewał: w końcu Brubbyjczycy panicznie bali się Imperium. - No dobrze. W takim razie spróbujemy się jakoś zorganizować. Może spotkajmy się nad Chazwą, powiedzmy, zapieć dni. Życzę wszystkim powodzenia. Przemysłowcy potwierdzili odbiór i rozłączyli się, po czym kolejno wykonali skoki w nadprzestrzeń.

- To chyba koniec z naszą neutralnością - zauważył Aves z ciężkim westchnieniem, sprawdzając komputer nawigacyjny. -Mara dosta nie szału, kiedy się o tym dowie. A tak w ogóle, to, kiedy ona wraca?

- Gdy tylko znajdę sposób, by ją tu ściągnąć - odparł Karrde, czując nagle wyrzuty sumienia. Od czasu, gdy dostał wiadomość, że Mara i Ghent są gotowi, by do nich dołączyć, minęło już kilka dni. A nim ta informacja do niego dotarła, też na pewno upłynęło trochę czasu. Mara pewnie wściekała się już z niecierpliwości. - Po tym, jak Imperium podniosło stawki za nasze głowy, w okolicach Coruscant zapewne czeka na nas ze dwudziestu łowców nagród. Aves poruszył się niespokojnie.

- Myślisz, że właśnie o to tutaj chodziło? Że jakiś łowca nagród dowiedział się o naszym spotkaniu i dał znać Imperium? Szef przemysłowców zapatrzył się na gwiazdy.

- Mówiąc prawdę, zupełnie nie wiem, co o tym myśleć - wyznał. - Łowcy nagród zazwyczaj nie powiadamiają władz, zanim dobiją targu. Z drugiej strony, kiedy Imperium decyduje się na przeprowadzenie akcji, robi to bardziej umiejętnie.

- Chyba, że po prostu ludzie Imperium trafili tu za Gillespim i nie wiedzieli, że my też tu jesteśmy - podsunął Aves bez przekonania. - Dlatego uznali, że wystarczą im trzy drużyny żołnierzy i dwa rydwany.

- Taka ewentualność oczywiście istnieje - przyznał Karrde. - Chociaż trudno uwierzyć, by ich wywiad mógł przeoczyć coś takiego. Po prośbę naszych ludzi na Troganie, by się spróbowali czegoś po cichu dowiedzieć. Może zdołają ustalić, skąd przybyła ta jednostka i kto poinformował Imperium o naszym spotkaniu. A tymczasem

musimy zaplanować poszukiwania klonów. Bierzmy się do roboty. Pellaeon zauważył, że kiedy szturmowcy prowadzili Nilesa Ferriera na mostek, złodziej statków uśmiechał się pod nosem; był to filuterny pełen samozadowolenia, uśmiech świadczący o tym, że Ferrier nie ma zielonego pojęcia, dlaczego w ogóle ściągnięto go na „Chimerę”.

- Już jest, panie admirale - szepnął kapitan.

- Wiem - odparł spokojnie Thrawn, wciąż stojąc plecami do złodzieja statków. Spokojnie, aczkolwiek w jego gorejących, czerwonych oczach płonął gniew. Pellaeon skrzywił się w duchu na myśl o tym, co miało nastąpić. To nie będzie miła rozmowa. Szturmowcy z Ferrierem doszli do fotela dowodzenia, na którym siedział Thrawn, i zatrzymali się.

- Panie admirale, Niles Ferrier - oznajmił dowódca szturmowców. - Zgodnie z pańskim rozkazem. Przez dłuższą chwilę admirał siedział nieruchomo i Pellaeon zauważył, że uśmiech na twarzy złodzieja statków nieco przygasł.

- Dwa dni temu byłeś na Troganie - przemówił wreszcie Thrawn, nadal siedząc tyłem do Ferriera. - Spotkałeś się tam z dwoma ludźmi poszukiwanymi obecnie przez Imperium: z Talonem Karrde'em i Samuelem Tomasem Gillespim. Nakłoniłeś także małą i nie przygotowaną grupę operacyjną pod dowództwem niejakiego porucznika Reynola Koska, by przeprowadziła brawurowy atak na zgromadzonych przemytników; atak, który się nie powiódł. Czy to wszystko prawda?

- Tak, oczywiście - skinął głową Ferrier. - Dlatego właśnie nadałem tę wiadomość, żeby pan wiedział...

- W takim razie chciałbym usłyszeć - przerwał mu Thrawn, od wracając się na krzesło - co masz na swoją obronę? Bo jeśli nic, to nie widzę powodu, by cię natychmiast nie skazać na śmierć.

- Co takiego? - złodziej statków rozdziawił usta ze zdziwienia. - Ale... przecież wkradłem się łaski Karrde'a. Teraz on mi ufa... Rozumie pan? O to mi właśnie chodziło. Mogę wyśledzić resztę jego bandy i wszystkich ich panu dostarczyć... - urwał i z trudem przełknął ślinę.

- Jest pan osobiście odpowiedzialny za śmierć czterech szturmowców i trzydziestu dwóch żołnierzy imperialnych - ciągnął Thrawn. - A także za unicestwienie dwóch rydwanów i ich załóg. Ferrier, ja nie jestem taki sam jak Vader i nie posyłam moich ludzi na śmierć lekką ręką. A jeśli już zginą, to nigdy nie puszczam tego płazem. Twarz winowajcy wyraźnie pobladła.

- Proszę pana... Admirale... Wiem, że wyznaczył pan nagrodę za całą grupę Karrde'a w wysokości prawie...

- Ale wszystko to jest niczym w porównaniu z totalną katastrofą, jaką spowodowałeś - ponownie wpadł mu w słowo Thrawn. - Nasz wywiad poinformował mnie o spotkaniu szefów grup przemytniczych już cztery dni temu. Wiedziałem, gdzie i kiedy ono się odbędzie, znałem też listę spodziewanych gości. I już wcześniej wydałem garnizonowi na Troganie wyraźny rozkaz - wyraźny rozkaz, Ferrier - żeby ich zostawiono w spokoju. Pellaeon zauważył, iż twarz Ferriera zrobiła się tak blada, jakby odplynęła z niej ostatnia kropla krwi.

- Pan...? Ale... panie admirale... ale... ja nie rozumiem.

- Nie wątpię - stwierdził Thrawn grobowym tonem. Skinął ręką i stojący przy jego krześle Rukh zrobił krok naprzód. - Chociaż sprawa jest całkiem prosta. Znam tych przemytników, Ferrier. Uważnie przyglądałem się ich poczynaniom i specjalnie postarałem się o to, by w ciągu ostatniego roku choć raz spotkać się z każdym z nich osobiście. Żaden nie chce mieć nic wspólnego z tą wojną i jestem przekonany, że gdyby nie ten zaaranżowany przez ciebie atak, opuściliby Trogan w przekonaniu, iż nie angażując się po żadnej ze stron, mogą sprawę po prostu przeczekać. - Ponownie skinął na Rukha, w którego rękę nagle błysnął nóż. - Twoje działania sprawiły, że zjednoczyli się przeciwko Imperium - ciągnął cicho admirał - niwecząc tym samym moje wysiłki, by temu właśnie zapobiec. - Utkwił w Ferrierze swe gorejące oczy. - A ja nie lubię, gdy moje starania idą na marne. Wzrok złodzieja statków wędrował nerwowo od

Thrawn do błyszczącego ostrza w ręce Rukha, a jego biała jak płótno twarz przybrała teraz szary odcień.

- Bardzo mi przykro, panie admirale - zdołał wydusić. - Ja nie chciałem... to znaczy... proszę mi dać jeszcze jedną szansę, dobrze? Już ostatni raz. Dostarczę panu Karrde'a... Przysięgam. Co ja mówię... Do diabła z Karrde'em. Sprowadzę panu ich wszystkich. Zabrakło mu słów i stał teraz bezradnie, wyraźnie załamany. Thrawn przetrzymał go jeszcze przez kilka sekund.

- Jesteś nędznym głupcem, Ferrier - odezwał się w końcu. - Ale nawet głupcy czasem na coś się przydają. Dam ci jeszcze jedną szansę. Ale to będzie twoja ostatnia szansa. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

- Tak, panie admirale, rozumiem doskonale - odparł mężczyzna, nerwowo kiwając głową.

- To dobrze. - Thrawn dał znak i nóż zniknął z ręki Rukha. - Na początek powiedz mi dokładnie, jakie mają plany.

- Oczywiście. - Ferrier odetchnął głęboko. - Karrde, Par'Tah i Clyngunn mają się spotkać... od dzisiaj to chyba będzie za trzy dni... nad Chazwą. Aha, wiedzą, że szlak przerzutu pańskich nowych klonów biegnie przez sektor Orus.

- Czyżby? - rzekł spokojnie Thrawn. - I zamierzają temu przeszkodzić?

- Nie, chcą się jedynie dowiedzieć, skąd te klony pochodzą. Wtedy poinformują o tym Nową Republikę. Brask się, co prawda, do nich nie przyłączył, ale zapowiedział, że nie będzie ich powstrzymywał. Dravis chce się najpierw porozumieć z Billeyem i dopiero wtedy da im odpowiedź. A Mazzic i Ellor planują coś specjalnego, ale nie powiedzieli co. Zbrakło mu słów czy tchu i urwał.

- No dobrze - stwierdził wielki admirał po chwili milczenia. - A więc zrobimy tak: ty i twoi ludzie spotkacie się z Karrde'em i całą resztą nad Chazwą, tak jak było planowane. Zawieszysz Karrde'owi prezent: statek bojowy, który ukradłeś ze stacji patrolowej na Hiszim.

- Z wmontowanym układem podporządkowania, prawda? - Ferrier skwapliwie pokiwał głową. - Tak, ja też o tym myślałem: dać im parę lewych statków, żeby...

- Karrde naturalnie dokładnie obejrzy ten podarunek - przerwał mu Thrawn, którego cierpliwość była wystawiona na ciężką próbę - i dla tego statek ma być w idealnym stanie. Dasz go tylko po to, by Karrde nabrał do ciebie zaufania. Jeśli to w ogóle jeszcze jest możliwe... Złodziej statków skrzywił się nieznacznie.

- Tak jest, panie admirale. A potem?

- Będiesz mnie na bieżąco informował o poczynaniach Karrde'a - oznajmił Thrawn. - A ja od czasu do czasu będę ci przysyłał dalsze rozkazy, które ty wykonasz niezwłocznie i bez pytania. Rozumiemy się?

- Jasne. Proszę się nie martwić, admirale. Może pan na mnie liczyć.

- Mam taką nadzieję. - Thrawn spojrzał wymownie na Noghriego. - W przeciwnym razie będę musiał posłać do ciebie z wizytą Rukha, a bardzo nie chciałbym tego robić. Chyba wyraziłem się dostatecznie jasno, prawda? Złodziej statków także zerknął na szaroskórą istotę i nerwowo przełknął ślinę.

- Tak, proszę pana.

- To dobrze. - Admirał ponownie obrócił swój fotel tyłem do Ferriera. - Dowódco, proszę odprowadzić naszego gościa na statek i dopilnować, by on i jego ludzie odlecieli na statku bojowym, który dla nich przygotowałem.

- Tak jest, panie admirale - rzucił dowódca szturmowców. Tracił Ferriera łokciem i cała grupa ruszyła w kierunku wyjścia.

- Rukh, idź z nimi - polecił swojemu gorylowi Thrawn. - Ten złodziejaszek ma ciasny umysł i chcę, by wyjeżdżając stąd, myślał jedynie o tym, co go czeka, jeśli znów pokrzyżuje mi plany.

- Tak, mój panie - rzekł Noghri i bezszelestnie podążył za Ferrierem.

- Co pan o tym myśli, kapitanie? - zwrócił się Thrawn do Pełta-eona.

- Sytuacja nie przedstawia się zbyt różowo, admirale - stwierdził Pellaeon. - Ale mogło być gorzej. Jeśli dać wiarę Ferrierowi, to mamy potencjalną możliwość namierzenia grupy Karrde'a. A tymczasem Karrde i jego sprzymierzeńcy będą podążali fałszywym tropem, który przygotowaliśmy z myślą o Nowej Republice.

- A w końcu się tym znudzą i każdy znów pójdzie w swoją stronę - dodał Thrawn, mrużąc w zamyśleniu swe gorejące oczy. - Zwłaszcza, gdy zaczną odczuwać straty finansowe spowodowane odstępstwem od interesów z Imperium. Choć to oczywiście będzie wymagać czasu.

- Ale co jeszcze możemy zrobić? - spytał Pellaeon. - Skorzystać z propozycji Ferriera i podsunąć im lewe statki?

- Przyszło mi do głowy lepsze i bardziej satysfakcjonujące rozwiązanie, kapitanie - powiedział z uśmiechem wielki admirał. - Jestem pewien, że pozostali przemytnicy dojdą w końcu do wniosku, że ten atak na Troganie był wyjątkowo nieprzekonujący. Jeśli odpowiednio spreparujemy trochę dowodów, to może uda nam się ich przekonać, że to Karrde stał za tym wszystkim.

- Karrde? - zdziwił się Pellaeon.

- A dlaczegoż by nie? - rzucił Thrawn. - Całe to zdarzenie jawiłoby się wtedy jako podstępna i raczej toporna próba przekonania zebranych, że jego obawy co do zagrożeń płynących ze strony Imperium są uzasadnione. Karrde straciłby wtedy w ich oczach tyle, że przestaliby się z nim liczyć. Co więcej, jest bardzo możliwe, iż wyręczyliby nas w pojmaniu go.

- Niewątpliwie warto się nad tym głębiej zastanowić, panie admirale - stwierdził dyplomatycznie Pellaeon. Osobiście uważał jednak, że w trakcie trwania głównej ofensywy nie należało tracić czasu na wymyślanie sposobów, jak się zemścić na jakimś nędzniku z półświatka. Będą się tym mogli spokojnie zająć, gdy zetrą na proch Rebeliantów. - Niech mi będzie wolno przypomnieć, admirale, że miał pan podjąć decyzję, co do dalszych losów tej wstrzymanej kampanii niedaleko Ketaris. Thrawn uśmiechnął się pod nosem.

- Pańskie oddanie służbie jest godne podziwu, kapitanie. - Odwrócił głowę i wyjrzał przez boczny iluminator. - Czy są już jakieś wieści z Coruscant?

- Jeszcze nie, panie admirale - odparł Pellaeon. Dla pewności sprawdził jednak ostatnie zapisy w dzienniku pokładowym. - Ale jak pan za pewne pamięta, Himron mówił, że muszą najpierw zawinąć do kilku portów, by nie wzbudzać podejrzeń. Może nastąpiło jakieś opóźnienie.

- Możliwe. - Thrawn się odwrócił i kapitan dostrzegł w jego twarzy pewne napięcie. - Chociaż ich milczenie może być spowodowane zupełnie czym innym. No, ale nawet jeśli nie uda nam się zdobyć bliźniąt dla naszego kochanego mistrza Jedi, to podejrzenie rzucone na Marę Jadę przez majora Himrona powinno sprawić, że ta dziewczyna przesta nie być dla nas niebezpieczna. A to jest w tej chwili najważniejsze. - Poprawił się na krześle. - Niech pan obierze kurs na pole bitwy pod Ketaris, kapitanie. Wyruszymy tam, gdy tylko wyprawimy stąd Ferriera.

ROZDZIAŁ

Hanowi udało się wreszcie dogonić krępego mężczyznę, gdy ten skręcał w Wielki Korytarz. Wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał na to, że się spieszy, a do tego jest w złym humorze. To jednak Hana nie zrażało: sam również miał nie najlepszy nastrój.

- Pułkownik Bremen - zagadnął, doganiając mężczyznę. Właśnie mijali pierwsze ze smukłych, purpurowo-zielonych drzew ch'hala, które rosły po obu stronach Wielkiego Korytarza. - Chciałbym z panem za mienić kilka słów.

- Jeśli chodzi o Marę Jadę, Solo - rzucił pułkownik z irytacją - to nawet nie chcę o tym słyszeć.

- W dalszym ciągu obowiązuje ją areszt domowy - nie dawał za wygraną Han. - Chcę wiedzieć dlaczego.

- Tak? Cóż, pewnie ma to jakiś związek z imperialnym atakiem sprzed dwóch dni, nie sądzi pan? - stwierdził ironicznie wojskowy.

- Bardzo możliwe - przytaknął Solo, trącąc jedną z gałązek drzewa ch'halą, która zanadto wystawała z szeregu. W miejscu gdzie gałąź łączyła się z pniem, łagodną grę kolorów pod przezroczystą korą zmaci a eksplozja czerwieni; jaskrawa barwa faliście rozbiegła się po pniu, po czym czerwień stopniowo przybladła. - Mam wrażenie, że wszystko zależy od tego, na ile bierzemy sobie do serca rozsiewane przez Imperium plotki. Bremen zatrzymał się raptownie i skierował na Hana wzburzony wzrok.

- Solo, czego pan właściwie ode mnie chce? - rzucił ostro. Drzewo, które Han przed chwilą dotknął, ponownie eksplodowało czerwiecią, a siedzący w drugim końcu korytarza, pogrążeni w rozmowie dyplomaci podnieśli pytająco głowy. - Proszę się przez chwilę przyjrzeć faktom. Jadę wiedziała o ukrytych tylnych drzwiach i tajnych przejściach - sama to przyznała. Wkroczyła do akcji, nim podniesiono alarm -to również potwierdziła.

- Lando i generał Bel Iblis też tam byli - zauważył Han, czując jednocześnie, że lada chwila opuszczą go resztki kurtuazji, której z takim trudem nauczyła go Leia. - A ich nie kazał pan zamknąć.

- W ich przypadku sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, nie sądzi pan? - zareplikował Bremen. - Calrissian i Bel Iblis zdążyli się zasłużyć dla Nowej Republiki i mają ludzi, którzy zaświadczą o ich niewinności. Czego nie można powiedzieć o Jade.

- Oboje z Leią możemy za nią świadczyć - oznajmił pospiesznie Solo, starając się nie myśleć o tym, że Mara chciała zabić Luke'a. - Czy to nie wy starczy? A może jest pan na nią wściekły za to, że wykonała za was robotę? Han powiedział o jedno zdanie za dużo. Twarz Bremena zrobiła się tak purpurowa, jak chwilę wcześniej pień drzewa ch'halą. Pułkownik aż zeszywniał ze wzburzenia.

- To, że pomogła zastrzelić kilku rzekomych agentów Imperium, jeszcze o niczym nie świadczy - rzekł lodowatym tonem. - W sytuacji, gdy za wszystkie sznurki pociąga wielki admirał Thrawn, cała ta akcja mogła być jedynie przemyślną intrygą, mającą na celu przekonanie nas o tym, że Jadę jest po naszej stronie. Cóż, przykro mi, ale nie dam się tak łatwo zwieść. Dziewczyna zostanie poddana wnikliwej obserwacji: gruntownie przejrzymy jej dane oraz spróbujemy się dowiedzieć maksymalnie dużo o jej przeszłości i ewentualnych kontaktach. Ponadto odbędzie kilka sesji z oficerami śledczymi.

- Świetnie - prychnął Han. - Jeśli jeszcze nie jest po naszej stronie, to te zabiegi niewątpliwie ją do tego zachęcą.

- Nie robimy tego, by zyskać na popularności - powiedział Bremen, prężąc się dumnie. - Robimy to, by zapewnić bezpieczeństwo obywatelom Nowej Republiki, w tym także pańskim dzieciom. Przypuszczam, że radna Organa Solo będzie obecna na naradzie z Mon Mothmą i jeśli ma jakieś uwagi czy propozycje, to tam będzie je mogła przedstawić. Ale do tego czasu nie chcę słyszeć ani słowa na temat Jadę. Od nikogo, a zwłaszcza od pana. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno, kapitanie Solo? Han westchnął ciężko.

- Tak. Oczywiście.

- To dobrze. - Bremen odwrócił się i podążył w głąb korytarza. Solo patrzył za nim ponuro.

- Umiesz sobie radzić z ludźmi, co? - odezwał się tuż obok niego znajomy głos. Han obejrzał się, mile zdziwiony.

- Lukę! Kiedy wróciłeś?

- Jakieś dziesięć minut temu - odparł Skywalker i skinął głową w stronę wylotu korytarza. - Byłem w waszym apartamencie i Winter powiedziała mi, że oboje zeszlście na dół na jakąś nadzwyczajną naradę. Miałem nadzieję was złapać, nim wejdziecie do środka.

- Mówiąc prawdę, ja nie zostałem zaproszony - wyznał Solo, zerkając na oddalającego się szybko Bremena. - A Leia zatrzymała się na chwilę przed pokojem Mary.

- Tak, Mara...

- Znalazła się na właściwym miejscu, kiedy potrzebowaliśmy jej pomocy - przypomniał przyjacielowi Han.

- A mnie tu nie było - skrzywił się Luke.

- Nie to miałem na myśli - żywo zaprotestował Solo.

- Wiem, ale sam żałuję, że mnie tu nie było.

- Cóż... - Han wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, co powinien w tej sytuacji powiedzieć. - Nie możesz tu wiecznie tkwić, żeby jej bronić. Od tego ma mnie.

- Racja - rzucił Jedi z uśmiechem. - Zapomniałem. Han obejrzał się przez ramię. Zaczęli się już pojawiać różni politycy i ich doradcy, ale wciąż nigdzie nie było widać Leii.

- Chodźmy, coś ją musiało zatrzymać. Może spotkamy ją gdzieś po drodze.

- Dziwię się, że pozwalasz jej samej chodzić po pałacu - stwierdził Skywalker, kiedy z powrotem ruszyli wzdłuż szeregu drzew ch'hala.

- Nie powiedziałbym, że jest sama - rzekł Han z ironią w głosie. - Od czasu tego ataku Chewie ani na moment nie spuszcza jej z oczu. W nocy ten futrzak nawet śpi pod naszymi drzwiami.

- Musicie czuć się bezpiecznie.

- Tak. Dzieci pewnie będą miały alergię na włosy Wookiech. - Solo zerknął na przyjaciela. - A tak właściwie to gdzie ty się podziewałeś? Z twojej ostatniej wiadomości wynikało, że powinieneś tu być trzy dni temu.

- Tak, ale nadałem ten meldunek, nim utknąłem na... - Luke urwał, rzucając badawcze spojrzenia na ludzi, od których zaroilo się teraz na korytarzu. - Później ci powiem. Dowiedziałem się od Winter, że wobec Mary zastosowano areszt domowy, tak?

- Tak, i wygląda na to, że trochę to potrwa - mruknął Han. - Przy najmniej do czasu, kiedy uda nam się przekonać tych z kontrwywiadu, że ona jest czysta.

- Tak... - powiedział Skywalker z wahaniem. - Cóż, to może nie być takie proste, jak by się wydawało.

- Dlaczego? Jedi przez chwilę jakby ważył coś w sobie.

- Ponieważ Mara przez większą część wojny była osobistą współ pracowniczką Imperatora.

- To jakiś żart - rzucił Han, kompletnie zbity z tropu.

- Nie, bynajmniej - potrząsnął głową Skywalker. - W jego imieniu podróżowała po całym Imperium i wykonywała najrozmaitsze zadania. Nazywali ją Ręką Imperatora. Tak właśnie nazwał Marę ten ranny major.

- No, pięknie - rzekł głośno Solo, odwracając głowę w drugą stronę. - Po prostu cudownie. Mogłeś nam chociaż o tym powiedzieć.

- Nie sądziłem, że to takie ważne. Ale jedno jest pewne: teraz bez wątplenia nie stoi po stronie Imperium. - Skywalker spojrzał znacząco na Hana. - A poza tym chyba większość z nas ma na swoim sumieniu sprawy, które chcielibyśmy ukryć przed innymi.

- Nie podejrzewam, by Bremen i ci jego zapaleńcy chcieli tak to potraktować - stwierdził Solo ponuro.

- Cóż, będziemy musieli ich jakoś o tym przekonać... -urwał raptownie.

- Co się stało? - zaniepokoił się Han.

- Nie wiem - powiedział wolno Jedi. - Ale właśnie odczułem jakieś drżenie Mocy. Solo poczuł nerwowy skurcz w żołądku.

- Jakieś niebezpieczeństwo?

- Nie. - Skywalker zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Raczej zdziwienie czy niepokojące odkrycie. - Popatrzył na przyjaciela. - I... nie jestem pewien, ale to chyba pochodziło od Leii. Solo położył rękę na blasterze i rozejrzał się bacznie po korytarzu. Leia była gdzieś na górze z dawną agentką Imperium... i coś zdziwiło ją na tyle, że Luke zdołał to wyczuć.

- Myślisz, że wypada nam biec? - spytał cicho.
- Nie - odparł Skywalker. Han zauważył, że bezwiednie przebiera palcami po rękojeści miecza świetlnego. - Ale możemy iść szybkim krokiem. Za drzwiami rozległ się stłumiony głos robota-strażnika G-2RD. Mara z ciężkim westchnieniem zamknęła notes elektroniczny i rzuciła go na stojące przed nią biurko. Podejrzewała, że służbom specjalnym znudzą się w końcu te uprzejme, łagodne przesłuchania. Ale na razie nic na to jeszcze nie wskazywało. Sięgnęła Mocą na zewnątrz, starając się zidentyfikować swego gościa. Miała nadzieję, że nie jest to znowu ten paskudny Bremen. To nie był Bremen. Dziewczyna ledwie zdążyła stłumić w sobie odruch zdziwienia, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła Leia Organa Solo.
- Witaj, Maro - skinęła głową księżniczka. Nim robot-strażnik za mknął za nią drzwi, Jadę dostrzegła w korytarzu nieszczęśliwą twarz Wookiego. - Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, jak się pani miewa.
- Czuję się świetnie - burknęła dziewczyna, wciąż nie bardzo wiedząc, czy to lepiej, czy też gorzej, że zamiast Bremena odwiedziła ją Organa Solo. - Co to było za zamieszanie za drzwiami?
- Ktoś ze Straży Pałacowej najwyraźniej zdecydował, że nie mogą odwiedzać pani jednocześnie dwie osoby chyba, że jedną z nich jest któryś ze strażników - wyjaśniła Leia, kręcąc głową z irytacją. - Chewie musiał zostać na zewnątrz i nie był zbyt szczęśliwy z tego powodu.
- Domyślam się, że mi nie ufa?
- Proszę sobie tego nie brać zbyt do serca - rzekła księżniczka. - Sama pani wie, jak poważnie Wookie traktują ten swój dozgonny dług wdzięczności. Chewie wciąż jeszcze jest wytracony z równowagi faktem, że niewiele brakowało, a straciłby nas wszystkich w wyniku akcji tej grupy porwaczy. Podejrzewam, że w chwili obecnej bardziej ufa pani niż komukolwiek innemu w całym pałacu.
- Miło wiedzieć, że w ogóle ktoś mi ufa - rzuciła Jadę z goryczą. - Może powinnam go poprosić, żeby pogadał z pułkownikiem Bremenem.
- Maro, bardzo mi przykro z tego powodu - westchnęła Leia. - Za kilka minut będziemy mieli na dole zebranie i po raz kolejny spróbuję ich nakłonić do tego, by panią zwolnili. Ale wątpię, by Mon Mothma i Ackbar się na to zgodzili, nim służby specjalne wyjaśnią tę sprawę. A kiedy się dowiedzą, że naprawdę byłam Ręką Imperatora...
- Powinnam była mocniej naciskać Winter, by zdobyła dla mnie jakiś statek.
- Gdyby pani stąd wyjechała, to ja i bliźnięta byłibyśmy teraz w rękach Imperium - zauważyła cicho Organa Solo. -I pewnie wieźliby nas w prezencie temu szalonemu mistrzowi Jedi. Mara zacisnęła wargi. Trudno jej było sobie wyobrazić, by kogoś mógł spotkać gorszy los.
- Już mi pani dziękowała - mruknęła. -Powiedzmy, że jest mi pani dłużna jedną przysługę i dajmy już temu spokój, dobrze?
- Zdaje mi się, że jestem pani dłużna dużo więcej - uśmiechnęła się księżniczka.
- Proszę o tym pamiętać, kiedy zabiję pani brata - rzekła Jadę, patrząc jej prosto w oczy. Leia nawet nie drgnęła.
- W dalszym ciągu chce go pani zabić?
- Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat - ucięła dziewczyna. Wstała z krzesła i podeszła do okna. - Czuję się świetnie, pani stara się mnie stąd wydostać i wszyscy są zadowoleni z tego, że wybawiłam panią z rąk C'baotha. Ma pani do mnie jeszcze jakąś sprawę? Czuła, że Organa Solo przygląda jej się badawczo.
- W zasadzie nie - odparła. - Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego pani to zrobiła? Mara patrzyła bezmyślnie za okno, czując, że przez mur obojętności, który z takim trudem wokół siebie zbudowała, próbują się przebić jakieś gwałtowne uczucia.
- Nie wiem - powiedziała, dziwiąc się jednocześnie swojej szczerości. - Rozmyślałam nad tym w samotności przez te ostatnie dwa dni, ale nadal nie wiem. Może... - Wzruszyła ramionami. - Chyba miało to jakiś związek z tym, że Thrawn próbował odebrać pani dzieci. Przez dłuższą chwilę Leia milczała.

- Maro, gdzie był pani dom? - spytała w końcu. - Nim Imperator sprowadził panią na Coruscant?

- Nie wiem - odparła dziewczyna po chwili zastanowienia. - Pamiętam pierwsze spotkanie z Imperatorem i podróż tutaj jego prywatnym statkiem. Ale nie mam żadnych wspomnień związanych z miejscem, skąd pochodzę.

- A pamięta pani, ile miała pani wtedy lat?

- Nie bardzo. Byłam na tyle duża, by z nim rozmawiać i zrozumieć, że mam zostawić dom i z nim wyjechać. Ale nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów.

- A rodzice? Czy ich pani pamięta?

- Tak, trochę. Jawią mi się jako niewyraźne cienie. - Zawahała się na ułamek sekundy. - Ale mam wrażenie, że nie chcieli, bym wyjeżdżała.

- Podejrzewam, że Imperator nie zostawił im w tej kwestii żadnego wyboru - stwierdziła Organa Solo z nagłą tkliwością w głosie. - A pani, Maro? Czy miała pani możliwość wyboru? Dziewczyna uśmiechnęła się z wysiłkiem, starając się powstrzymać łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

- A więc do tego pani zmierzała. Myśli pani, że ryzykowałam życie w obronie pani dzieci, bo i mnie zabrano z domu w ten sam sposób?

- A czy tak było w istocie?

- Nie - rzuciła Jadę bezbarwnym głosem, zwracając twarz ku Leii. - To nie było tak. Po prostu nie chciałam, by wpadły w ręce tego szalonego C'baotha. I na tym poprzestałmy.

- W porządku - powiedziała księżniczka tonem, który wskazywał na to, że nie bardzo wierzy słowom Mary. - Ale gdyby chciała pani kiedyś na ten temat porozmawiać...

- To wiem, gdzie pani szukać - dokończyła za nią dziewczyna. Wciąż nie do końca rozumiała, dlaczego mówi Leii o tym wszystkim, ale gdzieś w głębi serca czuła dziwną ulgę, mogąc porozmawiać z kimś na ten temat. Może robiła się zbyt cikliwa.

- I w każdej chwili może pani do mnie przyjść - dodała z uśmiechem Organa Solo, wstając z miejsca. - Muszę zejść na dół na to spotkanie. Dowiem się, co nowego działy te klony Thrawna.

- Jakie klony? - zdziwiła się Mara.

- Jak to, pani nic nie wie? - tym razem Leia była zaskoczona.

- A o czym niby miałabym wiedzieć?

- Imperium znalazło gdzieś komory klonujące spaarti i teraz produkuje całe rzesze klonów, których używa do walki z nami. Jadę wpatrywała się w księżniczkę rozszerzonymi oczami, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz. Klony...

- Nikt mi o tym nie mówił - wyszeptowała.

- Bardzo mi przykro. Byłam przekonana, że wszyscy o tym wiedzą. Niemal przez cały miesiąc było to w pałacu głównym tematem rozmów.

- Leżałam w szpitalu - rzuciła machinalnie Mara. Klony... Teraz, kiedy Imperium może nimi obsadzić Flotę Katańską i ma za przywódcę genialnego stratega, jakim jest wielki admirał Thrawn, znów dojdzie do wojen klonowych.

- Racja, zupełnie o tym zapomniałam - przyznała Organa Solo. - Tyle się wtedy działo. - Spojrzała niespokojnie na swoją rozmówczynię. - Dobrze się pani czuje?

- Tak - wydusiła Jadę. Nagle z siłą pioruna opadły ją wspomnienia: las... góra... ukryty i ściśle tajny magazyn prywatnych skarbów Imperatora... I ogromna sala pełna komór do klonowania.

- No dobrze - rzekła Leia. Zapewnienie Mary ewidentnie jej nie przekonało, ale nie chciała jej naciskać. - W takim razie zobaczymy się później. - Sięgnęła ręką do klamki...

- Niech pani zaczeka. Księżniczka odwróciła się od drzwi.

- Tak, słucham? Mara wzięła głęboki oddech. Już samo istnienie tego miejsca było otoczone wielką tajemnicą i wiedziała o nim zaledwie garstka ludzi - Imperator wielokrotnie to podkreślał. Ale skoro Thrawn dysponował teraz wciąż rozrastającą się armią, którą zamierzał rzucić przeciwko galaktyce...

- Zdaje mi się, że wiem, gdzie znajdują się te komory spaarti Thrawn. Dziewczyna wyraźnie odczuła, że ta wiadomość była dla księżniczki prawdziwym wstrząsem.

- Gdzie? - spytała Organa Solo, z trudem opanowując drżenie głosu.

- Imperator miał tajny skarbiec - wyjaśniła Jadę, z wysiłkiem wy powiadając słowa. Stała jej przed oczami pomarszczona twarz starca; jego żółte oczy patrzyły na nią oskarżycielsko... - Mieścił się on pod górą na planecie, którą nazywał Wayland - nie mam pojęcia, czy ona w ogóle miała jakąś oficjalną nazwę. Tam właśnie przechowywał wszystkie swoje prywatne pamiątki, skarby i oryginalne wytwory techniki, które - jak sądził - pewnego dnia mogły mu się przydać. W jednej ze sztucznie wydrążonych jaskiń urządził fabrykę klonów, którą - o ile się nie mylę - przywłaszczył sobie od jednego z mistrzów klonowania.

- Czy ta fabryka była dobrze wyposażona?

- Bardzo dobrze - odparła Jadę, wzdygając się przy tym. - Na miejscu znajdował się kompletny system żywienia klonów, a ponadto układ umożliwiający kształtowanie osobowości powstających duplikatów i ich szkolenie jeszcze w okresie dojrzewania.

- Ile tam było komór?

- Dokładnie nie wiem. Były poustawiane w kolistych rzędach, tworząc coś w rodzaju stadionu sportowego, i wypełniały całą jaskinię.

- Ale ile mogło być tych komór? - nalegała Leia. - Tysiąc, dwa tysiące, dziesięć?

- Sądzę, że co najmniej dwadzieścia tysięcy - oznajmiła Mara. - A może nawet więcej.

- Dwadzieścia tysięcy - powtórzyła księżniczka z kamienną twarzą. - I z komory, co dwadzieścia dni wychodzi jeden klon.

- Co dwadzieścia dni?! - zdumiała się Jadę. - Ależ to niemożliwe!

- Wiem, ale Thrawn to właśnie robi. Orientuje się pani, gdzie leży Wayland?

- Byłam tam tylko raz i Imperator sam prowadził statek. Ale gdy bym miała przed sobą mapy i komputer nawigacyjny, mogłabym odnaleźć tę planetę. Organa Solo wolno pokiwała głową i Mara wyczuła, że przez umysł księżniczki przelatują w szalonym tempie różne myśli.

- Zobaczę, co da się zrobić. A tymczasem... - Leia spojrzała dziewczynie prosto w oczy. - Proszę nikomu nie mówić, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Nikomu. Thrawn w dalszym ciągu otrzymuje informacje z pałacu... A ta wiadomość mogłaby kosztować panią życie.

- Rozumiem - skinęła głową Jadę. Nagle w pokoju zrobiło się jak by chłodniej.

- No dobrze. Spróbuję tu ściągnąć więcej straży, oczywiście, jeśli uda mi się to zrobić, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. - Umilkła na chwilę i przechyliła głowę na bok, jakby czegoś nasłuchiwała. - Lepiej już pójdę. Niedługo zjawią się tu Han i Lukę, a to nie jest odpowiednie miejsce na naradę wojenną.

- Jasne - szepnęła Mara, odwracając głowę w stronę okna. Kości zostały rzucone: nieodwracalnie stanęła po stronie Nowej Republiki. Po stronie Luke'a Skywalkera. Człowieka, którego musiała zabić. Tej nocy zwołali naradę wojenną w gabinecie Leii - było to jedyne miejsce, co do którego mieli pewność, że jak dotąd Źródło Delta nie ma do niego dostępu. Lukę wszedł do pokoju i rozejrzał się dokoła, myśląc o dziwnym splocie wydarzeń, który sprawił, że te osoby pojawiły się w jego życiu. Han i Leia: siedzą razem na kanapie, ciesząc się wspólnie chwilą spokoju, nim znów ich rozdzieli rzeczywistość ogarniętej wojną galaktyki. Chewbacca: usadowił się między nimi a drzwiami i z bronią gotową do strzału czuwa nad tym, by znów nie zawieść i dobrze wypełnić obowiązki związane z dobrowolnie przyjętym na siebie dozgonnym długiem wdzięczności. Lando: pilnie wpatruje się w ekran komputera Leii i wyświetlaną na nim aktualną listę cen rynkowych. Threepio i Artoo: rozmawiają cichutko w kącie, wymieniając zapewne najświeższe informacje i ploteczki robotów. I wreszcie Winter: przycupnęła skromnie w drugim kącie i dogląda śpiących bliźniąt. Jego przyjaciele. Jego rodzina.

- No i co? - odezwał się Han.

- Zbadalem uważnie teren wokół gabinetu i nie zauważyłem żadnych istot żywych ani robotów - odparł Skywalker. - A jak się przedstawia sytuacja tutaj?

- Poprosiłam porucznika Page'a, by osobiście sprawdził, czy w pokoju nie ma żadnego podsłuchu - poinformowała Leia. -1 od tego czasu nikt tu nie wchodził. Powinniśmy być zatem bezpieczni.

161 11 – Ostatni rozkaz

- To świetnie - rzucił Solo. - Czy teraz możemy się wreszcie do wiedzy, o co chodzi?

- Tak - rzekła księżniczka i Lukę wyczuł, że j ego siostra zbiera się na odwagę. - Mara przypuszcza, że wie, gdzie się znajduje imperialna fabryka klonów. Han wyprostował się nieco i posłał szybkie spojrzenie Landowi.

- Gdzie?

- Na planecie, którą Imperator nazywał Waylandem - powiedziała Organa Solo. - Zdaje się, że to jego prywatna nazwa, bo nie znalazłam tego miejsca na żadnej z oficjalnych map.

- Co to takiego, stara fabryka któregoś z dawnych mistrzów klonowania? - zainteresował się Skywalker.

- Mara twierdzi, że mieści się tam skarbiec Imperatora. Mam wrażenie, że jest to jednocześnie magazyn sprzętu i przechowalnia trofeów.

- Tajemne gniazdo szczura - skomentował Han. - To do niego podobne. Gdzie leży ta planeta?

- Mara nie zna współrzędnych - rzekła księżniczka. Była tam tylko raz, ale sądzi, że mogłaby odnaleźć to miejsce.

- Dlaczego wcześniej nic o tym nie wspomniała? - spytał Lando.

- Wygląda na to, że dopiero ode mnie dowiedziała się o klonach - odparła Leia, wzruszając ramionami. - Nie zapominaj o tym, że kiedy wszyscy rozmawiali na ten temat, ona przechodziła w szpitalu regenerację układu nerwowego.

- Mimo wszystko nie bardzo chce mi się wierzyć, że nie dotarła do niej żadna wzmianka dotycząca tej sprawy - upierał się Calrissian.

- Może rzeczywiście jest to dziwne, ale nie niemożliwe - odparowała księżniczka. - W oficjalnych raportach, do których miała dostęp, nigdy nie wspomniano o klonach. A Mara nie należy do osób, które mają w pałacu wielu przyjaciół.

- Trzeba przyznać, że na to wyznanie wybrała sobie stosowny moment - zauważył Lando. - Podejrzanie stosowny moment. Najpierw kręci się po pałacu, praktycznie przez nikogo nie kontrolowana. Potem demaskuje ją dowódca jakiejś imperialnej drużyny komandosów i dziewczyna zostaje aresztowana. A teraz nagle mamy nas Waylandem i chce, byśmy ją uwolnili.

- A kto powiedział, że ona chce, byśmy ją uwolnili? - rzuciła Leia, nieco zaskoczona tym wywodem.

- A czy nie taka właśnie jest jej propozycja? Że zaprowadzi nas na Wayland, jeśli ją stąd wydostaniemy? - drażył Calrissian.

- Ona o nic nie prosiła - zaproponowała Organa Solo. - A ja proponuję jedyni eto, by przemycić do jej pokoju komputer nawigacyjny, żeby mogła zlokalizować za jego pomocą Wayland.

- Obawiam się, że to nie wystarczy, kochanie - potrząsnął głową Han. - Współrzędne Waylandu to dopiero początek: potem trzeba będzie znaleźć sam skarbiec, a planeta jest na tyle duża, że można go na niej doskonale ukryć.

- Szczególnie, jeśli Imperator nie chciał, by ktokolwiek odnalazł jego skarby - dodał Luke. - Lando ma rację. Będziemy musieli ją wziąć ze sobą. Solo i Calrissian wlepili w niego zdumiony wzrok; nawet Leia zdawała się zaskoczona.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że wierzysz w to wszystko? - wydusił wreszcie Lando.

- Obawiam się, że nie mamy wielkiego wyboru - odparł Skywalker. - Im dłużej będziemy zwlekać, tym więcej Imperium wyprodukuje klonów, które rzuci przeciwko nam.

- A co z tym śledztwem, które rozpoczęłeś? - przypomniała Organa Solo. - W kwestii przerwania klonów przez układy Poderis i Orus?

- To by wymagało dużo czasu - rzekł Jedi. - A dzięki Marze do trzemy do źródła klonów o wiele szybciej.

- Jeśli ona mówi prawdę - zauważył ponuro Calrissian. - Bo jeśli kłamie, to znajdziesz się w ślepej uliczce.

- Albo trafisz jeszcze gorzej - poparł go Han. - Thrawn już raz zaaranżował twoje spotkanie z tym C'baoth'em. To może być kolejna pułapka. Luke powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół, żałując, że nie umie im wyjaśnić motywów swej decyzji. Gdzieś w głębi serca żywił przekonanie, że to będzie właściwe posunięcie; że tam właśnie prowadzi jego droga. Podobnie jak w przypadku tego decydującego pojedynku między Vader'em a Imperatorem: zarówno Mara, jak i on musieli się tam znaleźć w tym samym czasie.

- To nie jest pułapka - powiedział w końcu. - A przynajmniej nie ze strony Mary.

- Jestem tego samego zdania - oznajmiła cicho Leia. -1 myślę, że masz rację, co do tego, że powinniśmy ją ze sobą zabrać. Han poruszył się niespokojnie na krześle i spojrzał groźnie na żonę. Potem posłał piorunujące spojrzenie Luke'owi, a wreszcie ponownie zwrócił wzrok na Leię.

- Czy to znowu jedna z tych kretyńskich sztuczek Jedi? - burknął.

- Poniekąd tak - przyznała księżniczka. - Ale przede wszystkim proste, logiczne rozumowanie. Jestem pewna, iż Thrawn tylko dlatego dołożył tylu starań, by nas utwierdzić w przekonaniu, iż Mara była w zмовie z tymi imperialnymi komandosami, że chce, byśmy nie uwierzyli w jej opowieść o Waylandzie.

- Jeśli tak myślisz, to powinnaś także wziąć pod uwagę fakt, iż Thrawn musiał się liczyć z tym, że jego plan spali na panewce - zauważył Lando.

- Niewątpliwie wielki admirał rozważył wszystkie ewentualności - odparła księżniczka. Jej twarz drgnęła. - I tak jak powiedziałeś, Han, chodzi tu także o pewną intuicję Jedi. W czasie tego ataku dwukrotnie miałam kontakt z umysłem Mary: najpierw kiedy mnie obudziła, a potem, kiedy zaszła od tyłu tych komandosów. Spojrzała na Luke'a i Skywalker wyczuł, że jego siostra wie o tym, iż Jadę chce go zabić. Maranie darzy nas zbytnią sympatią - powiedziała głośno - ale w pewnym momencie to się przestaje liczyć. Ona doskonale rozumie, jaki los spotkałby naszą galaktykę, gdyby ponownie wybuchły wojny klonowe, i nie ma ochoty do tego dopuścić.

- Jeśli zechce mnie zaprowadzić na Wayland, to z nią pojedę - oznajmił stanowczo Luke. -1 nie proszę was o to, byście jechali ze mną. Chciałbym jedynie, abyście pomogli mi nakłonić Mon Mothmę do tego, by ją uwolniła. - Zawahał się na ułamek sekundy. -1 życzcie mi szczęścia. Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza. Han, zmarszczywszy czoło, wpatrywał się w podłogę, ściskając w dłoniach rękę Leii. Lando w milczeniu gładził wąsy. Chewbacca przebierał palcami po swojej broni, mrużąc coś pod nosem. Wciśnięty w kąć Artoo pogwizdywał sobie cichutko. Jedno z bliźniąt - Luke odniósł wrażenie, że był to Jacen -zapłakało przez sen i Winter w uspokajającym geście pogładziła dziecko po plecach.

- Nie możemy porozmawiać o tym z Mon Mothmą - odezwał się w końcu Solo. - Zacznie wszystko załatwiać w oficjalnym trybie i nim ktoś wreszcie podejmie jakąś decyzję, będzie o tym wiedziało pół pałacu. Jeśli Thrawn zechce uciszyć Marę na dobre, to będzie miał po temu dostatecznie dużo czasu.

- A czy jest jakieś inne wyjście? - spytała niespokojnie Organa Solo.

- Lando już o tym wspominał: sami ją stąd wydostaniemy. Leia spojrzała z przestachem na Luke'a.

- Ależ Han! Nie możemy tego zrobić!

- Naturalnie, że możemy. Kiedyś razem z Chewiem musieliśmy wy dostać z rąk Imperium jednego faceta i wszystko znakomicie się udało. Chewbacca zamruczał ponuro.

- Ależ naprawdę się udało - zaprotestował Solo, gromiąc Wookiego wzrokiem. - To nie była nasza wina, że w tydzień później znów go ujęli.

- Nie to miałam na myśli - stwierdziła księżniczka napiętym głosem. - Mówimy tu o posunięciu wysoce nielegalnym, graniczącym niemalże zdradą.

- Kochanie, cała Rebelia była posunięciem wysoce nielegalnym, graniczącym ze zdradą - przypomniał Han, klepiąc żonę po kolanie. - Kiedy prawo jest złe, to sieje łamie. Leia nabrała głęboko powietrza w płuca i powoli je wypuściła.

- Masz rację - przyznała w końcu. - Masz rację. Kiedy przystępujemy do działania?

- My, to znaczy ty, nie będziesz brała w tym udziału - zdecydował Solo. - Zrobimy to we dwóch z Lukiem. Ty i Chewie zostaniecie tutaj, w bezpiecznym miejscu. Chewbacca zaczął mrużyć z niezadowolaniem, ale urwał w pół słowa. Księżniczka spojrzała na Wookiego, potem na Luke'a...

- Han, nie musisz jechać - odezwał się Skywalker, wyczuwając niepokój siostry. - Mara i ja możemy to zrobić sami.

- Co, chcecie we dwójkę opanować całą fabrykę klonów? - prychnął Solo.

- Nie mamy wielkiego wyboru - zauważył Jedi. - Dopóki Źródło Delta wciąż jeszcze działa, nie ma zbyt wielu ludzi, którym możemy ufać. A ci, do których mamy zaufanie, wypełniają właśnie ważną misję obronną. - Gestem ręki ogarnął cały pokój. - A zatem jest nas tylko garstka.

- No i dobrze. Ale jest pewne, że trzy osoby będą miały większą szansę niż dwie - rzekł Han. Lukę zerknął na siostrę. W jej oczach czaił się strach o życie męża; ale Skywalker wyczuł, że w głębi ducha - aczkolwiek niechętnie - księżniczka aprobuje decyzję Hana. Leia doskonale rozumiała, jak ogromne znaczenie ma ta misja i była zbyt doświadczonego żołnierzem, by nie dostrzec, że propozycja jej męża jest sensowna. Albo może - podobnie jak Solo - nie chciała, by Luke jechał sam z kobietą, która postanowiła go zabić.

- No dobrze, Han - zdecydował. - A zatem wybierzemy się tam we trójkę.

- Może raczej w czwórkę - rzekł Lando z westchnieniem. - Starania o pomoc w uratowaniu mojego Miasta Nomadów posuwają się tak opieszale, że chyba nie mam tu nic do roboty. Zresztą miło by było trochę się na nich odegrać.

- Świetny pomysł, stary - ucieszył się Solo. - Witamy na pokładzie. - No dobrze, Chewie, a tobie o co chodzi? - zwrócił się do Wookiego. Lukę posłał obrońcy Leii zdumione spojrzenie. Dotychczas nie zauważył, by Chewbacca coś dręczyło, ale teraz wyczuł niepokój w jego myślach.

- Chewie, co z tobą? Przez dłuższą chwilę Wookie mamrotał coś pod nosem, ale w końcu - wyraźnie się ociągając - wyjawiał przyjaciółom swoje troski.

- Chewie, naprawdę bardzo byśmy chcieli, żebyś pojechał z nami - zapewnił go Han. - Ale ktoś musi tu zostać, by się zaopiekować Leią. Chyba, że uważasz, iż Straż Pałacowa stanie na wysokości zadania? Wookie krótko, ale treściwie wyraził swoją opinię na temat Straży Pałacowej.

- Masz rację - przytaknął Solo. -1 dlatego właśnie zostaniesz. Skywalker zerknął na siostrę. Ich spojrzenia się spotkały i Lukę zrozumiał, że Leia także dostrzegła dylemat, przed jakim stanął Wookie. Chewie przyjął na siebie dożgonny dług wdzięczności wobec Hana i myśli o tym, że Solo miał się wystawić pod jego nieobecność na tak wielkie niebezpieczeństwo, była dla niego bardzo bolesna. Ale Leia i bliźnięta także znajdowały się teraz pod jego opieką i równie niewyobrażalne było dla Wookiego to, że mógłby je zostawić w pałacu niestrzeżone. Bezskutecznie szukając w myślach jakiegoś wyjścia z tej sytuacji, Lukę dostrzegł nagle radosny błysk w oczach siostry.

- Mam pewien pomysł - odezwała się niepewnie księżniczka. Wszyscy wysłuchali jej z uwagą, a Chewbacca, ku zdumieniu Hana, natychmiast przystał na propozycję Leii.

- Chyba żartujesz? - rzucił Solo. - To tylko żart, prawda? Tak... to na pewno żart. Bo jeśli wam się wydaje, że zostawię żonę i dzieci...
- Han, to jedyne rozwiązanie - próbowała go uspokoić księżniczka. - W przeciwnym razie Chewie będzie bardzo cierpiać.
- Już mu się zdarzało cierpieć. Poradzi sobie z tym. Daj spokój... Lukę, wytłumacz jej.
- Przykro mi, Han - potrząsnął głową Skywalker. - Ale uważam, że to dobry pomysł.
- Zawahał się na moment, ale zaraz dodał z nutką satysfakcji w głosie. - To chyba jedna z tych kretyńskich sztuczek Jedi...
- Bardzo zabawne - burknął Solo. Ponownie rozejrzał się po pokoju. - Lando? Winter? Odezwijcie się wreszcie.
- Nie patrz tak na mnie, Han - rzekł Calrissian, unosząc w górę ręce. - W tej kwestii nie mam nic do powiedzenia.
- Jeśli o mnie chodzi, to zdaję się na wycucie księżniczki Leii - dodała Winter. - Jeżeli uważa, że będzie bezpieczna, to jestem skłonna jej wierzyć.
- Masz kilka dni, by się oswoić z tą myślą - wtrąciła Organa Solo, nim Han zdążył otworzyć usta. - Może zdołamy cię do tego czasu przekonać. Jej mąż miał niezadowolony wyraz twarzy, ale skinął potakująco głową.
- Tak. Jasne. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.
- Czy to już wszystko? - spytał w końcu Lando.
- Tak - odparła Leia. - Musimy zaplanować naszą wyprawę, więc lepiej weźmy się do roboty.

ROZDZIAŁ 12

Na zamontowanym w rogu pomieszczenia stanowisku łączności rozległ się brzęczyk interkomu.

- Karrde? - dał się słyszeć zmęczony głos Dankina. - Zbliżamy się do układu Bilbringi. Za pięć minut wyjdziemy z nadprzestrzeni.
- Zaraz u was będziemy - odparł Karrde. - Dopilnuj, by obsługa zajęła miejsca przy działach turbolaserowych: nigdy nie wiadomo, na co możemy się natknąć.
- Dobra - rzucił Dankin. - Przerwywam połączenie. Karrde zgasił interkom i wyłączył umieszczone na biurku urządzenia do odczytywania zaszyfrowanych wiadomości.
- Zdaje się, że Dankin jest zmęczony - skomentował siedzący po drugiej stronie biurka Aves, odkładając swój notes elektroniczny.
- Na pewno nie bardziej niż ty - rzekł szef przemysłowców. Po raz ostatni przebiegł wzrokiem ekran, po czym wyłączył komputer. Raport od jego ludzi na Anchoronie, podobnie jak wszystkie wcześniejsze, nie przyniósł nic nowego. - Widocznie już zbyt długo nie braliśmy podwójnych wart i wszyscy zdążyli od nich odwyknąć - dodał, zerkając na Avesa. - Będę musiał je włączyć do programu najbliższych ćwiczeń.
- Załoga z pewnością będzie tym zachwycona - stwierdził Aves z przekąsem. - Za nic nie chcielibyśmy, by ludzie myśleli, że jesteśmy miękcy.
- Mogłoby to wpłynąć negatywnie na nasz image - przyznał Karrde, wstając z miejsca. - Chodźmy, później skończymy to przeglądać.
- Jeśli to się w ogóle na coś przyda - mruknął Aves. - Jesteś pewien, że ci żołnierze, których Skywalker zauważył na Bercheście, to były klony?
- Skywalker był tego pewien - rzekł szef przemysłowców, kiedy opuścili gabinet i skierowali się w stronę mostka. - Chyba nie chcesz zasugerować, że szlachetny Jedi mnie okłamał?
- Nie, nie twierdzę, że kłamał - potrząsnął głową Aves. - Ale zastanawiam się, czy cała ta sprawa nie była z góry ukartowana. Może Thrawn naprowadził nas na ten trop, by odwrócić naszą uwagę od faktycznej linii przerzutu.

- Mnie też to przyszło do głowy - przyznał Karrde. - Nawet, jeśli wziąć pod uwagę zobowiązania, jakie ma wobec nas gubernator Staffa, to odniosłem wrażenie, że zbyt łatwo dostaliśmy się do układu, a potem równie łatwo go opuściliśmy.

- Ale nie wspomniałeś o swoich wątpliwościach podczas spotkania na Chazwie, kiedy zlecałeś każdemu wykonanie zadania.

- Jestem pewien, że pozostałym też przyszła do głowy podobna myśl - stwierdził szef przemysłowców. - Niewątpliwie uznali też, że jeśli jest wśród nas agent Imperium, to najlepiej zrobimy, utwierdzając go w przekonaniu, iż wierzymy w podstęp wielkiego admirała. Jeśli to rzeczywiście jest podstęp.

- I, jeżeli jest wśród nas agent Imperium - zauważył Aves. Karrde uśmiechnął się nieznacznie.

- Gdybyśmy mieli trochę brualki, moglibyśmy zjeść brualki z Menkoro...

- ..gdybyśmy mieli Menkoro - dokończył Aves ich stare powiedzenie. - W dalszym ciągu uważasz, że Ferrier pracuje dla Thrawna?

- Twierdził co prawda, że był zmuszony do współpracy z Imperium w sprawie Floty Katańskiej, ale Solo mówił coś zupełnie przeciwnego - rzekł Karrde, wzruszając ramionami.

- I dlatego kazałeś Torve'owi odprowadzić ten statek bojowy do układu Roche?

- Tak - potwierdził szef przemysłowców. Na chwilę pożałował, że nie ma przy nim Mary. Aves był dobrym kompanem, ale trzeba mu było wyjaśnić rzeczy, które Mara w lot by pojęła. - Znam tam paru Verpinów, którzy mają wobec mnie pewne zobowiązania. Jeśli coś z tym statkiem jest nie w porządku, to na pewno to wykryją. - Otworzyły się drzwi prowadzące na mostek i weszli do środka. - Jak się przedstawia sytuacja? - spytał, spoglądając przez iluminator na cętkowane niebo nadprzestrzeni.

- Wszystkie systemy wykazują pełną gotowość - odparł Dankin, ustępując Avesowi miejsca przy sterach. - Balig, Lachton i Korvis są przy działach turbolaserowych.

- Dziękuję - rzucił Karrde, siadając obok Avesa w fotelu drugiego pilota. - Nie odchodź daleko, Dankin; będziesz dzisiaj kapitanem.

- To dla mnie zaszczyt - rzekł Dankin z przekąsem i zajął miejsce przy stanowisku łączności.

- Jak sądzisz, co tu jest grane? - spytał Aves, kiedy już przygotował statek do wyjścia z nadprzestrzeni.

- Nie mam pojęcia - wyznał Karrde. - Par'Tah mówiła, że Mazzic za sugerował jedynie, bym wpadł po spotkaniu na Chazwie do układu Bilbringi.

- Pewnie chodzi o tę widowiskową lekcję dla Imperium, o której on i Ellor wspominali na Troganie - stwierdził Aves z westchnieniem. - Nie sądzę, by mi się to miało spodobać.

- Pamiętaj tylko, że cokolwiek się zdarzy, my będziemy jedynie postronnymi obserwatorami - przypomniał mu Karrde. - Po prostu zawijający do portu transportowiec z oficjalnie zatwierdzonym ładunkiem kondensatorów z Koensar. Wszystko jak najbardziej legalnie.

- Będzie problem, jeśli zechcą się temu przyjrzeć z bliska - zauważył Aves. - No dobra, lecimy. - Przesunął do przodu dźwignię napędu nadprzestrzennego i za iluminatorem pojawiły się świetlne linie, które zaraz przybrały postać gwiazd. A wśród gwiazd ujrzeli ukończone do połowy statki, pojazdy naprawcze i budowlane oraz dryfujące w przestrzeni platformy stoczniowe. I - niemal dokładnie na wprost „Szalonego Karrde'a” - potężną, najeżoną różnymi rodzajami broni stację bojową Golan II. Znajdowali się imperialnej stoczni na Bilbringi. Dankin gwizdnął cicho.

- Spójrzcie na te nowe modele - rzekł z zachwytem. - Imperium nie traci czasu, co?

- Nie, bynajmniej - przyznał Karrde. - Podobnie jak nie traci czasu na Ord Trasi czy w Yadze Mniejszej. I jeśli Thrawn wkładał w produkcję klonów choćby połowę energii, z jaką budował statki wojenne...

- Halo, nowo przybyły transportowiec: tu stacja kontroli lotów na Bilbringi - przerwał jego rozmyślenia dobiegający z komunikatora oficjalny głos. - Podaj swój kod identyfikacyjny, nazwę macierzystego portu i cel wizyty.

- Dankin... - szeptem ponaglił kolegę Karrde. Dankin skinął głową.

- Tu transportowiec „Rekin” z Valrar - powiedział pospiesznie do nadajnika - pod dowództwem kapitana Abela Quillera. Mamy ładunek transformatorów dla doku numer czterdzieści siedem.

- Przyjąłem - rzekł oficer. - Zaczekaj na potwierdzenie. Aves trącił Karrde'a w ramię i wskazał na widniejącą przed nimi stację bojową.

- Spuszczają statek bojowy - oznajmił. -1 to dokładnie w kierunku „Szalonego Karrde'a”.

- Trzymaj kurs - polecił mu półgłosem szef przemytników. - Może chcą po prostu sprawdzić, jak zareagujemy.

- Albo spodziewają się jakichś kłopotów - podsunął Aves.

- Albo właśnie już po fakcie doprowadzają stocznię do porządku - wtrącił Dankin. - Jeśli Mazzic już tu był...

- Halo, transportowiec „Rekin”: zostańcie tam, gdzie jesteście - odezwał się ponownie oficer z kontroli lotów. - Wysyłamy grupę inspekcyjną, by sprawdziła wasze papiery przewozowe. Dankin włączył nadajnik.

- Dlaczego, czy coś jest nie w porządku? - spytał ze zdziwieniem, ale także z nutką irytacji w głosie. - Słuchajcie, muszę tu załatwić swoje interesy i nie mam czasu na jakieś biurokratyczne bzdury.

- W takim razie może wolisz, byśmy od razu położyli kres twojej działalności handlowej? - rzucił opryskliwie oficer. - A jeśli to ci nie odpowiada, to radzę, byś się przygotował na przyjęcie naszych ludzi.

- Zrozumiałem- burknął Dankin. - Mam tylko nadzieję, że się pospieszą.

- Koniec połączenia. Dankin zerknął na szefa.

- I co teraz?

- Przygotujemy się na przyjęcie tej grupy inspekcyjnej - stwierdził Karrde, omiatając spojrzeniem rozległą stocznię. Jeśli Mazzic trzyma się wstępного planu, który przekazał Par'Tah, to powinien się tu wkrótce zjawić. Nagle coś przykuło jego wzrok. - Aves, sprawdź, co to jest - polecił podwładnemu, wskazując skupisko nieregularnych, ciemnych punkcików dryfujących w centralnej części stoczni. - To mi nie wygląda na statki.

- Rzeczywiście, to nie są statki - potwierdził kilka sekund później Aves. - Zdaje się, że są to średniej wielkości asteroidy, każda o średnicy około czterdziestu metrów. Spróbuję je policzyć... Jest ich dwadzieścia dwie.

- Dziwne - stwierdził Karrde, zerkając na ekran komputera kontrolnego, który Aves obrócił w jego stronę. Dokoła asteroid kręciło się około trzydziestu pojazdów pomocniczych i mniej więcej tyle samo ubranych w odpowiednie kombinezony robotników z obsługi technicznej. - Jestem ciekaw, co też Imperium robi z tyloma asteroidami?

- Może coś z nich wydobywa? - podsunął niepewnie Aves. - Chociaż nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ściągał do stoczni całą asteroidę.

- Ja też nie - pokręcił głową Karrde. - Ale zastanawiam się, czy to przypadkiem nie ma jakiegoś związku z nową tajemniczą superbronią Thrawn'a, której użył w ataku na Ukio i Wostri.

- To by tłumaczyło, dlaczego tak zaostrzyli środki bezpieczeństwa - stwierdził Aves.

- Skoro już o tym mowa, to ten statek bojowy wciąż się zbliża. Przyjmiemy ich na pokład?

- Nie widzę innego wyjścia, chyba że masz zamiar zawrócić i uciec - rzekł szef przemytników. - Dankin, na ile zdołają się obronić nasze papiery przewozowe?

- Są całkiem niezłe - powiedział wolno Dankin. - Wszystko zależy od tego, czy coś podejrzewają, czy też jest to zwykła ostrożność. Karrde, spójrz jakieś czterdzieści stopni w lewo. Widzisz ten na wpół ukończony imperialny niszczyciel gwiazdny? Szef

przemytników obrócił się na krześle. Budowa gwiazdowego niszczyciela znacznie przekroczyła już połowę: brakowało jedynie nadbudowy z mostkiem dowodzenia i paru fragmentów przedniej części statku, gdzie mieściły się działa.

- Widzę go. A o co chodzi?

- Panuje tam jakieś dziwne poruszenie... Dankin nawet nie dokończył zdania, gdyż niespodziewanie cała prawa część niszczyciela wyleciała w powietrze. Aves gwizdnął przeciągle.

- Sprzątnęli jeden statek wojenny - powiedział, kiedy kolejna eksplozja unicestwiła przednią część kadłuba. - Myślicie, że to Mazzic?

- Chyba nie ma, co do tego wątpliwości - stwierdził Karrde. Przywołał na swoim monitorze kontrolnym zbliżenie obrazu. Przez chwilę na tle buchających płomieni było widać sześć pojazdów wielkości transportowców, które pospiesznie kierowały się na obrzeża stoczni. - Ale zdaje mi się, że nieco przedobrzył sprawę - dodał, ponownie zerkając na gwiazdny niszczyciel. W stronę płonącego statku już zdążała grupka pojazdów ratunkowych, a tuż za nimi trzy dywizjony imperialnych myśliwców. Nagle pędząca w stronę niszczyciela chmara myśliwców zmieniła tor lotu i imperialne pojazdy pomknęły za uciekającymi transportowcami. - Zauważyli ich - rzucił Karrde ponuro, starając się błyskawicznie ocenić sytuację. Imperium miało znaczną przewagę liczebną i bojową nad grupą Mazzica, i wszystko wskazywało na to, że sytuacja jeszcze się pogorszy, nim przemytnicy zdążą się wyrwać z zatłoczonej stoczni i wykonać skok w nad przestrzeń. Trzy działa turbolaserowe „Szalonego Karrde'a" mogłyby nieco wyrównać szansę, ale - niestety - cała akcja toczyła się zbyt daleko, by ich pomoc mogła znacząco zawążyć na ostatecznym rezultacie.

- Pomożemy im? - spytał półgłosem Aves.

- W zasadzie nie powinniśmy nawet kiwnąć palcem - stwierdził szef przemytników. Zlecił komputerowi nawigacyjnemu, by zaczął wyliczać współrzędne skoku w nadprzestrzeń. - Pomagając im w tej sytuacji, zachęcimy ich jedynie do tego, by planowali więcej takich nierozważnych akcji. Jednak nie możemy tu chyba tak beczynnie siedzieć. - Włączył interkom. - Korvis?

- Na posterunku.

- Na mój rozkaz otworzysz ogień do tego zbliżającego się statku bojowego - polecił mu Karrde. - Balig i Lachton, wy skierujcie działa na stację bojową. A ty, Aves, w tym samym czasie obrócisz statek o...

- Karrde, zaczekaj - przerwał mu Dankin. - Popatrz: pięćdziesiąt stopni w lewo. Odwróciwszy głowę, mężczyzna zauważył, że z kierunku, w którym uciekała grupa sabotażowa Mazzica, wyłoniły się z nadprzestrzeni dwa koreliańskie statki bojowe. Pędzące za uciekinierami imperialne myśliwce zmieniły kurs, by stawić czoło nowemu zagrożeniu, ale zostały natychmiast rozgromione.

- No, no - mruknął Karrde. - Może plan Mazzica nie był aż tak zły, jak mi się wydawało.

- To na pewno ludzie Ellora - stwierdził Aves.

- Racja - skinął głową szef przemytników. - Koreliańskie statki bojowe to nie w stylu Mazzica, a już na pewno nie na jego kieszeń. Ta strategia znacznie bardziej pasuje do legendarnego rozmachu Duryjczyków.

- Zdaje mi się, że koreliańskie statki bojowe to nawet dla Ellora byłby zbyt duży wydatek - skomentował Dankin. - Sądzisz, że ukradł je Nowej Republice?

- „Ukradł" to takie nieładne słowo - upomniał go łagodnie Karrde. - Pewnie traktuje je jedynie jako nieformalną pożyczkę. Statki Nowej Republiki często korzystają z licznych duryjskich baz naprawczych, rozrzuconych wzdłuż głównego szlaku handlowego, a Ellor prowadzi z niektórymi pokątne interesy.

- Założę się, że tym razem zamawiający nie będzie zbyt zadowolony z usługi - rzucił ironicznie Aves. - A tak nawiasem mówiąc, czy w dalszym ciągu chcemy atakować ten imperialny statek bojowy?

- Nie, już nie. - Karrde niemal na śmierć o tym zapomniał. - Kor- vis, Balig, Lachton: rozładujcie działa turbolaserowe. Cała reszta: od wołać alarm i przygotować się na przyjęcie tej imperialnej inspekcji. Zaczekał na potwierdzenie odbioru rozkazu, po czym z powrotem odwrócił się do Avesa.

- Nie będziemy atakować? - spytał niepewnie przemytnik, wpatrując się w szefa ze zdumieniem. - Nawet w tej sytuacji? - Wskazał głową w lewo, gdzie przez iluminator widać było gwałtowną wymianę ognia.

- To, co tam się dzieje, absolutnie nie ma nic wspólnego z nami - oznajmił Karrde, posyłając Avesowi niewinne spojrzenie. - Jesteśmy niezależnym transportowcem i wieziemy ładunek transformatorów. Już zdążyłeś zapomnieć?

- No tak, ale...

- A wracając do rzeczy, dobrze byłoby się dowiedzieć, jaki będzie wynik tego nalotu - ciągnął Karrde. Ponownie spojrzał na widoczne przez iluminator uciekające statki. Jako że bezpośredni kurs wyjściowy ubezpieczały jednostki bojowe Ellora, a większe statki imperialne znajdowały się zbyt daleko, by zdążyć je na czas powstrzymać, wyglądało na to, że grupa Mazzica nie będzie miała większego problemu z wydostaniem się ze stoczni. - Przysłuchuj się ich rozmowom w eterze; obserwuj, jak będą przebiegały prace porządkowe po nalocie i jakie środki bezpieczeństwa podejmie Imperium. Spróbuj też ocenić, jakie straty faktycznie ponieśli. O, tego typu rzeczy. Aves wyraźnie nie został przekonany, ale wiedział, że nie należy podejmować dyskusji w tej kwestii.

- Jeśli uważasz, że nam się to uda - rzucił z powątpiewaniem. - No wiesz, chodzi mi o to, że wyznaczono nagrodę za pojmanie nas.

- To jest chyba ostatnie miejsce, gdzie spodziewałby się nas zastać jakiś imperialny dowódca - uspokoił go Karrde. - I właśnie dlatego nikt nas tu nie będzie szukał.

- A już z pewnością nie na statku dowodzonym przez kapitana Abela Quillera - wtrącił Dankin. Odpiął pasy i wstał z fotela. - Niecierpliwy i napsuszony, tak?

- Tak - potwierdził szef przemytników. - Tylko nie przesadz z tym puszeniem się. Chodzi nam o to, by wzbudzić w nich pogardę, a nie wrogość.

- Jasne - skinął głową Dankin i opuścił mostek. Wzrok Karrde'a ponownie powędrował ku tłącym się szczątkom niszczyciela gwiazdowego, który nawet nie doczekał się ukończenia. Rzeczywiście była to spektakularna lekcja pogładowa i Karrde z pewnością gorąco by ją odradzał Mazzicowi i Ellorowi, gdyby spytali go o zdanie. Ale nie zrobili tego i wykonali swój akt odwetu. Konflikt z Imperium przybrał teraz znacznie ostrzejszą formę niż po zdarzeniu na Troganie. Bo wielki admirał Thrawn nie puścił tej akcji płazem i z pewnością da szybką i gwałtowną odpowiedź. A jeśli zdoła dociec, że sprawcą ataku był Mazzic... a od Mazzica dotrze do niego...

- Nie będziemy mogli na tym poprzestać - rzucił jakby do siebie. - Będziemy się musieli jakoś zorganizować. Wszyscy razem.

- Co takiego? - spytał Aves. Karrde spojrzał na podwładnego, na jego szczerą, pełną zdumienia twarz. Aves był na swój sposób sprytny, ale nie miał za grosz geniuszu ani intuicji. - Nie, nic - powiedział z uśmiechem, starając się, by nie zabrzmiało to złośliwie. Odwrócił się, by popatrzeć na będący coraz bliżej imperialny statek bojowy. I obiecał sobie w duchu, że kiedy tylko to się skończy, odnajdzie i ściągnie do siebie Marę. Na ekranie komputera wyświetliły się ostatnie linijki tekstu i Thrawn podniósł wzrok na stojącego przed nim sztywno mężczyznę.

- Czy może pan coś dodać do tego raportu, generale Drost? - spytał opanowanym tonem. Zbyt opanowanym, zdaniem Pellaeona. Gdyby to Pellaeon tu dowodził, na pewno nie byłby tak spokojny. Ale stał jedynie w milczeniu u boku wielkiego admirała i spoglądał przez iluminator „Chimery” na szerniałą wrak, który nie tak dawno był niemal ukończonym, niezwykle kosztownym imperialnym niszczycielem gwiazdowym; i miał ochotę ukręcić Drostowi łeb, na co ten zresztą sobie zasłużył. I był tego w pełni świadomy.

- Nie, panie admirale - odparł generał drżącym głosem. Thrawn przez chwilę mierzył mężczyznę wzrokiem, po czym wyrzucił przez iluminator.

- Czy może mi pan podać jakiś powód, dla którego miałbym pana utrzymać w funkcji dowódcy? Z ust Drosta wydobyło się cichutkie westchnienie.

- Nie, panie admirale - powiedział znowu. Przez dobrą minutę ciszę zakłócało jedynie buczenie pracujących na mostku „Chimery” urządzeń. Pellaeon zerknął na kamienną twarz Drosta, zastanawiając się, jaka kara spotka generała. W najlepszym wypadku podobna historia powinna kosztować Drosta utratę stopnia i sąd wojenny pod zarzutem karygodnego zaniedbania. A w najgorszym... Cóż, niekompetencję można było ukarać tak, jak to zawsze robił lord Vader. Rukh już stał w pogotowiu za krzesłem Thrawna.

- Proszę wrócić na kwaterę, generale - rzekł wreszcie admirał. - „Chimera” odleci stąd za około trzydzieści godzin. Do tego czasu ma pan zaprojektować i wcielić w życie nowy system ochrony stoczni. Wtedy również podejmę decyzję, co do pańskich dalszych losów. Drost posłał szybkie spojrzenie Pellaeonowi, potem ponownie przeniósł wzrok na Thrawna.

- Tak jest, panie admirale. Nie zawiodę pana po raz drugi.

- Mam taką nadzieję - rzucił Thrawn z ukrytą groźbą w głosie. - Może pan odejść. Generał skinął głową i odwrócił się, a w jego ruchach na nowo pojawiło się zdecydowanie.

- Jest pan niezadowolony, kapitanie. Pellaeon zmusił się do tego, by spojrzeć prosto w gorejące oczy przełożonego.

- Spodziewałem się bardziej zdecydowanej reakcji.

- Na swój sposób Drost jest dobrym żołnierzem - odparł spokojnie admirał. - Jego główna słabość polega na tym, że zbyt łatwo popada w samozadowolenie. Ale wydaje mi się, że - przynajmniej na jakiś czas - został z tego wyleczony. Kapitan spojrzał na widniejący w dali wrak.

- To dosyć kosztowna lekcja - zauważył z goryczą.

- Tak - przyznał Thrawn. - A ponadto dokładnie obrazuje, dlaczego nie chciałem prowokować przemytników.

- To byli przemytnicy? - zdumiał się Pellaeon. - Sądziłem, że to sabotaż ze strony któregoś oddziału Rebeliantów.

- Drost też tak uważa - stwierdził wielki admirał. - Ale metoda i sposób przeprowadzenia akcji znacznie się różniły od zwyczajów Rebeliantów. Jestem raczej skłonny podejrzewać o to Mazzica; choć do strzegłem też sporo elementów duryjskich, które sugerują, że także grupa Ellora była w to zamieszana.

- Ach tak - powiedział w zadumie kapitan. To stawiało całą sprawę w zupełnie innym świetle. - Rozumiem, że pokażemy im, jaka jest kara za niepokojenie Imperium?

- Niczego bym bardziej nie pragnął - rzekł Thrawn. -1 gdyby Imperium było u szczytu swej potęgi, ani chwili bym się nie wahał. Ale, niestety, w obecnej sytuacji taka reakcja mogłaby nam zaszkodzić. Utwierdzilibyśmy przemytników w niechęci do nas; co więcej, moglibyśmy także sprawić, że najgorszy element z całej galaktyki zacząłby się do nas odnosić z jawną wrogością.

- Ich pomoc i usługi nie są nam teraz tak bardzo potrzebne - zauważył Pellaeon.

- Nasze zapotrzebowanie na przestępców rzeczywiście spadło - przyznał admirał. - Ale to jeszcze nie oznacza, że możemy z nich całkowicie zrezygnować. Jednak w gruncie rzeczy nie to jest najważniejsze. Niebezpieczeństwo polega na tym, że ci ludzie z marginesu doskonale umieją sobie radzić w oficjalnych kręgach bez pozwoleń na taką działalność. Aby ich 176 utrzymać z dala od miejsc typu Bilbringi, musielibyśmy przeznaczyć do tego celu znacznie więcej ludzi, niż możemy sobie teraz na to pozwolić. Pellaeon zgrzytnął zębami.

- Doskonale to rozumiem, panie admirale, ale nie możemy im tak po prostu darować tego ataku.

- I nie darujemy - obiecał cicho Thrawn, a w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski. - A kiedy już zdecydujemy się na odpowiedź, będzie to z jak największą korzyścią dla Imperium. Obrócił swój fotel tak, aby znaleźć się twarzą do centrum stoczni. - A tymczasem...

- WIELKI ADMIRALE THRAWN! Całym mostkiem wstrząsnął potężny okrzyk, który odbił się w pomieszczeniu gromkim echem. Pellaeon obrócił się raptownie, odruchowo sięgając po blaster, którego nie nosił. Z rozwianą brodą i płonącymi oczami, zamaszystym krokiem zbliżał się ku nim Joruu C'baoth. Z całej jego postury była taka wściekłość, że miało się wrażenie, iż zmiecie wszystko na swej drodze. Na podłodze przy wejściu na mostek leżało bezwładnie dwóch szturmowców martwych, lub może tylko nieprzytomnych. Pellaeon nerwowo przełknął ślinę. Wyciągnąwszy rękę, stwierdził z zadowoleniem, że do oparcia fotela wielkiego admirała jest przymocowana rama z isalamirem. Nagle rama uciekła mu spod ręki, gdy Thrawn obrócił krzesło, by znaleźć się twarzą w twarz z mistrzem Jedi.

- Chciałeś ze mną porozmawiać, mistrzu C'baoth?

- Oni zawiedli, Thrawn - warknął starzec. - Słyszysz? Twoi komandosi zawiedli!

- Słyszę - spokojnie skinął głową admirał. - Co zrobiłeś z moimi strażnikami? - dodał, spoglądając w stronę nieruchomych szturmowców.

- To moi strażnicy - oburzył się C'baoth i jego głos ponownie za grzmiał potężnie na całym mostku. Mimo iż wszyscy znali już tę sztuczkę, i tak wypadło to imponująco. -Moi! To ja dowodzę Imperium, wielki admirał Thrawn, a nie ty. Thrawn spojrzął w lewo, gdzie stał oficer odpowiedzialny za lewą burtę statku.

- Proszę się skontaktować z izbą chorych - rozkazał podwładne mu. - Niech przyślą lekarza. Na chwilę serce w Pellaeonie zamarło z obawy, że C'baoth zaprotestuje albo - co gorsza - pozbawi życia także oficera łącznikowego. Ale wyglądało na to, że starzec skupił całą swoją uwagę na admirał.

- Twoi komandosi zawiedli, Thrawn - powtórzył złowróźnie spokojnym tonem.

177 12- Ostatni rozkaz

- Wiem. Zginęli wszyscy oprócz majora, który dowodził całą grupą.

- W takim razie przyszedł czas, bym ja się tym zajął - oznajmił Jedi, prężąc się dumnie. - Zawieziesz mnie na Coruscant. I to natychmiast.

- Dobrze, mistrzu C'baoth - skinął głową Thrawn. - Zapakujemy mój specjalny ładunek, a potem wyruszymy. Starzec wyraźnie był zaskoczony taką odpowiedzią.

- Co takiego? - rzucił ostro, marszcząc czoło.

- Powiedziałem, że gdy tylko specjalny ładunek trafi na „Chimerę” i na pozostałe statki z konwoju, wyruszymy na Coruscant - powtórzył admirał. C'baoth skierował badawczy wzrok na Pellaeona, starając się wyczytać w oczach kapitana informację, której niemogły rozszyfrować jego zmysły Jedi.

- Co to znowu za sztuczka? - warknął, ponownie spoglądając na Thrawna.

- To nie jest żadna sztuczka - zapewnił go admirał. - Doszedłem do wniosku, że nagłe uderzenie w samo serce Rebelii będzie najlepszym sposobem, by zachwiać morale wroga i przygotować go na następną fazę kampanii. I to właśnie będzie to uderzenie. C'baoth wyrzwał przez iluminator i omiół spojrzeniem rozległy obszar stoczni na Bilbringi. Jego wzrok padł na szerniały kadłub niszczyciela gwiazdowego, a potem na asteroidy skupione w centralnej części stoczni...

- Czy to one? - spytał ostrym tonem, wskazując palcem asteroidy. - Czy to jest ten pański ładunek specjalny?

- Jesteś mistrzem Jedi - rzekł Thrawn - więc sam mi powiedz. Starzec zgromił admirała wzrokiem i Pellaeon na chwilę aż wstrzymał oddech. Kapitan wiedział, że Thrawn droczy się z C'baoth'em i była to -w jego mniemaniu - raczej niebezpieczna gra. Jedynych ludzi, którzy dokładnie wiedzieli, co admirał zamierza zrobić z tymi asteroidami, chroniły obecnie isalamiry

- A więc dobrze, wielki admirał Thrawn - odparł starzec. - Zrobię to. C'baoth odetchnął głęboko i przymknął oczy. Na jego twarzy odmalował się ogromny wysiłek umysłowy, jakiego Pellaeon dawno u niego nie widział. Kapitan przyglądał się mistrzowi Jedi, zastanawiając się, co starzec zamierza zrobić... Nagle zrozumiał. Na zewnątrz, wokół asteroid, kręciły się setki oficerów i techników pracujących nad projektem, i każdy z nich snuł jakieś własne przypuszczenia, co do całej operacji. C'baoth kolejno sięgał do ich umysłów, starając się odczytać ich myśli i ułożyć z nich jedną kompletną całość...

- Nie! - zawołał nagle, ponownie zwracając na Thrawna ciskające gromy oczy. - Nie możesz zniszczyć Coruscant. Najpierw muszę dostać moich Jedi. Thrawn potrząsnął głową.

- Nie mam zamiaru niszczyć Coruscant...

- Kłamiesz! - przerwał mu gwałtownie starzec, oskarżycielsko wymachując palcem. - Zawsze mnie okłamujesz. Ale dosyć już tego. Dosyć! Teraz ja dowodzę Imperium i całą jego armią. Uniósł ręce nad głowę; wokół nich rozjarzyły się błękitne ogniki. Pellaeon skulił się mimo woli, przypominając sobie błyskawice, które C'baoth cisnął na nich w krypcie na Waylandzie. Ale tym razem gromy się nie posypały. Mistrz Jedi stał bez ruchu, obejmując rękami puste powietrze i patrzył niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Kapitan obrzucił go zdumionym spojrzeniem i już miał zapytać starca, o co mu właściwie chodzi, gdy przypadkiem zerknął w lewo, na załogę obsługującą lewą część statku. Żołnierze siedzieli wyprostowani sztywno na swoich krzesłach, ręce złożyli nieruchomo na kolanach i pustym wzrokiem wpatrywali się w konsole. Widoczni w głębi oficerowie byli równie sztywni, nieporuszeni i na wszystko obojętni. Załoga obsługująca prawą część statku i żołnierze na tyle mostku znajdowali się w podobnym stanie. Pellaeon zauważył również, że liczne monitory, na których powinny się pojawiać aktualne raporty z innych części statku, także jakby zamarły. Tej właśnie chwili kapitan obawiał się nieustannie od czasu ich pierwszej wizyty na Waylandzie. C'baoth przejął dowodzenie nad „Chimerą”.

- Imponujące - przerwał grobową ciszę Thrawn. - Naprawdę bardzo imponujące. I co teraz proponujesz?

- Chyba nie muszę się powtarzać - rzekł starzec głosem drżącym z napięcia. - Wezmę ten statek na Coruscant, by zabrać moich Jedi, a nie po to, żeby ich zniszczyć.

- Podróż stąd na Coruscant potrwa, conajmniej pięć dni - zauważył chłodno admirał. - I w ciągu tych pięciu dni będziesz musiał utrzymać kontrolę nad trzydziestoma siedmioma tysiącami członków załogi „Chimery”. A właściwie jeszcze dłużej, jeżeli chcesz, by u kresu tej pod różą stoczyli walkę. A jeśli ponadto zdecydujesz, że potrzebne nam będą jakieś pojazdy wspomagające, to liczba ta znacznie się powiększy.

- Wątpisz w potęgę Mocy, admirał Thrawn? - prychnął pogardliwie mistrz Jedi.

- Nie, bynajmniej - odparł admirał. - Ale zwracam ci uwagę na problemy, jakie ty i Moc będziecie musieli rozwiązać, jeśli nie zmienisz zdania. Czy wiesz, na przykład, gdzie stacjonuje broniąca Coruscant flota i ile oraz jakie statki ją tworzą? Czy zastanowiłeś się nad tym, jak unieszkodliwisz orbitalne stacje bojowe i naziemny system obronny? Czy wiesz, kto jest obecnie odpowiedzialny za obronność planety i w jaki sposób użyje dostępnych w danej chwili sił? Czy wzięłeś pod uwagę pole energetyczne Coruscant? Czy wiesz, jak najefektywniej spożytkować możliwości strategiczne i taktyczne imperialnego niszczyciela gwiazdowego?

- Starasz się zamącić mi w głowie - rzucił oskarżycielsko C'baoth. - Twój, a raczej moi ludzie znają odpowiedzi na te wszystkie pytania.

- Na niektóre z nich rzeczywiście tak - przyznał Thrawn. - Ale ty nie będziesz w stanie nauczyć się odpowiedzi, a przynajmniej nie wszystkich i nie w tak krótkim czasie.

- Mam do dyspozycji Moc - powtórzył starzec z irytacją. Ale Pellaeon dostrzegł w jego tonie jakby błagalną nutę. Niczym dziecko, które wpada w złość, choć wie, że nic w ten sposób nie zyska...

- Nie - rzekł ponownie admirał, ale tym razem już łagodnie. Może i on zauważył zmianę w tonie Jedi. - Galaktyka nie jest jeszcze gotowa na to, byś stanął na jej czele,

mistrzu C'baoth. Później, kiedy zostanie już przywrócony ład i porządek, przekażę ci ją, byś nią władał wedle swej woli. Ale ten czas jeszcze nie nadszedł. Przez dłuższą chwilę starzec stał nieruchomo, jedynie widoczne pod gęstą brodą usta poruszały się nieznacznie. Aż wreszcie, z wyraźnym ociąganiem, opuścił ręce; i w tym samym momencie cały mostek wypełniły zduszone westchnienia, pojękiwania i szuranie butów po metalowym pokładzie - załoga została uwolniona z mocy mistrza Jedi.

- Nigdy nie przekażesz mi Imperium - zwrócił się C'baoth do Thrawn. - Na pewno nie z własnej woli.

- To może w dużej mierze zależeć od tego, czy będziesz w stanie utrzymać to, co właśnie staram się odbudować - stwierdził admirał.

- I co nie da się odbudować bez ciebie?

- Ty jesteś mistrzem Jedi - zauważył Thrawn, unosząc brwi. - Spójrz w przyszłość i powiedz, czy widzisz powstanie nowego Imperium beze mnie?

- Widzę wiele możliwych wersji przyszłości - rzekł starzec. - Nie we wszystkich przeżyjesz.

- Wszyscy żołnierze są zdani na taką niepewność - pokiwał głową admirał. - Ale nie o to pytałem. C'baoth uśmiechnął się blade.

- Nie myśl sobie, wielki admirał Thrawn, że moje Imperium nie mogłoby się bez ciebie obyć. Tak naprawdę nie mogłoby się obyć jedynie beze mnie. - Leniwym wzrokiem obrzucił mostek, po czym wyprostował się dumnie. - Ale na razie ciesz się, że poprowadzisz moje siły do bitwy. - Spojrzał ostro na Thrawn. - Możesz dowodzić, ale nie wolno ci zniszczyć Coruscant. Najpierw muszę dostać moich Jedi.

- Jak już wcześniej mówiłem, nie mam zamiaru niszczyć Coruscant - oznajmił admirał. - Strach i spadek morale, jakie wywoła oblężenie, znacznie lepiej posłużą moim celom.

- Naszym celom - poprawił go starzec. - Proszę o tym nie zapominać, admirał.

- Ja o niczym nie zapominam, mistrzu C'baoth - zripostował spokojnie Thrawn.

- To dobrze - rzekł starzec równie spokojnym tonem. - W takim razie może pan wrócić do wypełniania swoich obowiązków. Gdyby mnie pan potrzebował, to będę zajęty rozmyślaniami. Rozmyślaniami nad przyszłością mojego Imperium. Odwrócił się i spokojnym krokiem opuścił mostek. Pellaeon odetchnął głębiej, dopiero teraz uświadamiając sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Admirale...

- Niech się pan skontaktuje z „Niezlomnym”, kapitanie - rozkazał Thrawn, ponownie obracając swój fotel w stronę przyrzędów. - Niech pan powie kapitanowi Dorji, że na najbliższe sześć godzin będę potrzebował pięciuset dodatkowych ludzi. Pellaeon zerknął w lewo, na znajdującą się tam część załogi. Niektórzy z jej członków siedzieli w miarę przepisowo na swoich stanowiskach, gdzieś tam jakiś oficer stał dosyć prosto, opierając się o ścianę. Ale znakomita większość żołnierzy pokładała się bezsilnie na krzesłach, a oficerowie chwiali się na nogach lub nawet leżeli na podłodze i drżeli.

- Tak jest, panie admirał - rzucił kapitan i podszedł do swego krzesła, by włączyć komunikator. - Czy odłoży pan tę operację na Coruscant?

- Jedynie na tak długo, jak to będzie naprawdę konieczne - rzekł Thrawn. - Historia wciąż idzie naprzód, kapitanie. Ci, którzy nie są w stanie nadażyć, zostaną w tyle i będą wszystko obserwować z daleka. - Obejrzał się na drzwi, za którymi zniknął C'baoth. - A tym, którzy staną nam na drodze - dodał cicho - nic nie będzie dane zobaczyć.

ROZDZIAŁ 13

Przybyli na Coruscant w samym środku nocy. Było ich dziesięciu. Przebrani za Jawasów wślizgnęli się niepostrzeżenie tajnym wejściem, które Straż Pałacowa starannie zaplombowała, a które Lukę teraz równie starannie otworzył. Dyskretne przedostanie się na wieżę nie stanowiło żadnego problemu - nikt nie zdążył się jeszcze rozeznąć w gmatwaninie ukrytych przejść Imperatora. W milczeniu wsunęli się za

Lukiem do apartamentu... Han po raz pierwszy w życiu znalazł się twarzą w twarz z istotami, które Leia wybrała do ochrony jej i jej dzieci przed Imperium. Była to grupa Noghrich.

- Witamy cię, lady Vader - odezwał się chropawym głosem pierwszy z szaroskórych obcych, po czym padł na podłogę i rozłożył ręce. Inni zrobili to samo. Można by się spodziewać, że wykonanie tego gestu w wąskim wejściu do apartamentu okaże się niemożliwe czy choć by niezręczne - ale w przypadku Noghrich wcale tak to nie wyglądało, co niewątpliwie świadczyło o ich wyjątkowej zręczności. - Jestem Kakhaim, wojownik z klanu Eikh'mir - ciągnął Noghri z twarzą tuż przy podłodze. - Stoję na czele straży honorowej Mal'ary'ush. Prag niemy ci służyć i strzec twojego bezpieczeństwa, nawet za cenę nasze go życia.

- Możecie wstać - rzekła Leia iście królewskim tonem. Han zerknął ukradkiem na żonę i zauważył, że wyraz jej twarzy i cała postawa są równie uroczyście. Zazwyczaj taki władczy stosunek natychmiast budził w nim odruch sprzeciwu i buntu, ale u Leii to go nie raziło. - Jako Mal'ary'ush przyjmuję waszą służbę. Noghri podnieśli się z podłogi równie bezszelestnie, jak wcześniej na nią padli.

- To mój zastępca, Mobvekhar z klanu Hak'khar - oznajmił Kakhaim, wskazując Noghriego stojącego po jego prawej stronie. - On będzie dowodził drugą strażą.

- Mój mąż, Han Solo - dopełniła prezentacji księżniczka, wskazując ręką na Hana. Kakhaim zwrócił ku niemu twarz i Solo zmusił się do tego, by odsunąć dłoń od blastera.

- Witamy cię - rzekł obcy chropawym głosem. - Jesteśmy zaszczyceni, mogąc poznać małżonka lady Vader. „Małżonka?”. Han posłał Leii zdumione spojrzenie. Jej twarz nadal była poważna, ale Solo zauważył, że na jej ustach igra pełen rozbawienia uśmiech.

- Dziękuję - mruknął. - Mnie również miło was poznać.

- Khabarakhu. - Księżniczka wyciągnęła rękę do następnego z Noghrich. - Cieszę się, że cię znowu widzę. Mam nadzieję, że matrah twojej rodziny czuje się dobrze?

- Tak, bardzo dobrze, pani - odparł obcy i wystąpiwszy z szeregu, ujął dłoń Leii. - Przesyła ci pozdrowienia, a także ponownie zapewnia o swoim oddaniu. Drzwi za plecami Noghrich się otworzyły i do środka wszedł Chewbacca.

- Jakieś kłopoty? - spytał go Han, ciesząc się, że coś zakłóciło te powitalne uprzejmości. Wookie zamruczał przecząco i zlustrował wzrokiem grupkę obcych. Zauważył Khabarakha i podszedł, by się z nim przywitać.

- Kogo oprócz ciebie mamy chronić, lady Vader? - chciał wiedzieć Kakhaim.

- Moją towarzyszkę, Winter, i moje bliźnięta - odparła księżniczka. - Chodźcie, pokażę ich wam. Ruszyła w stronę sypialni, a Kakhaim i Mobvekhar zajęli miejsca u jej boku. Reszta obcych rozproszyła się po apartamencie, zwracając szczególną uwagę na ściany i drzwi. Chewbacca i Khabarakh razem skierowali się do pokoju Winter, prowadząc po cichu jakąś rozmowę.

- W dalszym ciągu nie jesteś zadowolony, prawda? - odezwał się Luke, stając tuż za plecami Hana.

- Mówiąc prawdę: nie - przyznał Solo, spoglądając za Chewbaccą i Khabarakhiem. - Ale chyba nic nie da się na to poradzić.

- Ty i Chewie moglibyście tutaj zostać - podsunął Skywalker, wzruszając ramionami. - Lando, Mara i ja sami możemy pojechać na Wayland.

- A może lepiej weźcie Noghrich ze sobą - rzucił cierpko Han. - Tam przynajmniej nie musielibyście się martwić o to, że ktoś ich zauważy.

- Tutaj też nikt nas nie zobaczy - oznajmił mu tuż nad uchem miaukliwy głos. Solo aż podskoczył i obrócił się raptownie, kładąc rękę na blasterze. Tuż obok jego ramienia stał Noghri, choć Han chwilę temu mógłby przysiąc, że w pobliżu nie ma żadnego z tych niewysokich obcych.

- Czy zawsze tak się podkradacie do ludzi? - rzucił ostro.

- Proszę mi wybaczyć, małżonku lady Vader - rzekł Noghri, skłaniając głowę. - Nie chciałem nikogo urazić.

- To wspaniali myśliwi - szepnął Lukę.

- Tak, słyszałem o tym - odparł Han, odwracając się do przyjaciela. Umiejętności Noghrich rzeczywiście były imponujące, ale nie był do końca przekonany, że ci obcy faktycznie są w stanie ochronić Leię i dzieci. - Słuchaj, Lukę...

- Han, oni są w porządku - rzucił cicho Skywalker. - Naprawdę. Leia już raz zawierzyła im swoje życie.

- Tak... - mruknął Solo i starając się odsunąć od siebie wizję żony i dzieci w rękach Imperium... - Nie mieliście żadnych kłopotów na lotnisku?

- Najmniejszych - zapewnił go Jedi. - Wedge i jeszcze kilku pilotów z Żelaznego Dywizjonu czekało tam w charakterze eskorty, a Chewie podprowadził statek pod osłonę. Nikt też nie widział, jak wchodziliśmy do pałacu.

- Mam nadzieję, że zaplombowałeś za sobą drzwi? Jeśli dostanie się do środka kolejny oddział imperialny, to Leia będzie miała pełne ręce roboty.

- Drzwi są zamknięte, ale nie zaplombowane - odparł Lukę. - Kakhaim je za nami zaplombuje. Han obrzucił przyjaciela zdumionym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że mamy iść już teraz? - spytał podejrzliwie.

- A widzisz jakiś lepszy moment? - odparował Skywalker. - No wiesz, Noghri już tu są, a „Sokół” czeka załadowany i gotowy do drogi. A poza tym aż do rana nikt najprawdopodobniej nie zauważy nieobecności Mary. Solo spojrzał sponad ramienia Luke'a na Leię, która właśnie wyłoniła się z sypialni w eskorcie Noghrich. Musiał przyznać, że Skywalker ma rację, ale jednocześnie liczył na to, że będą mieli z żoną trochę czasu dla siebie. Tylko, że przez ten czas Imperium zdąży wyprodukować jeszcze więcej klonów...

- No dobrze - mruknął gderliwie, robiąc niezadowoloną minę. - Jasne. Czemu nie?

- Wiem, o czym myślisz - rzucił Jedi współczująco. -1 bardzo mi przykro.

- Nie ma sprawy. Jak masz zamiar to zrobić?

- Ja i Lando pójdziemy wydostać Marę - odparł Lukę, ponownie przybierając zasadniczy ton. Zauważył, że Han nie jest teraz w nastroju do odbierania wyrazów współczucia. - Ty i Chewie weźmiecie „Sokoła” i po nas przyleciecie. I nie zapomnijcie zabrać robotów.

- Jasne - rzucił Solo, krzywiąc się z niesmakiem. Nie dość na tym, że jest zmuszony zostawić Leię i bliźnięta, by się włamać do kolejnej imperialnej fortecy, to musi jeszcze wlec ze sobą tego przemądrzałego Threepia z jego trzęsącą się, metalową głową. Coraz lepiej, nie maco! - Masz ten rygiel ograniczający, który przygotował Chewie?

- Tak, tutaj - skinął głową Skywalker, klepiąc się po kieszeni. - Wiem też, gdzie go przymocować.

- Tylko go nie zgub - przestrzegł Han. - Jeśli raz rozdrażnisz robota wartowniczego, to potem będziesz musiał urwać mu głowę, by go uciszyć.

- Rozumiem. Spotkamy się w miejscu, gdzie ukryliśmy statek Noghrich. Chewbacca wie, gdzie to jest. - Lukę się odwrócił i ruszył w stronę drzwi.

- Powodzenia powiedział półgłosem Solo. Odwracając się, drgnął... - A na co ty się gapisz? - rzucił ostro. Stojący przed nim Noghri skłonił głowę.

- Nie chciałem cię urazić, małżonku lady Vader - zapewnił gorąco i powrócił do studiowania ściany. Han skrzywił się z niechęcią i rozejrzał się w poszukiwaniu Leii. Dobrze, wyjedzie dziś w nocy; ale najpierw musi się pożegnać z żoną. I to na osobności. Imperator uniósł ręce i posłał w swoich wrogów kaskady niebiesko-białego ognia. Obaj mężczyźni zachwiali się w wyniku tego ataku i w Marze zrodziła się nadzieja, że tym razem finał będzie inny. Ale nie. Vader i Skywalker wyprostowali się i wydawszy elektronicznie brzmiący okrzyk wściekłości, unieśli wysoko miecze świetlne... Mara obudziła się raptownie i machinalnie wsunęła rękę pod łóżko w poszukiwaniu blastera, którego tam nie było. Ciągle jeszcze słyszała okrzyk ze snu. Był to sygnał alarmowy nadawany przez robota wartowniczego, który stał za drzwiami. Ale alarm ucichł nagle... Po przeciwnej stronie pokoju zamek w drzwiach puścił z cichym szcękaniem. Dziewczyna namacała pod łóżkiem notes elektroniczny, który czytała przed snem... i

kiedy drzwi się otworzyły, cisnęła nim z całej siły w stojącą w nich ciemną postać. Prowizoryczny pocisk nie zdołał osiągnąć celu. Tajemniczy osobnik uniósł rękę i notes po prostu zawisł w powietrzu.

- Maro, wszystko w porządku - szepnął, wchodząc do pokoju. - To tylko ja, Lukę Skywalker. Dziewczyna zmarszczyła w napięciu brwi, sięgając umysłem w kierunku intruza. Rzeczywiście, był to Skywalker.

- Czego chcesz? - spytała ostro.

- Przyszliśmy, żeby cię stąd wydostać - odparł Jedi. Podeszedł do biurka i zapalił małą lampkę. - Pospiesz się, musisz się ubrać.

- Czyżby? - rzuciła szyderczo, mrużąc oczy, które jeszcze nie zdążyły przywyknąć do światła. - A może powiesz mi łaskawie, dokąd mamy iść?

- Jedziemy na Wayland - oznajmił lekko zdziwionym tonem. - Powiedziałaś Leii, że zdołasz odnaleźć to miejsce.

- Istotnie, tak jej powiedziałam - przyznała dziewczyna, posyłając mu zdumione spojrzenie. - Ale czy kiedykolwiek twierdziłam, że was tam zaprowadzę?

- Maro, musisz to zrobić - rzekł Skywalker. W jego głosie zabrzmiała nuta gorącego idealizmu, który ją w nim zawsze tak denerwował. Tym samym tonem przekonał ją na Jomarku, by nie zabijała tego szalonego Joruusa C'baotha. - Grozi nam wybuch nowych wojen klonowych. Musimy temu zapobiec.

- No to zapobiegaj - odparowała. - To nie jest moja wojna, Skywalker. Ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wymówiła te słowa odruchowo. Od chwili, gdy powiedziała Organie Solo o skarbcu Imperatora, ustawiła się w tej wojnie po stronie tych ludzi, niejako godząc się na to, że zrobi wszystko, o co ją poproszą. Nawet gdyby to miało oznaczać, że będzie musiała osobiście zawieźć ich na Wayland. Dysponując dobrze wyćwiczonymi zmysłami Jedi, Skywalker musiał to odczuć. Na szczęście miał tyle taktu, by jej tego nie powiedzieć prosto w oczy.

- No dobra - mruknęła, spuszczając nogi z łóżka. - Poczekaj za drzwiami; zaraz będę gotowa. Ubierając się, miała czas na to, by dzięki pewnemu opanowaniu Mocy zlustrować teren. Dlatego też, kiedy wyszła z pokoju, widok czekające go razem ze Skywalkerem Calrissiana nie zaskoczył jej. Jednakże zadziwił ją stan, w jakim znajdował się robot wartowniczy. Sądząc po tym, jak nagle urwał elektroniczny wrzask, spodziewała się zastać robota w kawałkach; ten jednak stał nietknięty przy drzwiach, drżąc nieznacznie z mechanicznej złości czy może frustracji.

- Założyliśmy mu rygiel ograniczający - wyjaśnił Lukę, odpowiadając na nieme pytanie Mary. Przyjrawszy się uważniej, dziewczyna dostrzegła płaskie urządzenie przymocowane do boku robota.

- Nie sądziłam, że można uciszyć robota wartowniczego.

- Nie jest to łatwe, ale Han i Chewie znają pewien sposób - odparł Skywalker, kiedy wszyscy troje skierowali się w stronę wind sieciowych. - Doszli do wniosku, że to ułatwi włamanie do więzienia. Włamanie do więzienia. Mara zerknęła z boku na Skywalkera i nagle ujrzała całą tę sprawę w zupełnie innym świetle. Oto Lukę Skywalker, rycerz Jedi, bohater Rebeliantów, ostoja i... I właśnie ten człowiek przeciwstawił się przed chwilą wszystkim członkom władz Nowej Republiki, łącznie z Mon Mothmą, aby ją, Marę Jadę, wydostać z więzienia. Jakaś przemytniczkę, wobec której nie ma żadnych zobowiązań, a która na dodatek zapowiedziała, że go zabije. A wszystko dlatego, że wiedział, co należy zrobić. I miał nadzieję, iż ona mu w tym pomoże.

- Niezła sztuczka - rzuciła półgłosem. Zerknęła w boczny korytarz, który właśnie mijali, czujna na ewentualną obecność strażników. - Muszę poprosić Solo, żeby mnie jej nauczył. Calrissian posadził skuter powietrzny w miejscu, które wyglądało na stare, prywatne lądowisko. „Sokół Milenium” już tam stał, a wyraźnie podenerwowany Chewbacca czekał na nich przy otwartym luku.

- Najwyższy czas - stwierdził Solo, kiedy Mara ukazała się za Skywalkerem w drzwiach kabiny pilota. Dziewczyna zauważyła, że ledwie zdążyli wejść na pokład,

statek już oderwał się od ziemi. Widocznie Han musiał być równie zdenerwowany, co Wookie. - No dobra, Maro, dokąd lecimy?

- Obierz kurs na Obroaskai - odparła Jade. - To było podczas tej podróży ostatnie miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy przed dotarciem na Wayland. Mam nadzieję, że zdążę odtworzyć resztę trasy, nim tam dolecimy.

- Oby - rzucił Han i pochylił się, by wstukać odpowiednie dane do komputera. - Lepiej zapnijcie pasy: gdy tylko znajdziemy się w odpowiedniej odległości od planety, wykonamy skok w nadprzestrzeń. Mara usiadła za jego plecami w fotelu dla pasażera, a Lukę zajął miejsce obok niej.

- Jaki oddział uderzeniowy ze sobą zabieramy? - spytała, zapinając pasy.

- Znasz jego skład - burknął Solo. - Ty, ja, Lukę, Lando i Chewie.

- Ach tak - szepnęła, nerwowo przetykając ślinę. Ich pięcioro przeciwko systemowi obrony, jakim Thrawn zabezpieczył swoją najważniejszą bazę wojskową. Wspaniale. - Jesteś pewien, że nie postępujemy w tej sytuacji niehonorowo? - zagadnęła z sarkazmem w głosie.

- Na Yavinie wcale nie było nas dużo więcej - zauważył Han. - Podobnie zresztą jak pod Endorem. Spojrzała groźnie na tył jego głowy, chcąc wzbudzić w sobie gniew i nienawiść. Ale czuła jedynie nieznaczny i dziwnie odległy ból.

- Twoja pewność siebie działa niesamowicie uspokajająco - stwierdziła zgryźliwie.

- Zaskakując przeciwnika, można zyskać sporą przewagę - rzekł Solo, wzruszając ramionami. - Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowie dział o tym, jak udało nam się wydostać z Hoth. - Za nimi otworzyły się drzwi i do kabiny wszedł Chewbacca. - Czy tam już wszystko w po rządku? - zwrócił się do niego Han. Wookie zaryczał coś w odpowiedzi, co miało zapewne oznaczać potwierdzenie.

- To dobrze. Sprawdź szybko amortyzatory aluwiálne: niedawno coś w nich iskrzyło. Dał się słyszeć kolejny krótki ryk i Wookie wrócił do pracy.

- Aha, Lukę, żebym nie zapomniał - dodał Solo. - Ty jesteś odpowiedzialny za te roboty tam z tyłu. Nie chcę widzieć, że Threepio przy czymś majstruje, chyba, że będzie z nim Chewie albo Lando. Jasne?

- Jasne - zapewnił przyjaciela Skywalker. A widząc pytające spojrzenie Mary, wyjaśnił:

- Threepio ma niekiedy za dużo czasu i w związku z tym zainteresował się majsterkowaniem.

- Tyle że nie bardzo mu to wychodzi - stwierdził cierpko Han. - No dobra, Chewie, przygotuj się. Teraz... Pociągnął za dźwignie napędu nadprzestrzennego. Widoczne przez iluminator gwiazdy ustąpiły miejsca świetlnym smugom... i już byli w drodze. Ich pięcioro w drodze ku imperialnej warowni, którą mieli zamiar zdobyć. Mara zerknęła na Skywalkera. I pomyśleć, że jedyną osobą, która jej ufała, był człowiek, którego musiała zabić.

- Han, dowodzisz po raz pierwszy od czasu twojej rezygnacji - przerwał ciszę Lukę.

- Tak - rzucił Solo przez zęby. -1 miejmy nadzieję, że nie ostatni.

- Kapitanie, przybyła grupa bojowa „Wojownika”! - zawołał w stronę mostka „Chimery” oficer łącznościowy. - Kapitan Aban melduje, że wszystkie statki są gotowe do bitwy i czeka na ostatnie rozkazy.

- Proszę mu je przekazać, poruczniku- polecił Pellaeon, spoglądając na widoczną za iluminatorem nową grupę światła pozycyjnych, które się właśnie pojawiły po prawej stronie statku. Kapitan starał się stłumić w sobie narastające poczucie zagrożenia, obeszładniającego niczym kłęby trującego dymu. To bardzo dobrze, że Thrawn wybrał do swojej akcji na Coruscant- która miała mieć formę większego ataku z doskoku - samą śmietankę imperialnych sił zbrojnych; Pellaeona martwił jednak fakt, że ów nalot wcale może się tam nie skończyć. Na pokładzie „Chimery” był C’bath, a ostatnimi czasy jego jedynym pragnieniem było pojmanie Leii Organy Solo i jej bliźniąt. Starzec już udowodnił, że potrafi przejąć całkowitą kontrolę nad „Chimerą” i jej załogą, i sztuczka ta spowodowała opóźnienie całej akcji o kilka godzin. Gdyby C’bath

postanowił zrobić coś takiego ponownie w trakcie trwania bitwy pod Coruscant... Pellaeon wzdrygnął się na wspomnienie straszliwej porażki Imperium pod Endorem. Uległa tam zagładzie druga Gwiazda Śmierci, a także superniszczyciel gwiazdny Vadera „Egzekutor”, a na jego pokładzie sam kwiat imperialnych oficerów. Jeśli ingerencja C’baotha doprowadzi do podobnej klęski... Jeśli Imperium straci zarówno wielkiego admirała Thrawn, jak i swój najlepszy niszczyciel gwiazdny... to być może już nigdy nie zdoła się podnieść po takim ciosie. Kapitan wciąż jeszcze spoglądał przez iluminator na gromadzące się wokół siły zbrojne, gdy usłyszał za plecami szmer niepokoju. Jeszcze zanim się odwrócił, odgadł, co go wywołało. Na mostku zjawiał się C’baoth. Krzesło dowodzenia Pellaeona i rozciągnięty na nim isalamir znajdowały się kilkanaście długich kroków od miejsca, w którym kapitan stał - zbyt daleko, by mógł się tam zbliżyć, nie wzbudzając przy tym podejrzeń. W pobliżu nie było też żadnego z pozostałych, rozmieszczonych na mostku isalamirów. Zresztą nie wypadało, żeby Pellaeon zmykał na oczach swój ej załogi jak przestraszone zwierzę, nawet gdyby mistrz Jedi mu na to pozwolił. A jeśli C’baoth postanowi go sparaliżować, tak jak to zrobił z resztą załogi na Bilbringi... Kapitan przeszedł zimny dreszcz. Widział raporty lekarzy na temat tych, którzy wtedy trafili do szpitala, i wcale nie miał ochoty doświadczyć tego samego. Pomijając już ból i związane z całą sprawą rozchwianie emocjonalne, takie publiczne upokorzenie wpłynęłoby bardzo negatywnie na jego pozycję jako dowódcy statku. Miał nadzieję, że zaspokoi żądania starca, nie musząc zachowywać się ulegle i służalczo. Odwrócił się twarzą do zbliżającego się mistrza Jedi; przemknęła mu przez głowę myśl, czy Imperator rozpoczął swoje starania o władzę w ten właśnie sposób, bazując na ludzkim lęku przed poniżeniem.

- Mistrzu C’baoth - skinął z powagą głową. - W czym mogę ci pomóc?

- Chcę, żeby natychmiast przygotowano dla mnie statek - oznajmił starzec. W jego oczach płonął jakiś dziwny ogień. - O odpowiednio dużym zasięgu, bym mógł dotrzeć nim na Wayland.

- Na Wayland? - zdumiał się Pellaeon.

- Tak - potwierdził C’baoth i wyjrzał przez iluminator. - Już dawno mówiłem wam, że obejmę tam dowództwo. I teraz właśnie przyszedł na to czas. Kapitan zebrał się w sobie.

- Miałem wrażenie, że zgodziłeś się towarzyszyć nam w ataku na Coruscant...

- Zmieniłem zdanie - przerwał mu ostro starzec. Ostro, ale z wyraźnym roztargnieniem.

- Czy coś się stało na Waylandzie? - zainteresował się Pellaeon. C’baoth spojrzął na niego i kapitan odniósł wrażenie, że mistrz Jedi tak naprawdę dopiero teraz go zauważył.

- To, co się dzieje na Waylandzie, to nie pańska sprawa, kapitanie Pellaeon - stwierdził. - Pan ma jedynie za zadanie przygotować dla mnie statek. - Ponownie wyjrzał przez iluminator. - Czy też sam mam go sobie wybrać? Uwagę Pellaeona zwróciło jakieś poruszenie na tyle mostka: właśnie przybył ze swej prywatnej kabiny dowodzenia wielki admirał Thrawn, by nadzorować ostatnie przygotowania do ataku na Coruscant. Kapitan zauważył, że Thrawn szybkim spojrzeniem gorejących czerwonych oczu obrzucił całą scenę; dostrzegł obecność C’baotha i na moment zatrzymał wzrok na twarzy Pellaeona. Następnie skinął głową i zaraz podszedł do niego szturmowiec niosący na plecach ramę z isalamirem. Razem ruszyli naprzód. Mistrz Jedi nawet nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić.

- Ma pan przygotować dla mnie statek, admiralie - rzekł głośno. - Chcę jechać na Wayland. I to natychmiast.

- Coś podobnego - rzucił Thrawn, podchodząc do Pellaeona. Szturmowiec zajął miejsce dokładnie pośrodku między mężczyznami i kapitan znalazł się wreszcie w sferze oddziaływania isalamira, gdzie nie docierała Moc. - A czy wolno spytać, dlaczego?

- Mam po temu swoje powody - odparł tajemniczo C’baoth. - Czy chce je pan zakwestionować? Przez dłuższą chwilę Pellaeon obawiał się, że Thrawn podejmie rzucone mu wyzwanie.

- Bynajmniej - rzekł w końcu admirał. - Jeśli chcesz jechać na Wayland, to naturalnie możesz to zrobić. Poruczniku Tschel?

- Słucham, panie admirale? - odezwał się stojący w lewej części mostka młody oficer, prężąc się słuźbiście.

- Niech się pan skontaktuje ze „Strzałą Śmierci”-rozkazał Thrawn. - Proszę poinformować kapitana Harbida, że gwiazdny galeon „Draklor” ma się odłączyć od swojej grupy i przejść pod moje rozkazy. Ma na nim być tylko załoga; ja dostarczę żołnierzy i pasażerów.

- Tak jest, panie admirale - rzekł Tschel i podeszedł do stanowiska łączności.

- Nie prosiłem o żołnierzy, Thrawn - stwierdził starzec. Jego twarz wyrażała zarówno rozdrażnienie, jak i podejrzliwość. - Ani o innych pasażerów.

- Już od jakiegoś czasu planowałem wysłać generała Covella, by objął dowództwo nad garnizonem w górze Tantiss - oznajmił admirał. - Chciałem też wzmocnić siły stacjonujących już tam żołnierzy. I myślę, że to będzie doskonała okazja. C'baoth popatrzył na Pellaeona, potem ponownie przeniósł wzrok na Thrawna.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Ale to będzie mój statek, a nie Covella. Ja będę wydawał rozkazy.

- Oczywiście, mistrzu C'baoth - uspokoił go admirał. - Poinformuję o tym generała.

- Dobrze. - Starzec poruszał nerwowo widocznymi pod długą białą brodą ustami i kapitan przez chwilę się obawiał, że C'baoth znów straci panowanie nad sobą. Mistrz przechylił głowę na bok, ale za moment się uspokoił. - Dobrze - powtórzył oschle. - Będę w swoim pokoju. Proszę mnie zawiadomić, gdy mój statek będzie już gotowy.

- Wedle życzenia - skinął głową Thrawn. Mistrz Jedi posłał im obu przeszywające spojrzenia, po czym odwrócił się i odszedł.

- Kapitanie, proszę zawiadomić generała Covella o tej zmianie planów - zwrócił się Thrawn do Pellaeona, obserwując, jak C'baoth przemierza mostek. - W komputerze znajduje się lista żołnierzy i członków załogi, którzy mają służyć za wzorce do klonowania; adiutanci Covella mają dopilnować, by wszyscy ci ludzie znaleźli się na pokładzie „Draklora”. A razem z nimi kompania najlepszych żołnierzy generała. Pellaeon spojrzął z boku na Thrawna, marszcząc brwi. Wojska Covella - a także sam generał - zostały przydzielone do tego, by wspomóc siły uderzeniowe na Qat Chrystak.

- Myśli pan, że góra Tantiss znajduje się w niebezpieczeństwie? - spytał.

- Nie sądzę, by istniało jakieś poważne zagrożenie - odparł admirał. - Choć oczywiście jest możliwe, że nasz jasnowidzący mistrz Jedi rzeczywiście coś dostrzegł - chociażby jakiś niepokój wśród tubylców. Lepiej nie ryzykować. Pellaeon spojrzął przez iluminator na gwiazdę, która była słońcem Coruscant.

- Czy to może mieć jakiś związek z Rebeliantami?

- To mało prawdopodobne. Dotychczas nic nie wskazuje na to, by cokolwiek wiedzieli o istnieniu Waylandu, nie mówiąc już o jakiejś wy mierzanej przeciw temu miejscu akcji. Jeżeli zaistnieje taka sytuacja - o ile w ogóle się to zdarzy - powinniśmy się o tym dowiedzieć odpowiednio wcześniej.

- Poprzez Źródło Delta.

- A także normalnymi kanałami wywiadu. - Thrawn uśmiechnął się nieznacznie. - Wciąż nie daje panu spokoju fakt, że otrzymuje pan informacje ze źródła, którego pan nie zna, prawda?

- Tak, w pewnym sensie jest to prawda - przyznał kapitan.

- Niech pan to potraktuje jako sposób budowania pańskiego zaufania - stwierdził Thrawn. - Pewnego dnia przekażę Źródło Delta w pańskie ręce. Ale jeszcze nie teraz.

- Tak jest, panie admirale. - Pellaeon odwrócił głowę, spoglądając w kierunku, gdzie niedawno zniknął mistrz Jedi. Cały czas nie dawała mu spokoju jakaś myśl związana z C'baoth'em i Waylandem...

- Coś pana niepokoi, kapitanie - zagadnął go Thrawn.

- Nie podoba mi się to, że on będzie w środku góry Tantiss, admirale - stwierdził Pellaeon, potrząsając głową. - Nie umiem powiedzieć, dlaczego, ale jakoś mi się to nie podoba. Thrawn podążył za jego wzrokiem.

- Ja bym się tym nie martwił - powiedział cicho. - A właściwie to jest to raczej wyjście z sytuacji niż problem.

- Nie bardzo rozumiem?

- Wszystko w swoim czasie, kapitanie - rzekł admirał z uśmiechem. - No, ale teraz przejdźmy do spraw bieżących. Czy okręt admirałski jest gotów? Pellaeon odpedził od siebie dręczące go myśli? Teraz, kiedy mieli przed sobą centrum Rebelii, nie było czasu na jakieś nieokreślone lęki.

- „Chimera” oczekuje na pańskie rozkazy, admirale - odparł służbiście.

- Doskonale. - Thrawn powiódł wzrokiem po mostku, po czym znowu spojrzał na podwładnego. - Niech się pan upewni, czy reszta sił uderzeniowych też jest gotowa i proszę zawiadomić dowódców, że za czekamy, aż „Draklor” oczyści teren. - Wyrzwał przez iluminator. - A potem - dodał cicho - przypomnimy Rebeliantom, czym naprawdę jest wojna.

ROZDZIAŁ 14

Mara i Lukę stali w milczeniu, czekając, aż zbliży się do nich ciemna postać ubrana w płaszcz z kapturem, z mieczem świetlnym w dłoni. Za nią widać było starca; oczy płonęły mu szaleństwem, a z jego rąk tryskały niebieskie błyskawice. Osobnik w płaszczu zatrzymał się i podniósł broń. Lukę odsunął się od Mary i unióś swój miecz świetlny; jego umysł wypełniał strach i przerażenie... W pokoju rozległo się dochodzące z korytarza wycie syren alarmowych, wybijając Leię ze snu; senny koszmar rozproszył się w mozaikę wyrazistych obrazów. W pierwszej chwili księżniczka pomyślała, że alarm ma związek z Lukiem i Marą; potem przemknęło jej przez głowę, że do pałacu dostał się kolejny oddział imperialnych komandosów. Ale kiedy rozbudziła się na tyle, by rozpoznać natężenie sygnału alarmowego, uświadomiła sobie, że sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej. Na Coruscant przypuszczono atak. Leżące w drugim końcu pokoju bliźnięta zaczęły płakać.

- Winter! - zawołała Leia. Chwyciła ubranie i skierowała ku dzieciom pełne otuchy i pocieszenia myśli. Winter już stała w drzwiach i kończyła się właśnie ubierać.

- To alarm bitewny - poinformowała, przekrzykując wycie syren.

- Wiem - stwierdziła księżniczka, przewiązując się paskiem. - Muszę natychmiast iść do centrum dowodzenia.

- Rozumiem - rzekła Winter, wpatrując się uporczywie w jej twarz. - Czy dobrze się pani czuje?

- Po prostu miałam dziwny sen - odparła Leia, pospiesznie wkładając półbuty. Przenikliwa Winter zawsze coś takiego zauważy, nawet w największym zamieszaniu. - Lukę i Mara toczyli z kimś walkę. I nie wydaje mi się, by liczyli na zwycięstwo.

- Jest pani pewna, że to był tylko sen? Księżniczka zagryzła wargi, sznurując buty.

- Nie wiem - przyznała niechętnie. Jeśli to nie był sen, a wizja Jedi... - Nie, to musiał być sen - powiedziała z przekonaniem. - Już z przestrzeni Lukę byłby w stanie stwierdzić, czy jest tam C'baoth albo jakiś inny Ciemny Jedi. W takim wypadku nie ryzykowałby kontynuowania tej misji.

- Mam nadzieję - rzuciła Winter. Ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Nie martw się tym - próbowała ją pocieszyć Leia. - To był pewnie tylko zły sen, sprowokowany dźwiękiem alarmu. - I wyrzutami sumienia - dodała w duchu, żalując, że w ogóle pozwoliła Hanowi i Luke'owi jechać na Wayland. - Zajmij się bliźniętami, dobrze?

- Będziemy ich pilnować. „Będziemy?” Księżniczka rozejrzała się ze zdziwieniem, dopiero teraz dostrzegając Mobvekhara i dwóch innych Noghrich, którzy zajęli miejsca w cieniu otaczającym kołyskę. Miała pewność, że kiedy szła do łóżka, nie było ich tam;

a zatem musieli się tu wślizgnąć z salonu w chwili, gdy tylko rozległ się alarm. I ona tego nie zauważyła.

- Może pani iść bez obaw, lady Vader - zapewnił ją z powagą Mobvekhar. - Pani potomkom nie stanie się żadna krzywda.

- Wiem - odparła Leia z przekonaniem. Chwyciła z szafki komunikator, przez chwilę wahała się, czy nie zasięgnąć jakichś informacji, ale w końcu wsunęła urządzenie do kieszeni: personel centrum dowodzenia na pewno nie miał teraz czasu wyjaśniać całej sytuacji jakiemuś cywilowi. Zresztą i tak wkrótce się dowie, co się dzieje. - Wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe - zwróciła się do Winter i chwyciwszy miecz świetlny, wyszła z pokoju. Na korytarzu roito się od najrozmaitszych osobników. Niektórzy gnali gdzieś pospiesznie w swoich interesach, inni kręcili się w kółko zdezorientowani, dopytując się strażników, co się dzieje. Leia minęła strażników i, przeciskając się między grupkami żywo dyskutujących ludzi, dołączyła wreszcie do garstki jeszcze potarganych po śnie adiutantów wojskowych, którzy spieszyli w stronę wind sieciowych. Kiedy księżniczka tam dotarła, pełna już kabina akurat szykowałą się do odjazdu; dwaj mężczyźni, rozpoznawszy radną Organę Solo, natychmiast ustąpili jej miejsca. Drzwi się zamknęły, niemal przycinając dwóch ubranych w brązowe szaty Jawasów, którzy w ostatniej chwili beczelnie wepchnęli się do środka, i winda ruszyła w dół. Całe niższe piętro pałacu przeznaczono na operacje wojskowe; na krańcach znajdowały się biura oficerów pomocniczych, dalej gabinety Ackbara, Draysona i innych dowódców, a w samym centrum obszar o największym znaczeniu strategicznym. Księżniczka zameldowała się przy stanowisku kontrolnym, minęła dwóch potężnych strażników-Wookiech i przez automatycznie otwierane drzwi weszła do centrum dowodzenia. Minęło zaledwie kilka minut od chwili, gdy rozległ się alarm, a po sali już krzątała się cała rzesza ledwie rozbudzonych oficerów i adiutantów, którzy pospiesznie zajmowali swoje pozycje bojowe. Jeden rzut oka na główny monitor kontrolny wystarczył, by stwierdzić, że to poruszenie było w pełni uzasadnione: w Sektorze Czwartym, wokół wektora jeden-jeden-sześć, pojawiło się osiem imperialnych krążowników przechwytyjących. Wytwarzane przez nie stożki nadgenerujące zakłócenia pola grawitacyjnego, blokowały wszelki ruch wokół rejonu Coruscant. Na oczach Leii w centrum grupy pojawiły się nowe statki: jeszcze dwa krążowniki przechwytyjące oraz eskorta złożona z ośmiu pancerników z Floty Katańskiej.

- Co tu się dzieje? - odezwał się tuż za jej plecami jakiś obcy głos. Odwróciwszy się, księżniczka zobaczyła młodego mężczyznę - a właściwie jeszcze chłopca- który stał, drapiąc się po zmierzwionej czuprynie, wpatrzony w hologram taktyczny. W pierwszej chwili go nie poznała, ale zaraz otworzyła się jakaś klapka w jej pamięci. To Ghent, przysłany przez Karrde'a człowiek od łamania szyfrów; miał im pomóc w rozgryzieniu tego elektronicznego włamania do banku, dzięki któremu Imperium zdołało pogrążyć admirała Ackbara. Zupełnie zapomniała, że chłopak wciąż tu jest.

- Zaatakowało nas Imperium - wyjaśniła.

- Aha - rzucił. - Czy wolno im zrobić coś takiego?

- Mamy wojnę - przypomniała mu łagodnie Leia. - A w czasie wojny możesz zrobić wszystko, jeśli tylko druga strona nie zdoła cię powstrzymać. A tak w ogóle, to jak się tu dostałeś?

- No jakiś czas temu rozszyfrowałem kod wejściowy. -Ghent machnął niedbale ręką, nie spuszczając oczu z monitora kontrolnego. - Ostatnio nie miałem zbyt wiele do roboty. Nie możecie ich powstrzymać?

- Naturalnie spróbujemy- stwierdziła ponuro księżniczka, rozglądając się po sali. W przeciwnym końcu, za konsolą dowodzenia, do strzegła generała Rikana. - Nie płacz się pod nogami i niczego nie dotykaj. Zrobiła dwa kroki w kierunku Rikana, gdy nagle rozjaśniło jej się w głowie. Ghent, który rozszyfrował wysoce skomplikowany kod wejściowy, gdyż nie miał nic lepszego do roboty...Odwróciła się raptownie i chwyciła chłopaka za ramię.

- Wiesz co, lepiej chodź ze mną- powiedziała, popychając go w stronę drzwi z napisem SZYFROWNIA, które znajdowały się w bocznej części centrum dowodzenia. Wstukała swój kod dostępu i drzwi się rozsunęły. Było to pomieszczenie, do ostatniego wolnego skrawka wypełnione przez komputery, urządzenia dekodujące i współpracujące z nimi roboty.

- Kto tu dowodzi? - spytała Leia, kiedy kilka głów odwróciło się w jej stronę.

- Ja - odparł mężczyzna w średnim wieku, z insygniami pułkownika. Odsunął się od jednego ze stanowisk, zajmując tym samym całe wolne miejsce na środku pokoju.

- Jestem radna Organa Solo - przedstawiła się księżniczka. - To jest Ghent, człowiek doskonale znający się na łamaniu szyfrów. Czy mógłby wam się na coś przydać?

- Nie wiem - stwierdził pułkownik, taksując chłopaka wzrokiem. - Ghent, rozszyfrowałeś kiedykolwiek jakiś imperialny kod bitewny?

- Nie. - Nigdy nawet żadnego nie widziałem. Ale za to udało mi się rozszyfrować kilka normalnych kodów wojskowych.

- Które?

- Jeden nazywał się Lepido - powiedział Ghent, a jego oczy zamglily się nieco. - Aha, kiedy miałem dwanaście lat, rozpracowałem kod o nazwie ILKO. Ten był naprawdę trudny: rozszyfrowanie go zajęło mi prawie dwa miesiące. Ktoś z obecnych gwizdnął cicho.

- Czy to dobrze? - spytała Leia.

- O tak - zaśmiał się pułkownik. - ILKO był jednym z najlepszych szyfrów imperialnych, używanym do przekazywania danych pomiędzy Coruscant a miejscem budowy pierwszej Gwiazdy Śmierci na Horuz. My sami potrzebowaliśmy niemal miesiąca, by go złamać. - Skinął na Ghent'a. - Podejź tu, synu, mamy dla ciebie wolne stanowisko. Jeśli podobało ci się ILKO, to będziesz zachwycony kodami bitewnymi. Twarz chłopaka od razu pojaśniała i wychodząc z powrotem do centrum dowodzenia, Leia zauważyła, że Ghent już przeciska się między konsolami. Tymczasem bitwa rozpętała się na dobre. W środku luki utworzonej przez krążowniki przechwytyjące wyłoniło się z nadprzestrzeni sześć imperialnych niszczycieli gwiazdnych. Podzieliwszy się na dwie grupy, pospieszyły w stronę znajdujących się w połowie orbity dwóch potężnych stacji bojowych Golan III. Przed nimi leciały imperialne myśliwce, kierując się na obrońców, którzy właśnie wystartowali z powierzchni Coruscant, a także zaczęli się wylaniać ze stoczni powietrznej położonej na niskiej orbicie. Na głównym monitorze taktycznym pojawiły się pierwsze błyski ognia z dział turbolaserowych, gdy obie strony zbliżyły się na odległość strzału. Kiedy Leia dotarła do Rikana, generał stał kilka kroków od głównej konsoli dowodzenia.

- Księżniczko - powitał ją uroczystym skinieniem głowy.

- Generale - odpowiedziała takim samym gestem i natychmiast skierowała wzrok na monitory kontrolne. Pole energetyczne Coruscant było podniesione, rozmieszczone na powierzchni planety siły obronne szybko zajmowały właściwie pozycje bojowe, a ze stoczni powietrznej wylaniała się właśnie druga fala myśliwców typu X i typu B. A przed umieszczonym na podniesieniu krzesłem dowodzenia stał admirał Drayson, burkliwie wydając rozkazy każdemu, kto znalazł się w zasięgu jego wzroku.

- Drayson? - zdumiała się księżniczka.

- Ackbar pojechał na inspekcję w rejon Ketaris - rzekł ponuro Rikan. - A zatem głównym dowódcą jest teraz Drayson. Leia spojrzała na centralną mapę taktyczną i poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Drayson w zasadzie znał się na rzeczy... ale w konfrontacji z wielkim admirałem Thrawn'em zwykła znajomość rzeczy nie wystarczała.

- Czy flota w całym sektorze została zaalarmowana?

- Wysłaliśmy do wszystkich wiadomość przed włączeniem pola ochronnego - odparł Rikan. - Ale niestety Imperium najpierw uderzyło w stację utrzymującą łączność z rejonem poza orbitą, więc nie sposób powiedzieć, czy ta informacja do nich dotarła.

Żeby się tego dowiedzieć, musielibyśmy wyłączyć pole ochronne. Dręczące księżniczkę uczucie niepokoju pogłębiło się jeszcze bardziej.

- A zatem to nie jest tylko manewr mający sprawić wrażenie, że ściągają tu flotę z całego sektora - stwierdziła. - W przeciwnym razie zostawiliby stację łączności w spokoju, żebyśmy mogli w dalszym ciągu wzywać pomocy.

- To prawda - przyznał Rikan. - Nie wiem, co Thrawn knuje, ale niewątpliwie chodzi mu o nas. Leia w milczeniu pokiwała głową, nie spuszczać oczu z hologramu taktycznego. Niszczyciele gwiazdne dotarły właśnie do zewnętrznej strefy ognia stacji bojowych i czerń przestrzeni kosmicznej rozświetlały teraz liczne salwy z dział turbolaserowych. Poza głównym polem rażenia pancerniki i inne statki pomocnicze formowały krąg wokół niszczycieli gwiazdnych, by je ochronić przed lecącymi ku nim obrońcami. Na głównej mapie taktycznej wystrzeliła w górę smużka bladego światła: był to strzał z naziemnego dział jonowego, oddany w stronę niszczycieli gwiazdnych.

- To strata energii - mruknął pogardliwie Rikan. - Są daleko poza zasięgiem naszego ognia. Leia doskonale wiedziała, że nawet gdyby nie były, to wyzwalany elektronicznie ładunek rozrywający miałby takie same szansę trafić w gwiazdne niszczyciele, w które został wymierzony, jak i w jedną ze stacji bojowych. Działa jonowe słynęły z tego, że rzadko kiedy trafiały precyzyjnie do celu.

- Dowodzenie musi przejąć ktoś inny - zdecydowała, rozglądając się po centrum dowodzenia. Gdyby udało jej się znaleźć Mon Mothmę i nakłonić ją do tego, by przekazała dowodzenie Rikanowi... Nagle jej spojrzenie spoczęło na stojącej pod ścianą kobiecie, która wpatrywała się w główną mapę taktyczną. Sena Leikvold Midanyl, pierwszy doradca generała Garma Bela Iblisa... A jego cechowało znacznie więcej niż tylko zwykła znajomość sztuki wojennej. - Zaraz wrócę - rzuciła Rika nowi i zaczęła się przeciskać przez tłum.

- Radna Organa Solo - powitała ją z sarkazmem Sena. - Kazano mi się nie plątać i stanąć gdzieś z boku. Czy może mi pani powiedzieć, co tu się dzieje?

- Potrzebujemy Garma - rzuciła Leia, rozglądając się wokół. - Gdzie on jest?

- Na galerii obserwacyjnej - odparła Sena, wskazując głową pół kolisty balkon nad tylną częścią centrum dowodzenia. Księżniczka zerknęła w górę. Na galerii zgromadzili się tłumnie przedstawiciele najróżniejszych ras - w większości byli to cywile z rządu, którzy mogli z bliska obserwować poczynania wojskowe, choć nie mieli prawa wstępu do właściwego centrum dowodzenia. Z boku siedział samotnie Bel Iblis, wpatrując się w napięciu w główne ekrany kontrolne.

- Niech go pani ściągnie na dół - poleciła Senie Leia. - Jest nam tu potrzebny.

- On nie zejdzie na dół - stwierdziła Sena z cichym westchnieniem. - Chyba, że poprosi go o to Mon Mothma. To jego słowa. Księżniczka poczuła nerwowy skurcz w żołądku. Bel Iblis należał do ludzi wyjątkowo dumnych, ale teraz nie było czasu na prywatne porachunki.

- Nie może teraz odmówić. Jest nam potrzebny.

- Już próbowałam go przekonać - potrząsnęła głową Sena. - Ale nie chciał mnie słuchać. Leia westchnęła głęboko.

- Może mnie posłucha.

- Mam nadzieję. - Kobieta wskazała ręką monitor, na którym właśnie pojawił się jeden z pancerników Bela Iblisa. Wyłonił się ze stoczni, by dołączyć do całej rzeszy myśliwców, koreliańskich statków bojowych i fregat eskortowych, które mknęły na spotkanie wroga. - To „Tropiciel” - oznajmiła. - Na jego pokładzie są moi synowie, Peter i David.

- Niech się pani nie martwi - dotknęła jej ramienia Leia. - Sprowadzę go tutaj. Kiedy księżniczka tam dotarła, centralna część galerii była już nieźle zatłoczona, ale w pobliżu Bela Iblisa było jeszcze sporo miejsca.

- Witaj, Leio - odezwał się, kiedy do niego podeszła. - Sądziłem, że jesteś tam, na dole.

- Powinna tam być... i pan także. Potrzebujemy pana...

- Masz przy sobie komunikator? - przerwał jej ostro.
- Tak - odparła, spoglądając na niego ze zdziwieniem.
- Wyjmij go. I to szybko. Skontaktuj się z Draysonem i ostrzeż go przed tymi dwoma krążownikami przechwytyjącymi. Leia zerknęła na główną mapę taktyczną. Dwa imperialne krążowniki, które dołączyły do reszty później, wykonywały jakieś skomplikowane manewry, ustawiając swoje mgliste stożki pola grawitacyjnego w poprzek jednej ze stacji bojowych.

- Thrawn wypróbował na nas tę sztuczkę na Qat Chrystak - ciągnął generał. - Używa krążownika przechwytyjącego, by określić granicę możliwego skoku z nadprzestrzeni, a następnie prowadzi statek wzdłuż wektora przecięcia, by go wreszcie ściągnąć z nadprzestrzeni w dokładnie wybranym przez siebie miejscu. Drayson musi wysłać na flanki jakieś statki, by czekały w pogotowiu na niespodziankę, jaką szykuje dla nas wielki admirał.

- Ale nie mamy tu żadnej jednostki, która mogłaby się zmierzyć z kolejnym niszczycielem gwiazdowym - zauważyła księżniczka, nerwowo szukając w kieszeni komunikatora.

- Nie chodzi o to, by się z nim zmierzyć - wyjaśnił Bel Iblis. - Bez względu na to, jaki statek ściągnie tu Thrawn, pojawi się on zupełnie ślepy, z wyłączonym polem ochronnym i bez możliwości ustalenia celu. Jeśli nasze statki będą na miejscu, zdołamy swobodnie do każdej wrogiej jednostki oddać jeden strzał. I może on mieć kluczowe znaczenie.

- Rozumiem - rzuciła Leia. Włączyła komunikator i wybrała numer operatora na centrali. Mówi radna Leia Organa Solo. Mam pilną wiadomość dla admirała Draysona.

- Admirał Drayson jest zajęty i nie wolno mu przeszkadzać - ode zwał się elektroniczny głos.

- To sprawa najwyższej wagi. Jako członek Rady nalegam na natychmiastowe połączenie mnie z Draysonem.

- Pozytywny wynik analizy głosu - rzekł operator. - Połączenie członka Rady nie może zostać zrealizowane z uwagi na pogotowie wojenne. Może pani zostawić admirałowi Draysonowi wiadomość. Leia zacisnęła zęby i szybkim spojrzeniem obrzuciła mapę taktyczną.

- W takim razie proszę mnie połączyć z głównym adiutantem Draysona.

- Porucznik Dupre jest zajęty i nie wolno...

- Anulować - rzuciła ostro księżniczka. - Połącz mnie z generałem Rikanem.

- Generał Rikan jest zajęty...

- Za późno - powiedział cicho Bel Iblis. Leia zerknęła na monitor. Dokładnie tak jak to przewidział generał, w miejscu gdzie nie mogły ich osiągnąć pociski z republikańskich stacji bojowych, wyłoniły się z nadprzestrzeni dwa niszczyciele gwiazdne klasy V. Oddały po kilka potężnych salw i błyskawicznie zawróciły tak, że stacja i statki bojowe obrońców zdołały się jedynie zdobyć na kilka niegroźnych strzałów. Widoczna na hologramie taktycznym niebieskawa mgielka, przedstawiająca pole ochronne stacji bojowej, rozbłysła gwałtownie, by dopiero po chwili odzyskać swą normalną barwę.

- Drayson nie jest dla niego godnym przeciwnikiem i tyle - westchnął Bel Iblis. Leia zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Garm, musi pan zejść na dół.

- Nie mogę - mężczyzna potrząsnął głową. - Dopóki Mon Mothma mnie o to nie poprosi, nie mogę tego zrobić.

- Zachowuje się pan jak dziecko - rzuciła ostro księżniczka, rezygnując z dyplomatycznych podchodów. - Nie może pan pozwolić, by ludzie umierali tylko dlatego, że pan żywi do niej jakąś osobistą urazę. Generał utkwiał w Leii wzrok; odwzajemniwszy jego spojrzenie, księżniczka dostrzegła w jego oczach ból.

- Nie rozumiesz, Leio. Tu nie chodzi o mnie, ale o Mon Mothmę. Po tylu latach wreszcie zrozumiałem, dlaczego ona tak postępuje. Zawsze mi się wydawało, że stara się skupić w swoim ręku jak największą władzę jedynie z żądzą władzy. Ale się myliłem.

- A zatem dlaczego ona tak postępuje? - spytała ostro księżniczka, nie bardzo mając ochotę rozmawiać w tej chwili o Mon Mothmie.

- Dlatego, że we wszystkim, co robi, chodzi o czyjeś życie - po wiedział cicho Bel Iblis. - A ona panicznie boi się powierzyć los swych ludzi komuś innemu. Leia utkwiała w generale zdumiony wzrok... i już otwierała usta, by się z nim nie zgodzić, gdy nagle stanęły jej przed oczami liczne zdarzenia z ostatnich kilku lat. Przypomniała sobie te wszystkie misje dyplomatyczne, na które posyłała ją Mon Mothma, nie zważając na to, że Leia musi przerwać swoje szkolenie Jedi ani też nie przyjmując do wiadomości faktu, że tak częste wyjazdy narażają na szwank życie rodzinne księżniczki. Uświadomiła sobie, jak wielkie zaufanie pokładała przewodnicząca Rady w Ackbarze i garstce swoich najbliższych współpracowników, i jak stopniowo przenosiła konieczność decydowania o najważniejszych sprawach na barki coraz mniejszej grupki osób. Na barki tych nielicznych, co do których miała pewność, że dobrze się wywiążą z powierzonego sobie zadania.

- I dlatego właśnie nie mogę tak po prostu zejść na dół i przejąć do wodzenia - przerwał milczenie Bel Iblis. - Dopóki ona mnie nie zaakceptuje - i to szczerze - jako osoby, której może ufać, nie będzie w stanie przekazać mi żadnej realnej władzy w Nowej Republice. Zawsze będzie krążyła gdzieś w pobliżu, zerkając mi przez ramię, czy przypadkiem nie popełniam jakichś błędów. Ona nie ma na to czasu, ja cierpliwości i wyniki z tego powodu spięcia fatalnie odbiłyby się na każdym, kogo ta sprawa w jakikolwiek sposób dotyczy. - Skinął głową w kierunku centrum dowodzenia. - Kiedy zdecyduje się mi zaufać, będę gotów podjąć służbę. Ale na razie lepiej będzie dla wszystkich, jeśli pozostanę na uboczu.

- Dla wszystkich, z wyjątkiem tych, którzy właśnie giną w walce - przypomniała chłodnym głosem Leia. - Garm, proszę pozwolić, że się z nią skontaktuję. Może zdołam ją nakłonić, by poprosiła pana o przejęcie dowodzenia.

- Jeśli będziesz musiała ją do tego nakłaniać, Leio, to się nie li czy - potrząsnął głową Bel Iblis. - Ona sama musi podjąć taką decyzję.

- Może już ją podjęła - rozległ się tuż za ich plecami głos Mon Mothmy Księżniczka odwróciła się, zdumiona. Całą uwagę skupiła na Belu Iblisie i nawet nie zauważyła, kiedy przewodnicząca Rady podeszła do nich.

- Mon Mothmo... - wyszeptała. Czowała się niezręcznie, gdyż przy łapano ją na tym, że rozmawia na czyjs temat za plecami tej osoby. - Ja...

- Wszystko w porządku, Leio - rzekła kobieta. - Generale Belu Iblisie... Generał wstał z miejsca i spojrzał jej prosto w oczy.

- Słucham? Mon Mothma zebrała się w sobie.

- Na przestrzeni lat wynikło między nami wiele nieporozumień, generale. Ale to było dawno temu. Niegdyś tworzyliśmy zgrany zespół i nie widzę żadnego powodu, by nie mogło tak być znowu. Kobieta umilkła, wyraźnie się wahając; i nagle Leia uświadomiła sobie, jakie to było dla niej niezmiernie trudne. Jak Mon Mothma musiała się czuć upokorzona, stając twarzą w twarz z człowiekiem, który niegdyś się od niej odwrócił, i będąc zmuszoną otwarcie przyznać, że potrzebuje jego pomocy. Jeśli Bel Iblis pozostanie nieugięty i będzie czekał, aż przewodnicząca Rady wypowie słowa, które on chce usłyszeć ... Ale ku zdumieniu księżniczki generał wyprostował się słuźbiście.

- Mon Mothmo - powiedział oficjalnym tonem - ze względu na wyjątkową sytuację proszę o pozwolenie na objęcie dowodzenia obroną Coruscant. Zmarszczki wokół oczu przewodniczącej Rady wyraźnie się wygładziły i kobieta cicho odetchnęła z ulgą.

- Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś zechciał to zrobić, Garm.

- W takim razie przystąpmy do rzeczy - odparł z uśmiechem. Razem ruszyli w stronę schodów prowadzących na piętro dowodzenia. A Leia z nową siłą zdała sobie sprawę z własnych ograniczeń; uświadomiła sobie, że pewnie nawet w połowie nie

rozumiała tego, co się właśnie wydarzyło na jej oczach. Długa i niebezpieczna przeszłość, jaka była udziałem zarówno Mon Mothmy, jak i Bela Iblisa, stworzyła między nimi swoistą więź, przejawiającą się we wzajemnym zrozumieniu daleko głębszym, niż księżniczka mogła osiągnąć nawet dzięki swoim zmysłom Jedi. Leia doszła do wniosku, że być może właśnie owo wzajemne zrozumienie było prawdziwą siłą Nowej Republiki. Siłą, która zapewni lepszą przyszłość całej galaktyce. O ile zdołają przetrwać kilka najbliższych godzin. Zacisnąwszy zęby, księżniczka pospieszyła za Mon Mothmą i Belem Iblisem. Obok „Chimery” przemknęły dwa koreliańskie statki bojowe, bombardując ogniem dział turbolaserowych okalające mostek niszczyciela gwiazdowego pole ochronne. Natychmiast rzucił się za nimi w pogoń dywizjon myśliwców imperialnych, stosując manewr okrążający Rellisa, by uniemożliwić wrogowi zajęcie pozycji strzeleckich. W oddali Pellaeon zauważył fregatę eskortową, która ustawiła się na przecięciu wektora wyjściowego obu koreliańskich statków bojowych, osłaniając w ten sposób ich tyły.

- Dywizjon A-4 przemieścić się do sektora dwadzieścia dwa - rozkazał kapitan. Miał wrażenie, że jak do tej pory bitwa przebiega pomyślnie.

- Odlatują - rzucił stojący obok niego Thrawn. Pellaeon szybkim spojrzeniem zlustrował okolicę.

- Gdzie? - spytał.

- Szykują się do odwrotu - odparł admirał, wskazując jeden z uczestniczących w bitwie pancerników rebelianckich. - Niech pan spojrzy, ten pancernik zajmuje pozycję mającą osłaniać odwrot. O, proszę: ten drugi robi to samo. Kapitan przyjrzał się wnikliwie manewrującym pancernikom. W dalszym ciągu nie widział nic szczególnego, ale jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by Thrawn się pomylił w takiej kwestii.

- Zamierzają opuścić stacje bojowe?

- Przede wszystkim w ogóle nie powinni byli ściągać do ich obrony tych statków - prychnął cicho admirał. - Golańskie platformy obronne są w stanie wytrzymać więcej, niż się wydawało ich poprzedniemu dowódcy naziemnemu.

- Ich poprzedniemu dowódcy naziemnemu?

- Tak - potwierdził Thrawn. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nasz stary przeciwnik koreliański właśnie przejął dowodzenie obroną Coruscant. Zastanawiam się, dlaczego to trwało tak długo. Pellaeon wzruszył ramionami, śledząc wzrokiem toczącą się bitwę. Wielki admirał miał rację: obrońcy rzeczywiście zaczęli się wycofywać.

- Może musieli go obudzić.

- Możliwe. - Thrawn obrzucił leniwym spojrzeniem pole bitwy. - Widzi pan, ten Koreliańczyk proponuje nam dwie ewentualności: zostać tu i walczyć ze stacjami bojowymi albo zejść za obrońcami niżej, gdzie znaleźlibyśmy się w polu rażenia dział rozmieszczonych na powierzchni planety. Ale na szczęście - dodał z błyskiem w oku - mamy jeszcze trzecie wyjście. Kapitan skinął głową. Cały czas się zastanawiał, kiedy Thrawn odsłoni swoją nową, genialną broń obłączniczą.

- Tak, panie admiralu - powiedział. - Czy mam rozkazać, by uruchomiono promień ściągający?

- Zaczekamy, aż Koreliańczyk wycofa swoje statki nieco głębiej - rzekł Thrawn. - Nie chciałbym, by to przegapił.

- Zrozumiałem - rzucił Pellaeon. Podeszedł do swojego stanowiska, usiadł na krześle i poprosił o potwierdzenie, czy asteroidy i promienie ściągające w hangarze są gotowe. A potem już tylko czekał na rozkaz wielkiego admirała.

- No dobrze - powiedział Bel Iblis. - „Tropiciel”: rozpocznij od wrót; osłaniaj te fregaty eskortowe na lewo od ciebie. Dowódco Czerwonych: uważaj na te imperialne myśliwce przechwytyjące. Leia z zapałym tchem obserwowała monitor taktyczny. Tak, to był właściwy krok. Nie chcąc się narażać na ogień dział naziemnych, Imperium pozwalało obrońcom wycofać się w stronę Coruscant. W tej sytuacji zagrożone były już tylko dwie stacje bojowe, ale okazały się one znacznie bardziej wytrzymałe, niż się Leii dotąd wydawało. A i to niebezpieczeństwo zostanie wkrótce oddalone - wielki admirał z

pewnością nie będzie czekał na przybycie floty z całego sektora. Bitwa powoli zbliżała się do końca. Jakoś zdołali ją przetrwać.

- Generale Bel Iblis? - odezwał się oficer, siedzący przy jednym ze stanowisk kontrolnych. - Czujniki namierzyły coś dziwnego w hangarze „Chimery”.

- Co to takiego? - spytał Bel Iblis, podchodząc do konsoli.

- Z odczytu wynika, że uruchomiono promienie ściąające - od parł oficer, wskazując na monitorze jedną z wielobarwnych plam widocznych na sylwetce niszczyciela gwiazdowego. - Ale to coś pobiera znacznie więcej energii.

- Może wypuszczają jednocześnie cały dywizjon myśliwców? - podsunęła Leia.

- Nie sądzę - stwierdził oficer. - Zresztą to kolejna zagadka: z naszych obserwacji wynika, że z hangaru w ogóle nie wydostały się żadne statki. Stojący obok księżniczki Bel Iblis cały zeszywniał.

- Skalkulować wektor wyjściowy - rozkazał. - Do wszystkich statków: skierować tam czujniki w poszukiwaniu spalin. Zdaje mi się, że „Chimera” właśnie wypuściła statek otoczony polem maskującym. Któryś z żołnierzy zaklął siarczyście. Leia spojrzała na główny monitor taktyczny, czując nagle ucisk w gardle. Przypomniała sobie tę krótką rozmowę, jaką ona i Han przeprowadzili niegdyś z Ackbarem. Admirał był wtedy święcie przekonany - co sprawiło, że i ona w to uwierzyła iż fakt, że zastosowanie pola maskującego uniemożliwia statkowi komunikowanie się z otoczeniem, a przez to jest zbyt niebezpieczne dla użytkownika, eliminuje pole maskujące jako efektywną broń. Jeśli jednak Thrawn zdołał jakoś obejść ten problem...

- Znowu strzelają - oznajmił oficer obsługujący czujniki. -1 jeszcze raz.

- Ze „Strzały Śmierci” także otworzyli ogień - wtrącił inny oficer. - I znowu.

- Zawiadomić stacje bojowe, by namierzyły i ostrzeliwały te wek tory - polecił Bel Iblis. - Tak blisko niszczycieli gwiazdowych, jak to tylko możliwe. Musimy się dowiedzieć, co Thrawn knuje. Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy cały monitor kontrolny rozbłysł światłem. Jedna z fregat eskortowych, znajdująca się w pobliżu pierwszego z szacowanych wektorów ruchu, nagle stanęła w płomieniach. Statek zaczął obracać się gwałtownie dokoła własnej osi, a z jego tylnej części buchał płonący gaz.

- Kolizja! - poinformował ktoś zdenerwowanym głosem. -Fregata eskortowa „Kos” zderzyła się z jakimś nieznanym obiektem.

- Zderzyła się? - powtórzył Bel Iblis. - To nie był strzał z działa turbolaserowego?

- Urządzenia telemetryczne zarejestrowały zderzenie dwóch ciał fizycznych - pokręcił głową oficer. Leia ponownie zerknęła na monitor kontrolny: spowity kłębam płonących gazów „Kos” walczył o to, by odzyskać jako taką równowagę.

- Pole maskujące podobno sprawia, że taki statek jest co prawda niewidoczny, ale za to nie ma żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym - powiedziała księżniczka. - Jak oni manewrują?

- Może wcale nie manewrują- stwierdził Bel Iblis z ponurą podejrzliwością w głosie.

- Stanowisko taktyczne: namierzyć nowy trop od punktu zderzenia z „Kosem”. Przyjmijcie, że obiekt jest bezwładny; obliczcie prędkość, z jaką doszło do zderzenia, biorąc pod uwagę odległość od „Chimery”. I nie zapomnijcie uwzględnić lokalnego pola grawitacyjnego. Prawdopodobną lokalizację przekazać „Tropicielowi”; niech otworzy ogień, gdy tylko dostanie współrzędne.

- Tak jest - rzucił jeden z poruczników. - Przekazujemy dane do „Tropiciela”.

- Chociaż nie, wstrzymać ten ostatni rozkaz - polecił generał, unosząc rękę. - Przekażcie „Tropicielowi”, by używał jonowych. Powtarzam: tylko dział jonowych. Żadnego ognia turbolaserowego.

- Ma pan zamiar wziąć ten statek w całości? - zdziwiła się Leia. - Tak, chciałbym go dostać w całości - potwierdził Bel Iblis. - Ale nie sądzę, by to był statek. Umilkł. Na monitorze taktycznym widać było, że działa jonowe „Tropiciela” oddały pierwsze salwy. Pancernik - tak jak to Thrawn przewidział - otworzył ogień. Ale Pellaeon z niejakim zdziwieniem zauważył, że do akcji przystąpiły jedynie działa jonowe.

- Panie admirałe?

- Tak, widzę - odparł Thrawn. - Ciekawe... Miałem rację, kapitanie: tam na dole rzeczywiście dowodzi nasz stary koreliański przeciwnik. Dłużej już nie da nam się wodzić za nos. Pellaeon pokiwał głową, zrozumiałszy nagle całą sytuację.

- Próbuje rozwalić pole maskujące asteroidy

- I wziąć ją nietkniętą. - Admirał nacisnął jakiś guzik na swoim stanowisku. - Przednie działa turbolaserowe: zlokalizować asteroidę numer jeden. Strzelać wyłącznie na mój rozkaz. Kapitan pochylił się nad swoim powiększonym monitorem. Pancernik namierzył swój cel i promienie dział jonowych ginęły teraz w przestrzeni, wnikając w pole maskujące, które zresztą nie mogło już długo wytrzymać tej kanonady... Nagle gwiazdy w tym rejonie zniknęły i przez dłuższą chwilę panowała kompletna ciemność: pole maskujące uległo zniszczeniu. Potem, równie niespodziewanie, oczom wszystkich ukazała się niczym nieosłonięta asteroida. Działa jonowe przerwały ogień.

- Załogi dział turbolaserowych, wstrzymajcie ogień jeszcze przez chwilę - powiedział Thrawn. - Niech się najpierw dobrze przyjrzą... Ognia! Pellaeon wyrzwał przez iluminator. Od „Chimery” oderwała się smuga zielonego światła, kierując się ku widocznemu w dali celowi. Sekundę później pojawił się tam słaby błysk, powtórzony nieco jaśniej na jego monitorze kontrolnym. Po chwili nastąpiła kolejna salwa, a po niej następna i jeszcze następna...

- Przerwać ogień - rozkazał wielki admirał z wyraźną satysfakcją. - Niech sobie sami radzą z tymi, które jeszcze zostały. Hangar: meldować o liczbie oddanych strzałów.

- Naliczyliśmy siedemdziesiąt dwa, panie admirale - poinformował oficer dyżurny nieco drżącym głosem. - Ale bocznik źródła zasilania zrobił się już biały. Nie damy rady strzelać dalej na sucho, bo może ulec zniszczeniu bocznik albo nawet sam miotacz promieni ściągniętych.

- Przerwać ogień na sucho - polecił Thrawn. - Przekażcie innym statkom, żeby zrobiły to samo. Ile w sumie oddano strzałów, kapitanie? Pellaeon odszukał odpowiedź.

- Dwieście osiemdziesiąt siedem - poinformował wielkiego admirała.

- Zakładam, że wszystkie dwadzieścia dwie asteroidy zostały wy puszczone w przestrzeń?

- Tak jest, panie admirale - zapewnił kapitan. - Większość z nich wciąż pierwszych dwóch minut. Nie sposób jednak sprawdzić, czy zajęły zaplanowane uprzednio orbity.

- Konkretnie orbity nie mają znaczenia - powiedział Thrawn z prze konaniem. - Liczy się tylko to, że asteroidy są gdzieś w przestrzeni do koła Coruscant. Pellaeon uśmiechnął się pod nosem. O tak, są tam z całą pewnością. .. A w dodatku Rebelianci sądzą, że jest ich znacznie więcej.

- Czy teraz możemy stąd odlecieć, admirale?

- Tak - potwierdził Thrawn. - Przynajmniej na jakiś czas Coruscant jest wyłączony z wojny. Drayson skinął głową pułkownikowi operacyjnemu i wycofał się ku małej grupce, która czekała na niego niedaleko za konsolami.

- Już otrzymaliśmy ostateczne liczby - powiedział głucho. - Nie mają całkowitej pewności, czy czegoś nie przeoczyli pośród pozostałości po bitwie, ale i tak doliczyli się... dwustu osiemdziesięciu siedmiu.

- Dwustu osiemdziesięciu siedmiu? - powtórzył generał Rikan, rozdziawiając usta ze zdumienia.

- Właśnie tak - potwierdził Drayson. -1 co teraz robimy? - dodał, spoglądając na Bela Iblisa z niejakim wyrzutem. Jakby to wszystko była jego wina, pomyślała Leia. Bel Iblis potarł w zamyśleniu policzek.

- Na początek chciałbym powiedzieć, iż sytuacja nie jest tak zła, jak by się mogło wydawać - stwierdził. - Z tego, co słyszałem, pole maskujące jest niezwykle drogie i nie bardzo sobie wyobrażam, by Thrawn zdołał zebrać fundusze na trzysta takich pól. Zwłaszcza, że na wet mniejsza ich liczba z powodzeniem by tu wystarczyła.

- Sądzi pan, że oni udawali, iż wypuszczają kolejne promienie ściągnięte? - spytała księżniczka.

- To niemożliwe - zaproponował Rikan. - Uważnie obserwowałem tablicę czujników i te miotacze z całą pewnością czerpały energię.

- Admirale - Bel Iblis zwrócił się do Draysona - pan wie znacznie więcej na temat niszczycieli gwiazdnych niż reszta z nas. Czy taki za bieg jest możliwy? Drayson zapatrzył się w przestrzeń; jego duma zawodowa natychmiast przyćmiła osobistą niechęć do starego Koreliańczyka.

- Tak, to możliwe - przyznał w końcu. - Od miotacza promieni ściągniętych można poprowadzić dodatkowy bocznik albo do kondensatora prądu, albo do jakiegoś urządzenia rozpraszającego w innej części statku. To pozwoliłoby na przepuszczenie przez miotacz znacznej energii, podczas gdy on sam nic by nie robił.

- Czy istnieje jakiś sposób, by odróżnić taki zabieg od faktycznego wypuszczenia asteroidy? - zainteresowała się Mon Mothma.

- Z takiej odległości? - Drayson potrząsnął głową. - Nie.

- Właściwie to nie ma większego znaczenia, ile ich tam jest - zauważył Rikan. - W końcu ich orbity zaczną się obniżać i jeśli choć jedna asteroida uderzy w ziemię, nastąpi katastrofa. Dopóki ich nie usuniemy nie możemy ryzykować wyłączenia pola ochronnego planety.

- Problem w tym, jak je zlokalizować - przyznał ponuro Drayson. - I skąd będziemy wiedzieć, że to już wszystkie. Kątem oka Leia zauważyła, że do ich grupki podszedł pułkownik Bremen z wyraźnie ściągniętą twarzą.

- W dalszym ciągu uważam, że mogło być gorzej - powtórzył Bel Iblis. - Flota z sektora może w ciągu kilku godzin naprawić stację łączności przekazującą meldunki poza planetę, więc przynajmniej dalej będziemy mogli kierować stąd obroną Nowej Republiki.

- Będziemy też mogli podnieść alarm na całą galaktykę - odezwał się Bremen. - Uciekła Mara Jade. Mon Mothma syknęła głośno.

- Jak? - spytała.

- Z czyją pomocą - poinformował Bremen grobowym tonem. - Robot-strażnik został unieruchomiony jakimś rygłem domowej roboty. Ma też wymazany ten fragment pamięci.

- Kiedy to się stało? - chciał wiedzieć Rikan.

- Nie więcej niż kilka godzin temu. - Bremen rozejrzał się po centrum dowodzenia. - Od chwili kiedy odkryto włamanie, wzmocniliśmy strażę na piętrze dowodzenia; sądziliśmy, że mogą planować jakiś sabotaż zgrany w czasie z atakiem Imperium.

209 14 - Ostatni rozkaz

- Nie jest wykluczone, że jeszcze to zrobią - stwierdził Bel Iblis. - Czy zaplombowaliście wszystkie wyjścia z pałacu?

- Jak skrzynię ze skarbami przemytnika - odparł Bremen. - Chociaż wątpię, by tu jeszcze byli.

- Musimy mieć co do tego całkowitą pewność - oznajmiła Mon Mothma. - Pułkowniku, niech pan zorganizuje grupę, która gruntownie przeszuka pałac.

- Oczywiście-skinął głową Bremen. Leia zebrała się w sobie, wiedząc, że to, co ma do zakomunikowania, nie zostanie zbyt dobrze przyjęte.

- Proszę się nie trudzić, pułkowniku - powiedziała, dotykając ra mienia mężczyzny, który już się odwrócił do wyjścia. - Mary tu nie ma. Wszyscy obecni zwrócili na nią zdumione spojrzenia.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Bel Iblis.

- Bo tej nocy opuściła Coruscant. Razem z Hanem i Lukiem. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Nawet się zastanawiałem, dlaczego Solo nie przyszedł z tobą do gabinetu wojennego - rzekł stary Koreliańczyk. - Może zechcesz nam powiedzieć, o co tu chodzi.

Księżniczka zawahała się na moment; ale przecież żadna z tych osób nie miała nic wspólnego z przeciekami informacji przekazywanych przez Źródło Delta.

- Mara podejrzewa, iż wie, gdzie może się znajdować imperialna fabryka klonów. Uznaliśmy, że warto to sprawdzić.

- Uznaliśmy? - burknął Drayson. - A kto to są ci my?

- Moja rodzina i najbliżsi przyjaciele - odparła Leia, patrząc mu prosto w oczy. - Jedyni ludzie, co do których mogę mieć całkowitą pewność, że nie przekazują informacji Imperium.

- To jest wielka zniewaga...

- Dosyć, admirale - przerwała mu spokojnie Mon Mothma. Spokojnie, choć jej twarz przybrała ostrzejszy wyraz. - Ewentualne reprimendy mogą poczekać na później. Bez względu na to, czy posunięcie to było rozsądne, czy też nie, pozostaje faktem, że oni są już w drodze i musimy się zastanowić, jak możemy im pomóc. Leio?

- Najważniejsze, byśmy udawali, że Mara w dalszym ciągu tu jest - rzekła księżniczka, czując, że jest jej już trochę lżej na sercu. - Powie działa mi, iż była na Waylandzie tylko raz i nie ma pojęcia, jak długo zajmie jej odtworzenie trasy. Im większą zyskają przewagę, tym mniej czasu zostanie Imperium na umocnienie tam swoich pozycji.

- A jeśli nawet znajdą to miejsce, to co? - zainteresowała się Mon Mothma.

- Spróbują je zniszczyć. Na chwilę zapadło milczenie.

- Sami? - rzucił Drayson.

- Tak, chyba że ma pan na zbyciu jakąś flotę, którą można by im podesłać - odparowała Organa Solo.

- Leio, nie powinnaś była tego robić - pokręciła głową Mon Mothma. - Nie bez porozumienia z Radą.

- Gdybym postawiła tę sprawę w Radzie, Mara mogłaby już teraz nie żyć - powiedziała księżniczka bez ogródek. - Gdyby dotarła do Imperium wiadomość, że Jadę potrafi odszukać Wayland, następny oddział komandosów nie poprzestałby jedynie na próbie zdyskredytowania jej.

- Rada stoi poza wszelkimi podejrzeniami - stwierdziła Mon Mothma lodowatym tonem.

- A czy wszyscy doradcy członków Rady także? - odcięła się Leia. - Albo taktycy, oficerowie pomocniczy i pracownicy biblioteki? Gdybym zaproponowała Radzie atak na Wayland, wszyscy ci ludzie wcześniej czy później by się o tym dowiedzieli.

- I nie tylko oni - pokiwał głową Bel Iblis. - Ona ma rację, Mon Mothmo.

- Ja nie szukam winnego - powiedziała cicho przewodnicząca Rady. - Nie chodzi mi też o to, by bronić swojej pozycji. Obawiam się jedynie, że to naprawdę mógł być spisek... A wtedy twój mąż i brat, Leio, przyplacą to życiem.

- Tak, to także wzięliśmy pod uwagę - rzekła księżniczka, z trudem przełykając ślinę. - Ale doszliśmy do wniosku, że warto zaryzykować. Zresztą nikt inny nie mógłby tego zrobić. Przez długą jak wieczność minutę nikt się nie odzywał. W końcu Mon Mothma poruszyła się nerwowo.

- Musi pan porozmawiać ze wszystkimi, którzy wiedzą o zniknięciu Mary, pułkownika - zwróciła się do Bremena. - Jeżeli zdołamy się dowiedzieć, gdzie leży Wayland, postaramy się ich jakoś wspomóc.

- Pod warunkiem że będziemy mieli pewność, iż to nie jest pułapka - dodał Drayson surowym tonem.

- Naturalnie - zgodziła się Mon Mothma, unikając wzroku Leii. - Teraz nic więcej nie możemy dla nich zrobić. Zajmijmy się lepiej bar dziej palącymi problemami, które stoją przed nami tu, na Coruscant: to znaczy kwestią obrony i odnalezienia tych zamaskowanych asteroid. Generale Bel Iblis...Ktoś dotknął niepewnie ramienia Leii. Odwróciwszy się, księżniczka zobaczyła przed sobą Ghent'a.

- Czy już po wszystkim? - spytał szeptem.

- Tak, bitwa już się skończyła - odparła, spoglądając na Mon Mothmę i pozostałych. Wszyscy z ożywieniem dyskutowali na temat asteroid, ale w końcu ktoś niechybnie zauważył, że Ghent nie ma tu prawa wstępu. - Chodźmy stąd - rzuciła, popychając chłopaka w stronę wyjścia. - Opowiem ci o tym na zewnątrz. Jak ci się podobały imperialne kody bitewne?

- Och, są całkiem niezłe - stwierdził. - Chociaż ci faceci z szyfrowni nie dali mi się zbyt łatwo wykazać. Nie znam tak dobrze jak oni tutejszych maszyn. Poza tym zastosowali jakiś głupi dryl. Leia uśmiechnęła się pod nosem. Eksperci Nowej Republiki opracowali najlepszy ich zdaniem schemat dekodujący, a Ghent nazwał go głupim drylem.

- Ludzie przyzwyczajają się do sprawdzonych sposobów postępowania - oznajmiła dyplomatycznie. - Może załatwię ci spotkanie z osobą odpowiedzialną za cały dział i wtedy będziesz miał okazję przedstawić swoje sugestie.

- Nie. - Ghent machnął ręką. - Tym wojskowym nie spodobałby się mój sposób postępowania. Nawet Karrde'a to czasem denerwuje. A tak przy okazji, wie pani o tym nadajniku pulsacyjnym, który gdzieś tu pracuje?

- To ten, którego używa Źródło Delta? - Księżniczka pokiwała głową. - Kontrwywiad usiłuje go zlokalizować od czasu, gdy tylko zaczął nadawać. Ale to jest jakieś dziwactwo o zmiennej częstotliwości i różnych fazach, więc jak dotąd nie mieli szczęścia.

- Uhm... - Chłopak zastanawiał się nad tym przez chwilę. - No cóż, to problem techników. Ja się na czymś takim nie znam.

- Nic nie szkodzi - rzekła Leia. - Na pewno zdołasz nam pomóc w inny sposób.

- Tak - mruknął Ghent, wyciągając z kieszeni kartę danych. - W każdym razie... proszę. Organa Solo obrzuciła kartę zdumionym spojrzeniem.

- Co to jest?

- Szyfr do odczytywania informacji z tego nadajnika pulsacyjnego.

- Co takiego?! - Leia stanęła jak wryta. Chłopak także się zatrzymał i popatrzył na nią niewinnie.

- Szyfr, którego używa to dziwactwo o zmiennej częstotliwości. W końcu udało mi się go rozpracować.

- Tak po prostu? - nie mogła się nadziwić księżniczka. - Wzięłeś szyfr i go rozpracowałeś?

- No, tak jakby - wzruszył ramionami Ghent. - Wie pani, pracowałem nad tym cały miesiąc. Leia utkwiała wzrok w karcie, którą trzymała w ręku; nagle ogarnęło ją dziwne i nie całkiem przyjemne podniecenie.

- Czy ktoś jeszcze wie, że to masz? - spytała cicho. Chłopak potrząsnął głową.

- Myślałem, by oddać to przed wyjściem temu pułkownikowi, który tam był, ale akurat z kimś rozmawiał. Szyfr do odczytania Źródła Delta... I Źródło Delta nie wie, że oni to mają.

- Nikomu o tym nie mów - przykazała chłopakowi Organa Solo. - Pamiętaj: nikomu. Ghent zdawał się zdziwiony, ale jedynie wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Jak pani sobie życzy.

- Dziękuję - szepnęła Leia, wsuwając kartę danych do wewnętrznej kieszeni. Wiedziała, że ma przy sobie klucz do Źródła Delta. Teraz musi jedynie znaleźć odpowiedni sposób, by go wykorzystać. I to znaleźć jak najszybciej.

ROZDZIAŁ

Warownia Hijarna niszczała już od tysiąca lat, gdy tego niemego, opuszczonego stróża wyludnionej planety odkryła piąta ekspedycja alderańska. Ta ogromna bryła niewiarygodnie twardego czarnego kamienia wznosiła się na wysokim urwisku górującym nad doliną, która wciąż jeszcze nosiła ślady masowej zagłady. Dla niektórych tajemnicza warownia była tragicznym pomnikiem: symbolem desperackiej próby obrony obłączonej planety. Inni uznawali ją za ponurą i złowieszczą przyczynę

zarówno oblężenia, jak i zagłady planety. Karrde'owi - przynajmniej na razie - ta forteca służyła za dom.

- Ty to umiesz się urządzać, Karrde - skomentował Gillespi. Poło żył nogi na brzegu zapasowego stanowiska łączności i rozejrzał się dookoła. - A tak w ogóle, to jak znalazłeś to miejsce?

- Widnieje w starych zapiskach - odparł szef przemytników, nie spuszczać oczu z ekranu komputera, na którym trwała właśnie operacja rozszyfrowywania meldunku. Po chwili na monitorze wyświetliła się mapa gwiazdna, a obok króciutki tekst...

- To raport Clyngunna? - spytał Gillespi, wskazując głową ekran komputera.

- Jak widać - mruknął Karrde, wyjmując kartę danych.

- Niewiele tego, co?

- Wystarczy. Nie dostrzegli najmniejszych śladów transportu klonów ani na Poderis, ani na Chazwie, ani na Joiol. Gillespi opuścił nogi na ziemię i wstał z miejsca.

- Cóż, w takim razie to koniec - stwierdził. Podszedł do stojącego z boku stolika, na którym ktoś postawił tacę z owocami, i wziął jeden z owoców driblis. - Wygląda na to, że szlak przerzutu klonów przez sektor Orus opustoszał. O ile Imperium w ogóle przewoziło tamtędy klony.

- Zważywszy na brak jakichkolwiek śladów, podejrzewam, że chodzi o to drugie - przyznał Karrde. Wyjął jedną z kart, które otrzymał od swojego człowieka na Bepinie, i wsunął ją do czytnika. - Zresztą i tak musieliśmy się tego jakoś dowiedzieć. Pomijając już dodatkowe korzyści, możemy się teraz spokojnie skoncentrować na rozpatrywaniu innych ewentualności.

- Tak... - powiedział z ociąganiem Gillespi, wracając na swoje miejsce. - Wiesz co, Karrde, cała ta sprawa wydaje mi się trochę dziw na. No wiesz, chodzi mi o to, że przemytnicy odwalają robotę szpiegów. I nie ma z tego wielkich zysków.

- Już wam mówiłem, że dostaniemy częściowy zwrot kosztów od Nowej Republiki.

- Tyle że my nie mamy im nic do sprzedania - zauważył Gillespi. - A jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś płacił za brak dostawy. Karrde obrzucił kolegę wnikliwym spojrzeniem. Gillespi wydobyl z zanadza groźnie wyglądający nóż i odkroił nim częśćkę owocu driblis.

- Tu nie chodzi o zapłatę - przypomniał szef przemytników - a o przeżycie w świecie podbijanym przez Imperium.

- W twoim wypadku może i tak - rzekł Gillespi. Przez chwilę mierzył kawałek owocu wzrokiem, po czym włożył go do ust. - Masz i tak dużo dodatkowych dochodów, więc możesz sobie pozwolić na to, by na jakiś czas zarzucić prowadzenie interesów. Ale reszta z nas musi opłacać swoich ludzi i mieć za co kupić paliwo do statków. Pieniądze prze stają napływać i nasi podwładni robią się niemili.

- A zatem ty i pozostali chcecie pieniędzy? Gillespi zebrał się w sobie.

- Ja chcę pieniędzy, ale inni chcieliby się z tego wycofać. W zasadzie Karrde mógł się spodziewać takiego obrotu sprawy. Gwałtowna złość na Imperium, wywołana atakiem w „Szemrzącym Wirze”, nieco osłabła i na plan pierwszy zaczęły się wysuwać interesy dnia codziennego.

- Imperium w dalszym ciągu stanowi zagrożenie - powiedział.

- Nie dla nas - stwierdził bez ogródek Gillespi. - Od czasu tego zajścia na Troganie Imperium w żaden sposób nie okazało, żeby było nami zainteresowane. Nie przeszkadzało nam kręcić się po rejonie Orus; nawet nie ścigało Mazzica po tym ataku w stoczni na Bilbringi.

- A zatem mimo wstępnej prowokacji nas ignorują. Czy przez to czujesz się bezpiecznie? Gillespi z namaszczeniem odkroił sobie kolejny kawałek owocu.

- Nie wiem - wyznał. - Niekiedy wydaje mi się, że Brask ma rację, twierdząc, że jeśli zostawimy Imperium w spokoju, to i ono nie będzie nas niepokoić. Ale jednocześnie nie mogę zapomnieć o tej armii klonów, która ścigała mnie, kiedy uciekłem z Ukio. Czasami myślę, że może Thrawn jest po prostu zbyt zajęty Nową Republiką, by sobie teraz za wracać nami głowę.

- On zawsze znajdzie czas na to, by się z kimś rozprawić, jeśli na prawdę tego chce - zaproponował Karrde. - Jeżeli nas teraz ignoruje, to tylko dlatego, że uznał takie postępowanie za najlepszy sposób na stłumienie opozycji. W następnej kolejności zaproponuje nam kontrakty przewozowe i będzie udawał, że wszyscy znów jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Gillespi zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- Rozmawiałeś z Par'Tah?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Dwa dni temu powiedziała mi, że zaoferowano jej kontrakt na dostarczenie do imperialnej stoczni na Ord Trasi ładunku silników pod-świetlnych.

- Czy przyjęła tę propozycję? - spytał Karrde, krzywiąc się z nie smakiem.

- Twierdziła, że w dalszym ciągu ustala szczegóły tej transakcji. Ale znasz Par'Tah: ona zawsze ledwo wiąże koniec z końcem. Pewnie nie może sobie pozwolić na to, żeby powiedzieć: nie. Szef przemytników z powrotem odwrócił się do komputera, czując w ustach gorycz porażki.

- Chyba nie mogę j ej nawet za to winić - stwierdził. - A co z pozo stałymi?

- Tak jak mówiłem, kończą nam się pieniądze - odparł Gillespi, z zakłopotaniem wzruszając ramionami. - Musimy je skądś brać. W ten sposób niepewna koalicja, którą Karrde usiłował stworzyć, zaczynała się rozpadać. I to bez jednego strzału ze strony Imperium.

- W takim razie sam będę musiał dalej ciągnąć tę sprawę - oznajmił, wstając z miejsca. - Dzięki za pomoc. Podejrzewam, że chciałbyś się teraz zająć interesami.

- Hej, Karrde, nie obrażaj się - upomniał go Gillespi. Zjadł ostatni kawałek owocu i podniósł się z krzesła. - Masz rację: z tymi klonami to poważna sprawa. Jeśli zechcesz wynająć do swoich poszukiwań moje statki i ludzi, to z przyjemnością ci pomogę. Ale po prostu nie mogę sobie pozwolić na to, by dalej pracować za darmo. W razie czego po prostu daj mi znać. - Odwrócił się w stronę drzwi...

- Zaczekaj - powstrzymał go szef przemytników. Przyszła mu do głowy pewna śmiała myśl. - A jeśli znajdę sposób, żeby opłacić was wszystkich, to myślisz, że reszta też z nami zostanie?

- Nie rób ze mnie wariata, Karrde - powiedział Gillespi, mierząc kolegę podejrzliwym spojrzeniem. - Przecież ty nie masz tyle forsy.

- Ja nie mam. Ale Nowa Republika tak. I podejrzewam, że w obecnej sytuacji Republikanie byliby zadowoleni, mając na swych usługach parę dodatkowych statków.

- Co to, to nie. - Gillespi zdecydowanie pokręcił głową. - Przykro mi, ale nie nadaję się na najemnika.

- Nawet gdyby do twoich zadań miało należeć wyłącznie zbieranie informacji? - nie dał się zbić z tropu Karrde. - Miałem na myśli jedynie ten rodzaj pracy, którą wykonywaliście ostatnio w sektorze Orus.

- Trudno sobie wymarzyć lepsze zlecenie - zaśmiał się szyderczo Gillespi. - Ale pozostaje jeszcze pewien małeńki problem: jak znaleźć w Nowej Republice kogoś tak głupiego, by zechciał zapłacić stawkę najemnika zwykłemu szpiegowi.

- Mówiąc prawdę, wcale nie zamierzałem ich o tym informować - uśmiechnął się chytrze szef przemytników. - Czy miałeś kiedyś okazję poznać mojego współpracownika, Ghenta? Przez parę sekund Gillespi wpatrywał się w kolegę zdumionym wzrokiem, ale po chwili zrozumiał intencje Karrde'a.

- Nie ośmieliłbyś się tego zrobić.

- Niby dlaczego? - w ten sposób jeszcze oddamy im przysługę. Po co im zawracać głowę całą tą skomplikowaną księgowością, kiedy oni starają się przetrwać wojnę?

- A ponieważ i tak musieliby nam zapłacić, kiedy już znajdziemy dla nich to centrum klonowania...

- Właśnie - pokiwał głową Karrde. - Możemy to potraktować jako zaliczkę za pracę, którą wkrótce wykonamy.

- Zresztą oni i tak dowiedzą się o tym dopiero wtedy, kiedy już będzie po wszystkim - zauważył Gillespi z nutką ironii w głosie. - Po zostaje jeszcze pytanie, czy Ghent zdoła wyciągnąć od nich te pieniądze?

- Bez problemu - zapewnił go szef przemytników. - Zwłaszcza że w tej chwili przebywa właśnie w Pałacu Imperialnym na Coruscant. I tak miałem się tam niebawem wybrać, żeby wydostać stamtąd Marę; po wiem mu więc, żeby rozgryzł szyfr do kartoteki floty z któregoś sektora i wpisał nas na listę. Gillespi ze świstem wciągnął powietrze.

- Muszę przyznać, że jest to pewne wyjście. Nie wiem jednak, czy to wystarczy, by zatrzymać pozostałych.

- W takim razie będziemy musieli ich o to zapytać - stwierdził Karrde, podchodząc z powrotem do biurka. - Co sądzisz o zaproszeniu ich na spotkanie za, powiedzmy, cztery dni?

- Spróbuj - wzruszył ramionami Gillespi. - Co masz do stracenia? Szef przemytników nagle spoważniał.

- Z wielkim admirałem Thrawnem nie ma żartów - przypomniał koledze. Wieczorny wiatr owiewał kruszejące mury i kamienne kolumny zniszczonej warowni. Od czasu do czasu zawodził cichutko, natrafiwszy na jakąś niewielką dziurę czy szczelinę. Karrde siedział oparty plecami o jeden z filarów i, wpatrując się w ostatnie przebłyski zachodzącego słońca, sączył wolno płyn ze swego kubka. Długie cienie, kładące się na rozciągającej się u stóp fortecy poranej bliznami równinie, zaczynały powoli blednąć: ciemna noc rozpoczynała swą nieubłaganą wędrówkę przez planetę. Wszystko to niejako symbolizowało proces, w jaki tocząca się galaktyce wojna dosięgła wreszcie samego Karrde'a. Mężczyzna wypił jeszcze jeden łyk, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić absurdalnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Oto on: inteligentny wyrachowany, raczej samolubny przemytnik, który zdołał zrobić karierę dzięki temu, iż nie mieszał się do żadnych rozgrywek politycznych. Co więcej: przemytnik, który sobie poprzysiągł, że będzie trzymał swych ludzi z dala od tej wojny. A jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób tkwił teraz w samym środku wojennej gorączki. I nie koniec na tym: za wszelką cenę starał się pociągnąć za sobą innych przemytników. Z niejaką irytacją potrząsnął głową. Wiedział, że mniej więcej w okresie bitwy pod Yavinem taka sama historia przytrafiła się Hanowi Solo. Pamiętał, jak niezmiernie bawiło go to, że Solo stopniowo coraz bardziej daje się wciągać w zarzucone przez Sojusz Rebeliantów sieci zobowiązań i odpowiedzialności. Kiedy teraz spoglądał na całą sprawę ze środka sieci, wszystko to wcale nie wydawało mu się już tak zabawne. Po drugiej stronie zdewastowanego dziedzińca rozległ się słaby odgłos chrzęszczącego żwiru. Karrde odwrócił się i błyskawicznym spojrzeniem omiół stojący tam rząd kolumn, kładąc jednocześnie rękę na blasterze. W tej chwili w warowni nie powinno być nikogo oprócz niego. - Sturm? Drang? - zawołał cicho. W odpowiedzi doleciał go znajomy ni to rechot, ni to prychnięcie i mężczyzna odetchnął z ulgą.

- Tu jestem! - zawołał do zwierzęcia. - Chodź do mnie. Rozkaz nie był konieczny. Vonskr już zmierzał w jego kierunku, manewrując między filarami. Pysk zwiesił nisko i gwałtownie wymachiwał sztywnym ogonem. Karrde doszedł do wniosku, że to pewnie Drang: z dwójki zwierząt Drang był bardziej towarzyski, a Sturm lubił w nieskończoność przeciągać jedzenie posiłków. Vonskr zatrzymał się tuż obok mężczyzny. Ponownie prychnął - tym razem żałośnie - i przycisnął pysk do wyciągniętej ręki Karrde'a. Istotnie, był to Drang.

- Tak, rzeczywiście jest bardzo cicho - powiedział szef przemytników, gładząc dłonią pysk zwierzęcia i wrażliwe na pieszczoty miejsca za uszami. - Ale pozostali niedługo wrócą. Pojechali jedynie sprawdzić inne statki. Drang jeszcze raz prychnął żałośnie i przysiadł przy krześle swego pana, wpatrując się badawczo w leżącą u podnóża warowni równinę. Ale widocznie nie dostrzegł tego, czego szukał. Po chwili warknął przeciągle i położył głowę na kamieniu. Jego uszy poruszyły się niespokojnie, ale - w braku jakiegoś interesującego dźwięku - i one zaraz opadły.

- Tam w dole też jest spokojnie - przyznał z powagą mężczyzna, gładząc sierść vonskra. - Jak myślisz, co się tam stało? Drang nie odpowiedział. Karrde zerknął na szczupły, umięśniony grzbiet zwierzęcia, po raz kolejny zastanawiając się nad naturą tych drapieżników, które - tak po prostu, a może nawet przez własną arogancję - postanowił oswoić. Zastanawiał się, czy w ogóle brałby pod uwagę taką ewentualność, wiedząc, że są to zapewne jedyne zwierzęta w całej galaktyce, które polują przy użyciu Mocy. W pierwszej chwili konkluzja ta mogła się wydawać śmieszna, a nawet niedorzeczna. Wrażliwość na Moc nie była czymś zupełnie obcym, żeby wymienić już choćby dwa przykłady. Gotalowie dysponowali pewnym - choć właściwie bezużytecznym - aspektem Mocy, a mówiło się także, że i Dinogwinowie posiadają tę samą właściwość. Ale przedstawiciele tych dwóch ras byli istotami rozumnymi, cieszącymi się wysokim poziomem inteligencji i samoświadomości, które były niezbędne do korzystania z Mocy. Fakt, że w ten sposób używały Mocy nierozumne zwierzęta, był czymś zupełnie nowym. Ale taki wniosek pozwoliły mu wysnuć dopiero wydarzenia ostatnich miesięcy. Przypomniał sobie, jak dziwnie jego zwierzaki zareagowały na pojawienie się w jego bazie na Myrkrze Luke'a Skywalkera. Podobnie nieoczekiwana i zupełnie nowa była ich reakcja na osobę Mary na pokładzie „Szalonego Karrde'a” tuż przed tym, jak dziewczyna miała nagłe przeczucie, które pozwoliło im w porę uciec przed imperialnym krążownikiem przechwytyjącym. Poza tym Mara i Skywalker kilkakrotnie w czasie swej trzydniowej wędrówki przez las na Myrkrze spotkali się z daleko gwałtowniejszą reakcją ze strony vonskrów. Skywalker był rycerzem Jedi. Mara wykazała się pewnymi umiejętnościami charakterystycznymi dla Jedi. A co jeszcze ciekawsze, można się było w końcu pokusić o wyjaśnienie dziwnego zjawiska wytwarzanych przez isalamiry obszarów, gdzie nie działała Moc: może isalamiry na Myrkrze starały się w ten sposób bronić czy też maskować przed drapieżnymi vonskrami. Drang raptownie podniósł głowę i nadstawił uszu. Karrde także wytężył słuch... W parę sekund później usłyszał daleki odgłos zbliżającego się wahadłowca.

- Wszystko w porządku - uspokoił vonskra. - To Czin i pozostali wracają ze statku. Drang jeszcze przez chwilę siedział sztywno wyprostowany, po czym - jakby zdecydowawszy się zawierzyć słowom pana - ponownie położył pysk na ziemi. Karrde podejrzewał, że vonskrowi ta opustoszała dolina wydawała się jeszcze cichsza niż jemu.

- Nie martw się - starał się dodać otuchy zwierzęciu, ponownie drapiąc je za uszami. - Niedługo stąd wyjedziemy. I obiecuję ci, że następne miejsce, do którego się udamy, będzie tętniło życiem, abyś miał się czemu przysłuchiwać. Uszy Dranga poruszyły się nieznacznie, ale może był to jedynie efekt drapania. Szef przemytników po raz ostatni obrzucił spojrzeniem zabarwiony kolorami zachodzącego słońca krajobraz. Potem wstał i poprawił umocowany na biodrach pas z bronią. Właściwie nie było żadnego konkretnego powodu, żeby już wchodzić do środka warowni. Zaproszenia dla przemytników zostały wcześniej napisane, zaszyfrowane i przesłane do adresatów, i teraz Karrde'owi pozostawało już tylko czekać na odpowiedzi od nich. Ale nagle poczuł się samotny. Jeszcze bardziej samotny niż parę minut wcześniej.

- Chodź, Drang - zwrócił się do zwierzęcia, jeszcze raz gładząc je po grzbiecie. - Już czas wejść do środka. Wahadłowiec wylądował na podłodze hangaru „Chimery” z głośnym sykiem gazów z otwartych zaworów. Czekający na dole szturmowcy czym prędzej zajęli pozycje wokół opadającej rampy. Pellaeon tkwił nieruchomo u boku Thrawn'a, krzywiąc się z powodu nieprzyjemnego zapachu wyzwalanych przy lądowaniu gazów. Gorąco żałował, że tym razem znowu nie wie, co nowego obmyślił wielki admirał. Zresztą cokolwiek to było, kapitan przeczuwał, że nie będzie mu się to podobać. Thrawn mógł sobie mówić, jak niezwykle przewidywalni są ci przemytnicy, i może dla niego istotnie tacy byli, ale Pellaeon już niejednokrotnie miał do czynienia z tymi ludźmi z marginesu i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by jakaś transakcja odbyła się dokładnie tak, jak ją zaplanowano. Poza tym, przyczynkiem do żadnego z tamtych interesów nie był zuchwały atak na imperialną stocznię. Rampa dosięgła wreszcie

podłogi i zatrzymała się nieruchomo. Dowódca szturmowców zajrzał do wnętrza wahadłowca i skinął głową... W towarzystwie dwóch ubranych na czarno żołnierzy floty więzień zszedł na pokład.

- Ach, kapitan Mazzic - powiedział pogodnie Thrawn, kiedy szturmowcy otoczyli przybysza ciasnym kręgiem. - Witam na pokładzie „Chimery”. Przepraszam za to nieco teatralne wezwanie i wszelkie kłopoty wynikłe ze zmian w pana napiętym harmonogramie pracy. Ale są pewne kwestie, których nie można omówić inaczej niż w bezpośredniej rozmowie.

- Jest pan niezwykle zabawny - warknął Mazzic. Pellaeon pomyślał, że zachowanie przemytnika dziwnie nie pasuje do wizji Mazzica jako uprzejmego, wyrafinowanego mężczyzny opisanego w imperialnej kartotece. Chociaż z drugiej strony już sama świadomość tego, że jest się przesłuchiwanym przez Imperium, każdego może pozbawić dobrych manier. - Jak mnie pan znalazł?

- Ależ kapitanie - upomniał go spokojnie wielki admirał. - Czy naprawdę pan sądził, że zdoła się pan przede mną ukryć?

- Karrde'owi się to udało - odparował Mazzic. Za wszelką cenę starał się robić dobrą minę do złej gry, ale jego skute kajdankami ręce poruszały się nerwowo. - Jeszcze go pan nie dostał, prawda?

- Przyjdzie czas i na Karrde'a - rzekł Thrawn. Jego głos nadal był spokojny, ale pojawiła się w nim jakaś ostrzejsza nuta. - Ale teraz nie rozmawiamy o nim: mówimy o panu.

- O tak, nie wątpię, że nie może się pan już tego doczekać - burknął Mazzic, machając zakutymi w kajdanki rękami. - Miejmy to już za sobą.

- Pan mnie nie zrozumiał, kapitanie - stwierdził admirał, nieznacznie unosząc brwi. - Nie ściągnąłem tu pana, by go ukarać. Znalazł się pan tutaj po to, byśmy mogli oczyścić panującą między nami atmosferę. Przemytnik, któremu już cisnęła się na usta kolejna zuchwałość, był wyraźnie zdumiony.

- O czym pan mówi? - spytał podejrzliwie.

- Mówię o tym ostatnim incydencie w stoczni na Bilbringi - wyjaśnił Thrawn. - Proszę nie zaprzeczać: wiem, że to pan i Ellor zniszczyliście ten niedokończony niszczyciel gwiazdny. I normalnie Imperium wymierzyłoby za taki postępek niezwykle surową karę. Ale w tych szczególnych warunkach jestem gotów puścić to płazem.

- Nie bardzo rozumiem - zdziwił się szczerze Mazzic.

- To bardzo proste, kapitanie. -Admirał wykonał jakiś gest i jeden z eskortujących więźnia szturmowców zaczął zdejmować mu kajdanki. - Pański atak na Bilbringi był aktem odwetu za podobną napaść na zgromadzonych na Troganie przemytników, gdzie i pan był obecny. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że ani ja, ani żaden z wyższych oficerów Imperium nie wydał rozkazu do tego ataku. A żeby już powiedzieć całą prawdę, to dowódca otrzymał wyraźne polecenie, aby w żaden sposób nie ingerować w to spotkanie.

- I pan sądzi, że ja w to uwierzę? - prychnął Mazzic.

- A wierzy pan w to, że byłem aż tak nierozważny, by posłać na tę misję nie przygotowany oddział bojowy? - spytał, a w jego oczach pojawiły się dziwne błyski. Przemytnik przez chwilę mierzył wielkiego admirała wzrokiem. W jego spojrzeniu nadal czaiła się wrogość, ale teraz pojawiło się także coś na kształt zadumy.

- Zawsze uważałem, że zbyt łatwo udało nam się stamtąd uciec - mruknął pod nosem.

- A zatem się rozumiemy - stwierdził Thrawn, odzyskując panowanie nad sobą. - Sprawa została wyjaśniona. Wahadłowiec z powrotem zabierze pana do bazy. - Uśmiechnął się nieznacznie. - A raczej do awaryjnej bazy na planecie Lelmra, dokąd niewątpliwie zdążyli już uciec pańscy ludzie. Jeszcze raz przepraszam za wszelkie niedogodności. Mazzic rozejrzał się po hangarze. Jego twarz wyrażała zarazem podejrzliwość, iż to jakaś kolejna sztuczka, i nadzieję, że admirał mówi jednak prawdę.

- I ja mam w to uwierzyć? - rzucił niepewnie.

- Może pan sobie wierzyć, w co tylko pan zechce - oznajmił Thrawn. - Ale proszę pamiętać o tym, że miałem pana w swoim ręku... i pozwoliłem odejść wolno. Życzę miłego dnia, kapitanie. - Admirał się odwrócił...

- To kto właściwie napadł na nas na Troganie? - zawołał za nim Mazzic. - Jeśli to nie byli żołnierze Imperium, to kto?

- To żołnierze Imperium - rzekł Thrawn, odwracając się do swego rozmówcy. - Nasze informacje są jeszcze niepełne, ale ze wstępnych ustaleń wynika, że porucznik Kosk i jego ludzie chcieli sobie na boku trochę dorobić.

- Ktoś ich wynajął, żeby nas zaatakowali? - nie posiadał się ze zdumienia przemytnik. - Imperialnych żołnierzy?

- Nawet żołnierze Imperium nie są na tyle idealni, by móc się zawsze oprzeć pokusie wzięcia łapówki - stwierdził wielki admirał z głęboką pogardą. - Tym razem przypłacili zdradę własnym życiem. Proszę dopilnować, aby osoba czy też osoby odpowiedzialne za ten atak zapłaciły taką samą cenę.

- A pan wie, kto to był? - dociekał Mazzic.

- Sądzę, że tak. Ale jak na razie nie mam jeszcze żadnych dowodów.

- Proszę mnie jakoś naprowadzić na właściwy trop.

- Niech pan sam wyciągnie odpowiednie wnioski - zaśmiał się ironicznie Thrawn. - Życzę miłego dnia, kapitanie. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę sklepionego przejścia, prowadzącego do części naprawczych i usługowych statku. Pellaeon zaczekał, aż Mazzic i jego eskorta z powrotem udadzą się na wahadłowiec, po czym pospieszył za admirałem.

- Sądzi pan, że dostatecznie zasugerował mu pan odpowiedź, admirale? - spytał cicho.

- To nie ma większego znaczenia, kapitanie - zapewnił go Thrawn. - Zrobiliśmy wszystko, co trzeba; i jeśli Mazzic sam nie będzie w stanie wskazać Karrde'a, to niewątpliwie uda się to któremuś z szefów pozo stałych grup przemytniczych. Zresztą zawsze bezpieczniej jest powiedzieć za mało niż za dużo. Niektórzy ludzie już z założenia odnoszą się podejrzliwie do zbyt łatwo zdobytych informacji. Za ich plecami wahadłowiec uniósł się z pokładu i skierował ku przestrzeni kosmosu. Zaś z przeciwnej strony wyłoniła się uśmiechnięta postać.

- Dobra robota, admirale - skomplementował Thrawn'a Niles Ferrier, przesuwając cygaro w drugi kącik ust. - Najpierw napędził pan Mazzicowi stracha, a potem puścił go pan wolno. Na pewno długo nie zapomni tego spotkania.

- Dziękuję, Ferrier-rzucił cierpko admirał. -Twoje pochwały wiele dla mnie znaczą. Na chwilę uśmiech na twarzy złodzieja statków nieco przybladł, ale potem Ferrier zdecydował się potraktować tę uwagę dosłownie.

- Dobra - powiedział. - To jakie są nasze dalsze plany? Oczy Thrawn'a rozjarzyły się na dźwięk słowa „nasze”, ale admirał nie zrobił żadnej uwagi.

- Ostatniej nocy Karrde nadał serię meldunków, z których jeden udało nam się przechwycić - poinformował Ferriera. - Moi ludzie jeszcze pracują nad tym, by rozszyfrować tę wiadomość, ale to nie może być nic innego, jak tylko zaproszenie na kolejne spotkanie. Kiedy już ustali my jego czas i miejsce, damy ci znać.

- A wtedy ja tam pojadę i pomogę Mazzicowi rozszyfrować Karrde'a - pokiwał głową złodziej statków.

- Nic podobnego - zaoponował żywo admirał. - Masz siedzieć w kącie i nie zabierać głosu. Ferrier jakby skulił się w sobie.

- Dobra. Jasne. Thrawn przez parę sekund mierzył go wzrokiem.

- Będziesz miał natomiast za zadanie dopilnować - podjął po chwili - by pewna karta danych znalazła się w posiadaniu Karrde'a. Najlepiej, jeśli umieścisz ją w jego gabinecie na statku: tam z pewnością Mazzic rozpocznie swoje poszukiwania. Admirał skinął ręką. Jeden z oficerów podszedł do Ferriera i wręczył mu kartę danych.

- Aha - uśmiechnął się chytrze złodziej statków, biorąc kartę do ręki. - Rozumiem. To pewnie zapis transakcji Karrde'a z tym porucznikiem Koskiem, prawda?

- Istotnie - potwierdził Thrawn. - To, a także dodatkowe dowody, które już zamieściliśmy w danych Koska, powinny przekonać pozostałych przemytników, że Karrde nimi manipulował. Spodziewam się, że to w zupełności wystarczy.

- Tak, to jest rzeczywiście paskudna zgraja. - Ferrier obrócił w dłoniach kartę danych, zawzięcie żując przy tym cygaro. - No dobra. W takim razie muszę się jedynie dostać na pokład „Szalonego Karrde'a"... - Urwał w połowie zdania, widząc wyraz twarzy Thrawna.

- Nie - powiedział cicho wielki admirał. - Wręcz przeciwnie, masz się trzymać jak najdalej od statku i prywatnych, naziemnych pomieszczeń Karrde'a. Co więcej, podczas pobytu w jego bazie nigdy nie możesz być sam. Złodziej statków ze zdziwienia zamrugał powiekami.

- Tak, ale... - Bezradnie uniósł do góry kartę danych. Pellaeon usłyszał, że z ust stojącego obok niego admirała dobyło się ciężkie westchnienie, świadczące o tym, że Thrawn traci już resztki cierpliwości.

- Kartę danych umieści na pokładzie „Szalonego Karrde'a" twój Defel.

- Ach tak, tak - ucieszył się Ferrier. - Pewnie uda mu się wślizgnąć na statek, a potem z niego wydostać tak, by nikt go nie widział.

- Oby tak się stało - rzucił ostrzegawczo wielki admirał, przybierając nagle lodowaty ton. - Bo ja nie zapomniałem o tym, jaką rolę odegrałeś w śmierci porucznika Koska i jego ludzi. Jesteś dłużnikiem Imperium, Ferrier. I ten dług musi zostać spłacony. Ledwie widoczna spod gęstej brody twarz złodzieja statków nieco pobladła.

- Zrozumiałem, panie admirale.

- To dobrze. Pozostaniesz na swoim statku do czasu, aż moi ludzie rozszyfrują miejsce spotkania z Karrde'em. Potem ruszysz w drogę.

- Jasne - odparł Ferrier, wsuwając kartę danych do swojej tuniki. - A co będę robił, kiedy oni już rozprawią się z Karrde'em?

- Będiesz mógł się zająć swoimi sprawami - stwierdził Thrawn. - Zawiadomię cię, gdybyś znowu był mi potrzebny.

- Jasne - powtórzył złodziej statków drżącymi wargami. Pellaeon wiedział, że Ferrier powoli zaczyna sobie uświadamiać, jak wielki jest jego dług względem Imperium.

ROZDZIAŁ 16

Powierzchnia planety, która ukazała się ich oczom - podobnie zresztą jak powierzchnie wszystkich innych planet, które Han dotychczas widział - była mozaiką zieleni, błękitu i odrobiny bieli. Od reszty planet różniła się jedynie tym, że nie miała swojej nazwy. Nie miała także portu kosmicznego ani urządzeń orbitalnych. Nie było na niej miast ani fabryk energii, ani innych statków. Właściwie nie było tu niczego.

- Czy to tu? - zagadnął Marę Solo. Dziewczyna nie odpowiedziała. Odwróciwszy się, Han zauważył, że Jadę nieruchomo wpatruje się w widniejącą w dole planetę.

- To w końcu tu czy nie tu? - powtórzył, nieco zniecierpliwiony.

- Tak - oznajmiła głucho Mara. - Jesteśmy na miejscu.

- To dobrze - stwierdził Han, przyglądając się jej ze zdziwieniem. - Świetnie. Masz zamiar nam powiedzieć, gdzie jest ta góra? Czy też będzie my tak latać w kółko, aż w końcu zobaczymy, skąd wydobywa się ogień? Dziewczyna jakby otrząsnęła się z zadumy.

- To jest gdzieś w połowie drogi między równikiem a biegunem północnym - odparła.

- W pobliżu wschodniej krawędzi głównego kontynentu. Samotna góra, wystająca ponad las i łąki.

- Dobra - rzucił Solo. Wstukał dane do komputera z nadzieją, że czujniki nie spletają mu figla i nie zawiodą go. Jadę i tak zrobiła już mnóstwo uszczypliwych uwag na temat jego „Sokoła”. Za plecami Hana rozsunęły się drzwi kabiny i do środka weszli Lando i Chewbacca.

- No i jak? - spytał Calrissian. - Czy to ta planeta?

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Mara, nim Solo zdążył otworzyć usta. Chewbacka zamruczał pytająco.

- Nie, zdaje się, że to naprawdę jest zakątek, do którego jeszcze nie dotarła cywilizacja - potrząsnął głową Han. - Nigdzie nie dostrzegłem żadnych źródeł energii ani śladów łączności radiowej.

- A bazy wojskowe? - zainteresował się Lando.

- Jeśli nawet tu są, to nie mogę ich znaleźć - rzekł Solo.

- Ciekawe - mruknął Calrissian, zerkając sponad ramienia Mary. - Nie ufałbym jednak wielkiemu admirałowi.

- To miejsce zaprojektowano jako tajny magazyn - przypomniała z przekąsem Jadę.

- A niejako pokazową reklamę imperialnego sprzętu. W okolicy nie było żadnych garnizonów ani centrów dowodzenia, które Thrawn mógłby zająć.

- A zatem, jeśli ma tutaj jakieś siły, to są one ukryte wewnątrz góry? - spytał Han.

- Tak, a oprócz tego jest zapewne kilka patroli naziemnych wokół niej - stwierdziła dziewczyna. - Ale te jednostki nie dysponują dywizjo nami bojowymi ani ciężką bronią, której mogłyby użyć przeciwko nam.

- To miła odmiana - zauważył cierpko Lando.

- Chyba, że Thrawn sam postanowił wybudować tu kilka garnizonów - podsunął Solo. - Na wszelki wypadek lepiej naładujcie z Chewiem działa.

- Racja. Calrissian i Wookie wyszli z kabiny pilota. Han skierował statek ku powierzchni planety, po czym włączył czujniki.

- Jakies kłopoty? - zainteresowała się Mara.

- Nie, nic się nie dzieje - uspokoił ją Han, wpatrując się uważnie w monitory kontrolne. Nie było widać nic niepokojącego. - Kiedy tu lecieliśmy, kilka razy odniosłem wrażenie, że coś się koło nas kręci.

- Calrissianowi też się wydawało, że coś zobaczył, kiedy zmienialiśmy kurs nad Obroaskai - oznajmiła Jade, spoglądając na monitory. - Może to jakiś obiekt, który skutecznie zakłóca pracę czujników?

- Albo po prostu błąd aparatury - zasugerował Solo. - Te urządzenia techniczne sprawiają nam ostatnio trochę kłopotów. Dziewczyna pochyliła się do przodu i wyjrzała przez prawy iluminator.

- Czy to możliwe, że ktoś leci tu za nami z Coruscant?

- A kto wiedział, że tu przylecimy? - odparował Han. Nie, z całą pewnością nic tam nie było. To musiał być tylko wytwór jego wyobraźni. - Czy widziałaś dużą część tego tajnego magazynu? Mara powoli oderwała wzrok od iluminatora, ale wcale nie wyglądała na przekonaną.

- W zasadzie tylko to, co znajduje się na trasie od wejścia do sali tronowej na szczycie - odparła. - Ale wiem, gdzie jest to pomieszczenie z komorami spaarti.

- A generatory mocy?

- Nigdy ich nie widziałam, ale obito mi się o uszy, że system chłodzenia pobiera wodę z rzeki opływającej północno-wschodni stok góry. Pewnie muszą się mieścić gdzieś w tym rejonie. Solo zagryzł wargi.

- A główne wejście jest po stronie południowo-zachodniej - zauważył.

- Jedyne wejście - poprawiła go Jadę. - Tylko tamtędy można się dostać do wnętrza góry i z powrotem na zewnątrz.

- Już wiele razy słyszałem podobne zapewnienia.

- Ale tym razem jest to prawda - ucięła ostro.

- Dobra - stwierdził Han, wzruszając ramionami. Nie było sensu się o to kłócić. A przynajmniej do czasu aż sami obejrzą dokładnie to miejsce. Drzwi kabiny się rozsunęły i, obejrzwawszy się przez ramię, Solo zobaczył w nich Luke'a. - No, chłopcze, jesteśmy na miejscu.

- Wiem - rzekł Skywalker, przystając za plecami Jadę. - Mara mi o tym powiedziała. Han obrzucił dziewczynę zdumionym spojrzeniem. Z tego, co zauważył, Mara przez całą podróż starannie unikała Luke'a, co wcale nie było łatwe na statku wielkości

„Sokoła”. Zresztą Jedi starał się pójść jej na rękę i schodził jej z drogi, co też nie było proste.

- Ona ci powiedziała, tak?

- Dajmy już temu spokój - zakończył dyskusję Skywalker i spojrzał na widniejącą przed nimi planetę. - A więc to jest Wayland?

- Tak, to jest Wayland- potwierdziła krótko Jadę. Odpięła pasy i wyminęła Luke'a. - Będę na tyle statku - rzuciła przez ramię.

- Wy dwoje tak dobrze ze sobą współpracujecie - skomentował Solo, gdy drzwi kabiny zamknęły się za dziewczyną.

- Żebyś wiedział - odparował Jedi, siadając na miejscu drugiego pilota, które Mara przed chwilą zwolniła. - Trzeba nas było widzieć na pokładzie „Chimery”, kiedy szliśmy ratować Karrde'a. Dobrze jest mieć u boku taką osobę.

- Chyba nie wtedy, gdy chce ci niepostrzeżenie wbić nóż w plecy - zauważył Han, zerkając na przyjaciela spod oka.

- Jestem skłonny zaryzykować - oznajmił Skywalker, uśmiechając się pod nosem. - To pewnie jedna z tych kretyńskich sztuczek Jedi.

- Lukę, to wcale nie jest śmieszne - upomniał go Solo. - Ona nie zrezygnowała z zamiaru, żeby cię zabić. Jeszcze na Coruscant powie działa o tym Leii.

- Z czego wnoszę, że tak naprawdę wcale nie chce tego zrobić - stwierdził Skywalker. - Ludzie nie mają zwyczaju informować wszystkich dokoła o swych morderczych zamiarach. A już na pewno nie mówią o tym rodzinie przyszłej ofiary.

- Jesteś gotów zaryzykować swoje życie? Lukę nieznacznie wrzucił ramionami.

- Już to zrobiłem. „Sokół” posuwał się teraz w najbardziej zewnętrznych warstwach atmosfery planety i komputer zdołał wreszcie ustalić prawdopodobną lokalizację góry Tantiss.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że to nie jest dobry moment, by ryzykować - oznajmił Han przyjacielowi. Szybkim spojrzeniem ogarnął mapę kontrolną i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zejść nad planetę dokładnie od południa: wtedy las zapewni im osłonę zarówno przy lądowaniu, jak i przy dalszej wędrówce.

- Masz jakieś propozycje? - zainteresował się Jedi.

- Tak, mam pewien pomysł - wyznał Solo, obierając kurs na widoczną w dali górę. - Zostawimy Marę w „Sokole”, na lądowisku.

- Żywą? Han zdał sobie sprawę z tego, że zdarzały się w jego życiu chwile, kiedy to pytanie wcale nie brzmiało zabawnie.

- Oczywiście, że żywą- odparł sztywno. - Istnieje mnóstwo sposobów, by ją powstrzymać, aby się do niczego nie mieszała.

- I naprawdę sądzisz, że ona się na to zgodzi?

- Nikt jej nie będzie pytał o zdanie.

- Nie możemy tego zrobić, Han - potrząsnął głową Skywalker. - Ona musi to doprowadzić do samego końca.

- Niby co? - burknął Solo. - Atak na fabrykę klonów, czy próbę zabicia ciebie?

- Nie wiem - powiedział cicho Lukę. - Może jedno i drugie. Przed wstąpieniem do Sojuszu Rebeliantów Han nigdy nie pałał szczególną miłością do lasów. Nie można jednak powiedzieć, by ich zdecydowanie nie lubił. Po prostu przeciętny przemysłowiec nie poświęca lasom zbyt wiele uwagi. Zazwyczaj Solo odbierał towar lub dostarczał go do portów takich jak Mos Eisley czy Abregado-rae; a jeśli już czasami zdarzyło mu się umówić w lesie, to pozwalał, aby klient obserwował las, on zaś obserwował klienta. W efekcie Han wyrobił w sobie przekonanie, iż wszystkie lasy są w zasadzie niemal jednakowe. Dopiero związek z Sojuszem zmienił jego nastawienie. Na Endorze, Korstris, Fedje i w kilkunastu innych miejscach na własnej skórze przekonał się, że każdy las jest inny: ma zupełnie niepowtarzalną roślinność, inne zwierzęta i jeszcze całą masę niespodziewanych utrudnień, które stają na drodze przybysza. To jeszcze jedna z tych dziedzin, co do których Sojusz nauczył go więcej, niż on sam chciał wiedzieć. Skalą swojej odrębności las na Waylandzie w niczym nie ustępował innym

lasom. Pierwszy problem, który przed nimi stanął, polegał na tym, jak pomimo niezwykle gęstych koron drzew posadzić statek na ziemi tak, by nie zostawić przy tym dziury, którą musiałby dostrzec każdy imperialny pilot patrolujący okolicę. Udało im się znaleźć miejsce po złamanym drzewie. Han wprowadził w nie statek bokiem; manewr ten było znacznie trudniej wykonać w silnym polu grawitacyjnym planety niż na asteroidzie. Kolejne wyzwanie stanowiła druga warstwa koron drzew, z której istnienia Solo zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy pokonywał pierwszą. Nim udało mu się wyrównać lot „Sokoła”, ściał wierzchołki kilku niższych drzew, a wreszcie łamiąc po drodze mnóstwo krzewów - zdołał posadzić maszynę na ziemi.

- Ładne lądowanie - skomentował cierpko Lando, rozcierając stłuczone ramię, kiedy Han wyłączył silniki manewrowe.

- Przynajmniej układ czujników wciąż jest na swoim miejscu- stwierdził Solo, posyłając przyjacielowi wymowne spojrzenie.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz, co? - skrzywił się Calrissian. Han wzruszył ramionami i polecił czujnikom, by ustaliły, jakie formy życia występują w najbliższej okolicy. Najwyższy czas się przekonać, z czym będą mieli tu do czynienia.

- No dobrze - rzucił gderliwie Lando. - Następnym razem to ja zniszczę generator pola energetycznego, a ty wprowadzisz statek w gar dzieł Gwiazdy Śmierci. To wcale nie było śmieszne. Jeśli Imperium ma w swoim posiadaniu dostatecznie dużo dawnych zasobów i informacji, to Thrawn może się pokusić o zbudowanie kolejnej Gwiazdy Śmierci.

- My już jesteśmy gotowi - oznajmił Luke, wsuwając głowę do kabiny pilota. - Jak to wszystko wygląda?

- Nie tak źle - odparł Solo, odczytując dane z monitora kontrolne go. - Namierzyłem całą masę zwierząt, ale trzymają się z daleka.

- Jak duże są te zwierzęta? - zainteresował się Calrissian. Pochylił się, by zerknąć na ekran komputera.

- I ile ich jest w jednej grupce? - dodał Skywalker.

- Mniej więcej piętnaście - poinformował go Solo. - Gdyby zaszła taka potrzeba, na pewno sobie z nimi poradzimy. Chodźmy się trochę rozejrzeć. Mara i Chewbacca czekali przy luku w towarzystwie obu robotów. Dla odmiany Threepio zachowywał teraz całkowite milczenie.

- Na początek pójdziemy ja i Chewie - zdecydował Han, wyciągając swój blaster. - Reszta z was ma się stąd nie ruszać. Nacisnął umieszczone przy wyjściu guziki kontrolne; drzwi luku się rozsunęły, ukazując opadającą rampę, która z cichym szelestem oparła się o pokrytą suchymi liśćmi ziemię. Starając się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, Solo ruszył w dół. Nie zdążył jeszcze dojść do końca rampy, gdy zauważył pierwsze zwierzę: szare, z białymi cętkami na grzbiecie, o długości mniej więcej dwóch metrów. Przycupnęło przy pniu jakiegoś drzewa i małymi jak paciorki oczami bacznie obserwowało przybysza. Sądząc z wyglądu zębów i pazurów, musiał to być drapieżnik. Stojący obok Chewbacca zaryczał cicho.

- Tak, widzę go - szepnął Solo. - A gdzieś w pobliżu jest czternaście następnych. Wookie zaryczał ponownie, gestykułując przy tym.

- Masz rację - stwierdził Han, przyglądając się uważnie drapieżnikowi. - Rzeczywiście wygląda jakoś znajomo. Trochę jak te pentaki z Mantessy, co? Chewbacca zastanawiał się przez chwilę, po czym zamruczał przecząco.

- Cóż, później spróbujemy rozwikłać tę kwestię. Luke?

- Tu jestem - doleciał od strony luku głos Skywalkera.

- Razem z Marą zaczniście znosić na dół sprzęt - zarządził Solo, nie spuszczać wzroku z drapieżnika. Rozmowa zdawała się żaden sposób nie przeszkadzać zwierzęciu. - Zaczniście od skuterów powietrznych. Ty, Lando, będziesz nas osłaniał ze statku. Miej oczy szeroko otwarte.

- Dobra - rzekł Calrissian. Z góry dały się słyszeć stuknięcia i szczęknięcia, kiedy Luke i Mara zwolnili z dwóch pierwszych skuterów powietrznych blokady zakładane na

czas transportu, po czym rozległo się ciche buczenie wprawionych w ruch silników manewrowych. Nagle z gwałtownym trzaskiem łamanych gałęzi i chrzęstem gniecionych liści drapieznik skoczył do ataku.

- Chewie! - zdążył krzyknąć Han. Zwierzę już spadało mu na głowę. Solo natychmiast wystrzelił, trafiając napastnika w pierś. W ostatniej chwili zdążył się odsunąć; martwe cielsko zważyło się na ziemię tuż obok niego. Chewbacca na cały głos wznosił okrzyki wojenne Wookiech, strzelając przy tym na wszystkie strony, gdyż zza drzew wypadły kolejne drapiezniki. Od strony luku także rozległo się wołanie i padł kolejny strzał. Kątem oka Solo zauważył, iż zbliża się ku niemu kolejne zwierzę i to tak szybko, że nie zdoła już uniknąć jego szponów. Zasłonił ręką twarz, starając się przy tym jak najbardziej odchylić głowę do tyłu. Ułamek sekundy później runął na ziemię, gdyż drapieznik zważył się na niego całym swym ciężarem. Han odczuł wielki ucisk i przeszywający ból, gdy ostre szpony przebiły jego kamizelkę ochronną... Niespodziewanie ciężar ustąpił. Han opuścił rękę i zobaczył, że zwierzę wpadło właśnie na rampę i zamierza wtargnąć na pokład „Sokoła”. Uniósł się nieco i wystrzelił; jednocześnie także ktoś ze środka statku oddał strzał. Chewbacca warknął ostrzegawczo. Wciąż leżąc na plecach, Solo odwrócił głowę i zobaczył, że wielkimi susami zbliżają się do niego jeszcze trzy drapiezniki. Dwoma szybkimi strzałami powalił jednego z nich i właśnie usiłował wycelować w następnego, gdy tuż przed jego oczami pojawiły się nogi w długich czarnych butach. Zwierzęta w pół skoku natrafiły na linię jaskrawozielonego światła i runęły na ziemię. Han obrócił się na brzuch i poderwawszy się błyskawicznie na nogi, rozejrzał się dokoła. Przed nim, na ugiętych nogach, gotowy do ataku, stał Luke z mieczem świetlnym. Po drugiej stronie rampy Solo dostrzegł Chewbaccę, a wokół niego trzy martwe cętkowane drapiezniki. Zerknął na leżące u jego stóp zabite zwierzę. Dopiero teraz mógł mu się spokojnie przyjrzeć...

- Uważaj! Tam są jeszcze trzy - ostrzegł go Skywalker. Obejrząwszy się, Han zdołał wypatrzeć dwa drapiezniki ukryte między pniami drzew.

- Te już nie będą nas niepokoić. Czy któryś z nich zdołał dostać się na statek?

- Żadnemu się to nie udało - odparł Luke. - Co wy właściwie zrobiliście, że zdecydowały się nas zaatakować?

- My nic nie zrobiliśmy - rzekł Solo, przypinając blaster do pasa. - To ty i Mara włączyliście skutery powietrzne. Chewbacca zaryczał z przejęciem, przypominając sobie nagle przebieg wypadków.

- Masz rację, stary - pokiwał głową Han. - To właśnie wtedy przy puściły atak.

- Co to za zwierzęta? - spytał Jedi.

- Nazywają je garralami - rozległ się z góry rampy głos Mary. Nie wypuszczając blastera z ręki, dziewczyna przykucnęła i uważnie zlustrowała wzrokiem leżące obok Chewiego martwe cielska. - Imperium używało ich zamiast psów zwiaadowczych, zwłaszcza wokół garnizonów na silnie zalesionych terenach pogranicznych, gdzie patrole z robotów wywiadowczych nie zdawały egzaminu. Podobno w ultradźwiękach wytwarzanych przez silniki manewrowe jest coś, co im przypomina dźwięki wydawane przez j eden z gatunków zwierząt, na które polują. To ich przy ciąga jak magnes.

- A więc dlatego tu na nas czekały - stwierdził Luke. Zgasił miecz świetlny, ale nadal trzymał go w pogotowiu.

- Silniki manewrowe używane na statkach potrafią usłyszeć z odległości wielu kilometrów - oznajmiła Mara. Zeskoczyła z rampy, przy cupnęła obok jednego z martwych garrali i wolną rękę wsunęła mu w futro na szyi. - Co oznacza, że jeśli założono im czujniki radiowe, to w górze Tantiss już wiedzą, że tu jesteśmy.

- Bomba - mruknął Han, przyklękając przy martwym garralu u swoich stóp. - Czego mamy szukać? Jakiejś opaski na szyi?

- Pewnie tak - powiedziała Jadę. - Ale sprawdźcie też nogi. Przez kilka minut trwały gorączkowe poszukiwania; jednak żadne ze zwierząt nie miało na sobie czujnika.

- To pewnie potomkowie grupy, którą tu sprowadzono, by strzegła góry - stwierdził Lando.

- A może to jest właśnie ich prawdziwy dom - rzekła Mara. - Ni gdy nie widziałam, by podawano nazwę ich macierzystej planety.

- Tak czy inaczej mamy kłopoty - zauważył Solo, spychając z rampy „Sokoła” ciało ostatniego zwierzęcia. - Jeśli nie możemy skorzy stać ze skuterów powietrznych, to znaczy, że będziemy musieli iść pieszo. Z góry dobiegł ich cichy, elektroniczny pomruk.

- Bardzo pana przepraszam - odezwał się Threepio - ale czy to się tyczy także mnie i Artoo?

- Tak, chyba że umiecie latać...

- Bo... proszę pana... mam wrażenie, że Artoo nie jest specjalnie przystosowany do wędrówki po lesie - oznajmił kurtuazyjnie android. - I jeśli nie możemy użyć platformy bagażowej, to może udałoby się zaaranżować coś innego?

- Będziecie szli pieszo tak jak wszyscy - uciął dyskusję Han. Nie miał ochoty strawić całego dnia na handryczeniu się z Threepiem. - Już raz zrobiliście to na Endorze, teraz możecie ten wyczyn powtórzyć.

- Na Endorze nie musieliśmy iść aż tak daleko - półgłosem przy pomniat przyjacielowi Luke. - Od góry dzielą nas jakieś dwa tygodnie marszu.

- Nie jest aż tak źle - stwierdził Solo, szybko robiąc w myślach obliczenia. - Najwyżej osiem lub dziewięć dni. Może nieco dłużej, jeśli po drodze napotkamy jakieś kłopoty.

- O, kłopoty nas nie ominą - rzuciła cierpko Mara. Usiadła na rampie i położyła sobie blaster na kolanach. - Tego możemy być pewni.

- Sądysz, że tubylcy nie będą zbyt gościnni? - spytał Lando.

- Spodziewam się, że powitają nas z łukami gotowymi do strzału - odparowała dziewczyna. - Są tutaj dwa gatunki mieszkańców: Psadanie i Mynerysze. Ale ani jedni, ani drudzy nie pałali zbyt dużą sympatią do ludzi, nawet jeszcze przed zajęciem góry Tantiss przez Imperium.

- Cóż, przynajmniej nie będą po stronie Imperium - zauważył Calrissian.

- To niewielka pociecha - burknęła Jada. - A jeśli już sobie z nimi jakoś poradzimy, to nieustannie będą nas nękać drapieżniki. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się dotrzeć na miejsce w ciągu dwunastu czy trzynastu dni. Han omiół wzrokiem las; coś zwróciło jego uwagę. Coś bardzo niepokojącego...

- A więc szacujemy czas naszej podróży na dwanaście dni - po wiedział. Nagle wydało mu się niezwykle ważne, by wyruszyć stąd jak najprędzej. - Bierzmy się do roboty. Lando, Mara: podzielcie sprzęt, który trzeba będzie nieść. Chewie: wyciągnij wszystkie pudełka z żywnością z zestawów awaryjnych; to powinno nam zapewnić wystarczająco dużo jedzenia. Luke: ty weź roboty i idźcie tędy - wskazał ręką kierunek. - Spróbujcie znaleźć jakąś drogę. Może koryto wyschłego strumienia: jesteśmy już na tyle blisko góry, że coś takiego powinno tu być.

- Naturalnie, proszę pana - ochoczo przystąpił do wykonania za dania Threepio, maszerując po rampie w dół. - Chodź, Artoo. Rozległ się zbiorowy pomruk aprobaty i wszyscy ruszyli do wyznaczonych zadań. Solo skierował się w stronę rampy, ale zaraz się zatrzymał, czując na ramieniu rękę Luke'a.

- Coś nie w porządku? - spytał Skywalker.

- Pamiętasz te garrale, które nas obserwowały? - Han wskazał głową las. - Już ich nie ma. Jedi obejrzał się za siebie.

- Czy wszystkie odeszły jednocześnie?

- Nie wiem. Nie widziałem, kiedy odchodziły.

- Sądysz, że to jakiś imperialny patrol? - podsunął Luke, kładąc rękę na mieczu świetlnym.

- A może po prostu stado tych zwierząt, na które - jak mówiła Mara - polują garrale. Jak sądzisz? Skywalker głęboko nabrał powietrza w płuca, na chwilę je zatrzymał, po czym powoli wypuścił.

- Nie wyczuwam w pobliżu niczyjej obecności - powiedział. - Ale może po prostu są zbyt daleko. Myślisz, że powinniśmy przerwać tę misję?

- Jeśli to zrobimy, to stracimy naszą najlepszą szansę - odparł Solo, potrząsając głową. - Kiedy się dowiedzą, że znaleźliśmy ich fabrykę klonów, nie będą już mieli powodu udawać, iż jest to jakaś zapomniana baza w środku lasu. Kiedy tu wrócimy z posiłkami, będzie już na nas czekała cała flota z kilkoma niszczycielami gwiazdowymi.
- Też tak uważam - skrzywił się Skywalker. - I masz rację: jeśli rzeczywiście namierzyli „Sokoła”, to powinniśmy stąd jak najprędzej zniknąć. Czy masz zamiar wystać na Coruscant współrzędne Waylandu, nim stąd ruszymy?
- Sam nie wiem. - Han zerknął na górujący nad nimi statek, starając się nie myśleć o tym, że Imperium znów może dostać „Sokoła” w swoje łapy. - Jeżeli jest tam jakiś patrol, to nie zdołamy nastroić nadajnika tak, by wiadomość go ominęła. Tym bardziej, że to urządzenie ostatnio kiepsko funkcjonuje.
- Rzeczywiście, sprawa wygląda dość ryzykownie - stwierdził Jedi, także zerkając w górę. - Jeśli popadniemy w jakieś tarapaty, to nie będą mieli pojęcia, gdzie posłać za nami oddziały wsparcia.
- Jeśli z kolei nadamy wiadomość i imperialny patrol ją przechwyci, to kłopoty murowane - mruknął Solo. - Jestem otwarty na wszelkie propozycje.
- A może zaczekam tu kilka godzin i jeżeli do tego czasu nie pojawi się tu żaden patrol, to zaryzykuję przesłanie meldunku - podsunął Lukę.
- Wykluczone. Musiałbyś potem podróżować sam, a istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ogóle byś nas nie znalazł.
- Jestem skłonny zaryzykować.
- Ale ja nie - rzucił ostro Han. - Poza tym za każdym razem, kiedy sam gdzieś się wypuszczasz, wciągasz mnie w jakieś kłopoty. Skywalker uśmiechnął się smutno.
- Czasami rzeczywiście tak to wygląda.
- No dobra, tracimy tylko czas. Rusz się i znajdź jakąś drogę.
- W porządku - westchnął Jedi. Ale nie wydawał się bardzo zmartwiony. Może sam zdawał sobie sprawę z tego, że jego pomysł nie był jednak zbyt dobry. - Threepio, Artoo: chodźcie. Ruszamy. Najtrudniejsza była pierwsza godzina. Ledwie widoczne, przypominające ścieżkę przejście, które znalazł Artoo, kończyło się ślepo w ciemnych krzewach już po stu metrach. To ich zmusiło do przebijania się przez niezwykle gęste poszycie leśne, w wyniku czego naruszyli nie tylko roślinność planety, ale rozdrażnili też jakieś sześcionożne stworzenia metrowej długości. Wywiązała się kilkuminutowa, pełna napięcia walka. Na szczęście zęby i szpony atakujących zwierząt były stworzone do tego, by radzić sobie ze znacznie mniejszym łupem; dzięki temu cała awantura zakończyła się jedynie śladem zębów na lewej nodze Threepia; nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń. Po odejściu napastników android uzalał się nad sobą nieproporcjonalnie długo i głośno w stosunku do głębokości otrzymanej rany, co prawdopodobnie w kilka minut później spowodowało atak pokrytego brązowymi łuskami zwierzęcia. Oddany przez Hana szybki strzał z blastera nie zdołał powstrzymać drapieznika, w związku z czym Lukę musiał użyć miecza świetlnego, by odciąć napastnika od ramienia Threepia. Po tej historii robot stał się jeszcze bardziej płaczliwy i Solo zaczął grozić, że zostawi go w lesie samego, do czasu aż go kiedyś znajdą służby sprząające. Szczęśliwie właśnie wtedy natknęli się na wyschnięte koryto jakiegoś strumienia, na co cały czas liczyli. W łatwiejszym terenie i nie niepokojeni przez dzikie zwierzęta poruszali się znacznie szybciej. Dzięki temu do zmierzchu zdołali ujść prawie dziesięć kilometrów.
- Ta okolica przywodzi na myśl takie miłe wspomnienia, co? - zagadnęła Mara, uśmiechając się ironicznie. Zdjęła z pleców niesiony ba gaź i rzuciła go na ziemię obok jednego z niewysokich krzewów porastających brzeg strumienia.
- Zupełnie jak na Myrkrze - przyznał Skywalker. Za pomocą miecza świetlnego wyciął kolejny z ciemnych krzewów, z którymi zdążyli się już dobrze zapoznać w ciągu ostatnich kilku godzin. - Wiesz, w za sadzie nigdy jeszcze nie miałem okazji się dowiedzieć, co tam zaszło po naszym wyjeździe.

- To, czego można się było spodziewać - odparła dziewczyna. - Zdołaliśmy opuścić bazę niemal w ostatniej chwili przed przybyciem robotów kroczących Thrawn'a. A potem i tak omal nie wpadliśmy w jego ręce, bo Karrde uparł się, żeby obserwować z ukrycia całą akcję.
- I dlatego właśnie nam pomagasz? - spytał Jedi. - Bo Thrawn wydał na Karrde'a wyrok śmierci?
- Słuchaj, Skywalker, od razu wyjaśnijmy jedną kwestię- burknęła Jadę. - Pracuję dla Karrde'a, a on wyraźnie powiedział, że będziemy trzy mać się z dala od tej waszej wojny. Jestem tu jedynie dlatego, że wiem co nieco o erze wojen klonowych i nie mam ochoty, by jakaś banda ludzkich duplikatów o twarzach bez wyrazu znów próbowała podbić całą galaktykę. Ty zaś jesteś tu wyłącznie dlatego, iż sama nie zdołam zamknąć tej fabryki.
- Rozumiem. - Lukę wyciął drugi krzew i zgasił miecz świetlny. Użył Mocy, by podnieść oba krzewy i położyć je w łożysku wyschnięte go strumienia. - Cóż, jeśli ktoś naprawdę będzie chciał nas dostać, to go nie powstrzyma - stwierdził, przyglądając się prowizorycznej bary kadzie. -Ale przynajmniej opóźni atak.
- Nie na długo - rzekła Mara. Wyjęła tabliczkę żywnościową i zaczęła ją rozpakowywać. - Miejmy nadzieję, że to nie jest jedno z tych szczęśliwych miejsc, gdzie nocą zbierają się wszystkie drapieżniki.
- W razie czego czujniki Artoo powinny je namierzyć, nim podejda zbyt blisko - zakomunikował Skywalker. Ponownie zapalił miecz świetlny i wyciął jeszcze dwa krzewy. Właśnie miał zgasić swój miecz, gdy wyczuł nagłą zmianę w nastawieniu dziewczyny. Odwróciwszy się, zauważył, że Jadę wpatruje się w jego miecz świetlny z dziwnie nieobecny wyrazem twarzy, zupełnie zapomniawszy o tym, że trzyma w ręku jedzenie.
- Maro? Dobrze się czujesz? Dziewczyna odwróciła wzrok z miną winowajcy.
- Jasne - wyszeptała - świetnie. - Posłała mu szybkie spojrzenie i ugryzła duży kęs tabliczki żywnościowej.
- No dobra. - Lukę zgasił miecz świetlny i użył Mocy, by dopiero co ścięte krzewy także położyć na prowizorycznej barykadzie. Doszedł do wniosku, że wciąż nie jest to jeszcze wystarczająca ochrona. Może gdyby przeciągnął między drzewami kilka lian...
- Skywalker?
- Tak? Mara wpatrywała się w niego uporczywie.
- Muszę cię o coś zapytać - powiedziała. - Tylko ty j eden to wiesz. Jak zginął Imperator? Lukę przyjrzał się uważnie twarzy dziewczyny. Nawet w słabym świetle widział wyraźnie, że w jej oczach czai się ból wywołany gorzkim wspomnieniem luksusowego życia i widoków na wspaniałą przyszłość, które odebrano jej w czasie bitwy pod Endorem. Ale oprócz bólu była tam także silna determinacja: bez względu na to, ile cierpienia jej to przysporzy, Mara rzeczywiście chciała znać prawdę.
- Imperator próbował mnie nakłonić, bym przeszedł na ciemną stronę - zaczął Jedi, przywołując z pamięci bolesne wspomnienia. Mało brakowało, by to on zginął tego dnia zamiast Imperatora. -i prawie mu się to udało. Zamierzyłem się, by zadać mu cios, ale zamiast tego wdąłem się w walkę z Vaderem. Zapewne Imperator uważał, że jeśli zabiję w złości Vadera, to w ten sposób otworzę się na działanie ciemnej strony.
- I dlatego w końcu porwał się na niego? - rzuciła oskarżycielsko Jadę, a w jej oczach zapłonął nagle gniew. - Obaj zwróciliście się przeciwko niemu...
- Chwileczkę-przerwał jej Skywalker. - Po tym pierwszym ciosie już go nie atakowałem.
- Co ty mówisz? - spytała surowo Mara. - Widziałam, jak to zrobiliście. Obaj ruszyliście na niego z uniesionymi mieczami. Sama to widziałam. Lukę wpatrywał się w nią ze zdumieniem... Po chwili wszystko zrozumiał. Mara Jadę, Ręka Imperatora, była w stanie usłyszeć głos swego mistrza w każdym zakątku galaktyki. W momencie swej

śmierci Imperator nawiązał z nią kontakt psychiczny i dziewczyna była świadkiem całej sceny. Tylko że jakoś opacznie ją odebrała.

- Maro, nie ruszyłem przeciwko niemu - zapewnił dziewczynę. - Imperator już miał mnie zabić, kiedy Vader go chwycił i wrzucił do otwartego szybu. Nawet gdybym chciał, to i tak nie mógłbym nic zrobić: wciąż byłem na wpół sparaliżowany na skutek gromów, którymi mnie poraził.

- Jak to: nawet gdybyś chciał? - rzekła szyderczo Jadę. - Przecież chyba po to właśnie udałeś się na Gwiazdę Śmierci?

- Nie - potrząsnął głową Skywalker. - Poszedłem tam, by spróbować zawrócić Vadera z ciemnej strony. Mara odwróciła się do niego plecami; Lukę wyczuł, że jest bardzo wzburzona.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? - spytała w końcu.

- A dlaczego ja miałabym kłamać? - odparował Jedi. - Choć to nie zmienia oczywiście faktu, że gdyby mnie tam nie było, Vader nie wystąpiłby przeciwko Imperatorowi. I w tym sensie zapewne rzeczywiście jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

- Tak, istotnie jesteś za nią odpowiedzialny - potwierdziła szorstko. Ale nim to powiedziała, wyraźnie się zawahała. - I będę o tym pamiętać. Luke w milczeniu pokiwał głową, czekając, że dziewczyna powie coś jeszcze. Ale ona milczała, więc po dłuższej chwili z powrotem odwrócił się do krzewów.

- Na twoim miejscu nie przesadzałabym z tym - odezwała się Jadę tuż za jego plecami. Jej głos znów był chłodny i opanowany. - Chyba nie chcesz, byśmy tkwili uwięzieni na tak niewielkim terenie, w razie gdyby coś zdołało się przedrzeć przez tę barykadę.

- Racja - stwierdził Skywalker. Zrozumiał zarówno wypowiedziane słowa, jak i zawarty w nich ukryty sens. Musieli wykonać pewną pracę i dopóki ona nie była skończona, Mara wciąż potrzebowała go żywego. A kiedy już wykonają swoje zadanie, dziewczyna będzie musiała stanąć przed dylematem: wypełnić swoje przeznaczenie, czy też obrać jakąś inną drogę? Lukę zgasił miecz świetlny i, minawszy Marę, ruszył w kierunku pozostałych towarzyszy, którzy właśnie rozbijali obóz. Musiał sprawdzić, jak się mają roboty.

ROZDZIAŁ

Drzwi do Sali Zgromadzeń się otworzyły i na Wielki Korytarz zaczął się wysypywać tłum istot różnych gatunków oraz robotów. Ich pojawieniu się towarzyszył gwar rozmów, prowadzonych - jak zwykle - w całej gamie różnych języków. Zbliżając się do tej rozgadanej gromady, Leia zerknęła na idącą obok niej Winter i skinęła głową. Nadszedł czas, by odegrały swoje przedstawienie.

- Czy pojawiło się coś nowego, o czym powinnam wiedzieć? - zwróciła się księżniczka do swej towarzyszki, kiedy znalazły się już na skraju wypełniającego Wielki Korytarz tłum.

- Otrzymaliśmy niezwykle wiadomość uzupełniającą raport z Pantolominu - odparła Winter, jakby od niechcienia omiatając wzrokiem otaczające ich istoty. - Jakiś łowca łupów twierdzi, że zdołał przeniknąć do stoczni imperialnej na Ord Trasi i proponuje nam sprzedaż informacji dotyczących tamtejszych planów budowy.

- Nieraz miałam już do czynienia z łowcami łupów - stwierdziła Organa Solo, starając się nie rozglądać dokoła. Wystarczyło, że Winter to robiła: dzięki swej doskonałej pamięci jej towarzyszka będzie pamiętać wszystkich, którzy znaleźli się na tyle blisko, by usłyszeć ich rozmowę. - Dlaczego pułkownik Derlin uważa, że możemy mu ufać?

- Wcale nie jest tego pewien - rzekła Winter. - Ale dla zachęty ten przemytnik przekazał nam darmową wiadomość: w stoczni znajdują się podobno trzy imperialne niszczyciele gwiazdne, które mają zostać ukończone w ciągu miesiąca. Pułkownik

Derlin i dowódca liniowy Harleys opracowują właśnie plan, który ma na celu sprawdzenie tej informacji. Kobiety opuściły już Wielki Korytarz i szły teraz obok grupki istot, które nie rozdzieliły się jeszcze, by pójść do swoich biur czy innych sal konferencyjnych.

- Sprawa wygląda poważnie - powiedziała Leia, sumiennie wygłaszając przygotowane wcześniej kwestie. - Mam nadzieję, że ten przemytnik nie ulotni się gdzieś bez śladu.

- W raporcie nie było żadnych szczegółów, ale w załączniku pojawiło się pytanie, czy nie znamy kogoś, kto prowadzi interesy z Imperium i mógłby pożyczyć statek. Ostatnia z ważniejszych osobistości skręciła w boczny korytarz, zostawiając je w korytarzu same z całą rzeszą techników, pomocników, pracowników administracji i z paroma mniej znaczącymi członkami rządu Nowej Republiki. Księżniczka obrzuciła każdego z obecnych szybkim spojrzeniem i doszła do wniosku, że nie ma sensu dalej odgrywać przedstawienia. Zerknąwszy na swą towarzyszkę, ponownie skinęła głową i obie kobiety ruszyły w stronę wind sieciowych. Aby w należytej tajemnicy przeprowadzić cały projekt, potrzebne im było miejsce, gdzie Ghent mógłby się rozłożyć ze swoim sprzętem. Znaleźli taki kącik, studiując oryginalne plany pałacu. Było to zapasowe pomieszczenie, używane niegdyś do przechowywania ogniwi paliwowych, a teraz już od wielu lat zamknięte i zaplombowane. Znajdowało się ono na piętrze dowodzenia, pomiędzy działem zaopatrzenia wojska a centrum dowodzenia myśliwców. Za pomocą miecza świetlnego Leia wycięła z korytarza dla służb zaopatrzeniowych nowe wejście; Bel Iblis pomógł im doprowadzić tam przewody zasilające i linie łączące z głównym komputerem, a Ghent zainstalował swój program dekodujący. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Oprócz efektów. Kiedy obie kobiety dotarły do tej tajnej pracowni, Ghent siedział na jedynym krześle, jakie znajdowało się w pomieszczeniu. Nogi położył na brzegu biurka z urządzeniem dekodującym i w zamyśleniu patrzył przed siebie. Zauważył pojawienie się gości dopiero wtedy, gdy Leia i Winter weszły już do środka i zamknęły za sobą drzwi.

- Och... dzień dobry - powiedział, z głuchym łoskotem opuszczając nogi na podłogę.

- Proszę, nie tak głośno - upomniała go księżniczka, a na jej twarzy pojawił się grymas niepokoju. Oficerowie pracujący po drugiej stronie cienkich ścian uznają zapewne, że te dziwne hałasy dochodzą z przyległych biur. Ale ktoś w końcu może nabrać podejrzeń. - Czy generał Bel Iblis już przyniósł najnowsze meldunki? - spytała.

- Tak, jakąś godzinę temu - potwierdził Ghent, mówiąc teraz ledwie słyszalnym szeptem. - Właśnie skończyłem je rozszyfrowywać. Nacisnął jakiś klawisz i na ekranie komputera wyświetliły się odkodowane wiadomości. Leia stanęła za krzesłem chłopaka i zaczęła czytać.

241 16- Ostatni rozkaz

Szczegóły planowanych posunięć wojskowych; dosłowne przekazy rozmów prowadzonych przez wysokiej rangi dyplomatów; najciekawsze fragmenty krążących po pałacu plotek -jak zwykle Źródło Delta przekazało cały wachlarz informacji, od tych najistotniejszych po zupełnie trywialne.

- To jedna z naszych rozmów - zauważyła Winter, wskazując ja kieś miejsce na monitorze. Organa Solo odczytała wyszczególnioną wiadomość: niepotwierdzony raport wywiadu z układu Bpfassh, sugerujący, iż „Chimerę” i jej statki wspomagające widziano w pobliżu Anchoronu. To rzeczywiście był zapis jednej z prowadzonych przez nie rozmów.

- Ile osób ją słyszało? - zwróciła się księżniczka do swej towarzyszki.

- Tylko czterdzieści siedem - odparła Winter i natychmiast zaczęła wertować notes elektroniczny Ghenta. - To miało miejsce wczoraj po południu tuż przed trzecią, podczas drugiej sesji Zgromadzenia; Wielki Korytarz był wtedy dosyć pusty. Leia skinęła głową i ponownie odwróciła się do monitora. Zanim jej towarzyszka sporządziła

listę świadków tej rozmowy, Organa Solo zidentyfikowała jeszcze dwie spreparowane przez nie wiadomości. Nim Winter zdołała się z nimi uporać, Leia znalazła pięć kolejnych. Winter wręczyła Ghent'owi pierwsze trzy listy i zajęła się przygotowywaniem następnych.

- To już chyba wszystko - stwierdziła księżniczka. - Przepuśćmy te dane przez ten twój program testujący.

- Dobra. - Chłopak odwrócił się do swojej konsoli, jeszcze raz zerknąwszy przedtem z podziwem na Winter. Już trzeci dzień realizowali swoje zadanie, a wciąż nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że ta kobieta pamięta każdy szczegół ze wszystkich pięćdziesięciu jednodominutowych rozmów. - Dobra, zobaczmy, co tu mamy. Korelacje... w porządku. Uzyskaliśmy dwieście dwadzieścia siedem możliwości. Wygląda na to, że są to głównie technicy i pracownicy administracji. Ale jest też garstka dyplomatów z innych planet.

- Jest mało prawdopodobne, by któraś z tych osób miała dostęp do wszystkich informacji - potrząsnęła głową Leia, wskazując ręką monitor komputera. - To musi być ktoś na wyższym szczeblu...

- Chwileczkę- przerwał jej Ghent, unosząc palec. - Chcecie grubą rybę? Proszę bardzo: radny SianTev z Sullust. Księżniczka utkwiała w ekranie zdumiony wzrok.

- To niemożliwe. On był jednym z pierwszych przywódców Sojuszu Rebeliantów. Wydaje mi się również, że to on ściągnął do nas Nien Nunba i jego prywatny dywizjon bojowy, kiedy Imperium zmusiło ich do opuszczenia układu Sullust.

- Ja nic o tym nie wiem - chłopak wzruszył ramionami. - Wiem tylko, że on słyszał wszystkie piętnaście spreparowanych wiadomości, które się znalazły w nadajniku Źródła Delta.

- To nie może być radny Tev - odezwała się Winter, jakby z roztargnieniem, w dalszym ciągu przeglądając notes Ghenta. - Nie był świadkiem żadnej z tych sześciu ostatnich rozmów.

- Może słyszał je któryś z jego doradców- podsunął chłopak. - Tev nie musiał być tam osobiście.

- Nie - potrząsnęła głową kobieta. - Jeden z jego doradców był w pobliżu, ale tylko podczas jednej z rozmów. Co więcej, radny Tev był świadkiem dwóch rozmów poprzedniego dnia, ale nie zostały one nadane przez Źródło Delta. O dziewiątej piętnaście rano i o drugiej czterdzieści pięć po południu. Ghent przywołał na komputerze odpowiednie listy.

- Ma pani rację - potwierdził. - Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzać dane pod tym kątem. Będę chyba musiał opracować lepszy program testujący. Prowizoryczne drzwi za plecami Leii otworzyły się i stanął w nich Bel Mis.

- Tak myślałem, że cię tu zastanę - powiedział, witając księżniczkę skinieniem głowy. - Jeśli miałabyś ochotę popatrzeć, to informuję cię, że właśnie zamierzamy rozpocząć operację „Gwiazdny Pył”. Był to najnowszy projekt, mający zlokalizować pozostawione przez Thrawn'a na orbicie dokoła Coruscant asteroidy.

- Tak, chętnie - odparła Organa Solo. - Winter, kiedy już z tym skończycie, będę czekała w gabinecie dowodzenia.

- Dobrze, Wasza Wysokość. Leia i Bel Iblis wyszli z pomieszczenia i gęsiego ruszyli wąskim korytarzem dla służb zaopatrzeniowych.

- Czy już coś znaleźliście? - spytał przez ramię generał.

- Winter w dalszym ciągu przegląda wczorajszą listę - rzekła księżniczka. - Jak dotąd mamy około stu trzydziestu ewentualności.

- Zważywszy na to, jak wiele osób pracuje w pałacu, powiedziałbym, że to swego rodzaju postęp - pokiwał głową Bel Iblis.

- Możliwe. - Leia zawahała się na chwilę. - Przyszło mi do głowy, że ten plan przyniesie efekty tylko wtedy, jeśli Źródło Delta to jedna osoba. Jeżeli jest to cała grupa, to w ten sposób nigdy nie zdołamy po znać jej członków.

- Może i tak - rzucił generał. Ale jakoś nie bardzo chce mi się wie rzyć w to, że mamy aż tylu zdrajców. Mówiąc prawdę, trudno mi uwierzyć, że mamy choćby jednego. Zawsze uważałem, że Źródło Delta to jakiś nieznan system rejestrujący. Po prostu coś, czego Straż Pałacowa nie zdołała jeszcze zlokalizować.

- Sama widziałam, jak straż przeprowadzała kontrole i nie bardzo wiem, jak mogłaby coś przeoczyć - stwierdziła Organa Solo.

- Niestety, ja też nie umiem tego wyjaśnić. Kiedy przybyli do centrum dowodzenia, generał Rikan i admirał Drayson stali przy głównej konsoli.

- Księżniczko - powitał ją uroczyście Rikan. - Zjawiła się pani w odpowiedniej chwili. Leia zerknęła na główny monitor taktyczny, na którym widać było, jak stary transportowiec oderwał się od grupy statków strzegących dalekiej orbity i ostrożnie zaczął się posuwać w kierunku planety.

- Jak nisko ma zejść? - zainteresowała się Organa Solo.

- Mamy zamiar zacząć tuż powyżej pola ochronnego planety - wyjaśnił Drayson. - Przeprowadzone po bitwie badania wykazują, że większość zamaskowanych asteroid zajęła najprawdopodobniej miejsca na niskiej orbicie. Leia skinęła głową. A jako że te asteroidy mogłyby się najłatwiej przedostać do środka, gdyby wyłączyli pole planetarne, więc tym bardziej należało zacząć właśnie od nich. Transportowiec zbliżał się powoli, poruszając się z niezgrabnością właściwą zdalnie sterowanemu statkowi.

- No dobrze - powiedział Drayson. - Kontrola transportowca numer jeden: odciąć dopływ mocy i przygotować się do wypuszczenia na mój znak ładunku. Gotowi... Wyładować. Przez chwilę nic się nie działo. Nagle z rufowej części statku buchnął tuman błyszczącego pyłu, posuwając się leniwie śladem transportowca.

- Dajcie więcej tego pyłu - polecił Drayson. - „Tropiciel”: przy gotuj się do wypuszczenia ujemnych promieni jonowych.

- Cały pył już opadł z transportowca - zameldował jeden z oficerów.

- Kontrola transportowca numer jeden: wycofajcie stamtąd statek - rozkazał Drayson.

- Tylko powoli - mruknął Bel Iblis. - Nie chcemy żłobić w tym pyłe śladów spalin. Drayson spojrzał na Koreliańczyka z irytacją.

- Niech się pan nie denerwuje - rzucił ze skrywaną niechęcią w głosie. - Czy mamy już jakieś odczyty?

- Nawet bardzo wyraźne, panie admirale - poinformował siedzący przy konsoli oficer. - Pomiędzy punktem dziewięć-trzy a dziewięć-osiem odczyt na wszystkich pasmach częstotliwości.

- Dobrze - skinął głową Drayson. - Miejcie to cały czas na oku. „Tropiciel”?

- „Tropiciel” melduje swoją gotowość, panie admirale - oznajmił inny oficer.

- Wypuścić ujemne promienie jonowe - rozkazał Drayson. - Najniższe możliwe natężenie. Zobaczmy, jak to działa. Leia spojrzała na ekran komputera. Błyszczące cząsteczki pyłu zaczęły zbijać się razem, kiedy jony z silnika oddalającego się transportowca utworzyły gdzieś w świecącej chmurze przypadkowe pole elektrostatyczne. Kątem oka dostrzegła, że na głównym monitorze kontrolnym pojawiła się omiatająca całą chmurę niewyraźna linia promienia jonowego, który naładowywał wszystkie cząsteczki pyłu takim samym ładunkiem, aby odpychały się wzajemnie... I nagle chmura pyłu, która uprzednio już zaczęła się scalać, znów uległa rozproszeniu, rozprzestrzeniając się na cały monitor jak potężny, otwierający się kielich jakiegoś egzotycznego kwiatu.

- Przerwać ogień - polecił Drayson. - Zobaczmy, czy to wystarczy. Przez dłuższą chwilę kwiat ciągle jeszcze się otwierał i księżniczka zdała sobie sprawę z tego, że z napięciem wpatruje się w błyszczącą mgiełkę. Zważywszy na to, jak ogromna przestrzeń ich otaczała, istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, by od razu pierwszy wypuszczony ładunek znalazł się na drodze którejś z orbitujących wokół planety asteroid. A gdyby nawet tak się stało, to i tak niewiele byłoby widać na monitorze kontrolnym. Jedynie na ułamek sekundy przed rozpadnięciem się pole maskujące jakby

owijało wokół siebie światło i promienie wysyłane przez czujniki, co sprawiało, że spod błyszczącego pyłu nawet nie byłoby wyraźnie widać czarnej plamy.

- Panie admirałe, chmura zaczyna się rozpraszać - zameldował oficer ze stanowiska czujników. - Wskaźnik rozproszenia sięga chwilami dwunastu.

- To działanie wiatru słonecznego - szepnął Rikan.

- Tak jak przewidywaliśmy - przypomniał mu Drayson. - Kontrola transportowca numer dwa: zaczynajcie. Od przebywających na orbicie statków oderwał się kolejny transportowiec i zaczął schodzić w stronę powierzchni planety.

- To nie jest chyba najszybszy sposób - skomentował cicho Bel Iblis.

- Istotnie - przyznał Rikan. - Szkoda, że straciliśmy ten sprzęt, który mieliśmy do dyspozycji pod Svivrenem. Bardzo by nam się teraz przydał. Leia potakująco pokiwała głową. Krystaliczne eliminatory pola grawitacyjnego, które zaprojektowano tak, by mogły z odległości tysięcy kilometrów zlokalizować grupę statków odpornych na działanie czujników, idealnie nadawałyby się do tego zadania.

- Zdawało mi się, że nasz wywiad zauważył gdzieś inny zestaw tych urządzeń - stwierdziła księżniczka.

- Udało mu się zlokalizować aż trzy takie zestawy, ale problem polega na tym, że wszystkie znajdują się w przestrzeni kontrolowanej przez Imperium - odparł Rikan.

- Ja jednak wciąż nie jestem przekonany, iż te krystaliczne eliminatory pola grawitacyjnego zdałyby tu egzamin - rzekł Bel Iblis. - Obawiam się, że w tak niewielkiej odległości od Coruscant oddziaływanie grawitacyjne planety zakłóciłoby odczyty uzyskane z badań asteroid.

- Bez wątpienia byłaby to trudna operacja - przyznał Rikan. - Ale myślę, że to najlepszy sposób. Umiłkli, gdyż widoczny na monitorze kontrolnym drugi transportowiec dotarł właśnie do strefy, gdzie -jak sądzono - znajdowały się zamaskowane asteroidy, i powtórzył ten sam schemat działania co jego poprzednik. Ale i tym razem bez żadnych efektów.

- Ten wiatr słoneczny nieźle da się nam we znaki - stwierdził Bel Iblis, kiedy trzeci transportowiec wyruszył ze swoją misją. - Może w następnym rzucie powinniśmy zastosować większe cząsteczki.

- Albo przeprowadzać tę operację w nocy - zasugerował Rikan. - To by przynajmniej wyeliminowało...

- Turbulencje! - zawołał oficer obsługujący stanowisko czujników. Wektor jeden-jeden-siedem na cztery-dziewięć-dwa. Wszyscy natychmiast rzucili się do konsoli czujników. Na samym skraju wciąż rozprzestrzeniającej się drugiej chmury pyłu pojawiła się niewyraźna, pomarańczowa linia oznaczająca turbulencję wywołaną przez kontakt z niewidoczną asteroidą.

- Namierzyć ją- rozkazał Drayson. - „Tropiciel”: otwórzcie ogień. Na monitorze kontrolnym pojawiły się czerwone linie, kiedy działa turbolaserowe pancernika zaczęły ostrzeliwać przypuszczalny tor ruchu asteroidy. Księżniczka w napięciu obserwowała monitor, nerwowo zacisnąwszy ręce na oparciu krzesła oficera czujnikowego... Nagle oczom zgromadzonych ukazała się bryła skalna, powoli dryfująca między gwiazdami.

- Wstrzymać ogień - polecił Drayson. - Dobra robota, panowie. „Obrońco”, teraz kolej na ciebie. Weź tam swoją drużynę techników... - Urwał. Na ciemnej powierzchni asteroidy pojawiła się pajęczyna cienkich linii; na ułamek sekundy wszystkie rozbłysły jaskrawo, po czym zniknęły. - „Obrońca”: odwołuję ten ostatni rozkaz - warknął Drayson. - Wygląda na to, że wielki admirał nie życzy sobie, by ktoś oprócz niego oglądał jego zabawki.

- Przynajmniej znaleźliśmy jedną z nich - zauważyła Leia. - To zawsze coś.

- Tak... - rzucił Rikan z sarkazmem. - Zostało nam już niespełna trzysta. Organa Solo pokiwała głową i ruszyła w stronę wyjścia. To trochę potrwa, więc równie dobrze może wrócić do Winter i Ghent'a...

- Zderzenie! - zawołał oficer ze stanowiska czujników. Księżniczka odwróciła się błyskawicznie. Widoczny na monitorze kontrolnym trzeci transportowiec obracał się

gwałtownie, zbacząc przy tym z kursu; jego zniszczona rufa stanęła w ogniu, a ładunek błyszczącego pyłu rozpryskiwał się na wszystkie strony.

- Czy może pan namierzyć tę asteroidę? - zapytał szorstko Drayson. Ręce oficera ślizgały się po całej tablicy czujników.

- Odczyt negatywny: niewystarczające dane. Mogę jedynie określić stózek prawdopodobieństwa.

- Dobrze - zgodził się admirał. - Do wszystkich statków: otworzyć ogień. Systematycznie bombardować wskazany stózek. - Na monitorze taktycznym pojawił się stózek, a w chwilę później obraz salw z dział turbolaserowych odległej floty. - Rozszerzyć stózek do obszaru pięć- dziesięcioprocentowego prawdopodobieństwa - polecił Drayson. - Stacje bojowe: bombardować zewnętrzny stózek. Chcę, żeby cel został znaleziony. Dalsze słowa zachęty nie były potrzebne. Nad Coruscant rozpętała się istna burza ogniowa; salwy z dział turbolaserowych i torpedy protonowe gęsto raziły stózek prawdopodobieństwa. Strefa celu rozszerzała się stopniowo, w miarę jak komputery wyliczały możliwe drogi niewidzialnej asteroidy; w odpowiedzi statki i stacje bojowe także korygowały pierwotny cel. Ale nic tam nie było... Po kilku minutach Drayson przyznał się do porażki.

- Do wszystkich jednostek: przerwać ogień - zarządził zmęczonym głosem. - Dalsza kanonada nie ma sensu; straciliśmy tę asteroidę. Sytuacja nie wymagała właściwie żadnych wyjaśnień. Wszyscy w milczeniu obserwowali, jak uszkodzony transportowiec - teraz już daleko poza zasięgiem promieni ściągających floty - posuwał się wolno w stronę pola planetarnego ku czekającej go tam zagładzie. Uszkodzona rufa musnęła pole i obok płonących gazów z silników pojawiły się teraz ostre białoniebieskie błyski zniszczonych wiązań atomowych. Oderwaniu się rufy towarzyszyła słaba eksplozja; potem, gdy dziób uderzył w pole planetarne, niebo rozjaśniło się kolejnym błyskiem; gdy zaczął się rozpadać kadłub, na tle płomienia można było zobaczyć ciemne odłamki. Słabnący ogień rozbłysł raz jeszcze, po czym definitywnie zgasł. Leia, patrząc na gasnące płomienie, przebiegała w myślach ćwiczenia uspokajające Jedi i starała się nie dopuścić do siebie uczucia złości. Pozwalając sobie na nienawiść w stosunku do Thrawna, zaciemniłaby tylko swój umysł. Co gorsza, taka nienawiść mogłaby być niebezpiecznym krokiem ku ciemnej stronie. Wyczuła nieznaczne poruszenie za plecami. Odwróciwszy się, zobaczyła obok siebie Winter. Kobieta wpatrywała się w główny monitor, a w jej oczach pojawił się odwieczny ból.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją księżniczka. - Na pokładzie nikogo nie było.

- Wiem - szepnęła Winter. - Ale właśnie przypomniałam sobie inny transportowiec, który w taki sam sposób uległ zniszczeniu nad Xyquine. To był statek pasażerski... - Wzięła głęboki oddech i Leia zauważyła, że jej towarzysza z wielkim trudem próbuje odsunąć od siebie zawsze żywą przeszłość. - Kiedy tylko Wasza Wysokość tu skończy, chciałabym z panią porozmawiać. Organa Solo spróbowała przeniknąć wystudiowaną obojętność kobiety i dotknąć jej umysłu. Wiadomości, które miała jej przekazać Winter, z całą pewnością nie były pozytywne.

- Od razu z tobą pójdę - zdecydowała. Wyszły z centrum dowodzenia, minęły windy sieciowe i korytarzem dla zaopatrzenia dotarły do ich tajnego pokoju. Wieści rzeczywiście nie były dobre.

- To niemożliwe - potrząsnęła głową Leia, po raz kolejny czytając analizę Ghenta. - My wiemy, że w pałacu jest jakiś przeciek.

- Sprawdziłem to na wszelkie możliwe sposoby i rezultat jest za każdym razem ten sam - oznajmił chłopak. - Przeanalizowałem wszystkie informacje nadane przez Źródło Delta zarówno w odniesieniu do osób, które je słyszały, jak i do tych, które ich nie słyszały; przeanalizowałem też wszystkie informacje nie nadane przez Źródło Delta, starając się je jakoś powiązać z tymi, którzy je słyszeli, a także z tymi, którzy ich nie słyszeli; i odpowiedź jest za każdym razem ta sama: kompletne zero. Księżniczka zażądała odtworzenia w notesie elektronicznym całej procedury; lista nazwisk kurczyła się z każdym przeprowadzanym testem, aż wreszcie znikła zupełnie.

- W takim razie Źródło Delta to więcej niż jedna osoba - stwierdziła.
- Sprawdziłem i tę ewentualność - rzekł Ghent, rozkładając bezradnie ręce. - Wygląda mało prawdopodobnie. Wyniki są takie, że mu siałaby to być grupa, conajmniej piętnastu osób, a przecież pałacowy kontrwywiad nie może być aż tak kiepski.

- W takim razie Źródło Delta podsłuchuje i selekcjonuje wiadomości do przesłania. Nadaje tylko część z tego, co usłyszysz. Chłopak w zamyśleniu potarł policzek.

- Tak, to jest możliwe - rzucił bez przekonania. - Chociaż nie wiem. Niech pani tylko popatrzy na niektóre z tych głupot, które przesłał. Ot, choćby w tej ostatniej partii: znalazł się tu zapis rozmowy jakichś dwóch Arkonek, z których jedna opowiada drugiej, jak zamierza nazwać swoje pisklęta. Albo ten gość ma kiepską pamięć, albo też wybiera informacje według jakiegoś zwariowanego klucza. Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Bel Iblis.

- Widziałem, jak wychodziłaś - zwrócił się do Leii. - Czy już coś znaleźliście? Organa Solo bez słowa podała mu notes elektroniczny. Generał najpierw zerknął na niego pobieżnie, potem jednak przeczytał wnikliwie wyniki testów.

- Ciekawe - powiedział w końcu. - Albo analiza jest zła, albo Win-ter zaczyna zawodzić pamięć... albo też Źródło Delta się zorientowało, że jesteśmy na jego tropie.

- Z czego pan to wnosi? - spytała księżniczka.

- Bo nie nadaje już wszystkiego, co usłyszysz - odparł Bel Iblis. - Coś musiało wzbudzić jego podejrzenia. Leia sięgnęła myślą do wszystkich zaplanowanych wcześniej rozmów, które przeprowadziły z Winter.

- Nie... - rzekła z namysłem. - Nie wierzę w to. - Nigdy nie wy czułam choćby cienia podejrzliwości czy złej woli.

- W takim razie musimy przyjąć, że mamy tu całe gniazdo szpiegów - wzruszył ramionami Koreliańczyk. - Chociaż, chwileczkę... Nie jest aż tak źle, jak by się mogło wydawać. Jeśli założymy, że szpieg nie od razu zorientował się, iż jesteśmy na jego tropie, to możemy wykorzystać informacje z pierwszych dwóch dni, co znacząco skróci listę podejrzanych. Organa Solo poczuła nerwowy skurcz w żołądku.

- Ależ Garm, mówimy tu o ponad stu zaufanych obywatelach Nowej Republiki. Nie możemy tak po prostu oskarżyć o zdradę tylu osób. Oskarżenia rzucane przez radnego Fey'lyę na admirała Ackbara narobiły dosyć zamieszania, a to byłoby znacznie gorsze.

- Wiem o tym, Leio - odparł twardo Bel Iblis. - Ale nie możemy już dłużej pozwalać na to, by Imperium bezkarnie wykradało nasze tajemnice. Jeśli podsuniesz mi jakieś inne rozwiązanie, to chętnie na nie przystanę. Księżniczka zagryzła wargi, gorączkowo szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Pamiętaj pan, co mi pan powiedział w drodze do centrum dowodzenia? Że zawsze pan uważał, iż Źródło Delta to jakiś nieznanym nam system rejestrowania danych?

- Jeśli tak, to musi się on mieścić w Wielkim Korytarzu - oznajmiła Winter, nim generał zdążył otworzyć usta. - Tam właśnie miały miejsce wszystkie rozmowy, które zostały nadane.

- Jesteś pewna? - spytał Bel Iblis.

- Najzupełniej - potwierdziła kobieta. - Każda z nich.

- W takim razie to musi być tam - stwierdziła Organa Solo, czując, że ogarniają podniecenie. - Komuś udało się umieścić system rejestrowania informacji w Wielkim Korytarzu.

- Nie zapalaj się - przestrzegł ją generał. - Wiem, że to dobrze brzmi, ale to nie takie proste. Systemy wykorzystujące mikrofon posiadają określone właściwości; wszystkie one są doskonale znane naszemu wywiadowi i z pewnością taki mikrofon zostałby wykryty podczas przeszukiwania terenu.

- Chyba, że się dezaktywizuje w obecności kontrwywiadu - podsunął Ghent. - Już widziałem podobne systemy.

- Ale w takim razie musiałyby to być coś, co chociaż w minimalnym stopniu ma zdolność podejmowania decyzji - potrząsnął głową Bel Iblis. - Każdy twór posiadający inteligencję zbliżoną do inteligencji robota byłby...

- Chwileczkę! - przerwał mu chłopak, mocno podekscytowany. - To właśnie to. Źródło Delta nie jest osobą; jest robotem. Leia skierowała wzrok na starego senatora.

- Czy to możliwe?

- Nie wiem - powiedział wolno generał. - Zainstalowanie u robota wtórnego oprogramowania do szpiegowania jest oczywiście możliwe. Ale problem w tym, jak ukryć takie oprogramowanie przed rutynową kontrolą służb pałacowych i jak potem unikać przeprowadzanych przez kontrwywiad okresowych kontroli.

- To musiałyby być roboty, który ma uzasadniony powód do tego, by się kręcić po Wielkim Korytarzu - stwierdziła księżniczka w zamyśleniu. - A jednocześnie może bez wzbudzania podejrzeń opuścić teren, kiedy kontrwywiad przeprowadza swoją kontrolę.

- A z uwagi na to, że przez Wielki Korytarz przewijają się tłumy, te kontrole są dosyć częste - przyznał Bel Iblis. - Ghent, czy mógłbyś się podłączyć do danych Straży Pałacowej i ściągnąć informację o tym, w jakich godzinach przeprowadzane te kontrole w ciągu ostatnich trzech- czterech dni?

- Jasne - rzucił chłopak, wzruszając ramionami. - Ale to mi zajmie kilka godzin. Chyba, że mogę nie zważać na to, czy mnie zauważą.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się generał do Leii.

- Na pewno nie chcielibyśmy, żeby go złapali - odparła Organa Solo. - Ale z drugiej strony nie możemy sobie pozwolić na to, aby Źródło Delta kręciło się swobodnie po pałacu dłużej niż to konieczne.

- Wasza Wysokość? - odezwała się Winter. - Bardzo przepraszam, ale wydaje mi się, że w sytuacji, gdy kontrole są tak częste, wystarczy, byśmy obserwowali Wielki Korytarz. Zobaczymy, które roboty się wycofują, gdy pojawia się kontrwywiad.

- Myślę, że warto spróbować - zdecydował Bel Iblis. - Ghent, ty się zajmij danymi Straży Pałacowej. Leia, Winter - chodźmy.

- Już idą - z ukrytego w dłoni Leii komunikatora rozległ się cichy głos Winter.

- Jesteś pewna, że to Straż Pałacowa? - dał się słyszeć głos Bela Misa.

- Tak - zapewniła kobieta. - Widziałam, jak pułkownik Bremen wydawał rozkazy. Strażnicy mają ze sobą roboty i cały sprzęt.

- W takim razie: uwaga - szepnęła księżniczka. Ukradkiem podniosła rękę do ust, mając przy tym nadzieję, że troje Kubazów siedzących po przeciwnej stronie ustawionego do konwersacji kręgu foteli nie zauważy jej dziwaczного zachowania. - Obserwujcie bacznie wszystkich. Uzyskała ciche potwierdzenie zarówno od swej towarzyszki, jak i od generała. Z powrotem położyła rękę na kolanie i rozejrzała się dokoła. Mieli teraz realną szansę zdemaskowania Źródła Delta. Właśnie zakończyło swoje obrady Zgromadzenie, a niebawem miało się rozpocząć posiedzenie Rady, więc w Wielkim Korytarzu tłoczyła się cała rzesza wyższych urzędników. Urzędników, a także ich doradców, pomocników i robotów. Leia zawsze wiedziała, że w Pałacu Imperialnym jest wiele robotów. Teraz jednak uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest ich tu aż tak wiele. Z miejsca, gdzie siedziała, widać było całkiem sporo robotów dyplomatycznych 3 PO; większość z nich towarzyszyła dyplomatom z innych planet, ale kilka kręciło się w pobliżu ważniejszych pałacowych osobistości. Nad tłumem, na silnikach manewrowych, unosiła się grupa niewielkich, przypominających owady robotów sprzątających SPD, które systematycznie czyściły umieszczone naprzemiennie w ścianach okna z rżniętego szkła i rzeźby. Pod przeciwległą ścianą przemknął szereg robotów MSE, uważających na to, żeby nie dać się podeptać. Dostarczały one adresatom wiadomości zbyt skomplikowane, by można je było nadać przez komunikator lub też na tyle ważne, że nie nadawały się do elektronicznego przesłania do adresata. Przy drugim w rzędzie zielono-purpurowym drzewie ch'hała można było chwilami zobaczyć przez tłum robota

sprzątającego MN-2 E, który ostrożnie usuwał zeschnięte liście. Którego z nich, zastanawiała się księżniczka, Imperium przemieniło w szpiega?

- Zaczynają- poinformowała cicho Winter. - Wchodzą na Wielki Korytarz... Nagle z komunikatora doleciał dziwny szum, jakby Winter przykryła mikrofon ręką. Potem nastąpiła seria zdławionych odgłosów i Leia już się zastanawiała, czy nie pójść wyjaśnić tej sprawy, kiedy z komunikatora odezwał się męski głos.

- Radna Organa Solo?

- Tak - powiedziała niepewnie. - Kto mówi?

- Porucznik Machel Kendy ze Straży Pałacowej - przedstawił się mężczyzna. - Czy jest pani świadoma tego, że pani rozmowa jest przez kogoś podsłuchiwana?

- To nie jest podsłuch, poruczniku - zapewniła go księżniczka. - Prowadziliśmy rozmowę we troje, razem z generałem Belem Iblisem.

- Rozumiem - rzucił Kendy, nieco rozczarowany. Zapewne sądził, że wpadł na ślad Źródła Delta. - Jestem zmuszony prosić, aby państwo przerwali na kilka minut rozmowę. Zamierzamy właśnie przeprowadzić kontrolę w Wielkim Korytarzu i w tym czasie wszelkie połączenia radiowe przeszkadzałyby nam w badaniu.

- Rozumiem - rzekła Organa Solo. - Zaczekamy, aż skończycie. Wyłączyła komunikator i przypięła go sobie do pasa. Serce zaczęło walić jej jak młotem. Obracając się na krześle, jakby od niechcienia usiadła tak, aby widzieć cały koniec Wielkiego Korytarza. Jeśli jest tu gdzieś robot-szpieg, to gdy tylko zauważy, że w drugim końcu korytarza rozpoczęła swoją pracę grupa z kontrwywiadu, niebawem się tutaj pojawi. Do unoszących się nad głowami tłumy robotów sprzątających dołączyła nowa grupa robotów SPD; posuwając się wzdłuż korytarza, metodycznie sprawdzały wyższe fragmenty ścian i różne zakamarki sklepionego sufitu w poszukiwaniu mikrofonów czy systemów rejestrujących, które ktoś mógł tam ewentualnie umieścić po ostatniej kontroli. Dokładnie pod nimi szedł porucznik Kendy i jego drużyna; przedzierając się przez tłum dyplomatów, szli całą szerokością korytarza, uważnie obserwując monitory niesionych na ramionach czujników. Cała drużyna dotarła do tego miejsca, gdzie siedziała Leia, minęła je i, bez przeszkód dobrnęła do końca korytarza. Tam strażnicy zatrzymali się, czekając, aż roboty typu SPD i przemykające pod ścianami roboty MSE skończą swoją część badania i dołączą do nich. Następnie cały zespół kontrolny się przegrupował i zniknął w głębi hallu, zmierzając w kierunku biur Rady Wewnętrznej. I już było po wszystkim. Cały Wielki Korytarz został dokładnie przeczesany, a wynik kontroli był wyraźnie negatywny... Ani jeden robot nie umknął w obawie przed badaniem. Kątem oka księżniczka dostrzegła jakieś poruszenie. Ale to jedynie robot sprzątający MN-2 E, którego już wcześniej widziała, przyturlał się do drzewa ch'hala, wyrastającego z podłogi w pobliżu jej fotela. Cmokając sobie cichutko, wsunął między gałęzie delikatne macki, wyszukując zeschnięte lub obumierające liście. Obumierające... Zupełnie jak ich teoria. Leia z westchnieniem wyciągnęła zza pasa komunikator.

- Winter? Garm?

- Jestem, Wasza wysokość - natychmiast dał się słyszeć głos Winter.

- Ja także - dodał Bel Iblis. - Co się dzieje?

- Absolutnie nic - odparła Organa Solo, potrząsając głową. - Jeśli się nie mylę, żaden z robotów nawet nie drgnął. Przez chwilę panowało milczenie.

- Rozumiem - powiedział w końcu generał. - Cóż... może nasze go robota po prostu tu dzisiaj nie ma. Musimy posłać Winter, aby razem z Ghent'em dopisali do naszej listy roboty.

- Co ty na to? - zwróciła się Leia do swej towarzyszki.

- Mogę spróbować - rzuciła kobieta z wahaniem. - Ale trudno będzie zidentyfikować poszczególne roboty. Zewnętrznie każdy robot dyplomatyczny w zasadzie niczym nie różni się od innych.

- Zrób, co w twojej mocy - rzekł Bel Iblis. - Szpieg znajduje się gdzieś w pobliżu. Czuję to. Księżniczka wstrzymała oddech, sięgając na zewnątrz zmysłami Jedi. Nie miała -jak generał - wyostrej intuicji żołnierza; nie umiała też jeszcze wykorzystać

swych umiejętności Jedi w takim stopniu jak Lukę, ale ona także wyczuwała bliskość Źródła Delta. Było coś dziwnego w Wielkim Korytarzu...

- Myślę, że ma pan rację. Winter, najlepiej od razu się rym zajmij.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Pójdę z tobą, Winter - zaofiarował się Bel Iblis. - Chcę zobaczyć, jak się posuwają próby z operacją „Gwiezdny Pył”. Leia wyłączyła komunikator i opadła na oparcie fotela. Mimo iż mocno się przed tym bronila, zaczęło ją ogarniać zmęczenie i zniechęcenie. Użycie do zdemaskowania Źródła Delta rozpracowanego przez Ghent'a szyfru wydawało się takim dobrym pomysłem. Ale jak dotąd wszystkie tropy prowadziły donikąd. A czasu było coraz mniej. Nawet jeśli zdołają utrzymać w sekrecie pracę Ghent'a - co wcale nie było takie pewne - każda kolejna porażka nieuchronnie przyspieszała moment, w którym Źródło Delta dostrzeże w końcu ich działania i zamilknie. A wtedy bezpowrotnie zniknie szansa na zidentyfikowanie działającego wśród nich szpiega Imperium. Byłaby to prawdziwa katastrofa. I nie z powodu samego przecieku - wywiad Imperium wyciągał od nich informacje od samego początku istnienia Sojuszu Rebeliantów i jakoś to przeżyli. Daleko bardziej niebezpieczne dla Nowej Republiki było to, że już samo istnienie Źródła Delta wywołało w pałacu wciąż pogłębiającą się atmosferę podejrzliwości i nieufności. Oskarżenia radnego Fey'lyi przeciwko admirałowi Ackbarowi wykazały, do czego prowadzi taka podejrzliwość wewnątrz delikatnej koalicji wielu różnych ras tworzących Nową Republikę. Gdyby się okazało, że w kręgu najwyższych urzędników naprawdę znajduje się agent Imperium... Siedzących w drugim końcu kręgu troje Kubazów podniosło się ze swoich miejsc. Okrążyli drzewko ch'hala i krzątającego się przy nim robota MN-2 E, i zniknęli w płynącym korytarzem tłumie. Księżniczka złapała się na tym, że wpatruje się w robota, który - nieustannie cmokając - wsuwał akurat ostrożnie między gałęzie ramię manipulatora, by dosięgnąć małej kępki zeschniętych liści. Na ułamek sekundy stanął jej przed oczami imperialny robot-szpieg, z którym miała do czynienia na planecie Noghrich, Honoghr. Jego obecnośćomal nie zakończyła się dla niej katastrofą, a dla pozostałej przy życiu garstki prawdziwą masakrą. Jeśli Bel Iblis miał rację... Jeśli Źródło Delta rzeczywiście było jedynie robotem, a nie świadomym zdrajcą... Zresztą to i tak nie byłoby wielką pociechą. Imperium nie zdołałoby przecież przemycić do pałacu robota-szpiega bez pomocy z wewnątrz. Straż Pałacowa zawsze dokładnie sprawdzała każdego robota, który wchodził do pałacu, i to bez względu na to, czy przybywał tu na stałe, czy tylko na pewien czas; a zatem dokładnie wiedziała, czego szukać. Ukryty wtórny program szpiegowski byłby widoczny od razu, jak eksplozja czerwieni na tle bladego pnia drzewa ch'hala... Nie przestając wpatrywać się w drzewo, Leia zmarszczyła brwi, zapominając, o czym przed chwilą myślała. Na smukłym pniu pojawiła się kolejna czerwona plama; rozpląnęła się faliście po całej jego powierzchni, po czym znów zlała się z jasnoróżowym tłem. Potem przez drzewo przepłynęła następna jaskrawa fala, a po niej kolejna i jeszcze jedna, zupełnie jak krople sączącej się wody. Wszystkie były podobnej wielkości; i wszystkie brały początek z tego samego miejsca na pniu. I to dokładnie wtedy, kiedy robot MN-2 E wydawał z siebie kolejne mlaśnięcia. Nagle księżniczka poczuła się tak, jakby wylano na nią wiadro zimnej wody. Drżącymi palcami sięgnęła do pasa i wybrała numer głównego operatora. - Tu radna Organa Solo - przedstawiła się. - Chciałabym rozmawiać z pułkownikiem Bremenem ze Straży Pałacowej. Proszę mu powiedzieć, że znalazłam Źródło Delta. Musieli się wkopać prawie osiem metrów w głąb, nim znaleźli to, czego szukali: długą, grubą, zniszczoną ze starości tubę, do połowy ukrytą w palowym korzeniu drzewa ch'hala. Z jednej strony wchodziło do niej tysiąc cieniutkich rureczek przynoszących informacje z góry, a z drugiej wychodziło włókno z bezpośrednią transmisją. Potem strawili godzinę na dokładnych oględzinach i sporządzeniu wstępnego raportu, nim Bremen dał się wreszcie przekonać o prawdziwości ich odkrycia.

- Nasi technicy twierdzą, że nigdy jeszcze nie widzieli czegoś podobnego - zakomunikował Leii, Belowi Iblisowi i Mon Mothmie szef Straży Pałacowej, gdy stali

wokół wyrwanego z korzeniami drzewa ch'halá. - Ale wygląda na to, że cały mechanizm jest względnie prosty: każdy nacisk wywierany na pień drzewa - w tym także napór spowodowany falami dźwiękowymi - zapoczątkowuje proces niewielkich zmian chemicznych w wewnętrznej warstwie kory.

- I to właśnie jest przyczyną zmiany i rozptywania się kolorów? - spytała Mon Mothma.

- Tak - skinął głową Bremen, krzywiąc się nieznacznie. - Kiedy się teraz na to patrzy, wszystko wydaje się oczywiste: te zmiany kolorów i ich konfiguracji następują tak szybko, że może to być jedynie efektem procesów biochemicznych. A wszczepione w pień drzewa cieniutkie rurki nieustannie badają te chemikalia i przesyłają informacje do modułu umieszczonego w głównym korzeniu. Ten moduł odbiera dane chemiczne, zamienia je z powrotem na dane zebrane na skutek nacisku, a następnie przetwarza na język mówiony. Jakiś inny moduł - być może umieszczony głębiej w korzeniu - sortuje poszczególne rozmowy i w ten sposób powstaje materiał gotowy do zakodowania i wysłania w eter. To wszystko.

- Mikrofon organiczny - powiedział Bel Iblis ze zrozumieniem. - Bez żadnych widocznych elementów elektronicznych, które mogłyby wykryć kontrwywiad.

- Cały zespół mikrofonów organicznych - sprostował Bremen, spoglądając wymownie na podwójny rząd drzew rosnących wzdłuż ścian Wielkiego Korytarza. - Natychmiast się ich pozbędziemy.

- Taki genialny plan - nie mogła się nadziwić MON Mothma. - i tak bardzo w stylu Imperatora. Zawsze się zastanawiałam, w jaki sposób zdobywał informacje, które wykorzystywał w senacie przeciwko nam. - Potrząsnęła głową. - Wygląda na to, że nawet po śmierci działa na naszą szkodę.

- No, przynajmniej w ten sposób już nas nie będzie niepokoił - zauważył generał. - Pułkowniku, ściągnijmy tu jakąś drużynę do wykopywania tych drzew.

ROZDZIAŁ

W oddali, po drugiej stronie zniszczonej równiny, ukazał się błysk odbitego światła.

- To Mazzic - oznajmił Karrde. Gillespi odwrócił się od bufetu i mrużąc oczy, spojrzął ponad wałącą się ścianą warowni.

- W każdym razie ktoś tu leci - stwierdził. Odstawił swój kubek i talerz z zimnym brullki, które właśnie zjadał, i wytarł ręce w tunikę. Następnie wyjął lornetkę i przyłożył ją do oczu. - Tak, to on - potwierdził. - Zabawne, są z nim jeszcze jakieś dwa statki. Karrde ze dziwieniem popatrzył w tamtym kierunku.

- Jeszcze dwa statki?

- Zobacz - powiedział Gillespi, wręczając mu lornetkę. Szef przemysłowców uniósł ją do oczu. Rzeczywiście, zbliżały się do nich trzy pojazdy: zgrabny jacht powietrzny i dwa groźnie wyglądające statki o zupełnie nieznannej konstrukcji.

- Myślisz, że zabrał ze sobą jakichś gości? - zagadnął Gillespi.

- Nic nie wspominał o gościach, kiedy kilka minut temu zameldował się Avesowi - rzekł Karrde. Kiedy to mówił, dwa lecące po bokach jachtu statki opuściły szyk, zniżyły się nad równiną i zniknęły w jednym z przecinających ją głębokich wąwozów.

- Lepiej to sprawdzić.

- Masz rację - zgodził się szef przemysłowców. Oddał lornetkę koledze i wyjął komunikator. - Aves? Masz kody identyfikacyjne nadlatujących statków?

- Jasne - natychmiast odezwał się Aves. - Wszystkie podały fałszywe kody, ale rozszyfrowaliśmy je jako „Tęczę”, „Harpuna” i „Drapieżnika”.

257 17- Ostatni rozkaz

Karrde skrzywił się nieznacznie. Sylwetki statków mogły wyglądać obco, ale ich nazwy były mu dobrze znane. Jeden z nich to prywatny transportowiec Mazzica, a dwa pozostałe to jego ulubione bombowce.

- Dziękuję - rzucił i wyłączył komunikator.
- No i co? - chciał wiedzieć Gillespi.
- To tylko Mazzic - odparł szef przemysłowców, przypinając do pasa komunikator.
- Co z nim? - usłyszeli głos Nilesa Ferriera. Karrde odwrócił się i zobaczył, że złodziej statków stoi przy barze, trzymając w dłoni okazałą porcję prażonych orzechów pirkki.
- Powiedziałem, że do nas leci - odrzekł.
- To dobrze - skinął głową Ferrier. Włożył do ust orzech i głośno go rozgryzł. - Najwyższy czas. Wreszcie będzie można zacząć to spotkanie. Odszedł wolnym krokiem, cały czas chrupiąc orzechy. Po drodze skinął głową Dravisowi i Clyngunnowi.
- Myślałem, że nie miałeś ochoty go tu oglądać - szepnął Gillespi.
- To prawda. Ale widocznie nie wszyscy byli tego samego zdania.
- Chcesz powiedzieć, że ktoś go tu zaprosił? Ale kto?
- Nie mam pojęcia - wyznał Karrde, obserwując Ferriera. Złodziej statków podszedł właśnie do grupy Ellora, która zebrała się w kącie. - Nie wiedziałem, jak o to zapytać pozostałych, by sobie nie pomyśleli, że jestem małostkowy, podejrzliwy albo apodyktyczny. Zresztą to pewnie nic poważnego. Może ktoś doszedł do wniosku, że wszyscy, którzy brali udział w tym pierwszym spotkaniu na Troganie, nadal są zaangażowani.
- Nawet jeśli nie zostali zaproszeni? Szef przemysłowców wzruszył ramionami.
- Mogli to potraktować jako zwykłe przeoczenie. Zresztą zwrócenie na to uwagi w obecnej chwili mogłoby jedynie wywołać tarcia. Niektórzy już i tak zdają się być urażeni tym, że wziętem w swoje ręce prowadzenie całej operacji. Gillespi wsunął do ust ostatni kawałek brullki.
- Tak... może to rzeczywiście nic poważnego - rzucił ponuro. - A może wręcz przeciwnie.
- Mamy oko na ewentualnych nieproszonych gości - przypomniał mu Karrde. - Jeśli Ferrier zawarł jakiś układ z Imperium, to odpowiednio wcześniej zauważymy ich przybycie.
- Mam nadzieję - mruknął Gillespi, lustrując stół w poszukiwaniu kolejnego kęsa. - Nienawidzę nie mieć pełnego żołądka. Szef przemysłowców uśmiechnął się pod nosem; i już miał zamiar się odwrócić, kiedy z jego komunikatora rozległo się pikanie. Natychmiast wyjął i włączył urządzenie, jednocześnie spoglądając w niebo.
- Tu Karrde - rzucił do nadajnika.
- Mówi Torve- dał się słyszeć męski głos... Z tonu swego rozmówcy szef przemysłowców od razu wywnioskował, że coś jest nie w porządku. - Czy mógłbyś przyjść na chwilę na dół?
- Oczywiście - odparł Karrde, sięgając ręką do ukrytego w kaburze blastera. - Czy mam kogoś przyprowadzić?
- Nie ma potrzeby, nie organizujemy tu żadnego przyjęcia. To znaczyło: posiłki już są w drodze.
- Zrozumiałem - stwierdził szef przemysłowców. - Zaraz tam będę. Wyłączył komunikator i z powrotem przypiął go do pasa.
- Jakież kłopoty? - zagadnął Gillespi, przyglądając się znad kieliszka koledze.
- Mamy jakiegoś intruza - oznajmił Karrde, rozglądając się po dziedzińcu. Wyglądało na to, że żaden z pozostałych przemysłowców ani ich towarzyszy nie patrzy w jego stronę. - Czy mógłbyś mieć całe towarzystwo na oku?
- Jasne. Czy mam zwracać na kogoś szczególną uwagę? Karrde zerknął na Ferriera, który zostawił już Ellora i zmierzał te raz w kierunku Par'Tah i towarzyszących jej Ho'Dinów.
- Dopilnuj, żeby Ferrier stąd nie wyszedł. Główna baza była usytuowana trzy poziomy poniżej ocalałych górnych pięter warowni, w dawnej kuchni i pomieszczeniach na zapleczu wysoko sklepionego hallu - najprawdopodobniej służącego niegdyś za salę balową. „Szalony Karrde” został ulokowany w samej sali balowej; może nie było to zbyt

przestronne miejsce dla tak dużego statku, ale za to doskonale służyło za całkiem niezłą kryjówkę. Co więcej, w razie potrzeby można się było stamtąd szybko ewakuować. Kiedy Karrde dotarł do podwójnych drzwi, czekał tam już na niego Fynn Torve i pięciu członków załogi „Gwiazdy Północy” z blasterami gotowymi do strzału.

- Meldujcie.

- Mamy wrażenie, że ktoś tam jest - rzekł Torve ponuro. - Czin wyprowadził vonskry na spacer i zauważył, że w cieniu, wzdłuż południowej ściany, coś się porusza. Opuszczona rampa „Szalonego Karrde'a” była zwrócona właśnie w kierunku tej ściany.

- Czy ktoś jest obecnie na statku?

- Lachton pracował przy dodatkowym stanowisku dowodzenia. Aves powiedział mu, żeby twardo siedział na mostku, z blasterem wycelowanym w drzwi, dopóki nie ściągniemy więcej ludzi. Chin zgarnął parę osób z „Etherwaya” i zaczął z nimi przeszukiwać pokoje południowe; Dankin robi to samo w części północnej.

- W takim razie nam został statek - pokiwał głową szef przemytników. - Wy dwaj - skinął ręką na dwóch członków załogi „Gwiazdy Północy” - zostaniecie tutaj i będziecie pilnować drzwi. A my wejdziemy do środka. Tylko ostrożnie. Otworzyli jedno skrzydło podwójnych drzwi i wślizgnęli się do środka. Dokładnie przed sobą ujrzeli ciemny zarys rufy „Szalonego Karrde'a”; jakieś sto pięćdziesiąt metrów za nim, przez zniszczoną ścianę warowni, przeświecał gdzieś błękit nieba Hijarny

- Szkoda, że nie mamy tu lepszego oświetlenia - mruknął Torve, rozglądając się dokoła.

- Tu wcale nie jest tak łatwo się schować, jak by się wydawało - uspokoił go Karrde i wyjął komunikator. - Dankin, Czin: tu Karrde. Meldujcie.

- Jak dotąd w kabinach północnych nic nie znaleźliśmy - natychmiast dał się słyszeć głos Dankina. - Posłałem Korvisa po przenośny zestaw czujników, ale jeszcze nie wrócił.

- Tutaj też nic, kapitanie - dodał Czin.

- No dobra - rzucił szef przemytników. - Idziemy od prawej strony statku w kierunku wejścia. W razie potrzeby dajcie nam zasłonę ogniową.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie. Karrde z powrotem wsunął komunikator za pasek i wzięwszy głęboki oddech, ruszył naprzód. Przeszukali statek, salę balową oraz wszystkie biura i magazyny, ale nikogo nie znaleźli.

- Musiałem chyba mieć przywidzenie - powiedział markotnie Czin, kiedy wszyscy, którzy brali udział w poszukiwaniach, zebrali się u podnóża rampy prowadzącej na „Szalonego Karrde'a”. - Bardzo mi przykro, kapitanie. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie martw się - rzekł szef przemytników, rozglądając się po sali balowej. Mimo iż nikogo nie znaleźli, ciągle towarzyszyło mu uczucie niepokoju. Miał wrażenie, że ktoś patrzy na nich i się śmieje... - Każde mu z nas zdarza się czasem pomylić. O ile to była pomyłka. Torve, jesteś pewien, że przeszukaliście z Lachtonem cały statek?

- Każdy metr sześcienny - oznajmił Torve zdecydowanym tonem. - Jeśli ktoś zdołał się wślizgnąć na „Szalonego Karrde'a”, to musiał się stamtąd wymknąć przed naszym przyjściem.

- A te pana vonskry? - zagadnął jeden z członków załogi „Gwiazdy Północy”. - Czy one umieją tropić?

- Tylko jeśli się poluje na isalamiry albo na Jedi - odparł Karrde. - Cóż, nawet jeżeli ktoś tu był, to najwyraźniej już sobie poszedł. Może jednak udało nam się go spłoszyć, zanim wykonał to, po co się tu zjawiał. Torve, wzmocnij strażę na całym terenie. I niech Aves zaalarmuje oficerów dyżurnych na pokładzie „Gwiazdy Północy” i „Etherwaya”.

- Racja - rzucił Torve, sięgając po komunikator. A co z naszymi gośćmi na górze? Czy ich także mamy ostrzec?

- A co to, jesteśmy ich matkami, czy jak? - prychnął któryś z pozo stałych członków załogi. - To duże chłopaki; sami umieją się o siebie zatroszczyć.

- Z pewnością tak, ale przybyli tu na moje zaproszenie i dopóki są pod naszym dachem, mamy obowiązek zapewnić im bezpieczeństwo - upomniał go łagodnie szef przemysłowców.

- Czy to dotyczy także tego, kto nasłuchiwał intruza, którego zauważył Czin? - spytał Lachton.

- To będzie zależało od tego, jakie zadanie miał ów intruz - stwierdził Karrde, spoglądając na swój statek. A skoro mowa o gościach, to był już najwyższy czas, by do nich wrócić. Mazzic na pewno już dołączył do pozostałych, a nie tylko Ferrierowi było spieszno, by zacząć spotkanie. - Lachton, gdy tylko Korvis dotrze tu ze skanerami, szczegółowo sprawdźcie cały statek. Zaczynajcie od zewnętrznej części kadłuba. Nasz gość mógł nam zostawić jakiś prezent, a nie chciałbym odlecieć stąd z urządzeniem naprowadzającym czy bombą wstrząsową na pokładzie. Gdybyście mnie potrzebowali, będę na górze w sali konferencyjnej. Zostawił podwładnych ich obowiązkom, po raz kolejny odczuwając brak Mary Jadę. W najbliższych dniach będzie musiał znaleźć czas na to, by polecieć na Coruscant i wydostać stamtąd ją i Ghenta. Zakładając, że pozwoli mu to zrobić. Jego informatorzy przechwycili ostatnio bardzo enigmatyczną i niepokojącą wiadomość, że jakąś kobietę przyłapano na Coruscant na współpracy z imperialnym oddziałem komandosów, który się tam przedostał. Biorąc pod uwagę wyraźną niechęć Mary do wielkiego admirała Thrawna, było mało prawdopodobne, aby zdecydowała się udzielić jakiegokolwiek pomocy jego Imperium. Ale z drugiej strony, wielu zwolenników Nowej Republiki zaczynało popadać w swoistą histerię wojenną i Jadę ze swoją mroczną przeszłością doskonale nadawała się do tego, by ją o coś podobnego oskarżyć. Był to zresztą kolejny powód, dla którego jak najszybciej powinien ją wydostać z Coruscant. Kiedy dotarł na górny dziedziniec, okazało się, że Mazzic istotnie już tam jest. Stał w towarzystwie Ho'Dinów i z ożywieniem rozprawił o czymś z Par'Tah. Uwodzicielsko wystrojona kobieta-ochroniarz, którą miał ze sobą na Troganie, trzymała się pół kroku od całej grupy, starając się nie rzucać w oczy. Podobnie jak dwóch mężczyzn tuż za jej plecami. I czterech, którzy stali parę metrów dalej. I jeszcze sześciu rozproszonych po zakamarkach dziedzińca. Karrde przystanął na chwilę w bramie; gdzieś na dnie jego umysłu rozległ się dzwonek alarmowy. To, że Mazzic wziął ze sobą dwa statki bojowe, aby chronić go po drodze - to była jedna sprawa. Ale fakt, że na przyjacielskie spotkanie przywiózł tak liczną obstawę, rzucał na całą sytuację zupełnie inne światło. Albo imperialny atak na Troganie sprawił, że stał się nad wyraz nerwowo... albo też nie przybył na spotkanie w przyjacielskich zamiarach.

- Hej, Karrde! - zawołał Ferrier, kiwając na niego ręką. - Czy możemy wreszcie zacząć to spotkanie?

- Oczywiście - odparł szef przemysłowców, przywołując na twarz jak najserdeczniejszy uśmiech. Teraz było już za późno na to, by mógł dla równowagi ściągnąć tu paru swoich ludzi. Pozostało mu mieć na dzieję, że Mazzic jest po prostu ostrożny. - Witaj, Mazzic. Dziękuję ci za przybycie.

- Nie ma sprawy - rzucił chłodno mężczyzna, nie odwzajemniając uśmiechu gospodarza.

- W przyległym pokoju przygotowaliśmy wygodniejsze siedzenia - powiedział Karrde, wskazując rękaw lewo. - Proszę wszystkich za mną...

- Mam lepszy pomysł - przerwał mu Mazzic. - Co powiedziałbyś na to, byśmy przeprowadzili spotkanie na pokładzie „Szalonego Karrde'a”? Szef przemysłowców popatrzył na niego. Twarz Mazzica była opanowana i nieprzenikniona. Najwyraźniej nie chodziło mu jedynie o zachowanie bezpieczeństwa.

- A czy mogę spytać, dlaczego?

- Chcesz powiedzieć, że masz przed nami coś do ukrycia? - odparował Mazzic.

- Naturalnie, że mam pewne rzeczy, które chciałbym ukryć - rzekł Karrde, pozwalając sobie na skąpy uśmiech. - Podobnie jak Par'Tah, Ellor czy ty. W końcu w interesach konkurujemy ze sobą.

- A zatem nie wpuścisz nas na pokład „Szalonego Karrde'a”? Szef przemysłowców powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Gillespi, Dravis i Clyngunn spoglądali po sobie zdumieni, nie wiedząc, o co tu chodzi. Z twarzy ParTah trudno było coś wyczytać, ale kobieta wydawała się dziwnie niespokojna. Ellor całkowicie unikał jego wzroku. A Ferrier...Ferrier uśmiechał się chytrze. Nie otwarcie - starał się raczej ukryć ten uśmiech - ale to wystarczyło. Wystarczyło w zupełności. I dopiero teraz, ponieważ, Karrde zrozumiał, że tym, co Czin zauważył - i czego nie udało im się potem złapać - był Defel Ferriera. Ludzie Mazzica byli tu, na górze. Jego ludzie znajdowali się trzy piętra niżej, strzegąc statku i bazy przed kimś, kogo dawno już tam nie było. A wszyscy goście czekali na jego odpowiedź.

- „Szalony Karrde” stoi na dole - oznajmił. - Proszę za mną. Kiedy cała grupa zeszła na dół, Dankin i Torve rozmawiali akurat przy rampie prowadzącej na statek.

- Witaj, kapitanie - powiedział Dankin, wyraźnie zdziwiony. - W czym możemy pomóc?

- Nie potrzebujemy pomocy - odparł Karrde. - Zdecydowaliśmy się odbyć spotkanie na pokładzie mojego statku, i to wszystko.

- Na pokładzie statku? - powtórzył Dankin, szybkim spojrzeniem omiatając przybyły tłumek. Wyraźnie mu się nie spodobało to, co zobaczył. I nic dziwnego: wśród szefów organizacji przemysłowych, ich do radców i ochroniarzy od razu rzuciła się w oczy liczna obstawa Mazzica. - Przepraszam... ale nie zostałem o tym poinformowany - dodał, jakby od niechcenia dotykając kciukiem pasa z bronią.

- To była decyzja podjęta w ostatniej chwili - rzekł Karrde. Kątem oka zauważył, że na wykonany przez Dankina znak do sali balowej zaczyna ściągać, starając się dyskretnie okrążyć wszystkich zebranych, reszta jego ludzi.

- Tak... jasne - rzucił Dankin, robiąc przy tym wrażenie zakłopotanego. -Chociaż statek nie jest przygotowany na coś takiego. No, sam wiesz, jak wygląda nasza kwatera...

- Nie obchodzi nas wystrój wewnątrz - przerwał mu Mazzic. - Proszę się odsunąć: mamy pewne sprawy do załatwienia.

- Oczywiście... rozumiem - powiedział Dankin. Był coraz bardziej zakłopotany, ale nie ruszył się z miejsca. - Chodzi o to, że w środku akurat pracuje zespół specjalistów z czujnikami; jeśli po pokładzie zacznie się kręcić tak dużo osób, to im uniemożliwi prowadzenie badań.

- No i co z tego? - zachnął się Ferrier. - A tak w ogóle to kim ty jesteś, że tak się tu rządzisz? Dankin nie zdążył odpowiedzieć na tę zaczepkę. Twarz Karrde'a owionął zapach perfum i szef przemysłowców poczuł, że wbija mu się w bok twarda lufa blastera.

- Niezła sztuczka, Karrde - powiedział Mazzic - ale nic z tego. Odwołaj ich. I to już. Mężczyzna ostrożnie obejrzał się przez ramię. Jego spojrzenie napotkało chłodny, stanowczy wzrok wystrojonej kobiety-ochroniarza Mazzica.

- A jeśli tego nie zrobię?

- To będziemy mieli strzelaninę - oznajmił Mazzic bez ogródek. - W tym miejscu. Przez grupę przeszedł cichy pomruk.

- Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi? - spytał niepewnie Gillespi.

- Wyjaśnię to, kiedy znajdziemy się na statku - rzekł Mazzic, nie spuszczać oczu z Karrde'a. - Jeżeli wszyscy przeżyjemy. Ale to będzie zależało od naszego gospodarza.

- Nie oddam ci moich ludzi - rzucił cicho szef przemysłowców. - A przynajmniej nie bez walki.

- Nie obchodzą mnie twoi ludzie - stwierdził Mazzic. - Ani twój statek, ani też twoja organizacja. To jest sprawa osobista, która dotyczy ciebie i mnie. A także naszych kolegów przemysłowców.

- W takim razie załatwmy to jak najszybciej - zaproponował Dankin. - My zrobimy tu miejsce, ty możesz wybrać rodzaj broni...

- Nie mówię o jakiejś głupiej prywatnej zemście - przerwał mu Mazzic. - Tu chodzi o zdradę.

- O co?! - oburzył się Gillespi. - Słuchaj, Mazzic...
- Zamknij się, Gillespi - wpadł mu w słowo mężczyzna, gromiąc go wzrokiem. - No i co, Karrde? Karrde powiódł wzrokiem po zebranych. Nie miał tu sprzymierzeńców; nie miał przyjaciół, którzy stanęliby w jego obronie bez względu na to, jakie wydumane oskarżenia przygotowali przeciwko niemu Mazzic i Ferrier. Nawet jeśli darzyli go jakimś szacunkiem, nawet, jeśli coś mu zawdzięczali - to już zdążyli o tym zapomnieć. Będą patrzeć, jak jego wrogowie go powalą... A potem każdy z nich przywłaszczy sobie część organizacji, którą on z takim trudem stworzył. Ale nim to się stanie, towarzyszący mu ludzie i inne istoty wciąż są jego współpracownikami. I nadal jest za nich odpowiedzialny.

- W mojej kwaterze zmieści się tylko osiem osób - zwrócił się spokojnie do Mazzica.
- Wszyscy doradcy, ochroniarze i twoja obstawa będą musieli zostać na zewnątrz. Czy rozkażesz im, by zostawili moich ludzi w spokoju? Przez dłuższą chwilę Mazzic przyglądał mu się badawczo, po czym nieznacznie skinął głową.

- O ile nikt ich nie sprowokuje, to sami nie będą nikogo zaczepiać. Szada, zabierz mu blaster. Karrde... prowadź. Szef przemysłowców spojrzął na Dankina i Torve'a, i kiwnął głową. Z wyraźnym ociąganiem mężczyźni odsunęli się od rampy i Karrde ruszył w górę. A tuż za nim grupka ludzi, których jeszcze nie tak dawno temu miał zamiar zjednoczyć przeciwko Imperium. Powinien był mieć więcej rozumu. Zajęli miejsca w pokoju służącym za kwaterę kapitana statku; Mazzic umieścił Karrde'a na krześle wrogu pomieszczenia, podczas gdy pozostali usiedli dokoła stołu przodem do gospodarza.

- No dobrze - stwierdził szef przemysłowców. - Jesteśmy na pokładzie statku; i co teraz?

- Chcę przejrzeć twoje karty danych - oznajmił Mazzic. - Wszystkie. Zaczniemy od tych, które trzymasz w swoim biurze.

- Tymi drzwiami i do końca korytarza po prawej stronie - wyjaśnił Karrde, wskazując głową w tył.

- Kody dostępu?

- Nie ma. Ufam swoim ludziom. Mazzic wykrzywił nieznacznie usta.

- Ellor, idź po nie. Przynies też ze dwa notesy elektroniczne. Duryjczyk bez słowa wstał i wyszedł.

- Może w tym czasie przedstawię wam propozycję, z powodu, której zaprosiłem was na Hijarnę - odezwał się szef przemysłowców, chcąc przerwać niezręczną ciszę.

- Ty to masz tupet, Karrde - prychnął Mazzic. - Tupet i styl. Ale może posiedzimy chwilę w milczeniu, dobra. Karrde spojrzął na wycelowany w niego blaster.

- Jak sobie życzysz. Po chwili wrócił Ellor, niosąc szufladę pełną kart danych; na ich szczycie leżały dwa notesy elektroniczne.

- Dobrze - powiedział Mazzic, kiedy Duryjczyk zajął miejsce obok niego. - Daj jeden notes elektroniczny Par'Tah i zaczniemy przeglądać te karty. Oboje wiecie, czego szukać.

- Od razu na początku chciałbym zaznaczyć - wtrącił Ellor - że to wszystko mi się nie podoba.

- Mnie również - zawtórowała mu Par'Tah. Wypustki na jej głowie wiły się niczym zaniepokojone węże. - Otwarta walka z konkurentem to element prowadzenia interesów. Ale to jest, co innego.

- Tu nie chodzi o interesy - sprostował Mazzic.

- Oczywiście, że nie - rzekł Karrde. - Już powiedział, że moja organizacja go nie interesuje. Pamiętajcie?

- Nie próbuj łapać mnie za słowa - ostrzegł go Mazzic. - Nienawidzę tego, tak samo jak nienawidzę, gdy ktoś wodzi mnie za nos.

- Ja nikogo nie wodzę za nos - odparł spokojnie szef przemysłowców. - W tej sprawie od samego początku ze wszystkimi postępuję uczciwie.

- Możliwe. Właśnie po to tu jesteśmy, by się o tym przekonać. Karrde powiódł wzrokiem po siedzących dokoła stołu. Przypomniał sobie, jaki chaos zapanował w

świecie przemytniczym po rozpadzie organizacji Jabby Hutta. Wszystkie grupy z całej galaktyki rzuciły się łączywie, by zbierać resztki: wrywano sobie statki, ludzi, kontrakty niekiedy walcząc o nie zaciekle. Zwłaszcza większe organizacje całkiem sporo zyskały na śmierci Hutta. Zastanawiał się, czy Aves zdoła sobie z nimi poradzić. Aves i Mara.

- Znaleźliście już coś? - niecierpliwił się Mazzic.

- Jeżeli coś tam będzie, to damy ci znać - oznajmiła Par'Tah. Z jej tonu można było wywnioskować, że jest niezadowolona z całej tej sytuacji.

- Czy mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, co ja takiego rzekomo zrobiłem? - zwrócił się Karrde do Mazzica.

- Tak, ja też chciałbym się wreszcie dowiedzieć - zawtórował mu Gillespi. Mazzic opadł na oparcie swojego krzesła i oparł rękę z bronią o udo.

- To bardzo proste - zaczął. - Zdaje się, że ten atak na Troganie, w wyniku, którego zginął mój przyjaciel Liszma, został zainscenizowany

- Jak to: zainscenizowany? - chciał wiedzieć Dravis.

- Tak to. Ktoś wynajął porucznika Imperium i jego oddział, żeby nas zaatakował.

- Oddziały imperialne nie pracują jako najemnicy - mruknął głucho Clyngunn.

- Ale ta grupa tak właśnie zrobiła - powtórzył Mazzic.

- Kto ci to powiedział? - zainteresował się Gillespi. Mazzic uśmiechnął się nieznacznie.

- Najlepiej poinformowane źródło, jakim jest wielki admirał Thrawn. Przez chwilę wszyscy milczeli, zaskoczeni tym, co właśnie usłyszeli. Dravis pierwszy odzyskał głos.

- Nie żartuj! Tak po prostu ci o tym powiedział?

- Złapali mnie, kiedy kręciłem się w pobliżu układu Joiol, i zawieźli mnie na „Chimerę” - powiedział Mazzic, ignorując ironiczny ton kolegi. - Po tym incydencie w stocznii na Bilbringi sądziłem, że czekają mnie ciężkie chwile. Ale Thrawn oznajmił, że ściągnął mnie do siebie tylko po to, by oczyścić atmosferę; twierdził, że nikt z Imperium nie wydał rozkazu do ataku na Troganie i że nie oni ponoszą za to odpowiedzialność. A potem puścił mnie wolno.

- Zasugerowawszy wcześniej, że to mnie należy winić za ten atak? - podsunął Karrde.

- Nie wymienił ciebie wprost - odparł Mazzic. - Ale kto jeszcze mógłby coś zyskać, nastawiając nas wrogo do Imperium?

- Nie zapominaj, że mamy tu do czynienia z wielkim admirałem - odrzekł szef przemytników. - Z wielkim admirałem, który lubuje się w opracowywaniu zawitych i długofalowych planów. A ponadto jest osobiście zainteresowany tym, żeby mnie zniszczyć.

- Nie opieram się wyłącznie na słowach Thrawna, Karrde - uśmiechnął się Mazzic z przymusem. - Nim tu przybyłem, jeden z moich przyjaciół poszperał nieco w wojskowych aktach Imperium i przekazał mi szczegółowe dane na temat przygotowań do ataku na Troganie.

- Imperium mogło wprowadzić do swoich akt odpowiednie informacje - zauważył Karrde.

- Jak już powiedziałem, nie opieram się wyłącznie na ich słowach - powtórzył Mazzic. - Ale jeśli także tutaj znajdziemy ślady świadczące o zawarciu tej umowy - uniósł nieco blaster - będzie to chyba koronny dowód.

- Rozumiem - mruknął szef przemytników, spoglądając na Ferriera. A więc po to właśnie ten złodziej statków przysłał tu swojego Defla: żeby podrzucił ów koronny dowód dla Mazzica. - Podejrzewam, że te raz jest już za późno, by wspomnieć o tym, że na kilka minut przed twoim przybyciem mieliśmy tu w bazie jakiegoś nieproszonego gościa.

- Jasne! - zaśmiał się szyderczo Ferrier. - Niezła sztuczka, ale trochę za późno.

- Za późno, na co? - zdziwił się Dravis.

- On po prostu próbuje teraz rzucić podejrzenie na kogoś innego i tyle - stwierdził pogardliwie złodziej statków. - Chce, żebyście pomyśleli, że to jeden z nas podrzucił mu tę kartę danych.

- Jaką kartę danych? - podchwycił natychmiast Gillespi. - Nie znaleźliśmy żadnej karty danych.

- Właśnie ją znaleźliśmy - powiedział cicho Ellor. Karrde zerknął na Duryjczyka. Jego płaska twarz miała zacięty wyraz i nie sposób było wywnioskować, co myśli, podając notes elektroniczny Mazzicowi. Mazzic wziął notes i jego twarz także spochmurniała.

- A więc to tak - rzekł cicho, kładąc notes elektroniczny na stole. - Cóż... chyba nie potrzebujemy więcej wyjaśnień.

- Chwileczkę - zaproponował Gillespi. - Wręcz przeciwnie. Wróć my jeszcze do tego intruza: byłem z Karrde'em na górze, kiedy jego ludzie go zaalarmowali.

- No dobra - wzruszył ramionami Mazzic. - Gramy dalej. Co z rym intruzem, Karrde? Co zobaczyliście? Szef przemytników pokręcił głową, starając się nie patrzeć na lufę wycelowanego w niego blastera Mazzica.

- Niestety nic. Czin miał wrażenie, że zauważył jakieś poruszenie w pobliżu statku, ale nikogo nie udało nam się złapać.

- Nie dostrzegłem tam zbyt wielu miejsc, gdzie ktoś mógłby się schować - zauważył Mazzic.

- Człowiek rzeczywiście nie - przyznał Karrde. - Chociaż wtedy nie przyszło nam do głowy, jak wiele cieni jest wzdłuż ścian i w pobliżu drzwi.

- Chcesz powiedzieć, że to był mój upiór, tak? - wtrącił Ferrier. - To klasyczne posunięcie: rzucić kilka aluzji dla zaciemnienia obrazu całej sytuacji. Daj sobie spokój, Karrde: to ci się nie uda. Szef przemytników przyjrzał się uważnie złodziejowi statków: popatrzył na jego zaciętą twarz, na niespokojne oczy.. i nagle uświadomił sobie, że mylił się co do zmywy, której padł ofiarą. Ferrier i Mazzic nie współpracowali ze sobą w tej kwestii. Najprawdopodobniej to sam Ferrier, kierowany przez Thrawn, pracował nad tym, by go skompromitować. Co oznaczało, że Mazzic szczerze uwierzył w to, iż Karrde zdradził ich wszystkich. To z kolei kazało przypuszczać, że istnieje jeszcze szansa, by go przekonać, iż było inaczej.

- Jednak spróbuję- oznajmił szef przemytników i zwrócił się do Mazzica. - Czy naprawdę uważasz, że byłbym na tyle nieostrożny, by zostawić dowód mojej zdrady w miejscu, gdzie każdy mógłby go znaleźć?

- Nie wiedziałeś, że będziemy go szukać - wtrącił pośpiesznie zło dziej statków, nie dając Mazzicowi dojść do głosu.

- Ach, więc już mówisz „my” - powiedział Karrde, wymownie unosząc brwi. -No co, Ferrier, ty i Mazzic jesteście w zmywie?

- On ma rację, Karrde: nie próbuj zaciemniać obrazu całej sytuacji - odezwał się Mazzic. - Myślisz, że Thrawn zadałby sobie tyle trudu tylko po to, by doprowadzić do twojego upadku? Mógł to zrobić od razu na Troganie.

- Na Troganie nie mógł mnie tknąć - potrząsnął głową szef przemytników. - Nie chciał tego robić na oczach was wszystkich. Ryzykowałby, że wystąpi przeciwko niemu cały światek przemytniczy. Ta metoda jest znacznie lepsza: zniszczy mnie, zdyskredytuje udzielane przeze mnie ostrzeżenia na jego temat, a jednocześnie zachowa waszą życzliwość i gotowość do usług. Clyngunn pokręcił swoją kudłatą głową.

- Nie. Thrawn nie jest taki jak Vader. Nie traciłby swoich oddziałów w ataku z góry skazanym na porażkę.

- Zgadzam się z tobą - rzekł Karrde. - Ja też jestem zdania, że to nie on wydał rozkaz do ataku na Troganie. Uważam, że ktoś inny zaplanował tę akcję, a Thrawn próbuje teraz do maksimum wykorzystać ten fakt.

- Spodziewam się, że i za to winą zechcesz obarczyć mnie? - burknął Ferrier.

- Ja nikogo nie oskarżam - przypomniał mu łagodnie szef przemytników. - Można by pomyśleć, że masz nieczyste sumienie.

- Proszę: znowu próbuje wszystko zagmatwać - stwierdził złodziej statków. Rozejrzał się po twarzach kolegów, po czym znowu skierował wzrok na Karrde'a. - W zasadzie już niemal otwarcie oskarżyłeś moje go upiora o to, że podłożył tu kartę danych.
- To ty to zasugerowałeś, a nie ja - sprostował szef przemytników, wpatrując się badawczo w Ferriera. Szybkie myślenie z pewnością nie było mocną stroną złodzieja statków i nerwy już zaczęły mu dawać znać o sobie. Gdyby udało się go jeszcze trochę przycisnąć... - A skoro już o tym mowa, to gdzie jest twój Defel?
- Na moim statku - rzucił bez namysłu Ferrier - który stoi w zachodniej części dziedzińca, razem z innymi maszynami. Siedzi tam, od kiedy wylądowaliśmy.
- Dlaczego?
- Jak to, dlaczego? - zdumiał się złodziej statków. - Ponieważ jest jednym z członków załogi.
- Chodziło mi o to, dlaczego nie czeka przed „Szalonym Karrde'em” razem z innymi ochroniarzami?
- A kto powiedział, że on jest moim ochroniarzem?
- Tak mi się wydawało - wzruszył ramionami szef przemytników. - W końcu na Troganie występował właśnie w tej roli.
- Tak, rzeczywiście - dodał powoli Gillespi. - Stał przy ścianie, skąd od razu mógł zaatakować żołnierzy Imperium, gdy tylko się pojawili.
- Jakby wiedział, że mają tam przyjść - dokończył jego myśl Karrde. Twarz Ferriera pociemniała.
- Słuchaj, Karrde...
- Dostyc tego - wpadł mu w słowo Mazzic. - To nie są żadne do wody, Karrde, i ty doskonale o tym wiesz. A poza tym, co Ferrier mógłby zyskać na zaaranżowaniu takiego ataku?
- Może chciał się wykazać w walce z oddziałem imperialnym - podsunął szef przemytników. - Miał nadzieję, że to rozwieje nasze podejrzenia, co do tego, że współpracuje z Imperium.
- Możesz sobie mówić, co chcesz - rzucił Ferrier i wskazał palcem leżący na stole obok Mazzica notes elektroniczny. - Ale z tej karty danych wynika, że to nie ja wynająłem Koska i jego ludzi, ale ty. Osobiście uważam, że ta rozmowa...
- Chwileczkę - przerwał mu Mazzic. - A skąd wiesz, co jest na tej karcie danych?
- Ty nam to powiedziałaś - odparł rezolutnie złodziej statków. - Mówiłeś, że szukamy tu śladów świadczących o...
- Nigdy nie wymieniłem nazwiska tego porucznika. W pokoju zapadła nagle głucha cisza... Widoczna ponad brodą część twarzy Ferriera wyraźnie poblądła.
- Musiałeś je wymienić.
- Nie - powtórzył Mazzic. - Nie zrobiłem tego.
- Nikt nie wymienił j ego nazwiska - warknął Clyngunn. Złodziej statków posłał mu pełne wściekłości spojrzenie.
- To szaleństwo! - zawołał, ponownie zbierając się na odwagę. - Wszystkie dowody wyraźnie wskazują na Karrde'a, a wy chcecie go puścić wolno tylko dlatego, że gdzieś usłyszałem nazwisko tego Koska? Może któryś ze szturmowców zawołał dowódcę w czasie walki: skąd mogę wiedzieć?
- Cóż, jeszcze prostsze pytanie - odezwał się Karrde. - Powiedz nam, skąd się dowiedziałeś o dacie i miejscu tego spotkania, skoro nie zostałeś na nie zaproszony?
- Ty go nie zapraszałeś? - zdziwił się Mazzic. Szef przemytników pokręcił przecząco głową.
- Nigdy mu tak naprawdę nie ufałem, od kiedy dowiedziałem się, jaką rolę odegrał w przejściu przez Thrawną Flotę Katańską. W ogóle nie znalazłby się na Troganie, gdyby nie fakt, że Gillespi postanowił niezobowiązująco zaprosić na to spotkanie właściwie wszystkich.

- No, Ferrier? - ponaglił go Dravis. - Masz może zamiar twierdzić, że to któryś z nas cię tu zaprosił? W kącikach oczu złodzieja statków pojawiły się linie świadczące o tym, że mężczyzna jest mocno zdenerwowany.

- Przechwyciłem wiadomość, którą wysłałeś do Mazzica - mruknął pod nosem. - Rozszyfrowałem ją i doszedłem do wniosku, że powinienem tu być.

- Szybko sobie poradziłeś z tym szyfrem - zauważył Gillespi. - A użyliśmy naprawdę dobrych kodów. Naturalnie zatrzymałeś kopię pierwotnej, zaszyfrowanej wiadomości?

- Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tego wszystkiego - warknął Ferrier, wstając z miejsca. - To Karrde ma być tu sądzony, a nie ja.

- Usiądź, Ferrier - polecił mu cicho Mazzic. Jego blaster nie był już wycelowany w Karrde'a.

- Ale to on jest wszystkiemu winien - upierał się złodziej statków. Wyciągnął prawą rękę, oskarżycielsko wskazując palcem szefa przemytników. - To on...

- Uważajcie! - krzyknął Gillespi. Ale już było za późno. Wymachując energicznie prawą ręką, aby odwrócić uwagę obecnych, lewą Ferrier sięgnął za pas i teraz trzymał ją wyciągniętą przed siebie. Miał w niej detonator termiczny.

- No dobra, ręce na stół - warknął. - Mazzic, rzuć broń. Mazzic powoli odłożył blaster na stół.

- Nie uda ci się stąd wymknąć, Ferrier - wycedził przez zęby. - Szada i moja obstawa rozedrą cię na strzępy.

- Nawet nie zdołają do mnie strzelić - stwierdził złodziej statków, sięgając po blaster Mazzica. - Upiorze! Chodź tutaj! Drzwi za jego plecami rozsunęły się bezszelestnie i do pokoju wsunął się w milczeniu czarny cień. Czarny cień z czerwonymi oczami i ledwie widocznymi długimi białymi włosami. Clyngunn rzucił ze złością jakieś zehetbrańskie przekleństwo.

- A więc Karrde miał rację. Wydałeś nas Imperium. Ferrier zignorował jego uwagę.

- Pilnuj ich - rozkazał cieniowi. Cisnął w jego stronę blaster Mazzica i wyjął własny.

- Chodź, Karrde: idziemy na mostek.

- A jeśli odmówię? - spytał szef przemytników, nie ruszając się z miejsca.

- Zabiję cię i wezmę statek - stwierdził krótko Ferrier. - Może od razu powinienem to zrobić: Thrawn z pewnością dobrze mi zapłaci za całą bandę.

- Racja - rzekł Karrde i podniósł się z miejsca. - Tędy. Dotarli na mostek bez żadnych przeszkód.

- Ty pilotujesz - zarządził złodziej statków. Szybkim spojrzeniem obrzucił przyrządy i blasterem popchnął Karrde'a w kierunku steru. - Świetnie; przypuszczałem, że statek będzie gotowy do drogi.

- Dokąd lecimy? - spytał szef przemytników, zajmując miejsce za sterem. Przez iluminator dostrzegł kilku swoich ludzi, którzy chłodno mierzyli się wzrokiem z obstawą Mazzica, nie mając pojęcia, że ich kapitan znajduje się w kabinie pilotów.

- Na początek na zewnątrz, do góry i przed siebie - oznajmił Ferrier, wskazując blasterem zniszczoną ścianę warowni.

- Rozumiem - odparł Karrde. Prawą ręką wystukał dla komputera polecenie, by wyświetlił raport o gotowości statku do lotu, lewą zaś jak by od niechcenia położył na kolanie. Właśnie na wysokości kolana, tuż poniżej głównej konsoli, znajdowała się tablica z kontrolkami zewnętrznych świateł statku. - A co potem?

- A jak ci się wydaje? - odparował Ferrier. Podszedł do stanowiska łączności obrzucił je szybkim spojrzeniem. - Wyniesiemy się stąd. Czy jakieś inne statki też mają włączone nadajniki?

- „Gwiazda Północy” i „Etherway” - odparł Karrde. Trzykrotnie włączył i wyłączył pozycyjne światła statku. Przez iluminator dostrzegł zdziwione twarze odwracających się w ich stronę ludzi. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz odlecieć zbyt daleko?

- A co, boisz się, że ukradnę twój cenny transportowiec? - zaśmiał się złodziej statków.

- Nie uda ci się go ukraść - oznajmił szef przemytników, patrząc Ferrierowi prosto w oczy. - Najpierw go zniszczę.

- To czcza gadanina w ustach kogoś, kto się znajduje po złej stronie blastera - rzucił pogardliwie złodziej statków, wymachując bronią.

- Ja nie żartuję - ostrzegł go Karrde. Jeszcze raz włączył światła pozycyjne i pozwolił sobie na przelotne spojrzenie w iluminator. Ostrzegawczo włączone światła i widok Ferriera trzymającego go na muszce zapewne pozwolą zebrany wywnioskować, co się tu dzieje. Taką miał przynajmniej nadzieję. W przeciwnym razie niezapowiedziany odlot „Szalonego Karrde'a" niechybnie wywoła strzelaninę.

- No pewnie - burknął złodziej statków i usiadł obok niego w fotelu pilota. - Wyluzuj się: nie musisz być bohaterem. Niczego bym bar dziej nie pragnął, jak odebrać ci „Szalonego Karrde'a", ale mam dosyć rozumu i nie będę próbował pilotować takiego statku z połową załogi. Nie, będziesz musiał jedynie odstawić mnie na mój statek. Wyniesiemy się stąd i przeczekamy gdzieś do czasu, aż cała sprawa przycichnie. - Po raz ostatni obrzucił wzrokiem monitory kontrolne i skinął głową. - No dobra. Ruszajmy. Szef przemytników w napięciu włączył silniki manewrowe i skierował statek do przodu, cały czas obawiając się, że w oczekującym na zewnątrz tłumie doradców i ochroniarzy może wybuchnąć strzelanina. Ale nikt nie otworzył ognia i Karrde bez przeszkód przeprowadził maszynę przez wyszczerbioną kamienną krawędź i dalej na zewnątrz.

- Tak... nikogo już tam nie ma - rzucił Ferrier, jakby od niechcenia. - Pewnie pognali do swoich statków, żeby puścić się za nami w pogoń.

- Nie wydajesz się tym zmartwiony.

- Bo nie jestem. Musisz mnie jedynie dowieźć na mój statek nieco przed nimi. Chyba możesz to zrobić. Karrde spojrzał na wymierzony w niego blaster.

- Zrobię, co się da. Udało się to bez problemu. Kiedy „Szalony Karrde" wylądował na potrzaskanych kamieniach obok przebudowanego koreliańskiego statku bojowego, inne pojazdy zaczęły się dopiero wylaniać z bram prowadzących do głównej części fortecy i mogły tu dotrzeć nie wcześniej niż za dwie, trzy minuty.

- Wiedziałem, że zdołasz to zrobić - skomplementował Karrde'a z ironią złodziej statków, po czym podniósł się i włączył interkom. - Upiorze? Otwórz drzwi. Zabieramy się stąd. Nie było odpowiedzi.

- Upiorze? Słyszysz mnie?

- Przez jakiś czas nic nie będzie słyszał - zagrzmiął z interkomu głos Clyngunna. - Jeśli chcesz go zobaczyć, to będziemy ci musieli go przynieść. Ferrier z wściekłością wyłączył interkom.

- Dureń. Powinienem był wiedzieć, że takiemu głupiemu upiorowi nie można powierzyć ważnego zadania. A tak w ogóle to powinienem był was od razu zabić.

- Możliwe - stwierdził Karrde. Skinął głowę w stronę iluminatora, przez który widać było zbliżających się ludzi z obstawy. - Ale chyba nie masz teraz czasu, by naprawić swój błąd.

- Będę to musiał zrobić później - odparował złodziej statków. - Chociaż tobą mogę się zająć od razu.

- Ale pod warunkiem, że chcesz umrzeć razem ze mną - ostudził go szef przemytników. Odchylił się nieco na krześle, by pokazać Ferrierowi, że lewą rękę trzyma na jednym z przełączników umieszczonych na tablicy znajdującej się na wysokości jego kolan. - Już ci powiedziałem, że wolę zniszczyć statek, niż ci go oddać. Przez dłuższą chwilę wydawało mu się, że Ferrier zaryzykuje mimo wszystko. Ale w końcu mężczyzna z wyraźnym ociąganiem zmienił cel i dwukrotnie strzelił w tę część konsoli, która służyła do kierowania ogniem statku.

- Innym razem, Karrde - powiedział i podszedł do drzwi mostka. Kiedy się otworzyły, szybko wyrzwał na zewnątrz i wyslizgnął się z kabiny. Szef przemytników nabrał głęboko powietrza w płuca, po czym powoli je wypuścił. Zwolnił dźwignię światła lądowania, którą cały czas trzymał w dolnej pozycji, i wstał z miejsca. Piętnaście sekund później

, który samotnie biegł w stronę swojego statku bojowego. Uważając, by nie dotknąć wypalanej na konsoli dziury, Karrde włączył interkom.

- Tu Karrde - powiedział. - Możecie odbarykadować drzwi; Ferrier już sobie poszedł. Czy jest wam może potrzebny lekarz albo ktoś do pomocy przy więźniu?

- Ani jedno, ani drugie - uspokoił go Gillespi. - Defel zapewne świetnie umie się podkradać, ale marny z niego strażnik więzienny. A zatem Ferrier tak po prostu go tu zostawił, tak?

- Można się było tego po nim spodziewać - stwierdził szef przemysłowców. Widoczny przez iluminator statek bojowy Ferriera akurat uniósł się na silnikach manewrowych, kierując się na zachód. - Właśnie startuje. Ostrzeż wszystkich, żeby nie wychodzili na zewnątrz: zdaje się, że on coś knuje, by uniemożliwić nam pościg. Istotnie tak było. Ledwie Karrde wypowiedział te słowa, gdy z unoszącego się statku wystrzelił ogromny pojemnik. Na tle rozjaśnionego nagłym błyskiem światła na niebie pojawiła się gwałtownie się rozprzestrzeniająca spleciona metalowa sieć. Po chwili rozciągnęła się nad dziedzińcem i opadła na ziemię; w miejscach gdzie dotknęła zaparkowanych statków, pojawiły się iskry.

- Sieć Connera. - Karrde usłyszał za plecami głos Dravisa. - Typowa sztuczka złodziei statków. Odwrócił się. Dravis, Par'Tah i Mazzic stali w drzwiach, spoglądając przez iluminator na odlatujący pojazd Ferriera.

- Mamy mnóstwo ludzi poza zasięgiem sieci - przypomniał Karrde kolegom. - Spalenie jej nie powinno zająć dużo czasu.

- Nie możemy pozwolić, żeby Ferrier uciekł - rzekła twardo Par'Tah, wykonując w stronę oddalającego się statku bojowego charakterystyczny dla Ho'Dinów gest pogardy.

- Nie ucieknie - zapewnił ją szef przemysłowców. Maszyna Ferriera leciała już ponad równiną, daleko poza zasięgiem dział statków przykry tych siecią. - „Etherway” i „Gwiazda Północy” czekają w pogotowiu, na północ i na południe stąd. - Zwrócił się do Mazzica, unosząc wymownie brwi. - Ale sądzę, że w obecnej sytuacji Mazzic ma pierwszeństwo. Mazzic uśmiechnął się skąpo.

- Dziękuję - powiedział cicho i wyjął komunikator. - Griv, Amber: leci do was statek bojowy. Zaopiekujcie się nim. Karrde ponownie wyjrzał przez iluminator. Pojazd Ferriera dotarł już prawie do linii horyzontu i zaczął wznosić się ku górze... Dwa statki bojowe Mazzica wystartowały ze swej kryjówki i rzuciły się za nim w pościg.

- Chyba jestem ci winien przeprosiny - odezwał się Mazzic, stając tuż obok niego.

- Zapomnij o tym - potrząsnął głową szef przemysłowców. - Albo lepiej nie: zapamiętaj to sobie jako lekcję na temat tego, jak wielki admirał Thrawn załatwia interesy. I ile tak naprawdę znaczą dla niego ludzie tacy jak my.

- Nie martw się, będę o tym pamiętał - rzekł cicho Mazzic.

- To dobrze. No, a teraz każmy naszym ludziom zająć się tą siecią: chyba wszyscy chcielibyśmy opuścić Hijarnę, nim Imperium się zorientuje, że plan Thrawn'a zawiódł. - W oddali, tuż ponad linią horyzontu, rozbłysło na chwilę jaskrawe światło. - A tymczasem - dodał Karrde - przedstawię wam moją propozycję.

ROZDZIAŁ

- No dobra - zwrócił się Han do Landa. Przesunął ręką po krawędzi lewej nogi Artoo w poszukiwaniu lepszego uchwytu. - Przygotuj się. Robot coś zaświergotał.

- Przypomina wam, żebyście byli ostrożni - przetłumaczył Threepio. Android stał w pewnej odległości od nich, podrygując nerwowo. - Pamiętajcie, że ostatnim razem...

- Nie upuściliśmy go celowo - warknął Solo. - Jeżeli woli zaczekać na Luke'a tutaj, to proszę bardzo. Artoo ponownie zaświergotał.

- Mówi, że to nie będzie konieczne - oznajmił Threepio z ożywieniem. - Ufa wam bez zastrzeżeń.

- Miło nam to słyszeć - stwierdził Han. Niestety, nie znalazł lepszego uchwytu dla rąk. Przy okazji będzie musiał na to zwrócić uwagę inżynierom z fabryki automatów. - Lando, uwaga: podnoś. Obaj mężczyźni szarpnęli mocno tak, że Hana aż zabolął kark, i wyciągnęli robota z płataniny korzeni, które nie wiadomo, w jaki sposób okręciły się wokół jego kół.

- Gotowe - rzucił Calrissian, kiedy w miarę delikatnie postawili Artoo na zasypanym liśćmi dnie koryta wyschłego strumienia. -No i jak on się czuje? Teraz wyjaśnienia trwały nieco dłużej.

- Mówi, że tym razem doszło jedynie do niewielkich uszkodzeń - rzekł Threepio. - Głównie natury kosmetycznej.

- Co znaczy, że rdzewieje - mruknął Solo. Odwrócił się i roztarł sobie kark. Pięć metrów w dół strumienia Skywalker za pomocą miecza świetlnego ostrożnie wycinał przejście w gąszczu grubych lian, które zagradzały im drogę. Obok niego przycupnęli Chewbacca i Mara; trzymali w pogotowiu broń, gotowi w każdej chwili strzelić do podobnych do węży stworzeń, które niekiedy wyskakiwały nagle, gdy dosięgło ich ostrze miecza świetlnego. Podobnie jak i o innych rzeczach na Waylandzie, dowiedzieli się o nich dopiero tutaj. Otrzepując z rąk ostatnie kawałki kwaśnego korzenia drzewa, Lando podszedł do Luke'a.

- Zabawne miejsce, co? - skomentował.

- Powinienem być bliżej podprowadzić „Sokoła” - utyskiwał Han. - Albo przesunąć go w głąb planety, gdy się okazało, że nie możemy użyć skuterów powietrznych.

- Gdybyś to zrobił, to teraz, zamiast walczyć z kwaśnymi korzeniami i żyjącymi na pnączach węzami, musielibyśmy pewnie uciekać przed patrolami Imperium - zauważył Calrissian. - Osobiście uważam, że to był dobry wybór.

- Chyba rzeczywiście - przyznał niechętnie Solo. Gdzieś w pobliżu rozległ się jakiś skomplikowany gwizd, któremu zaraz odpowiedziało następne gwizdnięcie. Zerknął w tamtym kierunku, ale zza płataniny krzaków, lian i dwóch poziomów drzew niczego nie dostrzegł.

- Nie wydaje mi się, żeby to był drapieźnik - rzucił Lando.

- Może masz rację. - Han obejrzał się przez ramię: Threepio prze mawiał łagodnie do Artoo, oglądając jego świeże oparzenia kwasem. - Hej, Niziutki, włącz swoje czujniki. Artoo posłusznie wyciągnął swoją małą antenkę i zaczął ją obracać na wszystkie strony. Przez dłuższą chwilę cmokał coś do siebie, po czym zaświergotał głośno.

- Mówi, że w promieniu dwudziestu metrów nie ma żadnych dużych zwierząt - przekazał Threepio. - A dalej...

- Nie może nic odczytać z powodu gęstej roślinności - dokończył za niego Solo. Od jakiegoś czasu każda rozmowa z robotem wyglądała tak samo. - Dzięki. Artoo schował swój czujnik i powrócił do przerwanej rozmowy z Threepiem.

- Jak myślisz, gdzie one wszystkie się podziały? - zagadnął Calrissian.

- Drapieźniki? - Han potrząsnął głową. - Nie mam zielonego pojęcia. Może poszły tam, gdzie są tubylcy. Lando rozejrzał się wokół, oddychając cicho przez otwarte usta.

- Han, to mi się nie podoba. Do tej pory już na pewno wiesz, że tu jesteśmy. Na co oni czekają?

- Może Mara myliła się, co do nich - podsunął Solo z powątpiewaniem w głosie. - Może Imperium miało już dosyć dzielenia planety z kimś innym i zlikwidowało ich. 277

- Cóż za pocieszająca myśl - zauważył Calrissian. - Ale to w dalszym ciągu nie tłumaczy, dlaczego drapieźniki nas ignorują od dwóch i pół dnia.

- Istotnie - zgodził się Han. Czuł, że Lando miał rację: ktoś ich cały czas obserwował. Wyraźnie to czuł. Ktoś albo coś. - Może te, które ocalały w pierwszym starciu, dały znać pozostałym, by zostawiły nas w spokoju.

- Te zwierzaki były głupsze niż bryły kamienia i dobrze o tym wiesz - prychnął Lando.

- Tak sobie tylko pomyślałem - wzruszył ramionami Solo. Widoczna przed nimi zielona poświata zgasła; to Lukę zgasił miecz świetlny.

- Chyba da się już przejść - poinformował przyjaciół. - Zdołaliście wyciągnąć Artoo?
- Tak, z nim wszystko w porządku - oznajmił Han, podchodząc do Skywalkera. - Jakież węże?
- Tym razem nie. - Jedi wskazał mieczem świetlnym jedno z drzew rosnących przy brzegu strumienia. - Ale wydaje mi się, że ledwie co uniknęliśmy walki z kolejną grupą drapieżnych ptaków. Solo spojrział we wskazanym kierunku. Na jednej z niższych gałęzi znajdowało się gniazdo wielkości sporego talerza, wykonane z gliny i trawy. Poprzedniego dnia Threepio niechcący potrącił takie gniazdo i Chewbacca wciąż jeszcze leczył rany, które te drapieżne ptaki zdołały zadać jego lewemu ramieniu, nim je odpędzono za pomocą blastera i miecza świetlnego.
- Tylko nie dotykaj! - rzucił ostrzegawczo.
- Wszystko w porządku: gniazdo jest puste - uspokoił go Luke, dotykając trawiastego talerza koniuszkiem miecza świetlnego. - Musiały się gdzieś stąd wyprowadzić.
- Tak... - powiedział wolno Han i zrobił krok w stronę gniazda. - Rzeczywiście.
- Coś nie w porządku? Solo popatrzył na przyjaciela.
- Nie - rzucił, starając się, by zabrzmiało to normalnie. - Wszystko dobrze. A dlaczego pytasz? Stojący za plecami Skywalkera Chewbacca warknął głucho.
- Ruszajmy stąd - dodał Han, nim Jedi zdążył otworzyć usta. - Chciałbym ująć jeszcze kawałek drogi, nim się ściemni. Luke, ty i Mara weźmiecie roboty i pójdziecie przodem. Chewie i ja będziemy osłaniać tyły. Jedi nie dał się zwieść zapewnieniom Hana - można to było wyczytać z jego twarzy - ale jedynie skinął głową.
- Dobrze. Threepio, idziemy. Ruszyli w dół strumienia i android - jak zwykle - cały czas zrzedził. Lando posłał Hanowi przeciągłe spojrzenie, ale bez sprzeciwu podążył za nimi. Stojący obok Hana Chewbacca zaryczał pytająco.
- Musimy się po prostu dowiedzieć, co się stało z tymi drapieżnymi ptakami - poinformował go Han, spoglądając na gniazdo. Nie wyglądało na zniszczone, na pewno nie było atakowane przez drapieżne zwierzę. -No, Chewie, umiesz wyczuć świeże mięso z odległości dziesięciu metrów, i to pod wiatr. Zaczynij wąchać. Okazało się, że umiejętności łowieckie Wookiego nie były aż tak bardzo potrzebne. Jeden z ptaków leżał pod krzakiem zaraz po drugiej stronie drzewa; skrzydła miał szeroko rozpostarte i sztywne. Nie żył.
- Co o tym myślisz? - spytał Solo, kiedy Chewbacca ostrożnie podniósł martwego ptaka. - Jakiś drapieżnik? Chewie zamruczał przecząco. Wysunął służące mu do wspinaczki szpony i delikatnie zbadał nimi ciemnobrunatną plamę, widoczną na piórach tuż pod lewym skrzydłem. Znalazł nacięcie i ostrożnie wsunął w nie jeden szpon. Po chwili warknął głucho.
- Jesteś pewien, że to był nóż? - zdziwił się Han, oglądając ranę. - A nie jakiś szpon? Wookie zamruczał ponownie, zwracając przy tym uwagę na oczywisty dowód: gdyby ptaka zabiło jakieś drapieżne zwierzę, to zostałyby z niego tylko pióra i kości.
- Racja - przyznał cierpko Solo, kiedy Chewbacca z powrotem położył martwego ptaka pod krzakiem. - No, to chyba musimy przestać się łudzić, że tubylcy nas jeszcze nie zauważyli. Zresztą muszą być gdzieś blisko. Chewie burkliwym tonem zadał narzucające się pytanie.
- Nie mam pojęcia - odparł Han. - Może chcą nas jeszcze wybadać. Albo czekają na posiłki. Wookie zaproponował mruknięciem i wskazał na ptaka. Solo przyjrzał mu się ponownie: rzeczywiście, sposób, w jaki zadano ranę, świadczył o tym, że w momencie śmierci ptak miał rozpostarte skrzydła. A to oznaczało, że zabito go w locie. Jednym pchnięciem.
- Masz rację, oni nie potrzebują żadnych posiłków - stwierdził. - Chodź, musimy dołączyć do pozostałych. Solo chciał, żeby szli aż do zapadnięcia zmroku, ale po kolejnym starciu między robotem astronawigacyjnym Skywalkera a gąszczem kwaśnych pnączy dał za wygraną i zarządził postój.

- To co zrobimy? - spytała Mara, kiedy Lukę położył obok niej swój plecak i rozprostował zmęczone ramiona. - Będziemy musieli go nieść?

- Myślę, że nie - odparł Jedi. Obejrzał się za siebie, gdzie Calrissian i Wookie położyli Aorto na boku i majstrowali coś przy jego kołach. - Chlewie uważa, że zdoła go doprowadzić do porządku.

- Powinieneś go zamienić na coś, co umie chodzić nie tylko po płaskim metalowym pokładzie.

- Czasem miałbym ochotę to zrobić - wyznał Skywalker, siadając obok dziewczyny. - Ale tak w ogóle Artoo radzi sobie całkiem nieźle. Szkoda, że nie widziałaś, jaki kawał pustyni przemierzył pierwszej nocy, kiedy go dostałem. Mara popatrzyła na Hana, który rozkładał swój materac, kątem oka zerkając na otaczający ich las.

- Może raczysz mi powiedzieć, o czym tam z tyłu rozmawialiście z Solo? Czy też jest to coś, o czym nie powinnam wiedzieć?

- Han i Chewie znaleźli jednego drapieżnego ptaka z tego pustego gniazda - odparł Lukę. - Z tego w pobliżu drugiego gąszczu lian, przez który musieliśmy się dzisiaj przedzierać. Ptak został zabity nożem. Jade nerwowo przełknęła ślinę. Przypomniały jej się opowieści, które słyszała, gdy była tu z Imperatorem.

- To pewnie Mynerysze - stwierdziła. - Cieszyli się opinią mistrzów w walkach na noże.

- A czy mieli jakiś określony stosunek do Imperium, negatywny bądź pozytywny?

- Już ci mówiłam, że nie lubili ludzi, i to od czasu przybycia pierwszych kolonistów, na długo przed tym, jak Imperator znalazł ich planetę. Spojrzała na Luke'a, ale on nie patrzył w jej stronę. Skupiony, wpatrywał się przed siebie ze zmarszczonym czołem. Mara wzięła głęboki oddech, starając się jak najdalej sięgnąć Mocą na zewnątrz. Odgłosy i zapachy lasu przeniknęły łagodnie do jej umysłu, wplatając się w rytm tętniącego wokół życia. Drzewa, krzewy, zwierzęta, ptaki... I nagle, na krawędzi świadomości, dostrzegła czyjś umysł. Obcy nieprzenikniony... ale jednak umysł.

- Jest ich czterech - powiedział cicho Skywalker. - Nie, pięciu. Dziewczyna zmarszczyła brwi, koncentrując się na tym jednym odczuciu. Skywalker miał rację: był tam więcej niż jeden umysł. Ale Mara nie umiała wyłowić każdego z nich z osobna.

- Spróbuj poszukać jakichś cech charakterystycznych - szepnął Lukę. - Tego, na ile te umysły różnią się między sobą. To najlepszy sposób, by je zanalizować. Jade zastosowała się do jego wskazówek i z niejakim zdziwieniem odkryła, że Skywalker miał rację- Wyłowiła drugi umysł, potem trzeci... Ale niespodziewanie straciła z nimi kontakt. Spojrzała ostro na Luke'a.

- Nie wiem-powiedział wolno, wciąż się koncentrując. -Nastąpił chwilowy przypływ uczucia, i nagle odwrócili się i odeszli.

- Może nie wiedzieli, że tu jesteśmy - podsunęła Mara niepewnie, od razu uświadamiając sobie, jak bardzo jest to nieprawdopodobne. Jako że Wookie ryczał na wszystko, co się do nich zbliżyło, a robot dyplomatyczny jęczał z każdego innego powodu, było doprawdy cudem, że cała planeta nie została jeszcze zawiadomiona o ich przybyciu.

- Nie, na pewno wiedzieli - rzekł Jedi. - Mówiąc prawdę, jestem niemal pewien, że właśnie szli do nas, kiedy... - Potrząsnął głową. - Chciałem powiedzieć, że zostali spłoszeni. Ale to nie ma najmniejszego sensu.

- Może ściągnęliśmy na siebie jakiś imperialny patrol? - zasugerowała Jade, spoglądając na podwójną warstwę koron drzew nad ich głowami.

- Nie. - Skywalker był, co do tego przekonany. - Gdyby w pobliżu znajdowali się jacyś inni ludzie, wiedzieliby o tym.

- Założę się, że to ci przychodzi bez kłopotu - mruknęła dziewczyna.

- To tylko kwestia ćwiczeń. Mara spojrzała na niego spod oka. Wyczuła w jego głosie jakąś dziwną nutę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic szczególnego - odparł, wykrzywiając nieznacznie wargi. - Tylko... pomyślałem o bliźniętach Leii. Uświadomiłem sobie, że kiedyś będę musiał przyjąć na siebie rolę ich nauczyciela.

- I nie wiesz, kiedy masz to zrobić? Lukę potrząsnął głową.

- Martwię się o to, czy w ogóle będę umiał je wyszkolić.

- A co ty będziesz miał do zrobienia? - wzruszyła ramionami Jade. - Nauczysz je, jak czytać w umysłach innych ludzi, przesuwając przedmioty i posługiwać się mieczem świetlnym. Przecież chyba to samo robiłeś ze swoją siostrą?

- Tak - przyznał. - Ale wtedy myślałem, że to już cała wiedza. A to dopiero początek. Będą silne Mocą, ale ta siła pociąga za sobą odpowiedzialność. Jak mam im to przekazać? Jak nauczyć je mądrości, współczucia i tego, że nie wolno im nadużywać Mocy? Lukę patrzył przed siebie, na las, i Mara miała okazję przyjrzeć mu się z profilu. W jego ustach to nie była jedynie słowna zabawa: Skywalker mówił poważnie. Zobaczyła w nim teraz heroicznego, szlachetnego, nieomylnego Jedi, jakiego wcześniej nie знаła.

- A jak w ogóle można nauczyć kogoś takich rzeczy? - powiedziała. - Chyba tylko własnym przykładem. Przez chwilę Lukę zastanawiał się nad tym, po czym niechętnie skinął głową.

- Chyba tak. Jakie szkolenie Jedi odebrałaś z rąk Imperatora? MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

- Wystarczające - rzuciła krótko dziewczyna. Starła się zagłuszyć w sobie dźwięk pobrzmiwających w jej umyśle słów i zdławić chwilowe uczucie nienawiści, które się wraz z nimi pojawiło. - Nauczył mnie wszystkich podstaw. A co, chcesz sprawdzić moją mądrość, czy współczucie?

- Niczego nie będę sprawdzał. - Zawahał się na chwilę. - Ale skoro od góry Tantiss dzieli nas jeszcze kilka dni drogi, może warto by było przejść to szkolenie od nowa. No wiesz, taka swoista powtórka. Mara spojrzała na niego i przeszedł ją lodowaty dreszcz. Skywalker mówił o tym zbyt niedbale...

- Czy widziałeś może, co nas czeka? - spytała podejrzliwie.

- Nie - odparł, ale w jego głosie znowu było wahanie. - Kilka scen i obrazów, które nie miały sensu. Po prostu wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyś jak najbardziej uzbroiła się w Moc, nim tam wejdziemy. Odwróciła od niego głowę. MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

- Przecież ty tam będziesz - zauważyła. - Dlaczego jeszcze ja mam być silna Mocą?

- Żebyś mogła wypełnić to, co będzie twoim przeznaczeniem - oznajmił cicho, ale stanowczo. - Do zachodu słońca mamy jeszcze jakąś godzinę. Lepiej zacznijmy od razu. Wedge Antilles zajął swoje miejsce na długiej półkolistej ławie, obok innych dowódców dywizjonów myśliwskich. Rozejrzał się po centrum dowodzenia krążownika gwiazdowego. Już zgromadził się spory tłum, a wciąż przybywały nowe osoby. Ackbar musiał widocznie mieć w planie coś wielkiego. - Cześć, Wedge - rozległ się nad jego uchem czyjś głos. - Fajnie, że cię widzę. Antilles odwrócił się, mile zdziwiony. Obok niego usiadł Pash Kraken, syn legendarnego generała Airena Krakena, jeden z najlepszych dowódców dywizjonów myśliwców.

- Pash, co za niespodzianka! Myślałem, że jesteś w sektorze Atrivis i pilnujesz centrum łączności na obrzeżach Nowej Republiki.

- Masz nieaktualne informacje - stwierdził Kraken ponuro. - Generis padło trzy dni temu.

- Nie wiedziałem o tym - rzucił Wedge przepaszająco, wpatrując się w kolegę. - Duże straty?

- Tak. Przejęli całe centrum łączności, i to prawie nietknięte, a po nadto większość składów z zaopatrzeniem dla floty z tego sektora. Za to nie zostawiliśmy im żadnych statków, z których mogliby zrobić jakiś użytek. A wycofując się stamtąd, sprawiliśmy im tyle kłopotu, że generał Kryli zdołał wydostać ze szponów Imperium Travię Chan i jej ludzi.

- No, to już coś - zauważył Antilles. - Jak was pokonali: dzięki przewadze liczebnej czy zastosowaniu odpowiedniej taktyki?

- Jedno i drugie - skrzywił się Pash. - Nie sądzę, by Thrawn był tam osobiście, ale niewątpliwie zaplanował cały atak. Mówię ci, Wedge, te jego klony przyprawiają mnie o gęsią skórę jak nic innego w całej galaktyce. Walczyć z nimi, to zupełnie tak, jakby się walczyło ze szturmowcami: to samo wściekłe poświęcenie, ta sama precyzja walki chłodnych automatów. Jedyna różnica polega na tym, że one są teraz wszędzie, a nie tylko w oddziałach specjalnych.

- Racja - przytaknął Antilles. - W czasie pierwszego ataku na Qat Chrystak musieliśmy pokonać dwa dywizjony myśliwców pilotowanych przez te dziwadła. Nie miałem pojęcia, że imperialne myśliwce nadają się do takich sztuk, jakie te klony tam wyprawiały. Pash pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Generał Kryli sądzi, że na wzorce do klonowania Thrawn wybiera swych najlepszych ludzi.

- Musiałyby być głupi, żeby tego nie robić. A co z Varthem? Udało mu się uciec?

- Nie wiem - wyznał Kraken. - W czasie odwrotu straciliśmy z nim kontakt. Ale ciągle mam nadzieję, że zdołał się przebić przez okrażenie z drugiej strony i dołączył do któregoś z oddziałów na Fedje czy Ketaris. Wedge'owi stanęło przed oczami tych parę sytuacji, kiedy posprzeczał się z Varthem; zwykle chodziło o części zapasowe czy czas naprawy. Varth był zgorzkniałym, despotycznym człowiekiem, ale posiadał jeden talent, dla którego wszyscy tolerowali jego wady: choć posyłał swoje myśliwce do różnych niebezpiecznych akcji, to zawsze umiał je odzyskać.

- Na pewno się z tego wygrzebie - powiedział Antilles. - Jest zbyt przekorny, by stracić maszynę i zginać tylko dlatego, że tak się spodobało Imperium.

- Możliwe. -Pash wskazał głową środek pomieszczenia. -Wygląda na to, że zaraz zaczynamy. Gwar rozmów ucichł. Wedge odwrócił się. Przy centralnej tablicy holograficznej stał admirał Ackbar, a obok niego generał Krix Madine i pułkownik Bren Derlin.

- Oficerowie Nowej Republiki - uroczyście powitał zebranych Ackbar i powiódł po całej sali swymi ogromnymi oczami Kalamarianina. - Żadnemu z was nie trzeba przypominać o tym, że w ciągu ostatnich tygodni wojna przeciwko pozostałościom Imperium z tego, co nazywaliśmy akcjami porządkowymi, przerodziła się w walkę o nasze przetrwanie. W chwili obecnej wciąż jeszcze mamy przewagę pod względem środków technicznych i osobowych; ale lada moment sytuacja może ulec zmianie. Trudniejsze do uchwycenia, ale nie mniej ważne jest to, w jaki sposób wielki admirał Thrawn próbuje osłabić nasze zdecydowanie i zachwiać morale. Już najwyższy czas, byśmy dali Imperium zdecydowany odpór. - Spojrzał na Madine'a. - Generale Madine.

- Zakładam, że wszyscy panowie słyszeli o nowatorskiej formie oblężenia, jaką Imperium zastosowało wokół Coruscant - zaczął Madine, delikatnie uderzając o lewą dłoń trzymaną w prawej ręce wskazówką. - Ludzie zajmujący się usuwaniem zamaskowanych asteroid poczynili pewne postępy; ale żeby naprawdę mogli dokończyć tę pracę, potrzebują krystalicznego eliminatora pola grawitacyjnego. I my mamy za zadanie im go dostarczyć.

- To jakaś farsa - mruknął Pash.

- Cicho - odszepnął Wedge.

- Wywiad zlokalizował trzy takie urządzenia - ciągnął Madine. - Oczywiście wszystkie znajdują się na terenach kontrolowanych przez Imperium. Najłatwiej byłoby wydostać eliminator z Tangrene, gdzie urządzenie to pomaga Imperium strzec nowej potężnej bazy, która właśnie tam powstaje. W pobliżu kręci się wiele statków towarowych i jedno stek pomagających w budowie, ale jest tam stosunkowo mało pojazdów bojowych. Do załóg statków towarowych zdołaliśmy przemyścić kilku naszych ludzi, którzy meldują, że z powodzeniem można zaatakować to miejsce.

- Cała ta sytuacja bardzo przypomina sytuację pod Endorem - zauważył jakiś oficer siedzący na ławce sąsiadującej z ławką Wedge'a. - Skąd możemy mieć pewność, że to nie pułapka?

- Mówiąc prawdę, jesteśmy niemal pewni, że to właśnie jest pułapka - oznajmił Madine, uśmiechając się nieznacznie. - i dlatego zamiast na Tangrene polecimy właśnie tu. Nacisnął jakiś guzik i ze środka stołu wyłonił się projektor; w powietrzu ponad nim ukazał się jakiś schemat. -To stocznia imperialna na Bilbringi - wyjaśnił. -i wiem, co sobie wszyscy w duchu myślicie: stocznia jest duża, dobrze broniona i co też, u licha, to nasze dowództwo sobie wyobraża? Odpowiedź jest prosta: stocznia jest duża, dobrze broniona, ale jednocześnie jest to ostatnie miejsce, gdzie Imperium mogłoby się spodziewać naszego ataku.

- Co więcej, gdyby nam się powiodło, to w znacznym stopniu ograniczylibyśmy imperialne możliwości budowania nowych statków - do dał Ackbar. - Obalilibyśmy także mit o nieomyślności wielkiego admirała Thrawn'a. Zakładając oczywiście, że Thrawn jest w ogóle omyślny. Wedge przez chwilę się zastanawiał, czy nie powiedzieć tego głośno, ale w końcu się rozmyślił. Pewnie wszystkim innym też to już przyszło do głowy.

- Cała operacja będzie się składała z dwóch części - podjął Madine. - Ponieważ nie chcemy całkowicie zawieść sił imperialnych, które szykują na nas pułapkę na Tangrene, pułkownik Derlin będzie miał za zadanie stworzyć wrażenie, że istotnie to miejsce jest celem naszego ataku. A w tym czasie my we dwóch z admirałem Ackbarem zajmiemy się organizacją właściwego rajdu na Bilbringi. Czy są może jakieś pytania? Przez chwilę panowało milczenie. Potem Pash podniósł rękę.

- A co się stanie, jeśli Imperium się zorientuje, że planujemy atak na Bilbringi, a kompletnie przegapi przygotowania prowadzone na Tangrene?

- Bylibyśmy tym niezmiernie rozczarowani - uśmiechnął się skąpo Madine. - No dobrze, panowie, musimy zorganizować zespół uderzeniowy. Bierzmy się do pracy. W sypialni było ciemno, ciepło i cicho; zza okna dochodziły nikłe odgłosy spowitego nocą miasta, a z drugiego końca pokoju jeszcze cichszy szmer oddechów śpiących dzieci. Leia cała zamieniła się w słuch i wpatrując się w sufit, starała się zrozumieć, co ją obudziło.

- Czy mogę w czymś pomóc, lady Vader? - dał się słyszeć dochodzący z cienia koło drzwi cichy głos Noghriego.

- Nie, Mobvekharze, dziękuję- odparła księżniczka. Nie wydała żadnego dźwięku, a zatem Noghri musiał zauważyć zmianę w jej oddechu. - Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

- Wcale mnie pani nie przestraszyła - zapewnił ją Mobvekhar. - Czy coś panią niepokoi?

- Sama nie wiem - stwierdziła. Teraz wszystko zaczęło j ej się przy pominąć. - Miałam... Nie, to właściwie nie był sen. Bardziej podświadome widzenie. Jakby szukający swego miejsca kawałek układanki.

- Wie pani, co to był za kawałek?

- Nawet nie wiem, z której układanki - potrząsnęła głową Leia.

- Czy miało to jakiś związek z oblegającymi nas kamieniami na niebie? - drażył Noghri. - Czy z misją, w której bierze udział pani małżonek i syn lorda Vadera?

- Nie jestem pewna - rzekła Organa Solo. Zmarszczyła czoło, sta rając się skoncentrować na otaczającej ją ciemności i przebiegła w myślach techniki wzmocnienia krótkotrwałej pamięci, których nauczył ją Lukę. Powoli na wpół zapomniane obrazy z jej wizji zaczęły nabierać ostrości... - To było coś, co powiedział Lukę. Nie. To było coś, co po wiedziała Mara. O czymś, co Lukę zrobił. Oni jakoś do siebie pasują... Nie wiem, w jakim sensie... ale wiem, że to jest ważne.

- W takim razie znajdzie pani odpowiedź - rzucił Mobvekhar z prze konaniem. - Pani jest lady Vader, Mai'ary'ush lorda Vadera. Zdoła pani osiągnąć każdy cel, który sobie pani wyznaczy. Leia uśmiechnęła się w ciemności. To nie były tylko puste słowa. Mobvekhar i inni Noghri naprawdę w to wierzyli.

- Dziękuję- powiedziała. Wzięła głęboki oddech i poczuła, jak wstępują w nią nowe siły. Tak, na pewno jej się uda. Jeśli już nie z innego powodu, to choćby dlatego, by usprawiedliwić zaufanie, jakie pokładają w niej Noghri. W drugim końcu pokoju wyczuła niepokój i rosnący głód, co oznaczało, że bliźnięta niebawem się obudzą. Sięgnęła po swoją podomkę, która leżała obok częściowo wsuniętego pod poduszkę miecza świetlnego. Bez względu na to, jak ważny jest ów kawałek układanki, na który właśnie się natknęła, musiał poczekać do rana.

ROZDZIAŁ 20

Ostatni ocalały statek rebeliancki drgnął w pseudoruchu i zniknął w nadprzestrzeni... Po trzydziestu czterech godzinach walki serce sektora Kanchen znalazło się wreszcie w rękach Imperium.

- Proszę zwolnić flotę z pełnej gotowości bojowej, kapitanie - rozkazał Thrawn z ponurą satysfakcją w głosie, wyglądając przez iluminator. - Niech statki zajmą takie pozycje, by mogły bombardować całą planetę, a kapitan Harbid niech przekaże rządowi XaFel nasze warunki kapitulacji.

- Tak jest, panie admirale - odparł Pellaeon, wstukując rozkaz do komputera. Thrawn obrócił się nieco w jego stronę.

- Proszę też przesłać na statki jeszcze jedną wiadomość -dodał. - Dobra robota. Kapitan uśmiechnął się pod nosem. Tak, wielki admirał naprawdę wiedział, jak postępować ze swymi ludźmi.

- Tak jest -rzucił, i nadał ostatnią wiadomość. Na jego stanowisku zapaliła się lampka: właśnie odkodowano jakiś priorytetowy meldunek. Pellaeon przywołał tekst na komputerze i przebiegł go wzrokiem...

- Raport z Tangrene? - spytał Thrawn, nie odrywając oczu od leżącej pod nimi bezbronnej planety.

- Tak, admirale. Rebelianci przysłali do układu dwa kolejne transportowce. Czujniki dalekiego zasięgu sugerują, że po drodze zostawiły na obrzeżach układu jakiś ładunek, ale jak dotąd wywiad nie zdołał ustalić, co to było i gdzie się znajduje.

- Niech nie drażną tej sprawy - polecił Thrawn. -Nie chcemy spłoszyć naszej zwierzyny. Pellaeon skinął głową, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić temu, jak wielki admirał doskonale umie czytać w umysłach swych przeciwników. Jeszcze dwadzieścia godzin temu był gotów przysiąc, że Rebelianci nie zdecydują się zaangażować tylu sił w bitwie tylko po to, by przejść krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego. Ale wyglądało na to, że tak właśnie zamierzają postąpić.

- Napływają także raporty, że rebelianckie statki ukradkiem przemykają się w okolice Tangrene - dodał, ponownie przebiegając wzrokiem otrzymany meldunek. - Statki wojenne, myśliwce, jednostki wspierające: cały wachlarz pojazdów.

- Dobrze -rzucił Thrawn. Ale w jego głosie, a także w sposobie, w jaki splótł ręce za plecami, dało się wyczuć pewne roztargnienie i niepokój. Na stanowisku Pellaeona pojawiła się kolejna wiadomość: rząd XaFel zaakceptował warunki Harbida.

- Meldunek ze „Strzały Śmierci”, admirale - poinformował kapitan. - Xa Fel się poddało.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Thrawn. - Proszę zawiadomić kapitana Harbida, że ma się zająć operacją lądowania i rozmieszczeniem oddziałów wojskowych. A pan, kapitanie, na czas zabezpieczenia całego systemu obronnego planety przegrupuje flotę w szyk defensywny

- Tak jest. -Pellaeon utkwiał wzrok w plecach przełożonego. -Czy coś jest nie w porządku, panie admirale?

- Nie wiem - powiedział wolno Thrawn. - Będę w mojej prywatnej kabinie dowodzenia, kapitanie. Proszę przyjść do mnie za godzinę. - Odwrócił się i posłał Pellaeonowi skąpy uśmiech. - Może wtedy będę już znał odpowiedź na to pytanie.

Gillespi skończył czytać i podał notes elektroniczny siedzącemu po drugiej stronie stołu Mazzicowi.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Karrde - rzucił na tyle głośno, by inni mogli go usłyszeć pomimo panującego w kawiarni gwaru. - A tak w ogóle skąd ty bierzesz te informacje?

- Ze świata - odparł szef przemysłowców, robiąc szeroki gest ręką.

- To mi niewiele wyjaśnia - poskarżył się Gillespi.

- Chyba o to właśnie chodziło - stwierdził z ironią Mazzic, oddając notes Karrde'owi.

- Przyznaję, to bardzo interesujące. Pytanie tylko, czy możemy w to wierzyć.

- Sama informacja jest pewna - rzekł szef przemysłowców. - Może my natomiast dyskutować nad moją interpretacją tego faktu.

- Nie wiem - potrząsnął głową Mazzic. - To mi wygląda na jakiś desperacki krok.

- Nie nazwałbym go desperackim - zaproponował Karrde. - Powie działbym raczej, że jest to powrót do śmiałych posunięć, z jakich zawsze słychać Sojusz Rebeliantów. Osobiście uważam, że i tak za późno zdecydowali się na ten krok: nie powinni byli tak długo zajmować pozycji defensywnych.

- To nie zmienia faktu, że jeśli im sienie powiedzie, to stracą mnóstwo statków - zauważył Mazzic. - Jeżeli wierzyć tym danym, to jest to liczba równa stanowi liczebnemu floty z całych dwóch sektorów.

- To prawda - przyznał szef przemysłowców. - Ale jeśli im się powiedzie, to odniosą nad Thrawn'em znaczące zwycięstwo, co zdecydowanie podniesie ich morale. Nie wspominając już o zdobyciu krystalicznego eliminatora pola grawitacyjnego.

- Tak, to druga strona medalu - włączył się do rozmowy Gillespi. - A tak właściwie, to po co im ten eliminator?

- Przypuszczalnie ma to jakiś związek z tym, że od kilku dni Coruscant jest zamknięte dla ruchu cywilnego - wyjaśnił Karrde. - Ale nie wiem nic więcej na ten temat. Mazzic opadł na oparcie krzesła i zmierzył szefa przemysłowców przenikliwym spojrzeniem.

- Odłóżmy na chwilę kwestię samego urządzenia i tego, na co jest im ono potrzebne - powiedział. - Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić w tej sytuacji? Karrde wzruszył ramionami.

- Wygląda mi na to, że Nowa Republika za wszelką cenę chce zdobyć taki krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego. Jeśli Republikanie są gotowi o niego walczyć, to zakładam, że jeszcze chętniej by za niego zapłacili.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził Mazzic. - To co, chcesz, żebyśmy się pojawili na Tangrene, nim oni tam dotrą?

- Niezupełnie - pokręcił głową szef przemysłowców. - Pomyślałem sobie, że kiedy wszyscy będą zajęci walką na Tangrene, my moglibyśmy zwinąć taki eliminator z Bilbringi. Uśmiech znikł z twarzy Mazzica.

- Chyba żartujesz...?

- To wcale nie jest zły pomysł - zauważył Gillespi, powoli mieszając ruchami kubka resztki swego napoju. - Wślizgniemy się tam, nim się zacznie atak, zgarniemy urządzenie i uciekniemy.

- W obecności połowy floty imperialnej? - ostudził go Mazzic. - Daj spokój, widziałem, jaką siłą ognia tam dysponują.

- Podejrzewam, że będą tam mieli jedynie szczątkową obronę - rzekł Karrde, unosząc wymownie brwi. - Chyba że naprawdę uważasz,

289 19 - Ostatni rozkaz iż Thrawn nie przewidzi ataku Rebeliantów na Tangrene i się do niego odpowiednio nie przygotowuje.

- Racja - przyznał Mazzic. - Imperium nie może sobie pozwolić na to, by Nowa Republika odniosła tam nad nim zwycięstwo.

- Zwłaszcza na Tangrene - pokiwał głową szef przemysłowców. - To właśnie tam generał Bel Iblis zdołał je kiedyś pokonać. Mazzic mruknął coś pod nosem i ponownie

przysunął do siebie notes elektroniczny. Karrde pozwolił mu jeszcze raz w spokoju przeczytać wiadomość i jej analizę, a sam, jakby od niechcienia, rozejrzał się po kawiarni. W pobliżu głównego wejścia Aves i porucznik Gillespiego, Faughn, siedzieli przy jednym ze stolików, skutecznie wtopiwszy się w tłum. W drugim końcu kawiarni, przy tylnych drzwiach, kobieta ochroniarz Mazzica, Szada, odgrywała rolę hostessy flirtującej z Dankinem i Torve'em; całą scenę z przekonującą poządlwością obserwowali dwaj inni ludzie Gillespiego, Rappapor i Oszay. Dodatkowa ochrona, uzbrojona i w każdej chwili gotowa do akcji, zajmowała jeszcze trzy stoliki w różnych miejscach kawiarni. Tym razem żaden z przemytników nie chciał ryzykować w razie pojawienia się wysłanników Imperium.

- To nie będzie proste - odezwał się w końcu Mazzic z przestrożą w głosie. - Thrawn był wściekły z powodu akcji, którą tam przeprowadziliśmy. Prawdopodobnie do tej pory przebudowali już cały system bezpieczeństwa.

- Tym lepiej - stwierdził szef przemytników. - Jeszcze nie znaleźli w nim słabych punktów. Decydujesz się wziąć udział w tej operacji czynnie? Mazzic utkwiał wzrok w notesie elektronicznym.

- Mógłbym się na to zdecydować - mruknął - ale tylko pod warunkiem, że zdołasz się upewnić, kiedy będzie miało miejsce uderzenie na Tangrene. Kiedy zaatakujemy Bilbringi, chciałbym, aby Thrawn był przy najmniej o sto lat świetlnych od nas.

- To nie powinno stanowić większego problemu - rzekł Karrde. - Wiemy, w których układach Nowa Republika gromadzi swoje siły. Po ślę tam paru moich ludzi; trochę powęszą i zobaczymy, co nam to da.

- A jeżeli nie zdołają się niczego dowiedzieć?

- I tak muszę poprosić Ghent'a, aby wciągnął nasna listę płac - uśmiechnął się chytrze szef przemytników. - Dopóki przebywa na Coruscant, mógłby także sprawdzić plany wojenne Nowej Republiki. Przez chwilę Mazzic w milczeniu mierzył go zdumionym spojrzeniem. Potem jego czoło nagle się wygładziło i mężczyzna zaśmiał się cicho.

- Wiesz, Karrde, nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak zgrab nie działał na dwa fronty. Dobra. Wchodzę w to.

- Bardzo się cieszę. A co z tobą, Gillespi?

- Widziałem już klony Thrawn'a w akcji - przypomniał mężczyzna ponuro. - Naturalnie, przyłączam się. A jeśli nam się uda, to może zdołam odzyskać te tereny, które Imperium ukradło mi na Ukio.

- Wstawię się za tobą u władz Nowej Republiki - obiecał szef przemytników. -No dobrze. Zabieram „Szalonego Karrde'a" na Coruscant, ale zostawię tu Avesa, który będzie koordynował działania mojej części grupy uderzeniowej. Kiedy się do niego zgłosicie, przekaze wam plan operacji.

- W porządku - rzucił Mazzic. Wszyscy mężczyźni wstali od stolika. - Wiesz, Karrde, chciałbym być w pobliżu, kiedy Nowa Republika rozszyfruje twoje posunięcia. Bez względu na to, czy dadzą ci medal, czy też cię rozstrzelają, będzie to niewątpliwie wielkie widowisko.

- Sam chciałbym tam wtedy być - uśmiechnął się szef przemytników. - Panowie, życzę wam miłego lotu, i do zobaczenia na Bilbringi. Jaskrawozielona salwa z działa turbolaserowego wystrzeliła w dół z majaczącego w znacznej odległości niszczyciela gwiazdowego. Rozprysnęła się nieco w zetknięciu z niewidocznym polem ochronnym planety, a następnie kawałek dalej pojawiła się znowu, podążając w dół...

- Stop - powiedział admirał Drayson. Taśma zastygła w bezruchu; zatrzymana w kadrze na głównym monitorze mglista smuga ognia laserowego wyglądała nienaturalnie i topornie. - Przepraszam za jakość zapisu w tym miejscu - rzekł Drayson. Podszedł do ekranu i postukał weń cienką wskazówką. - Obrazu zarejestrowanego przez lornetkę nie da się już bardziej poprawić, ponieważ zawodzą algorytmy korygujące. Nie mniej jednak sądzę, że wszyscy widzą, co się tu dzieje. Salwa z niszczyciela gwiazdowego w istocie nie przebija pola planetarnego Ukio. To, co wygląda na kontynuację tej samej

smugi ognia laserowego, tak naprawdę jest drugim strzałem, oddanym z zamaskowanego pojazdu, który znajduje się wewnątrz pola. Leia przyjrzała się niewyraźnemu obrazowi. Dla niej ta interpretacja wcale nie wydawała się taka oczywista.

- Jest pan pewien? - spytała.

- Najzupełniej - odparł Drayson, dotykając wskazówką pustej przestrzeni pomiędzy rozpryskującą się salwą a widoczną dalej smugą zielonego ognia. - Mamy analizę spektrum i energii samych promieni, ale ta luka jest już wystarczającym dowodem. Tu właśnie znajdował się ten drugi statek; sądząc z rozmiarów, najprawdopodobniej był to lekki krążownik klasy Karrak. - Opuścił wskazówkę i powiódł wzrokiem po siedzących wokół stołu osobach. - Innymi słowy: nowa superbroń Imperium jest niczym innym jak tylko niezwykle sprytnym oszustwem. Księżniczka przypomniała sobie spotkanie w apartamencie admirała Ackbara, kiedy to oskarżano go o zdradę.

- Ackbar jakiś czas temu ostrzegwał mnie i Hana, że wielki admirał znajdzie sposób, by użyć przeciwko nam pola maskującego.

- Chyba wszyscy jesteśmy tego samego zdania - pokiwał głową Drayson. - Tak czy inaczej, to powinno położyć kres tej konkretnej sztuczce. Wyślemy alarm do oddziałów naziemnych wszystkich planet: gdyby Imperium jeszcze raz spróbowało zastosować ten manewr, wy starczy jedynie skoncentrować ogień na miejscu, gdzie salwa z działa turbolaserowego rzekomo przenika pole planetarne.

- Oszustwo czy nie, to było jednak imponujące przedstawienie - skomentował Bel Iblis. - Umiejscowienie zamaskowanego statku i synchronizacja strzałów były wprost perfekcyjne. Jak myślisz, Leio: brał w tym udział ten szalony Jedi, z którym Lukę miał tak niemiłe przejścia na Jomarku?

- Chyba nie ma co do tego żadnych wątpliwości - stwierdziła Organa Solo, czując nieprzyjemny dreszcz. - Podobny stopień koordynacji mogliśmy też zaobserwować we wcześniejszych kampaniach Thrawn'a, a wiemy od Mary, że C'baoth i Thrawn współpracują ze sobą. Przywołanie w rozmowie imienia Jadę było błędem. Atmosfera w pokoju nieco ochłodziła i zebrani zaczęli niespokojnie wiercić się na krzesłach. Wszyscy wiedzieli, co kierowało Leią przy podejmowaniu decyzji o uwolnieniu Mary, ale nikt nie popierał tego posunięcia. Bel Iblis jako pierwszy przerwał niezręczne milczenie.

- Skąd otrzymaliśmy ten zapis z lornetki, admirale?

- Od tego przemytnika, Talona Karrde'a - wyjaśnił Drayson, spoglądając wymownie na księżniczkę. - To kolejny człowiek z zewnątrz, który przybył tu, oferując cenne informacje, z których nie było żadnego pożytku.

- To nieuczciwe - rzuciła zapalczywie Leia. - To, że straciliśmy Flotę Katańską, nie było winą Karrde'a. - Utkwiła wzrok w radnym Fey'lyi, który siedział w milczeniu przy stole, odprawiając swoją prywatną, właściwą Botańczykom pokutę. Gdyby Fey'lya nie starał się tak za wszelką cenę przejąć władzy... Ponownie spojrzała na Draysona. - To nie była niczyja wina - dodała cicho, odsuwając od siebie resztki niechęci, jaką czuła do Fey'lyi. Świadomość własnej porażki była dla Botańczyka paraliżująca. Nie mogła pozwolić na to, by owałdnął ją gniew, który uczyniłby to samo z nią.

- Sądzę, że Leia chciała powiedzieć - zaczął Bel Iblis, chrząkając niepewnie - że bez pomocy Karrde'a moglibyśmy stracić więcej niż tylko Flotę Katańską. Bez względu na to, co sobie myślicie o przemytnikach w ogóle czy o Karrdzie w szczególności, jesteśmy jego dłużnikami.

- Ciekawe, że pan to mówi, generale - zauważył Drayson z ironią w głosie. - Karrde najwyraźniej jest tego samego zdania. W zamian za ten zapis i jeszcze parę pomniejszych informacji szpiegowskich podjął całkiem pokaźną sumę ze specjalnego kredytu Nowej Republiki. - Ponownie spojrzął na Leię. - Z kredytu, który, o ile mi wiadomo, otworzył dla niego brat radnej Organy Solo. Dowódca Sesfan, przedstawiciel Ackbara w Radzie, zwrócił na księżniczkę swe ogromne oczy Kalamarianina.

- Jedi Skywalker zatwierdził wypłaty dla przemytnika? - zdumiał się.

- Tak - potwierdził Drayson. - Naturalnie bez niczyjej wiedzy. Oczywiście natychmiast zamkniemy ten kredyt.

- Nic podobnego - odezwała się spokojnie siedząca u szczytu stołu Mon Mothma. - Nieważne, czy Karrde jest oficjalnie po naszej stronie, czy też nie, ale z całą pewnością chce nam pomóc. I dlatego warto go opłacać.

- Ale on jest przemytnikiem - oburzył się Sesfan.

- Han także był przemytnikiem - przypomniała mu Leia. - Podobnie jak kiedyś Lando Calrissian. A obaj zostali generałami.

- Ale najpierw się do nas przyłączyli - odparował Sesfan. - A Karrde nie zdobył się na taki krok.

- To nie ma znaczenia - rzekła Mon Mothma. Jej głos nadal był spokojny, ale niezwykle stanowczy. - Potrzebujemy jak najwięcej sojuszników, wszystko jedno czy zdeklarowanych, czy też niezależnych.

- A może on usiłuje nas wywieść w pole - podsunął Drayson ponuro. - Zdobywa nasze zaufanie takimi rzeczami jak ten zapis z lornetki, żeby móc później przekazywać nam fałszywe informacje. A jednocześnie nieźle na tym zarabia.

- Najpierw musielibyśmy zauważyć przejawy takiej dwulicowości - stwierdziła Mon Mothma. - Ale nie wierzę, by tak było. Luke Skywalker jest rycerzem Jedi... i najwyraźniej ufa temu Karrde'owi. Zresztą w chwili obecnej powinniśmy się raczej skoncentrować na tych aspektach przyszłości, które leżą w naszych rękach. Admirale Drayson, czy ma pan ostatni meldunek dotyczący przygotowań do operacji na Bilbringi?

- Tak - skinął głową Drayson i wyciągnął kartę danych. Wsunął ją do otworu czytnika i w tym samym momencie Leia usłyszała obok siebie ciche pikanie. Winter odpięła od pasa komunikator i półgłosem nawiązała rozmowę. Księżniczka nie usłyszała jej słów, ale wyczuła nagłą zmianę w nastawieniu swej towarzyszki.

- Jakież kłopoty? - spytała szeptem.

- Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? - odezwał się Drayson przesadnie podniesionym głosem. Leia z powrotem odwróciła głowę w jego stronę czując, że się rumieni. Winter odsunęła krzesło i bezszelestnie podeszła do drzwi. Drayson spojrzał na nią groźnie, ale najwyraźniej uznał, że nie warto się w tej sytuacji odwoływać do zwyczajowej zasady posiedzenia zamkniętego. Pod dotykiem Winter drzwi się rozsunęły i czyjaś ręka podała kobiecie kartę danych. Drzwi ponownie się zamknęły... - No? - rzucił admirał nagłaco. - Rozumiem, że ta sprawa nie mogła poczekać?

- Z pewnością mogła - rzekła chłodno Winter, mierząc go wyniosłym spojrzeniem. Wróciła na swoje miejsce i spokojnie usiadła. - Dla pani, Wasza Wysokość - zwróciła się do Leii, wręczając jej kartę danych. - Współrzędne planety Wayland. Po sali przeszedł szmer zdziwienia.

- Nadspodziewanie szybko - zauważył Drayson podejrzliwie. - Miałem wrażenie, że znacznie trudniej będzie znaleźć to miejsce. Księżniczka wzruszyła ramionami, starając się zagłuszyć własny niepokój. Ona też była tego zdania, co admirał.

- Widocznie wszystko poszło łatwiej, niż się spodziewaliśmy.

- Pokaż nam ten materiał - poleciła Mon Mothma. Leia wsunęła kartę do czytnika i przywołała obraz. Na głównym monitorze ukazała się mapa jakiegoś sektora. Obok kilku gwiazd widniały znajome nazwy. W samym centrum, otoczony grupą bezimiennych gwiazd, błysnął czerwienią jeden z układów. Na dole mapy znajdowało się parę danych dotyczących planety i kilka linijek tekstu.

- A zatem to jest gniazdo tego szczonego Imperatora - mruknął Bel Iblis. Pochylił się nieco do przodu, by lepiej widzieć obraz. - Zawsze byłem ciekaw, gdzie on ukrywa te wszystkie interesujące rzeczy, które tajemniczo znikają z oficjalnych składów i magazynów.

- Jeśli to naprawdę jest to miejsce - zauważył burkliwie Drayson.

- Zakładam, że może pani potwierdzić, iż ta informacja rzeczywiście pochodzi od kapitana Solo? - zwróciła się do Winter Mon Mothma. Towarzyszka Leii wahała się przez chwilę.

- Ta wiadomość niezupełnie pochodzi od niego - wyznała.

- Jak to: niezupełnie od niego? - zdumiała się księżniczka. - W takim razie od Luke'a? Twarz Winter lekko drgnęła.

- Mogę jedynie powiedzieć, że źródło jest wiarygodne. Przez chwilę panowało milczenie, gdyż wszyscy starali się jakoś przetrwać to, co usłyszeli.

- Wiarygodne - powtórzyła Mon Mothma.

- Tak. Przewodnicząca Rady spojrzała ukradkiem na Leię.

- Rada nie jest przyzwyczajona do tego, by coś przed nią ukrywa no - stwierdziła. - Chcę wiedzieć, skąd pochodzą te współrzędne.

- Bardzo mi przykro - rzuciła cicho Winter. - To nie jest mój sekret, bym mogła go wyjawić.

- A czyj to jest sekret?

- Tego też nie mogę powiedzieć. Twarz Mon Mothmy pociemniała z gniewu.

- To nie ma znaczenia - wtrącił Bel Iblis, nim zdążyła się odezwać. - A przynajmniej nie w tej chwili. Nawet, jeśli na tej planecie istotnie znaj duje się centrum klonowania, to i tak nic nie możemy z tym zrobić, do póki nie dobiegnie końca operacja na Bilbringi.

- Nie wyślemy im żadnych posiłków? - spojrzała na niego Organa Solo.

- To niemożliwe - mruknął Sefan, potrząsając swą wielką głową Kalamarianina. - Wszystkie dostępne statki i ludzie są już zaangażowani w atak na Bilbringi. Już i tak zbyt wiele rejonów i układów jest poza stawionych bez ochrony.

- Zwłaszcza że nie mamy nawet pewności, czy to rzeczywiście jest właściwe miejsce - dodał Drayson. - Równie dobrze może to być zastawiona przez Imperium pułapka.

- To nie jest żadna pułapka- zaoponowała żywo księżniczka. - Mara już nie pracuje dla Imperium.

- To tylko pani zdanie...

- To też nie ma znaczenia - przerwał mu Bel Iblis, chcąc położyć kres narastającej kłótni. - Leio, proszę spojrzeć na dół. Wszystko wskazuje na to, że udało im się wyładować niepostrzeżenie. Czy naprawdę chciałabyś zaprzepaścić ten element zaskoczenia, wysyłając za nimi kolejny statek? Księżniczka poczuła nerwowy skurcz w żołądku. Niestety, senator miał rację.

- W takim razie może należałoby odłożyć atak na Bilbringi? - zasugerował Fey'lya. Leia spojrzała na niego ze zdziwieniem, niejasno zdając sobie sprawę z tego, że inni robią to samo. Praktycznie Botańczyk zabrał głos po raz pierwszy od czasu, gdy jego starania o przejęcie władzy zakończyły się tak niechlubnie w trakcie bitwy o Flotę Katańską.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę, radny Fey'lyo - oznajmiła Mon Mothma. - Abstrahując już od tego, że musielibyśmy wstrzymać wszystkie przygotowania, uważam, iż przede wszystkim konieczne jest zlikwidowanie tych zamaskowanych asteroid, które wiszą nam nad głowami.

- Dlaczego? - nie dawał za wygraną Fey'lya. Futro na karku i na ramionach nieznacznie zafalowało mu z podniecenia. - Chroni nas pole planetarne. Nasze zapasy wystarczą na wiele miesięcy. Możemy się swobodnie porozumiewać z całym obszarem Nowej Republiki. Czyżby chodziło tylko o to, że nie chcemy się wydawać słabi i bezbronni?

- Nowa Republika przywiązuje dużą wagę do tego, jak nas postrzegają inni - przypomniała mu przewodnicząca Rady -1 myślę, że słusznie. Imperium rządzi przy użyciu siły, siejąc wśród poddanych strach; my natomiast staramy się być dla innych wzorem i inspiracją. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nas odbierano jak tchórzy, którzy kryją się tutaj w lęku o własne życie.

- Tu chodzi o coś ważniejszego niż budowanie własnego wizerunku - upierał się Fey'lya; futro na tyle jego głowy nieco oklapło. - Lud Botańczyków znał Imperatora, jego pragnienia i ambicje; znał je pewnie lepiej niż wszyscy ci, którzy nie byli jego sługami i poddanymi. W tym skarbcu znajdują się rzeczy, które już nigdy nie powinny ujrzeć

światła dziennego: broni urzędnika, które Thrawn pewnego dnia znajdzie i użyje przeciwko nam, jeśli go przed tym nie powstrzymamy.

- Ale powstrzymamy - zapewniła go Mon Mothma. - I to już wkrótce. Najpierw jednak musimy zniszczyć stocznię na Bilbringi i zdobyć krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego.

- A co będzie z kapitanem Solo i bratem radnej Organy Solo? Wokół ust przewodniczącej Rady pojawiły się głębokie zmarszczki. Leia widziała, że pomimo wojskowego, chłodnego rozumowania, Mon Mothma wcale nie chce zostawić jej bliskich na pastwę losu.

- W tej chwili możemy im jedynie pomóc, kontynuując nasze plany - stwierdziła cicho. - Skupiając uwagę Thrawn'a na rzekomym ataku na Tangrene. - Spojrzała na Draysona. - Właśnie to mieliśmy omówić. Admirale? Drayson ponownie podszedł do głównego monitora.

- Zacznę od przedstawienia obecnego stanu przygotowań do operacji pozorującej na Tangrene - powiedział, przywołując na monitorze odpowiedni obraz. Księżniczka zerknęła ukradkiem na Fey'lyę; wyraz jego twarzy i falujące futro zdradzało, że Botańczyk nadal jeszcze jest podekscytowany. Zastanawiała się, co takiego znajduje się wewnątrz góry, czego Fey'lya tak bardzo się obawiał w rękach Thrawn'a. Może zresztą lepiej, że nie wiedziała. Pellaeon wszedł do słabo oświetlonego przedpokoju prowadzącego do prywatnej kabiny dowodzenia Thrawn'a. Zlustrował wzrokiem pomieszczenie. Gdzieś tu czekał Rukh, gotowy do prowadzenia właściwych Noghrim gierk. Kapitan zrobił krok w stronę drzwi wiodących do królestwa wielkiego admirała, potem następny... Nagle poczuł czyjś oddech na karku. Odwrócił się raptownie, unosząc ręce w niemal zapomnianym odruchu samoobrony, jakiego uczono go w akademii. Ale nikogo przy nim nie było. Ponownie rozejrzał się dokoła, szukając miejsca, gdzie mógłby się schronić Noghri...

- Kapitanie Pellaeon - rozległ się miaukliwy koci głos tuż za jego plecami. Pellaeon znów odwrócił się na pięcie, ale i tym razem nikogo nie dostrzegł. Ponownie obiegł wzrokiem ściany w poszukiwaniu nieistniejącej osłony, a Rukh po raz kolejny zaszedł go od tyłu. - Admirale pana oczekuje - oznajmił Noghri, wskazując swym małym, groźnym nożem główne drzwi. Kapitan spojrzał na niego z wściekłością. Poprzysiągł sobie w duchu, że pewnego dnia przekona Thrawn'a, iż wielki admirał Imperium nie potrzebuje u swego boku aroganckiego goryla jakiejś obcej rasy. A kiedy to się stanie, z największą przyjemnością osobiście zabije Rukha.

- Dziękuję - burknął i wszedł do środka. Spodziewał się, że pokój Thrawn'a jak zwykle będzie wypełniony eklektyczną kolekcją dzieł sztuki jakiejś rasy obcych - i nie pomylił się. Tym razem wystawa miała jednak nieco inny charakter: nawet nieznaną się na rzeczy Pellaeon mógł stwierdzić, że zgromadzone tu eksponaty reprezentują dwa różne style. Dzieła sztuki ciągnęły się wzdłuż przeciwległych ścian kabiny, a pomiędzy nimi znajdował się ogromny hologram taktyczny przedstawiający Tangrene.

- Niech pan wejdzie, kapitanie - zawołał siedzący wewnątrz podwójnego kręgu monitorów Thrawn, kiedy Pellaeon zatrzymał się nie pewnie w drzwiach. - Czy są jakieś wiadomości z Tangrene?

- Rebelianci w dalszym ciągu ustawiają swe siły w pozycjach uderzeniowych - zakomunikował Pellaeon, podążając między rzeźbami a hologramem taktycznym w stronę wielkiego admirała. - Pakują się bezwiednie w naszą pułapkę.

- Bardzo miło z ich strony. - Thrawn wskazał ręką w prawo. - To sztuka Kalamarian - wyjaśnił. - Co pan o niej sądzi? Kapitan zatrzymał się przed podwójnym kręgiem monitorów i szybkim spojrzeniem omiół eksponaty. Wydały mu się równie odrażające i prymitywne jak sami Kalamarianie.

- Bardzo interesująca - powiedział głośno.

- Prawda? - przyznał skwapliwie admirał. - Zwłaszcza te dwie rzeźby: zostały wykonane przez samego admirała Ackbara. Pellaeon zmierzył wzrokiem wskazane eksponaty.

- Nie wiedziałem, że Ackbar interesuje się sztuką.
- Nie jest to jego wielka pasja - rzekł Thrawn. - Te rzeźby powstały dosyć dawno temu, zanim się przyłączył do Rebeliantów. Niemniej jednak pozwalają dobrze poznać jego charakter. Podobnie jak te - do dał, machając rękaw lewo. - To dzieła sztuki wybrane niegdyś osobiście przez naszego koreliańskiego przeciwnika. Kapitan przyjrzał się eksponatom z pewnym zainteresowaniem. A zatem senator Bel Iblis osobiście wybrał te rzeźby?

- Gdzie one się znajdowały? W jego gabinecie w dawnym senacie Imperium?

- Te - zaczął wielki admirał, wskazując najbliższej stojące rzeźby - zostały wzięte z jego domu; tamte z jego prywatnego statku. Wywiad natknął się na ten zapis w danych zdobytych podczas naszego ostatniego rajdu na bazy danych w układzie Obroaskai. A zatem Rebelianci w dalszym ciągu zmierzają w kierunku naszej pułapki, tak?

- Tak, panie admirale - potwierdził Pellaeon, rad, że rozmowa wraca na znajomy mu temat. - Otrzymaliśmy jeszcze dwa meldunki, z których wynika, że Rebelianci ściągają statki wsparcia na obrzeża układu Draukyze.

- Ale nie otwarcie.

- Przepraszam? - zdziwił się kapitan.

- Miałem na myśli to, że trzymają swoje przygotowania w największej tajemnicy - wyjaśnił Thrawn w zadumie. - Po cichu zwalniają statki wsparcia i pojazdy wywiadu z innych zadań; przemieszczają i przegrupowują floty w sektorach, by zwolnić ze służby większe statki - tego typu posunięcia. Nic nie robią otwarcie. Zawsze nasz wywiad musi z dużym trudem składać fragmenty tej układanki. - Podniósł wzrok na podwładnego i jego czerwone oczy zaświeciły w półmroku. - Niemal tak, jakby Tangrene rzeczywiście było ich prawdziwym celem.

- A pan twierdzi, że nie jest?

- Tak właśnie twierdzą, kapitanie - rzekł wielki admirał, spoglądając na dzieła sztuki. Pellaeon zerknął na hologram Tangrene. Wywiad był pewien na dziewięćdziesiąt cztery procent, że to jest właśnie cel Rebeliantów.

- Ale skoro nie zamierzają uderzyć na Tangrene, to... gdzie?

- W miejsce, gdzie w normalnych warunkach najmniej byśmy się ich spodziewali - odparł Thrawn i nacisnął jakiś guzik na swojej konsoli. Hologram Tangrene zniknął, a w jego miejsce...

- Bilbringi?! - Pellaeon nie posiadał się ze zdumienia. - Ależ admirale, to jest...

- Szaleństwo? - Thrawn uniósł granatowoczarne brwi. - Oczywiście, że tak. Szaleństwo ludzi i obcych, którzy przekonali się na własnej skórze, że nie mogą się ze mną zmierzyć otwarcie. I dlatego postanowili obrócić przeciwko mnie moją przenikliwość i umiejętności taktyczne. Udają, że wpadają w moją pułapkę, mając nadzieję, że zauważę przebiegłość ich posunięć i uznam je za szczerą. A wtedy, gdy ja będę sobie gratulował trafnego rozeznania sytuacji - wskazał ręką hologram Bilbringi - oni przygotowują właściwy atak. Kapitan spojrzął na dzieła sztuki, które niegdyś należały do Bela Iblisa.

- Może zanim odwołamy jakiegokolwiek oddziały z Tangrene, zaczekamy na potwierdzenie tej informacji? - zasugerował niepewnie. - Moglibyśmy zintensyfikować działalność wywiadu w rejonie Bilbringi. Albo może Źródło Delta byłoby w stanie to potwierdzić?

- Niestety, Źródło Delta zostało uciszone - oznajmił Thrawn. - Ale nie potrzebujemy żadnego potwierdzenia. Taki jest prawdziwy plan Rebeliantów i nie zamierzam budzić ich czujności, rzucając do akcji wzmocnione siły wywiadu. Wydaje im się, że zdołali mnie oszukać. Naszym nadrzędnym celem jest w tej chwili dopilnowanie, by nie przestali w to wierzyć. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Poza tym, kapitanie, to nie ma znaczenia, czy rozgromimy ich pod Tangrene, czy też pod Bilbringi. To naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia.

ROZDZIAŁ 21

Jakieś półtora metra przed Marą unosił się w powietrzu strąk nasienny w kształcie odwróconej spirali, prowokując ją do tego, by go ścięła. Wpatrywała się w niego pośpiesznie; jednocześnie pewnie, choć nieszablonowo, trzymała w rękach gotowy do ciosu miecz świetlny Skywalkera. Już dwukrotnie nie udało jej się trafić w strąk; nie chciała chybić po raz trzeci.

- Nie spiesz się - pouczył ją Luke. - Skup się i pozwól, by przepłynęła przez ciebie Moc. Staraj się przewidzieć ruch strąka. Łatwo mu tak mówić, pomyślała cierpko dziewczyna. W końcu to on kieruje tym strąkiem. Strąk prowokująco przysunął się nieco do niej... I nagle Mara poczuła, że ma już dosyć tej gry. Sięgnęła Mocą na zewnątrz i zaczęła kontrolować strąk. Na chwilę go unieruchomiła; wisząc w powietrzu zdołał jedynie drgnąć nieznacznie, a już Jadę trafiła mieczem w sam jego środek.

- Proszę - powiedziała, gasząc miecz świetlny. - Zrobiłam to. Spodziewała się, że Skywalker będzie zły. Ale ku jej zdziwieniu i niemałej irytacji wcale tak się nie stało.

- Doskonale - pochwalił ją Jedi. - Bardzo dobrze. Niezwykle trudno jest podzielić uwagę pomiędzy dwie odrębne czynności: jedną natury psychicznej, drugą- fizycznej. A ty sobie z tym poradziłaś.

- Dzięki - mruknęła i cisnęła miecz świetlny w stronę pobliskich krzaków. Broń zawróciła w powietrzu i wylądowała w wyciągniętej ręce Luke'a. - Na tym koniec? - dodała pytająco. Skywalker obejrzał się przez ramię. Solo i Calrissian pochyłali się właśnie nad robotem dyplomatycznym, który przestał już narzekać na ukształtowanie terenu, roślinność i zwierzęta Waylandu, ale za to zaczął się uskarżać na dolegliwości nóg spowodowane nieustanną wędrówką po drobnych kamieniach. Artoo krążył w pobliżu z wyciągniętą antenką układu czujnikowego, wydając przy tym różne pocieszające dźwięki. Parę kroków dalej Wookiee szperał w jednym z pakunków, zapewne w poszukiwaniu jakiegoś potrzebnego mu narzędzia.

- Chyba mamy jeszcze czas na parę dodatkowych ćwiczeń - oznajmił Jedi, zwracając się do Mary. - Twoja technika jest bardzo interesująca: Obi-wan nigdy nie uczył mnie, że można użyć samego koniuszka ostrza.

- Imperator wyznawał zasadę, że należy korzystać ze wszystkiego, co się znajduje pod ręką- odparła.

- To mnie wcale nie dziwi - skomentował cierpko Luke, po czym wyciągnął przed siebie miecz świetlny. - Spróbujmy czegoś innego. Postaraj się wziąć ode mnie broń. Dziewczyna sięgnęła Mocą na zewnątrz i wyrwała miecz ze słabego uchwytu Skywalkera. Przemknęło jej przez głowę, co też Luke by zrobił, gdyby najpierw spróbowała zapalić miecz. Nie była pewna, czy zdołałaby sobie poradzić z czymś tak małym jak przełącznik, ale warto by było spróbować choćby po to, by zobaczyć, jak rycerz Jedi odsuwa się przed ostrzem. A gdyby go niechcący zabiła... MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! Ścisnęła mocno miecz świetlny. Jeszcze nie teraz - powiedziała twardo wewnętrznemu głosowi. -Jeszcze go potrzebuję.

- No dobra - burknęła. - Co teraz? Skywalker nie zdążył odpowiedzieć, gdyż za jego plecami Artoo zaczął piszczeć nerwowo.

- O co chodzi? - spytał ostro Han, błyskawicznie wyjmując z kabury blaster.

- Mówi, że właśnie zauważył tam z boku coś, co warto bliżej zbadać - przetłumaczył Threepio, wskazując ręką w lewo. - Zdaje mi się, że mówił o jakimś gąszczu lian. Chociaż mogę się mylić: te wszystkie obrażenia spowodowane kwasem...

- Chodź, Chewie, pójdziemy to sprawdzić - przerwał mu Solo. Pod niósł się z miejsca i zaczął się wspinać na niewysoki brzeg strumienia. Skywalker poczuł na sobie wzrok Mary.

- Chodźmy - powiedział i ruszył za przyjaciółmi. Nie musieli iść daleko. Tuż za pierwszym szeregiem drzew, ukryta za krzakami, znajdowała się kolejna płatanina lian podobna do tych, przez jakie musieli sobie wycinać drogę w ciągu ostatnich kilku dni. Tyle, że ten gąszcz był już przecięty. Przecięty, a następnie podwiązany z boku jak gruba, spleciona lina.

- To chyba kładzie kres dyskusji, czy ktoś nam pomaga w drodze - zauważył Calrissian, oglądając jeden z przeciętych końców.

- Chyba masz rację - przyznał Han. - Żaden drapieżnik nie potrafiłby ich tak podwiązać. Chewbacca warknął coś gardłowo i pociągnął za jeden z krzaków zasłaniających gąszcz lian. Ku zdziwieniu Mary, krzak dał się wyjąć z łatwością.

- Nie zadałby też sobie trudu, by to zamaskować - dodał Lando, kiedy Wookie odwrócił krzak korzeniem do góry. - To mi wygląda na nacięcia wykonane nożem. Podobnie zresztą jak te na lianach.

- I jak rany tego drapieżnego ptaka, którego znaleźliśmy wczoraj - przypomniał ponuro Solo. - Lukę? Mamy jakieś towarzystwo?

- Wyczułem obecność paru tubylców - rzekł Skywalker. - Ale oni nigdy nie podchodzą do nas zbyt blisko. - Obejrzał się na robota dyplomatycznego, który niecierpliwie czekał na nich na dnie wyschniętego strumienia. - Myślisz, że to może mieć jakiś związek z robotami?

- Jak na Endorze, kiedy ci mali, włochaci Ewokowie myśleli, że Threepio jest bogiem? - prychnął Han.

- Coś w tym stylu - pokiwał głową Jedi. - Może zbliżają się na tyle, by usłyszeć Artoo albo Threepia.

- Możliwe. - Solo rozejrzał się dokoła. - Kiedy oni się pojawiają?

- Przeważnie o zachodzie słońca - odparł Lukę. - Przynajmniej tak było do tej pory.

- Daj mi znać, kiedy znowu się pojawią - poprosił przyjaciela Han. Schował blaster do kabury i zaczął schodzić po brzegu w dół, na dno strumienia. - Chyba już najwyższy czas, byśmy odbyli wspólnie jakąś rozmowę. Chodźcie, ruszamy. Robiło się coraz ciemniej; ledwie zdążyli rozbić na noc obozowisko, kiedy Skywalker odczuł znajomy niepokój.

- Han? - zawołał cicho. - Już tu są. Solo pokiwał głową i postukał Landa w ramię, wyjmując jednocześnie blaster.

- Ilu ich jest? Lukę skoncentrował swój umysł na obcych, starając się wyłović z ogólnego wrażenia elementy charakterystyczne.

- Chyba pięciu lub sześciu. Nadchodzą z tej strony - wskazał ręką w bok.

- Mówisz tylko o pierwszej grupie? - spytała Mara. O pierwszej grupie? - zdziwił się w duchu Jedi, ponownie sięgając umysłem na zewnątrz. Dziewczyna miała rację: za pierwszą grupką obcych podążała następna.

- Tak, chodziło mi tylko o pierwszą grupę - potwierdził. - W drugiej... tam też jest pięć lub sześć osób. I nie jestem pewien, ale to może być inna rasa niż ci obcy na przedzie. Han zerknął na Landa.

- Co o tym myślisz?

- Wcale mi się to nie podoba - stwierdził Calrissian, nerwowo przebierając palcami po lufie blastera. - Maro, jak te rasy ze sobą żyją?

- Nie najlepiej - rzekła Jadę. - Kiedy tu byłam, wprawdzie prowadzili ze sobą handel i jakieś inne interesy; ale krążyły też opowieści o trój stronnych wojnach, jakie toczyli między sobą nawzajem i kolonistami ludzkiej rasy. Chewbacca zasugerował burkliwie, że być może obcy jednoczą się przeciwko nim?

- To rzeczywiście radosna myśl - rzucił cierpko Solo. - Lukę, jakie jest twoje zdanie? Skywalker wytężył siły, ale bez skutku.

- Przykro mi - powiedział. - W ich umysłach kłębi się mnóstwo uczuć, ale nie jestem w stanie ich rozszyfrować.

- Zatrzymali się - zakomunikowała Mara, marszcząc czoło z wysiłku. - Obie grupy.

- No, to by chyba było na tyle - skrzywił się Han. - Lando, Mara: wy tu zostaniecie pilnować obozu. Lukę, Chewie: chodźcie, sprawdźmy, kto to jest. Podeszli w górę skalistym brzegiem i zagłębili się w las. Starali się przy tym poruszać jak najciszej pomiędzy gęstymi krzakami i zaścielającymi ziemię zeschniętymi liśćmi.

- Czy już wiedzą, że do nich idziemy? - spytał szeptem Solo, od wracając się przez ramię. Skywalker sięgnął Mocą na zewnątrz.

- Nie jestem w stanie tego stwierdzić - oznajmił. - Ale nie pod chodzą bliżej. Chewbacca mruknął coś, czego Lukę nie dosłyszał.

- Możliwe - rzekł Han. - Chociaż musieliby być naprawdę głupi, żeby odbywać naradę wojenną tak blisko swego celu. Nagle Lukę zauważył przed sobą i nieco na lewo jakiś cień kryjący się za grubym pniem drzewa.

- Uwaga! - rzucił ostrzegawczo, zapalając z sykiem miecz świetlny. W bladozielonym odbłasku ostrza mignęła niewysoka postać, ubrana w dopasowany strój z kapturem. Cień zanurkował pospiesznie za drzewo, w ostatniej chwili umykając z linii ognia; oddany przez Hana strzał z blastera wypalił sporą dziurę z jednej strony pnia. Salwa z broni Chewiego rozległa się ułamek sekundy później, odłupując część pnia z drugiej strony. Poprzez chmurę pyłu i kawałeczków drzewa widać było, jak nieznajomy ucieka zza raptownie kurczącej się osłony, by się skryć za innym, grubszym pniem. Solo wycelował w tę stronę blaster, ale w tej samej chwili rozległo się dziwne świergotanie, niczym tajemniczy śpiew kilkunastu egzotycznych ptaków... Chewbacca wydał z siebie głośny ryk, który wyrażał zarówno zrozumienie, jak i ulgę; jednocześnie końcem swej broni trącił blaster Hana, co sprawiło, że oddany przez niego strzał był zupełnie niecelny.

- Chewie...! - warknął Solo z oburzeniem.

- Nie... on ma rację - uspokoił przyjaciela Lukę. Nagle on także pojął całą sytuację. - Ty... stój! Rozkaz nie był konieczny. Mroczna postać już się zatrzymała i nieznajomy stał teraz bezbronny na otwartej przestrzeni; mimo lekkiej poświaty z zapalonego miecza Skywalker nie sposób było dostrzec jego twarzy, ukrytej pod kapturem. Rycerz Jedi zrobił krok w stronę nieznajomego.

- Jestem Lukę Skywalker - przedstawił się oficjalnie. Brat Leii Organy Solo, syn lorda Dartha Vadera. A kim ty jesteś?

- Jestem Ekrikhor z klanu Bakh'tor - dał się słyszeć chropawy głos Noghriego. - Witam cię, synu Vadera. Ekrikhor zaprowadził ich na pobliską polankę, leżącą zaledwie dwadzieścia metrów dalej w kierunku, jaki pierwotnie obrał Lukę. Rzeczywiście zastali tam dwie rasy obcych: stali w dwóch pięcioosobowych grupkach za grubym, zwalonym pniem drzewa. Przed pniem znajdowali się jeszcze dwaj Noghri w swych szatach maskujących, z kapturami odrzuconymi na plecy. O kłodę stała oparta niewielka lampka przenośna, która niejako rozdzielała dwie grupki. W słabym świetle Han zdołał wyłowić zarysy obcych, znajdujących się najbliżej. To, co zobaczył, nie wprawiło go w dobry nastrój. Członkowie grupy po prawej stronie byli o głowę wyżsi od stojących naprzeciwko nich Noghrich, a jednocześnie o głowę niżsi od Hana. Odziani w ciężkie, wykonane z kamiennych płytek szaty, wyglądali jak chodzące słupy skalne. Członkowie grupy po lewej stronie wzrostem niemal dorównywali Chewbacce; każdy z nich miał cztery ręce, a ich błyszcząca, niebieskokryształowa skóra przywiodła Hanowi na myśl brązowawe istoty, które pierwszego dnia ich pobytu na Waylandzie zaatakowały Threepia i trzeba było je zastrzelić.

- Przyjaźnie wyglądająca paczka - mruknął do Luke'a, kiedy do tarli już do ostatnich drzew dzielących ich od polanki.

- To Mynerysze i Psadanie - wyjaśnił Ekrikhor. - Chcą wam stawić opór.

- A wy ich od tego cały czas odwodzicie? - spytał Skywalker.

- Chcieli wam stawić opór - powtórzył Noghri. - Nie mogliśmy na to pozwolić. Zatrzymali się na skraju przecinki. Z piersi obcych dobył się pomruk, który bynajmniej nie brzmiał przyjaźnie.

- Mam wrażenie, że nie jesteśmy tu mile widziani - rzucił Solo. - Lukę?

- W dalszym ciągu nie jestem w stanie wyczytać w ich umysłach nic konkretnego - potrząsnął głową Jedi. - O co tu właściwie chodzi, Ekrikhorze?

- Zasugerowali, że chcieliby z nami porozmawiać - odparł Noghri. - Najprawdopodobniej chcą zdecydować, czy wydać wam bitwę. Han obrzucił tubylców szybkim spojrzeniem. Wyglądało na to, że wszyscy mają noże; zauważył również dwa łuki, ale nie dostrzegł żadnej bardziej nowoczesnej broni.

- Niech lepiej mają nadzieję, że zdołają tu ściągnąć całą armię - stwierdził.
- Wolelibyśmy w ogóle nie walczyć z nimi - upomniał go łagodnie Skywalker. - Jak masz zamiar się z nimi porozumieć?
- Kiedy budowano skarbiec we wnętrzu góry, jeden z nich nauczył się trochę używanego przez Imperium języka basie - rzekł Ekrikhor, wskazując Mynerysza stojącego najbliżej lampki. - On spróbuje odegrać rolę tłumacza.
- Chyba mamy lepszą propozycję. - Luke spojrzał porozumiewawczo na Hana. - Jak myślisz?
- Warto spróbować - zgodził się Solo, wyjmując komunikator. Zresztą i tak był już najwyższy czas, by Threepio na coś się wreszcie przydał. - Lando?
- Słucham? - natychmiast dał się słyszeć z komunikatora głos Calrissiana. - Znaleźliście tych obcych?
- Tak, znaleźliśmy - odparł Han. A przy okazji niespodziankę. Niech Mara przyprowadzi tu Threepia; jeśli będą szli prosto, to wyjdą dokładnie na nas.

305 20 - Ostatni rozkaz

- Zrozumiałem. A co ze mną?
- Nie sądzę, byśmy mogli mieć jakieś kłopoty - oznajmił Solo, ponownie omiatając wzrokiem tubylców. - Ty i Artoo możecie zostać na miejscu i pilnować obozowiska. Aha, jeżeli zobaczycie w pobliżu niewysokich facetów w strojach maskujących i z mnóstwem zębów, to nie strzelajcie. Oni są po naszej stronie.
- To doskonale - powiedział cierpko Lando.
- Tak myślę. Czy coś jeszcze? Han spojrzał na stojących w mroku obcych; wszyscy wpatrywali się w niego badawczo.
- Tak, trzymaj za nas kciuki. Może uda nam się przekabacić na naszą stronę paru obcych. Jeśli nie, to czeka nas mnóstwo kłopotów.
- Jasne. Mara i Threepio już są w drodze. Powodzenia.
- Dzięki. - Solo wyłączył komunikator i przypiął go sobie do pasa. - Już tu idą - poinformował Luke'a.
- Nie musicie sami strzec obozu - rzekł Ekrikhor. - Noghri się tym zajmą.
- Nie ma sprawy - rzucił Han. - Już i tak robi się tu tłoczno. - Spojrzał Ekrikhorowi prosto w oczy. - A więc miałem rację. Rzeczywiście ktoś tu za nami leciał.
- Tak - skinął głową Noghri. - I bardzo proszę, wybaczyć nam ten podstęp, małżonku lady Vader. Ja i moi towarzysze czuliśmy, że to nie jest całkiem honorowe postępowanie, ale Kakhaim z klanu Eikh'mir życzył sobie, byśmy ukrywali przed tobą naszą obecność.
- Dlaczego? Ekrikhor ponownie skłonił nisko głowę.
- Kakhaim z klanu Eikh'mir wyczuł w apartamencie lady Vader, że jest pan wobec nas wrogo nastawiony. Był zdania, że nie zechce się pan zgodzić na to, by w podróży towarzyszyli panu Noghri. Solo spojrzał na Luke'a i zauważył, że chłopak z trudem powstrzymuje uśmiech.
- Cóż, kiedy zobaczysz Kakhaima, powiedz mu, że już dobre trzy lata temu dałem za wygraną w kwestii przyjmowania pomocy - zwrócił się do Ekrikhora. - A skoro już mowa o wrogości, to możesz sobie darować tego „małżonka lady Vader”. Mów do mnie Han albo Solo. Albo kapitanie. Albo jak tam sobie chcesz.
- Może Han z klanu Solo - podsunął półgłosem Skywalker.
- To jest odpowiednie - rozpromienił się Ekrikhor. - Prosimy cię o wybaczenie, Hanie z klanu Solo. Han zgromił Luke'a spojrzeniem.
- Myślę, że przyjęli cię w swoje szeregi - stwierdził Jedi, ponownie starając się powstrzymać uśmiech.
- Tak... - mruknął Solo. - Wielkie dzięki.
- Trochę wzajemnych kontaktów nigdy nie zaszkodzi - zauważył Luke. - Pamiętasz Endor?

- Trudno byłoby zapomnieć - warknął Han, wykrzywiając usta. To prawda, że Ewokowie - te małe futrzane kulki - odegrali swoją rolę w ostatecznej bitwie przeciwko drugiej Gwieździe Śmierci. To jednak nie zmieniało faktu, że to, iż uczyniono go członkiem ich plemienia, było jedną z najgłupszych rzeczy, przez jakie musiał przejść w życiu. Ewokowie pokonali żołnierzy imperialnych dzięki wielkiej przewadze liczebnej. Noghri, z drugiej strony... - Ilu was tu jest? - zwrócił się do Ekrikhora.

- Ośmiu - odparł Noghri. - Maszerowaliśmy dwójkami z przodu, z tyłu i po bokach waszej grupy. Solo pokiwał głową, czując jednocześnie pewną zazdrość i jakby mimowolny respekt wobec tych istot. Będąc zaledwie w ośmiu, po cichu zabijali lub odstraszali drapieżniki i tubylców. I to zarówno dniem, jak i nocą. A oprócz tego znajdowali jeszcze czas, by oczyszczać im drogę z drapieżnych ptaków czy żyjących na pnączach węży. Spojrzał na stojącego obok niego Ekrikhora. Nie, tym razem proces bratania się z tymi obcymi istotami nie wydawał się taki niedorzeczny. Za ich plecami rozległo się znajome szuranie. Han odwrócił się i po chwili zobaczył na skraju polanki złotą postać Threepia. Pół kroku za nim, z blasterem gotowym do strzału, szła Mara.

- Panie Luke! - zawołał android. W jego tonie jak zwykle pobrzmiwała pewna ulga pomieszana z niepokojem, a zarazem właściwa mu pedanteria.

- Tu jestem, Threepio - odezwał się Skywalker. - Chyba możesz posłużyć nam za tłumacza?

- Zrobię co w mojej mocy - zapewnił android. - Jak panu wiadomo, umiem się biegle porozumiewać w ponad sześciu milionach form komunika...

- Widzę, że znaleźliście tubylców - wpadła mu w słowo Jadę, szybkim spojrzeniem omiatając stojącą przy świątym pniu drzewa grupkę. Jej wzrok spoczął na Ekrikhorze... - A przy okazji małą niespodziankę - dodała, dyskretnie wycelowując blaster w Noghriego.

- Wszystko w porządku, on jest naszym przyjacielem - zapewnił dziewczynę Luke, sięgając do jej blastera.

- Nie wydaje mi się - rzekła Mara, odsuwając rękę z bronią w bok. - To są Noghri. Oni pracują dla Thrawna.

- Już nie jesteśmy jego sługami - oznajmił Ekrikhor.

- To prawda, Maro - potwierdził Jedi.

- Możliwe - rzuciła Jadę. W dalszym ciągu nie była przekonana, ale zmieniła nieco położenie blastera i nie trzymała już Noghriego na muszce. Stojący najbliżej zwalonej kłody Mynerysz wyjął z trzymanego na ramieniu worka coś, co wyglądało jak wypchany drapieżny ptak. Cicho mruczając pod nosem, położył ów przedmiot przed sobą, obok lampki przenośnej.

- Co to takiego? - spytał Han. - Kolacja?

- Nazywa ją jesatna-chakka - wyjaśnił Ekrikhor. - To jest gwarancja pokoju na czas trwania spotkania. Są już gotowi, by zaczynać. Ty, robocie Threepio, chodź ze mną.

- Oczywiście - odparł android, ale nie wydawał się zadowolony całą tą sytuacją. - Panie Luke... ?

- Pójdę z tobą - uspokoił go Skywalker. - Han, Chewie: wy zostańcie tutaj.

- Nie mam nic przeciwko temu - stwierdził Solo. Prowadząc ze sobą wyraźnie ociągającego się Threepia, Luke i Noghri ruszyli w stronę świątego pnia. Główny Mynerysz uniósł obie ręce nad głowę, dłońmi zwróconymi do środka.

- Bidaesicharaa - powiedział zadziwiająco śpiewnym głosem. - Lyaunu baremaa dukhnu pheri.

- Obwieszcza nadejście nieznanomych - wyjaśnił Threepio. - Za pewne chodzi mu o nas. Obawia się jednak, że ponownie przyniesiemy jego ludowi niebezpieczeństwo i kłopoty. Idący obok Hana Chewbacca rzucił mruklawie jakąś ironiczną uwagę.

- Nie, rzeczywiście nie są w nastroju na przyjazną pogawędkę - przyznał Solo. - Nie grzeszą też dyplomacją.

- Przynosimy waszemu ludowi nadzieję - oznajmił mediator ze strony Noghrich. - Jeśli pozwolicie nam przejść, uwolnimy was spod panowania Imperium. Threepio przetłumaczył tę deklarację; Han miał wrażenie, że nawet śpiewne słowa języka

Myneryszów brzmiały w wykonaniu androida pedantycznie i nienaturalnie. Jeden z ubranych w ciężkie szaty Psadan wykonał taki gest, jakby coś siekał, i dobył z siebie zdławiony krzyk, w którym od czasu do czasu pobrzmiwały jakieś spółgłoski.

- Mówi, że w umysłach Psadan żyje wiele wspomnień - przełożył Threepio. - Wygląda na to, że już niejednokrotnie składano im podobne propozycje, ale nic się nigdy nie zmieniło.

- Witajcie w prawdziwym świecie - mruknął pod nosem Solo. Lukę uciszył go wymownym spojrzeniem.

- Threepio, poproś go, żeby to wyjaśnił dokładniej - zwrócił się do robota. Android usłuchał; cichym krzykiem odpowiedział Psadaninowi, wtrącając niekiedy tłumaczenie na język Myneryszów, aby pokazać, że i to potrafi. Wyjaśnienia Psadanina trwały kilka minut; nim skończył, Hana zaczęły już boleć uszy.

- A więc... - zaczął Threepio. Przechylił głowę na bok i przybrał uczony ton, którego Solo zawsze tak nienawidził. - Jest wiele szczegółów... ale teraz przekażę tylko te najistotniejsze - dodał pospiesznie, zapewne widząc minę jednego z Noghrich. - Ludzie, którzy przybyli tu jako koloniści byli pierwszymi najeźdźcami. Wypędzili tubylców z części ich ziem i zatrzymali się dopiero wtedy, gdy ich ciskające pioruny łuki i metalowe ptaki - to naturalnie ich określenia - zaczęły szwankować. Znacznie później zjawiono się tu Imperium, które -jak wiemy - za instalowało się w zakazanej górze. Wielu tubylców przymuszono do niewolniczej pracy przy realizacji projektu, a innych wypędzono z ich ziem. Kiedy budowniczości odeszli, na ich miejsce przybył człowiek, który nazywał siebie Strażnikiem Góry; on także rządził miejscową ludnością. W końcu zjawiono się ktoś, kto kazał się określać mistrzem Jedi i w bitwie, w której rozbłysło całe niebo, pokonał Strażnika Góry. Przez pewien czas miejscowe ludy miały nadzieję, że odzyskają wolność, ale mistrz Jedi ściągnął do siebie ludzi i tubylców, i kazał im mieszkać razem w cieniu zakazanej góry. W końcu ponownie zjawiono się Imperium. - Threepio znów odchylił głowę w tył. - Jak widać, panie Lukę, jesteśmy jedynie ostatnimi w długim szeregu najeźdźców.

- Tyle, że my nie jesteśmy najeźdźcami - zauważył Skywalker. - Przybyliśmy tu, by ich uwolnić spod panowania Imperium.

- Rozumiem, panie Lukę, ale...

- Wiem, że rozumiesz - przerwał robotowi Jedi. - Im to powiedz.

- Tak, naturalnie - rzucił android i przystąpił do tłumaczenia.

- Moim zdaniem wcale nie mieli tak źle - szepnął Han do Chewie- go. -Niektórym nacji Imperium zabierało całe planety.

- Prymitywne ludy zawsze tak reagują na przybyszów - stwierdziła Mara. - Poza tym zazwyczaj długo przechowują wszelkie wspomnienia.

- Może i tak... Sądzisz, że ten mistrz Jedi, o którym mówili, to był nasz C'baoth?

- A któż by inny? - odparła ponuro dziewczyna. - To pewnie tutaj znalazł go Thrawn.

- Myślisz, że on tu teraz jest? - spytał Solo, czując nerwowy skurcz w żołądku.

- Niczego nie wyczuwam - powiedziała wolno Mara. - Ale to wcale nie znaczy, że nie może tu wrócić. Ponownie zabił głos główny Mynerysz. Han omiół wzrokiem polankę. Czy inni Mynerysze i Psadanie obserwowali z ukrycia tę naradę? Lukę nie wspominał o żadnych posiłkach, ale tubylcy musieliby być głupi, żeby nie mieć obawy. Chyba, że towarzysze Ekrikhora już się nimi zaopiekowali. Jeśli rozmowa przybierze zły obrót, to może się okazać, że warto mieć przy sobie Noghrich. Mynerysz umilkł.

- Przykro mi, panie Lukę - rzucił Threepio przepraszająco - ale oni twierdzą, iż nie mają żadnego dowodu na to, że jesteśmy inni od naszych poprzedników.

- Rozumiem ich obawy - pokiwał głową Skywalker. - Zapytaj ich, jak możemy ich przekonać, że mamy dobre intencje. Android zajął się tłumaczeniem; w tej samej chwili Wookie mocno trącił Hana w ramię.

- O co chodzi? - spytał Solo. Chewbacca wskazał głową w lewo, wycelowując jednocześnie w tę stronę broń. Han podążył za jego wzrokiem...

- Oho...

- Co się stało? - zaniepokoiła się Mara. Solo otworzył usta, ale nie miał czasu jej odpowiedzieć. Żyłasty drapieźnik, którego Chewie zauważył, jak podkradał się między gałęziami drzew, szykował się właśnie do skoku na zajętą rozmową grupkę.

- Uwaga! - krzyknął głośno Han i uniósł blaster. Chewbacca był jednak szybszy. Z charakterystycznym dla Wookiech okrzykiem polującego myśliwego wystrzelił, niemal przepoławiając czające się zwierzę. Drapieźnik zwałił się z gałęzi na zeschnięte liście i znieruchomiał. Ze stojącej obok ściętego pnia grupki Myneryszów dobył się złowrogi pomruk.

- Uważaj, Chewie - ostrzegł Wookiego Han, kierując blaster na tubylców.

- To był chyba błąd - rzekła Jadę z napięciem w głosie. - Nie po winno się używać broni podczas konferencji pokojowej.

- Ale nie powinno się też chyba pozwolić na to, by jej uczestnicy zostali pożarci - odparował Solo. Obok Myneryszów pięciu Psadan zaczęło się trząść nerwowo; Han miał nadzieję, że koledzy Ekrikhora kontrolują teren. - Threepio, powiedz im to.

- Oczywiście, kapitanie Solo - wydusił android. Słychać było, że jest zdenerwowany nie mniej niż on. - Mulansaar... Główny Mynerysz przerwał mu, gwałtownie machając dwiema lewymi rękami. -Ty! - rzucił śpiewnie w łamanym basicu, wymachując w stronę Hana wszystkimi czterema kończynami. - On ma łuk ciskający pioruny? Solo obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Oczywiście, że Chewbacca miał broń; podobnie jak każdy z członków wyprawy. Zerknął na Wookiego... i nagle wszystko zrozumiał.

- Tak - zwrócił się do Mynerysza, opuszczając blaster. - To nasz przyjaciel. My nie mamy niewolników tak jak Imperium. Threepio zaczął tłumaczyć wypowiedź Hana, ale Mynerysz już wyjaśniał coś swoim przyjaciółom.

- Dobre posunięcie - pochwaliła półgłosem Mara. - Mnie to nie przyszło do głowy. Ale masz rację: ostatni Wookie, jakich tu widzieli, byli niewolnikami Imperium.

- Miejmy nadzieję, że zauważą tę różnicę - rzekł Solo. Mynerysze i Psadanie dyskutowali ze sobą jeszcze przez kilka minut. Początkowo Threepio próbował tłumaczyć na bieżąco, ale już niebawem był zmuszony ograniczyć się do przekazywania jedynie najważniejszych myśli. Wyglądało na to, że Mynerysze zaczęli dochodzić do wniosku, iż rysuje się przed nimi szansa na to, by się wyzwolić przede wszystkim spod panowania Imperium, ale także by się pozbyć samego mistrza Jedi. Psadanie żywili do Imperium niechęć nie mniejszą niż Mynerysze, ale obawiali się konfrontacji z C'baoth'em.

- Nie prosimy was o to, byście walczyli razem z nami - oznajmił Lukę, kiedy ponownie zdołał dojść do głosu. - To jest nasza bitwa i sami damy sobie radę. Prosimy was jedynie o to, byście pozwolili nam swobodnie przejść przez wasze terytorium do zakazanej góry i byście obiecali, że nas nie wydacie w ręce Imperium. Threepio przetłumaczył tę wiadomość na obydwa języki i Han z niepokojem czekał, że ponownie wybuchnie kłótnia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Główny Mynerysz uniósł swe górne kończyny, dolnymi zaś wziął wypchanego ptaka i wręczył go Skywalkerowi.

- Zdaje mi się, że on ofiarowuje nam bezpieczną podróż, panie Lukę - oznajmił android z nadzieją w głosie. - Chociaż mogę się mylić; ich dialekt zachował się mniej więcej w pierwotnej formie, ale ich gesty i ruchy są często...Podziękuj mu w naszym imieniu - polecił robotowi Lukę. Wziął z rąk tubylca wypchanego ptaka, skłaniając przy tym głowę. - Powiedz mu, że przyjmujemy ich gościnność. Dodaj też, że nie będą żałować, iż nam pomogli.

- Generale Covell? - z interkomu w kabinie pilota wahadłowca rozległ się służbisty, wojskowy głos. - Za kilka minut powinniśmy się znaleźć na powierzchni.

- Zrozumiałem - rzekł Covell. Wyłączył interkom i odwrócił się do jedyne go pasażera wahadłowca. - Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Tak, słyszałem - rzucił C'baoth z niejakim rozbawieniem, które generał natychmiast odczuł w swoim umyśle. - Proszę mi powiedzieć, generale Covell, to początek czy koniec naszej podróży?

- Naturalnie początek - odparł mężczyzna. - Podróż, w którą wy ruszyliśmy, nie będzie miała końca.

- A co z wielkim admirałem Thrawn'em? Covell w zadumie zmarszczył czoło. Nigdy jeszcze nie słyszał tego pytania, a przynajmniej nie w takiej formie. Ale kiedy się zastanowił, przyszła mu do głowy odpowiedź; teraz zresztą znajdował w swoim umyśle odpowiedzi na wszystkie pytania.

- To jest początek końca wielkiego admirała Thrawna - oznajmił. C'baoth zaśmiał się cicho i jego wesołość natychmiast zagościła także w umyśle Covella. Generał rozważał, czy nie zapytać starca, co go tak rozbawiło, ale znacznie przyjemniej było siedzieć wygodnie w fotelu i po prostu się śmiać. A poza tym dokładnie wiedział, co jest powodem tej wesołości.

- Wie pan, prawda? - pokiwał głową mistrz Jedi. - Oj, generale, generale. To czysta ironia losu, co? Od samego początku, od tego pierwszego spotkania w moim mieście, wielki admirał Thrawn miał odpowiedź w zasięgu ręki. A jednak nawet teraz wciąż jest jeszcze daleki od zrozumienia.

- Czy chodzi o władzę, mistrzu C'baoth? - spytał Covell. To był znany temat i nawet bez tajemniczych podpowiedzi w jego umyśle wie dział, co ma mówić.

- Istotnie, generale Covell - przyznał starzec z powagą. - Już na samym początku powiedziałem mu, że prawdziwa władza nie polega na podbijaniu odległych planet ani na toczeniu bitew i wojen, ani też na tłumieniu anonimowych rebelii. - Uśmiechnął się, a jego wzrok rozświetlił umysł Covella. - Nie, generale - podjął cicho. - To... to jest prawdziwa władza. Trzymać życie kogoś drugiego w swoim ręku. Mieć możliwość kierowania jego losami, myślami i uczuciami. Rządzić jego życiem i decydować o jego śmierci. - Uniósł dłoń w wystudiowanym, teatralnym geście. - Panować nad jego duszą.

- To coś, czego nie potrafił zrozumieć nawet sam Imperator - przy pomnił mu Covell. Generał ponownie odczuł w swoim umyśle głęboką przyjemność. Tak miło było patrzeć na to, jak mistrz bawi się swoją grą.

- Nawet Imperator - przyznał C'baoth w zadumie, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. - On, podobnie jak wielki admirał, mierzył swą moc tym, jak daleko sięgała jego władza. I to go zgubiło, co zresztą mógłbym mu przepowiedzieć. Bo gdyby on naprawdę panował nad Vaderem... - Potrząsnął głową. - Pod wieloma względami był głupcem. Ale może takie właśnie było jego przeznaczenie. Może taka była wola wszechświata, bym tylko ja, ja jeden to zrozumiał. Bo tylko ja mam zarówno wolę przejęcia władzy, jak i siłę, by to zrobić. To na początek. .. choć oczywiście to nie wszystko. Covell skinął głową, niespokojnie przetykając ślinę. To było bardzo nieprzyjemne, kiedy C'baoth tak go zostawiał, choćby tylko na chwilę. Zwłaszcza, kiedy towarzyszyło temu owo dziwne uczucie osamotnienia... Ale naturalnie mistrz o tym wiedział.

- Czy boli pana moja samotność, generale Covell? - spytał, rozjaśniając umysł wojskowego kolejnym uśmiechem. - Tak, to naturalne, że pana boli. Ale proszę być cierpliwym. Nadchodzi czas, kiedy będzie nas wielu. A kiedy to się stanie, już nigdy więcej nie będziemy samotni. Niech pan uważa. Covell wyczuł w oddali czyjaś obecność dokładnie tak, jak ostatnio zawsze ją wyczuwał: przefiltrowaną, wyostrzoną i ukształtowaną przez perfekcyjny umysł mistrza. - Widzi pan, miałem rację - powiedział C'baoth, sięgając Mocą na zewnątrz, by bliżej zbadać to uczucie. - Już tu są. Oboje: Skywalker i Jadę. - Uśmiechnął się do Covella. Oni będą pierwsi, generale, pierwsi z całej rzeszy. Przyjdą do mnie, a kiedy ukażą im prawdziwą władzę, zrozumieją ją i przyłączą się do nas. Jego oczy ponownie zasnuły się mgiełką. - Myślę, że Jadę będzie pierwsza - dodał w zadumie. - Skywalker już raz mi się oparł i oprze się po raz kolejny; ale klucz do jego duszy już teraz czeka na mnie w tej górze na dole. Z Jadę sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Widziałem ją podczas moich medytacji: widziałem, jak przyszła i uklękła u moich stóp. Ona będzie moja, a potem i Skywalker pójdzie w jej ślady. Tak się stanie. Ponownie się uśmiechnął. Covell odwzajemnił jego uśmiech, rad z zadowolenia mistrza i z tego, że pojawiają się inni, by rozgrzewać jego umysł. Nagle w

umyśle generała zapanowała całkowita ciemność. Nie odczuwał już samotności, a przynajmniej nie w taki sam sposób jak przed chwilą. Za to wypełniła go dziwna pustka... W pewnym momencie odniósł wrażenie, jakby jego broda poderwała gwałtownie do góry jego głowę. Przed nim stał C'baoth, patrząc mu prosto w oczy.

- Generale Covell! - zagrzmiął. Dziwne było brzmienie jego głosu. Covell słyszał ten głos, choć właściwie nie było go słycać. A przy najmniej nie tak jak zwykle. - Czy pan mnie słyszy?

- Słyszę cię, mistrzu - odparł mężczyzna. Jego głos także brzmiał jakoś dziwnie. Generał utkwiał wzrok za plecami starca, w ciekawym wzorze linii na ścianie wahadłowca. Nagle ktoś nim potrząsnął.

- Niech pan na mnie spojrzysz! - rozkazał C'baoth. Covell usłuchał. Dziwne: tak naprawdę mistrza wcale przed nim nie było.

- Jesteś tu jeszcze? Twarz starca zmieniła się nieznacznie. Pojawiło się na niej coś, co - 0 ile Covell się nie mylił - nazywano uśmiechem.

- Tak, generale, jestem tutaj - powiedział odległy głos. - Nie dotykam już pana umysłu, ale w dalszym ciągu jestem pańskim mistrzem 1 nadal ma mi pan być posłuszny. Posłuszny. Cóż za dziwny pomysł - pomyślał Covell. Tak jakby to nie było czymś naturalnym.

- Mam ci być posłuszny?

- Postąpi pan wedle moich wskazówek - rzekł starzec. - Przekażę panu rzeczy, które trzeba powiedzieć, i pan je słowo w słowo powtórzy.

- Dobrze - zgodził się Covell. - A jeśli to zrobię, wrócisz do mnie?

- Tak - obiecał mistrz. - Pomimo zdrady wielkiego admirała Thrawn'a. Dzięki pana posłuszeństwu, dzięki temu, że robi pan to, co każę, wspólnie zniszczymy jego zdradę. A potem nic już nas nigdy nie rozdzieli.

- Już nie będzie tej pustki?

- Nie, ale tylko jeśli zrobi pan to, co powiem. Nieco później zjawili się inni mężczyźni. C'baoth cały czas stał u jego boku, a on powtarzał słowa, które mu mistrz przekazywał. Potem wszyscy razem dokądś poszli; następnie mężczyźni odeszli, a zaraz po nich oddalił się także mistrz. Covell siedział w miejscu, gdzie go zostawili, wpatrując się we wzory na ścianie i nasłuchując panującej wokół pustki. W końcu zapadł w sen. W oddali rozległ się dziwny, ptasi gwizd; natychmiast ustało brzęczenie owadów i odgłos kręcących się po okolicy zwierząt. Ale wyglądało na to, że nie ma żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa i już po chwili spowity nocą las ożył na nowo. Mara usadowiła się wygodnie przy pniu drzewa; rozprostowała bolący kark, żałując przy tym, że ta cała historia nie dobiegła jeszcze końca.

- Nie musisz cały czas czuwać - rozległ się tuż obok jej ramienia cichy, miękki głos. - My będziemy was strzegli.

- Dzięki - rzuciła krótko dziewczyna. - Jeśli to wam nie robi różnicy, to wykonam swoją robotę

- Wciąż nam nie ufasz, prawda? - odezwał się Noghri po chwili milczenia. W gruncie rzeczy wcale się nad tym nie zastanawiała.

- Skywalker wam ufa - powiedziała głośno. - Czy to nie wystarczy?

- Nie szukamy pochwał - oznajmił obcy. - Chcemy mieć jedynie szansę, by spłacić swój dług. Wzruszyła ramionami. Najpierw z ukrycia strzegli ich obozowiska, przełamali pierwsze lody w kontaktach z Myneryszami i Psadanami, a teraz znowu pilnowali ich obozowiska.

- Jeśli to dług wobec Nowej Republiki, to muszę przyznać, że spisujecie się doskonale - stwierdziła. - Zorientowaliście się w końcu, że Thrawn i Imperium cały czas was oszukiwali? Rozległo się ciche szcęknięcie, jakby zgrzyt ostrych zębów.

- Wiedziałaś o tym?

- Słyszałam jakieś plotki - rzekła Jadę. Zdała sobie sprawę z tego, że ten temat jest potencjalnie bardzo niebezpieczny, ale się tym zbyt nie przejęła. - A właściwie bardziej żarty. Nigdy dokładnie nie wiedziałam, co z tego było prawdą.

- Zapewne wszystko - rzucił niemal szeptem Noghri. - Tak. Widzę, jak życie i śmierć moich braci bawiły tych, którzy nas niewolili. Ale przekonamy ich, że to wcale nie było takie zabawne. Żadnej dzikiej wściekłości, żadnej fanatycznej nienawiści -jedyne prosta, chłodna determinacja. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niebezpiecznego.

- Jak zamierzacie to zrobić? - spytała.

- Kiedy nadejdzie właściwy czas, Noghri zwrócą się przeciwko tym, pod których jarzmem cierpieli. Niektórzy na planetach kontrolowanych przez Imperium, inni na statkach transportowych. I przybędzie tu pięć grup.

- Wiedzieliście o Waylandzie? - zdumiała się Jadę.

- Do czasu, kiedy nas tu przyprowadziłaś, nie - odparł obcy. - Ale teraz już wiemy. Wysłaliśmy współrzędne Waylandu do tych, którzy czekają na Coruscant. Do tej pory oni na pewno dali już znać pozostałym.

- Pokładacie w nas spore zaufanie, co? - prychnęła cicho Mara.

- Nasze misje wzajemnie się uzupełniają- zapewnił ją Noghri, a jego miaukliwy głos zabrzmiał nieco bardziej srogo. - Wy wyznaczycie sobie zadanie zniszczenia fabryki klonów. I nie wątpimy w to, że z po mocą syna Vadera na pewno wam się to powiedzie. My zaś postawiliśmy sobie za cel zlikwidowanie każdej, choćby najmniejszej rzeczy, która przypominałaby o obecności Imperatora na Waylandzie. Zapewne były to ostatnie pamiątki po Imperatorze w całej galaktyce. Dziewczyna kilkakrotnie rozważyła tę myśl, zastanawiając się przy tym, dlaczego nie odczuwa żadnej złości ani żalu. Może po prostu była zmęczona.

- To śmiały plan -powiedziała głośno. - A kto jest tym synem Vadera, który ma się tu pojawić i nam pomóc? Przez chwilę panowało milczenie.

- Syn Vadera już jest z wami - rzekł Noghri, wyraźnie zdziwiony. - Służysz mu, podobnie jak i my. Mara odwróciła w ciemności głowę w stronę swego rozmówcy... i nagle serce zamarło jej w piersiach.

- Masz na myśli... Skywalkera?

- Nie wiedziałaś o tym? Jadę spojrzała na pogrążoną we śnie postać, leżącą nie dalej niż metr od niej i poczuła jakieś okropne odrętwienie. W końcu, po tylu latach, dopasowała ostatni fragment tej niejasnej układanki. Imperator nie chciał śmierci Skywalkera ze względu na Luke'a - miał to być natomiast ostateczny akt zemsty wymierzony przeciwko jego ojcu. MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! W ciągu zaledwie paru chwil, wszystko, co traktowała jako nieodłączną część siebie -jej nienawiść, jej misja, całe jej życie -pograżyło się nagle w zamęcie. MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

- Nie - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. - Nie tak. To musi być moja decyzja, moje powody. Ale głos w jej umyśle brzmiał nadal. Może prowokował go do tego jej opór i nieposłuszeństwo; a może stała się na niego bardziej wyczulona za sprawą głębszego poznania Mocy, które w ciągu ostatnich kilku dni umożliwił jej Skywalker. MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! Z tobą sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, Maro Jadę. Dziewczyna podskoczyła raptownie, uderzając się przy tym tyłem głowy o pień drzewa. Kolejny głos; ale ten nie pochodził z jej wnętrza. Pochodził z... Widziałem cię podczas moich medytacji - ciągnął spokojnie głos. Widziałem, jak przyszedłaś i uklękłaś u moich stóp. Będziesz moja, a potem i Skywalker pójdzie w twoje ślady. Tak się stanie. Mara potrząsnęła energicznie głową, starając się odpędzić od siebie te słowa i myśli. Drugi głos jakby się zaśmiał; nagle słowa i śmiech zniknęły, a ich miejsce zajął daleki, ale uporczywy ucisk w jej umyśle. Zaciśnęła zęby i spróbowała się wyrwać spod jego wpływu. I niejasno ponownie usłyszała, że głos śmieje się z jej wysiłków... W pewnym momencie ucisk zelżał niespodziewanie, a stało się to tak nagle, że Mara z trudem złapała oddech.

- Nic ci nie jest? - spytał cicho Skywalker. Dziewczyna opuściła głowę. Luke uniósł się na jednym łokciu i zwrócił ku niej pogrążoną w mroku twarz.

- Ty też to słyszałeś?

- Nie słyszałem słów, ale czułem ten ucisk. Jadę podniosła wzrok na korony drzew.
- To C'baoth - stwierdziła. - On tu jest.
- Tak - przyznał Skywalker. Mara wyczuła w jego głosie pewną obawę. Nic dziwnego: już raz spotkał się z C'baoth'em na Jomarku i mało brakowało, a dałby mu się omotać.
- I co teraz robimy? - spytała Mara, drżącą ręką ocierając pot, który wystąpił jej wokół ust. - Przerwywamy naszą misję?
- Jak? - wzruszył ramionami Luke. - Od góry Tantiss dzielą nas zaledwie dwa lub trzy dni drogi. Powrót na „Sokoła” trwałby znacznie dłużej.
- Tyle, że Imperium już wie, że tu jesteśmy.
- Może tak, a może nie - powiedział wolno Jedi. - Czy ten kontakt z tobą także zakończył się raptownie? Dziewczyna zmarszczyła brwi... i nagle pojęła całą sytuację.
- Myślisz, że otoczyli go isalamirami?
- Albo przypięli mu taki stelaż, jakiego używałaś na Jomarku. Tak czy inaczej można by z tego wnosić, że jest ich więźniem. Mara przeanalizowała tę ewentualność. Jeśli istotnie tak było, to być może C'baoth nie zamierzał mówić tym, którzy go więzili, o zbliżających się do góry najeźdźcach. Przyszła jej do głowy inna myśl. Dziewczyna spojrzała ostro na Skywalkera.
- Czy wiedziałeś, że C'baoth ma zamiar się tu zjawić? - dociekała. - Czy dlatego właśnie chciałeś, bym sobie przypomniała moje szkolenie Jedi?
- Nie wiedziałem, że tu będzie - odparł Luke. - Ale wiedziałem, że w końcu będziemy musieli jeszcze raz się z nim spotkać. Sam to po wiedział na Jomarku. Dziewczyna zadrżała. Uklękał u moich stóp...
- Skywalker, ja nie chcę się z nim spotkać.
- Ja też nie - rzucił cicho. - Ale myślę, że musimy. - Luke westchnął ciężko, a następnie podniósł się ze swojego materaca. - Może się teraz trochę prześpij - zaproponował, podchodząc do Mary. - Ja i tak już się rozbudziłem, a ty przyjęłaś na siebie siłę tego uderzenia.
- Dobrze - zgodziła się Jadę. Była zbyt zmęczona, by oponować. - Zawołaj mnie, gdybym ci była potrzebna.
- Oczywiście. Wyminęła Calrissiana i Wookiego, i wsunęła się pod swój koc. Ostatnią rzeczą, którą zarejestrowała przed pogrążeniem się w sen, był znajomy głos na dnie jej umysłu. **MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!**

ROZDZIAŁ 22

Raport z góry Tantiss przyszedł nocą i kiedy Pellaeon zjawił się rano na mostku, już tam na niego czekał. „Draklor” dotarł na Wayland mniej więcej o czasie, czyli jakieś sześć godzin wcześniej. Wyładował pasażerów, a następnie - zgodnie z rozkazami - wyruszył do układu Valrar. Generał Covell odmówił przejęcia dowodzenia aż do czasu, gdy na Waylandzie zacznie się rozwidniać... Kapitan zmarszczył brwi. Odmówił przejęcia dowodzenia? To do Covella niepodobne.

- Kapitanie Pellaeon? - przywołał go oficer łącznościowy. - Właśnie otrzymujemy przekaz holograficzny od pułkownika Selida z Waylandu. Wiadomość jest oznaczona jako pilna.

- Proszę ją wyświetlić na ekranie holograficznym w tyle mostka - polecił Pellaeon, wstając z fotela i kierując się na tył. - Zawiadomcie też wielkiego admirała... Chociaż nie - urwał, widząc, że Thrawn i Rukh już są na schodach prowadzących na tylną część mostka. Thrawn także go dostrzegł.

- Czy coś nie w porządku, kapitanie?

- Pilna wiadomość z Waylandu, panie admirałe - poinformował przełożonego Pellaeon, wskazując ekran holograficzny. Już pojawił się na nim wizerunek imperialnego oficera; mimo iż obraz przedstawiał sylwetkę pomniejszoną czterokrotnie, Pellaeon zauważył podenerwowanie na twarzy mężczyzny.

- Pewnie chodzi o C'baotha - rzucił ponuro wielki admirał. Dotarli przed ekran holograficzny i Thrawn skinął oficerowi głową. - Pułkownikowi Selid, tu wielki admirał Thrawn. Proszę meldować.

- Admirale - powiedział Selid, prężąc się słuźbiście. - Z przykrością muszę pana powiadomić o nagłej śmierci generała Covella.

- Jak to się stało? - spytał Pellaeon, otwierając usta ze zdziwienia.

- Jeszcze nie wiemy, kapitanie - odparł Selid. - Wygląda na to, że zmarł we śnie. Lekarze w dalszym ciągu przeprowadzają testy, ale na razie mogą jedynie stwierdzić, iż duże fragmenty mózgu generała Covella po prostu przestały funkcjonować.

- Tkanka mózgowa nie przestaje funkcjonować tak po prostu, pułkowniku - zauważył Thrawn. - Musi być po temu jakiś powód.

- Tak, panie admirale. - Selid skrzywił się nieznacznie. - Bardzo mi przykro, admirale: nie to miałem na myśli.

- Wiem - uspokoił go Thrawn. - A co z resztą pasażerów?

- Lekarze właśnie badają wszystkich i jak dotąd nie znaleźli niczego niepokojącego. A właściwie badają tych, którzy są jeszcze w garnizonie. Oddziały generała Covella - ci żołnierze, którzy przybyli razem z nim na „Draklorze” - zdążyły się rozproszyć poza terenem góry, za nim odkryto śmierć generała.

- Jak to, cała grupa? - zdziwił się Pellaeon. - Ale po co?

- Nie wiem, kapitanie - wyznał Selid. - Generał Covell wydał taki rozkaz. No, to było po ogólnym spotkaniu, zanim jeszcze umarł.

- Może lepiej nam pan opowie wszystko od początku, pułkowniku - zażądał Thrawn. - Po kolei i dokładnie.

- Tak jest, panie admirale. - Selid przez chwilę zbierał myśli. - Generał Covell i wszyscy inni zostali przywiezieni na powierzchnię planety jakieś sześć godzin temu. Chciałem mu od razu przekazać dowodzenie garnizonem, ale on odmówił. Potem oznajmił, że musi przeprowadzić poufne spotkanie ze swoimi oddziałami w jednej z mes oficerskich.

- Z jakimi oddziałami? - chciał wiedzieć Thrawn. - Z całym garnizonem?

- Nie, admirale, tylko z tymi, które przybyły z nim na „Draklorze”. Powiedział, że musi im przekazać jakieś specjalne rozkazy.

- Zdaje mi się, że miał na to mnóstwo czasu na pokładzie swojego statku? - rzucił pytająco Pellaeon, spoglądając na przełożonego.

- To prawda - przyznał Thrawn. - Tak by się wydawało.

- Może to był pomysł C'baotha, admirale - podsunął Selid. - Od kiedy wysiedli z wahadłowca, ani na krok nie odstępował generała. I cały czas jakby coś do niego mruczał.

- Aha - rzekł Thrawn w zadumie. Jego głos brzmiał spokojnie, ale była w nim jakaś nuta, która przyprawiła Pellaeona o drżenie. - A gdzie jest teraz mistrz C'baoth?

- Na górze, w dawnych apartamentach Imperatora - oznajmił Selid. - Generał Covell zażądał, by je dla niego otwarto.

- Czyżby nie działał tam wpływ isalamirów? - spytał szeptem Pellaeon.

- Wątpię - potrząsnął głową Thrawn. - Według moich wyliczeń cała góra i część przyległych terenów powinny stanowić obszar, gdzie nie dociera Moc. I co się potem stało, pułkowniku?

- Generał przez jakieś piętnaście minut rozmawiał ze swymi oddziałami - podjął Selid. - Kiedy wyszedł, oznajmił mi, że wydał żołnierzom tajne rozkazy, które pochodzą bezpośrednio od pana, admirale, i że mam w niczym nie przeszkadzać.

- I potem żołnierze opuścili górę?

- Najpierw zabrali jeszcze z jednego z magazynów narzędzia i materiały wybuchowe. Przed wyruszeniem w drogę spędzili także kilka godzin na terenie garnizonu. Jak to określił generał, zapoznawali się z jego rozplanowaniem. Kiedy już odeszli, C'baoth odprowadził generała do jego kwatery, a następnie dwaj moi szurmowcy odprowadzili C'baotha do apartamentów Imperatora. Zarządziłem w

pozostalej części garnizonu porządek nocny i to już było wszystko. A rano oficer dyżurny znalazł generała martwego.

- A zatem w momencie śmierci Covella C'baath nie był przy nim? - zainteresował się Thrawn.

- Nie, admirale. Choć lekarze są zdania, że zmarł niedługo po jego wyjściu - rzekł Selid.

- I do tego czasu C'baath nieustannie mu towarzyszył?

- Tak, panie admirale. Pellaeon zerknął ukradkiem na Thrawna. Wielki admirał patrzył gdzieś w pustkę; jego gorejące, czerwone oczy były teraz wąskie jak szparki.

- Proszę mi powiedzieć, pułkowniku, jakie wrażenie zrobił na panu generał Covell?

- No... - Selid się zawahał. - Muszę przyznać, że byłem nieco rozczarowany.

- To znaczy?

- Po prostu generał był inny, niż się spodziewałem, admirale - rzekł Selid, wyraźnie zakłopotany. Pellaeon wcale go za to nie winił: krytykowanie jednego wyższego oficera w obecności drugiego zdecydowanie kłóciło się z etykietą wojskową. Zwłaszcza, jeśli chodziło o dwie różne gałęzie sił zbrojnych. - Wydał mi się... jakby nieobecny; nie znajduję lepszego słowa. Dał mi do zrozumienia, że podjęte przeze mnie środki bezpieczeństwa są niewystarczające i że wprowadzi daleko idące zmiany. Nie chciał mnie jednak w nie wtajemniczyć. Mówiąc prawdę, w ogóle

321 21- Ostatni rozkaz

bardzo mało ze mną rozmawiał. Zresztą nie chodziło tylko o mnie: zagadywany przez innych oficerów, bardzo szybko ucinął wszelkie rozmowy. Naturalnie miał do tego prawo i może był po prostu zmęczony. Ale to jakoś nie pasowało do tego, co o nim wcześniej słyszałem.

- Tak, to rzeczywiście zupełnie nie w jego stylu - przyznał Thrawn. - Czy ekran holograficzny w dawnej sali tronowej Imperatora działa, pułkowniku?

- Tak. Choć nie jestem pewien, czy C'baath przebywa w samej sali tronowej.

- Na pewno tak - stwierdził Thrawn lodowatym tonem. - Proszę mnie z nim połączyć.

- Tak jest, admirale. Wizerunek Selida zniknął z ekranu, a na jego miejsce pojawił się symbol oczekiwania na połączenie.

- Myśli pan, że C'baath zrobił coś Covellowi? - spytał cicho Pellaeon.

- Nie znajduję innego wytłumaczenia - rzekł Thrawn. - Podejrzewam, że nasz ukochany mistrz Jedi próbował przejąć kontrolę nad umysłem Covella, być może nawet chciał zastąpić całe jego fragmenty swoim. Kiedy znaleźli się w zasięgu działania isalamirów, stracił z mózgiem Covella bezpośredni kontakt, a z samego generała zostało tak niewiele, że nie był w stanie zbyt długo utrzymać się przy życiu.

- Rozumiem. - Pellaeon odwrócił głowę w drugą stronę, czując nagły przypływ złości. Ostrzegał Thrawna przed C'baath'em i przed tym, co ich może spotkać z jego strony. I to niejednokrotnie. - Co pan zamierza z tym zrobić? Nim wielki admirał zdążył odpowiedzieć, symbol oczekiwania zniknął z ekranu; ale zamiast normalnego, czterokrotnie pomniejszonego obrazu, z ekranu spojrzęła na nich ogromna twarz starca. Pellaeon mimowolnie zrobił krok w tył. Thrawn natomiast nawet nie drgnął.

- Dzień dobry, mistrzu C'baath - odezwał się spokojnie. - Widzę, że odkryłeś prywatną regulację hologramu Imperatora?

- Wielki admirał Thrawn - powitał go C'baath chłodnym i aroganckim tonem. - Czy tak właśnie nagradza pan moją pracę na rzecz zaspokojenia pańskich ambicji? Zdradą?

- Jeśli można mówić o jakiejś zdradzie, to tylko z twojej strony, mistrzu C'baath - oznajmił Thrawn. - Co zrobiłeś z generałem Covellem? C'baath zignorował jego pytanie.

- Nie tak łatwo zdradzić Moc, jak się panu wydaje - powiedział. - I proszę nie zapominać, admirale: wraz z moim upadkiem nastąpi i pański kres. Przewidziałem to.

Umilkł i przez parę sekund spoglądał groźnie to na Pellaeona, to na Thrawn. Wielki admirał odczekał chwilę, po czym spytał:

- Czy już skończyłeś? Starzec zmarszczył czoło i na jego nienaturalnie powiększonej twarzy wyraźnie odmalowały się niepewność i niepokój. Mimo całego wrażenia, jakie robiło powiększenie hologramu, miało ono swoje słabe punkty.

- Na razie tak. Czy chciałby mi pan przedstawić jakąś nędzną bajeczkę na swoją obronę?

- Nie mam powodu, żeby się bronić - stwierdził Thrawn. - To ty się uparłeś, żeby jechać na Wayland. A teraz powiedz mi, co zrobiłeś generałowi Covellowi. Przez moment obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. C'baoth poddał się pierwszy i zanosilo się na to, że starzec zaraz się załamie. Ale po chwili podniósł dumnie głowę; znów był aroganckim mistrzem Jedi.

- Generał Covell był mój, więc mogłem zrobić z nim to, na co tylko miałem ochotę - oznajmił. - Podobnie jak z całym moim Imperium.

- Dziękuję - rzekł Thrawn. - To wszystko, co chciałem wiedzieć. Pułkownika Selid? Odmownie twarz C'baotha zastąpił pomniejszony wizerunek Selida.

- Słucham, admirał?

- Rozkazy, pułkownika - zwrócił się do niego Thrawn. - Przede wszystkim, mistrz C'baoth będzie od tej chwili przebywał w areszcie. Może się swobodnie poruszać po apartamentach i sali tronowej Imperatora, ale nie wolno mu stamtąd wychodzić. Naturalnie wszystkie stanowiska sterowania na tych piętrach mają zostać odłączone. Po drugie, proszę się dowiedzieć, gdzie dokładnie wewnątrz góry widziano oddziały generała Covella, nim wyruszyły w teren.

- Może zapytamy bezpośrednio tych żołnierzy? - podsunął Selid. - Zapewne mają przy sobie komunikatory.

- Nie jestem pewien, czy możemy ufać ich odpowiedziom - oznajmił Thrawn. - Z tym zresztą wiąże się mój trzeci rozkaz. Żaden z od działów, który opuścił górę na polecenie generała Covella, nie może zostać do niej ponownie wpuszczony.

- Słucham, admirał? - rzucił pytająco Selid, wyraźnie zbity z tropu.

- Dobrze pan słyszał. Za kilka dni przyjedzie po nich inny trans portowiec i wtedy wszyscy zostaną zabrani z planety. Ale do tego czasu pod żadnym pozorem nie wolno im wejść z powrotem do wnętrza góry.

- Taak jest, panie admirał - rzekł Selid, jękając się przy rym nerwowo. - Ale... panie admirał, co ja mam im powiedzieć?

- Może im pan powiedziec prawdę - odparł cicho Thrawn. - Że ich rozkazy nie pochodziły od generała Covella, a już na pewno nie ode mnie, ale od zdrajcy Imperium. Dopóki wywiad nie pozna szczegółów, na całej grupie będzie ciążył zarzut o nieświadomy udział w zdradzie. To ostatnie słowo jakby zawisło między nimi w powietrzu.

- Zrozumiałem, panie admirał - wydusił w końcu Selid.

- To dobrze. Naturalnie zostaje pan przywrócony do funkcji dowódcy garnizonu. Czy są jakieś pytania?

- Nie, panie admirał. - Pułkownik wyprężył się służbiście.

- To dobrze - powtórzył Thrawn. - W takim razie może się pan zająć swoimi obowiązkami. „Chimera” przerywa połączenie. Postać Selida zniknęła z ekranu.

- Myśli pan, że bezpiecznie będzie zostawić tam C'baotha? - zagadnął Pellaeon.

- Chyba w całym Imperium nie ma bezpieczniejszego miejsca - zauważył wielki admirał. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Nie bardzo rozumiem?

- Jego przydatność dla Imperium gwałtownie dobiega końca, kapitanie - oznajmił Thrawn. Odwrócił się i ruszył w stronę głównej części mostka. - Chociaż musi jeszcze odegrać ostatnią rolę w naszym długo falowym procesie konsolidacji władzy. - Przystanął u wylotu korytarzyka prowadzącego do stanowiska dowodzenia. - C'baoth

jest szalony, co do tego obydwaj się zgadzamy. Ale to szaleństwo kryje się w jego umyśle, a nie w ciele.

- Sugeruje pan, byśmy stworzyli jego kłona?! - Pellaeon otworzył szeroko oczy.

- A czemu nie? Oczywiście nie w samej górze Tantiss, zważywszy na panujące tam warunki. No i nie w tempie, na jakie pozwala tamtejsza fabryka: to jest dobre dla produkowania techników i pilotów myśliwców, ale nie zda egzaminu w przypadku tak delikatnej struktury. Wyobrażam sobie, że trzeba by przenieść takiego kłona do czasów dzieciństwa, a potem pozwolić mu dojrzewać w normalnym tempie przez dziesięć czy piętnaście lat. Naturalnie trzeba by stworzyć dla niego odpowiednie warunki wychowawcze.

- Rozumiem - rzucił Pellaeon, z trudem panując nad swoim głosem. Młody C'baoth - a może dwóch, dziesięciu, dwudziestu takich C'baothów, poruszających się swobodnie po całej galaktyce... Chyba nie zdoła się tak od razu oswoić z tą myślą. - Gdzie założyłby pan tę drugą fabrykę klonów?

- W jakimś absolutnie bezpiecznym miejscu - rzekł Thrawn. - Może na którejś z planet w Nieznanych Terytoriach, gdzie niegdyś służyłem Imperatorowi. Kiedy rozniesiemy Rebeliantów pod Bilbringi, poleci pan wywiadowi, by zaczął szukać właściwego miejsca. Wargi kapitana zdrząły mimowolnie. Tak: ten niebezpieczny, dziwny atak na Bilbringi. Z powodu tego nieszczęsnego C'baotha zdążył zapomnieć o najważniejszej sprawie dnia. A raczej o swoich obawach w tej kwestii.

- Admirale, jestem zmuszony panu przypomnieć, że dowody wskazują na to, iż przewidywanym celem ataku nadal jest Tangrene.

- Jestem świadom tych dowodów, kapitanie - stwierdził Thrawn. - Niemniej jednak Rebelianci zjawiają się koło Bilbringi. - Leniwie powiódł wzrokiem po mostku; nic nie mogło ująć uwagi jego czerwonych, gorejących oczu. I wszyscy członkowie załogi o tym wiedzieli. Przy każdym stanowisku, od pulpitu kontrolnego, a skończywszy na bocznych konsolach, żołnierze wzdychali i wiercili się niespokojnie, wiedząc, że ich dowódca patrzy na nich. Chcieli mu się pokazać z jak najlepszej strony. -1 my także - dodał wielki admirał, zwracając się do Pellaeona. - Proszę obrać kurs na Bilbringi, kapitanie. I przygotujmy się na spotkanie z naszymi gośćmi. Wedge opróżnił do końca swój kubek i odstawił go na poplamiony blat małego drewnianego stolika. Jednocześnie rozejrzał się po gwarnej barze Nocny Smok. Miejsce było tak samo zatłoczone jak przed godziną, kiedy tu przyszedł w towarzystwie Jansonai Hobbiego; teraz jednak zmieniła się nieco klientela. Większość młodych ludzi -zarówno par, jak i grup - opuściła już bar, a zamiast nich zaczęli napływać znacznie starsi i zdecydowanie bardziej zaniedbani osobnicy. Pojawienie się ludzi z marginesu było niechybnym znakiem, że czas już opuścić tę spelunę. Inni członkowie Żelaznego Dywizjonu także zdawali sobie z tego sprawę.

- Chyba czas już iść? - zasugerował Hobbie. W kawiarnianym gwarze jego głos był ledwie słyszalny.

- Racja. - Wedge skinął głową. Podniósł się z krzesła, szukając w kieszeni monety, która pokryłaby koszt ostatniej kolejki. Był w cywilnym ubraniu, którego nie znosił. Ale przecież nie mógł włączyć się po mieście w mundurze Nowej Republiki, i to z charakterystycznymi pagonami Żelaznego Dywizjonu. Znalazł wreszcie właściwą monetę i rzucił ją na środek stołu. W tym czasie jego koledzy także zdążyli już wstać z miejsc.

- Dokąd teraz? - spytał Janson. Skulił nieco ramiona, by rozprostować mięśnie pleców.

- Myślę, że z powrotem do bazy - odparł Antilles.

- To dobrze - mruknął Janson. - Do rana już i tak pozostało nie wiele czasu. Wedge skinął głową i ruszył w kierunku wyjścia. Naturalnie ranek zaświta, kiedy przyjdzie na to pora, ale oni dużo wcześniej muszą opuścić planetę i pospieszyć na odległe miejsce spotkania w pobliżu stoczni na Bilbringi. Zaczęli się przeciskać między zatłoczonymi stolikami. Jakiś wysoki, chudy mężczyzna odsunął krzesło, uderzając przy tym Antillesa w nogi, i chwiejnie wstał z miejsca.

- Uwaga - wymamrotał bełkotliwie. Obróciwszy się nieco, objął Wedge'a ramieniem, jednocześnie wieszając się na nim niemal całym swym ciężarem.

- Ostrożnie, przyjacielu - burknął Antilles, z trudem odzyskując równowagę. Kątem oka zauważył, że Janson podszedł do mężczyzny z drugiej strony i podtrzymał go...

- „Ostrożnie” to dobre słowo - szepnął nieznajomy. Jego głos nie brzmiał już bełkotliwie, a ręka zacisnęła się mocniej na ramieniu Wedge'a. - A teraz wszyscy czterej wyjdziemy: pomożecie pijanemu człowiekowi wyjść z baru. Antilles zeszywniał. Wyśledzeni, przyparci do muru i złapani... Przez zwyczajne wyjście do miasta wpakowali się w poważne kłopoty. Jako że on i Janson podtrzymywali mężczyznę, jedynie Hobbie miał wolną rękę, by w razie potrzeby wyciągnąć broń. Ale ten człowiek z pewnością miał w pobliżu jakąś obstawę. Nieznajomy musiał wyczuć niepokój Wedge'a.

- Hej, spokojnie - upomniał go cicho. - Nie pamiętasz mnie? Antilles zerknął na człowieka, który opierał o niego swoją głowę. Jego twarz nie wydała mu się znajoma; chociaż z tak bliskiej odległości nie umiałby pewnie rozpoznać nawet własnej matki.

- A powinienem? - spytał szeptem. Mężczyzna, jak przystało na pijanego, zatoczył się.

- Tak mi się wydaje - powiedział urażonym tonem. - Jeśli się razem z kimś atakowało niszczyciel gwiazdny, to można by się chyba spodziewać, że ten ktoś cię zapamięta. Zwłaszcza, jeżeli się to działo w środku kosmicznej pustki. Wedge dokładniej przyjrzał się twarzy mężczyzny. „W środku kosmicznej pustki...?”. I nagle skojarzył. Flota Katańska i ludzie Talona Karrde'a, zjawiający się niespodziewanie, by pomóc im w walce z siłami Imperium. A potem pospieszna prezentacja na pokładzie krążownika gwiazdowego...

- Aves?

- To nie było takie trudne, co? - ucieszył się jego rozmówca. - Mówiłem, że jeśli tylko spróbujesz, to na pewno sobie przypomnisz. No, a teraz już chodźmy, wolno i spokojnie. I starajmy się nie zwracać na siebie więcej uwagi niż to konieczne. Antilles doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu chyba nic innego jak tylko usłuchać; ale posuwając się w stronę wyjścia, cały czas szukał wzrokiem jakiejś okazji, by się wyplątać z tej sytuacji. Karrde i jego ludzie podobno zgodzili się dostarczać informacji Nowej Republice, ale to wcale jeszcze nie oznaczało, że są sojusznikami. A jeśli na przykład Imperium ich jakoś zaszantażowało... albo po prostu przekupiło ... Jednak zdążyli dotrzeć do drzwi, a żadna okazja ucieczki się nie nadarzyła.

- Tędy - powiedział Aves. Przestał już grać pijanego i ruszył w głąb słabo oświetlonej, niemal wyludnionej ulicy. Janson spojrzał na Wedge'a i uniósł pytająco brwi. W odpowiedzi Antilles wzruszył nieznacznie ramionami i podążył za Avesem. Może to rzeczywiście była jakaś pułapka, ale w tej chwili zwykła ciekawość wzięła górę nad nieokreślonym lękiem. Coś się działo, a on chciał się dowiedzieć, o co chodzi. Nie musiał się nad tym zbyt długo zastanawiać. Dwa domy za Nocnym Smokiem Aves skręcił nagle i zniknął w ciemnych drzwiach. Wedge wszedł za nim, podświadomie spodziewając się zobaczyć wycelowany w siebie tuzin blasterów. Ale Aves był sam.

- I co teraz? - spytał Antilles, kiedy Janson i Hobbie dołączyli do nich. Aves skinął głową w kierunku ulicy.

- Patrzcie. Jeśli się nie mylę... O, już tu idzie. Wedge wyjrzał ostrożnie zza drzwi. Ulicą, tuż obok niego, przemknął Anetliies o twarzy morsa. W przelocie zajął w głąb sieni; zwolnił nieznacznie kroku, ale zaraz się zreflektował i poszedł normalnym krokiem dalej. Minął wejście... Po chwili dał się słyszeć głuchy łoskot i nagle Antilles z powrotem znalazł się w drzwiach. Nieprzytomnego i bezwładnie zwisającego osobnika podtrzymywało dwóch mężczyzn o ponurych twarzach.

- Jakies kłopoty? - spytał Aves.

- Nie - mruknął jeden z mężczyzn, niezbyt delikatnie rzucając Antilles'a na podłogę w końcu korytarza. - Są bardzo podli, ale nie mają za grosz rozumu.

- Ten wcale nie był taki głupi - stwierdził Aves. - Antilles, przyjrzyj mu się dobrze. Może następnym razem zdołasz rozpoznać śledzącego cię szpiega Imperium.

- Szpieg Imperium? - powtórzył Wedge, mierząc wzrokiem obcego.
- Albo wolny strzelec - wzruszył ramionami Aves. - To równie nie bezpieczne. Antilles spojrzał na niego, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.
- Chyba powinniśmy wam podziękować - powiedział. Jeden z kolegów Avesa, zajęty przeszukiwaniem ubrania Antilles, zaśmiał się cicho.
- Sądzę, że tak - stwierdził Aves. - Gdyby nie my, to w najbliższym raporcie wywiadu imperialnego zostalibyście nieźle obsmarowani.
- Pewnie tak - przyznał Wedge, wymieniając szybkie spojrzenia z Hobbem i Jansonem. Przecież w końcu taki był zamysł tego posunięcia: dołożyć wszelkich starań, by utwierdzić wielkiego admirała Thrawn'a w przekonaniu, iż Tangrene w dalszym ciągu jest celem ataku Nowej Republiki. - Co zamierzacie z nim zrobić? - zwrócił się do Avesa.
- Zaopiekujemy się nim. Nie martw się, w najbliższym czasie nie będzie wysyłał żadnych raportów. Antilles pokiwał głową. Jeden wieczór poszedł kompletnie na marne. Choć oczywiście miło było się dowiedzieć, że ludzie Karrde'a w dalszym ciągu są po ich stronie.
- Jeszcze raz dziękuję - powtórzył, tym razem z przekonaniem. - Jestem waszym dłużnikiem.
- A chcesz od razu spłacić swój dług? - zagadnął Aves, przechylając głowę na bok.
- Jak? - spytał ostrożnie Wedge.
- Szykujemy pewną robotę - rzekł Aves, niedbałym gestem wskazując na niebo. - Wiemy, że wy też. I byłoby dobrze, gdybyśmy mogli wy startować w czasie, gdy Thrawn będzie pochłonięty waszymi działaniami.
- Jak to, chcesz, żebym ci powiedział, kiedy się zaczyna nasza operacja? - zdziwił się Antilles.
- A dlaczego nie? Jak już wspomniałem, i tak wiemy, że coś szykujecie. Powtórka przedstawienia Bela Iblisa i tego typu rzeczy. Wedge ponownie zerknął na swoich pilotów, zastanawiając się, czy i oni dostrzegają paradoksalność zaistniałej sytuacji. Oto cały wieczór rozsiewania przez nich delikatnych aluzji poszedł na marne, a tu nagle zostali poproszeni wprost o potwierdzenie informacji o tajnej akcji. Nawet wystawiona na wabia drużyna pułkownika Derlina nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej sytuacji.
- Bardzo mi przykro - powiedział wolno, starając się, aby w jego głosie faktycznie zabrzmiał żal - ale wiecie, że nie mogę wam udzielić tej informacji.
- Niby dlaczego? - drążył cierpliwie Aves. - Jak mówiłem, i tak już wiemy na ten temat bardzo dużo. Jeśli chcesz, mogę ci to udowodnić.
- Nie tutaj - rzucił szybko Antilles. Celem ich działania miało być rozsiewanie poszlak, a nie sprawianie, by budziły one aż tak silne podejrzenia. - Ktoś mógłby usłyszeć.
- Majorze, musimy już wracać - szepnął Janson, delikatnie stukając go w ramię. - Przed wyruszeniem czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. Dobry, stary Janson; Wedge bardzo potrzebował takich słów.
- Wiem, wiem - odparł. - Aves, zatrzymasz się tu jakiś czas?
- Mógłbym. A dlaczego pytasz?
- Słuchaj, zrobimy tak: porozmawiam z dowódcą mojej jednostki i postaram się załatwić dla ciebie zaświadczenie, że jesteś godzien za ufania w sprawach najściślej tajnych. Wyraz twarzy przemytnika wyraźnie wskazywał na to, co Aves myśli o tej propozycji.
- Warto spróbować - powiedział jednak dyplomatycznie. - Kiedy można się spodziewać odpowiedzi?
- Nie mam pojęcia - wyznał Wedge. - Wiesz, on, podobnie jak i my wszyscy, jest bardzo zajęty. Ale tak czy inaczej dam ci znać. Gdybyś jednak nie miał ode mnie wiadomości w ciągu dwudziestu ośmiu godzin, to znaczy, że już się nie odezwę. Antilles miał wrażenie, że przemytnik uśmiechnął się nieznacznie, choć mogło to być jedynie złudzenie wywołane panującym w sieni półmrokiem.

- W porządku - rzucił Aves mrukiwie. - To chyba lepsze niż nic. Możesz zostawić wiadomość u barmana pracującego na nocną zmianę w kawiarni Dona Laza.
- Dobra. Musimy już lecieć - pożegnał go Wedge. - Jeszcze raz dzięki. Razem ze swoimi pilotami wyszedł z sieni i przeciął ulicę. Dopiero, kiedy znaleźli się dwie przecznice od tamtego miejsca, Hobbie zabrał głos.
- Dwadzieścia osiem godzin, co? - powiedział. - Nieźle to wykombinowałeś.
- Też tak uważam - przyznał skromnie Antilles. - Wyruszając stąd po upływie tego czasu, dotarlibyśmy akurat na wielką bitwę o Tangrene.
- Miejmy tylko nadzieję, że on zamierza sprzedać tę informację Imperium - mruknął Janson. - Byłoby głupio, gdyby cały wieczór po szedł na marne.
- Nie martw się, na pewno ją sprzeda - prychnął Hobbie lekceważąco. - W końcu jest przemytnikiem; na co innego byłaby mu ona potrzebna? Wedge wrócił pamięcią do bitwy o Flotę Katańską. Może Karrde i jego banda istotnie byli tylko ludźmi z marginesu, zawsze gotowymi dać się przekupić temu, kto więcej zapłaci, ale w głębi serca wcale w to nie wierzył.
- Wkrótce się przekonamy - zwrócił się do Hobbiego. - Chodźcie: jak Janson zauważył, czeka nas mnóstwo pracy.

ROZDZIAŁ 23

Na ekranie pojawiła się ostatnia strona tekstu, a po niej notka: KONIEC STRESZCZENIA NA ZADANY TEMAT. DALSZE POLECENIA?

- Anuluj - rzuciła Leia. Opadła na oparcie krzesła i wyjrzała przez okno. Znowu ślepa uliczka. W podobnym miejscu urwał się też poprzedni trop, i jeszcze wcześniejszy. Księżniczka zaczynała nabierać przekonania, że badający archiwa bibliotekarze mieli rację: nawet, jeżeli w Starej Bibliotece Senatu znajdowały się jeszcze jakieś informacje na temat technik klonowania z okresu wojen klonowych, to były one schowane tak głęboko, by nikt nie zdołał do nich nigdy dotrzeć. W drugim końcu pokoju wyczuła oznaki powracającej świadomości. Wstała, podeszła do kołyski i popatrzyła na swoje dzieci. Jacen rzeczywiście już się obudził: gaworzył cichutko i z zainteresowaniem oglądał swoje paluszki. Leżąca obok niego Jaina jeszcze spała; pulchne wargi rozchyliła nieznacznie, także z każdym oddechem powietrze cichutko świszczało.
- Cześć, maleńki - szepnęła Leia do syna. Wyjęła go z kołyski i przy tuliła do siebie. Spojrzał na nią i, natychmiast zapominając o swoich palcach, obdarzył ją cudownym uśmiechem bezzębnych ust. -No, dziękuję - powiedziała, odwzajemniając uśmiech dziecka i gładząc je po policzku. - Chodź, zobaczymy, co słychać w wielkim świecie. Zniosła małego do okna. W dole widać było tętniące rytmem późnego ranka miasto. Pojazdy naziemne i skutery powietrzne hałaśliwie pędziły w różnych kierunkach jak oszalałe owady. Za miastem połyskiwały oślepiająco w porannym słońcu pokryte śniegiem wierzchołki gór Manarai. Na widocznym za nimi, intensywnie niebieskim niebie nie było ani jednej chmurki; a dalej... Zadrżała. Dalej znajdowało się pole ochronne planety, a także niewidoczne, śmiertelne asteroidy Imperium. Z zamyślenia wyrwało ją gruchanie Jacena. Zerknęła na syna i zobaczyła, że chłopczyk wpatruje się w nią z jak jej się wydawało -niepokojem.
- Wszystko w porządku -rzuciła uspokajająco. Mocniej przytuliła dziecko do siebie i zaczęła je delikatnie kołysać. - Wszystko w porządku. Znajdziemy je, co do jednej i wszystkich się pozbędziemy. Nic się nie martw. Drzwi za plecami księżniczki się otworzyły i do pokoju weszła Win-ter; przed nią unosiła się w powietrzu latająca taca.
- Wasza wysokość - powitała cicho Leię. - Pomyślałam, że może chciałaby się pani czegoś napić.
- Tak, bardzo dziękuję - odparła Organa Solo, wdychając dobywający się z dzbanka na tacy miły aromat przyprawianej ziołami pariszy. - Co się dzieje na dole?
- Nic ciekawego. - Winter popchnęła tacę w kierunku małego stolika i zaczęła zdejmować z niej naczynia. - Od wczorajszego rana ekipom poszukiwawczym nie udało

się znaleźć żadnych nowych asteroid. O ile dobrze zrozumiałam, to generał Bel Iblis sugerował, że być może wszystkie już uprzątnięto.

- Nie podejrzewam, by admirał Drayson w to uwierzył.

- Nie - przyznała Winter. Wyciągnęła w stronę księżniczki dymiący kubek, czekając, aż Leia ułoży Jacena tak, by mieć jedną rękę wolną. - Ani on, ani Mon Mothma. Organa Solo skinieniem głowy podziękowała swej towarzyszce i wzięła kubek z jej rąk. Mówiąc prawdę, sama nie bardzo w to wierzyła. Nawet, jeżeli wyprodukowanie pól maskujących istotnie było tak drogie, to nie mogło jej się pomieścić w głowie, by Imperium zadało sobie tyle trudu dla wypuszczenia mniej niż siedemdziesięciu zamaskowanych asteroid. A z powodzeniem mogło ich być dwa razy tyle. Te dwadzieścia jeden, które znaleźli, z pewnością nie wyczerpywały ich liczby.

- Jak się posuwają badania? - spytała Winter, napełniając swój kubek.

- W ogóle się nie posuwają- musiała wyznać księżniczka. Miała wrażenie, że omawiają jeden nierozwiązywalny problem po drugim. - Ale to mnie chyba nie powinno dziwić. Wyznaczeni przez Radę specjaliści przejrzyli już wszystkie zapiski i niczego nie znaleźli.

- Ale pani jest Jedi i ma pani Moc.

- Widocznie mam jej za mało - potrząsnęła głową Leia. - A przy najmniej nie aż tyle, by mogła mnie doprowadzić do właściwego archiwum. Jeżeli w ogóle jest takie archiwum. Już wcale nie jestem tego pewna. Przez minutę popijały w milczeniu. Organa Solo delektowała się delikatnym smakiem gorącej parisy, boleśnie świadoma tego, że nie wiadomo, kiedy będzie miała okazję pić ją ponownie. Korzeń, z którego sporządzano ten napój, trzeba było importować spoza planety.

- Wczoraj rozmawiałam z Mobvekharem - oznajmiła Winter, jak by czytając w jej myślach. - Mówił, że wspominała mu pani o jakiejś wskazówce. To miało związek z czymś, co powiedziała Mara Jadę.

- Z czymś, co powiedziała Mara i co Lukę zrobił - potwierdziła Leia. - Tak, pamiętam; i w dalszym ciągu uważam, że gdzieś musi być klucz do rozwiązania tej zagadki. Tylko nie jestem w stanie określić, o co w tym wszystkim chodzi. - Rozległo się pikanie komunikatora. - Wiedziałam, że to nie potrwa długo - westchnęła księżniczka. Odstawiła kubek i odpięła od pasa komunikator. Mon Mothma obiecała jej, że będzie miała cały ranek wolny, ale najwyraźniej postanowiła nieco skorygować tę obietnicę. - Rad na Organa Solo - powiedziała Leia do mikrofonu urządzenia. Ale to nie była Mon Mothma.

- Tu centrala łączności - oznajmił służbiście czyjś głos. - Tuż przed linią patrolowców znajduje się cywilny transportowiec o nazwie „Szalony Karrde”. Kapitan nalega na to, by rozmawiać bezpośrednio z panią. Czy zechce pani z nim porozmawiać, czy też mamy go po prostu przepędzić z układu? A więc Karrde zdecydował się wreszcie przyjechać po swoich ludzi. Albo też słyszał jakieś plotki i postanowił osobiście się pokręcić w okolicy Coruscant. Tak czy inaczej sytuacja była niezręczna.

- Lepiej mnie z nim połączcie - poleciła oficerowi z kontroli.

- Dobrze. Dało się słyszeć ciche szcęknięcie.

- Witaj, Karrde - powiedziała księżniczka. - Tu Leia Organa Solo.

- Witam panią - rozległ się w odpowiedzi uważny, opanowany głos. - Miło panią znowu słyszeć. Mam nadzieję, że otrzymaliście moją przesyłkę. Księżniczka dopiero po chwili skojarzyła, o co chodzi. Ach, tak: zarejestrowany z lornetki atak na Ukio.

- Tak, otrzymaliśmy - potwierdziła. -1 dziękuję w imieniu Nowej Republiki.

- Już odebraliśmy wystarczające podziękowanie - zażartował przemytnik. - Czy wynikły może jakieś nieprzyjemności w związku z ustalonym rodzajem płatności?

- Wręcz przeciwnie - rzekła Leia, mijając się z prawdą. - Jesteśmy gotowi zapłacić podobną kwotę za dalsze informacje tej samej wagi.

- Miło mi to słyszeć - stwierdził Karrde. - Czy jesteście może także zainteresowani technologią? Księżniczka zamrugnęła powiekami. Nie spodziewała się takiego pytania.

- Jaką technologią? - spytała.

- Dostyc rzadkiego rodzaju. Moze udzieli mi pani specjalnego pozwolenia na zejście na planete i wtedy omowimy te kwestie?

- Obawiam sie, ze to nie bedzie mozliwe. Mniej istotne przyloty na Coruscant zostaly ograniczone.

- Tylko mniej istotne? Leia skrzywila sie boleśnie. A zatem do Karrde'a dotarli jednak jakies plotki.

- Co dokladnie pan slyszal?

- Jakies luzne pogloski. I w zasadzie tylko jedna z nich tak naprawde mnie interesuje. Proszę mi powiedziec o Marze.

- Co mam panu o niej powiedziec? - badala ostroznie księżniczka.

- Czy przebywa w areszcie? Organa Solo poslala Winter szybkie spojrzecie.

- Karrde, to nie jest cos, o czym powinniśmy rozmawiac...

- Proszę mnie tak nie zbywac - przerwal jej ostro przemytnik. - Chyba jest mi pani cos winna. A wlasciwie jest pani cos winna Marze.

- Zdaje sobie z tego sprawe - odparla Leia, takze przybierajac nieco chlodniejszy ton. - Ale niech pan pozwoli mi dokończyc. Chcialam powiedziec, ze to nie jest cos, o czym powinniśmy rozmawiac na otwartym kanale łączności.

- Ach, rozumiem. - Nawet, jezeli Karrde byl w jakikolwiek sposob zażenowany swoim nietaktem, to nie dal tego po sobie poznac. - Czy moglibyśmy w takim razie skorzystac z pomocy Ghent'a?

- Powinien gdzieś tu byc.

- Proszę go znalezc i posadzić przy końcówce komputera z dostepem do systemu łączności. Niech wprowadzi do komputera jeden z moich prywatnych kodow szyfrowych, wszystko jedno który. To nam powinno umożliwić zachowanie naszej rozmowy w tajemnicy. Księżniczka rozwazyla te propozycje. Takie posunięcie wyeliminuje przynajmniej ewentualny podsłuch ze strony innych statkow cywilnych kręcących sie w poblizu. Ale czy zdołaja w ten sposob przechytrzyć czajace sie w okolicy imperialne roboty wywiadowcze, to juz zupełnie inna kwestia.

- Przynajmniej warto od tego zaczac - zauwazyla. - Pójdę go po szukac.

- Będę czekal. Sygnal polaczenia umilkł.

- Jakies klopoty? - zainteresowala sie Winter.

- Zapewne. - Leia spojrzala na Jacena, po raz kolejny czujac dziwne dzwonienie na dnie umyslu. Znowu miala wrazenie, ze najwazniejsza czesc łamigłowki tkwi w ciemności gdzie blisko, ale poza jej zasięgiem. Zdołala juz ustalic, ze to dotyczy Luke'a i Mary. Czyzby Karrde tez mial z tym cos wspólnego? - Przybył tu w sprawie Mary... i nie podejrzewam, by go ucieszyla wiadomosc, ze j ej tu nie ma. Proszę, zaopiekuj sie bliźniętami; ja muszę znalezc Ghent'a i pójsc razem z nim do centrum dowodzenia. Kontrolna lista danych przesunęła sie do końca i zatrzymala sie.

- Wyglada na to, ze wszystko jest w porzadku - zwrócił sie Ghent do Leii. Wpatrujac sie w monitor, wprowadzil jeszcze do systemu dekodujacego jakas ostatnia poprawke. - Zreszta co najwyzej uroni pani od czasu do czasu jedna sylabe i tyle. Proszę zaczynac.

- Tylko uwazaj na to, co mówisz - przypomniał księżniczce Bel Iblis. - Mogą nas podsłuchiwać jakies roboty wywiadowcze, a nie mamy gwarancji, ze Imperium nie zdołalo złamac kodow szyfrowych Karrde'a. Nie mów nic, czego by jeszcze nie wiedzieli.

- Rozumiem - skinęła głową Organa Solo. Usiadła na krzesle i po ciągnęła za przełącznik, który jej wskazal oficer łącznościowy. - Karrde, jesteście gotowi.

- Ja również - dal sie slyszec głos przemytnika. Mial troche niższą barwę niż zazwyczaj, ale poza tym brzial normalnie. - Dlaczego Mara przebywa w areszcie?

- Kilka tygodni temu do palacu włamal sie imperialny oddzial komandosow - wyjaśniła Leia, uwaznie dobierajac slowa. - Dowódca tej grupy dal nam do zrozumienia, ze Mara byla z nimi w zмовie.

- To jakis absurd! - prychnal szef przemytnikow.

- Zgadzam sie z panem. Ale w przypadku oskarzenia tak ciężkiej wagi trzeba dokladnie zbadać sprawe.

- I co odkryli wasi badacze?
- To, o czym część z nas wiedziała już wcześniej - rzekła Organa Solo. - Że Mara była niegdyś bliską współpracownicą Imperatora.
- I dlatego w dalszym ciągu przebywa w areszcie? - dociekał Karrde. - Z powodu czegoś, co robiła w przeszłości?
- Nie interesuj e nas przeszłość - odparła księżniczka, pocąc się ze zdenerwowania. Nie miała najmniejszej ochoty zwodzić Karrde'a, szczególnie zważywszy na pomoc, jakiej im udzielił. Ale na wypadek gdyby ich rozmowie przysłuchiwały się roboty wywiadowcze, musiała stwarzać wrażenie, że na Jadę w dalszym ciągu ciążyą podejrzenia. - Część członków Rady i wyższych rangą dowódców nie jest pewna tego, komu ona służy obecnie.
- W takim razie oni są głupcami - rzucił ostro szef przemytników. - Chciałbym z nią porozmawiać.
- Niestety, to niemożliwe - stwierdziła Leia. - Mara nie może utrzymywać łączności ze światem zewnętrznym. Z głośnika rozległ się jakiś cichy odgłos - księżniczka nie miała pewności, czy był to szcęk urządzenia dekodującego, czy też może westchnienie.
- Niech mi pani powie, dlaczego nie mogę wylądować - poprosił Karrde. - Słyszałem różne plotki. Proszę mi powiedzieć prawdę. Organa Solo podniosła wzrok na Bela Iblisa. Na jego twarzy nie było zachwyty, ale w końcu przyzwalająco skinął głową.
- Prawdą jest taka, że znajdujemy się w oblężeniu - oznajmiła Leia szefowi przemytników. Wielki admirał umieścił w przestrzeni dokoła Coruscant dużą liczbę zamaskowanych asteroid. Nie wiemy jednak, ile ich jest ani po jakich orbitach się poruszają. Dopóki ich wszystkich nie znajdziemy i nie zniszczymy, pole planetarne musi pozostawać włączone...
- Tak... - szepnął Karrde. - Ciekawe. Słyszałem o tym imperialnym ataku, ale w opowieściach nie było ani słowa o jakichś asteroidach. Z większości plotek wynikało jedynie, że ponieśliście dotkliwe straty i staracie się jakoś ten fakt zatuszować.
- Coś mi się wydaje, że to Thrawn rozpowszechnia takie wiadomości - burknął Bel Iblis. - To takie uderzenie w nasze morale dla rozrywki pomiędzy atakami.
- Rzeczywiście, on jest biegły we wszystkich aspektach sztuki wojennej - przyznał szef przemytników. Ale Leia wyczuła w jego tonie jakąś dziwną nutę. - Ile z tych asteroid zdołaliście już dotąd znaleźć? Bo zakładam, że ich szukaliście.
- Odszukaliśmy i zniszczyliśmy dwadzieścia jeden - poinformowała go księżniczka.
- Razem z tą, którą unicestwiło samo Imperium, byśmy jej nie dostali w swoje ręce, ubyły już dwadzieścia dwie asteroidy. Ale dane, które zarejestrowaliśmy podczas bitwy, sugerują, że może ich być aż dwieście osiemdziesiąt siedem. Przez chwilę Karrde milczał.
- Zważywszy na ogrom przestrzeni, to wcale nie jest ich tak dużo - zauważył w końcu. - Chciałbym zaryzykować i prześlizgnąć się pomiędzy nimi.
- Nie martwimy się o pana - wtrącił Bel Iblis. - Myślmy o tym, co by się stało z Coruscant, gdyby czterdziestometrowa asteroida przedostała się przez pole ochronne i uderzyła w powierzchnię planety.
- Mógłbym się dostać do środka w ciągu pięciu sekund przekonywał szef przemytników.
- Nie wyłączymy pola - oznajmiła twardo Organa Solo. - Bardzo mi przykro. Z głośnika ponownie rozległ się jakiś cichy odgłos.
- W takim razie nie pozostaje mi chyba nic innego jak zaproponować układ. Wspomniała pani wcześniej, że bylibyście skłonni zapłacić za informacje. A więc dobrze. Mam coś, czego potrzebujecie, i moją ceną jest kilka minut rozmowy z Marą. Leia spojrzała ze zdziwieniem na Bela Iblisa; w odpowiedzi napotkała jego równie zdumiony wzrok. Generał także nie miał pojęcia, o co Karrde'owi chodzi. Księżniczka zdawała sobie jednak sprawę z tego, że nie może obiecać szefowi przemytników rozmowy z Marą.

- Nic nie mogę panu obiecać - powiedziała. - Proszę mi przekazać tę informację, a ja spróbuję postąpić z panem uczciwie. Przez dłuższą chwilę Karrde rozważał tę propozycję w milczeniu.

- Obawiam się, że nie zdołam wynegocjować nic więcej - rzucił w końcu. - No dobrze. W każdej chwili możecie wyłączyć pole planetarne. W przestrzeni nie ma już ani jednej asteroidy

- Co takiego?! - zawołała Organa Solo, wlepiając w nadajnik zdumiony wzrok.

- To co powiedziałem. Asteroid już nie ma. Thrawn zostawił wam dwadzieścia dwie i dwadzieścia dwie już zniszczyliście. Oblężenie skończone.

- Skąd pan to wie? - zainteresował się Bel Iblis.

- Na krótko przed tym imperialnym atakiem byłem w stoczni na Bilbringi - wyjaśnił mężczyzna. - Zauważyliśmy grupę dwudziestu dwóch asteroid, przy których wykonywano jakieś prace z zachowaniem najwyższych środków ostrożności. Naturalnie wtedy nie mieliśmy pojęcia, co Imperium zamierza z nimi zrobić.

- Czy zarejestrował pan jakoś te swoje obserwacje? - dążył generał.

- Dysponuję danymi z czujników „Szalonego Karrde'a”. Jeśli jesteście gotowi, to mogę je wam zaraz przesłać.

- Proszę zaczynać. Zapaliło się światelko sygnalizujące proces przesyłania danych i Leia odwróciła głowę w stronę głównego monitora taktycznego. Rzeczywiście pojawiło się na nim wnętrze stoczni na Bilbringi - znała je z materiałów

337 22 - Ostatni rozkaz

dostarczonych przez statki rozpoznawcze Nowej Republiki. A w samym centrum, w otoczeniu pojazdów pomocniczych i odpowiednio ubranych robotników...

- On ma rację - szepnął Bel Iblis. - Dwadzieścia dwie asteroidy

- To jeszcze nie dowodzi, generale, że nie ma ich więcej - wtrącił oficer siedzący przy stanowisku czujników. - Mogli przygotować następną partię na Ord Trasi albo na Yadze Mniejszej.

- Nie - potrząsnął głową stary Koreliańczyk. - Pomijając już problemy z transportem, nie wyobrażam sobie, by Thrawn przekazywał technologię dotyczącą konstrukcji pola maskującego w większą liczbę miejsc niż to absolutnie konieczne. Na pewno nie życzyłby sobie, byśmy przez przypadek dostali w swe ręce działający model.

- Czy choćby odczyty systemowe - przyznał Karrde. - Gdybyście odkryli jakąś słabość, pozbawilibyście go tym samym jednego z głównych atutów. No dobra: ja ze swej strony dotrzymałem umowy. Teraz kolej na was. Organa Solo popatrzyła bezradnie na Bela Iblisa.

- Dlaczego chce pan z nią rozmawiać? - spytał generał.

- Jeśli was to interesuje, to powiem, że siedząc w więzieniu najtrudniej jest poradzić sobie z uczuciem całkowitego osamotnienia - stwierdził chłodno szef przemysłowców. - I wyobrażam sobie, że Mara tak się właśnie czuje; mnie przynajmniej gnębiły takie myśli, kiedy wbrew własnej woli gościłem na pokładzie „Chimery”. Chcę ją zapewnić - i to osobiście - że o niej pamiętamy.

- Leio? - szepnął Bel Iblis. - Co robimy? Księżniczka zerknęła na generała; usłyszała jego słowa, ale jakby ich nie zarejestrowała. Nagle stanął jej przed oczami klucz, którego szukała: uwięzienie Karrde'a na pokładzie „Chimery”.

- Leio? - powtórzył stary Koreliańczyk, przyglądając się jej ze zdziwieniem.

- Słyszałam, o co pan pytał - rzuciła. Wypowiadane przez nią słowa wy dały jej się dziwnie mechaniczne i odległe. - Proszę pozwolić mu wylądować. Bel Iblis zerknął na siedzącego obok oficera.

- Może powinniśmy najpierw...

- Powiedziałam, żeby pozwolono mu wylądować - przerwała mu księżniczka z większą gwałtownością, niż zamierzała. Nieoczekiwanie wszystkie fragmenty układanki trafiły na swoje miejsce... A obraz, jaki się z nich ułożył, ukazywał potencjalną katastrofę.

- Biorę całą odpowiedzialność na siebie. Przez parę sekund generał wpatrywał się badawczo w jej twarz.

- Karrde, tu Bel Iblis - powiedział wolno. - Wyłączmy dla pana pole planetarne na te pięć sekund. Proszę czekać na instrukcje dotyczące lądowania.

- Dziękuję- odparł szef przemysłowców. - Wkrótce porozmawia my osobiście. Generał dał znak oficerowi przy pulpicie kontrolnym, ten zaś skinął głową i przystąpił do pracy.

- No dobrze, Leio - zwrócił się następnie do księżniczki. - O co chodzi? Organa Solo westchnęła głęboko.

- Chodzi o klony, Garm. Już wiem, jak to się dzieje, że Thrawn klonuje je tak szybko. W całym centrum dowodzenia zapanowała martwa cisza.

- Jak? - spytał wreszcie Bel Iblis.

- Chodzi o Moc - wyjaśniła. To było takie oczywiste, tak zadziwiająco oczywiste... A jednak aż do tej pory nie zwróciła na to uwagi. - Nie rozumie pan? Kiedy się sporządza dokładny duplikat jakiejś rozumnej istoty, między oryginałem a duplikatem dzięki Mocy nawiązuje się automatycznie jakaś więź czy coś w tym rodzaju. I to właśnie wypacza umysł klona, który jest produkowany zbyt szybko: taki umysł nie ma dostatecznie dużo czasu, by się przystosować do wywieranego nań na pięcia. Nie może się przystosować, więc następuje załamanie.

- No dobrze - wtrącił niepewnie stary Koreliańczyk. - I jak Thrawn sobie radzi z tym problemem?

- To bardzo proste - stwierdziła Leia, czując, że przechodzi ją dreszcz. - Używa isalamirów, by uniemożliwić Mocy dostęp do komór klonowania. Twarz Bela Iblisa wyraźnie spochmurniała. Ktoś z obecnych w pogrążonym w milczeniu centrum dowodzenia zaklął cicho.

- Kluczem do tej zagadki było wydostanie Karrde'a z więzienia na pokładzie „Chimery” - podjęła księżniczka. - Mara powiedziała mi, że Imperium wywoziło z lasów na Myrkrze jakieś pięć czy sześć tysięcy isalamirów. Ale nie załadowało ich na swoje statki wojenne, bo kiedy ona i Lukę spieszyli Karrde'owi na ratunek, nie mieli żadnych problemów z korzystaniem z Mocy.

- Ponieważ isalamiry znajdowały się na Waylandzie. - Generał pokiwał głową ze zrozumieniem. Nagle spojrzał na Leię z napięciem. - A to oznacza, że gdy nasza grupa dotrze do góry...

- Lukę będzie bezbronny - dokończyła za niego Organa Solo, czując ucisk w gardle. - Co więcej, nawet nie przyjdzie mu to do głowy aż do czasu, kiedy już będzie za późno. Ponownie zdrząła, gdyż nieoczekiwanie przypomniał jej się sen, który miała zeszłej nocy. Lukę i Mara stojący w obliczu szalonego Jedi i jeszcze jakiegoś nieznanego niebezpieczeństwa. Wtedy uspokoiła ją nieco świadomość, że jej brat zdoła wyczuć obecność C'baoth'a na Waylandzie i podejmie odpowiednie kroki, by uniknąć spotkania z nim. Ale obecność isalamirów może sprawić, że wpadnie prosto w ręce starca. To jest nie tylko prawdopodobne: tak się na pewno stanie. Nie wiedziała dlaczego, ale była o tym głęboko przekonana. To, co jej się przytrafiło ostatniej nocy, to nie był sen, lecz wizja Jedi.

- Porozmawiam z Mon Mothmą - mówił właśnie Bel Iblis z ponurą twarzą. - Może uda nam się, pomimo tej akcji na Bilbringi, przeznaczyć parę statków na to, by pospieszyć im z pomocą. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia i wind sieciowych. Przez chwilę księżniczka obserwowała go, siedząc nieruchomo. Wiedziała, że generał robi, co w jego mocy, ale jednocześnie miała pewność, że jego misja się nie powiedzie. Zresztą Mon Mothma, dowódca Sesfan i sam Bel Iblis już to powiedzieli: po prostu nie dysponowali wystarczającą liczbą sprzętu i ludzi, by uderzyć jednocześnie na Wayland i na Bilbringi. Poza tym zdawała sobie sprawę z tego, że nie wszyscy członkowie Rady uwierzą w to, iż groźba zamaskowanych asteroid została już zażegnana. A przynajmniej nie na tyle, by odwołać atak na Bilbringi. To zaś oznaczało, że istnieje tylko jedna osoba, która może przyjść z pomocą jej mężowi i bratu. Z głębokim westchnieniem Leia podążyła za generałem. Przed przybyciem Karrde'a

musiała jeszcze załatwić mnóstwo spraw. Kiedy Karrde wysiadł ze swego statku, pod dachem tunelu prowadzącego na lądowisko czekał na niego trzyosobowy komitet powitalny. Szef przemytników zauważył całą grupkę, będąc jeszcze na szczycie rampy „Szalonego Karrde'a", i mimo panującego w tunelu półmroku już po paru krokach zdołał rozpoznać dwie osoby. Jedną z nich była Leia Organa Solo, drugą Ghent. Stojąca za nimi trzecia postać była niska i miała na sobie prosty, brązowy strój Jawasów. Karrde nie miał zielonego pojęcia, co tam robi jakiś sprzątac ulic... Ale kiedy czekające na niego osoby wyszły z cienia i przemytnik przyjrzał się twarzy Organy Solo, stało się dla niego jasne, że dowie się czegoś bardzo ważnego.

- Dzień dobry - powitał Leię, nieznacznie skłaniając głowę. - Miło cię widzieć, Ghent. Mam nadzieję, że na coś się tutaj przydałeś?

- Tak sądzę - odparł Ghent, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Zbyt nerwowo, nawet jak na niego. - Tak przynajmniej twierdzą.

- To dobrze. - Szef przemytników przeniósł wzrok na trzeciego członka komitetu powitalnego... - A wasz przyjaciel to... ?

- Jestem Mobvekhar z klanu Hak'khar - przedstawił się miaukliwie osobnik. Karrde z trudem oparł się pokusie, by nie cofnąć się o krok do tyłu. Bez względu na to, kto się krył pod tą szatą, na pewno nie był to Jawas.

- To mój ochroniarz - wyjaśniła księżniczka.

- Aha. - Karrde z trudem oderwał wzrok od tajemniczego osobnika. - Cóż... zaczął i skinął rękaw stroną tunelu. - Idziemy?

- Mary tu nie ma - potrząsnęła głową Organa Solo. Szef przemytników zerknął na Ghent'a, który wydawał się jeszcze bardziej zażenowany niż księżniczka.

- Ale przecież mówiła pani, że ona tu jest.

- Przyznałam jedynie, że została aresztowana. Nie mogłam wtedy powiedzieć nic więcej: istnieje niebezpieczeństwo, że podsłuchują nas jakieś imperialne roboty wywiadowcze. Karrde zmusił się do tego, by ukryć irytację. W końcu byli po tej samej stronie.

- To gdzie ona jest?

- Na planecie zwanej Wayland - poinformowała go Leia. - Razem z Lukiem, Hanem i jeszcze paroma członkami wyprawy. „Wayland?". Karrde nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej słyszał tę nazwę.

- A co jest takiego ciekawego na Waylandzie? - zapytał.

- Fabryka klonów wielkiego admirała Thrawna.

- Znaleźliście ją?! - zdumiał się szef przemytników.

- Nie my - odparła Organa Solo. - Mara. Karrde machinalnie pokiwał głową. A zatem znaleźli fabrykę klonowania na własną rękę. Wszystkie wysiłki, jakie włożył w zorganizowanie grup przemytniczych, poszły na marne. Praca, ryzyko, nie wspominając już o pieniądzach, które miał zamiar im wypłacić.

- Jesteście pewni, że tam właśnie znajduje się to centrum klonowania?

- Wkrótce się o tym przekonamy - stwierdziła księżniczka, wskazując ręką statek za plecami Karrde'a. - Chciałabym, żeby pan mnie tam zawiózł. I to natychmiast.

- Dlaczego?

- Ponieważ nasza ekspedycja jest w niebezpieczeństwie. Być może nasi ludzie jeszcze o tym nie wiedzą, ale tak właśnie jest. I jeśli w dalszym ciągu poruszają się zgodnie z planem, który nam przesłali, to jeszcze mamy szansę do nich dotrzeć, nim będzie za późno.

- Powiedziała mi o tym wszystkim, kiedy tu szliśmy - dodał Ghent z wahaniem w głosie. - Myślę, że powinniśmy... Urwał, widząc spojrzenie swego szefa.

- Darzę waszych ludzi sympatią - zwrócił się Karrde do Leii. - Ale są także inne sprawy, które wymagają mojej uwagi.

- A zatem opuszcza pan Marę? - rzuciła wyzywająco Organa Solo.

- Nie żywię dla niej żadnych szczególnych uczuć - odparował mężczyzna. - Jest po prostu jednym z członków mojej organizacji; to wszystko.

- Czy to nie wystarczy? Na chwilę spojrzenia Karrde'a i Leii się spotkały. Księżniczka wytrzymała jego wzrok... Z wyrazu jej oczu szef przemytników wywnioskował, że ona doskonale wie, iż z jego strony był to tylko bluff. Nie mógł się tak po prostu odwrócić i zostawić Mary na pastwę losu, tak samo jak nie mógłby opuścić Avesa, Dankina czy Czin. Przynajmniej nie w sytuacji, gdy mógł coś dla nich zrobić.

- To nie jest takie proste - powiedział cicho. - Mam określone zobowiązania także w stosunku do reszty moich ludzi. W chwili obecnej przygotowują właśnie akcję, w wyniku której chcemy zdobyć krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego, który moglibyśmy wam sprzedać.

- Krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego...? - Organa Solo była wyraźnie zdziwiona.

- To nie jest ten, na który wy polujecie -zapewnił ją Karrde. -Ale postanowiliśmy zgrać w czasie naszą akcję z waszą, w nadziei, że to zdezorientuje wroga. Ja muszę tam być.

- Rozumiem - szepnęła Leia. Widocznie postanowiła nie pytać, skąd szef przemytników wie o planowanym nalocie na Tangrene. - Czy udział „Szalonego Karrde'a" w tej akcji rzeczywiście jest tak niezbędny? Karrde zerknął na Ghent'a. Tak naprawdę nie było to konieczne, tym bardziej, że Aves zdołał już zebrać całkiem sporą grupę i że w operacji mieli brać udział także Mazzic i Ellor. Problem polegał na tym, że gdyby wyruszyli teraz - a Organa Solo najwyraźniej chciała, by wystartowali natychmiast - nie miałyby okazji powiedzieć Ghent'owi, by dostał się do systemu komputerowego Nowej Republiki i wydobył fundusze potrzebne Karrde'owi na opłacenie innych grup. Chyba, że zdołałby uzyskać pieniądze w inny sposób.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmił twardo. - Nie mogę tak po prostu opuścić moich ludzi. Chyba że...Nieoczekiwanie ubrany w szatę Jawasów obcy pstryknął palcami. Karrde urwał w pół zdania; zauważył, że do tunelu wsunęła się bezszelestnie jakaś niewysoka postać. W ręku ochroniarza Leii błysnął cienki nóż. Mobvekhar zniknął w drzwiach i przez chwilę panowała cisza. Szef przemytników posłał Leii pytające spojrzenie; księżniczka odpowiedziała mu niepewnym wzruszeniem ramion... Nagle z drzwi prowadzących do wiodącego na lądowisko tunelu rozległ się przeraźliwy pisk i odgłosy kotłowania. Karrde wyjął blaster i już wycelował go w majaczące przed nim sylwetki, kiedy szamotanina raptownie ustała. Parę sekund później Mobvekhar wyłonił się z drzwi, prowadząc przed sobą skuloną postać. Postać aż nazbyt dobrze wszystkim znaną.

- No, no - rzucił szef przemytników. Opuścił broń, ale nie schował jej do kabury. - Radny Fey'lya, o ile się nie mylę. Zaczął pan podsłuchiwać w korytarzach?

- Nie jest uzbrojony - poinformował miaukliwym głosem ochroniarz.

- W takim razie puść go - poleciała Organa Solo. Noghri natychmiast usłuchał. Fey'lya się wyprostował, próbując odzyskać panowanie nad sobą; futro na głowie i piersiach zafalowało mu przy tym gwałtownie.

- Protestuję przeciwko tak niestosownemu traktowaniu - rzekł nieco mniej melodyjnym głosem niż zazwyczaj. -1 wcale nie podsłuchiwałem. Generał Bel Iblis poinformował mnie o rewelacyjnym odkryciu radnej Organy Solo dotyczącym fabryki klonów na Waylandzie. Przy szedłem tu, kapitanie Karrde, aby wesprzeć radną Solo w jej staraniach dotyczących podróży na Wayland.

- Bo wtedy, szczęśliwie dla pana, znalazłaby się daleko stąd? - uśmiechnął się krzywo szef przemytników. - Dziękuję, ale zdaje mi się, że podobna sytuacja miała już kiedyś miejsce. Botańczyk wyprostował się dumnie.

- Tu nie chodzi o politykę - oznajmił. - Jeśli ich w porę nie ostrzeżemy, to nasi ludzie na Waylandzie mogą zginąć. A wówczas wielki admirał Thrawn będzie miał wystarczająco dużo czasu, by przewieźć część zawartości skarbcza Imperatora w jakieś bezpieczne miejsce, nim zdążymy ten skarbiec zniszczyć. - Utkwił w Karrdzie swe fioletowe oczy. - To zaś było by katastrofą zarówno dla ludu Botańczyków, jak i dla całej galaktyki. Przez chwilę szef przemytników przyglądał mu się badawczo, zastanawiając

się, co napawa Fey'lyę takim niepokojem. Jakaś broń czy urządzenie, którego Thrawn jeszcze nie znalazł? Czy też może chodziło tu o coś bardziej osobistego? Jakieś nieprzyjemne czy kompromitujące informacje dotyczące samego Fey'lyi albo generalnie Botańczyków? Podejrzał, że Fey'lya nie zechce mu odpowiedzieć na te pytania. Ale konkretne szczegóły nie miały w tej sytuacji większego znaczenia.

- Potencjalna katastrofa Botańczyków mnie nie martwi - zakomunikował Fey'lyi. - A na ile martwi ona pana? Futro na ramionach radnego zafalowało niespokojnie.

- Byłaby to także katastrofa dla całej galaktyki - stwierdził.

- Już pan to powiedział - zauważył Karrde. - Ale pytam jeszcze raz: na ile martwi to pana? Wówczas Fey'lya wreszcie zrozumiał. Jego oczy zwęziły się w szparki, a futro zafalowało z wyraźnej pogardy.

- A ile to będzie wymagało zachodu? - zapytał.

- Nie tak dużo - zapewnił go szef przemysłowców. - Jedynie kredyt w wysokości, powiedzmy... siedemdziesięciu tysięcy.

- Siedemdziesięciu tysięcy?! - powtórzył Botańczyk w osłupieniu. - Co pan sobie właściwie wyobraża...

- Taka jest moja cena, radny Fey'lyo - przerwał mu Karrde. - Może ją pan przyjąć lub nie. A jeśli radna Organa Solo istotnie się nie myli, to chyba nie mamy czasu na długie dyskusje. Fey'lya syknął jak rozwścieczony drapieżnik.

- Jest pan jedynie podłym najemnikiem - warknął. Karrde nigdy jeszcze nie widział tak zięjącego nienawiścią Botańczyka. - Wyciska pan ostatnie soki z ludu Botańczyków...

- Proszę sobie darować ten wykład - ostudził go szef przemysłowców. - Tak czy nie? Fey'lya syknął ponownie.

- Tak.

- To dobrze - pokiwał głową Karrde i zwrócił się do Leii. - Czy to konto kredytowe, które otworzył dla nas pani brat, jest wciąż aktualne?

- Tak - odparła. - Generał Bel Iblis wie, jak się do niego dostać.

- Może pan na nie przelać te siedemdziesiąt tysięcy - zakomunikował Fey'lyi szef przemysłowców. - I proszę pamiętać, że przed dotarciem na Wayland zatrzymamy się, by to sprawdzić. Wspominam o tym na wypadek, gdyby zechciał się pan wycofać.

- Ja postępuję honorowo, przemysłowcu - warknął Fey'lya. - W przeciwieństwie do niektórych tu obecnych.

- Miło mi to słyszeć - stwierdził Karrde. - Tak trudno spotkać kogoś, kto postępuje honorowo. Pani Solo? Leia westchnęła głęboko. - Jestem gotowa - oznajmiła. Znajdowali się już w znacznej odległości od Coruscant i właśnie szykowali się do skoku w nadprzestrzeń, kiedy księżniczka zdecydowała się wreszcie zadać pytanie, które nurtowało ją od chwili, gdy weszła na pokład.

- Czy naprawdę zamierzamy się zatrzymać, by sprawdzić, czy Fey'lya przelał te pieniądze?

- W sytuacji, kiedy - jak sama pani twierdzi - mamy tak mało czasu? Oczywiście, że nie. Ale Fey'lya o tym nie wie. Leia obserwowała przez chwilę, jak Karrde prowadzi swój statek.

- Pieniądze nie są dla pana aż tak istotne, prawda?

- W to także niech pani lepiej nie wierzy - poradził jej chłodno szef przemysłowców. - Muszę się wywiązać z pewnych zobowiązań i gdy by Fey'lya nie był chętny do współpracy, musiałaby to zrobić Nowa Republika.

- Rozumiem - szepnęła księżniczka. Karrde musiał widocznie wyczuć w jej głosie jakąś nutę niedowierzania, bo dodał:

- Mówię poważnie - zaznaczył, posyłając jej surowe, lecz nieprzekonujące spojrzenie. - Jestem tu, ponieważ to odpowiada moim celom, a nie ze względu na waszą wojnę.

- Powiedziałam, że rozumiem - powtórzyła Leia, uśmiechając się w duchu. Słowa były inne, ale wyraz twarzy niemal ten sam. Słuchaj, nie jestem tu ze względu na waszą

rewolucję ani też dla ciebie, księżniczko. Oczekuję, że dobrze mi za to zapłacicie. Biorę w tym udział dla pieniędzy. Han powiedział jej to po burzliwej ucieczce z pierwszej Gwiazdy Śmierci. I wtedy nawet mu uwierzyła. Uśmiech znikł z jej twarzy. Wtedy Han i Lukę uratowali jej życie. Zastanawiała się, czy teraz ona zdoła ich ocalić od śmierci.

ROZDZIAŁ 24

Wejście do góry Tantiss połyskiwało metalicznie spod zakrywającej je częściowo skały i bujnej roślinności. Teraz dzieliła ich od niego jedynie rozległa polana, na której przycupnęło niewielkie miasteczko.

- Co o tym myślisz? - spytał Luke.

- Myślę, że znajdziemy jakieś inne wejście - odparł Han. Mocniej przycisnął łokcie do pokrytego zeschniętymi liśćmi podłoża, starając się trzymać lornetkę nieruchomo. Miał rację: tuż obok metalowych drzwi znajdowała się wartownia szturmowców. - Nigdy nie jest dobrze wchodzić głównymi drzwiami. Skywalker dwukrotnie klepnął go w ramię: sygnał ten oznaczał, że ktoś się zbliża. Solo zastygł w bezruchu, nasłuchując. Po chwili wyłowił dobiegający z dołu wzgórza cichy odgłos kroków ludzi stąpających po leśnym poszyciu. Minutę później w odległości kilku metrów zza drzew wyłoniło się czterech żołnierzy imperialnych w pełnym uzbrojeniu polowym. Przepdefilowali dokładnie przed Hanem i Lukiem, jedynie od niechcienia zerkając w górę, i po paru chwilach znów zniknęli za drzewami.

- Zaczyna się tu robić trochę ciasno - zauważył szeptem Solo.

- Pewnie ze względu na bliskość góry - stwierdził Skywalker. - W dalszym ciągu nie wyczuwam, by wiedzieli o naszej obecności. Han westchnął ciężko i skierował wzrok na widniejącą w dole osadę. Zdecydowanie przeważały w niej niskie, obco wyglądające konstrukcje; spośród nich wyróżniała się sporych rozmiarów budowla, stojąca przodem do rozległego placu. Punkt obserwacyjny Hana nie był zbyt dobry, ale Solo miał wrażenie, że w pobliżu wejścia do tego dużego budynku kręci się spora grupka Psadan. Czyżby jakieś zgromadzenie mieszkańców miasteczka?

- Nie widzę tam żadnych śladów garnizonu - zakomunikował, po woli przesuwając lornetkę tak, by zlustrować całą osadę. - Widocznie musieli się zagospodarować tuż obok góry.

- W takim razie powinno nam być łatwiej ją obejść.

- Tak... - mruknął Han, znowu kierując lornetkę na plac. Tłumek Psadan utworzył teraz coś w rodzaju półkola, w środku, którego - tyłem do dużego budynku - stały jeszcze dwa „chodzące słupy skalne”. Tłum wyraźnie gęstniał.

- Jakies kłopoty? - spytał Luke.

- Nie wiem - powiedział wolno Solo. Jeszcze mocniej wbił łokcie w ziemię i nieco powiększył obraz w lornetce. - Tam na dole odbywa się jakieś duże spotkanie. Dwaj Psadanie... Ale oni chyba nic nie mówią, tylko coś trzymają.

- Może ja zobaczę - zaproponował Skywalker. - Są specjalne techniki Jedi na wyostrenie wzroku. Może zadziałają także na obraz otrzymywany z lornetki.

- Spróbuj - zgodził się Han. Wręczył przyjacielowi lornetkę i spojrzął w niebo. Majaczyło na nim kilka kłębiastych chmur, ale nic nie wskazywało na to, by miało się wkrótce całkiem zachmurzyć. Do zachodu słońca pozostały jeszcze jakieś dwie godziny; potem jeszcze przez pół godziny będzie dosyć widno...

- Hmm - chrząknął Luke.

- O co chodzi?

- Nie jestem pewien - rzekł Jedi, opuszczając lornetkę - ale wyda mi się, że ten przedmiot, który trzymają, to notes elektroniczny.

- Nie wiedziałem, że używają notesów elektronicznych - stwierdził Solo, spoglądając w stronę miasta.

- Ja też nie - rzucił Luke. Jego głos przybrał nagle jakieś dziwne brzmienie. Han zerknął na przyjaciela. Chłopak wpatrywał się z napięciem w górę Tantiss.

- Co się stało?
- Chodzi o tę górę - wyjaśnił Skywalker, nie spuszczać z niej wzroku. - Jest ciemna. I to cała. „Ciemna?”. Solo omiótł górę spojrzeniem, ale według niego wyglądała całkiem normalnie.
- O czym ty mówisz?
- Jest ciemna - powtórzył Jedi. - Podobnie jak Myrkr. Han zerknął na górę, potem przeniósł wzrok na Luke'a.
- Chcesz powiedzieć, że gromada isalamirów blokuje działanie Mocy?
- Tak to właśnie czuję-pokiwał głową Skywalker. -Ale będę to w sta nie stwierdzić z całą pewnością dopiero wtedy, kiedy podejdziemy bliżej. Solo jeszcze raz spojrzął na górę i poczuł nerwowy skurcz w żołądku.
- Świetnie - mruknął. - Po prostu świetnie. I co teraz? Lukę wzruszył ramionami.
- Idziemy dalej. Cóż nam innego pozostało?
- Możemy przecież wrócić na „Sokoła” i czym prędzej się stąd wynieść - zauważył Han. - Chyba, że koniecznie chcesz wpaść w zastawioną przez Imperium pułapkę.
- Nie myślę, żeby to była pułapka. - Jedi w zadumie potrząsnął głową. - A przynajmniej nie na nas. Pamiętasz, opowiadałem ci o tym kontakcie z C'baoth'em, który urwał się tak raptownie? Solo potarł policzek. Doskonale rozumiał, do czego Skywalker zmierza: chciał powiedzieć, że isalamiry ściągnięto tu ze względu na C'baotha, a nie z myślą o nim.
- Nie jestem pewien, czy to prawda - rzucił. - Miałem wrażenie, że Thrawn i C'baoth stoją po tej samej stronie. Zresztą Mara też tak mówiła.
- Może wynikło między nimi jakieś nieporozumienie - zasugerował Lukę. - A może Thrawn od samego początku tylko go wykorzystywał i po prostu już go nie potrzebuje. Skoro Imperium nie wie, że tu jesteśmy, to znaczy, że isalamiry przywieziono tu z myślą o nim.
- W zasadzie i tak nie ma większego znaczenia, dla kogo je prze znaczone - zauważył Han. - Uniemożliwiają ci korzystanie z Mocy tak samo jak C'baoth'owi. To będzie drugi Myrkr.
- Ja i Mara całkiem nieźle poradziliśmy sobie na Myrkrze - przy pomniął przyjacielowi Skywalker. - I tutaj też jakoś damy sobie radę. Zresztą do szliśmy już za daleko, by się teraz cofnąć. Solo skrzywił się z niezadowoleniem, ale Jedi miał rację. Kiedy Imperium zrezygnuje z zachowywania pozorów, że Wayland to jakaś opuszczona planeta, następny wysłany przez Nową Republikę oddział może nawet nie zdołać się przedostać do atmosfery.
- Masz zamiar powiedzieć o tym odkryciu Marze, nim się tam znajdziemy?
- Oczywiście. - Lukę popatrzył na niebo. - Ale powiem jej o tym po drodze. Teraz lepiej ruszajmy, póki jeszcze jest widno.
- Racja - przyznał Han. Po raz ostatni omiótł wzrokiem okolice, po czym wstał. Z Mocą czy bez Mocy, i tak musieli działać. -Chodźmy. Pozostali czekali na nich tuż po drugiej stronie wzgórza.
- Jak to wygląda? - spytał Lando, kiedy Solo i Skywalker dołączyli do nich.
- Wciąż jeszcze nie wiemy, że tu jesteśmy -poinformował go Han, szukając wzrokiem Mary. Dziewczyna siedziała na ziemi obok Threepia i Artoo, koncentrując się na pięciu kamieniach, które dzięki Mocy unosiły się przed nią w powietrzu. Lukę przez całe dni uczył ją podobnych sztuczek i Han przestał go wreszcie od tego odwozić. Teraz zresztą i tak zanosilo się na to, że te lekcje były jedynie stratą czasu. - Jesteś gotowa, by nas zaprowadzić do tych tylnych drzwi?
- Jestem gotowa, by zacząć ich szukać - odparła Jadę, w dalszym ciągu utrzymując kamienie w powietrzu. - Jak już mówiłam, widziałam urządzenia wentylacyjne tylko od środka góry; nigdy natomiast nie widziałam samych kanałów wlotowych.
- Znajdziemy je - zapewnił Marę Skywalker, który właśnie minął Solo i podszedł do robotów. - Threepio, jak się miewasz?

- Całkiem dobrze, dziękuję, panie Luke - odparł układowie android. - Ta droga jest znacznie lepsza niż wiele poprzednich. -Stojący obok niego Artoo coś zaświergotał. - Artoo też tak uważa - dodał Threepio.

- Lepiej się do niej nie przywiązujcie - przestrzegła roboty Jadę. W końcu wstała z miejsca, pozwalając, by kamienie spadły na ziemię. - Nie podejrzewam, byśmy znaleźli jakiś prowadzący na szczyt góry szlak Myneryszów, którym moglibyśmy się posuwać; Imperium skutecznie zniechęciło tubylców do kręcenia się po okolicy.

- Ale nie martwcie się - pocieszał roboty Skywalker. - Noghri znajdą dla nas jakąś ścieżkę.

- Transportowiec „Złoty”: otrzymujesz pozwolenie na dokowanie- dał się słyszeć z głośnika na mostku „Etherwaya” głos oficera ze stacji kontroli lotów na Bilbringi. - Platforma numer dwadzieścia pięć. Obierz kurs prosto na boję; tam dostaniesz dalsze wskazówki, jak dolecieć do platformy.

- Przyjąłem - rzucił Aves i wstukał współrzędne lotu, jakie się wyświetliły na monitorze komputera nawigacyjnego. - A co z polami ochronnymi?

- Trzymaj się wskazanego kursu, to na nie nie wpadniesz - odparł oficer. - Jeśli zaś zszokujesz jakieś piętnaście metrów w którąkolwiek stronę, to nieźle oberwiesz. A wnosząc z wyglądu twego statku, chyba nie bardzo możesz sobie na to pozwolić. Aves spojrzął z wściekłością na głośnik. Miał już dosyć ironicznych uwag imperialnego oficera.

- Dziękuję - powiedział i wyłączył nadajnik.

- Miło się pracuje z tymi facetami z Imperium, nie ma co - skomentował siedzący na fotelu drogiego pilota Gillespi.

- Chciałbym widzieć ich miny, kiedy zwiejemy stąd z ich krystalicznym eliminatorem pola grawitacyjnego.

- Obyśmy tylko nie utknęli tu gdzieś w pobliżu i nie musieli się o tym przekonać osobiście. Mają tu jakiś skomplikowany układ podejść.

- Przed akcją Mazzica tak nie było - zauważył Aves, wyglądając przez iluminator. Wzdłuż wektora, po którym się zbliżali, unosiło się w przestrzeni sześć generatorów pola energetycznego, wytyczając trasę lotu, jaką prawdopodobnie wskaże im boja. - Pewnie chodzi o to, by nikt nie mógł się swobodnie kręcić po stoczni.

- Tak - mruknął Gillespi. - Mam jedynie nadzieję, że usunęli z układu wszystkie niemiłe niespodzianki.

- Ja też - przyznał skwapliwie Aves. - Nie chciałbym, żeby się dowiedzieli, ile ten statek może tak naprawdę znieść. Spojrzął na tablicę przyrządów, by sprawdzić wektor lotu, po czym zerknął na zegarek. Flota Nowej Republiki powinna zaatakować Tangrene za nieco ponad trzy godziny. Przez ten czas „Etherway” zdąży akurat zadokować; wyładowuje specjalnie przygotowane, wybuchowe kondensatory promienia ściągającego, które kurtuazyjnie postanowili podarować Imperium; i zajmie dogodną pozycję do osłaniania Mazzica, który podejmie próbę wydostania krystalicznego eliminatora pola grawitacyjnego z głównego centrum dowodzenia, znajdującego się osiem platform dalej.

- Już leci EUor - zakomunikował Gillespi, wskazując głową w prawo. Obejrząwszy się, Aves zauważył „Kai Mir”, a obok niego „Kliveringa”. Za nimi widać było „Gwiazdę Północy”, dryfującą w stronę platformy do dokowania na obrzeżach stoczni. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Chociaż przy takim dowódcy jak Thrawn pozory mogły mylić. O ile Aves znał wielkiego admirała, to mógł się spodziewać, że Thrawn już zdążył się dowiedzieć o tej akcji i teraz jedynie czekał, aż wszyscy wejdą głębiej w jego sieć, by móc ją potem skuteczniej zamknąć.

- Miałeś jakieś wieści od Karrde'a? - zagadnął Gillespi przesadnie niedbałym tonem.

- Na pewno nas nie oszukuje - rzucił burkliwie Aves. - Jeśli mówi, że ma jakieś ważniejsze sprawy, to znaczy, że tak jest. Koniec, kropka.

- Wiem - rzekł dyplomatycznie Gillespi. - Pomyślałem tylko, że może inni zechcą się czegoś dowiedzieć. Aves skrzywił się z niesmakiem. W kółko to samo. Łudził się, że zdemaskowanie zdrady Ferriera na Hijarnie położy kres wszelkim wątpliwościom, ale niestety tak się nie stało.

- Ja tu jestem - przypomniał koledze. - Podobnie jak „Gwiazda Północy”, „Ranny Ptaszek”, „Posłaniec”, „Amanda Fallow”...

- Dobra, rozumiem, o co ci chodzi - przerwał mu Gillespi. - Nie oburzaj się na mnie: moje statki też tu są.

- Przepraszam - rzucił Aves. - Ale po prostu zaczyna mnie już męczyć to, że wszyscy wszystkich o coś podejrzewają.

- Jesteśmy przemysłnikami - wzruszył ramionami Gillespi. - Mamy w tym sporo wprawy. Osobiście dziwię się nawet, że ta grupa trzyma się razem tak długo. Jak myślisz, co on robi?

- Kto, Karrde? - Aves potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia. Ale to naprawdę jest coś ważnego.

- Jasne. - Gillespi skinął głową. - Czy to ta boja kontrolna?

- Na to wygląda. Przygotuj się do przekopiowania danych kursu. Zresztą gotowi czy nie, lecimy. Na ekranie stanowiska łączności Wedge'a wyświetliły się rozkazy. Antilles przebiegł je szybkim spojrzeniem, po czym wybrał prywatną częstotliwość, na której porozumiewał się ze swoim dywizjonem.

- Żelazny Dywizjon: tu dowódca - powiedział. - Rozkazy: lecimy na pierwszy ogień; będziemy osłaniać krążownik admirała Ackbara. Zachowajcie dotychczasowe pozycje, dopóki nie otrzymamy szczegółowych wytycznych, co do pożądanego szyku. Wszystkie statki: potwierdzić odbiór rozkazu. Piloci Wedge'a zameldowali się jeden po drugim, krótko i zwięźle, i Antilles uśmiechnął się z niejaką satysfakcją. Wiedział, że niektórzy wojskowi z otoczenia Ackbara obawiali się, iż daleki lot na wyznaczone miejsce spotkania całkowicie osłabi te jednostki, które miały wcześniej za zadanie pokazać się w rejonie Tangrene - oficjalnym celu ataku Nowej Republiki. Wedge nie mógł się wypowiadać za innych, ale było dla niego jasne, że Żelazny Dywizjon prezentuje doskonałą formę i jest gotów do bitwy.

- Myślisz, że Thrawn otrzymał naszą wiadomość, dowódco? - wyrwał go z zamyślenia głos Jansona. Ich wiadomość...? Ach, tak - chodziło o tę krótką rozmowę, jaką przeprowadzili w pobliżu baru „Nocny Smok” z przyjacielem Talona Karrde'a, Avesem. Hobbie był pewien, że przemysłnik od razu przekaże ją wywiadowi Imperium.

- Nie wiem, Piąty - odparł Antilles. - Ale prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie.

- To by znaczyło, że niepotrzebnie traciliśmy czas.

- Niekoniecznie - zauważył Wedge. - Pamiętasz, Aves mówił, że mają jakiś plan, który chcieliby zgrać w czasie z naszą akcją. A każde uderzenie w siły imperialne może nam jedynie pomóc.

- Pewnie chodziło im jedynie o jakiś większy przemysł- prychnął Szósty. - Chcieli to załatwić, kiedy Imperium będzie zajęte czym innym. Antilles nie odpowiedział. Luke Skywalker uważał, że Karrde nieoficjalnie popiera Nową Republikę, i to mu w zupełności wystarczało. Ale nie miał sposobu, by przekonać o tym resztę swego dywizjonu. Może któregoś dnia Karrde zdecyduje się oficjalnie wystąpić przeciwko Imperium. Ale do tego czasu - przynajmniej w opinii Wedge'a - każdy, kto nie stał po stronie wielkiego admirała, pomagał Nowej Republice; i to bez względu na to, czy się do tego przyznawał, czy też nie. Obraz na jego stanowisku łączności uległ zmianie: stojący na przodzie stożek krążowników gwiazdnych przyjął pozycję bojową. Czas, by pojazdy eskorty zrobiły to samo.

- No dobrze, uwaga Żelazny Dywizjon - zwrócił się do swoich pilotów. - Mamy zielone światło. Zajmijmy swoje pozycje. Zwiększył moc silników w swoim myśliwcu i ruszył w stronę światła pozycyjnych. Jeżeli pozostała część floty będzie się posuwać zgodnie z planem, to za dwie i pół godziny wszyscy wyjdą z nadprzestrzeni tuż obok stoczni na Bilbringi. Wedge pożałował, że nie będzie mu dane zobaczyć min żołnierzy imperialnych. Na ekranie wyświetliły się najświeższe raporty z regionu Tangrene. Pellaeon przebiegł je wzrokiem i wyraźnie spochmurniał. Nie było wątpliwości: Rebelianci w dalszym ciągu znajdowali się w tym rejonie. Wciąż ściągali posiłki; i wciąż

starali się nie zwracać na siebie uwagi. I jeśli przewidywania wywiadu imperialnego były trafne, to za dwie godziny przypuszczają atak na praktycznie bezbronny układ.

- Całkiem niezłe sobie poczynają, prawda, kapitanie? - zauważył Thrawn, stając obok niego. - Bardzo przekonujące przedstawienie.

- Panie admirale - zaczął Pellaeon, starając się, by jego głos brzmiał normalnie - ośmielam się twierdzić, że posunięcia Rebeliantów to nie jest żadne przedstawienie. Wszystkie dowody wskazują na to, że ich celem jest rzeczywiście Tangrene. Kilka najlepszych dywizjonów myśliwskich i większych statków zebrało się w dogodnych do ataku punktach...

- Myli się pan, kapitanie - przerwał mu chłodno Thrawn. - Chcą, byśmy tak właśnie uważali, ale to tylko przemyślnie stworzona iluzja. Statki, o których pan mówi, opuściły te sektory czterdzieści do siedem dziesięciu godzin temu; dla zmylenia naszych szpiegów została tam je dynie garstka ludzi w odpowiednich mundurach. Znakomita większość sił Rebeliantów leci właśnie w stronę Bilbringi.

- Tak, admirale. - Pellaeon westchnął cicho, zrezygnowany. A zatem Thrawn po raz kolejny postanowił zignorować jego argumenty i wszystkie dowody, i oprzeć się na swojej nieprzeniknionej intuicji. A jeśli się pomyli, to strącanie tylko bazę na Tangrene - błąd takich rozmiarów wstrząśnie całą machiną wojenną Imperium i znacznie osłabi jego pozycję.

- Każda wojna niesie ze sobą pewne ryzyko, kapitanie - powie dział cicho Thrawn. - Ale w tym wypadku ryzyko nie jest aż tak wielkie, jak się panu wydaje. Jeśli się mylę, stracimy jedną bazę; ważną, to prawda, ale nie kluczową. - Uniósł granatowoczarne brwi. Jeżeli jednak mam słuszność, staniemy przed dużą szansą na zniszczenie całej rebelianckiej floty z dwóch sektorów. Proszę wziąć pod uwagę, jaki to będzie miało wpływ na obecny stosunek sił.

- Tak, panie admirale - rzucił potulnie Pellaeon. Poczł na sobie wzrok Thrawna.

- Nie musi pan w to wierzyć - zwrócił się do niego wielki admirał. - Ale proszę być gotowym na uznanie swojej pomyłki.

- Mam nadzieję, że tak się właśnie stanie, admirale.

- To dobrze. Czy okręt admirałski jest gotów, kapitanie?

- „Chimera” oczekuje na pańskie rozkazy, admirale - odparł Pellaeon, odruchowo prężąc się słuźbiście.

- W takim razie proszę przygotować flotę do skoku w nadprzestrzeń. - Gorejące oczy błysnęły złowrogo. -1 do bitwy. Nie było żadnych ścieżek prowadzących na szczyt góry Tantiss, ale -jak Luke to słusznie przewidział -Noghri doskonale poradzi sobie z terenem. Mimo robotów, które zwalniały tempo, posuwali się zadziwiająco szybko i dotarli do kanałów wlotowych, kiedy słońce zaczęło się kryć za drzewami. Skywalker jednak zupełnie inaczej wyobrażał sobie te kanały. - Wygląda to raczej jak wciągana wieżyczka działa turbolaserowe-go niż system wentylacyjny - rzucił do Hana, kiedy ostrożnie przedzierali się między drzewami w stronę solidnej metalowej siatki i jeszcze solidniejszej konstrukcji, w której była osadzona.

353 23 - Ostatni rozkaz

- Przypomina mi bunkier, do którego musieliśmy się wdrzeć na Endorze - odparł szeptem Solo. - Ale tam nie było tych siatkowych drzwi. Uważajcie: mogą mieć czujniki do wykrywania nieproszonych gości. W normalnych warunkach Luke sięgnąłby Mocą w głąb tunelu, ale tutaj, z powodu otaczających go isalamirów, czuł się jak ślepiec. Zupełnie jakby znowu znalazł się na Myrkrze. Zerknął na Marę, ciekaw, czy dziewczyna ma podobne myśli i wspomnienia. Najprawdopodobniej tak. Mimo gęstniejącego mroku widział, że jej twarz jest napięta i malują się na niej niepokój i strach, których tam nie było, nim weszli w krąg oddziaływania isalamirów.

- I co teraz robimy? - spytała burkliwie Jadę, szybko odwracając gniewny wzrok. - Będziemy tu siedzieć do rana? Han przyjrzał się przez lornetkę kanałowi wlotowemu.

- Zdaje mi się, że pod metalowym nawisem znajduje się na ścianie gniazdko komputera - zakomunikował. - Wy tu zostańcie, a ja wezmę Artoo i spróbuję go do niego podłączyć. Stojący obok Hana Chewbacca zarzycał ostrzegawczo.

- Gdzie? - zainteresował się Solo, wyjmując blaster. Wookie jedną ręką wskazał kierunek, drugą sięgnął po broń. Wszyscy zamarli w bezruchu z blasterami gotowymi do strzału... Usłyszeli cichy odgłos odległej strzelaniny. Skywalker miał wrażenie, że dochodzi on z odległości kilku kilometrów, prawdopodobnie gdzieś od podnóża góry. Ale bez zastosowania wzmagających percepcję technik Jedi nie był w stanie tego stwierdzić z całą pewnością. Natomiast znacznie bliżej rozległ się znany im już, niby ptasi śpiew.

- Nadchodzi grupa Myneryszów - oznajmił Ekrikhor, w napięciu nastłuchując sygnałów. -Noghri ich zatrzymali. Chcą podejść bliżej i po rozmawiać.

- Powiedz im, żeby tam zostali - polecił mu Han. Zawahał się na ułamek sekundy, po czym schował blaster. Z kieszeni kurtki wydobyl wypchanego ptaka satna-chakka i przywołał Threepia. - Chodź, Złota Tyczko. Dowiemy się, czego oni chcą. Ekrikhor wydał szeptem jakiś rozkaz i jeden z Noghri zajął miejsce u boku Solo. Chewbacca stanął z drugiej strony i razem z bezskutecznie protestującym androidem cała grupa ruszyła w głąb lasu. Artoo zapiszczał niespokojnie, obracając swoją kopułkę to w stronę Luke'a, to w kierunku oddalającego się Threepia.

- Nie ma powodu do obaw - zapewnił go Skywalker. - Han nie da mu zrobić krzywdy. Przysadzisty robot wydał z siebie głuchy pomruk, zapewne chcąc wyrazić swoją pinię, co do troski, jaką Solo żywi w stosunku do androida.

- Za chwilę możemy mieć poważniejsze problemy niż zamartwianie się o zdrowie Threepia - stwierdził Luke ponuro. - Chyba słyszałem odgłosy strzelaniny u podnóża góry.

- Ja też je słyszałam - pokiwała głową Mara. - Najprawdopodobniej dochodziły od wejścia do skarbcza. Lando obejrzał się przez ramię na ogromny wlot systemu wentylacyjnego.

- Sprawdźmy, czy damy radę otworzyć ten kanał. Gdyby przyszło nam uciekać, mielibyśmy przynajmniej jeszcze jedną drogę odwrotu. Luke zerknął na Marę, ale ona w dalszym ciągu unikała jego wzroku.

- Dobrze - zwrócił się do Calrissiana. - Ja pójdę pierwszy, a ty przy prowadź Artoo. Ostrożnie zaczął się przedzierać między drzewami w stronę kanału wlotowego. Nawet, jeśli zainstalowano w nim system mający zabezpieczać górę przed ewentualnymi intruzami, to najwyraźniej już nie działał. Skywalker bez problemu dostał się pod metalowy nawis i uważnie obejrzał siatkę. Silny strumień wpadającego do wnętrza góry powietrza targał mu włosy. Okazało się, że zabezpieczenie otworu to raczej ciężka krata niż siatka; te zaś elementy, które wcześniej Luke brał za jej węzły okazały się metalowymi płytkami sięgającymi kilka centymetrów w głąb tunelu. Prawdziwie potężna barykada, ale Luke miał do dyspozycji miecz świetlny... Usłyszał odgłos stąpania po liściach. Odwróciwszy się, zobaczył nadchodzących Landa i Artoo.

- Gniazdko jest tam - poinformował robota, wskazując miejsce na bocznej ścianie. - Podłącz się do niego i zobacz, co zdołasz znaleźć. Robot zaszczębiotał na znak aprobaty i z pomocą Calrissiana podreptał po nierównym terenie w stronę gniazdko.

- Ta krata nie otworzy się dla ciebie tak po prostu - odezwała się Mara, stając za jego plecami.

- Artoo zaraz to sprawdzi - odparł Luke, przyglądając jej się uważnie. - Nic ci nie jest? Spodziewał się jakiejś ironicznej uwagi czy choćby miazdzącego spojrzenia, ale nie był przygotowany na to, że dziewczyna chwyci go za rękę.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał - powiedziała cicho. - Bez względu na to, ile by to miało kosztować, nie pozwól mi przejść na stronę C'baoth'a. Rozumiesz? Nie pozwól mi się do niego przyłączyć. Nawet, gdy byś musiał mnie zabić. Skywalker popatrzył na nią, czując jakiś dziwny dreszcz.

- Maro, C'baath nie może cię zmusić do tego, byś przeszła na jego stronę. Chyba, że mu w tym pomożesz.

- Jesteś tego pewien? Tak do końca? Lukę zrobił grymas. Było jeszcze tyle aspektów Mocy, których nie znał.

- Nie - wyznał.

- Ja też nie jestem tego pewna - rzekła Jadę. - I to mnie właśnie niepokoi. C'baath powiedział mi na Jomarku, że się do niego przyłączę. I tej nocy, kiedy tu przybył, też to powtórzył.

- Mógł się mylić - zasugerował niepewnie Skywalker. - Albo po prostu kłamał.

- Nie chcę ryzykować - stwierdziła Mara, mocniej ściskając jego rękę. - Nie zamierzam mu służyć, Skywalker. Chcę, żebyś mi obiecał, iż prędzej mnie zabijesz, niż pozwolisz mu to ze mną uczynić. Lukę przełknął nerwowo ślinę. Nawet bez wsparcia Mocy czuł, że dziewczyna mówi zupełnie poważnie. Ale żeby rycerz Jedi miał obiecać, że z zimną krwią kogoś zabije...

- Obiecuję ci to - powiedział głośno jakby wbrew swoim myślom. - Bez względu na to, co się tam stanie, nie będziesz musiała stanąć przed nim sama. Zawsze przyjdę ci z pomocą.

- A jeśli wcześniej zginiesz? - spytała, odwracając głowę. A więc to o to chodziło: od dnia, kiedy się spotkali po raz pierwszy nieustannie toczyła ze sobą tę samą bitwę.

- Nie musisz tego robić - zauważył cicho. - Imperator nie żyje. Głos, który słyszysz, jest jedynie wspomnieniem, które w tobie pozostawił.

- Wiem o tym - rzuciła ostro, z niespodziewanym żarem w głosie. - Ale myślisz, że dzięki temu jest mi go łatwiej ignorować?

- Na pewno nie - przyznał. - Ale nie możesz też zastaniać się tym głosem i robić sobie z niego wymówkę. Twoje przeznaczenie leży w twoich rękach, Maro. A nie C'baatha czy Imperatora. W końcu i tak to ty musisz podejmować decyzje. Masz do tego prawo... ale jest to także twój obowiązek. Od strony lasu usłyszeli odgłos kroków.

- Dobra - mruknęła dziewczyna. Puściła rękę Skywalkera i odsunęła się od niego o krok. - Jeśli masz ochotę, możesz sobie snuć te swoje wywody filozoficzne. Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałam. - Odwróciła się w stronę nadchodzącej grupy. - No i co się tam dzieje, Solo?

- Pozyskaliśmy sojuszników - oznajmił, zerkając w kierunku Luke'a. - A przynajmniej coś w rodzaju sojuszników.

- Hej, Threepio - przywołał androida Lando. - Chodź tu i powiedz nam, co tak poruszyło Artoo.

- Oczywiście, proszę pana - rzucił grzecznie robot i posuwistym krokiem ruszył ku końcówce komputera.

- Co to znaczy: coś w rodzaju sojuszników? - zainteresował się Skywalker, zwracając się do Solo.

- Wszystko to jest trochę skomplikowane, przynajmniej w tłumaczeniu Threepia - stwierdził Han. - Oni nie chcą nam pomóc; chcą je dynie wejść do środka i walczyć z Imperium. Przyszli tu za nami, bo wydedukowali, że znajdziemy jakieś tylne wejście, przez które zdołają dostać się do wnętrza góry. Lukę przyjrzał się uważnie grupie milczących, górujących nad pilnującymi ich Noghrimi obcych o czterech kończynach. Wszyscy mieli przy sobie, conajmniej po cztery długie noże i nieśli łuki - nie była to najlepsza broń do walki z zakutymi w pancerze żołnierzami Imperium.

- Nie wiem. Co o tym myślisz?

- Hej, Han - zawołał cicho Lando, nim Solo zdążył odpowiedzieć. - Chodź tutaj. Na pewno cię to zainteresuje.

- Co takiego? - spytał Han, podchodząc do końcówki komputera.

- Threepio, powiedz im - polecił androidowi Calrissian.

- Wygląda na to, że przypuszczono atak na główne wejście do góry - oznajmił robot charakterystycznym dla siebie, nieco zdziwionym tonem. - Artoo zdołał przechwycić

kilka meldunków dotyczących przemieszczania się w ten rejon najbliższej rozmieszczonych oddziałów...

- Kto atakuje? - przerwał mu Solo.

- Zdaje się, że jacyś Spadanie z miasta - wyjaśnił Threepio. - Z meldunków żołnierzy pilnujących bramy wynika, że przed przystąpieniem do ataku zażądali uwolnienia ich mistrza C'baotha. Han zerknął na Luke'a.

- To pewnie ten notes elektroniczny.

- Bardzo możliwe - przyznał Skywalker. Wiadomość od C'baotha, podżegająca ich do ataku. - Zastanawiam się, jak zdołał ją do nich przemyścić.

- W każdym razie jest to potwierdzenie przypuszczenia, że rzeczywiście trzymają go pod kluczem - wtrąciła Mara. - Mam nadzieję, że postawili przed jego całą jakichś dobrych strażników.

- Bardzo przepraszam, panie Lukę - odezwał się android, przechylając głowę na bok - ale jeśli chodzi o notes elektroniczny, o którym wspomniał kapitan Solo, to wydaje mi się, że przybył tą samą drogą co broń. Z meldunków wynika...

- Jaka broń? - zainteresował się Han.

- Właśnie miałem o rym powiedzieć - rzekł Threepio z nutką irytacji w głosie. - Z meldunków przesłanych spod bramy wynika, że napastnicy są uzbrojeni w blastery, przenośne wyrzutnie pocisków i detonatory termiczne. Jeśli wierzyć raportom, jest to broń nowego typu.

- Nieważne, skąd ją dostali - zauważył Lando. - Natomiast ta sytuacja niewątpliwie zaprzęta uwagę oddziałów imperialnych. I proponuję, byśmy jak najszybciej wykorzystali ten fakt. Chewbacca zarzycał podejrziwie.

- Masz rację, stary - przyznał Solo, zaglądając przez kratę w głąb tunelu. - Te wydarzenia zadziwiająco zbiegły się w czasie. Ale Lando też ma rację: powinniśmy to wykorzystać. Calrissian pokiwał głową.

- No dobra, Artoo. Wyłącz to wszystko. Robot zaszczebotał na znak zgody, poruszając ramieniem w gniazdku komputera. Ciąg powietrza zaczął słabnąć, a po chwili ustał całkowicie. Artoo zaświergotał ponownie.

- Artoo melduje, że wszystkie układy operacyjne połączone z tym kanałem wlotowym zostały wyłączone - poinformował Threepio. - Jednocześnie ostrzega, że kiedy cykl pracy dobiegnie końca, bariery przeciwpylowe i pola napędowe mogą zostać uruchomione centralnie, z wnętrza góry.

- W takim razie musimy się pospieszyć - zdecydował Lukę. Wyjął miecz świetlny i podszedł do wlotu. Precyzyjnie wykonał cztery cięcia: wejście było wolne.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - oznajmił Han, który ostrożnie wślizgnął się przez otwór i przywarł do bocznej ściany. - W tunelu palą się światła robocze, wskazując kilka dróg. Artoo, czy możesz dla nas zdobyć schemat tego miejsca? Robot zaświergotał, przetaczając się przez otwór.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - odezwał się Threepio. - Artoo po siada kompletny schemat samego systemu wentylacyjnego, ale mówi, że z tej końcówki nie mógł uzyskać innych informacji na temat tego kompleksu.

- Po drodze będą na pewno inne końcówki komputera - zauważył Lando. - Czy zostawiamy jakąś tylną straż?

- Zostanie tu jeden z Noghric - rzucił miaukliwie Ekrikhor. - Będzie pilnował wyjścia.

- Dobra - rzucił Solo. - Chodźmy. Uszli już jakieś pięćdziesiąt metrów w głąb tunelu i zbliżali się właśnie do pierwszych, słabych świateł roboczych, kiedy Skywalker nagle zauważył, że do środka weszli również milczący Mynerysze.

- Han? - szepnął, wskazując głową w tył.

- Tak, wiem - mruknął Solo. - A co miałem z nimi zrobić? Powiedzieć im, żeby sobie poszli do domu? Jedi jeszcze raz zerknął za siebie. Naturalnie Han miał rację. Ale noże i łuki przeciwko blasterom...

- Ekrikhorze?

- Jakie są twoje rozkazy, synu Vadera?

- Chcę, byś wyznaczył dwóch ze swoich ludzi, którzy pójdą z tymi Myneryszami - oznajmił Noghriemu. - Mają ich prowadzić i pomóc w razie jakiegoś starcia.

- Ale to ciebie musimy ochraniać, synu Vadera - zaproponował Ekrikhor.

- W ten sposób też będziecie mnie chronić - stwierdził Lukę. - Dzięki każdemu zabitemu przez Myneryszów żołnierzowi imperialne mu pozostanie mniej wrogów dla nas. Ale oni nie zdołają nikogo unieszkodliwić, jeśli zginą od razu w pierwszym starciu. Noghri wydał z siebie jakiś gardłowy dźwięk, mający niewątpliwie wyrażać najwyższe niezadowolenie.

- Słucham i jestem posłuszny-powiedział niechętnie Ekrikhori skinął na dwóch Noghrich. Patrząc za nimi w stronę wylotu tunelu, Skywalker zauważył w świetle przenośnej lampki wyraz twarzy Mary. Wciąż malował się na niej niepokój, ale oprócz tego zagościła tam teraz także ponura determinacja. Bez względu na to, co ich spotka, Mara była gotowa stawić temu czoło. Lukę mógł jedynie żywić nadzieję, że on również.

- To tam - oznajmił Karrde, wskazując na wyłaniającą się z lasu górę, widoczną w gęstniejącym mroku.

- Jest pan pewien? - spytała Leia, starając się jak najdalej sięgnąć Mocą na zewnątrz. Na Bepinie, podczas szalonej ucieczki z Miasta w Chmurach Calrissiana, była w stanie wyczuć wołanie Lukę 'a z niemal tak wielkiej odległości. Ale teraz nic takiego nie odczuła.

- Tam przynajmniej prowadzą nas dane umieszczone w komputerze nawigacyjnym - odparł szef przemytników. - Chyba, że Imperium przejrzało zastosowany przez Ghent'a zabieg i pcha nas w jakąś pułapkę. - Posłał księżniczce szybkie spojrzenie. - Czy coś pani zauważyła?

- Nic. - Leia popatrzyła na górę Tantiss, czując bolesny skurcz w żołądku. Tyle nadziei i starań... i przybyli za późno. - Widocznie musieli już wejść do wnętrza góry.

- W takim razie pakują się w kłopoty - odezwał się Ghent. Siedział przy stanowisku łączności, dostrajając podrobiony przez siebie kod identyfikacyjny imperialnego statku. - Stacja kontroli lotów donosi, że przy wejściu wybuchły jakieś rozruchy. Kierują nas do zapasowego lądowiska jakieś dziesięć kilometrów na północ.

- Musimy jakoś spróbować nawiązać z nimi kontakt - stwierdziła Organa Solo.

- To zbyt niebezpieczne - zauważył Dankin, pełniący funkcję drugiego pilota. - Jeżeli zauważą, że się porozumiewamy na nie imperialnym kanale łączności, to najprawdopodobniej nas zestrzelą.

- Może jest jakiś inny sposób - zasugerował Mobvekhar, przysuwając się do Leii. - Ekrikhor z klanu Bakh'tor na pewno zostawił kogoś na straży w miejscu, gdzie weszli do wnętrza góry. Noghri mają pewien sygnał rozpoznawczy, który można przesłać za pomocą świateł lądowania.

- W takim razie zaczynaj - zdecydował Karrde. - Jeśli zauważą to w garnizonie, wytłumaczymy się awarią. Czin, Korvis: obserwujcie swoje monitory. Noghri podszedł do stanowiska Dankina i sześciokrotnie włączył i wyłączył światła lądowania. Księżniczka wyjrzała przez iluminator, starając się objąć spojrzeniem całą górę jednocześnie. Jeżeli Han i pozostali znajdowali się powyżej linii zmroku...

- Mam - rozległ się z wieżyczki działa turbolaserowego głos Korvisa. - Kierunek zero-zero-trzy przecinek jeden-siedem. Leia zajrzała Karrde'owi przez ramię, gdyż na ekranie jego komputera nawigacyjnego wyświetliły się współrzędne wskazanego miejsca. I rzeczywiście: było tam widać słabe, ale wyraźne, migoczące światło.

- Są tam - potwierdził Mobvekhar.

- Doskonale - ucieszył się szef przemytników. - Ghent, prześlij meldunek, że zgodnie z zaleceniem kierujemy się na to zapasowe lądowisko. Lepiej niech pani znajdzie jakiś fotel i zapnie pasy - zwrócił się do Organy Solo. - Zaraz będziemy mieli nagłą awarię silników manewrowych. Patrząc na gęstwą drzew i zwietrzałe, nagie skały, Leia miała wrażenie, że statek rozmiarów „Szalonego Karrde'a" nie zdoła tu wylądować. Ale najwyraźniej Karrde i jego załoga stosowali tę sztuczkę już wcześniej: dzięki

precyzyjnie skierowanemu w ostatniej chwili ogniewi z działła turbolaserowego przygotowali dostatecznie dużą lukę, by posadzić maszynę na ziemi.

- I co teraz? - zainteresował się Dankin, kiedy szef przemysłowców ponownie włączył silniki manewrowe. Karrde spojrzał pytająco na Leię.

- Wchodzę do środka - oznajmiła księżniczka, nieustannie pamiętając o niebezpieczeństwie czyhającym na Luke'a i Marę. - Nie musicie iść ze mną.

- Radna Organa Solo i ja pójdziemy szukać jej przyjaciół - zakomunikował szef przemysłowców, odpowiadając na pytanie Dankina. Następnie odpiął pasy i wstał z miejsca. - Ghent, postaraj się przekonać garnizon, że nie potrzebujemy żadnej pomocy.

- A co ze mną? - chciał wiedzieć Dankin.

- Będziesz czekał w pogotowiu, na wypadek gdyby mu nie uwierzyli - uśmiechnął się krzywo Karrde. - Chodźmy - zwrócił się do Leii. Kiedy wyszli na rampę „Szalonego Karrde'a", nigdzie nie było widać Noghriego, który odpowiedział na ich sygnał.

- Gdzie on jest? - spytał szef przemysłowców, rozglądając się wokół.

- Czeka - rzekł Mobvekhar. Przyłożył rękę do ust i wydał z siebie jakiś skomplikowany gwizd. Zaraz odpowiedział mu podobny gwizd, który szybko przerodził się w wymyślne świergotanie. - Potwierdziłem naszą tożsamość. Mój rodak chce, byśmy przyszli jak najszybciej. Cała grupa wyruszyła zaledwie piętnaście minut temu. Piętnaście minut. Księżniczka spojrzała na ciemny masyw góry, oświetlany jedynie światłem gwiazd. Zbyt późno, żeby ich ostrzec, ale może zdążą im jeszcze pomóc.

- Ruszajmy, tracimy tylko czas - rzuciła.

- Chwileczkę - powstrzymał ją Karrde, patrząc jej przez ramię. - Musimy poczekać na... Organa Solo się odwróciła. Z tylnej części statku zbliżał się do nich korytarzem mężczyzna w średnim wieku, prowadząc ze sobą dwa czworonożne zwierzęta o długich kończynach.

- Proszę, kapitanie - zwrócił się do Karrde'a, podając mu końce smyczy.

- Dziękuję, Czin. - Szef przemysłowców wziął z jego ręki smycze i pochylił się na chwilę, by podrapać zwierzęta za uszami. - Chyba nie miała pani jeszcze okazji poznać moich ulubieńców vonskrów. Ten nazywa się Drang; a tamten bardziej powściągliwy to Sturm. Na Myrkrze korzystają z Mocy podczas polowania. Tutaj umiejętność ta posłuży im do znalezienia Mary. Prawda? - Vonskry wydały z siebie jakiś dziwny dźwięk, ni to rechot, ni prychnięcie. - No dobrze - rzucił Karrde, prostując się. - Teraz jesteśmy już chyba gotowi. Idziemy?

ROZDZIAŁ 25

W oddali jeszcze wyły alarmy, kiedy Han wyjrzał ostrożnie zza rogu. Ze zdobytych przez Artoo planów tej kondygnacji wynikało, że tu właśnie znajdowało się największe w tej części garnizonu stanowisko kontroli zewnętrznego systemu obronnego. Powinni się tu zatem kręcić jacyś strażnicy; co więcej, będą niewątpliwie bardzo czujni. Okazało się, że przewidywania Solo się sprawdziły. Pięć metrów dalej, w głębi prowadzącego od wejścia korytarza, dwóch szturmowców pilnowało potężnych, rozsuwanych drzwi. Byli tak czujni, że od razu zauważyli przyglądającego im się z ukrycia mężczyznę i wycelowali w niego karabiny blasterowe. W tej sytuacji niewątpliwie należało - tak przynajmniej zrobiłby każdy, komu życie było jeszcze miłe - czym prędzej schować się z powrotem za róg, nim rozpocznie się strzelanina. Ale Han odepchnął się z całej siły od ściany i rzucił się na drugą stronę korytarza. Jedynie o milimetry wyprzedził padające za nim gęsto strzały i przywarł do ściany bocznego przejścia po drugiej stronie głównego korytarza. Tuż za nim jakaś gwałtowna seria rozwaliła kawał metalowego pokrycia ściany. Szturmowcy wciąż jeszcze strzelali, kiedy Chewbacca wychylił się z miejsca, które przed chwilą zwolnił Solo, i zakończył sprawę dwoma szybkimi seriami. - Dobra robota, Chewie - mruknął Han i upewniwszy się, że teren jest już bezpieczny, ponownie wyszedł na główny korytarz. Szturmowcy nie stanowili już dla nich zagrożenia i teraz do

sforsowania pozostały im jedynie potężne metalowe drzwi. A to, podobnie jak rozprawienie się ze szturmowcami, nie było niczym trudnym. Przynajmniej dla nich.

- Gotowi? - spytał Solo. Przykucnął po jednej stronie drzwi i uniósł blaster. Wiedział, że w środku będzie na nich czekała druga para szturmowców.

- Gotowi - potwierdził Luke. Z cichym sykiem zapalił miecz świetlny; jaskrawozielone ostrze przesunęło się obok głowy Hana i przecięło poziomo grube metalowe drzwi. Po drodze napotkało wewnętrzny mechanizm zwalniający blokadę i górna część drzwi odskoczyła w stronę sufitu. Szturmowcy po drugiej stronie stali w takich pozycjach, iż było jasne, że dotarły do nich odgłosy toczącej się przed chwilą krótkiej walki. Ale najwyraźniej zupełnie się nie spodziewali, że ktoś może sforsować drzwi. Solo zastrzelił jednego z nich, nim ten zdążył unieść karabin; Skywalker wychylił się przez nie otwartą część drzwi i unieszkodliwił drugiego jednym cięciem miecza świetlnego. Żołnierze obsługujący stanowiska czujników także nie spodziewali się nowego towarzystwa. Nerwowo szukając jakiejś osłony, starali się wyjąć broń, ale Han i Chewbacca nie dali im na to czasu. Po kilkunastu strzałach całe pomieszczenie przypominało jeden wielki, tłący się śmietnik.

- To powinno wystarczyć - zdecydował Solo. - Lepiej się stąd zabierajmy, nim dotrą tu jakieś posiłki. Ale z powodu rozruchów przy głównym wejściu i kręcącej się po kompleksie gromadki Myneryszów reakcja Imperium była nieco opóźniona. Trzej intruzi bez żadnych problemów zdołali się wycofać do schodów awaryjnych i zejść trzy piętra niżej do pompowni, gdzie zostawili resztę grupy. Kiedy Han otworzył kluczem drzwi, natknął się na dwóch milczących Noghrich, którzy strzelili ich od środka.

- Jakież kłopoty? - zawołał Lando gdzieś z płataniny rur, które wypełniały dwie trzecie pomieszczenia.

- W zasadzie nie - odparł Solo, kiedy Chewbacca zamknął za nimi drzwi na klucz. - Chociaż nie chciałbym się znaleźć w podobnej sytuacji po raz drugi.

- Chyba nie będziesz musiał - stwierdził Calrissian ponuro. - To ich powinno dostatecznie przekonać o tym, że niebawem nastąpi znaczący atak z powietrza.

- Miejmy nadzieję- mruknął Han, podchodząc do Landa, który majstrował przy jakimś archaicznie wyglądającym stanowisku kontrolnym. Artoo podłączył się do gniazda komputera z boku konsoli, a stojący nieco dalej Threepio przestępował nerwowo z nogi na nogę, jak niespokojna kwoka. - Niezła zdobycz, co?

- Dobrze to określiłeś - zauważył Calrissian. - Myślę, że Imperator musiał się gdzieś natknąć na kompleks klonujący i w całości go tu przenieść. Artoo zaszczebiotał z pewnym oburzeniem.

- Racja, razem z oprogramowaniem - przyznał nieco ironicznie Lando. - Trochę się na tym znam, ale nie na tyle, by móc to trwale uszkodzić. Chyba będziemy musieli użyć materiałów wybuchowych.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie ma sprawy - rzekł Solo. Wcale nie byłby zadowolony, gdyby się okazało, że je targali przez cały Wayland na próżno. - Gdzie jest Mara?

- Tam, w głównej sali - odparł Calrissian, wskazując głową częściowo ukryte za rurami drzwi.

- Luke, chodźmy zobaczyć - zaproponował Han. Nie bardzo mu się podobało, że dziewczyna kręci się po tym miejscu sama. - Chewie, zostań tu z Landem. Sprawdźcie, co warto by tu wysadzić w powietrze. Podszedł do drzwi i otworzył je. Jego oczom ukazała się naturalna, ogromnych rozmiarów grota i biegnący pod ścianami szeroki chodnik. Środek jaskini był połączony z sufitem potężną kolumną ze sprzętem. Przy niej, oparta o balustradę chodnika, stała Mara.

- Czy to jest to miejsce? - zagadnął Solo, ruszając w jej stronę. Rozejrzył się dokoła. Na chodnik, w mniej więcej równych odstępach, wychodziło jeszcze jakieś dwadzieścia innych drzwi; zaś do otaczającej centralną kolumnę platformy roboczej prowadziły cztery chowane mostki. Oprócz dyskretnie kręcących się w pobliżu dwóch Noghrich z ich grupy, w całej grocie nie było widać nikogo. Wypełniały ją natomiast jakieś dźwięki: przytłumione buczenie pracujących maszyn i dochodzące skądś głosy ludzi, a także

cichy szcęk przekaźników i osobiwe, rytmiczne pulsowanie czy wzdychanie. Jakby cała jaskinia oddychała...

- Tak, to właśnie to miejsce - potwierdziła dziewczyna dziwnie zmienionym głosem. Może i ona pomyślała, że wszystko wokół nich oddycha. - Chodź zobaczyć. Solo zerknął na Luke'a, po czym obaj podeszli do Mary i wyrzeli przez balustradę. Istotnie znajdowali się w miejscu, którego szukali. Jaskinia była ogromna i ciągnęła się conajmniej dziesięć pięter w dół od poziomu, na którym stali. Układem przypominała stadion sportowy: na każdym poziomie znajdował się okalający jej wnętrze balkon. Im niżej, tym balkony były szersze i sięgały coraz bliżej środka groty tak, że wolna przestrzeń wokół kolumny ze sprzętem stopniowo się kurczyła. Wszędzie było mnóstwo rur: najgrubsze wychodziły z kanałów przewodowych głównej kolumny, cieńsze biegły wokół krawędzi każdego z balkonów, a odchodzące od nich jeszcze cieńsze sięgały, starannie rozmieszczonych na balkonach i głównym piętrze, metalowych kół. Tysiący metalowych kół. A każde z nich przykrywała komora klonująca spaarti. Stojący obok Hana Skywalker wydał z siebie jakiś pełen przerażenia, gardłowy dźwięk.

- To nie do wiary - powiedział w osłupieniu.

- Radzę ci w to uwierzyć - rzucił ponuro Solo. Wyjął lornetkę i na kierował ją na rozpościerające się dole główne piętro. Płatanina kanałów przewodowych w znacznym stopniu zasłaniała widok, ale mimo to zauważył krzątających się wśród komór strażników i ludzi ubranych w uniformy służby medycznej. Dostrzegł ich także na niektórych balkonach. - Panuje tam ruch jak w gnieździe szczerów; ci szturmowcy na piętrze i cała reszta. - Zerknął spod oka na Marę. Dziewczyna z napięciem wpatrywała się w komory klonujące, a jej twarz przybrała zbolaty wyraz, jakby Jadę spoglądała w przeszłość. - Opadły cię wspomnienia, co? - zagadnął.

- Tak - odparła machinalnie. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, po czym się wyprostowała. - Ale nie możemy tego tak zostawić.

- Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania - stwierdził Han, przyglądając się jej badawczo. Mara wyglądała i mówiła zupełnie normalnie, ale w środku pewnie cała drżała. Trzymaj się, dziewczyno - powiedział jej w myślach. - Jeszcze trochę. - Chyba powinniśmy zacząć od tej kolumny na środku. Wiesz coś o niej?

- W zasadzie nie - rzekła, zerkając w głąb jaskini. Zawahała się na chwilę. - Ale być może spróbujemy czegoś innego. Imperator nie należał do tych, którzy zostawiają jakieś rzeczy po to, by inni mogli z nich korzystać. A przynajmniej starał się jakoś przed tym zabezpieczyć.

- Sądysz, że cała ta fabryka może być wyposażona w mechanizm samozniszczenia? - spytał Solo, zerkając na Luke'a.

- Istnieje taka ewentualność - odparła, a na jej twarzy ponownie zagościł ten bolesny wyraz dręczących ją wspomnień. - A jeśli tak, to mechanizm uruchamiający musi się znajdować na górze, w sali tronowej. Mogę pójść i sprawdzić.

- Sam nie wiem - mruknął Han, spoglądając w dół, na jaskinię pełną komór do klonowania. Musiał przyznać, że miejsce jest na tyle duże, że nie zdołają go wysadzić za pomocą jednej partii materiałów wybuchowych. Uruchomienie mechanizmu samozniszczenia niewątpliwie ułatwiłoby całą sprawę. Ale z drugiej strony, myśl, że dręczona wspomnieniami Jadę będzie się kręcić po sali tronowej Imperatora, też nie przypadła mu zbytnio do gustu. - Dzięki, ale wydaje mi się, że nikt z nas nie powinien się kręcić sam po tym kompleksie.

- Ja z nią pójdę - zaofiarował się Skywalker. - Ona ma rację: warto to sprawdzić.

- Poza tym to wcale nie będzie takie niebezpieczne - dodała Jadę. - Wzdłuż chodnika jedzie winda sieciowa dla pracujących tu robotów. Będziemy mogli przebyć nią znaczną część drogi. Zresztą żołnierze Imperium i tak są pewnie zajęci głównie zamieszkami przy wejściu.

- No dobra, idźcie - burknął Solo, wyraźnie niezadowolony. - Tylko nie zapomnijcie nas zawiadomić, nim pociągniecie za odpowiednią dźwignię, dobra?

- Nie zapomnimy - zapewnił przyjaciela Jedi, uśmiechając się lekko. - Chodź, Maro. Oboje podążyli chodnikiem.

- Dokąd oni idą? - zainteresował się Lando, stając za plecami Hana.

- Do sali tronowej Imperatora. Mara podejrzewa, że Imperator mógł tam umieścić urządzenie uruchamiające mechanizm samozniszczenia. A ty coś znalazłeś?

- Artoo zdołał się w końcu podłączyć do głównego komputera - oznajmił Calrissian.

- Szuka planów tego czegoś - dodał, wskazując ręką centralną kolumnę.

- Nie możemy czekać - zdecydował Solo. Odwróciwszy się, zobaczył Chewbackę, który wyszedł akurat z pompowni z torbą materiałów wybuchowych na ramieniu. - Chewie, zajmijcie się razem z Landem jednym z tych wysuwanych mostków.

- Dobra - zgodził się Calrissian, wyglądając ostrożnie zza bariery. - A co z tobą?

- Chcę nas tutaj zamknąć - wyjaśnił Han, wskazując pozostałe drzwi wychodzące na chodnik. - Hej, Noghri, chodźcie tutaj! - zawołał. Dwaj Noghri, którzy dotąd w milczeniu pełnili straż, zgodnie z poleceniem podeszli do Hana; jednocześnie Lando i Chewbacca skierowali się w stronę najbliższego mostka.

- Czego sobie życzysz, Hanie z klanu Solo? - spytał jeden z nich.

- Ty zostaniesz tutaj - rozkazał Han stojącemu bliżej obcemu. - Masz uważać, czynie dzieje się nic podejrzanego. A ty - skinął ręką na drugiego - pomożesz mi zaplombować tamte drzwi. Jeden celny strzał z blastera w puszkę kontrolną powinien wystarczyć. Ja zacznę tutaj, a ty idź w drugą stronę. Zdołał się już uporać z większością drzwi w swojej części chodnika, kiedy usłyszał jakiś hałas, głośniejszy od dochodzących z dołu jaskini mechanicznych odgłosów oddychania. Obejrząwszy się dostrzegł Threepia, który stojąc w drzwiach pompowni wołał coś i energicznie machał na niego ręką.

- Świetnie - mruknął pod nosem. Wystarczy zostawić Threepia samego, a zaraz wszystko zepsuje. Zablokował drzwi, którymi akurat się zajmował i pospieszył w stronę androida.

- Kapitanie Solo! - odetchnął z ulgą Threepio, kiedy Han znalazł się obok niego. - Dzięki Stwórcy! Artoo mówi...

- Co ty robisz? - warknął Solo. - Chcesz nam ściągnąć na głowę cały garnizon?

- Oczywiście, że nie. Ale Artoo mówi...

- Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to musisz przyjść do mnie. Jasne?

- Tak, proszę pana. Ale Artoo mówi...

- Jeżeli nie wiesz, gdzie mnie szukać, to możesz użyć komunikatora - ciągnął Han, stukając palcem w małe, walcowate urządzenie, które robot trzymał w ręku. - Po to go przecież masz. Nie wolno ci się tak wydzierać. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana - rzucił Threepio, ale było słychać, że jego mechaniczna cierpliwość jest już na wyczerpaniu. - Czy mogę wreszcie dokończyć? Solo westchnął ciężko, myśląc, że więcej by wskórał, przemawiając do kamienia.

- Tak, a o co chodzi?

- Chodzi o pana Luke'a - oznajmił android. - Usłyszałem, jak je den z Noghrich mówił, że on i Mara Jadę są właśnie w drodze do sali tronowej Imperatora.

- Tak, i co z tego?

- No... W czasie swoich poszukiwań Artoo natknął się przed chwilą na informację, że właśnie w tym rejonie jest więziony mistrz Jedi C'baoth.

- Jak to, w tym rejonie? - Han wlepił w robota zdumiony wzrok. - To nie trzymają go w więzieniu?

- Nie, proszę pana. Jak już mówiłem...

- Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś? - napadł na niego Solo. Wyjął pospiesznie komunikator i natychmiast go włączył. Ale równie szybko wyłączył...

- Wygląda na to, że komunikatory nie działają - oznajmił sztywno Threepio. - Zauważyłem to, kiedy próbowałem się z panem skontaktować.

- Cudownie - warknął Han. Bezradnie rozejrzał się dokoła, a w uszach wciąż jeszcze huczało mu elektroniczne zagłuszenie. Lukę i Mara pakują się prosto w ręce

C'baotha, a on nie ma sposobu, by ich ostrzec. Chyba żeby... - Niech Artoo w dalszym ciągu szuka tych planów - zwrócił się do androida, chowając komunikator. - A przy okazji niech się zorientuje, skąd pochodzi to zagłuszanie. Jeśli mu się to uda, poślijcie tam dwóch Noghrich, by spróbowali je wyeliminować. A potem idź na tę platformę roboczą i powiedz Chewiemu i Landowi, dokąd poszedłem.

- Tak, proszę pana - rzekł Threepio, nieco zdziwiony ilością rozkazów i władcym tonem, jakim je wydano. - Bardzo przepraszam, ale dokąd pan właściwie idzie?

- A jak ci się wydaje? - rzucił przez ramię Solo i pospiesznie ruszył chodnikiem. Znowu ta sama historia, pomyślał cierpko. Bez względu na to, gdzie byli czy co robili, zawsze kończyło się na tym, że musiał gonić za Lukiem. I coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, iż dobrze się stało, że przybył tu razem z nim.

- No dobra, „Złoty”, luki już są zaplombowane - oznajmił oficer z kontroli lotów. - Przygotujcie się na przyjęcie danych kursu wylotowego.

- Zrozumiałem - powiedział Aves. Uniósł „Etherwaya” z ramienia dokowego i rozpoczął leniwy obrót. Był już gotowy; a z tego, co widział, wnosił, że inni chyba też.

- O, leci - szepnął Gillespi, wskazując za iluminator. - Zgodnie z planem.

- Jesteś pewien, że to Mazzic? - spytał Aves, spoglądając na statek.

- Najzupełniej. Czy mam spróbować nawiązać z nim łączność? Aves wzruszył ramionami i rozejrzał się po stoczni. Co prawda wyposażyli całą grupę w dobry kod szyfrowy, ale chyba nie było sensu zawczasu kusić losu.

- Wstrzymajmy się jeszcze chwilę - odparł. - Poczekajmy, aż będziemy mieli o czym rozmawiać. Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, kiedy w całej stoczni wybuchło zamieszanie.

- Niszczyciele gwiazdne! - rzucił siedzący przy stanowisku łączności Faughn. - Wychodzą z nadprzestrzeni.

- Wektory? - spytał nerwowo Gillespi.

- Nie trzeba - rzekł Aves, czując bolesny skurcz w żołądku. W od dali, nad krawędzią stoczni zobaczył wylaniające się z nadprzestrzeni niszczyciele gwiazdne. A także pancerniki i fregaty typu lansier, i krążowniki uderzeniowe, i całe dywizjony imperialnych myśliwców. Cała flota uderzeniowa w komplecie, a nawet więcej. A w samym jej środku znalazły się niemal wszystkie zdolne do walki jednostki przemysłowej konfederacji Karrde'a.

- A więc to była pułapka - stwierdził Gillespi lodowatym tonem.

- Na to wygląda - przyznał Aves, nie mogąc oderwać oczu od tworzącej szyk armady. I nie umiał jeszcze powiedzieć, dlaczego, ale coś mu w tym szyku nie pasowało.

- Aves, Gillespi, tu Mazzic - odezwał się z komunikatora znajomy głos. - Zdaje się, że ktoś nas jednak wydał. Ale nie zamierzam się pod dać. A wy?

- Myślę, że zasłużyli na to, by stracić przynajmniej ze dwa niszczyciele gwiazdne - przyznał Gillespi.

- To był mój pomysł - rzekł Mazzic. - Szkoda, że Karrde nie może zobaczyć, jak umieramy w blasku chwały. Urwał, i Aves poczuł na sobie wzrok Gillespiego i Faughna. Zdawał sobie sprawę z tego, że przemysłowcy pójdą na śmierć w przeświadczeniu, że Karrde ich zdradził. Wszyscy będą tak myśleli.

- Ja też jestem z wami - powiedział cicho. - Mazzic, jeśli chcesz, możesz objąć dowodzenie.

- Dzięki - rzucił mężczyzna. -1 tak miałem zamiar to zrobić. Bądźcie w pogotowiu: pierwsze uderzenie możemy zadać wszyscy razem. Aves jeszcze raz zerknął na flotę i nagle zrozumiał...

- Zaczekajcie! -zawołał. -Mazzic... cała reszta... zaczekajcie! Ta siła uderzeniowa nie przybyła tu z naszego powodu.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Gillespi.

- Te krążowniki przechwytyjące - powiedział Aves. - Tam, za grupą niszczycieli gwiazdnych: widzisz? Zwróć uwagę na ich ustawienie. Przez chwilę panowało milczenie. Mazzic pierwszy zrozumiał, o co chodzi.
- To nie jest szyk zamykający - stwierdził.
- Rzeczywiście - przyznał Gillespi. - Zobaczcie: tam dalej jest jeszcze druga grupa.
- To szyk-pułapka - zauważył Mazzic takim tonem, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. - Szykują się, by ściągnąć kogoś z nadprzestrzeni. A potem zatrzymać go tutaj tak długo, aż go pokonają. Spojrzenia Avesa i Gillespiego się spotkały.
- Nie... - wysapał Gillespi. - Chyba nie sądzisz...? Zdawało mi się, że oni szykują się na Tangrene.

369 24 - Ostatni rozkaz

- Ja też tak myślałem - stwierdził Aves ponuro, ponownie czując bolesny skurcz w żołądku. - Ale chyba się myliliśmy.
- Albo Thrawn się myli. - Gillespi wyjrzał na zgromadzoną flotę imperialną i potrząsnął głową. -Nie. Raczej nie.
- No dobra, tylko bez paniki - wtrącił Mazzic. - Jeśli zjawi się tu taj Nowa Republika, to Imperium będzie po prostu miało więcej roboty. Zaczekajmy i zobaczymy, co się będzie działo.
- Dobra - westchnął Aves. Są w samym środku bazy imperialnej podczas ataku Nowej Republiki. Wspaniale!
- Coś ci powiem, Aves - odezwał się Gillespi. - Jeśli uda nam się wyjść z tego cało, to chyba się pokłócę z twoim szefem.
- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Aves, spoglądając na ar madę Thrawna. -1 chyba stanę po twojej stronie. Mara dyskretnie wyjrzała z zapasowej klatki schodowej na korytarz. Ale środki ostrożności okazały się zbędne; to piętro było równie opustoszałe jak trzy poprzednie.
- Droga wolna - oznajmiła szeptem i wyszła na korytarz.
- Tutaj też nie ma żadnych strażników? - zdziwił się Skywalker. Dołączył do dziewczyny i rozejrzał się ciekawie dokoła.
- Nie bardzo mieliby co tutaj robić. Poza salą tronową i apartamentami Imperatora nigdy nie było nic ciekawego na tych wyższych piętrach.
- I chyba w dalszym ciągu nic tu nie ma. Gdzie jest ta prywatna winda sieciowa?
- Na prawo, za rogiem - wyjaśniła Jadę, wskazując w tę stronę blasterem. Idąc dalej, bardziej z przyzwyczajenia niż z faktycznej potrzeby starała się poruszać bezszelestnie. Dotarła do poprzecznego korytarza i skręciła w prawo. Nie dalej niż dziesięć metrów przed sobą ujrzała dwóch szturmowców strzegących drzwi windy sieciowej; już ją zauważyli i wycelowali w nią broń. Mara z rozpędu dała jeszcze krok naprzód i, nie mając gdzie się skryć, padła na podłogę. Upadając, oddała w kierunku szturmowców kilka strzałów. Jeden z żołnierzy, trafiony prosto w klatkę piersiową, zwałił się na ziemię. Za to karabin drugiego był już wycelowany prosto w jej twarz... Drgnął jednak, gdy miecz świetlny Skywalkera poszybował korytarzem w jego stronę. Naturalnie miecz nie wyrządził żołnierzowi żadnej większej szkody -z tak dużej odległości i bez wsparcia Mocy Lukę nie rzucał zbyt celnie. Ale manewr ten skutecznie przykuł uwagę szturmowca, a tego właśnie było Marze potrzeba. Kiedy żołnierz uchylił się przed wirującym ostrzem, dziewczyna powaliła go na ziemię dwoma celnymi strzałami.
- Chyba nie chcą, żeby ktokolwiek tam wchodził - zauważył Skywalker, stając obok Jadę.
- Pewnie tak - przytaknęła. Zignorowała wyciągniętą do niej rękę i sama wstała z podłogi. - Chodźmy. Kabina windy sieciowej była na tym piętrze zamknięta, ale przełamanie blokady zajęło Marze zaledwie minutę. Na tablicy wyszczególniono tylko cztery przystanki: ten, na którym się znajdowali, awaryjny hangar dla wahadłowców,

apartamenty Imperatora i wreszcie sala tronowa. Dziewczyna nacisnęła ostatni przycisk i drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie. Jazda na górę trwała bardzo krótko i już parę sekund później drzwi po drugiej stronie wagonika się rozsunęły. Mara zebrała się w sobie i wyszła na zewnątrz... Prosto do sali tronowej Imperatora. Natychmiast opadły ją wspomnienia. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętała. Przygaszone boczne światła i spowijający całe pomieszczenie mrok - Imperator zawsze uważał, że to pomaga w medytacji i rozmyślaniach. Podwyższona podłoga w drugiej części sali, dzięki czemu starzec mógł z góry patrzeć na zbliżających się do niego po schodach gości. Ciemne obecnie ekrany na ścianach po obu stronach tronu, które umożliwiały mu szczegółowe śledzenie tego, co się dzieje w jego królestwie. A dla ogólnego obrazu tego królestwa... Spojrzała w lewo, gdzie - dokładnie naprzeciwko tronu, oddzielona od chodnika balustradą - znajdowała się ogromna, otwarta przestrzeń. I widoczny w ciemności, rozświetlony hologram galaktyki o średnicy dwudziestu metrów. Nie jakiś standardowy hologram galaktyki, który widuje się w szkołach czy przedsiębiorstwach transportowych; nawet nie bardziej precyzyjna wersja, jaką można spotkać jedynie w gabinetach dowodzenia czy koszarach wybranych baz wojskowych. Na tym hologramie umieszczono wszystkie, nawet najdrobniejsze detale; każda ze stu miliardów występujących w galaktyce gwiazd była precyzyjnie zaznaczona maleńką świetlną plamką. Różnymi kolorami oznakowano poszczególne regiony polityczne: układy centralne, terytoria położone na obrzeżach galaktyki, Przestrzeń Nieujarzmiona i Nieznane Terytoria. Imperator mógł ze swego tronu manipulować całym obrazem: podświetlić wybrany sektor, odszukać jeden układ, czy nawet śledzić kampanię wojskową. Było to nie tylko przydatne narzędzie, ale także prawdziwe dzieło sztuki. Na pewno przypadłoby do gustu wielkiemu admirałowi Thrawn'owi. To ostatnie skojarzenie sprawiło, że Mara wróciła myślami do teraźniejszości. Teraz Thrawn był głównym dowódcą i chciał odbudować Imperium według swego planu. Pragnął tego tak bardzo, że zdecydował się ponownie rozpętać wojny klonowe w nadziei, że to pomoże mu osiągnąć upragniony cel. Odetchnęła głęboko.

- No dobrze - powiedziała. Jej słowa odbiły się w całym pomieszczeniu gromkim echem, odpędzając wspomnienia. - Jeśli to urządzenie rzeczywiście tu jest, to powinno być wbudowane w tron. Skywalker z ociąganiem oderwał wzrok od hologramu galaktyki.

- Chodźmy to sprawdzić. Ruszyli dziesięciometrowym chodnikiem, który prowadził od windy sieciowej do głównej części sali tronowej. Przeszli pod wiszącą nad ich głowami wąską kładką, która biegła wzdłuż frontowej krawędzi hologramu i dalej pomiędzy umieszczonymi po obu stronach schodów podwyższeniami dla strażników. Kiedy wchodzili po schodach na wyższy poziom, Mara, patrząc na te podwyższenia, przypomniała sobie ubranych na czerwono imperialnych strażników, którzy niegdyś stali na nich w czujnym milczeniu. Poprzez prześwity między schodami widać było znajdujące się pod wyższym poziomem pomieszczenie z monitorami i konsolami czujników Imperatora, teraz ciemne i ciche. Wyglądało na to, że oprócz hologramu galaktyki wszystkie inne układy nie działają. Znalazłszy się na szczycie schodów, skierowali się ku tronowi, który stał teraz zwrócony przodem do widniejącej za nim skalnej ściany. Mara zdziwiła się, że Imperator zostawił go tyłem do swojej ulubionej galaktyki. Nagle fotel zaczął się obracać... Dziewczyna chwyciła Skywalkera za rękę i wycelowała w tron swój blaster. Potężny fotel wykonał pełny obrót...

- A więc w końcu do mnie przyszliście - odezwał się z powagą Joruu C'baoth, spoglądając na nich z wysokości tronu. - Wiedziałem, że przyjdziecie. Razem nauczymy całą galaktykę służyć rycerzom Jedi.

ROZDZIAŁ 26

- Wiedziałem, że tej nocy do mnie przyjdziecie - oznajmił C'baoth. Podniósł się wolno z tronu i stanął naprzeciwko nich. - Wiedziałem o tym od chwili, kiedy opuściliście

Coruscant. Dlatego właśnie tej nocy rozkazałem ludziom z miasta zaatakować moich ciemieńców.

- To nie było konieczne - odparł Lukę. Mimo woli zrobił krok w tył, przypominając sobie spędzone na Jomarku dni, które omal nie zakończyły się dla niego tragicznie. C'baoth usiłował tam dyskretnie przeciągnąć go na ciemną stronę, a kiedy mu się to nie udało, próbował zabić 1 jego, i Marę. Ale nie poważył się na to po raz kolejny. Przynajmniej nie tutaj, gdzie nie może korzystać z Mocy.

- Oczywiście, że to było konieczne - rzekł starzec. - Trzeba było jakoś odwrócić uwagę Imperium, byście mogli się dostać do mego więzienia. Mynerysze zaś, jak wszystkie pomniejszych stworzenia, muszą mieć jakiś cel. A jaki cel może być lepszy niż zaszczyt umierania w służbie Jedi? Stojąca obok Skywalkera Mara mruknęła coś pod nosem.

- Mam wrażenie, że wszystko ci się pokręciło - stwierdził Lukę. - Jedi byli strażnikami pokoju. Sługami Starej Republiki, a nie jej panami.

- I dlatego właśnie i oni, i Stara Republika ponieśli klęskę, Jedi Skywalker - powiedział C'baoth, celując w niego palcem. - Dlatego ponieśli klęskę i dlatego zginęli.

- Stara Republika przetrwała tysiąc pokoleń - wtrąciła Mara. - Nie wydaje mi się, by można tu mówić o klęsce.

- Może ci się tak nie wydaje - rzucił starzec z wyraźną pogardą. - Jesteś młoda i jeszcze nie widzisz wszystkiego jasno.

- A ty, naturalnie, widzisz? C'baoth uśmiechnął się do niej.

- O tak, moja młoda uczennico - rzekł łagodnie. - Widzę, i ty też będziesz wszystko widziała.

- Nie licz na to - warknęła dziewczyna. - Nie przyszliśmy tu po to, by cię uwolnić.

- Moc nie opiera się na tym, co wy uważacie za swoje cele. Bez względu na to, czy o tym wiedzieliście, czy też nie, przybyliście tu na moje wezwanie.

- Jeśli chcesz, możesz sobie w to wierzyć - stwierdziła Jadę, wskazując blasterem w bok. - Przesuń się tutaj.

- Jak sobie życzysz, moja młoda uczennico - odparł starzec, robiąc trzy kroki we wskazanym kierunku. - Ona ma niezwykle silną wolę, Jedi Skywalker - zwrócił się do Luke'a, kiedy Mara podeszła do tronu, by zbadać kontrolki umieszczone w oparciach fotela. - Będzie prawdziwą potęgą galaktyki, którą zbudujemy.

- Nie - potrząsnął głową Lukę. Zapewne stał teraz przed ostatnią szansą, by zawrócić szalonego Jedi z ciemnej strony. By go uratować, tak jak uratował Vadera na pokładzie drugiej Gwiazdy Śmierci. - Nie jesteś w stanie niczego zbudować, mistrzu C'baoth. Jesteś chory. Ale jeśli mi pozwolisz, to ci pomogę.

- Jak śmiesz mówić coś podobnego?! - rzucił ostro starzec, a twarz pociemniała mu z gniewu. - Jak mogłeś w ogóle pomyśleć tak obraźliwie o wielkim mistrzu Jedi?

- Ale taka jest prawda - rzekł łagodnie Skywalker. - Ty nie jesteś mistrzem C'baoth'em. A przynajmniej nie tym prawdziwym. Dowody na to znajdują się w archiwach Floty Katańskiej. Jorus C'baoth zmarł dawno temu, biorąc udział w locie poza granice naszej galaktyki.

- Ale przecież ja jestem tutaj.

- Tak - skinął głową Lukę. - Ty, tak. Ale nie Jorus C'baoth. Ty jesteś jego klonem. Starzec cały zeszywniał.

- Nie - powiedział lodowatym tonem. - Nie. To niemożliwe.

- Nie ma innego wytłumaczenia - stwierdził Skywalker. - Ale przecież ta myśl musiała ci już kiedyś przyjść do głowy. C'baoth ze świstem wciągnął powietrze w płuca... Nagle odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać.

- Uważaj na niego - szepnęła Mara, spoglądając na starca sponad oparcia fotela. - Podobną sztuczkę odstawił na Jomarku, pamiętasz?

- Nie ma obawy - rzekł Lukę. - On nie może nam zrobić krzywdy.

- Oj, Skywalker, Skywalker-pokręcił głową C'baoth. - A więc ty także? Wielki admirał Thrawn, Nowa Republika, a teraz także ty. Skąd ta nagła fascynacja klonami i

klonowaniem? - Jeszcze raz zaśmiał się gwałtownie, po czym niespodziewanie spoważniał. - Admirał tego nie rozumie, Jedi Skywalker - powiedział z przejęciem. - Ani Thrawn, ani żaden z nich. Prawdziwa moc Jedi nie polega na robieniu tych prostych sztuczek związanych z materią i energią. Prawdziwa potęga Jedi leży w tym, że tylko my jedni w całej galaktyce mamy moc rozrastać się poza nas samych. Rozciągać się aż po granice wszechświata. Lukę zerknął na Marę, która odpowiedziała mu wzruszeniem ramion i zdziwionym spojrzeniem.

- My też tego nie rozumiemy - zwrócił się do starca. - Co masz na myśli? C'baath zrobił krok w jego stronę.

- Ja tego dokonałem, Jedi Skywalker - szepnął i oczy mu rozbłysły dziwnym blaskiem. - Z generałem Covellem. Nawet sam Imperator ni gdy nie zrobił czegoś podobnego. Wziąłem w swe ręce umysł generała i zmieniłem go. Przekształciłem go i przebudowałem tak, by był podobny do mojego umysłu.

- Jak to: przebudowałeś go? - spytał Lukę, czując na plecach zimny dreszcz. Starzec pokiwał głową, a na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Tak, przebudowałem go. A to był tylko początek. Tam w dole, w czeluściach góry, czeka już w gotowości, by nam służyć, armia przyszłych Jedi. To, czego dokonałem z generałem Covellem, po wtórzę jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze... Wielki admirał Thrawn nie zdaje sobie sprawy z tego, że armia, którą-jak sądził - buduje dla siebie, tak na prawdę powstaje dla mnie. Nagle Lukę wszystko zrozumiał. Klony hodowane na dole w jaskini były podobne do swego wzorca nie tylko pod względem fizycznym -miały również identyczne lub prawie identyczne umysły, tak że wszystkie niemal idealnie powielały ten sam wzorec. Jeśli C'baath zdoła wejść do umysłu jednego z nich, to będzie mógł zrobić to samo z pozostałymi. Chłopak ponownie zerknął na Marę. Do niej także dotarło, o co tu chodzi.

- W dalszym ciągu uważasz, że można go uratować? - spytała ponuro.

- Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś ratował, Maro Jadę - oznajmił starzec. - Powiedz, czy naprawdę sądzisz, że tak po prostu pozwoliłbym wielkiemu admirałowi Thrawn'owi się tu uwięzić?

- Nie sądzę, by cię prosił o pozwolenie - wycedziła dziewczyna, odsuwając się od tronu. - Nic tu po nas, Skywalker. Zabieramy się stąd.

- Nie pozwoliłem wam odejść - rzekł głośno C'baath, przybierając władczy ton. Uniósł rękę i Lukę zauważył, że starzec trzyma w dłoni mały, stożkowy przedmiot. -1 nie odejdziecie.

- Tym nas nie zatrzymasz - stwierdziła Mara ze skrywaną pogardą, machając blasterem. - Zdalny aktywator musi mieć co aktywować.

- I ma - oznajmił mistrz Jedi, uśmiechając się lekko. - Zanim po słałem moich żołnierzy na zewnątrz z bronią i rozkazami dla moich ludzi, poleciłem im, by to dla mnie przygotowali.

- Jasne. - Dziewczyna zrobiła krok w stronę schodów. Jednocześnie zerknęła ukradkiem na sufit, lewą ręką zaś namacała poręcz oddzielającą wyższą część sali od niższego poziomu. - Wierzmy ci na słowo.

- Nie musicie - pokręcił głową C'baath i nacisnął włącznik. Lukę poczuł, że gdzieś na dnie jego umysłu coś odległego i niezmiernie obce go krzyknęło w agonii... Nagle wypełniła go siła i świadomość. Zupełnie jakby się budził z głębokiego snu albo wyszedł na światło z ciemnego pokoju. Znow była w nim Moc.

- Mara! - krzyknął, ale już było za późno. Blaster dziewczyny wy rwał się z jej dłoni i poszybował w drugi koniec pomieszczenia; Skywalker skoczył w stronę Mary, ale ułamek sekundy wcześniej z wyciągniętej ręki starca posypały się kaskady białoniebieskiego ognia. Piorun raził dziewczynę prosto w piersi, tak że zaraz upadła w tył, na poręcz.

- Przestań! - zawołał Skywalker. Stał przed Jadę i zapalił swój miecz świetlny. C'baath zignorował jego wezwanie i posłał kolejną ognistą salwę. Lukę niemal w całości zastopował ją ostrzem miecza świetlnego; skrzywił się boleśnie, gdy ta część, której nie

zdołał złapać mieczem, przeszła jego mięśnie. Starzec posłał trzeci grom i czwarty, i piąty... Aż wreszcie opuścił ręce.

- Nie próbuj mi rozkazywać, Jedi Skywalker - rzucił, dziwnie rozdrażniony. - To ja jestem mistrzem, ty zaś jesteś moim sługą.

- Nie jestem twoim sługą - zaproponował Luke. Cofnął się o krok i zerknął na Marę. Dziewczyna trzymała się jakoś na nogach, opierając się o balustradę. Oczy miała otwarte, ale nie była w pełni świadoma; od czasu do czasu z jej zaciśniętych ust dobywał się cichy jęk. Krzywiąc się z powodu silnego zapachu ozonu, chłopak położył wolną rękę na ramieniu Jade i zaczął badać jej obrażenia.

- Naturalnie, że jesteś - rzekł C'baoth. Miejsce rozdrażnienia zajęła teraz wyniosła duma. - I ona także. Zostaw ją, Jedi Skywalker. Potrzebna jej była stosowna nauczka i właśnie ją otrzymała. Luke nie odpowiedział. Wyglądało na to, że oparzenia nie są zbyt poważne, ale mięśniami dziewczyny w dalszym ciągu wstrząsały nie kontrolowane dreszcze. Sięgnął Mocą na zewnątrz, starając się złagodzić nieco jej ból.

- Powiedziałem, żebyś ją zostawił - powtórzył starzec, a jego głos odbił się w całej sali tronowej niepokojącym echem. - Jej życiu nic nie zagraża. Lepiej oszczędź siły na próbę, która cię czeka. - Teatralnym gestem uniósł dłoń i wskazał nią w tył. Obejrawszy się, Skywalker dostrzegł na tle błyszczącego hologramu galaktyki jakąś postać, ubraną w taką samą szatę, jaką nosił C'baoth. Postać ta wydała mu się dziwnie znajoma...

- Nie ma wyboru, mój młody Jedi - rzekł starzec niemal łagodnie. - Czy nie rozumiesz, że musisz mi służyć, bo w przeciwnym razie nie zdołamy wyzwolić galaktyki od niej samej? I dlatego właśnie musisz stawić czoło śmierci i wyłonić się po mojej stronie... albo też będziesz musiał umrzeć, by ktoś inny mógł zająć twoje miejsce. - C'baoth podniósł wzrok i gestem przywołał mroczną postać. - Podejź tu i poznaj swoje przeznaczenie. Postać zbliżyła się do schodów, odpinając przy tym od pasa miecz świetlny. Bijące od hologramu światło w dalszym ciągu nie pozwalało dostrzec twarzy nieznanego. Luke odsunął się nieco od Mary; jednocześnie w jego umyśle zaczęło narastać dziwne, nieprzyjemne buczenie. W tej konfrontacji było coś niepokojąco znajomego. Tak, jakby miał za chwilę stanąć twarzą w twarz z czymś lub kimś, kogo już wcześniej spotkał... Nagle otworzyła się jakaś klapka w jego pamięci. Dagobah - jego szkolenie Jedi - ciemna jaskinia, do której posłał go Yoda. Jego krótka wizja walki z Darthem Vaderem... Chłopak na chwilę wstrzymał oddech, gdyż straszliwe podejrzenie ścisnęło mu serce. Ale nie: zbliżająca się postać nie była dostatecznie wysoka jak na Vadera. Ale w takim razie kto to był...? W tym momencie postać stanęła wreszcie w świetle... Luke zbyt późno przypomniał sobie, jak się zakończyła ta wizja walki w jaskini ciemnej strony Mocy: okrywająca twarz Vadera maska opadła i Luke ujrzał pod nią swoją własną twarz. W tej chwili ta sama twarz mierzyła go bezbarwnym spojrzeniem. Zdjęty przerażeniem, Skywalker bezwiednie odsunął się od schodów; buczenie w jego umyśle nasilało się coraz bardziej.

- Tak, Jedi Skywalker - odezwał się C'baoth, stając tuż za jego plecami. - On jest tobą. To Luke Skywalker, stworzony z ręki, którą zostawiłeś w Mieście w Chmurach na Bepinie. Trzyma miecz świetlny, który tam zgubiłeś. Luke zerknął na broń w ręku kłona. Rzeczywiście, to był jego miecz. Obi-wan powiedział, że ten właśnie miecz świetlny zostawił dla niego jego ojciec.

- Dlaczego? - wykrztusił.

- Żeby cię sprowadzić do źródeł prawdy - odparł starzec z powagą. - I dlatego, że musi się wypełnić twoje przeznaczenie. Tak czy inaczej, musisz mi służyć. Chłopak zerknął na mistrza Jedi. C'baoth przyglądał mu się wyczekująco, a jego oczy błyszczały szaleństwem. I w tej właśnie chwili klon zaatakował. Jednym skokiem znalazł się na szczycie schodów, zapalił miecz świetlny i wymierzył niebieskobiałe ostrze w stronę Luke'a. Chłopak odskoczył w bok i zablokował atak swoją bronią. Ostrza zetknęły się z taką siłą, że Skywalker stracił równowagę i omal nie wypuścił z dłoni miecza. Klon Luke natychmiast skoczył za nim, unosząc broń do zadania ciosu. Korzystając z Mocy, Luke

pokonał barierkę i wylądował na jednej z niżej położonych platform dla strażników. Potrzebował czasu, by się zastanowić i coś zaplanować, a także znaleźć sposób opanowania rozpraszającego buczenia w umyśle. Ale klon Luke nie zamierzał dać mu czasu na rozmyślenia. Podszedł do balustrady i z całej siły cisnął swój miecz w podstawę podwyższenia, na którym stał Skywalker. Rzut nie był celny - ostrze przecięło jedynie połowę podstawy - ale to wystarczyło, by platforma przechyliła się nagle na bok. Korzystając z Mocy, Lukę jeszcze raz skoczył w tył, tym razem starając się dosięgnąć wiszącej kładki, która biegła w poprzek sali tronowej pięć metrów za nim. Ale okazało się, że dystans był zbyt duży, a może buczenie zanadto rozpraszało Luke'a, by mógł należycie użyć Mocy. Chłopak uderzył kolanem w krawędź kładki i zamiast wylądować na nogi, zwałił się ciężko na plecy.

- Nie chciałem ci tego robić, Jedi Skywalker! -zawołał C'baoth. - I w dalszym ciągu tego nie chcę. Przyłącz się do mnie; pozwól, żebym cię uczył. Razem zdołamy uratować galaktykę przed rządami pomniejszych ras, które mogłyby ją zniszczyć.

- Nie - rzucił chrapliwie Lukę. Z wielkim trudem łapiąc oddech, chwycił się jakiegoś drążka i podciągnął do góry. Klon Luke zdążył już odzyskać swój miecz świetlny i teraz schodził ku niemu po schodach. Klon. Jego klon. Czy to właśnie on był przyczyną tego dziwnego ucisku i buczenia w umyśle? Tak bliska obecność dokładnego duplikatu, który także korzystał z Mocy? Nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie, podobnie jak nie wiedział, w jakim celu C'baoth sprawił, że obaj się tu znaleźli. Zarówno Obi-wan, jak i Yoda ostrzegali go, że zabicie kogoś w gniewie lub nienawiści prowadzi ku ciemnej stronie. Czy zabicie własnego klona miałoby taki sam efekt? Czy też C'baoth'owi chodziło o coś zupełnie innego? Może liczył na to, że zabiwszy swojego klona, Lukę postrada zmysły? Ale tak czy inaczej, Skywalker nie chciał się o tym przekonać na własnej skórze. I przyszło mu do głowy, że być może wcale nie będzie musiał. Mógł zejść z kładki w pobliżu drzwi wyjściowych, udać się do windy sieciowej, którą przybył tu razem z Marą, i uciec. Zostawiając Marę samą na pastwę szalonego starca... Podniósł wzrok. Dziewczyna w dalszym ciągu opierała się ciężko o poręcz. Prawdopodobnie nie była w pełni świadoma. I na pewno nie nadawała się do ucieczki. Lukę zacisnął zęby i stanął na nogi. Mara prosiła go - błagała - o to, by nie zostawiał jej żywej w rękach C'baotha. Mógł więc przynajmniej zostać z nią do końca. Bez względu na to, czy miał to być jej, czy też jego koniec... W dole jaskini nastąpiła eksplozja; było to niczym odległy trzask pioruna: wyraźnie słyszalny, a jednocześnie dziwnie stłumiony.

- Słyszałeś to, Chewie? - zagadnął Lando. Odchylił się do tyłu i ostrożnie wyjrzał zza krawędzi roboczej platformy, na której się znajdowali. - Myślisz, że coś tam wybuchło? Chewbacca, z rękami pełnymi kabli i blaszek, które instalował w kracie wspierającej kolumnę ze sprzętem i dookoła, sprostował burkliwie: to nie była jedna potężna eksplozja, ale cała seria niewielkich, jednoczesnych wybuchów małych krążków wybuchowych albo czegoś równie małej mocy.

- Jesteś pewien? - spytał niespokojnie Calrissian. Spojrzał na komory klonujące na balkonie położonym jeden poziom niżej od tego, na którym się znajdowali. To nie wyglądało na jakąś normalną usterkę. Nagle zeszywniał. Nad rurami doprowadzającymi pożywienie do pokryw komór klonujących unosiły się leniwie cienkie smużki dymu. Całe mnóstwo takich smużek; co dziwne, wszystkie były mniej więcej takie same. Zupełnie, jakby w każdej grupie komór klonujących nastąpił jakiś wybuch... Usłyszał za plecami szcęk metalu o metal. Obejrzawszy się, zobaczył Threepia, który ostrożnie wchodził z mostka na platformę roboczą. Głowę lekko przechylił na bok i spoglądał w głąb jaskini.

- Czy to dym? - zapytał robot takim tonem, jakby wcale nie chciał poznać odpowiedzi.

- Na to wygląda - potwierdził Lando. - Co ty tu robisz?

- Ach... - Android zdecydowanym ruchem odwrócił głowę od tego, co się działo w dole. - Artoo znalazł plany tej kolumny ze sprzętem - zakomunikował, podając

Calrissianowi kartę danych. - Sugeruje, że warto byłoby zbadać złączkę prądu ujemnego na głównej linii zasilania.

- Weźmiemy to pod uwagę - rzucił Lando. Wsunął kartę danych do notesu elektronicznego i podając notes Chewiemu, wyrzwał zza balustrady. On i Wookie nie rzucali się zbyt w oczy na tle brązowej kolumny ze sprzętem i skalnego sufitu dwa metry nad ich głowami, ale Threepio były niewątpliwie widoczny jak bryła złota na błotnistym pod łożu. - A teraz zmykaj stąd, nim ktoś cię zauważy.

- Och - mruknął android nieco bardziej sztywno niż zazwyczaj. - Tak, naturalnie. Chciałem tylko dodać, że Artoo znalazł także źródło zakłócania rozmów w tej okolicy. Kapitan Solo prosił, że gdybyśmy je znaleźli...

- Dobra - przerwał mu Calrissian. Zdawało mu się, że ktoś poru szął się za jedną z grup komór spaarti na niższym poziomie. - Pamiętam. Idź tam razem z Artoo. I weźcie ze sobą paru Noghrich.

- Ja i Artoo? - zdziwił się Threepio. - Ale, proszę pana... Nagle z leżącego poniżej balkonu wystrzeliła ku górze błękitna salwa.

- Broń ogłuszająca! - krzyknął Lando. Natychmiast padł na podłogę platformy; w chwilę później poczuł potężne tąpnięcie, kiedy Chewbacca wylądował nie opodal niego. Wystrzelił kolejną serię, która odbiła się od kolumny tuż nad głową Calrissiana. Lando błyskawicznie wyciągnął blaster. - Threepio, wynoś się stąd! - rozkazał. Robotowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

- Tak, proszę pana - rzucił przez ramię, zmykając mostkiem. Chewie zaryczał pytająco.

- Gdzieś tam - odparł Calrissian, machając blasterem. - Ale uważaj, bo zaraz pewnie będzie ich tu więcej. Trzecia salwa z broni ogłuszającej trafiła w spód platformy, ale tym razem Lando zdołał zauważyć kryjącego się za jedną z komór klonujących żołnierza. Strzelił dwukrotnie, posyłając wroga na podłogę, i jednocześnie rozwalając całą komorę. Tuż obok niego z sykiem kolejna niebieska salwa; w odpowiedzi na nią w sekundę później odezwała się broń Chewiego. Calrissian zaśmiał się pod nosem. Znaleźli się w opałach, ale ich sytuacja wcale nie była taka zła. Dopóki tkwili w pobliżu tak ważnego sprzętu, żołnierze Imperium nie ośmieliły się użyć przeciwko nim żadnej broni groźniejszej niż broń ogłuszająca. A w dodatku jedyną ich osłonę na położonych niżej balkonach stanowią komory klonujące. To zaś oznacza, że żołnierze w zasadzie mogą tam jedynie tkwić bezczynnie, starając się nie ściągać na siebie uwagi tych, do których otworzyli ogień, i czekać, aż z cennego sprzętu i z nich samych zostaną tylko kawałeczki. Mogą też po prostu wejść na wyższy poziom i otworzyć do przeciwników ogień z broni ogłuszającej pod takim kątem, jaki pozwoli im dosięgnąć celu. Leżący po drugiej stronie platformy roboczej Chewbacca zakomunikował mrukliwie, że żołnierze się wycofują.

- Pewnie wybierają się do nas na górę - stwierdził Lando i obrzucił spojrzeniem wychodzące na zewnętrzny chodnik na ich poziomie drzwi. Wyglądały bardzo masywnie i zapewne nieznacznie tylko ustępowały solidnością automatycznie rozsuwany drzwiom montowanym na statkach wojennych. Jeśli Han i Noghri solidnie je zaplombowali, to powinny jakiś czas wytrzymać nawet atak zdeterminowanej grupy szturmowców. Na pewno jednak nie były zaplombowane drzwi do pompowni, gdzie pracował Artoo. Han zostawił je otwarte, żeby mieli którądy wyjść. Na twarzy Calrissiana pojawił się grymas niepokoju, ale mężczyzna zaraz znalazł wyjście z tej sytuacji. Rękę z blasterem oparł mocno o dolną część balustrady, uważnie wycelowwał w umieszczoną w drzwiach puszkę z mechanizmem kontrolnym i wystrzelił. Osłona puszeki rozbłysła ogniem i pomarszczyła się; przez kilka sekund poprzez obłok dymu widać było blade iskry. I już. Żołnierze Imperium zostali zamknięci na zewnątrz, on i Chewbacca zaś byli zamknięci w środku. Trzymając się blisko podłogi, przeczołgał się na drugą stronę kolumny. Wookie już na nowo zajął się pracą: usmarowanymi rękami przebierał w kablach i rurach, a na podłodze obok jego stóp leżał notes elektroniczny.

- Jakież postępy? - zagadnął go Lando. Wookie zaryczał, niezgrabnie stukając nogą w notes. Calrissian spojrział na mały monitor. Widniał na nim plan prowadzenia kabla zasilania, z uwzględnieniem złącza z ośmioma z niego rozgałęzieniami. Tuż ponad złączem, wyraźnie oznaczony, znajdował się regulator prądu dodatniego.

- No, no - mruknął Lando, czując nieprzyjemny dreszcz. - Chyba nie zamierzasz go doprowadzić do złączki prądu ujemnego, o której wspominał Threepio, co? W odpowiedzi Chewie wyciągnął z plątaniny kabli częściowo odczepioną złączkę prądu ujemnego.

- Chwileczkę - powstrzymał go Calrissian, mierząc złączkę niepewnym spojrzeniem. Słyszał opowieści o tym, co się stało, gdy połączono złączkę prądu ujemnego z detonatorem prądu dodatniego, a regulator prądu dodatniego nie wydawał się wiele bezpieczniejszy niż detonator. - Co właściwie chcesz przez to osiągnąć? Wookie wyłożył swój plan, z którego wynikało, że Lando się nie mylił: użycie regulatora wcale nie było bezpieczniejsze. Prawdę mówiąc, było nawet daleko bardziej niebezpieczne.

- Chewie, nie róbmy tego - poprosił. - Przyszliśmy tu, żeby zniszczyć komory klonujące, a nie zwalić sobie na głowę cały magazyn. Chewbacca jednak nie zamierzał dać za wygraną.

- No dobrze - westchnął Calrissian z rezygnacją. - W takim razie traktujmy to jako wyjście awaryjne. Wookie przystał mrukliwie na tę propozycję i z powrotem zabrał się do pracy. Lando odłożył blaster i krzywiąc się, wyjął z torby dwa ładunki materiałów wybuchowych. Rozmyślając nad tym, jak się stąd wydostać mimo zaplombowanych drzwi i całej zgrai szturmowców, mógł się w końcu zająć czymś pożytecznym. A jeśli skończy się na tym, że będą musieli się uciec do wysuniętego przez Chewbackę projektu arytmicznego rezonansu rdzenia mocy... Cóż, wtedy sposoby wydostania się stąd i tak okażą się kwestią akademicką. Jedną ręką zrobił lukę w zwojach kabli zasilania i zabrał się do pracy. Licznik czasu zabrzęczał jak zwykle z pięciosekundowym wyprzedzeniem i Wedge wziął głęboki oddech. Dotarli na miejsce. Sięgnął po dźwignie napędu nadprzestrzennego... I nagle cętkowane niebo nadprzestrzeni ustąpiło miejsca najpierw gwiazdnym smugom, a potem gwiazdom. Antilles zauważył wokół siebie pozostałe myśliwce Żelaznego Dywizjonu, które w idealnym szyku razem z nim wyłoniły się z nadprzestrzeni. Przed nimi majaczyły charakterystyczne światła i kontury stoczni. Przybyli do stoczni na Bilbringi. Tyle że znajdowali się zbyt daleko od niej. A to mogło jedynie oznaczać...

- Alarm bojowy! - krzyknął Drugi. - Imperialne myśliwce na dwa- -dziewięć-trzy przecinek dwa-zero.

- Wszystkie statki: przygotować się do walki - odezwał się z komunikatora chropawy głos admirała Ackbara. - Szyk obronny: Dowództwo Myśliwców przechodzi na pozycje osłaniające. Zdaje się, że to pułapka.

- Jasne, że tak - mruknął Wedge pod nosem. Wykonał ostry skręt w lewo i szybkim spojrzeniem obrzucił monitory kontrolne. Dostrzegł krążowniki przechwytyjące, które ściągnęły ich z nadprzestrzeni; trzymały się dosyć daleko od potężnej floty, która właśnie zajmowała pozycje bitewne. A sądząc ze sposobu ich rozmieszczenia, nie zanosilo się na to, by jednostki Nowej Republiki mogły liczyć na udany skok w nadprzestrzeń. Ale oto już leciały w ich kierunku imperialne myśliwce i Antilles nie miał czasu się zastanawiać, dlaczego ich starannie zaplanowany atak z zaskoczenia zakończył się fiaskiem, nim się jeszcze zaczął. W tej chwili myślał już tylko o przetrwaniu i o tym, by nie angażować się w starcie z więcej niż jednym pojazdem jednocześnie. Ktoś wyszedł zza rogu dziesięć metrów od Hana i, ostrożnie stawiając kroki, ruszył w jego kierunku. Solo -wciśnięty w lekko cofniętą framugę drzwi, która na przestrzeni owych metrów stanowiła jedyną osłonę -nie miał nadziei, że strażnicy go przeoczą, i przygotował się na nieuchronnie czekającą go walkę. Powinni byli zawrócić. A właściwie w ogóle nie powinno ich tutaj być. Z urywków raportów, które wpadły mu w ucho, gdy mijał opuszczone punkty kontrolne, wynikało, że każdy, kto był w stanie nosić blaster, powinien znajdować się dwadzieścia poziomów niżej i walczyć z tubylcami,

którzy wdarli się do garnizonu. Te wyższe poziomy nawet nie były zamieszkane i - może z wyjątkiem C'baotha - nie było tu, czego ani kogo strzec. Kroki w dalszym ciągu się zbliżały. Han pomyślał, że miałby głupiego pecha, gdyby się akurat natknął na paru szukających jakiegoś schronienia dezertków. Nagle, może jakieś pięć metrów od niego, odgłos kroków ucichł... Solo usłyszał stłumione westchnienie. Zauważono go. Ani chwili się nie wahał. Odepchnąwszy się mocno od drzwi, skoczył na drugą stronę korytarza, starając się powtórzyć sztuczkę wypróbowaną przy stanowisku obronnym - a przynajmniej wykorzystać ją na tyle, na ile mógł to zrobić bez wsparcia Chewiego. Śledzących go osobników było mniej, niż się spodziewał. Zaskoczenie sprawiło, że wycelowując w nich blaster, Solo stracił kluczowe pół sekundy...

- Han! - zawołała Leia. - Nie strzelaj! Niezmiernie zdumiony, Solo stracił rozpęd i z całej siły walnął w ścianę po drugiej stronie korytarza. Rzeczywiście, przed nim stała Leia. A co jeszcze dziwniejsze, towarzyszył jej Talon Karrde, który prowadził na smyczy swoje dwa vonskry.

- Co ty, u licha, tu robisz?! - zawołał Han.

- Lukę jest w niebezpieczeństwie - oznajmiła zadyszana księżniczka i rzuciła się, żeby uścisnąć męża. - On jest gdzieś tam z przodu...

- Spokojnie, kochanie - rzekł Solo i przytrzymał żonę za ramię, gdyż już chciała mu się wyrwać. - Wszystko w porządku: wchodząc do wnętrza góry wiedzieliśmy, że będą tu isalamiry

- Chodzi właśnie o to, że już ich nie ma - potrząsnęła głową Organa Solo. - Z powrotem jest tu Moc. Wróciła przed chwilą, nim wyskoczyłeś z ukrycia. Han zaklął pod nosem.

- C'baoth - mruknął. - To na pewno jego sprawa.

- Tak - potwierdziła Leia drżącym głosem. - To on. Solo spojrzał pytająco na Karrde'a.

- Wynajęto mnie, bym zniszczył magazyn Imperatora - zakomunikował spokojnie przemytnik. - Wziąłem ze sobą Sturma i Dranga, by pomogły nam odnaleźć Marę. Han zerknął na vonskry.

- Czy jest z wami ktoś jeszcze? - zwrócił się do żony. Organa Solo pokręciła przecząco głową.

- Trzy poziomy niżej natknęliśmy się na posuwający się w tę stronę oddział żołnierzy. Nasi dwaj Noghri zostali tam, by ich powstrzymać.

- A co z twoimi ludźmi? - zagadnął przemytnika Solo.

- Wszyscy zostali na pokładzie „Szalonego Karrde'a". Pilnują dla nas drogi odwrotu, jeśli w ogóle będziemy mieli okazję z niej skorzystać.

- W takim razie jesteśmy tylko my - chrząknął Han. Puścił ramię Leii i ruszył w głąb korytarza. - Chodźcie, są w sali tronowej. Wiem, jak tam trafić. Idąc pospiesznie, starał się nie myśleć o ostatnim spotkaniu z ciemnym Jedi. W Mieście w Chmurach Vader najpierw go torturował, a następnie zamroził w karbonicie. Z tego, co Lukę mówił na temat C'baotha, wynikało, że po starcu można się spodziewać czegoś jeszcze gorszego.

ROZDZIAŁ

Miecze świetlne rozbłysły w półmroku; niebieskobiałe ostrze starło się z zielonobiałym. Kiedy się stykały, rozlegało się syczenie; trafiając w cokolwiek innego, bez trudu przecinały przeszkodę. Mara obiema rękami chwyciła się poręczy i, starając się przewyciężyć panujący w umyśle chaos, z bezradną fascynacją obserwowała toczącą się w sali tronowej walkę. Była to jakby swoista wariacja na temat tej ostatniej, przerażającej wizji, jaką Imperator przedstawił jej w chwili swej śmierci niemal sześć lat temu. Tyle, że tym razem to nie Imperator stał w obliczu śmierci, ale Skywalker. I to nie była żadna wizja. To działo się naprawdę.

- Przyglądaj im się uważnie, Maro Jadę - powiedział stojący u szczytu schodów C'baoth. Jego głos był stanowczy, a jednocześnie pełen dziwnego smutku. - Jeśli

dobrowolnie mi się nie poddasz, to pewnego dnia będziesz musiała stoczyć taką samą bitwę. Dziewczyna zerknęła na niego spod oka. Starzec obserwował zainscenizowany przez siebie pojedynek z fascynacją graniczącą z szaleństwem. Mara widziała go już w podobnym nastroju, wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła go na Jomarku. Praca, którą wykonywał dla Thrawna, pozwoliła mu zasmakować władzy; i jak kiedyś Imperatorowi, tak i jemu namiastka władzy nie wystarczyła. Ale w przeciwieństwie do Imperatora, C'baoth nie zamierzał poprzestać na kontrolowaniu planet i armii. Pragnął ustanowić bardziej osobową formę Imperium: chciał przekształcić i przebudować umysły wedle swego planu, tak by się stały - w jego wyobrażeniu - idealne. A to oznaczało, że starzec był zupełnie szalony.

- Ofiarowanie innym bogactwa mojej chwały nie jest szaleństwem - mruknął mistrz Jedi. - Wielu chętnie oddałoby życie za taki podarunek.

385 25 - Ostatni rozkaz

- I, jak widzę, starasz się to jak najbardziej ułatwić Skywalkerowi - odparowała Jadę. Potrząsnęła głową, chcąc rozjaśnić swój umysł. Jej własne wspomnienia, echo dziwnego buczenia, które docierało do niej z umysłu Skywalkera, i przytłaczająca obecność stojącego zaledwie dwa metry od niej C'baotha - wszystko to sprawiało, że próba logicznego myślenia była tak trudna jak pilotowanie skutera powietrznego w czasie gwałtownej wichury. Ale istniał pewien rodzaj psychicznej koncentracji, której dawno temu nauczył ją Imperator; stosowała go wtedy, gdy Imperator chciał jej przekazać jakieś instrukcje w tajemnicy nawet przed samym Vaderem. Gdyby teraz zdołała skoncentrować się na tyle, by osiągnąć ten stan... Poczowała nagły ból.

- Nie próbuj ukryć przede mną swoich myśli, Maro Jadę - upomniał ją ostro C'baoth. - Teraz jesteś moja. Uczennica nie powinna ukrywać przed swoim mistrzem tego, co myśli.

- A zatem już stałam się twoją uczennicą, tak? - burknęła dziewczyna. Zaciśnęła zęby i pokonując ból, ponownie podjęła próbę głębokiej koncentracji. Tym razem udało się. - Myślałam, że stanie się to dopiero wtedy, gdy klęknę u twoich stóp?

- Szydzisz z mojej wizji - rzekł starzec, wyraźnie rozdrażniony. - Ale będziesz jeszcze przede mną klęczała.

- Tak samo jak Skywalker, co? Oczywiście zakładając, że uda mu się przeżyć.

- On będzie mój - potwierdził starzec z głębokim przekonaniem. - Podobnie jak jego siostra i jej dzieci.

- A potem razem uzdrowicie galaktykę - rzuciła Mara. Nie spuszczać oczu z twarzy C'baotha, wsłuchiwała się w panujący w jej umyśle zamęt. Tak: wyglądało na to, że zdołała stworzyć barierę, poza którą starzec nie sięga swoim umysłem. Gdyby jej się tylko udało jak najdłużej utrzymać ten stan...

- Rozczarowujesz mnie, Maro Jadę - potrząsnął głową mistrz Jedi. - Czy naprawdę sądzisz, że muszę słyszeć twoje myśli, by móc czytać w twym sercu? Podobnie jak niższe ludy galaktyki, tak i ty pragniesz mej zagłady. Ale to głupi kaprys. Czy Imperator nie uczył cię o naszym przeznaczeniu?

- Wiem, że nie potrafił należycie odczytać swojego - prychnęła dziewczyna. Ciągłe wpatrując się w C'baotha, nasłuchiwała łomotania własnego serca. Jeśli ten szaleniec uzna, że ona istotnie stanowi dla niego zagrożenie, i ponownie skieruje na nią ogniste błyskawice... Starzec uśmiechnął się i szeroko rozłożył ręce.

- Czujesz potrzebę, by się ze mną zmierzyć, Maro Jadę? W takim razie chodź i zrób to. Przez dłuższą chwilę dziewczyna przyglądała mu się spod oka, doświadczając silnej pokusy, by tak właśnie zrobić. C'baoth wyglądał tak staro i bezradnie; a ona miała swoją psychiczną barierę i umiejętność walki bez broni, nabytą w czasach świetności Imperium. To zajęłoby zaledwie kilka sekund... Odetchnęła głęboko i spuściła wzrok. Nie, nie teraz. Nie w ten sposób. Nie w sytuacji, gdy wokół niej jest tyle źródeł rozproszeń. Teraz nie zdołałaby tego zrobić.

- Zabijesz mnie i nie będę miała okazji przed tobą uklęknąć - szepnęła i opuściła ramiona w geście rezygnacji.

- Bardzo dobrze - pochwalił starzec. - Na swój sposób jesteś jednak mądra. W takim razie patrz i ucz się. Mara zwróciła się w stronę barierki. Ale nie po to, by obserwować pojedynek na miecze świetlne. Gdzieś tam w dole znajdował się blaster, który C'baoth wyrwał jej z ręki wtedy, gdy w sobie tylko wiadomy sposób sprawił, że do wnętrza góry powróciła Moc. Gdyby zdołała go znaleźć, nim starzec się zorientuje, że tak naprawdę wcale się nie poddała... W przeciwległym końcu sali Skywalker ponownie skoczył na wiszący chodnik. Klon był przygotowany na taki manewr i natychmiast rzucił za nim w górę miecz świetlny. Niebieskobiałe ostrze minęło Luke'a o włos, ale za to przecięło kładkę i jeden ze wsporników mocujących ją do sufitu. Z potwornym łoskotem nadwerżony metal pękł pod ciężarem Skywalkera i Luke'a runął w dół. Zdołał wylądować w miarę szczęśliwie, padając przy tym na jedno kolano. Wyciągnął rękę, i miecz świetlny, który szybował w stronę klona, nagle zmienił kierunek. Zawrócił ku wyciągniętej dłoni Skywalkera i... niespodziewanie zawisł w powietrzu. Luke'a wyteżyły siły, sięgając umysłem na zewnątrz i naprężając mięśnie.

- Nie w ten sposób, Jedi Skywalker - upomniał go C'baoth. Obejrawszy się, Mara zauważyła, że i on wyciągnął rękę w stronę miecza. Klon natomiast stał obojętnie, jakby wiedział, że w tej walce starzec weźmie jego stronę. I może tak właśnie było. Może to, co znajdowało się w jego ciele, było jedynie przedłużeniem umysłu C'baotha.

- To musi być pojedynek na śmierć i życie - ciągnął mistrz Jedi. - Broń przeciwko broni, umysł przeciwko umysłowi, dusza przeciwko duszy. W innym razie nie zdołasz dotrzeć do wiedzy, którą musisz pojąć, by mi należycie służyć. Skywalker był rzeczywiście dobry w rym, co robił. Odczuwając dziwny ucisk i buczenie, musiał sobie zdawać sprawę z tego, że jego siła nie równa się w tej chwili sile C'baotha. Mara wyczuła nieznaczną zmianę w jego koncentracji... Nagle chłopak cisnął przez ramię swój miecz świetlny; zielonobiałe ostrze mknęło w kierunku drugiego miecza, by przeciąć jego rękojeść. Ale tak jak starzec wcześniej nie pozwolił rozbroić Luke'owi przeciwnika, tak i teraz nie dopuścił do zniszczenia jego broni. W chwili, gdy młody Jedi zamierzył się do rzutu, po prawej stronie Skywalkera wyłonił się z mroku jakiś niewielki przedmiot i uderzył go w ramię tak, że ciśnięty przez niego miecz świetlny zmienił nieco kierunek i przeszył puste powietrze. Ułamek sekundy później C'baoth wyrwał miecz klona z psychicznego uścisku Luke'a i posłał broń właścicielowi. Klon uniósł miecz w pozycji obronnej; Skywalker niechętnie podniósł się z podłogi i przygotował do dalszej walki. Ale w tej chwili Mary nie interesowały miecze świetlne. Jakies dwa metry za Luke'em leżał na podłodze przedmiot, który rzucił w niego C'baoth. Jej blaster. Dziewczyna zerknęła spod oka na mistrza Jedi, zastanawiając się, czy starzec ją obserwuje. Stwierdziła, że nie. Zresztą na nic właściwie nie patrzył: jego oczy zaszyły jakąś dziwną mgiełką, a na twarz wypląnął dziecinnie uśmiech.

- Przyszła - powiedział. Pośród szczyku mieczy jego głos był ledwie słyszalny. - Dokładnie tak, jak to przewidziałem. Nagle podniósł oczy na Marę. - Ona tu jest, Maro Jade - oznajmił dramatycznym tonem, wskazując głową w kierunku windy sieciowej, którą przybyła tu razem ze Skywalkerem. Zdziwiona, nie bardzo wiedząc, czy może oderwać od starca wzrok, dziewczyna odwróciła głowę. Drzwi windy rozsunęły się i wysiadł z niej Han Solo z blasterem gotowym do strzału. A tuż za nim... Mara wstrzymała oddech i cała zeszywniała. Tuż za Hanem stała Leia Organa Solo; w jednej ręce trzymała blaster, w drugiej zaś miecz świetlny. A za jej plecami pojawiły się dwa vonskry na smyczy... I prowadzący je Karrde. Organa Solo? I Karrde?!

- Leia, Han: wracajcie! - krzyknął Skywalker, kiedy nowo przybyli minęli już hologram galaktyki i znaleźli się w głównej części sali tronowej. - To zbyt niebezpieczne...

- Witaj, moja nowa uczennico! - zawołał radośnie C'baoth. Jego głos zagrzmiął potężnym echem w całym pomieszczeniu, tłumiąc słowa Luke'a. - Przyjdź do mnie, Leio Organo Solo. Nauczę cię prawdziwych tajników Mocy. Han myślał o innym rodzaju nauki. Dotarł do końca chodnika, uważnie nakierował blaster i wystrzelił. Ale mimo iż

pograżony w swej ułudzie, Jedi mający taką moc jak C'baoth nie dał się tak łatwo pokonać. W ułamku sekundy blaster Mary poderwał się z podłogi i stanął na drodze oddanego przez Solo strzału, rozjarzając się przy tym gradem iskiei. Drugi strzał został zablokowany w taki sam sposób; trzeci trafił w magazynek amunicji blastera i zamienił broń w imponującą kulę ognia. Nim Han zdążył wystrzelić po raz czwarty, blaster został mu wyrwany z dłoni... C'baoth wpadł w szal. Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk wściekłości, który - zdawało się -mógłby postawić powietrze w ogniu. Na ten przeszywający dźwięk Mara odskoczyła w tył... W chwilę później omal nie spadła przez balustradę w dół, gdy dotarła do niej wyzwolona razem z tym wrzaskiem Moc. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego; ani ze strony Vadera, ani nawet samego Imperatora. Była to bezgraniczna, dzika zwierzęcość - kompletne zatracenie wszelkiej samokontroli; czuła się tak, jakby nagle znalazła się samym środkiem gwałtownej burzy. Przewalały się przez nią kolejne fale wściekłości; rozbijały się o jej wewnętrzną barierę i bombardowały jej umysł swoistą mieszanką bólu i nienawiści. Niejasno widziała, że Skywalker i Organa Solo chwieją się pod siłą tego ataku; słyszała także rozdzierające wycie vonskrów Karrde'a. Z wyciągniętych rąk C'baotha trysnęły niebieskie ognie. Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas współczucia, gdy Solo zwałił się plecami na balustradę przed ekranem holograficznym. Wśród trzasku błyskawic dotarł do niej krzyk Leii wołającej męża. Księżniczka doskoczyła do Hana, rzuciła na podłogę swój blaster i zapaliwszy miecz świetlny, zdążyła zablokować trzecią kaskadę ognia. Nagle starzec zmienił swój cel i kolejną błyskawicę cisnął w chwiejącą się nad ich głowami, uszkodzoną kładkę. Z trzaskiem eksplodującego metalu środek kładki rozerwał się na pół i obróciwszy się na ostatnim elemencie wspierającym, zwałił się ciężko na stojącą pod nim Organę Solo. Leia jednak dostrzegła spadającą kładkę, a może Skywalker nauczył ją jak dzięki Mocy przygotować się na niebezpieczeństwo. Wyciągnęła w górę miecz świetlny i zrobiła w wałącym się na dół metalu na tyle duże cięcie, że główna część chodnika, mijając ją i Hana, upadła na podłogę przed Karrdem i vonskrami. Księżniczka nie miała jednak dość czasu, by się odsunąć i odcięty przez nią fragment metalu zwałił jej się na głowę i ramiona; miecz świetlny wypadł j jej z ręki i kobieta upadła na podłogę obok męża.

- Leia! -krzyknął Skywalker z niepokojem. Osłabiające jego uwagę buczenie na dnie umysłu nagle zniknęło gdzieś bez śladu i ze słabej obrony Luke'ę przeszedł do gwałtownego ataku. Klon zaczął się cofać, z trudem odpierając ciosy Luke'a. Umknął na schody, wycofał się jeszcze dwa kroki w stronę C'baotha, potem przeskoczył na ocalałą platformę dla strażnika. Przez chwilę Mara miała wrażenie, że Luke'ę podąży tam za nim albo że przetnie podstawę platformy, by go zwałić na dół. Ale nic takiego nie zrobił. Spocony, zatrzymał się w połowie schodów i obrzucił mistrza Jedi takim spojrzeniem, że dziewczyna zadrżała.

- Czy mnie także chcesz zniszczyć, Jedi Skywalker? - odezwał się starzec z grobowym spokojem. - Takie myśli są niemądre. Ja mógłbym cię zgnieść obcasem mego buta, niczym małego owada.

- Możliwe - wydyszał ciężko Luke'ę. - Ale jeśli to zrobisz, nigdy już nie będziesz miał okazji panować nad moim umysłem. C'baoth przyjrzał mu się uważnie.

- Czego chcesz?

- Pozwól im odejść - poprosił, wskazując głową swoją siostrę i Ha- na. Wszystkim. I to od razu. - Jego spojrzenie spoczęło na chwilę na Marze. - Jej także.

- A jeśli to zrobię? W twarzy Skywalkera drgnął jakiś mięsień. Chłopak poruszył palcami i ostrze jego miecza świetlnego zniknęło z sykiem.

- Pozwól im odejść - powtórzył cicho - a wtedy ja zostanę. Gdzieś niedaleko nich rozległ się głuchy stukot, który swym nierównomiernym rytmem włączył się w wypełniający całą jaskinię dziwny szmer oddechów. Obrzuciwszy chodnik szybkim spojrzeniem, Lando doszedł do wniosku, że jest to odgłos strzałów karabinów blasterowych w ciężkie metalowe drzwi. Jak dotąd czuli się tu bezpiecznie, ale Calrissian zdawał sobie sprawę z tego, że to nie potrwa długo. Szturmowcy po drugiej

stronie nie strzelali w drzwi dla zabawy, a poza tym na pewno zamówili już porządną porcję materiałów wybuchowych. Siedzący po drugiej stronie kolumny ze sprzętem Chewbacca zaryczał ostrzegawczo. - Wcale się nie wychyłam - zapewnił go Lando, obserwując przez lukę między dwoma kanałami przewodowymi widoczną w dole barwną plątaninę drutów i rur. Gdzie jest to połączenie pompy silnikowej... ? Zlokalizował właściwe miejsce i już się pochylał, by umieścić tam ładunek, kiedy niespodziewanie rozległo się pikanie najpierw z jego komunikatora, a ułamek sekundy później z komunikatora Chewiego. Zdziwiony, zmarszczył brwi. Podejrzewając, że to może odzywać się jakiś sprytny technik Imperium, który znalazł jego kanał, niepewnie włączył urządzenie.

- Calrissian - powiedział.

- Ach, generał Calrissian - rozległ się natychmiast głos Threepia. - Widzę, że Artoo zdołał jednak wyeliminować to zagłuszanie. Co mnie właściwie dziwi, zważywszy na to, ile mieliśmy kłopotu...

- Powiedz mu, że odwalił dobrą robotę - przerwał androidowi Lando. Nie miał teraz czasu na miłą pogawędkę z Threepiem. - Czy coś jeszcze?

- Ach tak, proszę pana. Noghri prosili, bym spytał, czy mamy wrócić i wam pomóc. Szturmowcy wznowili ostrzeliwanie metalowych drzwi i tym razem kanonada była głośniejsza.

- Bardzo bym chciał - westchnął Calrissian. - Ale nie zdołacie tu dotrzeć na czas. - Dała się słyszeć kolejna salwa i Lando zauważył, że drzwi znajdujące się naprzeciwko ich mostka wyraźnie zadrżały. - Sami będziemy musieli się stąd jakoś wydostać. Siedzący nie opodal Wookie nie podzielał optymizmu swego towarzysza, i wyraził to głośnym rykiem.

- Ale jeśli Chewbacca chce, byśmy wrócili...

- Nie zdążycie tu dotrzeć na czas - powtórzył twardo Lando. - Powiedz Noghrim, że jeśli chcą się na coś przydać, to niech idą na górę do sali tronowej i pomogą Hanowi.

- Na to jest już za późno - włączył się do rozmowy ledwie słyszalny głos.

- Han? - zdziwił się Calrissian.

- Nie, tu Talon Karrde - przedstawił się mężczyzna. - Przyjechałem tu razem z radną Organa Solo. Jesteśmy w sali tronowej...

- Leia tutaj?! Co, u licha...

- Zamknij się i słuchaj - uciszył go ostro szef przemytników. - Ten mistrz Jedi, ten Joruu C'baoth, też tu jest. Unieszkodliwił Hana i Organę Solo, a Skywalkera zmusił do walki z kimś, kto, zdaje się, jest jego klonem. Na mnie akurat nie zwraca w tej chwili uwagi, ale gdybym tylko spróbował coś zrobić, na pewno zaraz by się mną zajął.

- Zdawało mi się, iż Lukę mówił, że Moc jest zablokowana?

- I tak było. Ale C'baoth zdołał ją jakoś przywrócić. Czy jesteście tam na dole przy komorach klonujących?

- Tak, jesteśmy ponad nimi. A dlaczego pytasz?

- Organa Solo sugerowała wcześniej, że gdzieś tam powinno się znajdować całe mnóstwo isalamirów - rzekł Karrde. - Gdyby wam się udało ściągnąć kilka z nich i przynieść tu na górę, to może zdołalibyśmy powstrzymać C'baotha. Chewbacca zamruczał żałośnie i Lando przytaknął mu skinieniem głowy? A zatem po to właśnie były te krążki wybuchowe, które jakiś czas temu spowodowały eksplozję.

- Na to też jest już za późno - oznajmił swemu rozmówcy. - C'baoth już je wszystkie zabił. Przez chwilę szef przemytników milczał.

- Rozumiem - rzucił w końcu. - Cóż, to przynajmniej wszystko wyjaśnia. Macie może jakiś pomysł?

- W zasadzie nie - odparł Calrissian po chwili wahania. - Jeśli coś wymyślimy, to damy ci znać.

- Dzięki-mruknął szef przemytników z pewną ironią. -Będę czekał. Rozległ się cichy szcęk i Karrde przerwał połączenie.

- Threepio, jesteś tam jeszcze? - spytał Lando.

- Tak, proszę pana.
- Niech Artoo z powrotem usiądzie przy komputerze i zrobi, co może, żeby odciągnąć żołnierzy od tego wlotu powietrza, przez który weszliśmy do środka. A potem razem z Noghrimi ruszajcie w tamtym kierunku.
- Opuszczamy górę? - zdziwił się android.
- Tak - potwierdził Calrissian. - Ja i Chewie też zaraz tam będzie my, tak więc lepiej się pospieszcie, żebyśmy was nie rozdeptali. I zawiadomcie też jakoś tych dwóch Noghrich, których Lukę wysłał z grupą Myneryszów. Wszystko zrozumiałeś?
- Tak, proszę pana - odparł Threepio z wahaniem. - A co z panem Lukiem i pozostałymi?
- Zostaw to mnie. A teraz już zabierz się do pracy.
- Tak, proszę pana - powtórzył robot. Rozległ się kolejny szczęk i także to połączenie zostało przerwane. Na chwilę zapadło milczenie, które Wookie przerwał wkrótce cisnącym się na usta pytaniem.
- Chyba już nie mamy wyboru - rzekł Lando ponuro. - Z tego, co mówili Lukę i Mara, C'baoth jest conajmniej tak niebezpieczny jak Imperator. A może nawet bardziej. Spróbujemy zburzyć cały magazyn z nadzieją, że i on znajdzie się pod gruzami. Chewbacca burknął na znak sprzeciwu. - Nie możemy tego zrobić - pokręcił głową Calrissian. - Najpierw musimy skończyć tę robotę. Jeśli teraz ostrzeżemy tych na górze, to C'baoth też się o tym dowie, a wówczas mógłby jakoś zdążyć zapobiec eksplozji. - Od strony drzwi ponownie rozległ się stłumiony odgłos strzałów. - No dobra, spróbujemy to jak najszybciej zakończyć. - Lando wziął do ręki ostatnią partię swoich materiałów wybuchowych. Przy odrobinie szczęścia powinni zdążyć przygotować tę sztuczkę Chewiego z arytmicznym rezonansem, nim wedrą się tu szturmowcy. Nieco więcej szczęścia będzie im potrzeba na wydostanie się z jaskini. A jeszcze więcej będą go potrzebować na to, by zaalarmować Hana i pozostałych, nim cały magazyn zwali im się na głowę. Przez dłuższą chwilę w sali tronowej panowała cisza. Mara utkwiała w Skywalkerze zdumiony wzrok, zastanawiając się, czy Lukę naprawdę wie, co mówi. Żeby dobrowolnie zaproponować, iż zostanie tu z C'baothem... Chłopak ponownie zerknął na nią ukradkiem i, mimo buczenia w jego umyśle, Mara wyczuła dręczący go strach. Lukę doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. I mówił poważnie. Jeśli C'baoth przyjmie jego warunki, to Skywalker z własnej woli podda się szalonemu Jedi. Poświęci się po to, by uratować swoich przyjaciół. A wśród nich kobietę, która kiedyś zapowiedziała, że go zabije. Odwróciła głowę, czując nagle, że nie jest w stanie na niego patrzeć. Jej spojrzenie napotkało wzrok Karrde'a, który razem ze swymi vonskrami ukrył się pod resztkami zwałonej kładki. Mężczyzna głaskał zwierzęta i przemawiał do nich łagodnie, starając się je uspokoić po spotęgowanym przez Moc porywie wściekłości C'baoth'a. Dziewczyna przyjrzała się drapieżnikom; nie były chyba ranne. Ruch musiał zwrócić uwagę Karrde'a. Podniósł na nią pozbawioną wyrazu twarz. Nie przestając głaskać vonskrów, nieznacznie skinął głową w stronę Hana i Organy Solo. Mara ze zdziwieniem podążyła za jego wzrokiem... I zamarła. Za częścią zwałonej kładki, która w dalszym ciągu przykrywała jego żonę, Han posuwał się po podłodze. Powoli, zaledwie po kilka centymetrów w jednym ruchu, czołgał się w kierunku blastera, który Leia rzuciła uprzednio na podłogę. - Prosisz o zbyt wiele, Skywalker-łagodnie ostrzegł Luke'a C'baoth. - Mara Jadę będzie moja. Musi być moja. Tego właśnie żąda dla niej Moc. I nawet tobie nie wolno tego lekceważyć.
- To prawda - włączyła się do rozmowy dziewczyna, z całych sił starając się, by to, co powie, zabrzmiało ironicznie. Bez względu na to, jakie to niosło ze sobą ryzyko, musiała odwrócić uwagę starca od tego, co się działo w drugim końcu sali tronowej. - Przecież muszę jeszcze uklęknąć u jego stóp, zapomniałeś?
- Obrażasz mnie, Maro Jadę - rzekł mistrz Jedi, uśmiechając się do niej złowieszczo. - Czy naprawdę sądzisz, że tak łatwo mnie zwieść? - Nie spuszczać z niej wzroku, zgiął palec... I kiedy Solo sięgnął po blaster, broń odsunęła się od niego o

pół metra. Mara wyczuła, że brzęczenie miecza świetlnego na platformie wartowniczej zmieniło nieco barwę.

- Skywalker, uważaj! - krzyknęła. Lukę odwrócił się błyskawicznie i zapaliwszy swój miecz, przyjął pozycję obronną. Klon, najwyraźniej odzyskawszy siły czy odwagę, już skoczył na niego, usiłując przeszyć go mieczem świetlnym. Dwa ostrza starły się z impetem; Skywalker zatoczył się w tył, ku krawędzi schodów. Zrobił jeszcze krok. Starął się złapać równowagę, ale w końcu wyładował na niższym poziomie. Kiedy klon rzucił się w pogoń za Lukiem, dziewczyna zerknęła na Hana. Jeśli klon istotnie był przedłużeniem umysłu C'baotha... Ale nie. Solo ponownie sięgnął po blaster - i broń znów się od niego odsunęła. Nawet jeśli mistrz Jedi wkładał jakiś wysiłek w kontrolowanie pojedynku na miecze świetlne, to i tak był jeszcze na tyle skoncentrowany, że mógł drażnić się ze swymi więźniami.

- Widzisz, Maro Jadę? - zagadnął cicho. Jego wściekłość już minęła; nie bawiły go już także igraszki z więźniami: teraz przyszedł czas, by powrócić do istotnej kwestii budowania jego Imperium. - To jest nie uniknione. Ja będę rządził... a ty będziesz służyła u mego boku razem ze Skywalkerem i jego siostrą. I wszyscy będziemy wielcy. Starzec odsunął się o krok od poręczy po drugiej stronie schodów. I w samą porę: ułamek sekundy później znalazł się tam Lukę, który długim skokiem wrócił na wyższy poziom sali tronowej. Wyładował plecami do Mary, chwając się przez moment, nim zdołał odzyskać równowagę. Pomieszczenie rozjaśnił kolejny błysk światła, tym razem niebieskobiały, kiedy klon śladem swej ofiary także przeskoczył przez balustradę i zawzięcie machając mieczem, bronił się przed ewentualnym atakiem. Skywalker usunął mu się z drogi; Jadę zauważyła, że stojący za jego plecami C'baoth także zrobił krok w tył. Klon wyładował na podłodze i w dalszym ciągu machając mieczem, natarł na Luke'a. Skywalker wciąż się cofał, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy z tego, że sunie w kierunku skalnej ściany. A kiedy do niej dotrze, znajdzie się w pułapce. Obaj walczący przesunęli się nieco... Mara ponownie poczuła na sobie wzrok starca.

- Tak jak mówiłem, Maro Jadę: to jest nieuniknione. A kiedy będę miał przy sobie ciebie i Skywalkera, pomniejszych ludy podążą za nami jak liście na wietrze. Ich serca i ich dusze będą nasze. - C'baoth zerknął w drugi koniec pomieszczenia i skinął ręką. W dalszym ciągu skulony za szczątkami metalowej kładki Karrde drgnął ze zdumienia, gdy jego blaster wysunął się z kabury i tnąc powietrze, pomknął w stronę mistrza Jedi. W połowie sali tronowej dołączył do niego upuszczony przez Organę Solo miecz świetlny i blaster, który Han wciąż wytrwale próbował przechwycić. - Podobnie zresztą jak ich nic nieznaczająca broń - dodał starzec. Niedbale wyciągnął rękę po ściągnięte przedmioty i odwrócił głowę, aby popatrzeć na pojedynek, który lada chwila miał się rozstrzygnąć. Na taką właśnie okazję Mara czekała. I był to już chyba ostatni moment. Przewyciężając otaczający jej umysł chaos, sięgnęła Mocą na zewnątrz i skupiła swoją uwagę na broni lecącej w kierunku ręki C'baotha. Odczuła mimowolną dekoncentrację starca... Miecz świetlny Leii odłączył się od blasterów i wyładował w jej dłoni. Mistrz Jedi błyskawicznie odwrócił się w jej stronę, a blastery upadły z brzękiem na podłogę.

- Nie! - wrzasnął, podnosząc na Marę koszmarnie wykrzywioną strachem i zaskoczeniem twarz. Dziewczyna poczuła, że starzec rozpaczliwie szarpie za trzymany przez nią miecz. Ale i w tym akcie był strach i zmieszanie; poza tym działaniu C'baotha nie towarzyszył już teraz element zaskoczenia. Mając trochę czasu, starzec niewątpliwie otrząsnąłby się z szoku. Mara jednak nie zamierzała czekać. Zapaliła miecz świetlny i ruszyła do ataku. Klon Luke naturalnie musiał usłyszeć, że się do niego zbliża - było to nieuniknione ze względu na charakterystyczne buczenie jej miecza. Ale, jako że Skywalker stał już przyparty do ściany, pokusa rozprawienia się najpierw z jednym przeciwnikiem była zbyt wielka. Klon zadał jeszcze jeden cios, ale trafił w ścianę, gdyż Lukę uchylił się przed ostrzem... Ściana ponad głową Skywalkera eksplodowała z oślepiającym błyskiem rozrywanych przewodów elektrycznych, a jej odłamki trysnęły klonowi prosto w twarz. Bo, jak się okazało, Lukę nie wycofywał się bezmyślnie w kierunku skały - starał się znaleźć na wysokości jednego z umieszczonych w sali

tronowej ekranów. Klon wrzasnął przeraźliwie - był to chyba pierwszy dźwięk, jaki z siebie wydał - i zatoczył się do tyłu. Wciąż oślepiony, odwrócił się w tę stronę, gdzie słyszał buczenie miecza świetlnego Mary. Jego twarz wykrzywiały złość i strach. Uniósł swój miecz i zaatakował... MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! Dziewczyna uchyliła się przed ostrzem i spojrzała w twarz napastnika. W twarz Skywalkera. W twarz, która prześladowała ją w snach przez blisko sześć lat. W twarz, którą Imperator rozkazał jej zniszczyć. MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! I po raz pierwszy od czasu, gdy znalazła Luke'a dryfującego w pustce kosmicznej w uszkodzonym myśliwcu, usłyszała tego głosu, który kołatał się w jej umyśle. Z całej siły zamachnęła się i potężnie cięła mieczem stojącą przed nią postać. Klon zgiął się w pół, a jego broń z brzękiem upadła na podłogę. Mara spojrzała na niego z góry... i odetchnąwszy ciężko, uświadomiła sobie, że głos w jej umyśle umilkł. Dokonało się. Wypełniła ostatni rozkaz Imperatora. I wreszcie była wolna.

ROZDZIAŁ

- Wygląda na to, że to już wszyscy, kapitanie - powiedział Thrawn, spoglądając przez iluminator na statki wojenne Rebeliantów rozciągnięte wzdłuż krawędzi stożków pola grawitacyjnego wytwarzanych przez krążowniki przechwytyjące. - Niech pan poleci „Ciernięzycielowi” i „Strażnikowi”, by odstąpiły od udziału w zasadzce i powróciły na pozycje na linii demarkacyjnej. Wszystkie statki wojenne: przygotować się do starcia.

- Tak jest, panie admirale - rzucił Pellaeon i kręcąc głową w nie mym zdumieniu, wstukał do komputera odpowiednie rozkazy. Po raz kolejny, mimo przytłaczających dowodów wskazujących na coś przeciwnego, wielki admirał udowodnił, że miał rację. Flota uderzeniowa Nowej Republiki przybyła na Bilbringi. I pewnie Rebelianci zachodzili teraz w głowę, w którym momencie załamał się ich misternie przygotowany plan. - Myślę, admirale, że nie powinniśmy niszczyć całej floty - zasugerował. - Byłoby dobrze, gdyby ktoś z nich wrócił na Coruscant i opowiedział innym, jak inteligentnie zostali przechytrzeni.

- Zgadzam się z panem, kapitanie - rzekł Thrawn. Chociaż wątpię, by tak właśnie zinterpretowali tę sytuację. Podejrzewam, że będą raczej sądzeni, iż ktoś ich zdradził.

- Możliwe - przyznał Pellaeon i szybkim spojrzeniem obrzucił mostek. Zdawało mu się, że właśnie usłyszał jakiś cichy dźwięk, jakby skrzypienie przeciążonych urządzeń czy gardłowy rechot. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, ale dźwięk się nie powtórzył. - To zresztą też prze mawiałoby na naszą korzyść.

- Istotnie. Może wyznaczmy do tej misji krążownik gwiazdny admirała Ackbara? Pellaeon uśmiechnął się sztywno. Ackbar. Który ledwo co zdołał się oczyścić z postawionych mu przez radnego Borska Fey'lyę zarzutów o niekompetencję i zdradę przy operacji na Sluis Van. Tym razem Ackbar na pewno nie zdołałby się tak łatwo wytłumaczyć.

- Zgrabne pociągnięcie, admirale - powiedział.

- Dziękuję, kapitanie. Pellaeon zerknął na Rukha, który w milczeniu pełnił swą wartość za krzesłem Thrawna. Był ciekaw, czy Noghri docenia finezję tego posunięcia. Ale zważywszy na ograniczoną inteligencję tej rasy, pewnie nie. W oddali pojawiły się błyski ognia laserowego, gdy dywizjon myśliwców przeciwnika zaangażował się w walkę. Kapitan usadowił się wygodnie na swoim krześle, omiół spojrzeniem monitory kontrolne i przygotował swój umysł na czekającą ich bitwę. Na bitwę - i na zwycięstwo.

- Uważaj, Dowódco Żelaznych, masz dwóch na ogonie - rozległ się tuż przy uchu Wedge'a głos Drugiego. - Szósty, jesteś tam?

- Jasne, kolego - potwierdził Szósty. - Na trzy atakujemy z dwóch stron. Raz, dwa... Wedge zebrał się w sobie i wykonał swoim myśliwcem gwałtowny przewrót. Dwa myśliwce Imperium, starając się powtórzyć jego manewr, a jednocześnie nie strzelając poza cel, pewnie nawet nie zauważyły dwóch maszyn republikańskich, które znalazły się tuż za nimi. W chwilę później rozległy się dwie potężne eksplozje i Antilles był wolny.

- Dzięki - rzucił do nadajnika.
- Nie ma sprawy. Co teraz?
- Nie wiem - wyznał Wedge, zerkając na szalejącą wokół nich bitwę. Admirał Ackbar wciąż jeszcze utrzymywał swe krążowniki gwiazdne w szyku bojowym. Ale znajdujące się na obrzeżach statki pomocnicze były tak silnie ostrzeliwane przez siły imperialne, że ten fragment bitwy mógł się lada chwila zamienić w bezładną bijatykę. Wtedy zaś dywizjony myśliwców byłyby już właściwie zdane tylko na własne siły, zmuszone do atakowania tego, co się da i gdzie się da. Co zresztą w zasadzie i teraz robiły. Chodziło jednak o to, by znaleźć jakiś obiekt rzeczywiście wart zaatakowania... Drugi najwyraźniej myślał o tym samym.
- Wiesz, Dowódco, przyszło mi do głowy, że Imperium nie mogłoby nas atakować aż tyloma statkami, gdyby musiało jednocześnie bronić stoczni. Antilles odwrócił głowę i popatrzył na jaśniejące w oddali światła. Na ich tle zdołał wyróżnić ciemne kontury conajmniej czterech stacji bojowych Golan II.
- Racja. Ale myślę, że aby ich porządnie zaniepokoić, nie wystarczy samotny atak nawet sławnego Żelaznego Dywizjonu...
- Kapitanie Antilles, tu centralna stacja łączności Nowej Republiki - odezwał się służbiście jakiś głos. - Mam dla pana wiadomość oznaczoną jako pilną, zaszyfrowaną za pomocą dyplomatycznego kodu Nowej Republiki. Czy chce się pan nią zająć? Wedge ze zdziwienia zamrugał powiekami. Kod dyplomatyczny? Tutaj?
- Chyba tak. Oczywiście, połącz mnie.
- Tak jest. - Rozległ się cichy szcęk...
- Cześć, Antilles - dał się słyszeć znajomy głos. - Miło cię znowu widzieć.
- Nie wątpię, że odwzajemnię twoje uczucia - rzucił Wedge, coraz bardziej zdumiony. - Ale właściwie kto mówi?
- Och, daj spokój - droczył się mężczyzna. - Już zdążyłeś zapomnieć, jak miło spędziliśmy razem czas przed barem Nocny Smok? Nocny Smok...?
- Aves?!
- No, wspaniale - ucieszył się Aves. - Pamięć wyraźnie ci się po lepsza.
- Ostatnio nie dajecie o sobie zapomnieć - stwierdził Antilles. - Gdzie jesteś?
- W samym środku tej feerii imperialnych światła, które widzisz z boku - odparł przemytnik i głos wyraźnie mu spochmurniał. - Szkoda, że mi nie powiedziałaś, iż zamierzacie zaatakować to miejsce, a nie, jak sądziliśmy, Tangrene.
- Szkoda, że ty mi nie powiedziałaś, co za robotę szykujecie - odparował Wedge. - Chyba daliśmy się sobie nawzajem wystrychnąć na dudków.
- O tak. I nie tylko my, ale wszyscy, z wyjątkiem wielkiego admirała.
- Szkoda gadać. Ale powiedz, dzwonisz towarzysko, czy jak?
- Kto wie... Słuchaj, zaj jakieś dziewięćdziesiąt sekund część z nas spróbuje przechwycić krystaliczny eliminator pola grawitacyjnego, po który się tu zjawiliśmy. A potem bez zbędnych pożegnań zmykamy stąd. Zmykają z imperialnej stoczni. I Aves powiedział to takim tonem, jakby to była fraszka.
- Powodzenia - rzucił Antilles.
- Dzięki. Wspominam o tym dlatego, że nam nie robi większej różnicy, którądy się stąd wydostaniemy. Ale może dla was miałyby to jakieś znaczenie?
- Tak, chyba tak - rzekł Wedge, uśmiechając się nieznacznie. - Gdybyście mogli, na przykład, przelecieć obok tych stacji Golan II... i ewentualnie po drodze zaatakować je od tyłu?
- To chyba całkiem niezła trasa - przystał na propozycję Aves. - Naturalnie na obrzeżach stoczni zrobi się trochę nieprzyjemnie: te wszystkie strzelające statki i tak dalej. Czy moglibyście nam ewentualnie od dać przyjacielską przysługę i od tego miejsca nas eskortować? Antilles zerknął na światła stoczni i błyskawicznie rozważył całą sytuację. Tak, to się może udać. Gdyby ludzie Aves zdołali unieszkodliwić choćby jedną ze stacji bojowych Golan II, to statki Nowej Republiki będą mogły wtargnąć na teren stoczni. I jeśli Imperium nie zdecyduje się jej poświęcić, to część ich jednostek

będzie musiała wycofać się z bitwy by zatkać powstałą dziurę, a także gonić republikańskie statki, które zdołają się dostać do środka. A z punktu widzenia przemytników trudno sobie wyobrazić lepszą osłonę niż napływ do stoczni statków wojennych Nowej Republiki, kiedy oni będą się akurat stamtąd wydostawać. Ogółem rzecz biorąc, taka wymiana wydawała się korzystna dla obu stron.

- Umowa stoi - poinformował głośno Avesa. - Daj mi tylko parę minut na zorganizowanie tej eskorty.

- Nie zapominaj, że to ma być przyjacielska eskorta - rzucił ostrzegawczo Aves. - Chyba wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem doskonale - uspokoił go Wedge. Pogarda Kalamarian dla przemytników i przemytnictwa stała się już na statkach niemal zwyczajowa, i Wedge bynajmniej nie miał ochoty się temu zwyczajowi podporządkować; podobnie jak Aves nie chciał paść jego ofiarą. Zapewne właśnie dlatego przemytnik zwrócił się z ofertą pomocy do niego, a nie bezpośrednio do Ackbara czy do któregoś z dowódców. - Nie martw się, jakoś to załatwię.

- Dobra. Oho, pierwsza grupa rusza do ataku. To na razie. Z nadajnika rozległ się cichy szcęk i połączenie zostało przerwane.

- Angażujemy się w to? - spytał Jedenasty.

- Tak - potwierdził Antilles i ostro obrócił swój myśliwiec w prawo. - Drugi, skontaktuj się z dowództwem: zdaj pokrótce relację z rozwoju wypadków i powiedz, że będziemy potrzebowali jakiegoś wsparcia. Ale nie wymieniaj imienia Avesa; powiedz tylko, że koordynujemy nasze działania z niezależną grupą oporu, która znajduje się na terenie stoczni.

- Zrozumiałem, Dowódco.

- A jeśli Ackbar nie zechce ryzykować? - wtrącił Siódmy. Wedge obejrzał się na światła stoczni. A więc i tym razem, tak jak już tyle razy wcześniej, wszystko sprowadzało się do kwestii zaufania. Najpierw musiał zaufać jakiemuś chłopakowi, który dopiero co przybył z głębi pustyni na mało znaczącej planecie, i dać mu się poprowadzić do ataku na pierwszą Gwiazdę Śmierci. Potem, podczas ataku na drugą Gwiazdę Śmierci, musiał zawierzyć byłemu hazardziście, który być może wcale nie miał doświadczenia w prawdziwej walce. A teraz z kolei chodziło o udzielenie kredytu zaufania jakiemuś przemytnikowi, który równie dobrze mógł go zdradzić dla pieniędzy. - To nie ma znaczenia - powiedział. - Z dodatkowym wsparciem czy bez, i tak się w to zaangażujemy. Ostrze miecza świetlnego Mary błysnęło oślepiająco i spadło na Luke'a. Klon zwałił się martwy na podłogę, a obok niego z brzękiem upadł jego miecz. Prześladowające Luke'a buczenie rozplynęło się bez śladu. Podniósł się spod strzelającego jeszcze iskrami ekranu, przed który zwabił klona, i po raz pierwszy od kilku godzin swobodnie odetchnął. Ciężka próba dobiegła wreszcie końca.

- Dziękuję - szepnęła do Mary. Dziewczyna odsunęła się o krok od martwego klona.

- Nie ma sprawy - rzuciła. - Nic nie krępuje już twego umysłu? A więc zdołała wyczuć to przytłaczające buczenie...

- Tak - pokiwał głową i ponownie pełną piersią zaczerpnął powietrza w płuca. - A twego? Posłała mu na wpół ironiczne, na wpół rozbawione spojrzenie. Ale Skywalker zauważył, że po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali, w jej oczach nie było już bólu i nienawiści.

- Zrobiłam to, czego ode mnie chciał - stwierdziła. -1 koniec. Lukę zerknął w przeciwną stronę sali tronowej. Karrde przywiązał smycze vonskrów do zwalonej kładki, a sam ostrożnie przechodził na drugą stronę metalowego rumowiska. Han stał już o własnych siłach i właśnie pomagał wciąż otumanionej Leii wydostać się spod przygniatającego ją fragmentu chodnika.

- Leia? - zawołał Skywalker. -Nic ci nie jest?

- Nie, czuję się zupełnie nieźle - odparła księżniczka. - Tylko jestem trochę poobijana. Zabierajmy się stąd, dobrze? Lukę przeniósł wzrok na C'baotha. Stary Jedi

wpatrywał się w martwego kłona; ręce opuścił bezradnie, a w jego oczach widać było wściekłość, zagubienie i obłąd.

- Tak będzie chyba najlepiej - stwierdził Luke. - Chodź, Maro.

401 26 - Ostatni rozkaz

- Wy już idźcie, a ja zaraz do was dołączę. Skywalker zmierzył dziewczynę przenikliwym spojrzeniem.

- Co zamierzasz zrobić?

- A jak myślisz? - odparowała. - Chcę dokończyć to, co zaczęłam. Powinam to zresztą była zrobić na Jomarku. C'baoth niespiesznie podniósł głowę i popatrzył na Marę.

- Umrzesz za to, Maro Jade - rzekł ze złowieszczym spokojem. - Powoli i w niewypowiedzianych boleściach. - Wziął głęboki oddech i przymknąwszy oczy, zacisnął przed sobą dłonie w pięści.

- Jeszcze się przekonamy - mruknęła dziewczyna. Uniósła miecz świetlny i ruszyła w stronę starca. Po chwili bardziej odczuli niż usłyszeli jakby daleki grzmot. Luke rozejrzał się dokoła, rozedrganymi zmysłami przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo. Ale wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. Odgłos jednak nasilał się i potężniał... I nagle fragment sufitu sali tronowej, znajdujący się bezpośrednio nad głowami Luke'a i Mary, z wielkim hukiem zwałił się na dół w powodzi drobniutkich odłamków skalnych.

- Uważaj! - krzyknął Skywalker. Osłonił rękami głowę i próbował usunąć się z niebezpiecznego miejsca. Ale środek skalnego wodospadu przesunął się w ślad za nim. Luke ponowił próbę ucieczki, ale tym razem omal nie upadł, gdyż jego noga ugrzęzła w sięgającym mu już do kostek rumowisku kamieni. Kawaleczki skały - zbyt małe i zbyt liczne, by mógł nad nimi zapanować przy użyciu Mocy - wciąż spadały na niego, siniacząc go i kalecząc. Poprzez unoszący się kurz widział, że Mara także walczy z kamienną powodzią; jedną ręką starała się chronić głowę, w drugiej trzymała swój miecz, próbując bezskutecznie walczyć ze spadającymi kamieniami. Z drugiego końca pomieszczenia doleciał go krzyk Hana i Skywalker domyślił się, że i inni są przedmiotem podobnego ataku. C'baoth, stojący bezpiecznie poza zasięgiem niszczycielskiego skalnego wodospadu, uniósł wysoko ręce.

- Jam jest mistrz Jedi C'baoth! - zawołał, a jego głos zagrzmiął potężnie w całej sali tronowej. - Imperium... cały wszechświat jest mój! Luke ustawił swój miecz świetlny w pozycji obronnej, ponownie wyczuwając rozedrganymi zmysłami nadciągające niebezpieczeństwo. Ale i tym razem wiedza na niewiele mu się zdała. Ciśnięta przez starca błyskawica rozjarzyła się w zetknięciu z ostrzem miecza, a siła uderzenia zwała Skywalker z nóg; Luke padł na kamienie, raniąc przy tym boleśnie kolana. Kiedy próbował wstać, jeden ze spadających odłamków skalnych trafił go w skroń. Chłopak zatoczył się i upadł na bok, podpierając się ręką. C'baoth ciskał kolejne błyskawice, a ogień wyładowań elektrycznych rozchodził się po stosie kamieni, przeszywając Luke'a wciąż nowymi falami bólu. Jakaś siła wyrwała mu z dłoni miecz świetlny; kątem oka zauważył, że broń poszybowała gdzieś w drugi koniec sali.

- Przestań! - krzyknęła Mara do starca. Otumaniony bólem Skywalker widział, że stojąc po kolana w gruzach, dziewczyna zawzięcie macha mieczem świetlnym, bezskutecznie starając się odsunąć więżące ją kamienie. - Jeśli masz zamiar nas zabić, to zrób to wreszcie.

- Cierpliwości, moja przyszła uczennico - rzekł C'baoth. Mimo spowijającego wszystko kurzu, Skywalker zauważył, że starzec uśmiecha się z rozmarzeniem. - Jeszcze nie możesz umrzeć. Najpierw muszę cię zaprowadzić do fabryki klonów wielkiego admirała.

- Co takiego?! - zawołała Jadę, drżąc z przerażenia.
- Ponieważ przewidziałem, że Mara Jadę będzie przede mną klęczała- przypomniał dziewczynie mistrz Jedi. - Ta Mara Jadę... albo jakaś inna.
- No dobra - rzucił Lando, przesuwając dźwignię aktywatora na ostatnim ładunku wybuchowym. - Włączajmy to wszystko i wynośmy się stąd. Siedzący po drugiej stronie głównej kolumny Chewbacca zamruczał na znak zgody. Calrissian wziął swój blaster i podniósł się z podłogi, omiatając przy tym szybkim spojrzeniem drzwi wychodzące na zewnętrzny chodnik. Jak na razie wszystko szło po jego myśli. Miał nadzieję, że drzwi wytrzymają napór szturmowców jeszcze przez jakieś dwie minuty, których potrzebowali, by razem z Wookiem zejść z platformy roboczej na chodnik... Chewbacca zaryczał ostrzegawczo. Wyostrzywszy słuch, Lando zdołał wyłowić rozpaczliwe buczenie do granic możliwości przeciążonej złączki prądu ujemnego.
- Doskonale, Chewie - pochwalił Wookiego. - Chodźmy. - Zdażył dotrzeć do krawędzi mostka, kiedy nagle najbliższe drzwi ustąpiły z łoskotem. - Uważaj! - krzyknął. Upadł płasko na podłogę i otworzył gwałtowny ogień w stronę chmury kurzu i odłamków widocznych w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były drzwi. W odpowiedzi posypał się w jego kierunku niebieski grad ognia z broni ogłuszającej. Za plecami Calrissian usłyszał jazgot broni Chewiego. Koniec marzeń o ostatnich dwóch minutach. Z całych sił przycisnął twarz do podłogi z metalowej siatki... Jego wzrok spoczął na mostku. Na mostku - i na cienkich, ale mocnych poręczach, które biegły po obu jego stronach... Przyszła mu do głowy szalona myśl. Szalona, ale to wcale nie oznaczało, że niedorzeczna.
- Chewie, przysuń się tutaj! - zawołał. Obrócił się na bok i szybkim spojrzeniem omiół tablicę kontrolną mostka, wmontowaną w po ręcz platformy roboczej. Przycisk uruchamiający mechanizm wysuwający mostek... Przycisk uruchamiający mechanizm chowający mostek... Awaryjny przycisk stopu... Kiedy Chewbacca zwał się obok niego, cały mostek aż zadrżał.
- Zajmij ich jakoś - rzucił Lando. Oszacował odległość, jaką miał do pokonania, wyskoczył do góry i nacisnął kolejno dwa guziki: najpierw ten uruchamiający mechanizm chowający mostek, a zaraz potem awaryjny przycisk stopu. Mostek odsunął się chwiejnie od platformy roboczej, po czym zatrzymał się w odległości wystarczającej do tego, by podtrzymujące go zasuwy się rozłączyły. Wookie zaryczał pytająco, kiedy mostek zakolysał się pod własnym ciężarem.
- Zobaczysz - uspokoił go Calrissian. Z dwóch stron pojawiły się błyski ognia, kiedy rozpadło się dwoje kolejnych drzwi. - Chwyć się tylko poręczy i strzelaj. Zaczynamy. - Lando także mocno chwycił blaster i otworzył ogień. Ale nie w stronę szturmowców, którzy wybiegali właśnie na okalający jaskinię chodnik - celował w przeciwległy koniec mostka, wzniecając fontanny iskier. Tam, gdzie trafiły jego strzały, całe fragmenty metalowej siatki parowały z sykiem, a pręty podtrzymujące mostek od dołu rozpadały się na kawałeczki. Cała konstrukcja pochyliła się i chwiała coraz mocniej, a Lando z coraz większym zacięciem starał się rozwalić ją na kawałki. Obok niego Chewbacca rzucił jakieś ordynarne przekleństwo Wookiech, jakiego Calrissian nigdy jeszcze nie słyszał w jego ustach... Nagle z potężnym trzaskiem przeciążonego metalu mostek zaczął się walić. Jako że z chodnikiem łączyły go już tylko wciąż nieuszkodzone poręcze, opuścił się ciężko w dół. Lando chwycił się mocno poręczy, która z pozycji poziomej szybko dążyła ku pionowej... Z ogromnym hukiem mostek grzmotnął ciężko o poręcz balkonu klonowania trzy poziomy niżej; siła uderzenia omal nie zwała Calrissiana z nóg.
- To nasz przystanek - zawołał mężczyzna. - Wsiadamy. - Po spiesznie wsunął blaster do kabury, zręcznie przeskoczył przez stromo przechyloną poręcz mostka i wylądował na podłodze balkonu klonowania. Chewbacca, dzięki wrodzonym umiejętnościom istot nadrzewnych, znalazł się tam dobre trzy sekundy przed nim. Lawirując pomiędzy rzędami komór spaarti, pokonali już połowę drogi do wyjścia z balkonu, gdy za ich plecami eksplodowała centralna kolumna. Najpierw wybuchły

podłożone przez nich ładunki, wysadzając w powietrze fragmenty kabli i rur, które w postaci ognistych kul rozsypały się dokoła kolumny. Ogromna chmura dymu, pyłu i parujących płynów, którymi nie tak dawno karmiono klony, strzeliła do góry i zasłoniła widok. Ze wszystkich stron tryskały jakieś wielobarwne ciekłe substancje. Platforma robocza, którą dopiero co zdążyli opuścić, oderwała się od mocujących ją wsporników i zaczęła się zsuwać w dół kolumny, uszkadzając po drodze kolejne urządzenia. Ze środka ciemnej chmury doleciały trzaski rozrywanych linii wysokiego napięcia i odgłosy wtórnych eksplozji, które zwiększały jeszcze nasilenie gradu resztek i odłamków. W pewnym momencie dał się słyszeć przeraźliwy trzask pękających i wałących się wsporników, i od głównej kolumny zaczęły się odrywać jej zewnętrzne warstwy. Przekrzykując hałas, Chewbacca zaryczał ostrzegawczo.

- Ani ja - odrzyknął Lando. - Zabieramy się stąd. Dziesięć sekund później jak burza przemknęli obok samotnego strażnika, którego pozostawiono przy drzwiach wyjściowych na tym piętrze, i już byli na zewnątrz. Kiedy znajdowali się dwa korytarze dalej, odczuli lekki wstrząs, gdy centralna kolumna zwała się w dół jaskini.

- No dobra - wydyszał Calrissian. Dotarli akurat do poprzecznego korytarza. Lando przystanął na chwilę i rozejrzał się w obie strony. Artoo musiał się dobrze spisać z przemieszczaniem oddziałów z tego rejonu, gdyż wokoło było zupełnie pusto. - Wyjście jest tam - zwrócił się do Wookiego i wyjął komunikator. - Skontaktujemy się z pozostałymi i zmykamy stąd. - Wybrał odpowiedni kanał, by połączyć się z Hanem.. i zaraz odsunął głowę od komunikatora, gdyż z urządzenia dobieły się jakieś głośne trzaski. - Han?! - zawołał.

- Lando? - odpowiedział mu głos przyjaciela, ledwie słyszalny z powodu hałasu.

- Tak, to ja. Co się tam u was dzieje?

- Ten obłąkany Jedi zwała nam dach na głowy - krzyknął Solo. - Leia i ja mamy jaką taką osłonę, ale Luke'a i Marę przyłapał na otwartej przestrzeni. Gdzie jesteście?

- Na dole, w pobliżu jaskini klonowania. - Lando zacisnął zęby. Jeśli rzeczywiście pojawi się ten arytmiczny rezonans, jak to przewidywał Chewbacca, to jeden ze znajdujących się we wnętrzu góry reaktorów lada chwila powinien zacząć drzeć z powodu niestabilności. Jeżeli wybuchnie, nim zdołają się wydostać na zewnątrz... - Chcecie, żebyśmy tam przyszli?

- Nie zawracajcie sobie głowy - rozległ się ponury głos Karrde'a. - Wyjście z windy sieciowej i tak już blokuje ogromna sterta kamieni. Wygląda na to, że utknęliśmy tu na dobre. Chewbacca warknął żałośnie, wyraźnie sfrustrowany.

- Daj spokój, Chewie, i tak nic na to nie mogłeś poradzić - próbował go pocieszyć Han. - Mamy tu Luke'a i Marę: może oni zdołają go powstrzymać.

- A jeżeli nie zdołają? - dociekał Lando, czując nerwowy skurcz w żołądku. - Słuchajcie, nie macie zbyt wiele czasu. Sądzymy, że wzbudziliśmy arytmiczny rezonans w centralnym układzie zasilania.

- To dobrze - rzucił Solo. - W takim razie C'baath też się stąd nie wydostanie.

- Han...

- No już, wynoście się stąd - przerwał mu Solo. - Chewie, spisałeś się doskonale, ale jeśli nie uda nam się stąd wyjść, to ktoś musi pomóc Winter zając się Jacenem i Jainą. Zrozumiałeś?

- „Szalony Karrde” stoi w miejscu, w którym weszliście do środka góry - dodał Karrde. - Będą na was czekać.

- W porządku - mruknął Lando przez zaciśnięte zęby. - Powodzenia. - Wyłączył komunikator i z powrotem przypiął go sobie do pasa. Han miał rację: stąd, z dołu, w żaden sposób nie mogli im pomóc w walce z C'baath'em. Ale mając działa turbolaserowe „Szalonego Karrde'a” i plany magazynu, które zdobył Artoo... - Chodź, Chewie - zwrócił się do Wookiego, biegiem ruszając w stronę wyjścia. - To jeszcze nie koniec.

- Może i lepiej się stało - szepnął C'baath, patrząc smutno na Luke'a i zmierzając w jego kierunku. Skywalker strząsnął kurz z oczu i podniósł wzrok na starego Jedi,

starając się opanować wciąż przeszywający go ból. Ból i powoli opanowującą go świadomość porażki. Oto klęczy na podłodze uwięziony w stercie kamieni, które już sięgają mu powyżej pasa, a ciągle spadają na niego nowe, przed nim zaś stoi szalony mistrz Jedi, który chciał go zabić... Nie. Jedi musi być opanowany. Musi działać w zgodzie z Mocą.

- Posłuchaj mnie, mistrzu C'baoth - powiedział. -Nie czujesz się dobrze. Wiem o tym. Ale mogę ci pomóc. Przez twarz starca przewaliła się cała gama najróżniejszych uczuć.

- Czyżby? - rzucił wreszcie C'baoth, decydując się przyjąć ton lekkiego rozbawienia. - A dlaczego miałbyś to dla mnie robić?

- Bo tego potrzebujesz - odparł Lukę. -1 dlatego, że ty jesteś nam potrzebny. Masz ogromne doświadczenie i siłę, które mógłbyś spożytkować dla dobra Nowej Republiki.

- Mistrz Jedi Joruu C'baoth nie służy mniejszym ludom, Jedi Skywalker - prychnął starzec.

- Ale dlaczego? Wszyscy wielcy mistrzowie Jedi w Starej Republice tak właśnie czynili.

- I na tym polegał ich błąd - stwierdził C'baoth, machając Luke'owi palcem przed nosem. - Dlatego mniejsze ludy powstały i zabiły ich.

- Ależ one wcale tego nie...

- Dostyć! - zagrział starzec. - I tak nie ma znaczenia to, czego oczekują ode mnie mniejsze ludy. To ja o wszystkim zadecyduję. A one przyjmą moją władzę albo zginą. - W jego oczach pojawiły się niepokojące błyski. - Ty miałeś ten wybór, Jedi Skywalker. A nawet więcej: mogłeś rządzić razem ze mną. Ale ty wolałeś wybrać śmierć. Lukę poczuł, że po policzku spływa mu kropla potu. A może krwi?

- A co z Marą?

- Mara Jadę już nie powinna cię obchodzić. Zajmę się nią później.

- Nie - rzuciła ostro dziewczyna. - Zajmiesz się mną teraz. Skywalker spojrzał w jej kierunku. W dalszym ciągu z góry spadały na nią kamienie, ale sięgająca jej już przedtem do kolan sterta odłamków skalnych, które więziły ją w miejscu, gdzieś zniknęła. I dopiero teraz Lukę zobaczył, dlaczego: to, co wcześniej uznał za bezużyteczne machanie mieczem, okazało się starannie przemyślanym działaniem. Mara wycięła w podłodze kilka dużych otworów, przez które kamienie spadały niżej, do pomieszczenia z komputerami. Dziewczyna uniosła miecz świetlny i ruszyła do ataku. C'baoth odwrócił się do niej, a jego twarz wykrzywił gniew.

- Nie! - wrzasnął i ponownie z jego palców strzelił niebieskobiały ogień. Dziewczyna zablokowała błyskawice ostrzem miecza, ale jej atak uległ spowolnieniu, gdy przeszył ją ogień wyładowań elektrycznych. Starzec ciskał w nią kolejne błyskawice, wycofując się jednocześnie ku skalnej ścianie za tronem, ale Mara uparcie posuwała się za nim. Niespodziewanie deszcz kamieni nad jej głową ustał. Od krawędzi stosu, który więził Luke'a, oderwało się kilka fragmentów skalnych i pomknęło w stronę C'baotha. Po chwili zawróciły i uderzyły dziewczynę prosto w twarz. Jadę zatoczyła się do tyłu. Zamknęła oczy i uniosłszy prawą rękę, usiłowała się osłonić przed rażącymi ją kamieniami. Skywalker zacisnął zęby i próbował wydostać się z przygniatającego go skalnego stosu. Nie chciał pozostawiać Mary samej w tej walce. Ale wysiłek okazał się daremny: jego mięśnie wciąż jeszcze były zbyt osłabione po ostatnim ataku mistrza Jedi. Nie zważając jednak na świeży ból, ponowił próbę. Spojrzał na Jadę... Dostrzegł nagłą zmianę w wyrazie jej twarzy. Marszcząc brwi, postarał się skupić myśli... i po chwili on także usłyszał głos Leii w swoim umyśle... Maro, zamknij oczy i słuchaj mego głosu. Ja widzę i ja cię poprowadzę. - Nie! - wrzasnął ponownie C'baoth. -Nie! Ona jest moja! Lukę zerknął w drugi koniec sali tronowej, zastanawiając się, jak starzec zemści się na jego siostrze. Ale nic się nie stało. Nawet kamienie przestały spadać na tę część zwalonej kładki, pod którą ukryli się Han i Leia. Być może długa walka sprawiła, że C'baoth zaczął opadać z sił i nie mógł już sobie pozwolić na podzielność uwagi. Za metalową kładką Skywalker zauważył swój miecz świetlny częściowo zagrzebany w stosie

kamieni, które blokowały teraz dostęp do windy sieciowej. Gdyby tylko zdołał go do siebie przywołać i odzyskać siły na tyle, by wspomóc Marę w jej zmaganiach... Nagle jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie. Przywiązane do jednego końca metalowej kładki vonskry Karrde'a, nawet niedrażnione przez burzę kamieni, które zwały się na ich właściciela, szarpały się teraz nerwowo na smyczach. Wyrwały się w stronę Mary - i C'baotha. W czasie wędrówki przez las na Myrkrze dziki vonskr niemal nie zabił dziewczyny. A teraz Luke'owi przyszło do głowy, że te dwa drapiezniki mogą pomóc w jej ocaleniu. Dotknięty myślami młodego Jedi miecz świetlny drgnął nieznacznie i jego ostrze zapaliło się z cichym sykiem, gdy umysł chłopaka odszukał włącznik. Posyłając wokół iskry, spowodowane uderzeniami o kamienie, broń uwolniła się ze stosu odłamków skalnych. Skywalker wyteżył siły... i broń uniosła się w powietrze i pomknęła w jego kierunku. Znalazłszy się na wysokości zniszczonej kładki, ostrze miecza bez trudu przecięło krępujące vonskry smycze. C'baoth oczywiście widział, co się dzieje. Dotykając już niemal plecami skalnej ściany sali tronowej, skierował ręce ku biegnącym ku niemu po schodach drapieznikom i cisnął w nie ogniste błyskawice. Jedno ze zwierząt zawył i upadło na podłogę, potykając się o walające się wszędzie kamienie; drugie natomiast zachwiało się, ale brnęło dalej naprzód. Mara tylko czekała na chwilę, kiedy starzec odwróci od niej swoją uwagę. Nie zważając na wciąż rażące ją w twarz kamienie, rzuciła się naprzód, jednym skokiem pokonując dzielącą ją od C'baotha odległość. I kiedy szalony Jedi z powrotem skierował ku niej ręce, upadła przed nim na kolana i z całych sił pchnęła do góry miecz świetlny. Starzec wydał z siebie ostatni, żalony jęk, po czym zgiął się wpół... I podobnie, jak w chwili śmierci Imperatora na Gwieździe Śmierci, drzemiąca w mistrzu Jedi energia ciemnej strony ujawniła się na zewnątrz w postaci gwałtownej eksplozji niebieskiego ognia. Ale Lukę był już na to przygotowany. Z całych sił uchwycił Marę Mocą i jak najdalej odciągnął ją od tego wybuchu energii. Poczł, jak uderzyło w niego czoło fali; ale zaraz też odczuł, że napięcie słabnie: to Leia pospieszyła mu z pomocą. W chwilę później było już po wszystkim. Przez dobrą minutę chłopak leżał bez ruchu, z trudem chwytając powietrze i broniąc się przed utratą przytomności. Niejasno zdał sobie sprawę z tego, że przygniatające go kamienie gdzieś się odsuwają.

- Lukę, dobrze się czujesz? - spytała Leia. Skywalker z trudem otworzył oczy. Jego siostra była obsypana kurzem i posiniaczona. A on pewnie wcale nie wyglądał lepiej od niej.

- Tak - odparł. Odepchnął ostatnie kamienie i stanął na nogi. - A co z resztą?

- Nie najgorzej - uspokoiła brata księżniczka, podtrzymując go ramieniem. - Chociaż Han będzie potrzebował lekarza: ma poważne oparzenia.

- Mara również - dodał ponuro Karrde. Wszedł po schodach, niosąc na rękach nieprzytomną dziewczynę. - Musimy ją jak najszybciej zanieść na „Szalonego Karrde'a”.

- W takim razie skontaktuj się ze swoimi ludźmi - poradził mu Solo, który klęczał właśnie nad martwym klonem Luke'em i przyglądał mu się ciekawie. - Powiedz im, żeby po nas przylecieli.

- Niby dokąd mają po nas przylecieć? - zdziwił się szef przemytników.

- A tam - wyjaśnił Han, wskazując ręką miejsce, gdzie zginął C'baoth. Lukę odwrócił się we wskazanym kierunku. Potężna eksplozja energii ciemnej strony Mocy zamieniła ten koniec sali tronowej w istną ruinę. Ściany i sufit były osmalone i podziurawione; metalowa podłoga w miejscu, gdzie stał starzec, była powykrzywiana i częściowo stopiona; sam tron zaś został wyrwany z podłoża i tłać się jeszcze, leżał jakiś metr od swojej dawnej podstawy. Za tronem, przez wystrzępione pęknięcie w tylnej ścianie, widać było pobłyskującą na niebie gwiazdę.

- Racja - rzucił Skywalker i odetchnął głęboko. - Leia?

- Widzę - pokiwała głową Organa Solo. Podała bratu miecz świetlny i zapaliła swój własny. - Bierzmy się do roboty. Z dwóch stron obłożonej stacji bojowej Golan II pojawiły się dwie rebelianckie fregaty szturmowe i błyskawicznie zmieniwszy kierunek, przypuściły potężny atak. Duży fragment stacji bojowej stanął w ogniu, który szybko

przygast; teraz na tle ciemnej sylwetki Golana II widać było kolejną falę rebelianckich myśliwców, które wdzierały się na teren stoczni. Pellaeon już się nie uśmiechał.

- Niech pan nie wpada w panikę, kapitanie - rzekł Thrawn. Ale i w jego głosie dało się wyczuć ponurą nutę. - Jeszcze nie zostaliśmy pokonani. I daleko nam do tego. Na stanowisku Pellaeona odezwał się brzęczyk. Kapitan zerknął na monitor...

- Panie admirale, pilna wiadomość z Waylandu - zakomunikował Thrawn'owi. I przeczuwając najgorsze, zadrżał. Wayland... Fabryka klonów...

- Proszę ją przeczytać, kapitanie - polecił podwładnemu admirał grobowym tonem.

- Właśnie otrzymujemy odszyfrowaną wersję- rzucił Pellaeon. Niecierpliwie postukując palcami w biurko, czekał, aż wiadomość wyświetli się na ekranie komputera. Stało się dokładnie to, czego się oba wiało. - Na górę Tantiss przypuszczono atak, admirale - poinformował Thrawn. - Wojska dwóch różnych ras tubylców plus jacyś rebelianccy sabotażyści... - Urwał, z niedowierzaniem marszcząc brwi. - A także grupa Noghrich... Nie zdołał doczytać raportu do końca. Niespodziewanie, nie wiadomo skąd wyłoniła się szaroskóra ręka i złapała go za gardło. Mężczyzna bez tchu osunął się na krzesło, czując się nagle jak sparaliżowany.

- To za oszustwo, jakiego Imperium dopuściło się względem ludu Noghrich - powiedział cicho stojący obok niego Rukh. - Zdradzono nas i wzięliśmy odwet. Pallaeon wyczuł nieznaczne poruszenie i Rukha już przy nim nie było. Z trudem chwytając oddech i starając się poruszyć bezwładnymi mięśniami, zdołał wreszcie podnieść rękę na biurko. Ostatkiem sił, po dwóch nieudanych próbach, nacisnął w końcu guzik alarmu. I kiedy na pochłoniętym bitwą niszczycielu gwiazdowym zaczęły wyc syreny, kapitanowi udało się wreszcie odwrócić głowę. Thrawn siedział sztywno wyprostowany na swoim krześle, a jego twarz była dziwnie spokojna. Uwagę kapitana przykuła ciemnoczerwona plama na jego piersiach, dziwnie kontrastująca z nieskazitelną bielą jego admirałskiego munduru. Zaś w samym środku plamy tkwił błyszczący koniec noża Rukha. Thrawn zauważył spojrzenie podwładnego. Ku zdumieniu Pellaeona, wielki admirał uśmiechnął się do niego.

- Ale - wyszeptał - to było tak artystycznie zrobione. Uśmiech na jego twarzy przybladł, podobnie jak blask jego czerwonych oczu - i Thrawn, ostatni wielki admirał, odszedł.

- Kapitanie Pellaeon? - zawołał niecierpliwie oficer łącznościowy, gdy - zbyt późno - przy krześle admirała zjawiała się grupa lekarzy. - „Nemezis” i „Jastrząb” proszą o rozkazy. Co mam im powiedzieć? Pellaeon wyjrzał przez iluminator. Dostrzegł zamieszanie, jakie powstało za linią obrony w pozornie bezpiecznej stoczni; zdał sobie sprawę z nagłej konieczności rozdzielenia sił Imperium, by ją bronić; zobaczył, że flota Rebeliantów skwapliwie korzysta z dywersji... I w mgnieniu oka uświadomił sobie, że nagle cały świat zwrócił się przeciwko nim. Być może Thrawn umiałby jeszcze obrócić tę sytuację w zwycięstwo Imperium. Ale on, Pellaeon, nie był Thrawn'em.

- Proszę zawiadomić wszystkie statki - rzucił chrapliwie. Poczł dziwny ból w gardle, który nie miał nic wspólnego z pulsującym bólem, o jaki przyprawił go podstępny atak Rukha. - Przygotować się do odwrotu.

ROZDZIAŁ 29

Na Coruscant słońce skryło się za cienką warstwą chmur i wieczorne kolory nieba zaczęły ustępować miejsca czerni nocy. Mara stała na dachu Pałacu Imperialnego, opierając się o sięgającą jej do piersi kamienną balustradę. Wsłuchując się w szmerzący dokoła niej wiatr, wpatrywała się w światła rozpościerającej się w dole stolicy i obserwowała przemierzające się po niej pojazdy. Mimo iż miasto tętniło życiem, panował w nim jakiś dziwny spokój. A może to w niej samej panował spokój. Tak czy inaczej, była to wyraźna zmiana na lepsze. Dwadzieścia metrów za jej plecami otworzyły się drzwi. Sięgnęła w tę stronę Mocą, choć i tak wiedziała, kto to mógł być. I nie myliła się.

- Mara? - zawołał cicho Lukę.
- Jestem tutaj - odparła, robiąc niezadowoloną minę. Wyczuła, że Skywalker przyszedł tu, by usłyszeć jej odpowiedź. Koniec z wewnętrznym spokojem.
- Imponujący widok, prawda? - stwierdził Lukę, stając obok niej. - Musi ci nasuwać wiele wspomnień. Jadę posłała mu pełne wyrozumiałości spojrzenie.
- Chcesz zapytać, jak się czuję tym razem po powrocie do domu? Wiesz, Skywalker, tak między nami mówiąc, to kiedy silisz się na przebiegłość, wyglądasz naprawdę żałośnie. Na twoim miejscu dałabym sobie z tym spokój i poprzestała na prostej uczciwości wiejskiego chłopca.
- Przepraszam - mruknął. - Chyba zbyt wiele czasu spędzam z Hanem.
- A także z Karrde'em i ze mną, co?
- Chcesz, żebym ci na to odpowiedział, jak przystało na prostego wiejskiego chłopca? Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo.
- Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam. Lukę także się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.
- No więc, jak się właściwie czujesz?
- Dziwnie - odparła Mara, ponownie spoglądając na płonące w dole światła. - W pewnym sensie tak, jakbym wróciła do domu... ale niezupełnie. Bo nigdy przedtem nie stałam tu i nie patrzyłam na miasto tak jak teraz. Zawsze przychodziłam tu po to, by wypatrywać jakiegoś konkretnego skutera powietrznego albo by mieć na oku jakiś określony budynek; tego typu rzeczy. I była to jedynie służba dla Imperatora. Nie sądzę, by on kiedykolwiek postrzegał to miasto jako skupisko ludzi i grę światła: dla niego był to tylko przedmiot władzy i różnorodnych możliwości.
- Tak, pewnie na wszystko tak właśnie patrzył - przyznał Skywalker. - A mówiąc o tych możliwościach...? Dziewczyna skrzywiła się z niechęcią. A więc miała rację: Lukę przyszedł tu, by usłyszeć od niej odpowiedź.
- To wszystko jest bez sensu - stwierdziła. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.
- Karrde tak nie uważa.
- Karrde jest niekiedy nawet gorszym idealistą niż ty - odparowała. - Po pierwsze: nigdy nie uda mu się utrzymać tej jego koalicji przemytników.
- Może i nie - rzucił Skywalker. - Ale pomyśl o ogromnych możliwościach, jakie to ze sobą niesie, gdyby mu się udało. Na krańcach Nowej Republiki znajduje się mnóstwo informatorów i źródeł informacji, do których my nie mamy żadnego dostępu.
- Ale po co wam właściwie te źródła informacji? Thrawn nie żyje, z jego fabryki klonów pozostały tylko ruiny, i Imperium znowu się wycofuje. Odnieśliście zwycięstwo.
- Pod Endorem także odnieśliśmy zwycięstwo - przypomniał jej Lukę. - Ale to wcale nie wyeliminowało długich lat tak zwanej akcji porządkowej. I teraz też czeka nas jeszcze dużo pracy.
- Ale to w dalszym ciągu nie tłumaczy, dlaczego ja miałabym się znaleźć w samym środku tego wszystkiego - upierała się Mara. - Jeśli potrzebujesz jakiegoś łącznika pomiędzy tobą a przemytnikami, to dlaczego nie powierzysz tej funkcji Karrde'owi?
- Ponieważ Karrde jest przemytnikiem. A ty byłaś jedynie asystentką przemytnika.
- Też mi różnica - prychnęła Jadę.
- Dla niektórych ludzi to ma znaczenie - rzekł Skywalker. - Ten cały proces negocjacji opiera się w równej mierze na pozorach i ogólnym wizerunku, jak i na stanie faktycznym. Zresztą Karrde już zapowiedział, że nie podejmie się tej misji. Teraz, kiedy jego vonskry odzyskały już siły, chce wrócić do swoich ludzi.
- Ale ja nie mam natury polityka ani dyplomaty - potrząsnęła głową Mara.
- Za to w pewnym sensie należysz do obu stron i chcesz nam zaufać - nie dawał za wygraną Lukę. - A to jest tu najważniejsze.
- Skywalker, ty nie znasz tych ludzi - skrzywiła się dziewczyna. - Wierz mi: Chewbacca i ci wszyscy, których wysyłasz, by pomogli Noghrim przenieść się na ich nową planetę, będą mieli o wiele łatwiejsze zadanie.

- Maro, naprawdę możesz to zrobić - powiedział, kładąc rękę na jej dłoni. - Wiem, że możesz. Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Muszę się jeszcze zastanowić.

- Naturalnie. Kiedy już podejmiesz decyzję, po prostu zejdź na dół.

- Jasne. - Zerknęła na niego spod oka. - Czy chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć?

- Robisz postępy - uśmiechnął się Luke.

- To twoja wina: byłeś zbyt dobrym nauczycielem. No, o co chodzi?

- O to. - Skywalker wyciągnął z tuniki miecz świetlny.

- Co to takiego? - zdumiała się Mara.

- Mój stary miecz świetlny - odparł cicho. - Ten, który zgubiłem w Mieście w Chmurach i od którego omal nie zginąłem na Waylandzie. - Podał go dziewczynie. - Chciałbym, żebyś go wzięła. Podniosła na niego zdumiony wzrok.

- Ja? Dlaczego? Chłopak wzruszył nieznacznie ramionami.

- Jest po temu mnóstwo powodów. Po pierwsze: zapracowałaś na niego. Po drugie: jesteś na właściwej drodze, by stać się rycerzem Jedi i będziesz go potrzebowała. Ale przede wszystkim dlatego, że chcę, byś go miała. Powoli, z wyraźnym ociąganiem, Mara wzięła broń.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Luke ponownie dotknął jej ręki. - Będę razem z innymi w sali konferencyjnej. Przyjdź do nas, kiedy się zdecydujesz. Odwrócił się i odszedł w kierunku drzwi. Dziewczyna jeszcze raz spojrzała na światła miasta. W dłoni czuła chłodny metal miecza. Miecza świetlnego Luke'a. Zapewne była to jedna z ostatnich więzi łączących go z przeszłością... i właśnie się jej pozbył. Czy tkwiło w tym jakieś przesłanie dla niej? Pewnie tak. Tak jak powiedziała, subtelność nie była jego mocną stroną. Ale jeśli zrobił to właśnie po to, to niepotrzebnie tracił czas: w jej przypadku ostatnia więź z przeszłością została zerwana w sali tronowej w górze Tantiss. Przeszłość była dla niej zamknięta. Nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości. I - czy jej się to podobało, czy też nie - tą przyszłością była Nowa Republika. Usłyszała, że Luke otwiera drzwi. - Zaczekaj chwilę! - zawołała. - Idę z tobą.